

ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC)

KRÓLOWA MARGOT

LA REINE MARGOT

ROZDZIAŁ I

ŁACINA KSIĘCIA GWIZJUSZA

W poniedziałek 18 sierpnia 1572 roku w Luwrze obchodzono wielką uroczystość.

Okna dawnego zamku królewskiego, zawsze ciemne, zajaśniały dzisiaj rześmistym światłem, a place sąsiednie i ulice, zwykle puste, skoro tylko uderzyła godzina dziewiąta na wieży Saint-Germain-l'Auxerrois, dnia tego jeszcze o północy były zapchane pospólstwem.

Tłum ten, groźny, zwarty, niespokojny, można było wziąć w ciemnościach nocnych za ponure i kołyszące morze, które wynurzając się z ulic des Fosses-Saint-Germain i de Lastruce, rozlewało się po bulwarach; fale jego podczas przyływu roztrącały się o ściany Luwru, w czasie zaś odpływu odbijały się o stojący naprzeciwko pałac Burbonów.

Pomimo uroczystości na dworze, a może właśnie z powodu tejże, spostrzegać się dawały jakieś groźne oznaki wśród ludu, który nie spodziewał się, że uroczystość ta jest tylko wstępem do nowej, w osiem dni nastąpić mającej, w której miał wziąć czynny udział.

Dwór obchodził zaślubiny Małgorzaty de Valois, córki Henryka II i siostry Karola IX, z Henrykiem de Bourbon, królem Nawarry.

Rzeczywiście, tego poranku, na Wzniesieniu urządzonym przy wejściu do katedry Notre-Dame, kardynał de Bourbon pobłogosławił temu związkowi według obrzędu stosowanego zwykle przy zaślubinach francuskich księżniczek.

Małżeństwo to zadziwiło wszystkich i dało dużo do myślenia tym, którzy głębiej rzeczy pojmowali; w istocie, trudno było pojąć zbliżenie się dwóch nieprzyjaznych stronnictw, jakimi byli protestanci i katolicy.

Pytano się, czy młody książę Kondeusz będzie mógł przebaczyć księciu Andegaweńskiemu, bratu króla, śmierć ojca swego, zabitego przez Montesquiou pod Jarnac; czy młody książę Gwizjusz daruje admirałowi de Coligny śmierć ojca, zamordowanego w Orleanie przez Poltrota de Mere.

Nie dosyć na tym: umarła przed dwoma miesiącami Joanna de Navarre, odważna małżonka słabego Antoniego de Bourbon, która doprowadziła do skutku zaręczyny syna swego Henryka z księżniczką królewskiego domu.

Z powodu jej nagłej śmierci zaczęły się rozchodzić dziwne pogłoski. Wszędzie szeptało, że Katarzyna de Medici, obawiając się, ażeby się nie wydała straszna tajemnica wiadoma Joannie, otruła ją pachnącymi rękawiczkami, przyrządzonymi przez florentczyka nazwiskiem René, bardzo zdolnego do robót tego rodzaju.

Wieść owa jeszcze bardziej rozeszła się i ustaliła, skoro po śmierci tej wielkiej królowej dwaj lekarze, z których jednym był słynny Ambroży Pare, zostali na żądanie jej syna upoważnieni do sekcji całego ciała prócz głowy.

Ponieważ zaś Joanna de Navarre została otruta jadowitym zapachem, w mózgu więc jedynie należało szukać śladów strasznej zbrodni. Mówię — zbrodni, gdyż nikt nie wątpił, że popełniono tu zbrodnię.

To jeszcze nie wszystko.

Król Karol obstawał przy tym związku z uporczywą stałością; takie małżeństwo bowiem nie tylko przywracało w jego królestwie pokój, lecz nawet sprowadzało do Paryża znaczniejszych hugenotów francuskich.

Ponieważ narzeczony był wyznania protestanckiego, narzeczona zaś rzymskokatolickiego, należało prosić o dyspensę zasiadającego wówczas w Stolicy Apostolskiej Grzegorza XIII.

Z wydaniem żądanej dyspensy ociągano się, co bardzo niepokoiło zmarłą królową Nawarry.

Pewnego dnia powierzyła ona Karolowi IX swą obawę w tym względzie, na co król odpowiedział:

— Nie martw się o to, moja ciotko. Nie jestem hugenotem, lecz też nie dam się oszukać; w najgorszym razie sam wezmę Margot za rękę i podczas kazania z synem twoim do ołtarza poprowadzę.

Słowa te rozniosły się po mieście i nadzwyczaj uradowały hugenotów, dały zaś dużo do myślenia katolikom, którzy sami nie wiedzieli, czy król ich zdradza, czy też odgrywa komedię, której rozwiązania lada dzień należało oczekiwać.

Nade wszystko niepojętym było postępowanie Karola IX względem admirała de Coligny, już od pięciu czy sześciu lat prowadzącego z nim bezustanne kłótnie. Król wyznaczył za jego głowę sto pięćdziesiąt tysięcy talarów złotem; pomimo to na niego się tylko zaklinał, nazywał go swoim ojcem i oświadczył, że odtąd jemu powierzać będzie kierunek wojny.

Ta przemiana w postępowaniu króla zaczęła wreszcie niepokoić samą Katarzynę de Medici, dotychczas kierującą jego wolą, a nawet życzeniami; i rzeczywiście miała słuszny powód do obaw, pewnego bowiem razu Karol IX w chwili szczerości powiedział do admirała, rozmawiającego z nim o wojnie flandryjskiej:

— Mój ojczy, jest tu jeszcze pewna okoliczność, na którą niepodobna nie zwrócić uwagi. Idzie o to, aby królowa—matka, która jak wiesz, wszędzie lubi wścibić swój nos, nic nie wiedziała o naszych planach względem wojny flandryjskiej; trzeba więc, ażebyśmy je trzymali w największej tajemnicy, gdyż w wypadku poróżnienia się z nami, wszystko by nam popsuka.

Chociaż Coligny był bardzo rozsądnym i doświadczonego człowiekiem, nie zdołał jednak zadość uczynić zaufaniu, jakie w nim król pokładał; i mimo że przybył do Paryża pełen podejrzeń, mimo że przy odjeździe z Chatillon jakaś wieśniaczka rzuciła mu się do nóg, wołając: „O! nasz dobry ojczy, nie jedź do Paryża, gdyż ty i wszyscy, co z tobą będą, zginiecie niechybnie” — mimo to wszystkie podejrzania te z biegiem czasu wygasły w sercu admirała i jego zięcia de Teligny, z którym król pozostawał w bardzo przyjaznych stosunkach, nazywając go swoim bratem, tak jak admirała nazywał swoim ojcem, i mówiąc mu po imieniu, co miało miejsce tylko w rozmowach z najbliższymi przyjaciółmi.

Hugonoci, z wyjątkiem kilku nieufnych, zupełnie byli o swój los spokojni, a śmierć królowej Nawarry przypisywali pleurze. Obszerne sale Luwru napełniły się możliwymi protestantami, którym małżeństwo młodego ich wodza Henryka obiecywało niczym nie zakłóconą przyszłość. Admirał Coligny, La Rochefoucault, młody książę Kondeusz i Teligny, jednym słowem — Wszyscy naczelnicy protestanckiego stronnictwa z triumfem patrzyli, jak potężni i dobrze przyjmowani w Luwrze są ci, których przed trzema miesiącami król Karol i królowa Katarzyna chcieli kazać wywieszać na szubienicach wyższych od tych, które przeznaczono dla morderców.

Na próżno tylko wszyscy hugonoci szukali marszałka de Montmorency; jego bowiem żadna obietnica nie była zdolna ująć, żaden pozór oszukać; pozostał w swoim zamku de l'Isle-Adam, wymawiając się bólem doznany po śmierci ojca, wielkiego konstabla Anna de Montmorency, zabitego strzałem z pistoletu przez Roberta Stuarta w bitwie pod Saint-Denis. Lecz skoro od tego wypadku upłynęło już przeszło dwa lata, a czułość była cnotą prawie zupełnie w tej epoce niemodną, przeto różni różnie sądzili o tej długiej żalobie. Wszystko zresztą wskazywało na to, że marszałek de Montmorency nie miał racji, gdyż król, królowa, książęta Andegaweński i d'Alencon przewybornie przyjmowali swych gości.

Sami nawet hugonoci wieszowali księciu Andegaweńskiemu zwycięstw odniesionych przy Jarnac i Moncontour w osiemnastym zaledwie roku życia; w tak młodym bowiem wieku nie

odnosili –zwycięstw ani Cezar, ani Aleksander Wielki, z którymi go porównywano, stawiając, rozumie się, zwycięzców spod Issus i Farsalos niżej od niego.

Książę d'Alencon spoglądał na to wszystko swoimi przymilnymi i chytrymi oczyma, królowa Katarzyna, promieniejąca i pełna uprzejmości, wieszowała księciu Henrykowi Kondeuszowi małżeństwa, zawartego niedawno z Marią de Cleves, książęta Gwizjuszowie uśmiechali się do strasznych nieprzyjaciół swego domu, a książę de Mayenne prowadził z panem de Tavannes i admirałem rozmowę o wojnie, którą bardziej teraz aniżeli kiedykolwiek król gotował się wypowiedzieć Filipowi II.

Pośród tych grup przechadzał się z pochyloną głową, chwytając każde słówko, młodzieniec lat dziewiętnaście mieć mogący, bystrogo spojrzenia, czarnych, krótko ostrzyżonych włosów, gęstych brwi, orlego nosa, porastających wąsów i brody i cierpkiego uśmiechu. Młodzieniec ten, który zwrócił na siebie uwagę dopiero po bitwie pod Arnay-le-Duc, gdzie wyróżnił się męstwem, był ulubionym wychowawcą admirała de Coligny, bohaterem tego dnia i przedmiotem powszechnych pochwał. Przed trzema miesiącami, to jest jeszcze za życia jego matki, nazywano go księciem de Bearn; teraz zaś królem Nawarry, a później Henrykiem IV. Od czasu do czasu chmura przebiegała po jego czole; zapewne przypominał sobie, że zaledwie przed dwoma miesiącami utracił matkę; on bowiem, bardziej niż kto inny, nie wątpił o jej otruciu. Chmura to jednak była przelotna i zniknęła jak błyskawica, gdyż ci właśnie co z nim rozmawiali i składali mu powinszowania, byli zabójcami odważnej Joanny d'Albret.

O kilka kroków od króla Nawarry rozmawiał z Teligny'm młody książę Gwizjusz, o tyle zamyślony i stroskany, o ile król starał się być wesołym i otwartym. Młody ten książę szczęśliwszym był od Bearneńczyka, w dwudziestym bowiem roku w sławie dorównał swemu ojcu, wielkiemu Franciszkowi Gwizjuszowi. Jego wysoki wzrost; piękna powierzchowność, dumne spojrzenie nadawały mu okazałą i prawdziwie książęcą postać. Chociaż był jeszcze bardzo młody, katolicy uważali go już za swego jedynego obrońcę, podobnie jak hugonoci Henryka króla Nawarry, którego obraz tylko co nakreśliśmy. Z początku nosił on tytuł księcia Joinville; na polu bitwy pierwszy raz ukazał się przy oblężeniu Orleanu, pod dowództwem swego ojca, który oddawszy ducha na jego rękę, wskazał mu admirała Coligny jako swego zabójcę.

Wtedy młody książę, podobnie jak Hannibal, uczynił uroczystą przysięgę: zemścić się za śmierć ojca na admirałach i jego rodzinie, ścigać ciągle i bez litości nieprzyjaciół religii, obiecując Bogu dopóty być na ziemi aniołem niszczycielem, dopóki, ostatni z hugenotów nie zginie.

Ze zdziwieniem patrzano przeto, jak książę, znany z dotrzymywania swych obietnic, podawał rękę ludziom, którym poprzysiągł wieczną nienawiść, i rozmawiał z zięciem tego, którego na rozkaz umierającego ojca przyrzekł zamordować. Lecz powiedzieliśmy już, że wieczora tego działy się w Luwrze zadziwiające wypadki.

Rzeczywiście, gdyby na uroczystość tę patrzył widz obdarzony siłą przewidywania przyszłości, siłą ludziom odjętą, i obdarzony łatwością czytania w sercach ludzkich, czyli władzą, którą tylko sam Bóg posiada, ujrzałby tu najciekawszy i zarazem najstraszniejszy widok, jakiego mogą dostarczyć dziwne przeciwieństwa tego świata.

Lecz widz taki nie znajdował się w salach Luwru; z ulicy tylko patrzył wściekłym wzrokiem i groźnym huczał głosem.

Był nim lud, obdarzony instynktem, który zaostrzyła nienawiść; widział on tańczące cienie swoich nieubłaganych nieprzyjaciół i tłumaczył ich uczucia z zupełną trafnością.

Rzecz dziwna; lud ten był w stanie czynić spostrzeżenia nad tym, co się działo wewnątrz Luwru, stojąc tylko przed salą balową, dobrze strzeżoną.

Muzyka unosi tańczących, gdy tymczasem gapie stojący na zewnątrz widzą tylko same poruszenia i śmieją się z nich, albowiem nie znają przyczyn, które je spowodowały; nie słyszą muzyki.

Muzyką upajającą hugenotów był głos ich dumy.

Blaskiem, migającym przed oczyma paryżan pośród tej nocy, były błyskawice nienawiści, oświecające przeszłość.

Pomimo to, wszystko uśmiechało się wewnątrz pałacu; w tej nawet chwili przebiegł po całym Luwrze jakiś cichy i miły szept: właśnie młoda narzeczoną, pozbywszy się uroczystego stroju — długiego płaszcza i welonu, weszła na salę balową. Towarzyszyła jej piękna księżna de Nevers, najlepsza jej przyjaciółka, król zaś Karol IX, jej brat, wiodł ją za rękę, przedstawiając znakomitszym gościom.

Narzeczoną tą była Małgorzata de Valois, córka Henryka. II, perła francuskiej korony, którą Karol IX z braterską czułością nazywał zwykle siostrą Margot.

Nową królową Nawarry przyjęto oznakami wielkiego zachwyty, na co istotnie zasługiwała. Małgorzata miała wtedy zaledwie dwadzieścia lat, a była już przedmiotem pochwał wszystkich poetów, z których jedni porównywali ją z Jutrzenką, drudzy z Cyterą.

W samej rzeczy na dworze, gdzie Katarzyna de Medici zebrała najpiękniejsze wówczas kobiety, ażeby się otoczyć poczem syren, żadna z nich nie mogła wytrzymać porównania z Małgorzatą: Czarne lśniące włosy, świeża cera, tchnące rozkoszą oczy, długimi rzęsami ocienione, wąskie malinowe usteczka, cudownie piękna szyja, kibić pełna, gibka, i dziecinna nóżka w jedwabne pantofelki uwięziona — oto obraz Małgorzaty. Francuzi pysznili się, że na ich ziemi rozkwitł tak wspaniały kwiat, a cudzoziemcy, przez Francję przejeżdżający, powracali do swej ojczyzny olśnieni jej pięknnością, jeśli mieli sposobność widzieć ją, a zdumieni jej wiedzą, jeśli z nią rozmawiali. Że Małgorzata była nie tylko najpiękniejszą, lecz i najbardziej oświeconą kobietą owego czasu, dowodzą słowa pewnego uczonego Włocha, który rozmawiając z nią całą godzinę po włosku, po hiszpańsku i po łacinie, wyrzekł w uniesieniu: „Widzieć dwór nie widząc Małgorzaty de Valois to to samo, co nie widzieć ani Francji, ani dworu”.

Nie brakowało także rozmaitych mów, pozdrawiających Karola IX i królową Nawarry; wszak wiadomo, że hugonoci byli doskonałymi mówcami. W mowach tych zρέcznie wspominali o przeszłości i przyszłości, lecz na te wszystkie przymówki Karol IX odpowiadał z chytrym uśmiechem:

— Oddając mą siostrę Margot królowi Nawarry, oddaję ją wszystkim protestantom królestwa.

Słowa te, które jednych uspokajały, a drugich zniewalały do uśmiechu, miały rzeczywiście dwa znaczenia: jedno ojcowskie, którym Karol IX nie chciał obciążać swojej głowy, drugie — krzywdzące młodą narzeczoną, jej męża i jego samego, gdyż zaczęły się już rozchodzić jakieś głuche i gorszące wieści, wynalezione przez plotkarzy dworskich, a mające na celu splamić małżeńską suknię Małgorzaty.

Księżę Gwizjusz rozmawiał, jak to już wyżej powiedzieliśmy, z Teligny'm, lecz podczas tej rozmowy bardzo był nieuważny; czasami oglądał się i rzucał spojrzenie na grupę dam, wśród których jaśniała królowa Nawarry. Gdy wzrok jej napotykał wzrok księcia, zdawało się, że po jej czole przebiegała chmurka, oświecona drżącym blaskiem diamentów zdobiących głowę królowej, w ruchach zaś, niecierpliwych i niespokojnych, widać było jakiś niepewny zamiar. Księżna Klaudia, starsza siostra Małgorzaty, zaślubiona od kilku lat księciu Lotaryńskiemu, spostrzegła niepokój siostry i chciała zbliżyć się do niej, aby się dowiedzieć, co jest tego przyczyną; lecz właśnie w tej chwili wszyscy ustępowali z drogi, aby zrobić przejście królowej-matce, która kroczyła wsparta na ramieniu młodego księcia Kondeusza; księżniczka więc znalazła się bardzo daleko od siostry.

Książę Gwizjusz, korzystając z ogólnego poruszenia, zaczął się zbliżać do pani de Nevers, swojej bratowej, a tym samym i do Małgorzaty.

Księżna Klaudia, nie spuszczająca z oczu młodej królowej, spostrzegła, wówczas, zamiast chmury na jej czole, ogniem płonące lica.

Książę, coraz bardziej się zbliżając, wkrótce znalazł się od niej o kilka zaledwie kroków.

Małgorzata, która więcej przeczuwała, aniżeli spostrzegła zbliżanie się księcia, obróciła się, z trudnością nadając spokojny wyraz swej twarzy.

Książę złożył jej głęboki ukłon i powiedział półgłosem:

— *Ipse attuli.*

To jest:

— Sam przyniosłem.

Małgorzata, oddawszy ukłon księciu, cicho odrzekła:

— *Noctu pro more.*

Co znaczyło:

— Tej nocy, jak zwykle.

Wyrazy te, tak miłe dla ucha księcia, odbiły się o wielki karbowany kołnierz ówczesnej mody i mogły być słyszane tylko przez osobę, do której zostały zwrócone. Chociaż rozmowa była bardzo krótka, jednakże Małgorzata i książę Gwizjusz zupełnie się porozumieli i natychmiast po owej wymianie słów rozeszli się — ona bardziej zamyślona, on zaś promieniejący szczęściem.

Człowiek, którego ta scena najbardziej powinna była obchodzić, nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Król Nawarry zajmował się bowiem osobą otoczoną nie mniejszym niż Małgorzata gronem obecnych; osobą tą była piękna pani de Sauve.

Karolina de Beaune Semblancay, wnuczka nieszczęśliwego Semblancaya i żona Szymona de Fizes barona de Sauve, była jedną z dam dworu Katarzyny de Medici i zarazem jej najstraszniejszą pomocniczką, podającą jej nieprzyjaciółom napój miłości, jeśli nie śmiała podać jadu trucizny florenckiej.

Ta mała blondynka, już to tryskająca życiem, to znowu omdlewająca w melancholii, była zawsze gotowa do miłości lub intryg — dwóch spraw nade wszystko ważnych na dworze trzech królów panujących kolejno po sobie od pięćdziesięciu lat; tak więc była to kobieta w całym znaczeniu tego słowa, słynąca zarazem z niepospolitych wdzięków, poczawszy od niebieskich, marzących lub też ogniem palających oczu aż do figlarnych nóżek, obutych w aksamitne pantofelki. Od kilku miesięcy tak dalece zawładnęła ona królem Nawarry, wstępującym zaledwie na pole miłości i politycznego życia, że nawet wspaniała i prawdziwie królewska piękność Małgorzaty nie wzbudziła w jego sercu żadnego podziwu. Jeszcze bardziej dziwne było dla wszystkich to, że Katarzyna de Medici, pełna skrytości i tajemnic, a tak silnie obstająca za projektem połączenia córki z królem Nawarry, nie przestawała popierać prawie jawnie miłostek Henryka z panią de Sauve. Pomimo jednak tej możnej pośredniczki i wbrew zbyt pobłażliwym obyczajom owego czasu piękna Karolina dotąd się opierała, a niesłychany i nie do uwierzenia opór ten, więcej niż jej wdzięki, obudził w Henryku namiętność, która nie mogąc znaleźć swego celu, rzuciła w serce młodego króla nasiona bojaźni, dumy, a nawet tej półfilozoficznej, a półleniwej niedbałości, będącej główną cechą jego charakteru.

Pani de Sauve dopiero przed chwilą weszła na salę, bo czy to wskutek niechęci, czy przez zazdrość, postanowiła nie być obecną przy triumfie swojej rywalki i pod pozorem słabości wysłała do Luwru swego męża, będącego od pięciu lat sekretarzem stanu. Lecz Katarzyna de Medici, spostrzegłszy barona de Sauve bez żony, zapytała go o przyczynę nieobecności swojej kochanej Karoliny, a dowiedziawszy się, że powodem tego jest lekkie niedomaganie, napisała do niej liścik z zaproszeniem, któremu młoda kobieta nie omieszkała zadośćuczynić.

Henryk, z początku zasmucony jej nieobecnością, odetchnął jednak, spostrzegłszy wchodzącego samego pana de Sauve; lecz w chwili kiedy najmniej spodziewał się ujrzeć przedmiot swych ciągłych marzeń i wdychając chciał się zbliżyć do miłej Małgorzaty, którą nie będąc zmuszony kochać, przynajmniej winien był uważać za swą żonę — spostrzegł na końcu galerii panią de Sauve.

Zatrzymał się na miejscu, jak przykuty, z oczyma utkwionymi w tę Cyrce, przyciągającą go do siebie niby magicznym łańcuchem, i zamiast — jak zamierzał — zbliżyć się do żony, po chwili wahania udał się do pani de Sauve. Dworzanie, spostrzegłszy, że król Nawarry zbliża się do pięknej Karoliny, nie śmieli przeszkodzić ich spotkaniu; grzecznie się więc oddalili i Właśnie wtedy, kiedy Małgorzata i książę Gwizjusz zamieniali z sobą kilka słów po łacinie, Henryk, znalazłszy się przy pani de Sauve, zaczął z nią rozmowę po francusku, wprawdzie narzeczem gaskońskim, lecz daleko mniej tajemniczą.

— A!... kochana przyjaciółko — rzekł Henryk — nareszcie zjawiłaś się, i to właśnie w chwili, kiedy mi powiedziano, że niedomagasz, i kiedy nadzieję oglądania cię już zupełnie straciłem.

— Czy nie raczy Wasza Królewska Mość przekonywać mnie — odpowiedziała pani de Sauve — że go wiele kosztowało rozstanie się z tą nadzieją?

— Och!... na Boga, spodziewam się, że to widoczne — odparł Bearneńczyk. — Czyż jeszcze pani nie wiesz, że jesteś moim słońcem we dnie, a gwiazdą w nocy? Teraz nawet zdawało mi się, że jestem pogrążony w głębokiej ciemności; nagle — gdyś się zjawiła — wszystko zajaśniało światłem.

— W takim razie niewielką oddałam Waszej Królewskiej Mości usługę.

— Co chcesz przez to powiedzieć, kochana przyjaciółko? — zapytał Henryk.

— Cbcę powiedzieć, że jeżeli kto jest panem najpiękniejszej kobiety we Francji, powinien sobie tylko życzyć, iżby światło ustąpiło miejsca ciemnościom, w których nas oczekuje szczęście.

— Szczęście to, figlarko, wiesz dobrze, jest w rękach pewnej osoby, która się śmieje i naigrawa z biednego Henryka.

— O!... — odparła baronowa — ja sędzę przeciwnie; mnie się zdaje, że właśnie ta osoba jest igraszką i pośmiewiskiem króla Nawarry.

Henryk przelął się tych słów, nieprzyjaznym tonem wymówionych, lecz po chwili zastanowienia osądził, że ów ton zdradza tylko ukryty gniew Karoliny, a gniew jest zawsze maską miłości.

— Doprawdy, kochana Karolino — rzekł — czynisz mi niesłuszne wyrzuty; nie pojmuję, jak takie piękne usta mogą być tak okrutne. Może jeszcze myślisz, że się żenię? O nie!... to nie ja się żenię!...

— To może ja — odpowiedziała uszczypliwie baronowa, jeżeli tylko można nazwać uszczypliwością słowa kobiety kochającej i wyrzucającej nam obojętność.

— I twoje piękne oczy, baronowo, są tak krótkowzroczne?... Nie! nie!... to nie Henryk król Nawarry żeni się z Małgorzatą.

— A któż więc?

— Kto? Religia reformowana zaślubia katolicką.

— O nie, nie, te zagadki nie zdołają mnie oszukać. Wasza Królewska Mość kochasz królową Małgorzatę, czego mu wcale nie mam za złe; uchowaj mnie Boże! Taką piękność można przecież kochać.

Henryk zamyślił się, na chwilę; lekki uśmiech igrał na jego ustach.

— Baronowo — rzekł — zdaje mi się, że zamierzasz pokłócić się ze mną, a jednak do tego nie masz najmniejszego prawa; zobaczmy, coś zrobiła, aby przeszkodzić mojemu małżeństwu z Małgorzatą. Nic, przeciwnie, zawsze mnie doprowadzałaś do rozpacz

— To dla dobra Waszej Królewskiej Mości — odpowiedziała pani de Sauve.

— Jak to?

— Bez wątpienia, gdyż Wasza Królewska Mość zaślubiasz teraz inną.

— O!... zaślubię ją dlatego, że mnie nie kochasz.

— Gdybym cię kochała, Najjaśniejszy Panie, to bym musiała już umrzeć najdalej za godzinę.

— Za godzinę! Co to ma znaczyć? Cóż byłoby przyczyną twej śmierci?

— Zazdrość... Za godzinę bowiem królowa Nawarry rozkaże oddalić się swoim damom, a Wasza Królewska Mość dworzanom.

— I czy w samej rzeczy tak bardzo cię to trapi, moja przyjaciółko?

— Tego nie mówię, powiadam tylko, że gdybym Waszą Królewską Mość kochała, myśl ta nie dawałaby mi spokoju.

— A zatem!... — zawołał Henryk, uniesiony radością, słysząc to pierwsze wyznanie z ust baronowej — jeżeli król Nawarry nie odeśle dzisiaj wieczorem swoich dworzan?...

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała pani de Sauve, patrząc na króla ze zdziwieniem, tym razem nie udanym.— mówisz rzeczy niepodobne do prawdy.

— Cóż więc wypada mi uczynić, ażebyś w nie uwierzyła?

— Należy mi tego dowieść, a tego Wasza Królewska Mość nie możesz uczynić.

— Dlaczego nie, baronowo? Na świętego Henryka, dowiodę ci tego! — wykrzyknął król, pozerając młodą kobietę oczyma płonącymi miłością.

— O!... Najjaśniejszy Panie — szepnęła piękna Karolina zniżając głos i spuszcżając oczy — nie pojmuję... Nie, nie!... to niepodobna, ażebyś Wasza Królewska Mość wypuścił z rąk szczęście, które go oczekuje.

— W tej sali znajduje się czterech Henryków — odpowiedział król

Henryk Francuski, Henryk Kondeusz, Henryk Gwizjusz; lecz jest tylko jeden Henryk Nawarski.

— Cóż więc?...

— Co?... A gdyby ten Henryk Nawarski całą noc przepędził przy tobie?...

— Jak to całą noc?

— Tak; czybyś uwierzyła wówczas, że jej nie przepędził z inną?

— A!... gdybyś to uczynił, Najjaśniejszy Panie... — powiedziała pani de Sauve.

— Na honor, uczynię!...

Pani de Sauve, podniósłszy oczy zwilgotniałe od namiętnych obietnic, uśmiechnęła się do króla upojonego radością.

— Cóż więc powiesz wtedy? — zapytał Henryk.

— Wtedy — odparła Karolina — powiem, że Wasza Królewska Mość prawdziwie mnie kochasz...

— EL. powinnaś była powiedzieć to już dawno, gdyż tak jest rzeczywiście, baronowo.

— Lecz jak to urządzić? — szepnęła pani Sauve.

— O! na Boga, musisz przecie mieć, baronowo, jaką zaufaną pokojówkę lub służącą.

— A jakże, mam Dariolę, duszą i ciałem mi oddaną, gotową nawet śmierć dla mnie ponieść, słowem, prawdziwy skarb.

— A więc powiedz jej, baronowo, że ją uszczęśliwię, gdy zostanę królem Francji, jak mi to astrologowie przepowiadają.

Karolina uśmiechnęła się.

- Cóż więc — rzekła — żadasz od Darioli?
- Bagateli, która jednak dla mnie jest wszystkim.
- Lecz czegoż wreszcie?
- Pokój twój jest nad moim.
- Tak.

— Żądam więc od niej, ażeby czekała za drzwiami. Skoro zapukam po cichu trzy razy, wpuści mnie, a wtedy, baronowo, będziesz miała dowód, któregoś żądała.

Pani de Sauve milczała chwilę, potem niby to oglądając się, czy kto jej nie podsłuchuje, zatrzymała swój wzrok na grupie otaczającej królową–matkę. Chociaż spojrzenie to było przelotne, jednak Katarzyna i jej dama dworska porozumiały się.

— A gdybym też chciała — rzekła pani de Sauve głosem syreny — zniewolić Waszą Królewską Mość do kłamstwa?

- Spróbuj, moja przyjaciółko, spróbuj...
- Dalibóg, przyznaję, że mam wielką ochotę to uczynić.
- Poddaj się jej więc; kobiety są zwykle najsilniejsze po przegranej.

— A więc gdy Wasza Królewska Mość zostaniesz królem Francji, przypomnę mu obietnicę uczynioną dla Darioli.

Henryk wydał okrzyk radości.

Stało się to właśnie w tej samej chwili, kiedy królowa Nawarry odpowiedziała księciu Gwizjuszowi;

— *Noctu pro more.*

Henryk rozłączył się z panią de Sauve, szczęśliwy, tak jak ksiązę Gwizjusz po rozstaniu z Małgorzatą.

W godzinę później król Karol i królowa–matka powrócili do swoich pokojów.

Wkrótce też salony zaczęły się opróżniać i można było już widzieć podstawy marmurowych kolumn w galerii. Admirała i księcia Kondeusza przeprowadzało pomiędzy huczącym narodem czterystu dworzan protestanckich.

Wkrótce też po nich opuścił Luwr Henryk Gwizjusz wraz z katolickimi panami Lotaryngii, a towarzyszyły im okrzyki radości i oklaski ludu.

Małgorzata, król Nawarry i pani de Sauve, jak wiadomo, mieszkali w samym Luwrze.

ROZDZIAŁ II

SYPIALNIA KRÓLOWEJ NAWARRY

Książę Gwizjusz, odprowadziwszy swoją bratową, księżnę de Nevers, do pałacu na ulicę du Chaume na wprost ulicy de Brac, powierzył ją staraniom kobiet, a sam udał się do swego pokoju, ażeby zmienić ubiór.

Włożył na siebie płaszcz nocny i uzbroił się krótkim, ostrym sztyletem, który powszechnie znano pod nazwą „uczciwości szlacheckiej” i już zwykle przy nim nie noszono szpady.

Lecz biorąc go ze stołu, spostrzegł pomiędzy ostrzem i pochwą tkwiącą małą karteczkę.

Niezwłocznie ją rozwinął i przeczytał następujące wyrazy:

Spodziewam się, że książę Gwizjusz nie wróci już tej nocy do Luwru, a jeżeli to uczyni, nie zapomni przynajmniej włożyć koszulki żelaznej i przypasać ostrej szpady.

— Ho! ho! — zawołał książę zwracając się do swego kamerdynera — znalazłem tu, panie Robin, jakieś szczególne ostrzeżenie. Powiedz mi, kto tu był podczas mojej nieobecności?

— Był tu pewien pan.

— Co za jeden?

— Pan du Gast.

— Tak, tak! prawda, pismo wydawało mi się znane. Czy tylko wiesz z pewnością, że to był du Gast? Widziałeś go?

— Nawet z nim mówiłem.

— A więc dobrze; usłucham jego rady. Podaj mi koszulkę żelazną i szpadę. Kamerdyner, przyzwyczajony już do podobnych zmian stroju swego pana, przyniósł natychmiast żądane przedmioty.

Książę przywdział koszulkę, której ogniwka stalowe były tak giętkie i tak ściśle z sobą spójone, że bardziej przypominały jakąś cienką tkaninę niż pancerz bezpieczeństwa; potem włożył kurtkę; spodnie i kaftan w dwóch ulubionych kolorach: szary, naszywany srebrem.

Na koniec, wdziawszy buty z cholewkami dochodzącymi za kolana i wzięwszy na głowę czarną aksamitną czapkę bez piór i drogich kamieni, owinał się w ciemny płaszcz, zatknął za pas sztylet i oddawszy szpadę paziowi, jedynemu obrońcy, któremu kazał iść za sobą, udał się do Luwru.

Kiedy wychodził z domu, pierwsza godzina wybiła ha wieży Saint–Germain–l’Auxerrois.

Chociaż było już nader późno, a ulice w owym czasie były nie bardzo bezpieczne, awanturnicy książę nie doznał jednak żadnego przypadku.

Zdrów i cały zbliżył się do starego, olbrzymiego Luwru. We wszystkich oknach światła już pogaszono; pałac wznosił się groźnie pośród nocy i milczenia.

Przed zamkiem królewskim ciągnęła się głęboka fosa; na nią wychodziła większa część okien pokoi, zajętych przez książąt mieszkających w pałacu.

Apartament Małgorzaty znajdował się na pierwszym piętrze.

Lecz piętro to, łatwo dostępne, gdyby nie było rowu, wskutek tej przeszkody wznosiło się nad ziemią o trzydzieści blisko stóp, tak że ani złodziej, ani kochanek dostać się tam bez szwanku nie mógł, co jednakże nie przeszkodziło księciu Gwizjuszowi zejść odważnie do fosy.

W tejże chwili dał się słyszeć szmer otwieranego okna. Chociaż było opatrzone żelazną kratą, jednakże jakaś ręką wyjęła z niej poprzednio wylamany drążek i spuściła tym otworem sznurek jedwabny.

— Czy to ty, Gillonno? — zapytał książę cicho

— Tak — odpowiedział jeszcze ciszej kobiecy głos.

— A Małgorzata?

— Oczekuje Waszą Księżęcą Mość.

Po tych słowach książę dał znak swojemu paziowi, który natychmiast wydobyl spod płaszcza małą drabinkę sznurową i jeden jej koniec przywiązał do spuszczonego sznura.

Gillonna, pociągnawszy drabinkę do siebie, mocno ją przywiązała; wtedy książę, poprawiwszy szpadę, zaczął odbywać przeprawę, która jak zwykle udała się szczęśliwie.

Po jego wejściu pręt wyjęty powrócił na swe właściwe miejsce, okno się zamknęło, a paź, przekonany, że książę szczęśliwie dostał się do Luwru, owinał się w płaszcz i położył w fosie na murawie, w cieniu ściany.

Noc była ciemna; z przepelnionych elektrycznością obłoków spadały czasami wielkie i ciepłe krople deszczu.

Książę Gwizjusz postępował za swoją przewodniczką, córką Jakuba de Matignon, marszałka Francji, i zaufaną powiernicą Małgorzaty, która nic przed nią nie ukrywała. Mówiono nawet, że w liczbie tajemnic, jej prawej wierności powierzonych, niektóre były tak okropne, iż zniewalały do milczenia o innych.

Żadne światło nie gorzało w pokojach ani na korytarzach; kiedy niekiedy tylko biała błyskawica oświecała na chwilę ciemne pokoje niebieskawym blaskiem.

Książę, prowadzony za rękę przez swoją przewodniczkę, szedł ciągle dalej, aż nareszcie zbliżył się do krętych, w murze wykutych schodów, wiodących przez ukryte drzwi do przedpokoju mieszkania Małgorzaty.

Przedpokój ten, podobnie jak sale balowe, korytarze i schody, tonął w głębokiej ciemności. W nim to zatrzymała się Gillonna.

— Czy Wasza Księżęcą Mość przyniosłeś z sobą przedmiot żądany przez królową? — spytała cichym głosem.

— Przyniosłem — odpowiedział książę Gwizjusz — lecz sam muszę go oddać królowej.

— Zbliż się więc, nie tracąc ani chwili! — dał się słyszeć pośród ciemności głos, na który książę zadrzał, poznał bowiem głos Małgorzaty.

W tej samej właśnie chwili podniosła się aksamitna, fioletowa portiera ozdobiona złotymi liliami i książę poznał w mroku królową, oczekującą go niecierpliwie.

— Oto jestem — powiedział książę i szybko wszedł za portierę, która opadła za nim natychmiast.

Teraz przyszła kolej na Małgorzatę, aby prowadzić księcia po pokojach, dobrze mu zresztą znanych; Gillonna, pozostawszy w drzwiach, uspokoiła królową, przykładając palec do ust.

Małgorzata, pojmując niby niecierpliwosć księcia, zaprowadziła go do swojej sypialni, w której zatrzymała się i rzekła:

— Cóż! czy jesteś książę zadowolony?

— Zadowolony? — powtórzył tenże — a z czegoż, powiedz mi, pani?

— Z mojego postępku, który przekonywa — odparła Małgorzata z ironią — że należę do człowieka, który pierwszej nocy po ślubie tak mało o mnie myśli, iż nawet nie przyszedł podziękować mi za honor, jaki mu wyświadczyłam przyjmując go za małżonka.

— O! uspokój się, pani — smutnie powiedział książę — on przyjdzie, jeżeli to jest twoim życzeniem.

— I ty to mówisz, Henryku! — zawołała Małgorzata — ty, który najlepiej wiesz, że to nieprawda! Gdyby, to było moim życzeniem, czyżbym cię prosiła, ażebyś przyszedł do Luwru?

— Prosiłaś mnie, Małgorzato, ażebym przyszedł do Luwru; chcesz zapewne zniszczyć jedyny ślad naszej przeszłości, która pozostała nie tylko w moim sercu, lecz i w tej srebrnej szkatułce, którą z sobą przynoszę.

— Powiem ci, Henryku — odparła Małgorzata utkwivszy w nim wzrok — że wyglądasz w tej chwili na uczniaka, nie na księcia. Ja mam się wyrzec mojej miłości ku tobie! Stłumić płomień, który być może, zgaśnie, lecz jego odbłask nigdy! Nie, nie, mój książę! Możesz zachować sobie listy twojej Małgorzaty i otrzymaną od niej szkatułkę. Z wszystkich listów, jakie zawiera ta szkatulka, chce ona mieć tylko jeden; a to dlatego, że podobnie jak i tobie, grozi on jej niebezpieczeństwem.

— Wszystkie należą do ciebie — odpowiedział książę — wybieraj więc ten, który chcesz zniszczyć.

Małgorzata szybko zaczęła przetrząsać otwartą szkatułkę i drżącą ręką przerzuciła kolejno kilkanaście listów, spoglądając tylko na adresy; na koniec spojrzała na księcia i pokryta bledością rzekła:

— Książę! Listu, którego szukam, nie ma tutaj. Może go zgubiłeś przypadkiem? Spodziewam się, żeś go przecież nie oddał...

— Którego to listu szukasz, pani?

— Tego, w którym ci radziłam, ażebyś się natychmiast ożenił.

— Dla uniewinnienia twego wiarołomstwa. „Małgorzata wzruszyła ramionami.

— Nie, dla ocalenia twego życia. Jest to ten sam list, w którym ci pisałam, że król, spostrzegłszy naszą miłość i moje usiłowanie mające na celu zerwanie twego przyszłego związku z infantką portugalską, wezwał do siebie swego brata d'Angouleme i rzekł mu wskazując dwie szpady: „Jedną z tych szpad musisz zabić dziś wieczorem Henryka Gwizjusza; w przeciwnym razie sam cię jutro zabiję. Gdzież więc jest ten list?

— Oto jest — odpowiedział książę dostając go z zanadru. Małgorzata prawie wyrwała mu list z rąk, otworzyła go z chciwością i przekonawszy się, że to ten sam, którego żądała, wydała okrzyk radości i zbliżyła papier do świecy.

Papier zapalił się i po chwili pozostał tylko popiół. Lecz Małgorzata, jakby się obawiając, ażeby i w popiele nie szukano śladów jej nierozsądnego zwierzenia, zdeptała go nogami.

Podczas tej całej gorączkowej czynności książę Gwizjusz śledził oczyma swą kochankę.

— A więc, Małgorzato — zapytał po chwili — jesteś już teraz zadowolona?

— Zupełnie; brat twój wybaczy mi twoją miłość, skoro zaślubię księżnę de Porcian, lecz nie przebaczyłby mi nigdy odkrycia tajemnicy, z której się tobie zwierzyłam.

— To prawda — mówił książę Gwizjusz — wtedy kochałaś mnie.

— I teraz kocham cię, Henryku, bardziej niż kiedykolwiek.

— Ty, pani?

— Tak, ja; nigdy bowiem nie potrzebowałam tak szczerego i skłonnego do poświęceń przyjaciela jak teraz. Ja, królowa bez tronu... żona bez męża...

Młody książę smutnie potrząsnął głową.

— Powiadam ci, mój mąż nie tylko mnie nie kocha, lecz nienawidzi, pogardza mną nawet; zresztą twoja obecność w pokoju, w którym on powinien się znajdować, najlepiej powinna cię przekonywać o jego nienawiści i lekceważeniu.

— Jeszcze niezbyt późno; być może, król Nawarry nie odesłał swoich dworzan... lecz zaręczam ci, że przyjdzie.

— A ja ci mówię — zawołała Małgorzata ze wzrastającym rozdrażnieniem — że nie przyjdzie!

— Pani! — powiedziała Gillonna otwierając drzwi i podnosząc portierę. — Król Nawarry wychodzi ze swoich pokoi.

— A co? Czyż nie mówiłem, że przyjdzie! — zawołał ksiązę Gwizjusz.

— Henryku — odezwała się Małgorzata stanowczo, ujmując rękę księcia — przekonasz się teraz, czy można wierzyć mojemu słowu. Wejdz do tego gabinetu.

— Nie, pozwól mi lepiej uciec, jeśli jeszcze czas. Wiedz bowiem, że za pierwszą oznaką miłości z jego strony wyjdę z gabinetu; a wtedy biada mu!

— Czyś oszalał? Wejdz, wejdz, mówię ci; ja za wszystko odpowiadam. — I popchnęła księcia do gabinetu.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, król Nawarry stanął w drzwiach uśmiechając się.

Towarzyszyło mu dwóch paziów, niosących w dwóch kandelabrach osiem świec z różowego wosku.

Małgorzata pokryła swoje pomieszczenie, oddając mu głęboki ukłon.

— Cóż to, pani, jeszcze nie śpisz? — zapytał król, a na jego twarzy malowała się radość i szczerłość. — Czy na mnie pani czekałaś?

— Nie — odpowiedziała Małgorzata — wszak Wasza Królewska Mość jeszcze wczoraj mi oświadczył, że nasze małżeństwo jest tylko politycznym związkiem i że nie mam żadnych innych obowiązków względem niego.

— Niech i tak będzie; nie przeszkadza nam to jednak we wzajemnym porozumieniu.

— Gillonno, zamknij drzwi i zostaw nas samych.

Małgorzata powstała i wyciągnęła rękę, jakby rozkazując paziom, ażeby] nie wychodzili.

— Może każesz pani zawołać swoje dworki? — zapytał król. — Zgadzam się i na to, chociaż przyznaję, że wolałbym być z tobą sam.

Powiedziawszy to król zbliżył się do gabinetu.

— Nie! — zawołała Małgorzata zastępując mu drogę — nie, nie ma potrzeby, jestem gotowa wysłuchać Waszą Królewską Mość.

Bearneńczyk wiedział już to, co chciał; rzucił bystre i przejmujące spojrzenie ku gabinetowi, jakby przez zasłaniającą go portierę chciał przeniknąć do jego mrocznej głębi.

Potem, zwróciwszy wzrok na piękną i z przestachu bladą żonę, rzekł zupełnie spokojnie:

— A więc porozmawiajmy chwilkę.

— Jak się podoba Waszej Królewskiej Mości — odpowiedziała młoda kobieta drżącym głosem, siadając na krześle, które mąż jej wskazał.

Bearneńczyk usiadł obok niej.

— Niech sobie ludzie mówią, co chcą — powiedział Henryk — ja jednak nasze małżeństwo uważam za dobre. Ja należę do pani, a pani do mnie.

— Lecz... — przerwała przestraszona Małgorzata.

— Dlatego też — mówił dalej król, jakby nie zważając na zmieszanie Małgorzaty — powinniśmy postępować względem siebie jak dobrzy sprzymierzeńcy, związek nasz bowiem zaprzysięgliśmy dzisiaj przed Bogiem. Czyż nieprawda?

— Bez wątpienia.

— Znam, pani, twoją przenikliwość; znam przepaści otaczające dwór i chociaż jestem młody i nic złego nikomu nie uczyniłem, mam jednak licznych nieprzyjaciół. Powiedz mi pani, za kogo mam uważać tę, która nosi moje nazwisko i przysięgła mi wierność na stopniach ołtarza?

— Panie, czyż możesz myśleć...

— Ja nic nie myślę; spodziewam się tylko i chcę się przekonać, czy moja nadzieja jest nieomylną. Wiadomo już, że nasze małżeństwo jest albo pozorem, albo też pułapką.

Małgorzata zadrżała; zapewne ta myśl i jej się nasunęła.

— Cóż więc z dwojga? — mówił dalej Henryk Nawarski. — Król, ksiązę d'Alencon, ksiązę Andegaweński nienawidzą mnie. Katarzyna de Medici również.

— O, panie, co mówisz?

— Mówię prawdę — odparł król — i chciałbym żeby mnie, mógł ktoś słyszeć; mniemają bowiem, że się nie domyślam zabójstwa pana de Mouy j otrucia mojej matki.

— O! panie — spokojnie i z uśmiechem odpowiedziała Małgorzata — wiesz przecie, że jesteśmy sami.

— Dlatego też właśnie jestem tak otwarty; ośmielę się nawet powiedzieć pani, że nie oszukują mnie pochlebstwa ani francuskiego, ani lotaryńskiego dworu.

— Najjaśniejszy Panie! — zawołała Małgorzata.

— Cóż takiego, moja przyjaciółko? — zapytał Henryk z uśmiechem.

— Chcę powiedzieć, że podobne rozmowy są bardzo niebezpieczne.

— Lecz nie wtenczas, kiedy jesteśmy sami — rzekł król — mówiłem wiece, że...

Małgorzata siedziała jak na szpilkach; chciałaby zatrzymać im ustach króla każdy przez niego wymówiony wyraz, lecz Henryk mówił dalej z pozorną dobroduszością:

— Jak więc nadmienilem, grożą mi: król, ksiązę d'Alencon, ksiązę Andegaweński, ksiązę Gwizjusz, ksiązę de Mayenne, kardynał Lotaryński, słowem, grożą ze wszystkich stron; pani wiesz, że to się przeczuwa instynktem. Wszystkie te groźby zmieniają się zapewne w prawdziwy napad, przed którym mogę się bronić jedynie przy twojej pomocy, pani, gdyż wszyscy, co mnie nienawidzą, ciebie kochają.

— Mnie?... — zapytała Małgorzata.

— Tak, ciebie — odparł Henryk z wybornie udaną szczerością — tak, kocha cię król Karol, kocha — wyraz ten wymówił z naciskiem — ksiązę d'Alencon, kocha królowa Katarzyna, kocha cię wreszcie ksiązę Gwizjusz.

— Najjaśniejszy Panie!... — wyjąkała Małgorzata.

— I cóż dziwnego, że cię wszyscy kochają? Ci, których wymieniłem, są twoimi braćmi lub też rodzicami, których kochać nakazuje nam sam Bóg.

— Lecz do czego to wszystko, zmierza? — zapytała zgnębiona Małgorzata.

— Do tego, co już powiedziałem, że jeżeli będziesz... nie mówię moim przyjacielem, ale sprzymierzeńcem, mogę triumfować; w przeciwnym razie zginę niechybnie.

— O! nieprzyjacielem nigdy! — zawołała Małgorzata.

— Lecz też i przyjacielem nigdy?

— Być może.

— A moim sprzymierzeńcem?

— Będę nim.

I Małgorzata, odwróciwszy się, podała rękę królowi. Henryk, wzięwszy podaną sobie rękę, grzecznie ją pocałował i nie wypuszczając jej, bardziej z chęci śledzenia żony aniżeli z czułości, powiedział:

— Dobrze więc, wierzę ci, pani, i przyjmuję za sprzymierzeńca.

Pożeniono nas, chociażśmy się nie znali i nic nie czuli ku sobie, pożeniono nas nie pytając nawet, czy się oboje na to zgadzamy. Jako mąż i żona nie mamy więc sobie nic do wyrzucenia. Widzisz, pani, że uprzedzam twoje życzenia i potwierdzam dzisiaj to, co mówiłem wczoraj. Jednak polityczny związek zawarliśmy z dobrej woli i bez żadnego przymusu. Zawieramy go jak dwoje uczciwych serc, które nawzajem winny się wspomagać. Nieprawdaż?

— Tak jest — odpowiedziała Małgorzata; usiłując uwolnić swoją rękę.

— Dlatego też — mówił dalej Bearneńczyk, nie spuszczać oczu z drzwi gabinetu — w dowód szczerości naszego związku i zupełnego zaufania zdradzę pani szczegółowy plan, przeze mnie ułożony, za pomocą którego spodziewam się zwalczyć wszystkich swych nieprzyjaciół.

— Panie — wyszeptwała Małgorzata, zwracając również oczy na drzwi, gabinetu.

Bearneńczyk, spostrzegłszy, że wybieg udał mu się, mimo woli się uśmiechnął.

— Oto co zamierzam uczynić — mówił, jakby nie zważając na pomiesza — nie młodej kobiety — chcę... — Panie!... — zawołała Małgorzata, wstając nagle i chwytając króla za rękę — dozwól mi odpocząć. Jestem wzruszona... gorąco mi... duszno... I

Rzeczywiście, była blada i drżała, zdawało się, że upadnie na dywan. Henryk podszedł do okna wychodzącego na rzekę i otworzył je. Małgorzata udała się za nim.

— Cicho! cicho! Najjaśniejszy Panie, zlituj się!... — powiedziała słabym głosem.

— Dlaczegoż? — zapytał Bearneńczyk uśmiechnawszy się — przecież mówiłaś mi, pani, że jesteśmy sami.

— Tak, lecz czy Wasza Królewska Mość nie wiesz, że za pomocą tuby przeprowadzonej przez sufit lub przez mur można wszystko słyszeć?

— Prawda, prawda — żywo i jak najciszej odpowiedział Bearneńczyk. — Nie kochasz mnie wprawdzie, lecz jesteś kobietą uczciwą.

— Co chcesz przez to powiedzieć, panie?

— To, że gdybyś chciała mnie zdradzić, nie byłabyś mi przerywała, gdyż sam zdradziłbym się. Wstrzymałaś mnie. Wiem teraz, że się tu ktoś ukrywa, że jesteś niewierną żoną, lecz wiernym sprzymierzeńcem. Zresztą mogę cię zapewnić — dodał uśmiechając się — że wierność polityczna potrzebniejsza mi jest niż małżeńska.

— Najjaśniejszy Panie... — wyjąkała zmieszana Małgorzata.

— Dobrze, dobrze, pomówimy o tym później, skoro się lepiej poznamy — powiedział z cicha Henryk.

Potem, podnosząc głos, zapytał:

— Czy już pani lepiej?

— Lepiej, Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała królowa.

— W takim razie nie będę pani dłużej nudził. Powiniennem jej tylko oświadczyć swój szacunek i przyjaźń. Racz więc przyjąć te uczucia, gdyż ofiarni? je z dobrego serca. Teraz zaś życzę spokojnej nocy.

Małgorzata rzuciła na męża wejrzenie pełne wdzięczności i podając mu rękę, powiedziała:

— Zgadzam się.

— Czy na szczerzy i uczciwy związek polityczny? — zapytał Henryk.

— Tak jest.

Bearneńczyk podszedł do drzwi, Małgorzata zaś postępowała za nim, jakby oczarowana jego spojrzeniem.

A gdy portiera opadła już pomiędzy nimi i sypialnią, rzekł szybko cichym głosem:

— Dziękuję ci, Małgorzato! Jesteś godną córką Francji. Odchodzę zupełnie spokojny. Szczera przyjaźń zastąpi mi brak miłości. Liczę na ciebie, a ty ze swej strony na mnie liczyć możesz. Żegnam panią.

I pocałował żonę w rękę, z lekka ją uściśnawszy; potem powolnym krokiem wracał do siebie, rozmawiając w korytarzu z samym sobą:

— Kto tu, u diabła, może być u niej? Król czy książę Andegaweński? Książę d'Alencon czy książę Gwizjusz? Brat czy kochanek? A może też jedno i drugie? W istocie, jestem prawie zły, że oznaczyłem schadzki baronowej; lecz dałem słowo, a Dariola czeka... trzeba więc iść. Obawiam

się tylko, czy nie będzie jej przykro, że idąc do niej, wstąpiłem pierwiej do sypialni mojej żony, lecz do kata! Margot, jak ją nazywa Karol IX, jest stworzeniem godnym kochania.

Zajęty tymi myślami król Nawarry niepewnym krokiem wszedł na schody wiodące do pokojów pani de Sauve.

Małgorzata nie spuszczała z niego oczu, dopóki nie zniknął; potem weszła do swego pokoju.

Wchodząc spostrzegła stojącego w drzwiach gabinetu księcia. Na jego widok uczuła odzywające się wyrzuty sumienia.

Książę był posepny; na twarzy jego malowało się głębokie zamyślenie.

— Małgorzata jest dzisiaj neutralna — powiedział — za tydzień będzie nieprzyjacielem.

— A! podsłuchiwałeś więc? — zapytała Małgorzata.

— Cóż miałem robić?

— I uważasz, że nie postąpiłam tak, jak przystoi królowej Nawarry? — Nie, lecz nie tak, jak powinna postąpić kochanka księcia Gwizjusza.

— Mogę nie kochać swego męża — odpowiedziała królowa — lecz nikt nie może wymagać ode mnie, ażebym go zdradzała. Powiedz, czy wydałbyś tajemnicę księżnej de Porcian, twojej żony?

— Przestańmy lepiej — rzekł książę potrząsając głową. — Widzę, że już mnie nie kochasz tak, jak wtedy, kiedyś mi opowiadała o spisku uknutym przez króla przeciwko mnie i moim sprzymierzeńcom.

— Król był wtenczas silny, a ty słaby. Teraz Henryk jest słaby, a tyś znowu silny. Widzisz więc, że nie zmieniłam swojej roli.

— Nie, przeszłaś tylko do przeciwnego obozu.

— Sądzę, że nabyłam do tego prawa ocalając ci życie.

— Dobrze, pani. Gdy kochankowie rozłączają się, zwracają sobie ofiarowane podarki, nawzajem więc ocalę ci życie, a wtedy... skwitujemy się.

Mówiąc te słowa książę skłonił się i wyszedł.

Tym razem nie zatrzymała go.

W przedpokoju książę zastał Gillonnę, która go odprowadziła do zakratowanego okna.

Zszedłszy do fosy znalazł w niej pazią, z którym powrócił do pałacu Gwizjuszów.

Tymczasem zadumana Małgorzata usiadła przy oknie.

— Cóż to za noc okropna!... pierwsza po ślubie!... — mówiła do siebie w zamyśleniu. — Mąż ucieka ode mnie, a kochanek mnie opuszcza!

W tej chwili z drugiej strony fosy jakiś żak przechodził z Tour de Bois ku młynowi de la Monnaie i podparłszy się pod boki, śpiewał:

Gdy chcę całować twe włosy,
Gdy nasze łączą się losy,
Gdy kocham nie dla pozoru,
Milczysz jak mniszka z klasztoru.
O, nie bądź dla mnie tak srogą,
Bo pomnij, moja niebogo,
Że pójdziesz i ty w kraj cieni,
A wtedy twój wdzięk się zmieni:
Różowe usteczka zbledną,
Czar będzie martwotą jedną,
I wyprę się w piekle czy w niebie,
Żem kiedyś ukochał tu ciebie.

Więc serce mi swoje daj,
A poznasz raj!...

Małgorzata przysłuchiwała się piosence ze smutnym uśmiechem. Potem, gdy już głos ucichł w oddali, zamknęła okno i przywołała Gillonę, ażeby jej pomogła się rozbierać.

ROZDZIAŁ III

KRÓL POETA

Następne dni upływały na uroczystościach, balach i turniejach.

Nieustanne zabawy zawróciły głowy nawet najzacieklejszym hugenotom.

Widziano ojca Cotton obiadującego i hulającego z baronem de Courtaumer, księcia Gwizjusza płynącego po Sekwanie łódką z księciem Kondeuszem. Król, pogrążony w melancholii, która go często napadała, nie mógł się obejść bez swego szwagra Henryka. Wreszcie królowa—matka tak była wesoła, zajęta haftowaniem i różnymi zabawkami, że nawet nie pomyślała o potrzebie udania się na spoczynek.

Hugonoci, zniewieściawszy cokolwiek w tej nowej Kapui, zaczęli nosić jedwabne kaftany, pokazywać publicznie swoje herby i wyśpiewywać pod balkonami sławnych piękności serenady, naśladując w tym katolików.

Wszędzie widać było przewagę religii reformowanej, mniemano nawet, że cały dwór przejdzie na wiarę protestancką.

Sam admirał, chociaż mający tyle doświadczenia, był również tego mniemania i tak dalece nabił sobie głowę tą myślą, że pewnego razu, podczas dwugodzinnej przechadzki, zapomniał piórka od zębów, którym zwykł był się bawić od godziny drugiej, to jest od czasu odejścia od stołu, aż do godziny ósmej wieczorem, o której siadał do kolacji.

Tego samego wieczora, w którym admirał tak dalece się zapomniał, król Karol IX zaprosił do siebie na wieczerzę Henryka Nawarskiego i księcia Gwizjusza.

Król, wstawszy od stołu, przeszedł z nimi do swego pokoju i zaczął tłumaczyć wymyślone przez niego dowcipne urządzenie w sidłach na wilki. Nagle przerwał:

— A cóż?... Czy admirał nie przyjdzie dzisiaj? Kto go widział? Kto mi może cokolwiek o nim powiedzieć?

— Ja — odrzekł król Nawarry. — Jeżeli Wasza Królewska Mość troszczysz się o jego zdrowie, mogę— cię zupełnie w tym względzie uspokoić: widziałem bowiem admirała dziś rano o szóstej, wieczorem zaś o godzinie siódmej.

— Ha! ha! — rzekł król, a jego niespokojne oczy spoczęły z przenikliwą ciekawością na twarzy szwagra — ranny z ciebie ptaszek, Henryczku, jak na młodego męża.

— Tak, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Bearneńczyk — chciałem się tylko dowiedzieć od wszystkowiedzącego admirała, czy szlachcice, na których czekam, są już w drodze.

— Jeszcze szlachta!... W dzień twojego ślubu było ich ośmiuset, a co dzień przybywają nowi: zanosi się na jakiś napad — odrzekł Karol IX śmiejąc się.

Książę Gwizjusz zmarszczył brwi.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Bearneńczyk — mówią o wojnie z Flandrią, zbieram więc wokoło siebie wszystkich mych ziomków, którzy jak sądzę, mogą być użyteczni Waszej Królewskiej Mości.

Książę Gwizjusz, przypomniawszy sobie mniemany projekt, o którym Henryk wspominał żonie w dzień swoich zaślubin, podwoił uwagę.

— Dobrze, dobrze — odrzekł król ze swym fałszywym uśmiechem — im więcej ich będzie, tym będzie nam milej. Zbieraj ich, zbieraj, Henryku. Lecz cóż to za jedni ci panowie? Spodziewam się, że ludzie odważni.

— Nie wiem, czy moja szlachta warta twojej, Najjaśniejszy Panie, lub księcia Andegaweńskiego i księcia Gwizjusza, lecz znam tych ludzi i jestem przekonany, że uczynią wszystko, co będzie w ich mocy.

— Jak wielu ich się spodziewasz?

— Dziesięciu, a najwyżej dwunastu.

— Jakże się nazywają?

— W istocie, nie pamiętam, wyjąwszy tylko jednego, którego przedstawiał mi Teligny jako szlachcica w każdym calu. Nazwisko jego de La Mole. O innych...

— De La Mole? Czy to czasem nie Lerac de La Mole, Prowansalczyk? — zapytał król posiadający obszerną znajomość genealogii..

— Właśnie ten sam. Widzisz więc, Najjaśniejszy Panie, że szukam ludzi aż w Prowansji.

— Ja zaś — rzekł z szyderczym uśmiechem książę Gwizjusz — szukam ich jeszcze dalej aniżeli Jego Królewska Mość król Nawarry. Wynajduję bowiem wiernych katolików w Piemencie.

— Katolicy czy hugonoci — przerwał król — wszystko mi jedno. Idzie o to, żeby byli odważni.

Król wyrzekł te słowa z tak obojętnym wyrazem twarzy, że nawet książę Gwizjusz zdziwił się.

— Wasza Królewska Mość zajmuje się naszymi Flamandczykami — powiedział wchodząc admirał, któremu Karol IX przed kilku dniami pozwolił wchodzić bez opowiadania się.

— A!... otóż mój ojciec admirał — zawołał Karol IX — tylko co zaczęliśmy mówić o wojnie i odważnych, a on tuż. Zawsze to natura ciągnie wilka do lasu. Mój szwagier Henryk i brat Gwizjusz oczekują posiłków dla swej armii. O tym właśnie mowa.

Posiłki już nadciągają — odpowiedział admirał.

— Czyś pan odebrał jakie wiadomości? — zapytał Bearneńczyk.

— Tak, mój synu, a szczególnie o panu de La Mole; wczoraj był on w Orleanie, jutro więc, a najdalej pojutrze przybędzie do Paryża.

— Niech diabli wezmą! Nie wiedziałem, że pan admirał jest czarnoksiężnikiem, który wie, co się dzieje o trzydzieści lub czterdzieści mil od Paryża. Co do mnie, chciałbym wiedzieć z podobną pewnością, co się stało lub stanie pod murami Orleanu.

Coligny'ego bynajmniej nie wzruszył ten ostry pocisk księcia Gwizjusza, który chciał w ten sposób przypomnieć śmierć Franciszka Gwizjusza, swego ojca, zabitego pod Orleanem przez niejakiego Poltrota de Mere, z namowy, jak mniemano, admirała.

— Zawsze jestem czarnoksiężnikiem — odparł zimno i poważnie — ile razy chcę dokładnie dowiedzieć się o tym, co się tyczy spraw moich lub mego króla. Mój goniec przybył z Orleanu przed godziną i dzięki poczcie odbył przez jeden dzień trzydzieści dwie mile. Pan de La Mole, który jedzie na własnym koniu, robi tylko dziesięć mil dziennie, przybędzie więc dopiero dwudziestego czwartego. Otóż i cała magia.

— Wybornie, mój ojcie! — zawołał Karol IX. — Pokaż tym młokosom, że nie tylko wiek, lecz i mądrość ubieliła twe włosy. Niech oni sobie mówią o turniejach i miłostkach, a my pomówmy o wojnie. Dobrzy doradcy są podporą królów. Idźcie, panowie, muszę się rozmówić z admirałem.

Obaj młodzieńcy wyszli, najprzód król Nawarry, a za nim książę Gwizjusz, lecz za drzwiami uklonili się sobie oziębło i każdy poszedł w swoją stronę.

Coligny śledził ich oczyma z pewnym niepokojem, gdyż skoro tylko zobaczył razem tych dwóch ludzi, pałających nienawiścią do siebie, obawiał się zawsze jakiegoś wypadku.

Karol IX zrozumiał jego myśl, zbliżył się do niego i wzięwszy go za rękę, powiedział:

— Bądź spokojny, mój ojczy, wszak na to tu jestem, ażeby utrzymać każdego w posłuszeństwie i w granicach przyzwoitości. Jestem prawdziwym królem od czasu, jak moja matka nie jest już królową. Ona zaś przestała być nią, skoro tylko Coligny został moim ojczy.

— O!... Najjaśniejszy Panie!... królowa Katarzyna...

— Swarliwa kobieta. Z nią niepodobna żyć w spokoju. Jej katolicy włoscy są jak wściekli, wszystko niszczą; ja zaś, przeciwnie, nie tylko chcę zaprowadzić pokój, lecz ustalić władzę protestantów. Reszta jest bardzo rozwiązła, mój ojczy, i gorszy mnie swymi miłostkami i rozpustą. Czyż mam ci wyznać otwarcie?... — mówił dalej Karol IX podwajając swoją szczerłość — nie dowierzam nikomu z otaczających mnie, wyjąwszy mych nowych przyjaciół. Pycha Tavannesa podejrzana. Vieilleville przepada za dobrym winem i gotów mnie zdradzić za beczkę małmazji. Montmorency myśli tylko o polowaniu i przepędza czas między swymi psami i sokołami. Hrabia de Retz jest Hiszpanem, księżęta Gwizjusze Lotaryńczykami. Zdaje mi się, co Boże odpuść, że w całej Francji prawdziwymi Francuzami są: ja, mój szwagier Henryk i ty. Lecz ja jestem przykuty do tronu i nie mogę dowodzić wojskiem. Jest to już wiele, jeśli mi wolno polować w Saint-Germain i Rambouillet. Mój szwagier Henryk jest jeszcze młody i mały ma doświadczenia. Wreszcie, zdaje mi się, że odziedziczył charakter swego ojca Antoniego, którego pociągnęły do zguby kobiety. Tylko ty, mój ojczy, jesteś odważny jak Juliusz Cezar, a mądry jak Platon. Ja sam nie wiem, co mi robić wypada: czy cię zostawić moim doradcą, czy też posłać jako dowódcę armii? Lecz jeżeli będziesz doradcą, któż będzie dowódcą?... Jeżeli będziesz dowódcą, któż będzie znowu doradcą?... — Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Coligny — trzeba pierwej zwyciężyć; rada znajdzie się po zwycięstwie.

— Więc takie twe zdanie, mój ojczy?... Zgoda. W poniedziałek udasz się do Flandrii, a ja do Amboise.

— Wasza Królewska Mość opuszczasz Paryż?

— Tak. Ciągły zgilek i uroczystości już mnie znudziły. Nie jestem stworzony na człowieka czynnego, lecz na marzyciela.

Urodziłem się nie królem, lecz poetą. Dopóki będziesz na wojnie, pokierujesz zarazem sprawami państwa i oby tylko moja matka nie wmieszała się do tego, wszystko pójdzie dobrze. Uwiadomiłem już Ronsarda, żeby przybył do Amboise, a tam obaj, z dala od światowego zgileku, od ludzi, w cieniu olbrzymich drzew, przy miłym szmerze strumyków, będziemy rozstrzygali kwestie religijne. Oto posłuchaj moich wierszy, które napisałem dziś rano, zapraszając go do siebie.

Coligny uśmiechnął się.

Karol IX powiódł ręką po żółkłym jak słoniowa kość czole i przeciągłym tonem zadeklamował-wiersze.

— Wybornie, Najjaśniejszy Panie! — zawołał Coligny — chociaż znam się lepiej na wojnie niż na poezji, zdaje mi się, że wiersze te są lepsze od najpiękniejszych poezji Ronsarda, Dorata i nawet Michała de l'Hospital, kanclerza Francji.

— A! mój ojczy — zawołał Karol IX — oby to było prawdą! Powiem ci otwarcie, że tytuł poety najwięcej ma dla mnie powabu i przekładam go nad wszystko w świecie. Wyraziłem to właśnie w wierszach kilka dni temu do Ronsarda pisanych. I teraz muszę odpowiedzieć na nowy wiersz, przysłany mi przez ulubionego wielkiego poetę. Dlatego też nie mogę udzielić ci w tej chwili wszystkich papierów wyjaśniających kwestie, które mnie poróżniły z Filipem II. Oprócz tego znajduje się tam jeszcze jakiś plan bitwy, ułożony przez moich ministrów. Wyszukam to wszystko i jutro rano ci wręcę.

— O której godzinie, Najjaśniejszy Panie?

— O dziesiątej, lecz jeżeli przypadkiem będę pracował w gabinecie... nie zważaj na to: wejdź i weź wszystkie papiery, które znajdziesz w czerwonej tece, na tym oto stole. Kolor jej zbyt rzuca się w oczy, ażebyś miał się omylić. Teraz idę pisać do Ronsarda.

— Do widzenia, Najjaśniejszy Panie.

— Do widzenia, mój ojciec.

— Najjaśniejszy Panie, pozwól mi ucałować twoją rękę.

— Co mówisz, ucałować moją rękę? W objęciach moich, przy moim sercu twoje miejsce. Zbliź się, zbliź, stary wojowniku.

I Karol IX, przyciągnąwszy do siebie admirała de Coligny, z uszanowaniem schylonego, dotknął ustami jego pościwiałej głowy.

Admirał wyszedł, ocierając spadającą łzę.

Karol IX dopóty za nim spoglądał, dopóki go nie stracił z oczu, i tak długo przysłuchiwał się, aż zupełnie ucichł jego ciężki chód. Potem, jak zazwyczaj, pochyliwszy głowę na piersi, udał się wolnym krokiem do zbrojowni. Gabinet ten był najulubieńszym pokojem króla. Tutaj uczył się fechtować od Pompego, a poezji od Ronsarda. Tutaj zgromadził mnóstwo odpornej i zaczepnej broni w najlepszym gatunku. Wszystkie ściany były pokryte siekierami, tarczami, dzidami, halabardami, pistoletami i muszkietami. Nawet dzisiaj przyniósł mu słynny puszczał przepyszną rusznicę.

Karol IX wszedł więc, jakżeśmy już powiedzieli, do gabinetu i zamknąwszy główne drzwi podniósł kobierzec zakrywający mały korytarzyk. Korytarzyk ten prowadził do pokoju, w którym młoda kobieta, klęcząc przed modlitewnikiem, odmawiała pacierze.

Król wszedł tak cicho, dywan bowiem tłumiał odgłos jego kroków, że można go było wziąć za widmo. Klęcząca kobieta, nic nie widząc ani słysząc, nie przestawała się modlić.

Król zatrzymał się chwilę, przypatrując się jej w zamyśleniu.

Była to kobieta trzydziestocztero- lub trzydziestopięcioletnia. Blask jej świeżej piękności podkreślał jeszcze strój wieśniaczki z okolic Caux. Miała ona na głowie wysoki czepek, bardzo modny na dworze francuskim za panowania Izabeli Bawarskiej; czerwony jej stanik był cały zahaftowany złotem, jak teraz noszą wieśniaczki z Nettuno i Sora.

Pokój, który od dwudziestu lat zajmowała, przytykał do sypialni króla i przedstawiał dziwną mieszaninę wykwintności i sielskiej prostoty. Rzekłbyś, że pałac odbił się w chatce, a chatka w pałacu. W pokoju tym widziało się coś pośredniego między skromnością wiejskiego mieszkania a zbytkiem buduaru znakomitej damy.

W rzeczy samej, klęcznik, przed którym zastał ją król, zrobiony był z dębowego drzewa, ozdobiony cudowną rzeźbą i pokryty aksamitem ze złotymi frędzlami, gdy tymczasem Biblia (kobieta ta była protestantką), z której się modliła, była z liczby tych starych, prawie podartych ksiąg, które nawet w najbiedniejszych domach można napotkać:

Reszta przedmiotów podobnie pasowała do siebie, jak klęcznik i Biblia.

— Magdaleno!... — rzekł król.

Klęcząca kobieta, usłyszawszy znajomy głos, z uśmiechem podniosła głowę. Potem, wstając, powiedziała:

— A! to ty, mój synu.

— Tak, mamko, przyjdź do mnie.

Karol IX spuścił portierę i wszedłszy do swego gabinetu, usiadł na poręczu fotela.

Mamka weszła.

— Czego chcesz ode mnie, Karolku? — zapytała.

— Zbliź się i odpowiadaj jak najciszej.

Mamka zbliżyła się z poufałością pochodzącą z tej czułości macierzyńskiej, jaką wykazuje kobieta wykarmionemu przez siebie dziecku.

— Już jestem — powiedziała — mów, czego chcesz?

— Czy człowiek, którego kazałem zawołać, jest już tu?

— Od pół godziny.

Karol wstał, zbliżył się do okna, popatrzył, czy kto nie podgląda, przyłożył do drzwi ucho, aby przekonać się, czy kto nie, podsłuchuje, otrząsnął kurz ze swej zbroi, pogłaskał ogromnego charta, chodzącego za nim krok w krok, nareszcie, zatrzymawszy się przy mamce, rzekł:

— Dobrze, każ mu wejść.

Mamka wyszła, król zaś oparł się o stół, na którym leżało mnóstwo broni rozmaitego rodzaju.

W tej chwili uchyliła się znowu portiera i weszła osoba, której król oczekiwał.

Był to człowiek około czterdziestu lat mający, o szarych, fałszywych oczach, nosie zakrzywionym na podobieństwo dzioba sowy i wystających kościach policzkowych. Wchodząc starał się przybrać na twarzy wyraz szacunku, zamiast którego pokazywał się tylko obłudny uśmiech na zbladłych ze strachu ustach.

Karol lekko wyciągnął poza siebie rękę i oparłszy ją na gałce od pistoletu nowego wynalazku, z którego wystrzał następował nie za pomocą lontu, lecz od zetknięcia krzemienia ze stalowym kółkiem — spoglądał na przybyłego swoim zamglonym wzrokiem, gwizdząc przy tym jedną z ulubionych łowieckich piosenek.

Po kilku chwilach, podczas których twarz nieznajomego coraz bardziej się uieniała, król powiedział:

— Nazywasz się Franciszek de Louviers Maurevel?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

— Jesteś dowódcą minierów?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Chciałem cię zobaczyć.

Maurevel skłonił się.

— Wiesz — mówił Karol z naciskiem — że kocham jednakowo wszystkich moich, poddanych.

— Wiem — wybąkał Maurevel. — Wasza Królewska Mość jest ojcem swego narodu.

— I że zarówno hugonoci, jak i katolicy są moimi dziećmi.

Maurevel oniemiał. Tylko dreszcz przebiegający mu po ciele nie uszedł przenikliwego wzroku króla, mimo że przybyły był prawie niewidoczny w ciemności.

— Z pewnością nie jest ci miło to słyszeć — mówił dalej król — prowadziłeś przecież zaciętą wojnę z hugenotami.

Maurevel padł na kolana.

— Najjaśniejszy Panie — wyjąkał — wierz mi...

— Wiem, wiem — rzekł Karol IX, coraz bardziej przenikając Maurevela oczami, które ze szklanych stały się prawie płomieniste — wiem, że chciałeś zabić w Moncontpur pana admirała, że ci się to nie udało i że przeszedłeś do armii księcia Andegaweńskiego, naszego brata. Na koniec wiem i to, żeś po raz drugi przeszedł na stronę książąt i wpisałeś się do oddziału pana de Mouya de Saint-Phale.

— O! Najjaśniejszy Panie...

— Odważnego szlachcica z Pikardii — dodał król.

— Najjaśniejszy Panie — zawołał Maurevel — nie dobijaj mnie!

— Był to zacny oficer — mówił dalej Karol IX na którego twarzy malował się wyraz prawie zwierzęcego okrucieństwa przyjął cię jak syna, dał ci mieszkanie, odzież i jedzenie.

Maurevel ciężko westchnął.

— Nazwałeś go, zdaje mi się, swoim ojcem — kończył król bez litości — i czuła przyjaźń łączyła cię z młodym de Mouyem, jego synem.

Maurevel, klęcząc ciągle, coraz bardziej się przechylał, jakby przygniatany słowami Karola IX, który stojąc niewzruszenie i obojętnie, podobny był do mówiącego posągu.

— Ponadto — powiedział król — księżę Gwizjusz przyrzekł ci dziesięć tysięcy talarów za zabicie admirała.

Strwożony morderca czołem uderzył o podłogę.

— Co się tyczy pana de, Mouya, twojego dobrego ojca, pojechałeś z nim razu pewnego na rekonesans do Chevreux! Jadąc upuścił bicz, zszedł więc z konia, ażeby go podjąć. Byliście sami; wyjąłeś pistolet z olstrów i gdy on się schylił, zastrzeliłeś go. Skoro już wydał ostatnie tchnienie, uciekłeś na koniu, którego ci darował. Nieprawdaż, że tak było?

Ponieważ zaś Maurevel nie odpowiadał ani słowem na to oskarżenie, dokładne we wszystkich szczegółach, król zaczął znowu gwizdać piosenkę łowiecką na tę samą nutę co poprzednio.

— Czy wiesz, morderco — powiedział po chwili — że mam wielką ochotę kazać cię powiesić?

— O! Najjaśniejszy Panie! — zawołał Maurevel.

— Młody de Mouy prosił mnie o to jeszcze wczoraj i ja prawdziwie nie wiedziałem, co mu na to odpowiedzieć, gdyż jego prośbie nie mam nic do zarzucenia.

Maurevel złożył ręce.

— Tym bardziej zasługuje ona na uwagę, że jak sam mówisz, jestem ojcem swojego narodu i że teraz, kiedy się pogodziłem z hugenotami, są oni dla mnie takimi dziećmi jak i katolicy.

— Najjaśniejszy Panie — jęknął Maurevel zupełnie zgnębiony — życie moje w twoim ręku, rób z nim, co ci się podoba.

— Prawdę mówisz; nie dałbym za nie ani grosza.

— Nie ma więc już sposobu, by okupić zbrodnię? — zapytał morderca.

— Nie wiem... Z tym wszystkim, będąc na twoim miejscu, co dzięki Bogu nie jest...

— Cóż więc? Gdyby Wasza Królewska Mość był na moim miejscu?... — szepnął Maurevel nie spuszczać oczu z ust Karola.

— Sądzę, że wywinałbym się z tego — odparł król.

Maurevel podniósł się na jedno kolano i oparłszy się jedną ręką o podłogę, bacznie spoglądał na Karola, chcąc się przekonać czy z niego nie żartuje.

— Wprawdzie miłuję młodego de Mouya — mówił dalej król — lecz również lubię mego brata Gwizjusza i gdyby jeden z nich prosił mnie o życie dla człowieka, którego śmierci domagałby się drugi, przyznaję, że byłbym w wielkim kłopotcie. Jednak ze względu na politykę i na religię powinien bym przenieść żądanie mego brata Gwizjusza, gdyż de Mouy, chociaż waleczny oficer, w porównaniu z księciem Lotaryńskim jest mało znaczącą figurą.

Podczas tej mowy Maurevel z wolna wyprostował się, jak człowiek powracający do życia.

— Ważną więc dla ciebie byłoby rzeczą, iżbyś starał się pozyskać względy mego brata Gwizjusza. Przypominam sobie właśnie, co mi on wczoraj opowiadał.

Maurevel zbliżył się na krok.

— Wystaw sobie, Najjaśniejszy Panie — mówił mi księżę Gwizjusz — że co rano o dziesiątej godzinie przechodzi ulicą Saint-Germain-l'Auxerrois, powracając z Luwru, mój śmiertelny wróg. Widzę go zawsze przez kratę w oknie dolnego piętra; okno to jest w pokoju dawnego mego nauczyciela, kanonika Piotra Pille'a. Codziennie widzę przechodzącego obok mnie mego nieprzyjaciela i codziennie wzywam szatana, ażeby go wtrącił w otchłanie piekielne. Powiedz

więc, panie Maurevel — mówił dalej Karol — czy czasem nie zechcesz być tym szatanem, może sprawisz tym przyjemność memu bratu Gwizjuszowi.

Maurevel odzyskał swój piekielny uśmiech, a jego blade jeszcze ze strachu usta wyszeptaly:

— Lecz, Najjaśniejszy Panie, ja nie mam władzy nad piekłem.

— Jednakżeś wtrącił tam, jeśli się nie mylę, odważnego de Mouya. Gotów jesteś powiedzieć, że to za pomocą pistoletu... Ale, ale! masz jeszcze ten pistolet?

— Wybacz, Najjaśniejszy Panie — odparł zabójca prawie już uspokojony — z rusznicy strzelam jeszcze lepiej niż z pistoletu. — O!... — rzekł Karol IX — czy pistolet, czy rusznica, — wszystko to jedno, a mój brat Gwizjusz, przekonany jestem, nie będzie przemyślał nad wyborem środków.

— Lecz — powiedział Maurevel — ja potrzebuję broni, na której mógłbym polegać; może trzeba będzie strzelać z daleka.

— Mam tu dziesięć rusznic — odrzekł Karol — strzelam z każdej do złotego talara z odległości stu pięćdziesięciu kroków.

Spróbuj której.

— O!... z największą przyjemnością, Najjaśniejszy Panie — zawołał Maurevel idąc w stronę, gdzie stała rusznica przyniesiona Karolowi właśnie tegoż samego dnia.

— Nie, tej nie bierz — powiedział król — tę zatrzymuję sobie. Wyprawię w tych dniach wielkie polowanie na którym, spodziewam się, przyda mi się ta rusznica; wybierz więc inną.

Maurevel zdjął pierwszą lepszą rusznicę ze ściany.

— Teraz, Najjaśniejszy Panie, racz wskazać mi tego nieprzyjaciela — rzekł morderca.

— Alboż ja go znam? — odpowiedział Karol IX, gnębiąc Maurevela spojrzeniem pełnym wzgardy.

— A więc zapytam księcia Gwizjusza — wyjąkał Maurevel. Król wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Nie pytaj, Gwizjusz i tak nic ci nie powie. Czyż odpowiada się na podobne pytania?... Kto nie chce być powieszonym, powinien się sam domyślić.

— Lecz wreszcie, po czym go mogę poznać?

— Mówiłem ci, że co rano o godzinie dziesiątej przechodzi przed oknami kanonika.

— Przed tymi oknami przechodzi wielu. Niech Wasza Królewska Mość raczy mi wskazać Cokolwiek, po czym bym mógł go poznać.

— O!... to bardzo łatwo. Jutro na przykład będzie niósł pod pachą tekę z czerwonego safianu.

— Wskazówka ta jest dla mnie dostateczna, Najjaśniejszy Panie.

— Czy masz ciągle tego szybkiego konia, którego ci darował de Mouy?

— Mam nawet prawdziwego arabskiego, Najjaśniejszy Panie.

O!..., mnie nie zależy na twojej głowie, ale może ci nie zaszkodzi wiedząc, że w klasztorze od tyłu znajduje się brama.

— Dziękuję, Wasza Królewska Mość. Racz teraz, panie, modlić się za mnie do Boga.

— Co?... do kroćset diabłów! Raczej do szatana, bo jego tylko pomoc może cię uratować od stryczka.

— Do widzenia, Najjaśniejszy Panie.

— Bądź zdrow. Ale!... ale... zaczekaj, panie Maurevel. Gdyby z jakichkolwiek powodów zaczęto o tobie mówić w dniu jutrzejszym przed godziną dziesiątą lub wspomniano później, pamiętaj, że w Luwrze są rozmaite kryjówki...

I Karol IX zaczął pogwizdywać ulubioną piosenkę spokojniej i donośniej niż zwykle.

ROZDZIAŁ IV

WIECZÓR 24 SIERPNI 1572 ROKU

Bez wątplenia czytelnik przypomina sobie szlachcica de La Mole'a, o którym mowa była w poprzedzającym rozdziale i którego z niecierpliwością oczekiwał król Nawarry.

Młodzieniec ten, jak to zapowiedział admirał, przybył do Paryża bramą Saint-Marcel pod wieczór dnia 24 sierpnia 1572 roku.

Z pogardą rzucając okiem na liczne domy zajezdne, które wskazywały znaki rozmaitych kształtów i kolorów, po prawej i po lewej stronie wiszące, dojechał na zmordowanym koniu do środka miasta, minął plac Maubert, Petit-Pont, most Notre-Dame, bulwary i zatrzymał się dopiero na ulicy de Bresec, nazwanej potem ulicą de l'Arbre-Sec.

Jego uwagę zwróciła wspaniała blacha żelazna, której skrzypieniu towarzyszył brzęk dzwonków.

Spojrzał więc na lewo, zatrzymał się i przeczytał napis „Pod Piękną Gwiazdą”, umieszczony pod malunkiem nad wyraz nęcącym dla zgłodniałego przechodnia: na ciemnym tle blachy piekł się ptak, poniżej zaś stał człowiek w czerwonym płaszczu, wyciągając do tego nowego rodzaju gwiazdy ręce i pieniądze.

— To musi być dobra oberża — pomyślał sobie szlachcic — a gospodarz bez wątplenia jest miłym człowiekiem. Słyszałem, że ulica de Parbre-Sec znajduje się w dzielnicy Luvru, jeżeli więc zakład nie jest gorszy od szyldu, spodziewam się, że będzie mi tu bardzo dobrze.

Podczas kiedy przybysz Rozważał, co ma uczynić, nowa osoba, która wjechała w ulicę de Parbre-Sec od strony przeciwnej, to jest przez ulicę Saint-Honore, zatrzymała się, z zadziwieniem przyglądając się szyldowi oberży „Pod Piękną Gwiazdą. Ten, którego już znamy przynajmniej z nazwiska, siedział na białym koniu hiszpańskim, w czarnym kaftanie ozdobionym agatami. Miał na sobie płaszcz z aksamitu ciemnofioletowego, buty czarne, szpadę z cyzelową stalową rękojeścią i takież sztylet.

Był to człowiek około dwudziestu pięciu lat mieć mogący, o twarzy ściągłej, oczach niebieskich, pięknych wusach, białych, połyskujących zębach, które jakby oświecały jego twarz, skoro uśmiechał się uśmiechem łagodnym i smutnym.

Drugi podróżny stanowił zupełne przeciwieństwo pierwszego.

Spod zamkniętych skrzydeł kapelusza dawały się widzieć gęste, kędzierzawe, rudawe włosy. Jego szare oczy przy najmniejszym wzruszeniu błyskały takim ogniem, że wydawały się wtedy czarnymi.

Cerę miał różową, usta zdobił wąs płowy i dziwnej piękności zęby. Jednym słowem, był to przystojny, wysoki i barczysty młodzieniec.

Od godziny zaglądając do wszystkich okien, pod pozorem szukania sobie znajomego szyldu, zwracał na siebie uwagę kobiet.

Co się tyczy mężczyzn, ci gotowi byli śmiać się z jego wąskiego płaszcza i butów jakiegoś staromodnego kształtu, lecz śmiech ten kończył się wkrótce łagodnym „Niech was Bóg strzeże!”, skoro spostrzegali jego twarz, przybierającą w jednej chwili kilka odmiennych wyrazów, z wyjątkiem zakłopotania, które zwykle cechuje oblicze znajdującego się w stolicy prowincjusza.

On pierwszy zwrócił się do drugiego szlachcica, patrzącego podobnie jak i on na oberżę „Pod Piękną Gwiazdą”.

— Czy daleko stąd do Luwru? — zapytał z akcentem góralskim, który dał w nim poznać Piemontczyka. — W każdym razie, zdaje mi się, że pan masz ze mną gust jednakowy, co mi bardzo pochlebia.

— Tak jest, panie — odpowiedział drugi akcentem prowansalskim, nie mniej uderzającym niż akcent piemontki jego towarzysza — ta oberża jest w istocie blisko Luwru. Zresztą nie wiem, czy będę miał szczęście być jednym z panem zdania. Co do mnie, jeszcze się waham.

— Jak to? więc się pan jeszcze nie namyśliłeś? Jednakże dom ten ma dosyć ponętą postać. Musisz pan przynajmniej przyznać, że szyld jest wcale niezły.

— Bez wątpienia, lecz to właśnie każe mi powątpiewać o wnętrzu. Paryż, jak slyszalem, pełen jest filutów i szyld tak może oszukiwać, jak i co innego.

— O!... — odpowiedział Piemontczyk — oszukaństwa wcale się nie obawiam, bo jeżeli gospodarz poda mi kapłona gorzej upieczonego niż na szyldzie, sam wetknę go na rożen i dopiekę. Wejdzmy, panie.

— Zmuszasz pan i mnie, abym się zdecydował — rzekł śmiejąc się Prewansalczyk — bądź pan łaskaw wejść pierwszy.

— O!... na honor, nie uczynię tego, jestem tylko pański najuniżeńszy sługa, hrabia Annibal de Coconnas.

— Ja zaś jestem hrabia Józef Bonifacy de Lerac de La Mole, do usług pańskich.

— W takim razie weźmy się pod ręce i wejdzmy razem.

Skutkiem tej ceremonii było to, że młodzi ludzie zsiadli z koni, podali cugle masztalerzowi, wzięli się pod ręce i udali do oberży, na której progu stał gospodarz.

Lecz wbrew zwyczajowi tego rodzaju ludzi szanowny właściciel nie zwrócił na nich żadnej uwagi i nie przestawał rozmawiać z wysokim, chudym człowiekiem, owiniętym w szary płaszcz jak sowa w pióra.

Obydwaj podróżni zbliżyli się do rozmawiających; hrabiemu de Coconnasowi nie podobało się, że gospodarz tak małą zwraca uwagę na niego i jego towarzysza, szarpnął go więc za rękaw.

Oberżysta podskoczył i pożegnał tego, z którym rozmawiał, słowami:

— Do widzenia. Za godzinę cię oczekuję.

— I cóż, hultaju — zapytał Coconnas — czyż nie widzisz, że mamy do ciebie interes?

— A! wybaczcie, panowie — odpowiedział gospodarz — nie spostrzegłem.

— Eh! do kroćset diabłów! trzeba było nas spostrzec, teraz zaś, kiedy już nas widzisz, zechciej mówić „panie hrabio zamiast po prostu: „panie”.

La Mole stał w tyle, pozwalając wygadać się swemu towarzyszowi, który przyjął ten obowiązek na siebie.

Jednak z jego brwi nachmurzonych łatwo można było poznać, że gotów jest pośpieszyć na pomoc, skoro nadejdzie pora działania.

— Czegóż pan hrabia żadasz? — zapytał gospodarz zupełnie spokojnym głosem;

— Ot, tak to lepiej, nieprawdaż? — powiedział Coconnas zwracając się do La Mole'a, który skinął głową na znak potwierdzenia. — Ja i pan hrabia, zwabiani twoim szyldem, żądamy od ciebie kolacji i pokoju do przenocowania.

— Panowie — odpowiedział gospodarz — jestem w rozpaczy; mam tylko jeden pokój, który nie wiem, czy się panom spodoba.

— Tym lepiej — rzekł La Mole — pójdziemy gdzie indziej.

— Nie, nie — powiedział Coconnas. — Ja pozostaję; koń mój bardzo zmordowany. Biorę więc pokój, kiedy pan nie chcesz.

— A, to co innego — odpowiedział gospodarz flegmatycznie. — Jeśli pan zostaniesz sam, nigdzie nie będę go mógł pomieścić.

— Do kroćset diabłów! — zawołał Coconnas — a to, na honor, zabawna kreatura. Dopiero co dwóch mu było za dużo, a teraz jednego znowu mu za mało! No, jakże, hultaju, nie przyjmiesz nas?

— Skoro panowie w ten sposób zaczynacie postępować, odpowiem szczerze.

— No!... odpowiadaj, tylko prędko.

— A więc wolałbym nie mieć honoru zatrzymania u siebie panów.

— Dlaczego? — zapytał Coconnas zbladłszy z gniewu.

— Dlatego, że panowie nie macie lokajów i jeśli oddam wam pokój gościnny, zostaną mi próżne dwie stancyjki przeznaczone dla służących, i nie wiem, kto będzie chciał je w takim razie zająć.

— Wiesz pan co — rzekł Coconnas obracając się do La Môle'a — mam wielką ochotę dać dobrą nauczkę temu zuchwalcowi. Co pan na to?

— Dlaczegoż nie? — odpowiedział La Mole, również jak Coconnas gotując się do wygrzmocenia oberżysty.

Pomimo tych pogroźek, które wcale na żarty nie zakrawały, nie widać było przestachu na twarzy gospodarza. Cofnąwszy się o krok, ażeby być na własnym gruncie, odezwał się z przekąsem:

— Zaraz widać, że panowie przybywają z prowincji. W Paryżu minęła już moda bicia oberżystów, jeśli nie chcą wynająć swoich stancji. Teraz biją tylko znakomitych panów, a nie mieszczan, i jeżeli panowie będziecie za głośno krzyczeli, zawołam sąsiadów, a wtenczas wy sami zostaniecie pobici. Spodziewam się, że nie bardzo będzie to pochlebne dla was, panowie szlachta.

— Ależ on sobie drwinki z nas stroi! — zawołał Coconnas rozjątrzony.

— Grzegorz, daj mi moją rusznicę — rzekł oberżysta do swego służącego tonem, jakim by powiedział: „podaj krzesła panom”.

— Niech żyje papież! — wrzasnął Coconnas obnażając swą szpadę — rozgrzej się, panie de La Mole.

— Nie, bądź pan łaskaw uwolnić mnie od tego. Kolacja nam ostygnie, gdy się będziemy rozgrzewali.

— Jak więc pan sądzisz? — zawołał Coconnas.

— Ja sądzę, że oberżysta ma słusność, tylko nie umie przyjmować podróżnych, a nade wszystko szlachty. Zamiast nam po grubiańsku gadać: „Nie przyjmę panów”, należało powiedzieć grzecznie: „Raczie panowie wejść”, a na rachunku umieścić: „Za pokój dla panów tyle, za pokój dla lokajów tyle”, gdyż powinien był spodziewać się, że jeśli nie mamy lokajów, możemy ich sobie wynająć.

To powiedziawszy, La Mole lekko odepchnął gospodarza wyciągającego rękę po rusznicę i wpuścił swego towarzysza do oberży, sam zaś wszedł za nim.

— Ja jednak — rzekł Coconnas — nie mam chęci włożyć szpady do Pochwy, nie spróbawwszy, czy lepiej kole niż rozen tego hultaja.

— Cierpliwości, kochany towarzyszu — powiedział La Mole — cierpliwości! Wszystkie oberże napełnione są szlachtą przybywającą do Paryża na wesele lub też z powodu bliskiej wojny z Flandrią; nie znajdziemy więc innego mieszkania. Wreszcie może to już taki zwyczaj w Paryżu, że w ten sposób przyjmuje się podróżnych.

— A! jakżeś cierpliwy, panie de La Mole — odrzekł Coconnas, podkreślając ze złości rude wąsy i piorunując gospodarza wzrokiem. — Jednakże słuchaj, łajdaku: strzeż się, bo jeśli jedzenie będzie złe, pościel twarda, wino mniej niż trzy lata mające, a usługa niezręczna...

— Dobrze, dobrze, mój panie — przerwał gospodarz ostrząc nóż na rzemieniu — bądź pan spokojny; przecież pan jest w Paryżu.

Potem, pochyliwszy głowę, mruknął:

— Musi to być hugenot, gdyż zdrajcy ci stali się bardzo zuchwałymi od czasu małżeństwa ich Bearnęczyka z panną Margot.

Po chwili, z uśmiechem, na którego widok zadrzeliby jego goście, dodał:

— E! e! ucieszne by to było, gdyby mi tu wpadli teraz w ręce hugonoci... i gdyby...

— Jakżeż! będzie tam kolacja? — kwaśno zapytał Coconnas, przerywając monolog swego gospodarza.

— Jak pan rozkażesz — odpowiedział tenże, uradowany bez wątpienia swą ostatnią myślą.

— Niech więc wszystko będzie jak najprędzej — rozkazał Coconnas. Następnie, zwracając się do La Mole'a, rzekł:

— Dopóki nam nie przygotują pokoju, powiedz mi, panie hrabio, jak uważasz, czy Paryż to wesołe miasto?

— Na honor, nie — odpowiedział La Mole — zdaje mi się, że dotąd widziałem tu tylko twarze przestraszone i odrażające. Lecz może paryżanie boją się burzy. Patrz pan, jak niebo jest czarne, a przy tym, jak powietrze ciężkie.

— Czy to prawda, hrabio, że szukasz Luwru?

— I pan także, panie de Coconnas.

— A zatem, jeżeli pan chcesz, pójdziemy szukać go razem.

— Hm! czy to czasem nie będzie już za późno? — zapytał La Mole.

— Późno czy nie, muszę wyjść. Rozkazano mi przyjechać jak najprędzej do Paryża i bezzwłocznie po przybyciu przedstawić się księciu Gwizjuszowi.

Gospodarz, usłyszawszy nazwisko księcia Gwizjusza, zbliżył się i zaczął bacznie uważać.

— A!... patrz pan, ten łajdak nas podsłuchuje — rzekł Coconnas, który jako Piemontczyk, był bardzo zawzięty i nie mógł przebaczyć właścicielowi oberży jego niegrzecznego obejścia.

— Tak, przysłuchuję się — powiedział tenże, przykładając rękę do czapki — lecz po to, aby panom dopomóc. Słyszając bowiem wymówione nazwisko wielkiego księcia Gwizjusza, zaraz przybiegłem. Powiedzcie, panowie, czym wam mogę służyć?

— Aha! a to jakieś czarodziejskie nazwisko, gdyż z grubianina stałeś się uniżonym sługą. Jakże się nazywasz?

— La Hurière — odpowiedział kłaniając się gospodarz.

— Cóż to, panie La Hurière, sądzisz, że moja ręka lżejsza od ręki księcia Gwizjusza, która ma wyłączne prawo robienia cię tak grzecznym?

— Nie, panie hrabio — odpowiedział La Hurière — lecz jest ona nieco krótsza. Wreszcie, muszę panu oświadczyć — dodał — że ten wielki Henryk jest bożyszczem dla nas, paryżan.

— Który Henryk? — zapytał La Mole.

— Zdaje mi się, że jest tylko jeden — odpowiedział oberżysta.

— Który więc?

— Henryk Gwizjusz.

— Wybacz, mój przyjacielu, lecz jest jeszcze i drugi, o którym nie radzę ci mówić nic złego. Jest to Henryk król Nawarry, nie licząc Henryka Kondeusza, również pełnego zalet.

— Tych nie znam — odpowiedział gospodarz.

— Lecz ja ich znam — rzekł La Mole — i ponieważ przyjechałem do Henryka króla Nawarry, proszę cię, ażebyś go w mojej obecności nie obrażał.

Gospodarz, nie odpowiedziawszy nic La Mole'owi, dotknął z lekka swojej czapki i uniżenie spoglądając na hrabiego de Coconnasa, powiedział:

— Więc będziesz pan mówił z wielkim księciem Gwizjuszem? Jesteś pan bardzo szczęśliwy. I pan przyjechałeś jedynie na...

— Na co? — zapytał Coconnas.

— Na uroczystość — odpowiedział gospodarz z dziwnym uśmiechem.

— Powiedz: na uroczystości, gdyż Paryż, jak słyszałem, opływa w nie. Przynajmniej o niczym nie mówią tylko o balach, biesiadach, karuzelach. He! hucznie się bawią w Paryżu?

— Dotąd jeszcze nie bardzo, lecz sądzę, że będą się bawili.

— Jednak zaślubiny Jego Królewskiej Mości króla Nawarry ściągają mnóstwo osób do Paryża — odpowiedział La Mole.

— Mnóstwo hugenotów — odburknął La Hurière, lecz nagle poprawiając się, dodał: — Ah! przebaczenie, panowie, jesteście może protestantami.

— Ja protestantem? — zawołał Coconnas — jestem katolikiem, równie dobrym jak nasz Ojciec Święty. La Hurière zwrócił się z kolei do hrabiego de La Mole jakby z zapytaniem. Lecz La Mole czy nie zrozumiał jego spojrzenia, czy też osądził, że lepiej będzie nie odpowiadać na nie — dość, że milczał.

— Jeżeli, panie La Hurière, nie znasz Jego Królewskiej Mości króla Nawarry, może znasz pana admirała. Słyszałem, że on w łaskach jest u dworu, i ponieważ wspomniano mu już o mnie, chciałbym dowiedzieć się, gdzie też mieszka.

— Mieszkał przy ulicy de Bethisy, ot, tutaj, na prawo — odpowiedział gospodarz z wewnętrzną radością, która jednak odbiła się na jego twarzy.

— Jak to, mieszkał! — zapytał La Mole — czy się przeprowadził?

— Tak, na tamten świat.

— Co to znaczy? — wrzasnęli razem La Mole i Coconnas — admirał wyprowadził się na tamten świat? — Jak to, panie de Coconnas — mówił gospodarz ze złośliwym uśmiechem — pań należysz do stronnictwa księcia Gwizjusza i nic o tym nie wiesz?

— Czego nie wiem?

— Że onegdaj, gdy admirał przechodził ulicą Saint-Germain-l'Auxerrois, koło domu kanonika Piotra Pille'a postrzelono go z rusznicy.

— I zabito! — krzyknął La Mole.

— Nie, wystrzał strzaskał mu tylko ramię i urwał dwa palce, lecz spodziewają się, że kule były zatrute.

— Jak to, nędzniku! — zawołał La Mole — spodziewają się?!

— Chciałem powiedzieć, zdaje się, że były zatrute — odparł gospodarz — nie kłóćmy się o jeden wyraz; omyliłem się.

I La Hurière, obróciwszy się tyłem do La Mole'a, z szyderczym grymasem pokazał język hrabiemu de Coconnas, znacząco na niego spojrzawszy.

— Czy być może? — zapytał Coconnas promieniejąc z radości.

— Czy być może! — szepnął La Mole z bolesnym osłupieniem.

— Tak, jak już miałem honor panom powiedzieć — odrzekł gospodarz.

— W takim razie — rzekł La Mole — idę do Luwru nie tracąc ani chwili. Nie wiem tylko, czy znajdę tam króla Henryka.

— Bez wątpienia, wszakże tam mieszka.

— I ja idę do Luwru — powiedział Coconnas. — Czy zastanę tam księcia Gwizjusza?

— Zapewne, gdyż przed chwilą widziałem go przechodzącego tędy ze swoją szlachtą.

— A więc pójdźmy, panie Coconnas — rzekł La Mole.

— Służę panu — powiedział Coconnas.

— A kolacja, panowie? — zapytał La Hurière.

— A!... ja może będę wieszerał u króla Nawarry — powiedział La Mole. — A ja u księcia Gwizjusza — dodał Coconnas.

— Ja zaś — rzekł gospodarz odprowadzając wzrokiem swych gości, którzy udali się w stronę Luwru — pójdę wyczyścić szyszak, przygotować rusznicę i wyostrzyć halabardę. Nie wiadomo bowiem, co się może wydarzyć.

ROZDZIAŁ V

O LUWRZE W SZCZEGÓLNOŚCI I O CNOCIE W OGÓLE

Coconnas i La Mole, zapytawszy pierwszego spotkanego przechodnia o drogę do Luwru, udali się, według otrzymanego objaśnienia, ulicą d'Averon, a następnie ulicą Saint-Germain-l'Auxerrois i wkrótce znaleźli się przed zamkiem, którego wieże ledwo już były widoczne w zapadającym zmroku.

— Cóż się panu stało? — zapytał Coconnas La Mole'a, spostrzegłszy, iż ten zatrzymał się i z jakimś uszanowaniem patrzył na zwodzone mosty, wąskie okna i spiczaste wieżyczki, które się nagle przedstawiły jego oczom.

— Dalibóg, sam nie pojmuję — odpowiedział La Mole. — Tak mocno mi serce bije... Nie jestem tchórzem, lecz nie wiem dlaczego, ten pałac wydaje mi się ponury, nawet straszny.

— Ja zaś — powiedział Coconnas — nie mogę znowu pojąć, czemu jestem w tak wyśmienitym humorze. Wprawdzie strój mam cokolwiek niedbały — prawil rzucając oczyma na swoje podróżne ubranie — lecz to fraszka, zaniedbanie nadaje zuchwałą minę. Przy tym rozkazano mi nie tracić ani chwili. Będę więc mile widziany, bo rozkaz wykonywam akuratnie.

I obydwaj poszli dalej, miotani odmiennymi uczuciami.

Luwr był pilnie strzeżony; wszystkie warty podwojono. Te środki ostrożności zakłopotwały nieco dwóch naszych młodzieńców. Lecz Coconnas, przypomniawszy sobie, że nazwisko księcia Gwizjusza działa na paryżan jakby jaki talizman, przystąpił do placówki i odwołując się do tego wszechwładnego nazwiska, zapytał, czy może wejść do Luwru.

W samej rzeczy, zdawało się, że nazwisko księcia wywarło niejaki wpływ na żołnierza, lecz tenże po chwili, zapytał przybyłego o hasło.

Naturalnie Coconnas zmuszony był się przyznać, że hasła nie zna.

— To idź pan precz! — zawołał żołnierz.

W tym samym czasie jakiś człowiek rozmawiający z oficerem służbowym, usłyszawszy, że Coconnas prosi o pozwolenie wejścia do Luwru, przerwał rozmowę i zbliżył się ku niemu; zapytał go z wyraźnym niemieckim akcentem:

— Czego pan chcesz od księcia Gwizjusza?

— Chciałbym z nim pomówić — odpowiedział Coconnas.

— Niepodobna, księżę jest teraz u króla.

— Lecz ja otrzymałem rozkaz na piśmie, ażebym przybył do Paryża.

— A! pan masz rozkaz na piśmie?

— Tak jest, i przybyłem umyślnie z bardzo odległych stron.

— A! przybyłeś pan z daleka?

— Aż z Piemontu.

— Topsze! topsze! To co innego. Jak się pan nazywasz?

— Hrabia Annibal de Coconnas!

— Bardzo topsze! Daj mi pan list, panie Annibalu.

— Na honor, to jakiś grzeczny człowiek — pomyślał de La Mole — gdyby to i mnie udało się dostać podobnego przewodnika do króla Nawarry.

— Dajże mi pan list — mówił dalej Niemiec, wyciągając rękę do Annibala, który stał nie wiedząc, co ma uczynić.

— Lecz — odparł Piemontczyk z niedowierzaniem właściwym Włochom — nie wiem, czy mogę... nie mam honoru znać pana.

— Jestem Pesme, należę do dworu księcia Gwizjusza.

— Pesme... — powtórzył Coconnas — to nazwisko nie jest mi znane. — To jest pan de Besme — powiedział żołnierz stojący na warcie. — Jest cudzoziemcem, źle więc wymawia po francusku. Oddaj mu pan list i nic się nie obawiaj.

— A... pan de Besme! — zawołał Coconnas. — Proszę, proszę, oto mój list. Bądź pan łaskaw darować mi, żem tego nie uczynił od razu. Lecz pan zapewne wiesz, że wierny sługa inaczej nie może...

— Topsze, topsze — odpowiedział de Besme — nie farto się, panie, usprawiedliwiać.

— Ponieważ pan jesteś tak grzeczny — rzekł La Mole zbliżywszy się z kolei — ośmielam się więc prosić go, czybyś nie raczył przyjąć także mego listu?

— Jak pan się nazywasz?

— Hrabia Lerac de La Mole.

— Nie znam tego nazwiska.

— Nic dziwnego, że nie mam szczęścia być panu znanym, nie jestem tutejszy i również jak hrabia de Coconnas przybyłem z daleka.

— Skądże?

— Z Prowansji.

— Czy także z listem?

— Z listem.

— Czy do księcia Gwizjusza?

— Nie, do Jego Królewskiej Mości króla Nawarry.

— Nie jestem sługą króla Nawarry — odpowiedział de Besme stając się nagle oziębły — nie mogę więc mu fręczyć pańskiego listu.

I Besme, obróciwszy się tyłem do La Mole'a, poszedł do Luwru, dając znak hrabiemu de Coconnas, ażeby udał się za nim. La Mole pozostał sam.

W tejże samej chwili z dalszych drzwi Luwru, nie opodał tych, w których znikli Besme i Coconnas, wyszło około stu ludzi.

— Patrz! — powiedział stojący na warcie żołnierz do swego towarzysza — otóż i de Mouy ze swymi hugenotami. Jak się też wszyscy radują. Bez wątpienia król przyrzekł im, że zginie morderca, który się targnął na życie admirała i który zabił ojca de Mouya. Tym sposobem syn za jednym zamachem odpłaci za dwóch.

— Słuchaj no, mój zuchu — zapytał La Mole zwracając się do żołnierza — zdaje mi się, żeś mówił, iż to jest pan de Mouy?

— Tak.

— I że ci panowie, co mu towarzyszą, są...

— Heretykami. W istocie, mówiłem to.

— Dziękuję — powiedział La Mole, nie zważając niby na ów pogardliwy epitet, jakim żołnierz darzył protestantów. — Więcej już wiedzieć nie pragnę.

I przystąpiwszy do naczelnika hugenotów, rzekł:

— Dowiedziałem się, że nazywasz się pan de Mouy.

— Tak, panie — odpowiedział grzecznie oficer.

— Pańskie nazwisko znane jest jako filar kościoła protestanckiego, ośmielam się przeto upraszać go o pewną łaskę.

— O jaką, panie? Lecz pierwej pozwól mi pan zapytać, z kim mam zaszczyt mówić.

— Z hrabią Lerac de La Mole. Obaj nawzajem skłonili się.

— Słucham pana — powiedział de Mouy.

— Przyjechałem z Aix i przywiozłem list od pana d'Auriac, gubernatora Prowansji. List ten jest zaadresowany do króla Nawarry i zawiera w sobie wiadomości bardzo ważne i nie cierpiące zwłoki. Racz mi więc pan powiedzieć, jakim sposobem mógłbym się dostać do Luwru i wręczyć pismo królowi.

— Nic łatwiejszego, jak dostać się do Luwru — odpowiedział de Mouy — zdaje mi się tylko, że król Nawarry bardzo jest teraz zajęty. Zresztą, jeżeli pan chcesz, mogę cię zaprowadzić do pokoi królewskich. Reszta do pana należeć będzie.

— Bardzo jestem panu zobowiązany.

— Chodźmy więc — powiedział de Mouy.

Po czym zsiadł z konia, rzucił cugle masztalerzowi, oznajmił żołnierzowi hasło, wprowadził La Mole'a do zamku i otwierając drzwi do pokoi króla, rzekł:

— Wejdz pan.

Po tych słowach skłonił się i wyszedł.

La Mole, pozostawszy sam, obejrzał się naokoło. Przedpokój był pusty; jedne z drzwi prowadzących do wewnątrz pałacu były otwarte. Postąpił kilka kroków i znalazł się w wąskim korytarzu. Zapukał i zapytał, żadnej jednak nie otrzymał odpowiedzi. W tej części Luwru panowała jak najgłębsza cisza.

— Mówiono mi tyle o etykiecie — pomyślał La Mole — a tu można wejść jak na plac, potem wyjść i nikt cię nie zaczepi.

Zawołał raz jeszcze, lecz jak przedtem było cicho.

— Chodźmy więc dalej — powiedział do siebie — przecież muszę wreszcie kogoś napotkać.

I szedł korytarzem coraz ciemniejszym.

Nagle otworzyły się drzwi, przeciwnie tym, którymi wszedł, i ukazali się dwaj paziowie, którzy niosąc w rękach świece, oświetlali drogę kobiecie wysokiego wzrostu, wspaniałej postawy i cudownie pięknej.

Światło oślepiło La Mole'a, zatrzymał się więc.

Kobieta także stanęła.

— Czego pan żądaś? — zapytała młodzieńca głosem, który mu się zdawał czarodziejską melodią.

— Wybacz mi, pani — odpowiedział La Mole spuszczać oczy. — Pan de Mouy wprowadził mnie tutaj. Szukam króla Nawarry.

— Jego Królewskiej Mości nie ma tu. Sądzę, że musi być u swego szwagra. Lecz czy pod jego niebytność nie mógłbyś powiedzieć królowej...

— Uczyniłbym to — odrzekł La Mole — gdyby mnie kto raczył zaprowadzić do niej.

— Królowa stoi przed panem.

— Jak to! — zawołał La Mole.

— Jestem królową Nawarry — odpowiedziała Małgorzata. Twarz La Mole'a wyrażała takie przerażenie i zdumienie, że królowa uśmiechnęła się.

— Mów pan prędzej — rzekła Małgorzata — śpieszę się, gdyż mnie oczekuje królowa-matka.

— O! królowo, jeżeli nie masz czasu, dozwól mi oddać ci się, w tej chwili bowiem nie jestem w stanie dwóch słów powiedzieć... Nie mogę zebrać myśli, królowo! olśniłaś mnie. Ja nie myślę, podziwiam tylko.

Małgorzata z wdziękiem postąpiła ku młodemu człowiekowi, który mimo woli obdarzył ją takim komplementem.

— Uspokój się pan — rzekła królowa. — Zaczekam i na mnie zaczekają.

— O! daruj, królowo, żem nie oddał ci pokłonu, jakiego należało się spodziewać od twego najpokorniejszego sługi, lecz...

— Lecz pan wziąłeś mnie za jedną z moich dam dworskich.

— Nie, pani, lecz za cię pięknej Diany de Poitiers. Powiadają, że ona pokazuje się w Luwrze.

— Dobrze — rzekła Małgorzata — jestem już o pana zupełnie spokojna i mam nadzieję, że się pan spodobaś u dworu. Czy masz list do króla?

Tamte grzeczności wcale niepotrzebne. Zresztą, wszystko jedno; gdzież list? Oddam go... Tylko się pan śpiesz.

W mgnieniu oka La Mole rozpiął kaftan i wy dostał list, owinięty w jedwabną materię.

Małgorzata odebrała go i spojrzała na charakter pisma.

— Czy pan nie jesteś czasem hrabią de La Mole? — zapytała.

— Tak jest, w samej rzeczy... Lecz, mój Boże! Czyżbym miał być tyle szczęśliwym, iżby moje nazwisko było znane Waszej Królewskiej Mości?

— Słyszałam je od mego męża króla i od mego brata księcia d'Alencon. Wiem, że pana oczekują.

Królowa wsunęła list, ciepły jeszcze od piersi młodego człowieka, za stanik, cały zdobny haftem i przybrany brylantami. La Mole bacznie śledził wszystkie poruszenia Małgorzaty.

— Teraz — powiedziała — zejźdź pan do galerii na dół i czekaj, dopóki kto nie przyjdzie od króla Nawarry lub od księcia d'Alencon. Paź mój wskaże panu drogę...

Po tych słowach Małgorzata postąpiła parę kroków. La Mole przycisnął się do ściany. Lecz korytarz był tak wąski, a jedwabna suknia królowej tak szeroka, że się lekko otarła o młodego człowieka. Czarujący zapach rozchodził się za odchodzącą królową. La Mole zadrżał i czując, że może upaść, oparł się o ścianę.

Małgorzata zniknęła jak widziadło.

— Czy pójdziemy? — zapytał paź, któremu rozkazano zaprowadzić La Mole'a do galerii na dół.

— Tak, tak — odrzekł ten w upojeniu.

Paź wskazał mu drogę w kierunku, w którym znikła Małgorzata, a hrabia, mając nadzieję ujrzenia jej jeszcze, zaczął pośpieszać.

W istocie doszedłszy do ostatniego stopnia schodów, spostrzegł królową na najniższym piętrze i czy przypadkowo, czy też dlatego, że odgłos jego kroków doszedł do jej uszu, Małgorzata obejrzała się i La Mole jeszcze raz ją zobaczył.

— O! — zawołał La Mole postępując za paziem — to bogini i jak mówi Wirgiliusz Maro: *Et vera incessu patuit dea*.

— Dokąd pan idziesz? — zapytał paź.

— A! to tędy — odpowiedział La Mole — wybacz mi.

Paź udał się naprzód, zszedł o piętro niżej, otworzył jedne drzwi, potem drugie i stanąwszy na progu, rzekł:

— Oto tutaj masz pan zaczekać.

La Mole wszedł do galerii i drzwi się za nim zamknęły. Galeria była pusta, Przechadzał się tu tylko jakiś człowiek, widocznie także na kogoś czekający.

Wieczór ogromnymi płatami cieni rzucanych od sklepień usłał całą podłogę galerii, tak że znajdujący się w niej poznać się wzajem nie mogli, chociaż oddaleni byli od siebie zaledwie o dwadzieścia kroków.

La Mole pierwszy zbliżył się do swego towarzysza.

— A! na honor! — zawołał — wszak to pan hrabia de Coconnas! Piemontczyk obrócił się z zadziwieniem patrzył na La Mole'a.

— A! na Boga! — zawołał — to pan de La Mole albo niech mnie diabli porwą! Oj! cóż ja mówię? jestem u króla i przeklinam, lecz co to szkodzi sam król, zdaje mi się, przeklina nie gorzej ode mnie, podobno nawet w kościele. No i cóż, jesteśmy więc w Luwrze?

— Jak pan widzisz; czy de Besme pana wprowadził?

— Tak, kochany Niemiec ten Besme... A pana któż wprowadził?

— Pan de Mouy... Mówiłem już panu, że hugonoci nie są bez wpływu u dworu... Ale, ale, widziałeś się pan z księciem Gwizjuszem?

— Jeszcze nie... A pan miałeś posłuchanie u króla Nawarry?

— Także nie, lecz to wkrótce nastąpi. Przyprawiono mnie tutaj i ka— zano czekać. — Zobaczysz pan, że, idzie tu pewno o jaką wspaniałą ucztę i że będziemy w liczbie zaproszonych. W samej rzeczy, jak się to dziwnie składa! Już od dwóch godzin przeszło przypadki bezustannie nas łączą... Lecz co panu jest? wydajesz się głęboko zamyślony...

— Ja? — szybko i ze drżeniem odparł La Mole. (Był on jeszcze pod, wpływem uroczego widziadła). — Nie! lecz miejsce to budzi we mnie tysiące i myśli.

— Filozoficznych, nieprawdaż? Ja również tego doświadczyłem. Właśnie w chwili, kiedy pan tu wchodził, przyszły mi na myśl wszystkie przestrogi mego nauczyciela. Czy znasz, hrabio, Plutarcha?

— Naturalnie! — odparł z uśmiechem La Mole — jest to jeden z moich ulubionych autorów.

— A więc — mówił dalej z powagą Coconnas — sądzę, że ów wielki] pisarz nie omylił się porównując dary natury z balsamicznymi roślinami, których zapach nigdy nie wietrzeje i które są obdarzone siłą gojenia ran.

— Czy umiesz po grecku, panie de Coconnas? — zapytał La Mole, bacznie patrząc w oczy swemu towarzyszowi.

— Nie, lecz mój nauczyciel umiał i radził mi, ażebym będąc przy dworze, często rozprawiał o cnocie. Przedstawia to człowieka z dobrej strony. Uprzedzam jednak pana, że na te rady pozostałem nieczuły. Ale czyś pan głodny?

— Nie.

— Zdaje mi się jednak, żeś mile spoglądał na pieczoną zwierzynę wymalowaną na szyldzie oberży „Pod Piękną Gwiazdą”. Co zaś do mnie, umieram z głodu.

— A, to piękna sposobność, aby zastosować pańskie prawdy o cnocie i okazać Plutarchowi cześć należną, gdyż mówi on: *Prepon esti ten men psuchen odune ton de gastera semo askein*.

— To ty, hrabio, umiesz po grecku?! — zawołał zdumiony Coconnas.

— Tak — odpowiedział La Mole — mój nauczyciel nauczył mnie.

— W takim razie, hrabio, twój los zabezpieczony; będziesz pisał wiersze i Karolem IX, a rozmawiał po grecku z królową Małgorzatą.

— Nie licząc jeszcze tego — dodał śmiejąc się La Mole — że będę mógł mówić z królem Nawarry narzeczem gaskońskim.

W tejże chwili otworzyły się drzwi, znajdujące się w końcu galerii przylegającej do pokoi króla. Dały się słyszeć kroki i w ciemności można było dostrzec zbliżający się cień, który przybrał wkrótce kształt człowieka. Był to pan de Besme.

Zbliżywszy się ku dwóm młodzieńcom spojrzał im w twarze, chcąc poznać tego, którego potrzebował, i dał znak hrabiemu de Coconnasowi, ażeby udał się za nim.

Coconnas pożegnał ręką La Mole'a.

De Besme, doszedłszy z hrabią de Coconnasem do końca galerii, otworzył drzwi i wówczas znaleźli się na pierwszym stopniu schodów.

W tym miejscu zatrzymali się obaj, a Besme, obejrzawszy się na wszystkie strony, powiedział:

— Gdzie mieszkasz, panie de Coconnas?

— W oberży „Pod Piękną Gwiazdą”, przy ulicy de l’Arbre–Sec.

— Dobrze, dobrze! to niedaleko stąd... Idź pan teraz prędko do domu, w nocy zaś... I znowu obejrzał się na wszystkie strony.

— Cóż w nocy? — zapytał Coconnas.

— Tej nocy powrócisz pan tutaj z białym krzyżem na czapce. Hasło będzie: Gwizjusz, Tss! cicho!

— Lecz o której godzinie mam przyjść?

— Skoro tylko uderzą w dzwon alarmowy.

— Jak to alarmowy? — zapytał Coconnas.

— No alarmowy, ot tak: bum! bum!...

— A! rozumiem. Dobrze! będę tu — odpowiedział Coconnas.

I skłoniwszy się Niemcowi pobiegł po schodach, zadając sam sobie pytanie:

— Co on, u diabła, chciał powiedzieć? Dlaczego uderzą na alarm? Zresztą wszystko mi jedno! ja pozostaję przy moim mniemaniu: ten pan de Besme to Poczciwe Niemczysko. Czyby czasem nie należało zaczekać na hrabiego de La Mole? Lecz nie; on bez wątpienia pozostanie na wieczerzy u króla Nawarry.

I Coconnas udał się na ulicę de l’Arbre–Sec, dokąd jak magnes przyciągał go szyld „Pod Piękną Gwiazdą”.

Tymczasem po drugiej stronie galerii otworzyły się drzwi prowadzące do mieszkania króla Nawarry i paż, zbliżywszy się do La Mole’a, zapytał:

— Czy pan jesteś hrabią de La Mole?

— Tak jest.

— Gdzie pan mieszka?

— Na ulicy de l’Arbre–Sec, w oberży „Pod Piękną Gwiazdą”.

— Dobrze! To niedaleko od Luwru. Słuchaj pan... Jego Królewska Mość kazał panu oświadczyć, że nie może go teraz przyjąć, lecz być może, że przyśle po pana w nocy. Gdybyś pan jednak do jutrzejszego dnia nie odebrał od niego żadnej wiadomości, przyjdź sam do Luwru.

— A jeżeli mnie warty nie wpuszczą?

— A! prawda... Hasło będzie: Nawarra. Wymów pan tylko to słowo, a wszystkie drzwi staną mu otworem.

— Dziękuję.

— Zaczekaj no pan jeszcze. Rozkazano mi doprowadzić pana aż do bramy, ażebyś znowu nie zabłądził w Luwrze.

— A Coconnas? — pomyślał La Mole wyszedłszy z pałacu. — Aha! pewno został na kolacji u księcia Gwizjusza.

Lecz pierwszą psobą, jaką napotkał wchodząc do oberży La Hurière’a, był Coconnas siedzący przy olbrzymiej porcji jajecznicy ze słoniną.

— Oho! — zawołał Coconnas śmiejąc się na całe gardło — zdaje się, że pan tak jadłeś kolację u króla Nawarry, jak ja u księcia Gwizjusza?

— Tak jest.

— I głód napastuje pański żołądek?

— W rzeczy samej.

— Na złość Plutarchowi?

— Hrabio! — powiedział La Mole śmiejąc się — Plutarch mówi w innym miejscu: „Mający powinien dzielić się z nie mającym”. Czy idąc za radą Plutarcha nie podzielisz pan swojej jajecznicy ze mną? Przy jedzeniu pomówimy o cnocie.

— O... nie! — odpowiedział Coconnas — dobrze jest mówić o cnocie w Luwrze, gdzie się obawiasz, ażeby cię nie podsłuchano, i masz żołądek próżny. No! siadaj, hrabio, i jedz.

— Teraz już, sądzę, los połączył nas ze sobą nierozzerwalnym węzłem. Czy pan nocujesz tutaj?

— Nie wiem.

— I ja podobnież.

— W każdym razie wiem, gdzie przepędzę noc.

— No, gdzie?

— Niechybnie tam, gdzie i pan.

I obaj zaczęli się śmiać, z gorliwością zmiatając jajecznicę usmażoną przez La Hurière'a.

ROZDZIAŁ VI

DŁUG UISZCZONY

Jeżeli czytelnik ma chęć dowiedzieć się teraz, dlaczego król Nawarry nie przyjął pana de La Mole'a, dlaczego pan de Coconnas nie mógł się widzieć z księciem Gwizjuszem i dlaczego obydwaj, zamiast zajadać w Luwrze bażanty, kuropatwy i pieczeń sarnią, musieli poprzestać na jajecznicy ze słoniną w oberży „Pod Piękną Gwiazdą — poprosimy go, aby raczył wejść z nami do starego zamku królewskiego i pójść za Małgorzatą królową Nawarry, którą La Mole stracił z oczu przy wejściu do galerii.

W czasie kiedy Małgorzata zstępowała ze schodów, księżę Henryk Gwizjusz znajdował się w gabinecie króla. Na schodach, po których schodziła Małgorzata, było wyjście. Z gabinetu zaś, w którym był Gwizjusz, wychodziły drzwi; drzwi te i wyjście prowadziły na korytarz, a korytarz do pokoi królowej-matki, Katarzyny de Medici.

Katarzyna de Medici siedziała sama przy stole, oparłszy się łokciem na rozwartą książkę do nabożeństwa i spuściwszy głowę na rękę uderzającej jeszcze piękności, co zawdzięczała kosmetykom florentczyka Renégo, pełniącego przy niej dwoiste obowiązki, perfumiarza i truciciela.

Wdowa po Henryku II miała na sobie żałobę, której nie zdejmowała od czasu śmierci męża. Była to kobieta przeszło pięćdziesiąt dwa lata licząca, która dzięki swej jędrnej tuszy zachowała jeszcze rysy dawnej piękności.

Pokój, podobnie jak ubiór królowej, nosił na sobie cechy wdowieństwa. Wszystko w nim było ponure: ściany, meble, materie. Tylko nad baldachimem, wznoszącym się ponad krzesłem królewskim, wymalowano tęczę z następującą dewizą grecką, przez króla Franciszka I nadaną:

Łączy w sobie światło i czystość.

Na krześle leżała ulubiona charcica królowej-matki, подарowana jej przez zięcia Henryka i nazwana mitologicznym mianem Febe.

Nagle i właśnie w chwili, kiedy królowa pogrążona była w zadumie wywołującej na jej karminowych ustach lekki uśmiech, ktoś otworzył drzwi, uchylił pokrywający je kobierzec i ukazując bladą twarz, powiedział:

— Nie wiecie się nam.

Katarzyna podniosła głowę i poznała księcia Gwizjusza.

— Jak to nie wiecie się? — odrzekła. — Co mówisz, Henryku?

— Król coraz bardziej przywiązuje się do tych przeklętych hugenotów i jeżeli będziemy czekali na jego przyzwolenie, być może, bardzo długo jeszcze poczekamy z naszym przedsięwzięciem.

— Cóż więc takiego się stało? — zapytała Katarzyna, nie okazując żadnego wzruszenia na twarzy, na którą tak zręcznie, stosownie do potrzeb i okoliczności, przybierała zupełnie odmienne maski.

— Przed chwilą, może już po raz dwudziesty, zadałem Jego Królewskiej Mości pytanie, czy też długo jeszcze znosić będziemy wszystkie zuchwalstwa hugenotów, których osobiście dopuszczają się po zranieniu admirała.

— I cóż ci na to mój syn odpowiedział? — zapytała Katarzyna.

— Odpowiedział: Księżę! Naród musi cię mieć w podejrzeniu, żeś chciał zamordować mojego drugiego ojca, admirała; broń się więc, jak ci się podoba. Co zaś do mnie, jeśli przypiszą mi ten czyn, sam się będę starał oczyścić z zarzutu... Po tych słowach odwrócił się ode mnie i poszedł karmić swoje psy.

— I nie próbowałaś go zatrzymać?

— Owszem. Lecz wtedy odpowiedział mi znanym Waszej Królewskiej Mości głosem, rzuciwszy na mnie pierwej jedno z tych spojrzeń, jemu tylko właściwych: Księżę! moje psy są głodne i nie można ich zmuszać, ażeby czekały: psy nie są ludźmi. Przychodzę więc zawiadomić o tym Waszą Królewską Mość.

— Bardzo dobrze uczyniłeś — odpowiedziała królowa-matka.

— Cóż teraz robić?

— Użyć ostatniego środka.

— Któż się tego podejmie?

— Ja! Czy król jest sam?

— Nie. Jest u niego pan de Tavannes.

— Zaczekaj tu. Albo lepiej idź za mną w oddaleniu.

Katarzyna powstała i udała się do pokoju, w którym na dywanach tureckich i aksamitnych poduszkach wylegiwały się ulubione charty króla.

Na prętach umocowanych w ścianie siedziały trzy sokoly i mała sroczka; Karol IX zabawiał się łapaniem małych ptaszków w ogrodach starego Luwru i Tuilleries, zaczynających się wówczas budować.

Idąc królowa przybrała na twarz bladość i wyraz smutku, a w oku jej zabłysła ostatnia, a raczej może pierwsza łza.

Bez szmeru przystąpiła do Karola IX, rozdającego psom kawałki ciasta pokrajane na równe części.

— Mój synu — przemówiła Katarzyna z tak dobrze wlanym wzruszeniem, że król zadrżał.

— Czego pani żądasz? — zapytał odwracając się szybko.

— Oto przyszłam prosić cię, mój synu, ażebyś pozwolił mi odjechać do któregoś z twoich zamków, byleby tylko w jak najodleglejszej stronie Francji położonego.

— Dlaczegoż to?... — zapytał Karol IX, utkwivszy w matce szklane oczy, które niekiedy stawały się bardzo przenikliwymi.

— Dlatego, że codziennie obrażają mnie hugonoci, dlatego, że dzisiaj słyszałam cię grożącego protestantami w naszym Luwrze. Nie chcę dłużej być świadkiem podobnych scen.

— Lecz cóż mam robić, matko? — odpowiedział Karol IX z głębokim przekonaniem. — Chciano zabić admirała; podły morderca zabił już im odważnego de Mouya. Na Boga! Przecież trzeba, moja matko, ażeby była w królestwie jakaś sprawiedliwość.

— O! bądź pewny, mój synu — zawołała Katarzyna — że twoja sprawiedliwość nie zakończy ich zemsty; gdyż jeżeli tej im odmówisz, sami sobie dadzą zadośćuczynienie. Dzisiaj mnie, jutro księciu Gwizjuszowi, a pojutrze tobie będą się starali odplacić.

— Tak sądzisz, pani? — odpowiedział Karol IX głosem, w którym pierwszy raz przebiło się lekkie wahanie.

— Czyż nie widzisz — mówiła Katarzyna nie panując już nad uniesieniem — że tu nie idzie o zamordowanie Franciszka Gwizjusza lub też admirała, nie o protestancką lub katolicką religię, lecz po prostu o strącenie z tronu syna Henryka II i o posadzenie syna Antoniego de Bourbon?!

— O! już zaczynać, moja matko, przesadzać — rzekł król.

— Jakież więc twoje zdanie, mój synu?

— Czekać, matko, czekać. W tym słowie zamyka się cała mądrość ludzka i podług mnie ten jest największy, najsilniejszy, a osobliwie najzręczniejszy, kto umie czekać.

— Więc czekaj, lecz ja czekać nie myślę.

Przy tych słowach Katarzyna skłoniła się i chciała wyjść. Karol IX zatrzymał ją.

— Cóż więc mam czynić, matko? — zapytał. — Jestem przede wszystkim sprawiedliwy i chciałbym, żeby wszyscy byli ze mnie zadowoleni.

Katarzyna zbliżyła się.

— Panie hrabio — rzekła do pana de Tavannes bawiącego się ze sroką — powiedz królowi, co byś uczynił będąc na jego miejscu.

— Czy Wasza Królewska Mość pozwalasz? — zapytał hrabia. — Mów, Tavannes, mów.

— Co Wasza Królewska Mość robi w takim razie na polowaniu, kiedy ranny dzik rzuca się na niego?

— Z odwagą go oczekuję i przebijam oszczepem — odparł Karol IX.

— Po to tylko, aby uniknąć rany — dodała Katarzyna.

— I dla rozrywki — podjął król z uśmiechem znamionującym jego odwagę posuniętą do wściekłości — lecz ja nie będę się bawił zabijając swoich poddanych, a hugenoci w moich oczach mają równą z katolikami wartość.

— W takim razie — powiedziała Katarzyna — poddani twoi protestanci zrobią ci to samo, co dzik, którego nie przebito oszczepem; oni cię strącą z tronu.

— O! tak pani myślisz?... — rzekł Karol IX tonem okazującym wyraźnie, że niewielką przykłada wagę do przepowiedni matki.

— Czyż nie widziałeś dzisiaj de Mouya z jego towarzyszami?

— Widziałem, właśnie niedawno wyszli ode mnie. Lecz czyż domagał się on czegoś niesłusznego?! Żądał śmierci mordercy swego ojca i admirała. Czyż nie ukarałem hrabiego de Montgomery za śmierć mojego ojca, a twojego męża, pomimo że śmierć ta zadana była przypadkiem?

— Dosyć już, Najjaśniejszy Panie — powiedziała urażona Katarzyna — nie mówmy lepiej o tym. Wasza Królewska Mość znajdujesz się pod opieką Boga. Bóg dał ci siłę, mądrość i wiarę. Lecz ja, nędzna kobieta, opuszczona zapewne przez Niego za grzechy moje, drzę z obawy i ustępuję.

Po tych słowach Katarzyna skłoniła się po raz drugi i wyszła, dając znak księciu Gwizjuszowi, który wszedł pod koniec rozmowy, ażeby pozostał i po raz ostatni spróbował nakłonić króla.

Karol IX odprowadził matkę wzrokiem, już jej jednak nie zatrzymując? teraz. Potem zaczął bawić się z psami, pogwizdując piosenkę łowiecką.

Nagle przerwał.

— Matka moja ma szczególny umysł; nigdy nad niczym nie pomyśli. Nic nie znaczy dla niej zabić kilkudziesięciu hugenotów za to, że przyszli prosić! o sprawiedliwość. Czyż nie mają oni do tego prawa?

— Kilkudziesięciu? — powtórzył książę Gwizjusz.

— A... książę tutaj — powiedział król udając, że go dopiero teraz spostrzegą. — Tak, kilkudziesięciu; niezły ubytek! O! gdyby kto do mnie przyszedł i odezwał się tymi słowy: „Najjaśniejszy Panie! uwolnię cię od razu j od wszystkich nieprzyjaciół, tak że nazajutrz nikt ci ich śmierci wyrzucać nie będzie”, a w takim razie, to co innego.

— A więc, Najjaśniejszy Panie...

— Tavannes — przerwał król — zamordujesz Margot. Posadź ją na miejsce. Że nosi imię mojej siostry, królowej Nawarry, to jeszcze nie powód, ażeby wszyscy mieli się z nią pieścić.

Tavannes posadził srokę na pręcie i zaczął bawić się uszami charta.

— Więc gdyby kto powiedział Waszej Królewskiej Mości: „Najjaśniejszy Panie! jutro będziesz uwolniony od wszystkich swoich nieprzyjaciół”, to...

— A za pośrednictwem jakiego świętego stałby się ów wielki cud?

— Dzisiaj mamy 24 sierpnia, a zatem świętego Bartłomieja...

— Ha! znakomity święty — mruknął król — dał się żywcem obedrzeć ze skóry.

Księżę złowieszczo się uśmiechnął.

— I to ty, kochany braciszku — mówił dalej król — ty swoją małą szpadą ze złotą rękojeścią chcesz zamordować do jutrzejszego dnia dziesięć tysięcy hugenotów. Ha! ha! ha! No proszę! co to z ciebie za żartownisi! I król parsknął śmiechem, lecz tak wymuszonym, że echo powtórzyło go jakimś ponurym dźwiękiem.

— Najjaśniejszy Panie! tylko jedno słowo — odezwał się księżę, mimo woli zadrżawszy na ten śmiech, w którym nie było nic ludzkiego — dość skinać, a wszystko będzie gotowe. Mam Szwajcarów, przeszło tysiąc szlachty, lekką jazdę, mieszczan; Wasza Królewska Mość ma swoją gwardię, przyjaciół, szlachtę katolicką... Jest nas dwudziestu przeciwko jednemu.

— Jeżeli księżę jesteś tak silny, dlaczegóż, u diabła, brzęczysz mi o tym nad uszami... Rozporządź się bezę mnie.

I król obrócił się do psów.

Portiera podniosła się i znowu ukazała się Katarzyna.

— Wszystko idzie dobrze, cel już bliski — szepnęła księciu — nalegaj na niego, a ustąpi.

Portiera znów opadła.

Karol IX nie widział tej sceny, a może udawał, że nie widzi.

— Chciałbym jednak wiedzieć — rzekł księżę Gwizjusz — w razie jeżeli sam zacznę działać, czy rozporządzenia moje podobają się Waszej Królewskiej Mości?

— Doskonale, Henryku, przykładasz mi nóż do gardła; lecz nie sądz, że ci się poddam, czyż nie jestem królem?

— Nie, jeszcze nie, Najjaśniejszy Panie, lecz jeśli zechcesz, jutro możesz nim zostać.

— Tak... a więc — mówił Karol IX — mam pozwolić, żeby zamordowano króla Nawarry, księcia Kondeusza... u mnie w Luwrze... co?

Potem głosem sflumionym dodał:

— Poza Luwrem to co innego.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł księżę — dziś wieczorem pójdą oni na hulankę z księciem d'Alencon.

— Tavannes — zawołał król, doskonale udając zagniewanego — czemu drażnisz psa? Pójdź tu, Akteon.

I Karol IX, nie słuchając więcej, wyszedł z pokoju, pozostawiwszy w zadziwieniu księcia i Tavannesa.

Tymczasem zupełnie inna scena miała miejsce w pokojach Katarzyny, która skinawszy księciu Gwizjuszowi, ażeby nie ustępował, wróciła do siebie i zastała osoby zwykle zbierające się u niej.

Katarzyna wyszła ponura, wróciła zaś z uśmiechem na ustach. Wkrótce pozwoliła odejść swoim damom i dworzanom; pozostała tylko Małgorzata, która siedząc na kufrze przy otwartym oknie, spoglądała na niebo, zatopiona w głębokiej zadumie.

Królowa-matka, pozostawszy sam na sam z córką, po kilkakroć otwierała usta chcąc przemówić, lecz straszna myśl spychała jej słowa z ust w głąb piersi. W tejże chwili wszedł król Nawarry. Piesek leżący na krześle skoczył i pobiegł do niego.

— A, to ty, mój synu? — zapytała Katarzyna zadrżawszy — pozostajesz na wieczy w Luwrze?

— Nie, pani — odpowiedział Henryk — wychodzimy dziś na miasto z panami d'Alencon i Kondeuszem. Sądziłem nawet, że ich tu znajde.

Katarzyna uśmiechnęła się.

— Idźcie, panowie, idźcie... — powiedziała. — Mężczyźni są szczęśliwi, że mogą zawsze wychodzić... Nieprawdaż, moja córko?

— W istocie — odparła Małgorzata — swoboda jest rzeczą nieocenioną!

— Czy nie chcesz, pani, przez to powiedzieć, że to ja ci ją wydzieram? — rzekł Henryk kłaniając się żonie.

— Nie, panie, ubolewam nie nad sobą, lecz w ogóle nad kobietami.

— Czy czasem, mój synu, nie odwiedzisz admirała? — zapytała Katarzyna.

— Być może wstąpię do niego.

— Uczyni to, a dasz dobry przykład. Jutro zaś powiadomisz mnie o jego zdrowiu.

— Pójdę więc, jeżeli mój zamiar uważasz pani za dobry.

— Ja? — odrzekła Katarzyna — ja nic nie śmiem radzić... Lecz kto tam? Odpraw, mój synu; nie przyjmuję nikogo.

Henryk postąpił kilka kroków ku drzwiom, aby wypełnić rozkaz królowej-matki, lecz w tej chwili uchylono portierę i jasna główka pani de Sauve wsunęła się do pokoju.

— Pani — powiedziała Karolina — przyszedł perfumiarz René, którego Wasza Królewska Mość raczyłaś zawołać.

Katarzyna rzuciła na króla Nawarry spojrzenie szybkie jak błyskawica.

Młody książę zaczerwienił się z lekka, a potem nagle straszną pokrył się bladością.

Nazwisko, które wymówiono, nosił zabójca jego matki.

Henryk, czując, że twarz jego zdradza wewnętrzne wzruszenie, oparł się na parapecie okna.

Piesek zaszczekał.

W tej chwili weszły dwie osoby: jedna, którą już oznajmiono, i druga, mająca zawsze wolny wstęp.

Pierwszą był perfumiarz René. Zbliżył się on do królowej, pełen unizonej grzeczności sług florenckich, trzymając w rękach otwartą szkatułkę, której wszystkie przegródki napełnione były proszkami i flakonikami.

Drugą osobą była księżna Lotaryńska, starsza siostra Małgorzaty. Weszła ona tajemnymi drzwiczkami, prowadzącymi do gabinetu króla. Księżna „była blada i drżała; spodziewając się, że Katarzyna, zajęta z panią de Sauve oglądaniem szkatułki przyniesionej przez Reného, nie spostrzeże jej, usiadła obok Małgorzaty; król Nawarry stał obok żony, z ręką na czole, jak człowiek, co nagle olśniony światłem, stara się przyjść do siebie.

Prawie w tejże chwili Katarzyna zwróciła się do Małgorzaty i rzekła:

— Moja córko, możesz już odejść do siebie. A ty, mój synu, możesz iść pobawić się na mieście.

Małgorzata wstała; Henryk obrócił się, zamierzając wyjść. Księżna Lotaryńska pochwyciła Małgorzatę za rękę.

— Sostro — powiedziała cicho i prędko — na imię Gwizjusza, któremu ocaliłaś życie i który teraz ratuje twoje, zaklinam cię, nie oddalaj się stąd, nie chodź do swoich pokoi.

— Co tam mówisz, Klaudio? — zapytała Katarzyna.

— Nic, matko.

— Ej! ty coś szepnęłaś Małgorzacie.

— Życzyłam jej dobrej nocy i zarazem oświadczyłam, że księżna de Nevers przesyła jej swoje uszanowanie.

— A gdzie jest ta piękna księżna?

— U swego szwagra, księcia Gwizjusza.

Katarzyna spojrzała na córki podejrzliwie i zmarszczyła brwi.

— Pójdź tutaj, Klaudio — zawołała. Klaudia usłuchała. Katarzyna wzięła ją za rękę.

— Coś jej powiedziała, gaduło? — syknęła królowa, ściskając silnie dłoń córki.

Henryk, nic nie słysząc, lecz nie straciwszy z oczu ani jednego poruszenia królowej, księżnej Klaudi i Małgorzaty, zwrócił się do żony:

— Pozwól mi, pani, ucałować twoją dłoń. Małgorzata wyciągnęła doń drżącą rękę.

— Co ci Klaudia mówiła? — szepnęła Henryk, nachylając się do jej palców.

— Żeby nie wychodziła stąd. Na Boga!... nie wychodź ty także.

Te słowa przebiegły w głowie Henryka jak błyskawica, lecz blask jej był dostateczny, ażeby oświecić go co do całego spisku.

— To jeszcze nie wszystko — powiedziała Małgorzata — oto list przyniesiony przez szlachcica prowansalskiego.

— Pana de La Mole?

— Tak.

— Dziękuję — odrzekł Henryk chowając list.

I odszedłszy od załęcznionej żony, położył rękę na ramieniu florentczyka.

— No i cóż, panie René — zapytał — jakże tam idzie handel?

— Dosyć dobrze — odpowiedział truciciel ze swym zdradzieckim uśmiechem.

— I ja tak myślę — rzekł Henryk — skoro posiadasz za klientów wszystkie ukoronowane głowy nie tylko we Francji, ale i za granicą.

— Wyjawszy głowę króla Nawarry — uczynił zuchwałą uwagę florentczyk.

— Tak, tak! — zawołał Henryk — masz słusność; a jednak biedna moja matka, która u ciebie wszystko kupowała, polecała umierając pamięci mej perfumiarza Reného. Jutro lub pojutrze przyjdź do mnie i przynieś perfumy najlepsze, jakie masz.

— To ci wcale nie wyjdzie na złe — wtrąciła z uśmiechem Katarzyna — mówią...

— Że ode mnie nieosobliwie pachnie — przerwał Henryk śmiejąc się także — lecz któż ci, matko, o tym powiedział? Czy Małgorzata?

— Nie, mój synu — odrzekła Katarzyna — pani de Sauve.

W tejże chwili księżna Lotaryńska, nie mogąc mimo usiłowań zapanować nad sobą, wybuchnęła łkaniem. Henryk nawet się nie obejrzał.

— Co ci jest, siostrze? — zawołała Małgorzata, rzucając się do Klaudii.

— Nic — odpowiedziała Katarzyna stając pomiędzy nimi. — Miewa ona często gorączkę nerwową, którą Mazille radzi leczyć ziołami.

I znowu z większą jeszcze siłą ścisnęła rękę starszej córki: następnie, obracając się do młodszej, rzekła:

— No i cóż, Małgorzato, czyż nie słyszałaś, że cię prosiła, abyś odeszła do siebie? Jeżeli ci tego za mało, rozkazuję ci.

— Przebacz, matko — powiedziała Małgorzata blada i drżąca. — Życzę spokojnej nocy Waszej Królewskiej Mości.

— Spodziewam się, że twoje życzenie się spełni. Dobranoc ci. Małgorzata odeszła wolnym i niepewnym krokiem, na próżno starając się spotkać wzrok męża, który nawet nie obejrzał się za nią.

Nastąpiła chwila milczenia. Katarzyna nie spuszczała z oczu księżnej Lotaryńskiej, z założonymi rękoma spoglądającej na matkę.

Henryk stał odwrócony tyłem, lecz całą tę scenę widział w lustrze, udając, że sobie smaruje wąsy pomadą tylko co wziętą od Reného.

— Cóż, Henryku — zapytała Katarzyna — czy wyjdiesz nareszcie?

— A... prawda! — zawołał król Nawarry. — Na honor! zapomniałem, że książę d'Alencon i książę Kondeusz czekają na mnie. Ten cudowny zapach upoił mnie. Zdaje mi się, że pamięć straciłem. Do widzenia, pani.

— Do widzenia... A jutro nie zapomnij powiadomić mnie o zdrowiu admirała.

— Nie zaniedbam tego uczynić. Febe, czego chcesz?

— Febe! — krzyknęła ze złością Katarzyna.

— Zawołaj ją, pani, do siebie — rzekł Bearnęczyk — gdyż nie chce mnie stąd wypuścić.

Królowa-matka wstała i przytrzymała pieska za obrózkę, dopóki Henryk nie wyszedł z tak wesołą i spokojną twarzą, jak gdyby nie czuł w głębi serca, że życiu jego grozi niebezpieczeństwo.

Piesek, puszczone przez Katarzynę, czując się wolnym, rzucił się za Henrykiem, lecz znalazłszy drzwi zamknięte, ponuro tylko zawył, wsadziwszy długą mordkę za portierę.

— Teraz, Karolino — powiedziała Katarzyna do pani de Sauve — zawołaj mi panów Gwizjusza i Tavannesa, znajdujących się w mojej modlitewni. Po powrocie odprowadzisz do domu księżnę Lotaryńską, gdyż jest cokolwiek słaba.

ROZDZIAŁ VII

NOC 24 SIERPNI 1572 ROKU

Skoro La Mole i Coconnas zjedli w oberży „Pod Piękną Gwiazdą” lichą wieczerzę (gdyż pieczone ptaki były tylko na szyldzie), Coconnas wyciągnął nogi, podparł się łokciami o stół i dopijając ostatniej szklanki wina, zapytał:

— I cóż, czy zaraz idziesz spać, panie de La Mole?

— Na honor, myślę to uczynić, gdyż być może, iż mnie w nocy obudzą.

— I ja także — powiedział Coconnas — jednak zdaje mi się, że w takim razie zamiast iść spać i dać na siebie czekać tym, co po nas przyślą, lepiej każdy sobie podać karty i grajmy. Tym sposobem zastaną nas gotowych.

— Chętnie bym się na to zgodził — odrzekł La Mole — lecz na karty brak mi pieniędzy; całego majątku mam zaledwie sto talarów złotem.

— Sto talarów złotem! — zawołał Coconnas — i jeszcze się pan uskarżasz? Do kroćset, ja mam tylko sześć.

— Wątpię — odparł La Mole — widziałem przecież, jak pan wyjmowałeś z kieszeni worek, który wydawał mi się nie tylko pełny, lecz nawet tego nabity.

— Eh!... — powiedział Coconnas — to są pieniądze przeznaczone na uiszczenie dawnego długu, który muszę oddać staremu przyjacielowi mego ojca, zdaje się, takiemu hugenotowi jak i pan. Tak — dodał uderzywszy się po kieszeni — jest tu sto sztuczek złota, lecz należą one do pana Mercandona. Moja spuścizna ogranicza się, jak już panu powiedziałem, do sześciu talarów.

— Więc jakże będziemy grali?

— Właśnie też dlatego chciałem grać... Zresztą, wiesz pan, jaka mi przyszła myśl?

— Jakaż?

— Obydwaj przyjechaliśmy do Paryża w jednym celu?

— Tak jest.

— Każdy z nas ma silnego protektora?

— Tak jest.

— Pan, bez wątpienia, tak polegasz na swoim jak ja na moim.

— Tak jest.

— A więc przyszło mi na myśl, ażebyśmy najprzód grali o pieniądze, a następnie o najpierwszą otrzymaną łaskę u dworu lub też o pierwsze powodzenie w miłości.

— W istocie to bardzo dowcipnie — odparł z uśmiechem La Mole — lecz przyznam, że nie jestem tak zapalonym graczem, ażebym ośmielił się powierzyć całą mą przyszłość karcie albo kościom; gdyż tak moje życie, jak i twoje bez wątpienia zależeć będzie od pierwszej łaski u dworu.

— Więc nie stawiamy na kartę pierwszej łaski u dworu, lecz grajmy o kochankę.

— Wykonaniu tego zamiaru przeszkadza tylko jedna okoliczność — powiedział La Mole.

— Jakaż?

— Że wcale nie mam kochanki.

— I ja również, lecz spodziewam się, że sobie niezadługo jaką wynajdę. Dzięki Bogu!... nie będę postacią swoją odstraszał kobiet ani też mi tutaj na nich nie zbraknie.

— A więc pod tym względem nie odczujesz braku, panie de Coconnas, lecz ponieważ nie bardzo wierzę w swoją gwiazdę miłosną, grać więc z panem o miłość kochanki byłoby to samo co pana okraść. Dlatego też postaw pan lepiej na kartę swoje sześć talarów, jeżeli je przegrasz, a

będziesz chciał grać dłużej, przecie jesteś szlachcicem, a słowo szlacheckie warte jest tyle co złoto.

— To co innego! — zawołał Coconnas — masz pan słuszność; słowo szlacheckie warte jest złota, zwłaszcza gdy szlachcic jest w łaskach u dworu. Wierz mi pan, że, niewiele ryzykuję stawiając na kartę pierwszą otrzymaną u dworu łaskę.

— Bez wątpienia, możesz ją pan przegrać, lecz ja nie mogę wygrać, gdyż będąc na usługach króla Nawarry, nic nie mogę otrzymać od księcia Gwizjusza.

— A heretyku! zwąchałem cię — mruknął gospodarz, nie przestając czyścić starego kasku. Lecz zaraz zamilkł i przeżegnał się.

— Aha! pokazuj się stąd — mówił Coconnas tasując podane przez chłopca karty — że pan jesteś...

— Kim?

— Hugenotem.

— Kto, ja?

— Tak.

— Przypuśćmy, że tak jest w istocie — rzekł La Mole uśmiechając się. — Czy masz coś przeciw temu?

— O!... dzięki Bogu, nie. Mnie to wszystko jedno. Z całego serca nienawidzę ich religii, lecz nie jestem nieprzyjacielem hugenotów; zresztą teraz są oni w modzie.

— Tak — odpowiedział śmiejąc się La Mole — dowodem tego jest wystrzał z rusznicy do admirała. Czy czasem nie zechcesz pan grać o wystrzał?

— Zostawiam to do woli pańskiej — rzekł Coconnas — ja bylebym tylko grał, mało mnie obchodzi o co.

— Zaczynamy więc — powiedział La Mole, zbierając rozdane karty i układając je w rękę podług kolorów.

— Dobrze, graj pan śmiało i z zaufaniem, bo jeżeli przegram nawet sto talarów złotem, jutro zwrócę je panu.

— A więc szczęście nawiedzi pana we śnie?

— Nie, pójdę go szukać.

— Gdzie, powiedz mi pan? Pójdziemy razem.

— W Luwrze.

— Czy pan tam idziesz tej nocy?

— Tak jest; mam oznaczoną schadzkę z wielkim księciem Gwizjuszem. Skoro tylko Coconnas powiedział, że pójdzie szukać szczęścia w Luwrze,

La Hurière przestał czyścić szyszak i stanął za La Mole'em tak, że sam tylko Coconnas mógł go widzieć, i zaczął dawać mu znaki, lecz Piemontczyk, zajęty grą i rozmową, wcale ich nie postrzegął.

— Dziwna rzecz — powiedział La Mole — prawdę pan mówiłeś, że urodziliśmy się pod jedną gwiazdą. I ja także mam tej nocy oznaczoną schadzkę w Luwrze, nie z księciem Gwizjuszem jednak, lecz z królem Nawarry.

— A hasło znasz pan?

— Znam.

— I umówiony znak?

— Nie.

— A ja wiem; moje hasło jest...

Przy tych słowach Piemontczyka La Hurière zrobił tak wyraźny gest, że Coconnas, właśnie w chwili kiedy podniósł głowę, aby wyjawić swą tajemnicę, zatrzymał się jak wryty. Mina gospodarza uderzyła go bardziej aniżeli przegrana trzech talarów.

La Mole, zauważywszy zdziwienie malujące się na twarzy partnera, obrócił się, lecz ujrzał za sobą oberżystę z założonymi rękoma, ubranego w kask, który przed chwilą czyścił.

— Co panu jest? — zapytał swego towarzysza.

Coconnas spojrział na gospodarza, następnie na La Mole'a, nie odpowiedziawszy ani słowa, gdyż zgoła nie pojmował znaków La Hurière'a. Ten zaś poznał, że już czas pośpieszyć mu na pomoc.

— Ja także bardzo lubię grać — odezwał się nagle — i właśnie kiedy przyszedłem przyjrzeć się, jak panowie gracie, zobaczył mnie pan hrabia w kasku i bez wątpienia zdziwiło go, że zobaczył w takim ubraniu biednego mieszczanina.

— Zabawna figura, nie ma co mówić — zawołał La Mole parsknąwszy śmiechem.

— I cóż — powiedział La Hurière, sprytnie udając człowieka ograniczonego i wzruszając ramionami, jakby chciał ich przekonać o swej niższości — myśmy nie rycerze i wcale nie mamy postaci wykwintnej! Taka szlachta jak panowie łatwo może paradować w złoconych kaskach i z ozdobnymi rapierami. A my bylebyśmy tylko dobrze odbyli wartę...

— Czy chodzisz na wartę? — zapytał La Mole, z kolei tasując karty.

— A jakże, panie hrabio. Jestem sierżantem w oddziale policji miejskiej. Powiedziawszy to, La Hurière, korzystając z tego, że La Mole rozdawał karty, położył palec na ustach na znak milczenia i odszedł.

Coconnas, jeszcze bardziej zdumiony i roztargniony, stracił wkrótce resztę swoich pieniędzy.

— Dobrze, już przegrałeś pan całe sześć talarów. Czy chcesz jeszcze odegrać się na rachunek swego przyszłego szczęścia?

— Jak najchętniej — odrzekł Coconnas.

— Lecz mówiłeś, zdaje mi się, że masz oznaczoną schadzki z księciem Gwizjuszem?

Coconnas zwrócił spojrzenie ku miejscu, gdzie była kuchnia, i zobaczył gospodarza dającego mu, jak i poprzednio, znaki oczyma.

— Tak jest — odparł — lecz jeszcze wcześniej. Lepiej pomówmy o tobie, panie de La Mole.

— Ja myślę, że lepiej będzie pomówić o grze, kochany panie de Coconnas, gdyż jeżeli się nie mylę powinienem wygrać jeszcze sześć talarów.

— A, prawda... zawsze mi mówiono, że hugonoci są szczęśliwi w grze. Niech to diabli porwą! Mam wielką chęć zostać hugenotem.

Oczy La Hurière'a błysnęły jak dwa węgle, lecz Coconnas, zupełnie zajęty grą, nie spostrzegł tego.

— Uczyni to, hrabio, uczyni! — powiedział La Mole — przyjmijmy cię wszyscy z radością.

Coconnas podrapał się za uchem.

— Gdybym był przekonany, że pańskie szczęście stąd się bierze...

— A przy tym — przerwał La Mole — religia nasza tak jest piękna, prosta, czysta!

— I w modzie — dodał Coconnas — a co najgłówniejsze, przynosi szczęście w kartach, gdyż niech mnie diabli porwą, jeżeli za każdym razem nie masz pan w ręku asa, chociaż uważam na pana od samego początku gry. Pan grasz śmiało i honorowo.

— Winieś mi pan znowu sześć talarów więcej — spokojnie wtrącił La Mole.

— Ah!... jak pan mnie ogrywasz — powiedział Coconnas — jeżeli tej nocy nie będę zadowolony z księcia Gwizjusza...

— To cóż?...

— To jutro poproszę pana, ażebyś mnie przedstawił królowi Nawarry; bądź pan jednak spokojny, gdyż jeżeli zostanę hugenotem, będę lepszym aniżeli Luter, Kalwin, Melanchton i wszyscy reformatorowie na świecie.

— Tss! — powiedział La Mole — pogniewasz się pan z naszym gospodarzem.

— Prawda — odrzekł Coconnas oglądając się w kierunku kuchni. — Lecz nie, on nas nie słucha; bardzo jest teraz zajęty.

— Cóż on tam robi? — zapytał La Mole, który nie widział La Hurière'a. — Rozmawia z... Niech mnie diabli wezmą! To on!

— Kto taki?

— Jeden z tych ptaków nocnych, z którym rozmawiał właśnie wtedy, kiedyśmy przyjechali; pamiętasz pan tego człowieka w żółtym kaftanie i szarym płaszczu. A! Jak się oburza! jak się gniewa La Hurière! Powiedz no, rozstrzygasz losy Europy czy co?

Lecz tym razem La Hurière odpowiedział tak energicznym gestem, że Coconnas, jakkolwiek bardzo lubił grać w karty, wstał i zbliżył się do niego.

— Dokąd pan idziesz? — zapytał La Mole.

— Czy pan rozkaże dać wina? — rzekł La Hurière, żywo chwytając Piemontczyka za rękę — zaraz dadzą, Grzegorz, podaj wina!

Następnie szepnął mu do ucha:

— Milczenie, milczenie, jeżeli ci, hrabio, życie miłe! Odpraw natychmiast swego towarzysza.

La Hurière był tak blady, a jego towarzysz tak posępny, że Coconnas uczuł, jak dreszcz przebiegł mu po całym ciele.

Następnie, zwróciwszy się do La Mole'a, powiedział:

— Daruj mi, panie de La Mole, przegrałem już pięćdziesiąt talarów. Dzisiaj mi jakoś nie idzie. Już więcej grać nie myślę.

— Bardzo dobrze, jak się panu podoba — odrzekł La Mole. — Zresztą, cieszę się, że będę mógł cokolwiek odpocząć. La Hurière!

— Co pan hrabia rozkażesz?

— Jeżeli po mnie kto przyjdzie od króla Nawarry, natychmiast mnie obudź. Nie będę się rozbierał, ażeby być gotowym.

— I ja także — rzekł Coconnas — ażeby nie zmuszać Jego Książęcej Mości do oczekiwania na mnie choćby przez chwilę, pójdę przygotować sobie znak. La Hurière, daj mi nożyczki i arkusz białego papieru.

— Grzegorz! — zawołał La Hurière — papieru białego na napisanie listu i nożyczek na wykrojenie koperty!

— Istotnie, tu dzieje się coś nadzwyczajnego — pomyślał Piemontczyk.

— Dobranoc, panie de Coconnas — powiedział La Mole. — Ty zaś, mój gospodarzu, zaprowadź mnie do mego pokoju. Dobranoc.

I La Mole znikł z oberżystą na zakręcie schodów. Wtedy towarzysz La Hurière'a schwycił Piemontczyka za rękę i ciągnąc go w kąt, rzekł prędko:

— Sto razy byłeś pan gotów zdradzić tajemnicę, od której zawisł los królestwa. Bóg zamknął ci usta. Jeszcze jedno słowo, a byłbyś już nie żył. Teraz jesteśmy sami...

— Lecz któż pan jesteś, że śmiesz mówić do mnie takim rozkazującym tonem?

— Czyś pan czasem nie słyszał o Maurevelu?

— Mordercy admirała?

— I kapitana de Mouy.

— Słyszałem.

— Wiedz tedy, że ja jestem Maurevel.

— O!... — zawołał Coconnas.

— Słuchaj więc.

— Naturalnie, że słucham.

— Tss!... — powiedział Maurevel, kładąc palec na ustach. Coconnas nadstawił ucha.

W tej chwili słychać było, jak oberzysta zamykał drzwi w pokoju, a następnie w korytarzu.

Po chwili powrócił, podał krzesła swoim gościom i sam, siadając, powiedział:

— Wszystko zamknięte jak się należy. Panie de Maurevel, możesz mówić. Jedenasta godzina biła na wieży Saint-Germain-l'Auxerrois. Maurevel liczył uderzenia młotka, głucho i ponuro rozchodzące się pośród nocy, a kiedy ostatnie rozplynęło się w powietrzu, zapytał:

— Panie Coconnas, czy jesteś dobrym katolikiem?

Coconnas, zatrwożony wszystkimi tymi przedwstępnymi ostrożnościami, odrzekł: — Tak sędzę.

— I jesteś pan oddany królowi? — mówił dalej Maurevel.

— Duszą i ciałem. Obrażasz mnie pan stawiając podobne pytania.

— O to nie będę się kłócił; udasz się pan tylko za nami.

— Dokąd?

— Niech to pana wcale nie obchodzi. My już cię zaprowadzimy; idzie tu o pańskie szczęście, a może nawet o życie.

— Uprzedzam pana, że o północy muszę być w Luwrze.

— Wszyscy tam idziemy.

— Książę Gwizjusz mnie oczekuje.

— I nas także.

— Lecz ja mam osobne hasło — mówił dalej Coconnas, rozgniewany, że musi dzielić zaszczyt znajdowania się na posłuchaniu z Maurevelem i La Hurière'em.

— I my również.

— Lecz ja mam jeszcze prócz tego umówiony znak.

Maurevel uśmiechnął się, dobył z zanadru kilkanaście krzyżów wyciętych z białej materii, dał jeden La Hurière'owi, drugi hrabiemu de Coconnas, a trzeci wziął sam.

La Hurière przypiął krzyż do kasku, a Maurevel do kapelusza.

— A więc posłuchanie oznaczone jest dla wszystkich? — zawołał zdumiony Coconnas. — Tak, to jest dla wszystkich dobrych katolików.

— To w Luwrze jest uroczystość, ucztą królewska, nieprawdaż?! — zawołał Coconnas. — I chcą stamtąd wypędzić tych psów hugenotów? Doskonale! wyśmienicie!

— Tak, tak, w Luwrze będzie uroczystość — powiedział Maurevel — bankiet królewski, na który hugonoci są zaproszeni. Nie dosyć na tym; oni będą bohaterami tej uroczystości, zapłacą nawet za ucztę. Jeżeli więc pan chcesz należeć do naszych, pójdziemy przede wszystkim zaprosić ich głównego obrońcę, ich Gedeona, jak mówią.

— Admirala? — zapytał Coconnas.

— Tak, tego starego szczura, do którego spudłowałem jak jaki fuszer, chociaż strzelałem z rusznicy należącej do króla.

— Otóż i ja dlatego, panie hrabio, czyściłem szyszak, ostrzyłem szpadę i sztylet — rzekł zadyszany głosem La Hurière zamieniony na rycerza.

Przy tych słowach Coconnas zadrżał i zbłądł; zaczynał bowiem pojmować, w czym rzecz.

— Czyżby?... — zawołał — ta ucztą... ta uroczystość...

— Przecież zaczynasz się pan domyślać — przerwał Maurevel. — Widać, że ci heretycy nie uprzykrzyli się panu, tak jak nam, swymi zuchwałymi Postępkami.

— Więc pan zamierzasz iść do admirała i...?

Maurevel uśmiechnął się i pociągnął Piemontczyka do okna.

— Patrz pan — mówił — czy widzisz na placu, tam, na końcu ulicy, ten który pośród ciemności szykuje się w milczeniu?

— Widzę.

— Oni również, jak La Hurière, jak pan, jak i ja, mają krzyże na kapeluszach.

— Cóż więc?

— Tłum ten jest to oddział Szwajcarów z pomniejszych kantonów, zostających pod dowództwem Toquemota; pan wiesz, że oni trzymają stronę króla.

— O! O!... — rzekł Coconnas.

— Teraz: czy widzisz pan ten tłum rycerzy przechodzący przez bulwar? Czy poznajesz pan ich dowódcę?

— Jakżeż mam go poznać — powiedział Coconnas drżąc na całym ciele — kiedy dopiero dzisiaj wieczorem przybyłem do Paryża.

— Jest to ten, który panu oznaczył schadzkę o północy w Luwrze.

— Księżę Gwizjusz?

— On sam. Z nim idą Marcel i były Choron — terazniejszy starszy zgromadzenia kupców. Oni to podniosą na nogi całe mieszczaństwo. Lecz otóż i kapitan tej dzielnicy wchodzi na naszą ulicę; uważaj pan dobrze, co j będzie robił.

— Puka do drzwi domów. Lecz cóż to widać na drzwiach, do których;] puka?

— Białe krzyże, takie same, jakie, mamy na naszych kapeluszach. Dawniej pozostawiono Bogu wybierać z tłumu swoich! Teraz jesteśmy bardziej] oświeceni i uwalniamy go od tego trudu.

— A! z każdego domu, do którego puka, wychodzą uzbrojeni ludzie.

— Zapuka i do nas, a wtedy i my także wyjdziemy.

— Więc wszyscy tak się gromadzą dlatego tylko, ażeby zamordować jednego starego hugenota? Do diabła! to wstyd! Tak robią rozbójnicy, a nie rycerze.

— Młodzieńcze! — powiedział Maurevel — jeżeli masz wstręt do starców, wybieraj młodych, gdyż będziesz miał w czym przebierać. Jeżeli nie lubisz sztyletu, weź szpadę; hugonoci nie są z tych, co to pozwalają się zarzynać bez oporu. Pan wiesz, że hugonoci, starzy czy młodzi, twardą mają skórę.

— Jak to?! Więc wszystkich ich wymordują?! — zawołał Coconnas.

— Wszystkich.

— Z rozkazu króla?

— Z rozkazu króla i księcia Gwizjusza.

— A kiedyż to?

— Jak uderzą w dzwon na wieży Saint-Gerniain-l'Auxerrois.

— Aha! to dlatego ów kochany Niemiec z dworu księcia Gwizjusza... jak się nazywa?...

— Pan de Besme.

— Tak, tak, prawda. Więc to dlatego pan de Besme mówił mi, ażebym śpieszył zaraz na pierwsze uderzenie w dzwon alarmowy?

— Widziałeś, hrabio, pana de Besme?

— Widziałem, nawet z nim mówiłem.

— Gdzie?

— W Luwrze. On to wprowadził mnie, powiedział hasło i...

— Patrz pan.

— Na Boga! wszak to on!

— Czy chcesz, hrabio, pomówić z nim?

— Na mą duszę! to by nie zaszkodziło. Maurevel szybko otworzył okno.

Besme w samej rzeczy tylko co przeszedł przed oknem z oddziałem dwudziestu ludzi.

— Gwizdus i Lotaryński! — rzekł Maurevel.

Besme stanął i domyślając się, że ktoś ma mu coś do powiedzenia, przybliżył się.

— A! to ty, panie de Maurevel.

— Tak jest, to ja; kogo tu pan szukasz?

— Szukam oberży „Pod Piękną Gwiazdą”, gdyż chciałbym uprzedzić niejakiego pana de Coconnas.

— Jestem tu, panie Besme — odezwał się hrabia.

— A! bardzo dobrze... Jesteś pan gotów?

— Gotów; lecz cóż mam robić?

— Powie to panu Maurevel, który jest dobrym katolikiem.

— A co, słyszysz pan? — zapytał Maurevel.

— Słyszę — odpowiedział Coconnas. — A pan gdzie idziesz, panie de Besme?

— Ja? — zapytał de Besme śmiejąc się...

— Tak jest, pan.

— Ja pójdę tylko powiedzieć słówko admirałowi.

— Powiedz mu pan dwa, gdy się tego okaże potrzeba — dodał Maurevel — tak, że jeżeli na ten raz ocknie się po pierwszym, żeby się już nie ocknął po drugim.

— Bądź pan spokojny, panie de Maurevel; weź tylko tego młodzieńca pod swoją opiekę.

— Dobrze — odpowiedział Coconnas — ja jestem chartem, a psy dobrej rasy polują węchem.

— Do widzenia.

— Śpiesz pan.

— A pan?

— Zacznij pan polować, my nie spóźnimy się na podział łupu. De Besme odszedł, a Maurevel zamknął okno.

— Słyszałeś, młodzieńcze! — rzekł Maurevel. — Jeżeli masz jakiego osobistego nieprzyjaciela, chociażby i nie ze wszystkim hugenota, wszystko jedno, połóż go na swojej liście, a pójdzie na równi z innymi.

Coconnas, ogłuszony wszystkim, co słyszał i widział, spoglądał kolejno to na oberżystę, przybierającego groźne pozy, to na Maurevela, wyjmującego jakiś papier.

— Co się mnie tyczy, oto moja lista — z zimną krwią powiedział Maurevel. — Trzystu! Jeżeli każdy dobry katolik rozprawi się tej nocy choćby z dziesiątą częścią tego, co ja na siebie liczę, to jutro nie będzie ani jednego heretyka w całym królestwie.

— Tss! — szepnął La Hurière.

— Cóż to? — zapytali razem Maurevel i Coconnas.

W tej chwili dało się słyszeć pierwsze uderzenie dzwonu na wieży Saint-Germain-l’Auxerrois.

— Sygnał! — zawołał Maurevel. — A więc zaczniemy wcześniej. Było umówione o północy... tym lepiej! Jeżeli idzie o sławę Boga lub króla, lepsze są zegary, które pośpieszają, niż te, co się spóźniają.

W samej rzeczy, dźwięk kościelnego dzwonu ponuro rozlegał się pośród nocy.

Zaraz potem nastąpił pierwszy wystrzał i prawie tejże samej chwili mnóstwo pochodni oświetliło jak błyskawica ulicę de l’Arbre-Sec.

Coconnas powiódł po czole ręką zwilgotniałą od potu.

— A więc stało się! — zawołał Maurevel. — W drogę!

— Zaraz, zaraz! — zawołał gospodarz. — Zanim wyjdziemy, zabezpieczmy swoje mieszkania, jak to zwykle wypada robić przed wojną. Alboż ja chcę, ażeby zamordowano moją żonę i dzieci, podczas kiedy będę na mieście? Wszak u mnie w domu jest heretyk.

— Pan de La Mole! — zawołał Coconnas zerwawszy się ze stołka.

— A tak, sam wpadł w zasadzkę.

— Jak to?... — zapytał Coconnas — czyż śmiałybyś napaść na swego gościa?

— Wszak to na niego ostrzyłem rapier.

— O! o!... — mruknął Piemontczyk marszcząc brwi.

— Dotychczas zarzynałem tylko zające, kaczki i kury — powiedział szanowny oberżysta — nie wiem więc, jak się trzeba brać do roboty chcąc zabić człowieka. Otóż spróbuję moich zdolności na tym zuchu. Jeżeli to nie wypadnie mi bardzo zręcznie, przynajmniej nie będę miał świadków, którzy by się ze mnie mogli wyśmiewać.

— O, na to to już nie pozwolę! — zawołał Coconnas. — Pan de La Mole jest moim towarzyszem, pan de La Mole ze mną jadł kolację, pan de La Mole grał ze mną w karty.

— Prawda, lecz pan de La Mole jest heretykiem — dodał Maurevel — los pana de La Mole przesądzony i jeżeli my go, nie zabijemy, zabiją go inni.

— Nie mówiąc jeszcze o tym — wtrącił gospodarz — że wygrał od pana pięćdziesiąt talarów.

— To prawda — odparł Coconnas — lecz jestem przekonany, że wygrał je sprawiedliwie.

— Czy sprawiedliwie, czy nie, zawsze musisz mu pan zapłacić. Jeżeli zaś go zabiję, to się pan skwitujesz.

— Nie ma czasu gawędzić! Prędeż do roboty! — krzyknął Maurevel. — Zastrzel go, przebij go, rozbij mu łeb młotem, wszystko jedno, bylebyś tylko z nim skończył jak najprędzej. Inaczej nie będziemy mogli dotrzymać danego słowa i spóźnimy się z pomocą księciu Gwizjuszowi, który wyszedł przeciw panu admirałowi.

Coconnas westchnął.

— Zaraz idę! — zawołał La Hurière — zaczekajcie chwilkę.

— Na Boga! — krzyknął Coconnas — on będzie męczył biedaka, a może i okradnie go. Pójdę i ja, ażeby prędzej skończyć i nie dopuścić do kradzieży.

Wiedziony tą szczęśliwą myślą Coconnas wbiegł na schody w ślad za oberżystą i wkrótce dogonił go, gdyż La Hurière, wchodząc, ze strachu coraz zwalniał kroku.

Kiedy już obaj zbliżyli się do drzwi, rozległo się na ulicy kilka wystrzałów.

W tej chwili usłyszeli, jak La Mole zerwał się z łóżka i zaczął chodzić po pokoju.

— Niech to diabli porwą! — mruknął La Hurière rozgniewany — obudził się!

— I mnie tak się zdaje —, powiedział Coconnas.

— Będzie się zatem bronił.

— Można się po nim tego spodziewać. Ale wiesz co, panie La Hurière, jeżeli on cię zabije, to będzie zabawne.

— Hum! hum! — mruknął gospodarz.

Lecz przypomniawszy sobie, że w ręku ma dobrą rusznicę, uspokoił się i wyważył drzwi silnym uderzeniem nogi.

La Mole, bez czapki, lecz poza tym zupełnie ubrany, stał jakby oszańcowany za łóżkiem, trzymając w zębach szpadę, a w rękach pistolety.

— Aha! — powiedział Coconnas, nadymając nozdrza jak dziki zwierz, który krew zwęszył — zaczyna mnie to bawić. La Hurière! Naprzód, nie obawiaj się!

— A! chcą mnie więc zamordować — wrzasnął La Mole, którego oczy błyszczały jak dwa żarzące się węgle — i to ty, nędzniku!

La Hurière zamiast odpowiedzi wziął na cel La Mole'a. Lecz ten, baczny na wszystko, rzucił się na kolana właśnie w chwili, kiedy nastąpił strzał; kula więc przeszła ponad jego głowę.

— Do mnie! — zawołał La Mole. — Do mnie, panie Coconnas!

— Do mnie! panie Maurevel, do mnie! — wrzasnął La Hurière.

— Na honor! panie de La Mole — rzekł Coconnas — wszystko, co mogę teraz zrobić dla ciebie, ogranicza się do tego, że nie będę cię napastował. Zdaje się, że dzisiejszej nocy mordują hugenotów na rozkaz króla. Broń się więc pan sam, jak możesz i jak umiesz.

— A, zdrajcy! To tak?... Czekać więc!

I La Mole z kolei zmierzył i odwiódł kurek pistoletu. La Hurière, który nie spuścił z niego oka, zdążył odskoczyć na bok, lecz Coconnas, nie spodziewając się strzału, stał na miejscu i kula drasnęła go po ramieniu.

— Na szatana! — ryknął Coconnas zgrzytnąwszy zębami. — We mnie? Więc broń się, skoro domagasz się walki!

I dobywszy szpady podskoczył ku La Mole'owi.

Bez wątpienia, gdyby Coconnas był sam, La Mole byłby gotów się bronić, lecz za Piemontczykiem stał jeszcze La Hurière, nabijający swą rusznicę. Przy tym w tej chwili dały się słyszeć na schodach spieszne kroki Maurevela, biegnącego na wołanie oberżysty.

La Mole rzucił się więc do następnego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

— Ach, łotrze! — wołał rozjuszony Coconnas, waląc w drzwi ręką szpady. — Poczekaj! Poczekaj! Przebiję cię tyle razy, ile talarów wygrałeś ode mnie tego wieczoru! Przyszedłem skrócić twe męczarnie! ach!... przyszedłem, żeby cię nie okradziono, a ty, zamiast być wdzięcznym, posłałeś mi kulę? Poczekaj, łotrze.

W tej chwili La Hurière zbliżył się do drzwi i rozbił je na kawałki kolbą rusznicy.

Coconnas rzucił się do pokoju, lecz omal nie uderzył nosem w ścianę; pokój był pusty, a okno otwarte.

— Bez wątpienia skoczył z okna — zauważył gospodarz — a ponieważ mieszkamy na czwartym piętrze, niezawodnie tedy zabił się.

— Lub też ratował się ucieczką po dachu sąsiedniego domu — powiedział Coconnas, wskazując na okno i zamierzając ścigać go tą drogą.

Lecz Maurevel i La Hurière rzucili się ku niemu i odciągnęli z powrotem do pokoju.

— Czyś pan oszalał? — zawołali obydwoj razem. — Zabijesz się.

— Ale gdzie tam — odpowiedział Coconnas — jestem góralem, przyzwyczajonym chodzić po wierzchołkach lodowych gór. Zresztą, jeżeli mnie kto raz obrazi, gotów jestem polecieć za nim do nieba lub zejść do piekła jakąkolwiek drogą. Puśćcie mnie więc.

— Bardzo dobrze! — zawołał Maurevel. — Lecz on albo się zabił skacząc, albo uciekł już daleko. Chodź więc pan z nami. Jeżeli ten wymknie się, mała szkoda, znajdziesz pan tysiące innych.

— Masz słuszność — zawołał Coconnas. — Śmierć hugenotom! Muszę się zemścić! im prędzej, tym lepiej.

I wszyscy trzej zbiegli ze schodów jak szaleni.

— Do admirała! — zawołał Maurevel.

— Do admirała! — powtórzył La Hurière.

— A więc do admirała, kiedy chcecie! — wykrzyknął z kolei Coconnas. Wszyscy trzej wypadli z oberży, pozostawionej obronie Grzegorza i innych sług, i pobiegli do mieszkania admirała na ulicę de Bethisy.

Gwałtowne światło i huk strzałów wskazywały im drogę.

— Kto to? — zapytał Coconnas. — Co to za człowiek bez kaftana i szarfy?

— To ktoś umyka — rzekł Maurevel.

— No i cóż, czegoż stoicie? — zawołał Coconnas. — Wszak macie rusznice.

— Ja chowam swój nabój na lepszą zwierzynę — odpowiedział Maurevel.

— Więc ty, La Hurière.

— Zaczekaj pan — odpowiedział oberżysta, biorąc nieszczęśliwego na cel.

— Tak, tak! Zaczekaj — wołał Coconnas — a tymczasem heretyk ucieknie. Coconnas rzucił się za uciekającym i wkrótce dogonił go, gdyż nieszczęśliwiec ów był już ranny.

Lecz w chwili, kiedy Coconnas, nie chcąc go ciąć z tyłu, zawołał: „Obróć się! obróć się!”, strzał nastąpił, kula świsnęła mu nad uchem, a uciekający padł jak zając postrzelony w podskoku.

Okrzyk zwycięski dał się słyszeć w tyle za Piemontczykiem.

Coconnas obejrzał się i zobaczył La Hurière’a potrząsającego rusznicą.

— A! — powiedział ten — teraz już nie chybiłem.

— Lecz o włos mnie nie zabiłeś.

— Strzeż się, hrabio, strzeż! — wołał La Hurière. Coconnas rzucił się w tył.

Raniony podniósł się na jedno kolano; myśląc tylko o zemście, chciał pchnąć Piemontczyka sztyletem właśnie w chwili, kiedy go ostrzegł La Hurière.

— A!... zmij — zawołał Coconnas.

I rzuciwszy się na rannego, trzy razy zanurzył mu w piersi szpadę po samą rękojeść.

— Teraz do admirała! — zawołał Coconnas rzucając konającego hugenota. — Do admirała!

— Zdaje mi się, że pan zaczynasz w tym smakować — powiedział Maurevel.

— Tak jest — odrzekł Coconnas. — Nie wiem, czy mnie odurzył zapach prochu, czy też widok krwi dodaje mi podniety, lecz znajduję wielką przyjemność w rzezi. Dotychczas polowałem na wilki i niedźwiedzie, lecz polowanie na ludzi daleko większą sprawia mi rozrywkę.

I wszyscy trzej poszli dalej.

ROZDZIAŁ VIII

ZAMORDOWANI

Pałac zamieszkiwany przez admirała znajdował się, jak już wyżej powiedzieliśmy, na ulicy de Bethisy.

Był to wielki gmach; a w głębi obszernego podwórca wznosił się główny budynek, od którego ciągnęły się ku ulicy dwa skrzydła. Na podwórze wchodziło się przez wielką bramę i dwie furtki, umieszczone w murze opasującym zabudowania pałacu.

Kiedy nasi trzej znajomi weszli na ulicę de Bethisy z ulicy des Fosses–Saint–Germain–l’Auxerrois, ujrzeni pałac admirała otoczony Szwajcarami, żołnierstwem i uzbrojonymi mieszczanami.

Każdy z nich w prawej ręce miał szpadę, pikę lub rusznicę, niektórzy zaś trzymali w lewym ręku pochodnie, świecące drgającym płomieniem, co ślizgał się już to po bruku, już to po ścianach, już to na koniec odbijał się błyskawicą na ostrzach oręża.

Naokoło domu i w pobliskich ulicach: Tirechappe, Etienne i Bartin–Poiree rozpoczęła się już straszliwa rzeź. Ze wszech stron dawały się słyszeć bolesne jęki, strzały; czasami w świetle można było ujrzeć przebiegające nieszczęsne ofiary, na pół nagie, blade, pokrwawione.

W mgnieniu oka Coconnas, Maurevel i La Hurière, z daleka poznani po białych krzyżach i przyjęci z okrzykiem radości, znaleźli się pośród ścieśnionej tłuszczy.

Bez wątpienia, nie mogliby postąpić ani kroku naprzód, gdyby nie kilku żołnierzy, którzy poznawszy Maurevela, zrobili mu miejsce. Coconnas i La Hurière przemknęli za nim i wszyscy trzej weszli na podwórze.

W pośrodku tego podwórza, do którego wszystkie trzy wejścia były już wyłamane, stał człowiek otoczony mordercami, trzymającymi się naokoło niego w przyzwoitej odległości.

Człowiek ten, oparłszy się na obnażonej szpadzie, skierował wzrok na ganek, wznoszący się mniej więcej na piętnaście stóp nad głównymi drzwiami domu. Niecierpliwie tupał nogą i czasem rzucał pytania stojącym bliżej.

— I jeszcze nic! — szepnął. — Nikogo... Czy go uprzedzono, czy uciekł? Co myślisz o tym, Du Gast?

— Niepodobieństwo, ażeby miał uciec.

— Dlaczegoż? Czy sam nie mówiłeś mi, że na chwilę przed naszym przybyciem przybiegł tu jakiś człowiek, z odkrytą głową i dobytą szpadą; że człowiek ten, jakby ukrywający się przed pogonią, pukał tu do drzwi i że mu je otworzono?

— Tak jest, powiedziałem to w samej rzeczy, lecz prawie tejże samej chwili przybył tu pan de Besme z żołnierzami; bramy wyłamano i dom otoczono. Nieznajomy wszedł, lecz nie wyszedł.

— Jeżeli się nie mylę — rzekł Coconnas do La Hurière’a — to jest księżę Gwizjusz.

— On sam. Wielki Henryk Gwizjusz czeka na wyjście admirała, ażeby z nim zrobić to samo, co admirał zrobił z jego ojcem. Na każdego przyjdzie kolej i chwała Bogu! przyszła dzisiaj na nas.

— Hola! Besme!... hola... — zawołał księżę swoim donośnym głosem — czyż jeszcze nie koniec?

I niecierpliwie uderzył końcem szpady o kamienie, krzesząc z nich iskry.

Teraz dał się słyszeć w pałacu krzyk, potem wystrzały, potem szczęk broni, naraz wszystko ucichło.

Księżę chciał się rzucić do domu.

— Mości książę! — zawołał Du Gast wstrzymując go — godność twoja każe czekać i być cierpliwym!

— Masz słuszność, Du Gast, dziękuję ci! zaczekam... Lecz doprawdy umieram z, niecierpliwości i niepokoju. A jeżeli on mi się wymknie?

Nagle dały się słyszeć kroki... Szyby pierwszego piętra zajaśniały jakby od pożaru. Okno, na które książę tak często spoglądał, otworzyło się, a raczej rozleciało w kawałki i na balkonie stanął człowiek z bladą twarzą i zakrwawioną szyją.

— Besme! — krzyknął książę. — Nareszcie! No i cóż?! cóż?!

— Patrz, mości książę! — z zimną krwią odpowiedział Niemiec, pochylając się i na powrót podnosząc z trudem, jakby dźwigał jakiś znaczny ciężar.

— A inni gdzie są? — zapytał z niecierpliwością książę.

— Inni dobijają innych.

— A ty! ty cóżeś zrobił?

— Zaraz książę zobaczysz. Niech Wasza Książęca Mość usunie się cokolwiek na bok.

Książę cofnął się na krok. Teraz dopiero można było rozpoznać, co to był za przedmiot, który Besme podnosił z takim wysiłkiem. Był to trup starca. Wzniósł on go nad balkon, zakołysał w powietrzu i rzucił pod nogi swego pana. Głuchy łoskot upadku i krew, bryzgająca daleko, przejęły strachem nawet samego księcia. Lecz trwoga ta była chwilowa, jak błyskawica. Ciekawość przeważyła i wszyscy posunęli się o kilka kroków naprzód, aby oświecić i przypatrzeć się nieszczęsnej ofierze. Ujrzeni wtedy siwe włosy, poważną twarz i skostniałe ręce umierającego.

— Admirał! — krzyknęło i zamilkło na raz ze dwadzieścia głosów.

— Tak jest, admirał. To on rzeczywiście — rzekł książę zbliżając się do trupa, ażeby w milczeniu nacieszyć się tym widokiem.

— Admirał! admirał! — powtórzyli półgłosem wszyscy świadkowie tej sceny, cisnąc się jeden przez drugiego i z bojaźnią zbliżając się do trupa starca.

— A! jesteś nareszcie, Gaspardzie! — zawołał z triumfem książę Gwizjusz. — Tyś kazał zabić mego ojca, mszczę się za niego.

I ośmielił się postawić nogę na piersiach bohatera protestanckiego.

Lecz w tej chwili oczy umierającego otwarły się z trudnością, skrwawiona i strzaskana ręka zdrząła ostatni raz i admirał, uniósłszy się cokolwiek, przemówił grobowym głosem:

— Henryku Gwizjuszu! przyjdzie czas, w którym i ty także uczujesz na swej piersi nogę mordercy. Ja nie zabiłem twego ojca. Przeklinam cię! przeklinam!...

Książę zbladł mimo woli i poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po, ciele. Położył rękę na czole, jakby chcąc odpędzić okropne widziadło. Kiedy opuścił rękę i znowu ośmielił się spojrzeć na admirała, oczy zabitego były już zamknięte na zawsze, ręka nieruchoma, a na ustach, które tylko co wymówiły te słowa, wystąpiła czarna, zsiadła krew.

Na znak zwycięstwa książę wzniósł szpadę ze śmiałością, jaką daje tylko rozpacz.

— Czy Wasza Książęca Mość jesteś zadowolony? — zapytał Besme.

— Tak — odparł Henryk — gdyż pomściłeś...

— Księcia Franciszka, nieprawdaż?

— I religię — głucho odpowiedział Henryk. — Teraz — mówił dalej, zwracając się ku Szwajcarom, żołnierzom i mieszczanom napełniającym podwórzec i ulicę — teraz, przyjaciele moi, do roboty!

— A! jak się masz, panie de Besme — powiedział Coconnas, przybliżając się prawie z uszanowaniem do Niemca, stojącego jeszcze na balkonie i spokojnie ocierającego krew ze szpady.

— Więc to pan tak go pięknie sprowadziłeś na dół! — w uniesieniu] zawołał La Hurière. — Jakimże sposobem to zrobiłeś?

— O, bardzo prostym, bardzo prostym. Admirał usłyszał hałas, otworzył drzwi, a ja nadziałem go na szpadę. Ale to jeszcze nie wszystko; zdaje mi się, że się dostało i Teligny'emu. Słyszycie? To on woła o pomoc.

W tym momencie dał się rzeczywiście słyszeć krzyk rozpacz, jakby kobiety. Czerwonawy blask oświecił jedno ze skrzydeł pałacu. Można było wtedy widzieć dwóch ludzi uciekających przed tłumem morderców.

Kula zabiła jednego; drugi w biegu znalazł się przed otwartym oknem i nie zmierzwszy wysokości, nie myśląc o tym, że na dole oczekują go nowi nieprzyjaciele, skoczył z nieustraszoną odwagą na podwórze.

— Zabić, zabić go! — krzyczeli mordercy widząc, że ofiara może im wymknąć.

Uciekający podniósł się, porwał szpadę, która mu w czasie skoku z rąk wypadła, i schyliwszy głowę rzucił się pomiędzy morderców.

Obalił trzech czy czterech, jednego przebił szpadą i pośród huku strzałów i przekleństw rozjuszonego żołnierstwa przemknął się jak błyskawica koło Piemontczyka, który oczekiwał go w bramie ze sztyletem w ręku.

— Mam cię! — krzyknął Coconnas, przeszywając mu rękę cienką i ostrą klingą sztyletu.

— A łotr! — odpowiedział uciekający i ciął szpadą przez twarz swego nieprzyjaciela, nie mogąc przebić go na wskroś z powodu braku miejsca.

— O! do kroćset! — zawołał Coconnas — to pan de La Mole!

— Pan de La Mole! — powtórzyli La Hurière i Maurevel.

— To ten sam, który uprzedził admirała! — zawołało kilku żołnierzy.

— Zabić! zabić... — krzyknęto ze wszystkich stron.

Coconnas, La Hurière i z dziesięciu żołnierzy rzuciło się za La Mole'em, który cały już skrwawiony zebrał z rozpaczą wszystkie siły ludzkie i uciekał przez ulice, wiedziony tylko instynktem. Krzyki rozlegające się za nim i hałas goniących nieprzyjaciół dodawały mu jakby skrzydeł.

Czasami kula świsnęła mu nad uchem, a czując, że może upaść, zaczynał biec z nową siłą.

Teraz już nie oddychał, lecz tylko głucho chrypiał, jak konający.

Pot i krew, ciekąc z włosów spływały mu po twarzy.

Wkrótce suknie stały się za ciasne dla uderzeń jego serca; zdarł je z siebie.

Szpada ciążyła mu w ręku; rzucił ją.

Czasami zdawało mu się, że kroki za nim cichną i że niedługo ukryje się przed swoimi katami, lecz na wołanie zmęczonych morderców zajmowali ich miejsce inni i znów gonili go ze wszystkich sił.

Nagle ujrzał po lewej stronie spokojnie płynącą rzekę; jak konający jeleń, uczuł nieopisany pociąg, aby rzucić się w wodę, lecz wstrzymała go jeszcze resztką rozsądku.

Na prawo wznosił się Luwr, ciemny, smutny, nieruchomy, lecz głucho brzęmiący wewnątrz. Po zwodzonym moście wchodzili i wychodzili ludzie w kaskach i zbrojach, słabo odbijających promienie księżyca.

La Mole pomyślał o królu Nawarry, jak wprzód pamiętał o Coligny'm. Byli to jedyni jego obrońcy. Zebrał ostatek sił, wznosił oczy ku niebu i w milczeniu uczynił ślub, iż wyrzecz się swej wiary, jeżeli się uratuje.

Oszukał zwinnym obrotem swych nieprzyjaciół, rzucił się prosto do Luwru, wpadł na most, zmieszał się z tłumem żołnierzy, otrzymał jeszcze w bok lekką ranę sztyletem i nie zważając na krzyki: „Bij! zabij”, rozlegające się ze wszystkich stron, nie zważając na przeszkody czynione

mu przez warty, jak strzała wpadł na podwórze, rzucił się do sieni, na schody, na drugie piętro, znalazł drzwi i zaczął w nie walić rękami i nogami.

— Kto tam? — zapytał głos kobiecy.

— O! Boże, Boże mój! — mówił cichym głosem La Mole — już idą... słyszę ich... już są blisko... widzę ich... To ja! ja...

— Kto tam? — powtórzył ten sam głos co poprzednio. La Mole przypomniał sobie hasło.

— Nawarra! Nawarra! — zawołał.

Drzwi natychmiast się otworzyły; La Mole, nic nie widząc i nie dziękując Gillonnie, wpadł do przedsiönka, przebiegł korytarz, dwa czy trzy pokoje i zatrzymał się dopiero w czwartym, oświetlonym lampą wiszącą u sufitu.

Za aksamitną kotarą, haftowaną w złote, lilie, na dębowym rzeźbionym łóżku spała kobieta w nocnym stroju, wsparta na ręku. Na ów niespodziewany hałas kobieta otworzyła z przerażenia oczy. La Mole rzucił się ku niej.

— Zabijają, mordują mych braci! — zawołał. — I mnie chcą także zamordować. A! tyś królowa... ratuj mnie więc.

I rzucił się do jej nóg, zostawiając za sobą na dywanie szeroki krwawy ślad.

Ujrawszy tego bladego, wycieńczonego i klęczącego przed sobą młodzieńca, królowa Nawarry, która wskutek ostrzeżenia księżnej Lotaryńskiej położyła się do łóżka nie rozebrana, zerwała się i zakrywszy rękoma twarz, zaczęła wołać o pomoc.

— Na Boga! królowo, nie przywołuj nikogo — powiedział La Mole starajcie się podnieść — zginąłem, jeżeli cię usłyszą! Mordercy szukają mnie, wpadli za mną na schody. Słyszę ich... otóż i oni! otóż oni!...

— Ratunku! — zawołała Małgorzata odchodząc od zmysłów — ratunku!...

A! więc ty, królowa, mnie zabijasz! — zawołał La Mole w rozpacz. — Usłyszeć wyrok śmierci wyrzeczony tak słodkim głosem, umrzeć z tak pięknej ręki — sądziłem, że to niepodobieństwo.

W tej chwili drzwi otworzyły się i do pokoju wpadł tłum ludzi zadyszanych, wściekłych, z twarzami zbluzganymi krwią, uzbrojonych pikami, halabardami, szpadami i muszkietami.

Na przodzie był Coconnas. Jego rozczochrane rude włosy, bladoniebieskie oczy niezmiernie wytrzeszczone, poorany policzek, na którym La Mole swoją szpadą pozostawił krwawe bruzdy, czyniły Piemontczyka tak okropnym, że strach było patrzeć na niego.

— A! na szatana! — ryknął. — Otóż i on! on! A! teraz już nam nie ujdiesz.

De La Mole rzucił wzrokiem naokoło, szukając jakiejś broni, lecz nigdzie żadnej nie dostrzegł. Spojrzał na królową; na twarzy jej malowało się głębokie współczucie. I rozumiejąc, że tylko ona może go uratować, rzucił się ku niej i objął ją rękoma.

Coconnas postąpił trzy kroki naprzód i jeszcze raz ukłuł nieprzyjaciela w ramię końcem długiej szpady; kilka kropli czerwonej, gorącej krwi trysnęło na białe, pachnące szaty królowej. Małgorzata widziała płynącą krew, czuła dreszcz ściskającego ją ciała i rzuciła się z nim na łóżko. Był też już czas po temu. De La Mole, utraciwszy ostatek sił, nie mógł ani uciekać, ani bronić się. Opuścił bezwładną głowę na łono młodej kobiety, ręce jego konwulsyjnie chwyciły jej suknie, rozdierając delikatny haftowany batyst okrywający ciało Małgorzaty.

— A! ratuj mnie pani! — szepnął konającym głosem.

Więcej już nie mógł powiedzieć ani słowa. Mrok śmierci pokrył jego oczy, ociężała głowa opadła w tył, opuścił ręce i padł na podłogę, nurzając się we własnej krwi i pociągając za sobą królową.

W tej chwili Coconnas, podburzony krzykami, chciwy krwi, rozdrażniony długim biegiem, wyciągnął ręce ku alkwie królewskiej. Jeszcze chwila, a spada jego przebiłaby serce La Mole'a, a może razem i serce królowej.

Czy to na widok gołego błyszczącego żelaza, czy też wskutek jakiejś niewytłumaczonej zuchwałej odwagi królowa powstała i krzyknęła tak przenikliwym głosem z przestachu, oburzenia i wściekłości, że Piemontczyk stanął jak wryty, przejęty nie znanym dotychczas uczuciem. Zresztą gdyby ta scena trwała dłużej, uczucie to stopniałoby jak śnieg od kwietniowego słońca.

W tejże chwili w ukrytych w murze drzwiczkach ukazał się młodzieniec siedemnastoletni zaledwie, cały czarno ubrany, bladej, z rozrzuconym włosom.

— Oto jestem, siostrze! — zawołał.

— Franciszku! Franciszku! ratuj mnie! — krzyknęła Małgorzata.

— Księżę d'Alencon! — szepnął La Hurière opuszczając rusznicę.

— Francuski księżę krwi! — mrucał pod nosem Coconnas cofając się o krok.

Księżę d'Alencon obejrzał się naokoło.

Małgorzata, z rozpuszczonymi włosami, jeszcze piękniejsza niż zwykle, stała oparta o ścianę, otoczona ludźmi o okrutnych twarzach, z pianą na ustach.

— Niegodziwcy! — zawołał księżę.

— Ratuj mnie, bracie! — powtórzyła osłabiona Małgorzata. — Chcą mnie zamordować.

Zdawało się, że na bladej twarzy księcia błysnął ogień.

Był on bezbronny, lecz pewny powagi swego imienia; z zaciśniętą pięścią postąpił ku Piemontczykowi i jego towarzyszom, cofającym się ze strachu przed błyskawicami tryskającymi z jego oczu.

— Zobaczmy, czy zabijecie i księcia Franciszka — odezwał się. Mordercy ciągle się cofali, księżę zaś dodał:

— Kapitanie straży! rozkaż natychmiast wywieszać wszystkich tych łotrów.

Coconnas uląkł się bardziej bezbronnego księcia, aniżeli by się przestraszył całego oddziału rajtarów. Rzucił się więc do drzwi.

La Hurière pędził po schodach jak spłoszony jeleń; żołnierze popychali się w przedsionku, starając się uciec jak można najprędzej; lecz drzwi były za wąskie, ażeby razem mogły pomieścić wszystkich uciekających.

Tymczasem Małgorzata, kierowana jakimś wewnętrznym instynktem, rzuciła na leżącego bez zmysłów La Mole'a kołdrę adamaszkową i odeszła od niego.

Kiedy już zniknął ostatni morderca, księżę d'Alencon obrócił się.

— Czyś nie raniona, siostrze? — zapytał spostrzegłszy krew na ramieniu Małgorzaty.

I rzucił się ku niej ze skwapliwością, która przyniosłaby zaszczyt jego uczuciom, gdyby miłości tej nie obwiniano o to, że nie była braterska.

— Zdaje się, że nie — odpowiedziała królowa. — Jeżeli zaś ranna, to bardzo lekko.

— Lecz ta krew — zapytał księżę, dotykając drżącymi rękoma ciała Małgorzaty — skąd ta krew?

— Nie wiem — odrzekła młoda niewiasta. — Jeden z tych nędzników schwytał mnie za rękę, może był ranny...

— Dotknął się mojej siostry! — zawołał księżę. — A! gdybyś mi tylko go wskazała, gdybyś powiedziała, kto był tym łotrem, gdybym wiedział, gdzie go szukać!...

— Tss! — syknęła Małgorzata.

— Dlaczego? — zapytał Franciszek.

— Dlatego, że jeżeli cię zobaczą o tej porze w moim pokoju...

— Czyż brat nie może przyjść do siostry?

Królowa rzuciła na niego wejrzenie tak groźne, że książe był zmuszony cofnąć się.

— Tak, tak, Małgorzato — powiedział — masz słuszość. Odchodzę. Lecz nie możesz zostać sama podczas tak okropnej nocy. Może zawołać Gillonnę?

— Nie, nikogo nie potrzebuję; idź, Franciszku, wróć do siebie.

Młody książe usłuchał. Zaledwie wyszedł, Małgorzata usłyszała za kotarą westchnienie; rzuciła się natychmiast do tajemnych drzwiczek, zaryglowała je, następnie zamknęła i drugie wejście właśnie w chwili, kiedy tłum żołnierzy, szukający innych hugenotów mieszkających w Luwrze, przebiegł jak huragan w drugim końcu korytarza.

Obejrzawszy się uważnie naokoło, aby się przekonać, czy jest sama, Małgorzata postąpiła ku alkowie, podniosła adamaszkową kołdrę, pod którą ukryła La Mole'a przed wzrokiem księcia d'Alencon, z trudem wyciągnęła bezwładne ciało na środek pokoju i widząc, że nieszczęśliwy jeszcze oddycha, usiadła obok niego, położyła jego głowę na swoich kolanach i skropiła twarz wodą, starając się przywrócić go do zmysłów.

Teraz dopiero, kiedy woda splukała krew i proch z twarzy rannego, Małgorzata poznała w nim owego pięknego młodzieńca, który zaledwie przed czterema godzinami, pełen życia i nadziei, prosił ją o posłuchanie u króla Nawarry i pozostawił ją tak rozmarzoną. Małgorzata krzyknęła przerażona, gdyż czuła teraz dla rannego coś więcej niż litość. La Mole był już dla niej nie zwykłym cudzoziemcem, lecz prawie znajomym. Pod staranną ręką królowej piękna twarz La Mole'a wnet była czysta; pozostała jednak blada i zmęczona cierpieniem. Małgorzata z konwulsyjnym drżeniem i prawie tak samo blada jak i raniony, przyłożyła rękę do jego serca; serce jeszcze biło. Wtedy wzięła z najbliższego stołu flakonik z trzeźwiącymi solami i dała mu je powąchać.

La Mole otworzył oczy.

— O... Boże mój!... — szepnął. — Gdzie jestem?...

— Jesteś ocalony! Uspokój się — powiedziała Małgorzata.

La Mole z trudnością zwrócił oczy na królową i pochłaniając ją wzrokiem, wyjąkał:

— O!... jakże pani jesteś piękna!...

I jakby oślepiiony, natychmiast spuścił powieki i westchnął. Małgorzata lekko krzyknęła. Młodzieniec pobladł jeszcze bardziej; królowa westchnienie rannego wzięła już za ostatnie.

— O! mój Boże! zmiłuj się nad nim... — powiedziała.

W tej chwili zaczęto gwałtownie pukać do drzwi od strony korytarza. Małgorzata podniosła się nieco, podtrzymując La Mole'a.

— Kto tam? — zawołała.

— To ja, ja! — odezwał się głos kobiecy. — Ja, księżna de Nevers.

— Henrieta! — zawołała Małgorzata. — O! nie ma obawy, to przyjaciółka, czy słyszysz pan?

La Mole wyteżył siły i przykląkł na jedno kolano.

— Staraj się pan utrzymać o własnej mocy, ja tymczasem pójdę otworzyć drzwi — powiedziała królowa.

La Mole oparł się ręką o podłogę i zdołał utrzymać równowagę. Małgorzata postąpiła ku drzwiom, lecz nagle zatrzymała się, zadrżawszy z przestachu.

— A! tyś nie sama?... — zawołała słysząc szcęk broni.

— Nie, nie sama; mam z sobą dla straży dwunastu ludzi z gwardii, których mi zostawił szwagier mój, książe Gwizjusz.

— Gwizjusz — mruknął La Mole. — O! morderca!... morderca!...

— Milcz — powiedziała Małgorzata. — Ani słówka.

I obejrzała się naokoło, szukając wzrokiem miejsca, gdzie by mogła schować rannego.

— Szpady, sztyletu... — szepnął La Mole.

— Dla obrony? nie potrzeba; czyż pan nie słyszałeś? Ich dwunastu, a tyś sam jeden.

— Nie, nie dla obrony, ale aby mnie nie dostali żywego.

— Nie, nie — rzekła Małgorzata. — Nie, ocaleć cię. A! wejdź pan do gabinetu.

Zamknęła za nim drzwi i chowając klucz do woreczka, półgłosem powiedziała przez drzwi:

— Tylko bez krzyku, narzekań i westchnień, a będziesz ocalony. Potem zarzuciwszy na siebie płaszcz, otworzyła drzwi przyjaciółce, która rzuciła się w jej objęcia.

— A! — powiedziała Henrieta — nic ci się, pani, nie stało, wszak prawda?

— Nic, nic — odparła Małgorzata, owijając się płaszczem z obawy, żeby nie spostrzeżono krwawych plam na jej ubraniu.

— Tym lepiej. Na wszelki jednak wypadek zostawiam Waszej Królewskiej Mości sześciu żołnierzy, gdyż książe Gwizjusz dał mi dwunastu, ażeby mnie odprowadzili do domu, a ja nie potrzebuję tylu. Trzeba ci wiedzieć, że sześciu żołnierzy księcia znaczy tej nocy więcej aniżeli cały pułk gwardii królewskiej.

Małgorzata nie śmiała odmówić przyjaciółce: rozstawiła sześciu ludzi w korytarzu i z wdzięcznością uściskała księżnę de Nevers, która z sześciu innymi żołnierzami szczęśliwie dostała się do pałacu Gwizjuszów, w którym zwykła była mieszkać podczas nieobecności męża.

ROZDZIAŁ IX

MORDERCY

Coconnas nie uciekł, lecz zniknął.

La Hurière był już na placu Saint-Germain-rAuxerrois, gdy Coconnas wychodził dopiero z Luwru.

La Hurière, znalazłszy się sam z rusznicą pośród tłumu biegnących ludzi, świstu kul i trupów, które leciały z okien już to całe, już poszarpane, stchórzył i przemyślał nad tym, jak by tu najprędzej dostać się do domu. Lecz wchodząc na ulicę de l'Arbre-Sec, spotkał oddział Szwajcarów i lekkiej jazdy pod dowództwem Maurevela.

— No! — zawołał ten, co sam sobie nadał miano zbójcy królewskiego — czy już skończyłeś? Idziesz do domu? Gdzież zostawiłeś, u diabła, naszego piemontczyka? Spodziewam się, że mu się nic złego nie przytrafiło? Szkoda by go było, gdyż się nam dzisiaj dzielnie spisał.

— Ja myślę, że nie — odparł La Hurière. — Mam nawet nadzieję, że się wkrótce z nami połączy.

— Skąd idziesz?

— Z Luwru, gdzie muszę przyznać, niegrzecznie nas przyjęto.

— Któż taki?

— Książę d'Alencon. Czyż nie jest on z naszego stronnictwa?

— Książę d'Alencon nie trzyma się żadnej partii, ani katolickiej, ani protestanckiej, obchodzi go tylko to, co jego osoby dotyczy. Zaproponuj mu, ażeby się rozprawił sam ze swoimi starszymi braćmi jak z hugenotami, a zgodzi się, byleby tylko się nie skompromitować. No cóż, panie La Hurière, nie pójdziesz z tymi zuchami?

— A dokąd oni idą?

— O mój Boże! na ulicę Montargueil; mieszka tam znajomy mi pastor protestancki, ma żonę i sześcioro dzieci. Ci heretycy strasznie się rozplenają. Ciekawa rzecz...

— A pan dokąd idziesz?

— E! ja mam swój interesik.

— Nie chodźże pan beze mnie — dał się słyszeć głos, na który Maurevel zadrzał. — Pan znasz dobrze miejsce, a i ja chciałbym je zwiedzić.

— A, to nasz Piemontczyk — powiedział Maurevel.

— Pan de Coconnas — rzekł La Hurière. — Ja zaraz myślałem, że pan poszedłeś za mną.

— Nie! niech mnie diabli wezmą; zбочyłem cokolwiek z drogi, ażeby wrzucić w rzekę jakiegoś szalonego chłopaka, który krzyczał: „Precz z papistami! niech żyje admirał!” Na nieszczęście, zdaje mi się, że hultaj umiał pływać. Jeżeli chcesz utopić którego z tych łotrów hugenotów, musisz ich rzucać do wody jak szczenięta, póki jeszcze ślepe.

— Więc pan mówisz, że powracasz z Luwru. Czy to tam ukrył się wasz hugenot? — zapytał Maurevel.

— O! tak, tak, na Boga.

— Strzeliłem do niego z pistoletu, kiedy podnosił szpadę na podwórzu admirała, nie pojmuje jednak, dlaczego chybiłem.

— O! ja nie chybiłem — odezwał się Coconnas. — Takie mu zadałem szpadą pchnięcie w grzbiet, że klinga na pięć palców była we krwi. Zresztą rzucił się on przy mnie w objęcia królowej Małgorzaty... dalibóg, śliczna to kobieta. Jednakowoż przyznaję, że byłbym bardzo

zadowolony, gdybym się dowiedział, że umarł Ale, ale, zdaje mi się, iż pan mówiłeś, że dokądś idziesz?

— Więc chcesz pan iść ze mną?

— Nie, ja tylko nie chcę stać na miejscu. Do kroćset! Zabiłem tylko dwóch czy trzech; krzyż mnie boli, kiedy odpoczywam.

Idźmy już...

— Kapitanie — powiedział Maurevel do dowódcy oddziału — daj mi trzech ludzi, z resztą zaś ruszaj rozprawić się ze swym pastorem.

Trzech Szwajcarów przyłączyło się do Maurevela. Obydwa jednak oddziały szły razem do ulicy Tirechappe. Tutaj lekka jazda i Szwajcarzy zawrócili na ulicę de la Tonnellerie, a Maurevel, Coconnas i La Hurière z trzema żołnierzami przeszli przez ulicę de la Ferronnerie, następnie Trousse-Vache i zakręcili na ulicę Sainte-Avoye.

— Dokąd pan, u diabła, nas prowadzisz? — zapytał Coconnas, którego zaczynała już nudzić ta długa droga.

— Tam, gdzie czeka nas zarazem sława i korzyści. Po admirale, Teligny'm, wszystkich księżętach protestanckich nie można znaleźć nic lepszego. Bądźcie więc cierpliwi. Celem naszej drogi jest ulica du Chaume; zaraz tam będziemy.

— Powiedz mi pan, jeśli łaska — zapytał Coconnas — czy ulica du Chaume nie leży w bliskości Tempie?

— Tak jest, ale dlaczego się pan o to pytasz?

— A! mieszka tam stary wierzyciel naszej rodziny, niejaki Lambert Mercandon, któremu ojciec mój kazał oddać sto sztuk złota, znajdujących się teraz w mojej kieszeni.

— A więc — rzekł Maurevel — śliczna sposobność do skwitowania się z nim.

— Jakim sposobem?

— No! dzisiejszy dzień jest przeznaczony na regulowanie starych rachunków. Czy Mercandon jest hugenotem?

— Aha! rozumiem — odpowiedział Coconnas — a tak, jest nim bez wątpienia.

— Tss! otóż jesteśmy u celu.

— Co to za ogromny pałac z pawilonem wychodzącym na ulicę?

— To pałac Gwizjuszów.

— Tak, powinienem był tu przyjść — zauważył Coconnas — gdyż przybyłem do Paryża z polecenia wielkiego Henryka. Jednak, mój kochany, strasznie coś cicho w tej części miasta: zaledwie słyhać strzały. Mogłoby się zdawać, że jesteśmy na prowincji. Niech to diabli wezmą, wszyscy śpią!

W samej rzeczy w pałacu Gwizjuszów panowała cisza, jakby wypadki szły zwyczajnym trybem.

Wszystkie okna były zamknięte, z jednego tylko okna w pawilonie dawało się widzieć światło spoza rolet.

Maurevel stanął opodal pałacu Gwizjuszów, na rogu ulic du Petit-Chantier i des Quatre-Fils.

— Oto mieszkanie tego, którego szukamy.

— To jest tego, którego pan szukasz — rzekł La Hurière.

— Jesteś z nami, a szukamy go wszyscy.

— Jak to! ten dom, w którym wszystko wydaje się pogrążone w głębokim śnie...

— Ten sam! La Hurière, oddaj rusznicę panu de Coconnas i idź zapukać. Jeżeli cię wpuszczą, powiedz, że chcesz pomówić z panem de Mouy.

— Aha! rozumiem — powiedział Coconnas. — Zdaje się, że pan masz także swego wierzyciela w dzielnicy Tempie.

— Zgadłeś — mówił dalej Maurevel. — Wejdiesz więc i udasz hugenota; opowiesz Mouyowi o wszystkim, co się dzieje... on nie tchórz, zejdzie na dół...

— A potem? — zapytał La Hurière.

— Potem poproszę go, ażeby raczył skrzyżować ze mną szpadę.

— Na honor, to nieźle — rzekł Coconnas. — Ja zaraz tak samo postąpię z Lambertem Mercandonem. Jeżeli on już za stary, aby przyjąć moje wyzwanie, miejsce jego zastąpi którykolwiek z jego synów lub krewnych.

La Hurière, nic nie odpowiedziawszy, zaczął pukać do drzwi. Na hałas, rozlegający się pośród nocnej ciszy, brama pałacu Gwizjuszów uchyliła się i wyjrzało kilka głów.

Wówczas pokazało się, że panująca tam cisza była ciszą fortecy; pałac ten bowiem był cały napelniony wojskiem.

Głowy natychmiast zniknęły; bez wątpienia ci, do których należały, zrozumieli, o co chodzi.

— Więc to tutaj mieszka pan de Mouy? — zapytał Coconnas wskazując na dom, do którego La Hurière nie przestawał pukać.

— Nie, to dom jego kochanki.

— Do kroćset! To już zbyt wyszukana grzeczność! Dajesz mu pan sposobność do obnażenia szpady w oczach jego ulubionej! Więc my będziemy sędziami pojedynku. Mam jednak wielką ochotę bić się z nim. Ręka mnie pali...

— A twarz pańska? — zapytał Maurevel. — Wszak jej się porządnie dostało.

Coconnas wydał jęk podobny raczej do ryku.

— Tam do kata! spodziewam się, że on już umarł; gdybym jednak wiedział, że żyje, gotów byłbym powrócić do Luwru, aby go dobić...

La Hurière pukał ciągle. Wkrótce otworzyło się na pierwszym piętrze okno i ukazał się na balkonie mężczyzna w nocnym stroju i bez broni.

— Kto tam? — zawołał.

Maurevel dał znak Szwajcarom, ażeby się ukryli za róg domu, gdy tymczasem Coconnas przysunął się do ściany.

— A! panie de Mouy — powiedział oberżysta — czy to pan?

— Tak, ja. Więc cóż?

— Tak, to on — mruknął Maurevel drżąc z radości.

— Ej! czyż pan nie wiesz, co się dzieje? — mówił dalej La Hurière. — Mordują naszych braci współwyznawców, zabili już admirała. Śpiesz pan na pomoc!

— A! — zawołał de Mouy. — Domyślałem się, że się coś knuje na noc dzisiejszą! Nie powinienem był opuszczać moich odważnych towarzyszy. Zaraz, zaraz, zaczekaj, mój przyjacielu.

I nie zamykając okna, przez które dawały się słyszeć krzyki i czułe narzekania przestraszonej kobiety, de Mouy poszedł szukać płaszcza i zbroi.

— Już idzie, idzie — szepnął Maurevel błady z radości. — Miejcie się w pogotowiu! — rozkazał cicho Szwajcarom.

Potem wziął rusznicę z rąk Piemontczyka i dmuchnął na lont, ażeby się przekonać, czy się dobrze żarzy.

— La Hurière, weź swoją rusznicę — powiedział do oberżysty, cofającego się ku towarzyszom.

— A, do diabła! — krzyknął Coconnas. — Ot i księżyc wychodzi spoza chmur, aby być świadkiem tego pięknego spotkania. O! co bym ja dał za to, ażeby Lambert Mercandon był teraz sekundantem pana de Mouy.

— Zaczekajcie, zaczekajcie! — rzekł Maurevel. — Jeden de Mouy wart dziesięciu ludzi, jednak w sześciu może sobie z nim poradzić. Naprzód! — zawołał do Szwajcarów, ruchem ręki każąc im ukryć się pod drzwiami, aby mogli się rzucić na de Mouya, skoro tylko wyjdzie.

— Oho! — powiedział Coconnas patrząc na te przygotowania. — Zdaje mi się, że to wszystko nie pójdzie tak, jak się spodziewałem.

Już było słycać, jak de Mouy otwiera drzwi. Szwajcarzy wyszli ze swej kryjówki i stanęli przed progiem. Maurevel i La Hurière podchodzili na palcach; Coconnas, mając jeszcze w sobie cokolwiek honoru, pozostał na miejscu. W tej chwili młoda kobieta, o której już wszyscy zapomnieli, wyszła na balkon i przeraźliwie krzyknęła, spostrzegłszy Szwajcarów, Maurevela i La Hurière'a.

De Mouy zatrzymał się w na wpół otwartych drzwiach.

— Wracaj! Wróć! — krzyknęła młoda kobieta. — Widzę blask szpad i lont zapalonych przy rusznicy. To zdrada!

— Oho! — mruknął de Mouy. — Zobaczymy, co to wszystko znaczy. Po czym zamknął drzwi, zasunął rygle, spuścił zapory i wrócił na pierwsze piętro.

Skoro tylko Maurevel spostrzegł, że de Mouy nie wyjdzie, natychmiast zmienił bojowy porządek. Szwajcarów odesłał na drugą stronę ulicy, La Hurière zaś z rusznicą w ręku oczekiwał zjawienia się nieprzyjaciela na balkonie.

Czekał niedługo.

De Mouy wyszedł mając w ręku dwa pistolety tak znacznej długości, że La Hurière, który już go wziął na cel, nagle pomyślał, że kule hugenota tak dobrze mogą upaść na ulicę, jak jego na balkon.

— Bez wątpienia — rzekł do siebie — mogę go zabić, lecz i on także może mnie zabić.

A ponieważ oberżysta był tylko żołnierzem z przypadku, postanowił więc cofnąć się i szukać schronienia za węglem ulicy de Brac, skąd z powodu znacznej odległości i mroku bardzo było trudno wziąć na cel de Mouya.

De Mouy obejrzał się naokoło i nadstawił ucha, lecz nic nie było słycać.

— Cóż, panie zdrajco — rzekł — zdaje mi się, żeś zapomniał rusznicy stojącej przy drzwiach. Jestem, czegoż chcesz?

— Aha! — powiedział do siebie Coconnas. — A to w istocie jakiś zuch.

— I cóż — mówił dalej de Mouy. — Przyjaciele lub nieprzyjaciele, czyż nie widzicie, że na was czekam?

La Hurière milczał, Maurevel nie odpowiadał, Szwajcarzy wstrzymali oddech.

Coconnas chwilę czekał, lecz widząc, że nikt nie podejmuje rozmowy zaczętej przez La Hurière'a i przerwanej przez de Mouya, wyszedł na środek ulicy i rzekł:

— Panie! przyszliśmy, tu taj nie po to, aby popełnić morderstwo, jak może sądzisz, lecz na pojedynek... Jestem sekundantem jednego z pańskich nieprzyjaciół, który chce honorowo zakończyć dawny spór. E! wychodźże, panie de Maurevel; czegoż się odwracasz? Pan de Mouy zgadza się.

— Maurevel! — zawołał de Mouy. — Maurevel, morderca mego ojca! Maurevel, zbójca królewski! A, tak, przyjmuję wezwanie.

I wycelowawszy do Maurevela, który właśnie pukał do pałacu Gwizjuszów, chcąc prosić tam o pomoc, przestrzelił mu kapelusze.

Na huk wystrzału i na krzyk Maurevela żołnierze, którzy odprowadzili księżnę de Nevers, wybiegli z pałacu Gwizjuszów z trzema czy czterema szlachcicami i ich paziami i podeszli pod dom kochanki młodego de Mouya.

Drugi strzał z pistoletu powalił żołnierza stojącego obok Maurevela.

De Mouy, bezbronny, a przynajmniej uzbrojony beużytecznie, gdyż pistolety były już wystrzelone, szpady zaś przeciwko nieprzyjacielowi użyć nie było można, schował się za kratę balkonową.

Tymczasem okna w sąsiednich domach zaczęły się otwierać i zależnie od pokojowego lub zaczepnego usposobienia mieszkańców albo się natychmiast zamykały, albo błyskały lufami muszkietów i rusznic,

— Do mnie, mężny Mercandonie! — zawołał de Mouy czyniąc znaki starcowi, który wyjrzał z okna domu stojącego naprzeciw pałacu Gwizjusza i starał się rozeznaczyć, co się dzieje.

— Wołasz mnie, panie de Mouy? — zawołał starzec. — Więc to na ciebie napadają?

— Na mnie, na ciebie, na wszystkich protestantów, oto dowód.

W istocie w tej chwili de Mouy spostrzegł, że La Hurière celuje w niego. Wystrzał nastąpił, lecz młodzieniec przechylił się i kula roztrzaskała szybę nad jego głową.

— Mercandon! — zawołał Coconnas, drżący z radości, że bójka zaczyna być powszechna; nie pamiętał już o swoim wierzycielu, którego dopiero przypomniał mu de Mouy. — Mercandon na ulicy du Chaume! To on bez wątpienia! A, otóż jego mieszkanie! Doskonale! Każdy z nas policzy się teraz ze swoim wierzycielem.

I kiedy żołnierze, którzy wyszli z pałacu Gwizjuszów, wysadzili bramę w domu de Mouya, a Maurevel, z pochodnią w ręku, starał się podpalić dom, kiedy w wyłamanej bramie rozpoczęła się straszna walka przeciwko jednemu człowiekowi, który za każdym strzałem i każdym pchnięciem szpady zmniejszał liczbę swoich przeciwników — Coconnas wyrwał kamień z bruku i próbował wyważyć nim drzwi domu Mercandona, który nie zważając na te próby, bezustannie strzelał z okna.

Pusta i pęsepna ulica zajaśniała i niby światłem dziennym napełniała się ludźmi, stając się podobna do jakiegoś wielkiego mrowiska.

Z pałacu Montmorency sześciu czy ośmiu szlachciców protestanckich ze służącymi i przyjaciółmi zrobiło rozpaczliwą wycieczkę.

Popierani ogniem z okien, zaczęli nacierać na oddział Maurevela i posiłkujących go żołnierzy z pałacu Gwizjuszów tak dalece, iż ten musiał odstąpić ku miejscu, z którego wyszedł.

Coconnas natęzał wszystkie siły, lecz drzwi jeszcze mocno trzymały się na zawiasach.

Pędząca tłuszcza pociągnęła go za sobą.

Przycisnąwszy się do ściany i dobywszy szpady, nie poprzestał na obronie, lecz nawet napadł na swych przeciwników z tak strasznym krzykiem, że słyhać go było wszędzie naokoło. Rąbał na prawo i na lewo, nie rozróżniając nieprzyjaciół od przyjaciół, dopóki nie utworzył koło siebie znacznej przestrzeni. Krew obluzgała mu ręce i twarz, oczy jego zdawały się wychodzić z orbit, nozdrza rozdymały się. Zgrzytając zębami z wściekłości, zbliżył się wkrótce ku drzwiom, od których go odparto.

De Mouy, wytrzymawszy straszną walkę na schodach i w sieni, jak prawdziwy bohater wybiegł z palącego się domu. Pośród bójki ciągle wołał: „Do mnie, Maurevel! Maurevel, gdzie jesteś?”, nie przestając go lżyć ostatnimi słowy. Wreszcie wypadł na ulicę, trzymając w zębach sztylety na rękach swoją kochankę, na pół nagą i prawie bez czucia. Szpada jego, błyszcząca w ruchu, zakreślała to białe, to czerwone koła, bo klingę to srebrzył blady blask księżyca, to znów ogień pochodni oświecał na niej ciepłą krew.

Maurevel uciekł. La Hurière odparty przez de Mouya aż do Piemontczyka, który nie poznawszy go, dotknął końcem szpady, prosił Boga, ażeby zachował ich obydwóch. Lecz w tejże chwili Mercandon spostrzegł go i po białej szarfie poznał mordercę. Wystrzał nastąpił, La Hurière krzyknął, rozłożył ręce, upuścił rusznicę i starając się dowlec do ściany, ażeby o

cokolwiek się oprzeć, padł twarzą na ziemię. De Mouy skorzystał z tego, rzucił się w ulicę de Paradis i znikł.

Hugonoci bronili się tak rozpaczliwie, że żołnierze księcia Gwizjusza cofnęli się do pałacu i zamknęli drzwi z obawy, żeby ich nie napadnięto wewnątrz domu.

Coconnas, odurzony hałasem i krwią, doszedł do tego stanu, w którym, osobiście u mieszkańców południa, męstwo przechodzi we wściekłość. Nic nie widział, nic nie słyszał; zauważył tylko, że w uszach już mu słabiej dzwoniło, że ręce i twarz zaczęły obsychać, a opuściwszy szpadę ujrzał przed sobą leżącego w kałuży krwi jakiegoś człowieka i palące się naokoło domy. Ten spokój trwał niedługo, gdyż w chwili, kiedy Coconnas chciał przystąpić do leżącego, w którym poznał La Hurière'a, drzwi domu, które oparły się jego sile, otworzyły się i stary Mercandon z synem i dwoma krewnymi rzucili się na Piemontczyka, jeszcze odпочyającego.

— Otóż on! On! — krzyknęli wszyscy jednogłośnie.

Coconnas stał na środku ulicy. Obawiając się, ażeby go nie otoczyło czterech ludzi jednocześnie, ze zręcznością i siłą dzikiej kozy, na które często polował w górach, rzucił się w tył i znalazł się pod ścianą pałacu Gwizjusza. Będąc już spokojnym, przybrał obronną postawę i rzekł tonem pogardliwym:

— A zatem, ojciec Mercandon, nie poznajesz mnie?

— O przeciwnie, dobrze cię poznaję, łotrze! — zawołał stary hugenot. — Chcesz mnie zabić? Mnie, przyjaciela twego ojca!

— I jego wierzyciela, nieprawdaż?

— Tak, jego wierzyciela, jak sam mówisz.

— W samej rzeczy — odparł Coconrtas — przychodzę uregulować nasze rachunki.

— Schwycmy, zwiążmy go! — zawołał starzec do młodzieńców, którzy na jego wezwanie rzucili się na Piemontczyka.

— Zatrzymajcie się na chwilę — rzekł z uśmiechem Coconnas. — Ażeby kogo schwytać, potrzeba mieć rozkaz, a wy zapomnieliście poprosić o niego burmistrza.

To mówiąc natarł na najbliższego stojącego młodzieńca i za pierwszym cięciem ręka nieszczęśliwego wraz z rapierem upadła na ziemię. Raniony cofnął się z jękiem.

W tejże chwili okno, pod którym Coconnas szukał schronienia otworzyło się z trzaskiem. Piemontczyk nagle odskoczył, obawiając się napadu z tej strony, lecz zamiast nieprzyjaciela ujrzał kobietę, a zamiast zabójczej broni — upadł mu pod nogi bukiet.

Oddał damie szpadą ukłon i schylił się, ażeby podnieść kwiaty.

— Strzeż się, odważny katoliku, strzeż się! — zawołała dama. Coconnas podniósł się, lecz drugi krewny Mercandona zdążył go już drasnąć sztyletem w ramię.

Dama przeraźliwie krzyknęła. Coconnas podziękował jej ukłonem i natarł na młodzieńca. Ten zaś cofając się poślizgnął się we krwi. Coconnas z bystrością tygrysa rzucił się nań i szpadą przebił mu pierś na wskroś.

— Doskonale! Doskonale! — wołała dama z pałacu Gwizjusza. — Doskonale! Przyślę panu pomoc.

— Nie warto się trudzić — odpowiedział Coconnas. — Patrz pani lepiej do końca, jeżeli to ją zajmuje, a ujrzysz, jak Wabia Annibal de Coconnas rozprawia się z hugenotami.

W tejże chwili syn starego Mercandona strzelił z pistoletu. Coconnas upadł na jedno kolano. Dama krzyknęła, lecz Coconnas wstał, przykląkł bowiem tylko dlatego, aby uniknąć kuli, która uderzyła o mur, o dwie stopy od patrzącej pięknej damy. Prawie w tymże samym czasie z okna mieszkania Mercandona dały się słyszeć okrzyki wściekłości i jakaś staruszka, poznawszy w

Piemontczyku po krzyżu i białej szarfie katolika, rzuciła na niego wazon z kwiatami, który uderzył go w kolana.

— Jeszcze lepiej — rzekł Coconnas. — Jedna rzuca mi kwiaty, a druga wazon.

— Dziękuję, matko, dziękuję! — zawołał młodzieniec.

— Idź sobie, żono, idź! — powiedział stary Mercandon. — Lecz miej oko na nas!

— Zaczekaj, panie de Coconnas, zaczekaj! — rzekła dama z pałacu Gwizjuszów. — Każę strzelać z okien.

— A to piekło kobiece! — zawołał Coconnas. — Jedna za mną, druga przeciwko mnie. O, do kroćset diabłów! Czas już skończyć.

Scena w istocie bardzo się zmieniła i miała się ku końcowi.

Przed Piemontczykiem, ranionym wprawdzie, lecz posiadającym rzeźkość i siłę młodzieńca dwudziestoczteroletniego, przywykłym do broni i bardziej rozdrażnionym aniżeli osłabionym trzema czy czterema draśnięciami, był tylko Mercandon i jego syn. Mercandon — starzec sześćdziesięcio- czy siedemdziesięcioletni, syn jego, dziecię w siedemnastym zaledwie roku, błydy, jasnowłosy, delikatny. Ten ostatni rzucił pistolet wystrzelony, a zatem już nieużyteczny i drżącą ręką zaczął machać szpadą, o połowę krótszą od szpady Piemontczyka. Ojciec, uzbrojony tylko sztyletem i nie nabitą rusznicą, wołał o pomoc. Staruszka w oknie naprzeciwko, matką młodzieńca, trzymała w ręku kawał marmuru, gotowa go rzucić. Coconnas, podburzony pogroźkami z jednej, a zachętą z drugiej strony, dumny z podwójnego zwycięstwa, odurzony woni prochu i krwi, oświetlony łuną pożaru palących się domów, roznamietniony myślą, że walczy wobec kobiety, której piękność mówiła niezaprzeczenie o jej wysokim urodzeniu — Coconnas, jak ostatni Horacjusz, uczuł, że siły jego podwoiły się. Widząc, że syn Mercandona waha się, rzucił się nań i skrzyżował swój straszny, krwią zbroczony rapier z jego krótką szpadą. Po dwóch uderzeniach młodzieniec nie miał już szpady w ręku. Mercandon tedy starał się odeprzeć Piemontczyka, ażeby łatwiej mogły go osiągnąć rzucone z okna kamienie. Lecz Coconnas, przeciwnie, chcąc zniweczyć podwójny napad nieprzyjaciół, starca Mercandona ze sztyletem i matki młodzieńca gotowej rzucić kamień i zgruchotać mu czaszkę, schwycił przeciwnika w pół i zasłaniając się nim jak tarczą od wszystkich ciosów, dusił go w swym herkulesowym uścisku.

— Ratunku! Ratunku! — wołał młodzieniec. — Zgniecie mi pierś! Na pomoc! Na pomoc!

I głos jego zaczął cichnąć w jakimś głuchym chrypieniu. Wtedy Mercandon przestał grozić, a zaczął błagać.

— Łaski! Łaski! Panie de Coconnas — wołał. — Łaski! To moje jedyne dziecię!

— To syn mój! Syn! — krzyczała matka. — Nadzieja naszej starości, nie zabijaj go, panie, nie zabijaj!

— A! słusznie — zawołał Coconnas wybuchnąwszy gwałtownym śmiechem. — Nie zabijać go! A cóż on chciał mi zrobić swoją szpadą i pistoletem?

— Panie! — mówił dalej Mercandon załamując ręce — weksel podpisany przez twojego ojca jest u mnie; ja ci go powrócę. Mam dziesięć tysięcy talarów złotem, dam ci je; moje drogie kamienie należą do ciebie. Tylko nie zabijaj go, nie zabijaj!...

— Ja zaś mam serce — rzekła półgłosem dama z pałacu Gwizjuszów — i oddam ci je.

Coconnas namyślał się przez chwilę. Nagle, zwróciwszy się do młodzieńca, zapytał go:

— Jesteś protestantem?

— Tak — odrzekło dziecię.

— W takim razie musisz umrzeć! — zawołał Coconnas zmarszczywszy brwi i zbliżając do piersi swego przeciwnika sztylet.

— Umrzeć! — zawołał starzec. — Syn mój ma umrzeć!

W tejsze chwili dał się słyszeć lament matki. Był on tak rozdzierający, że na jakiś czas zachwiał silne postanowienie Piemontczyka.

— O!... księżno! — zawołał ojciec zwracając się ku damie patrzącej z pałacu Gwizjuszów. — Wstaw się za nami, a imię twoje będzie zawsze co rano i wieczór wspominane w naszych modlitwach.

— Niech więc się wyrzecz swej wiary — odrzekła dama.

— Jestem protestantem — powiedziało dziecię.

— Więc giń! — zawołał Coconnas wznosząc żelazo. — Giń, kiedy nie chcesz być wdzięczny za życie ofiarowane ci tak pięknymi usty!

Mercandon i jego żona widzieli, jak straszna broń zabłysła nad głową ich syna.

— Synu mój, mój Oliwierze! — zawołała matka. — Wyrzecz się wiary! wyrzecz się!...

— Wyrzecz się mej wiary, drogie dziecię! — wołał Mercandon padając do nóg Piemontczyka. — Nie zostawiaj nas samych na świecie.

— Wyrzeczcie się wszyscy swej wiary! — krzyczał Coconnas — za jedno *Credo* trzy dusze i życie.

— Zgadzą się — rzekł młodzieniec.

— Zgadzą się! — zawołali Mercandon z żoną.

— Na kolana! — powiedział Coconnas — niechaj syn twój powtórzy słowo w słowo modlitwę, którą ja będę odmawiał.

Ojciec pierwszy usłuchał.

— Jestem gotów — rzekł młodzieniec i ukląkł. Coconnas zaczął wtedy mówić po łacinie *Credo*.

Lecz czy to przypadkiem, czy umyślnie młody Oliwier ukląkł blisko tego miejsca, gdzie leżała jego szpada. Skoro tylko spostrzegł, że może ją dostać, nie przestając powtarzać słów Piemontczyka, wyciągnął ku niej rękę. Coconnas dojrzał to poruszenie, udał jednak, że go nie widzi. Lecz w chwili, kiedy młodzieniec dotknął palcami rękojeści, rzucił się na niego i wywróciwszy go zawołał:

— A! zdrajco!

I wepchnął mu w pierś sztylet.

Młodzieniec krzyknął, podniósł się konwulsyjnie na jedno kolano i padł bez ducha.

— A! zbójco! — wrzasnął Mercandon — mordujesz nas, ażeby nam skraść sto sztuk złota, któreś nam winien...

— Nie, na honor nie — rzekł Coconnas — i oto na dowód...

Przy tych słowach rzucił starcowi pod nogi worek z pieniędzmi danymi mu przy odjeździe przez ojca w celu uiszczenia długu.

— ...i oto na dowód — kończył Coconnas — oddaję ci twoje pieniądze.

— Masz śmierć! — zawołała kobiety z okna.

— Strzeż się, panie de Coconnas, strzeż się! — krzyknęła dama z pałacu Gwizjuszów.

Lecz Coconnas nie miał czasu podnieść głowy dla rozeznania, skąd mu grozi niebezpieczeństwo. Ciężka bryła ze świstem rozcięła powietrze, padła na kapelusz i strzaskała szpadę Piemontczyka. Coconnas padł bez zmysłów, nie słysząc okrzyków radości, które dały się słyszeć z prawej i lewej strony. Mercandon w tej chwili rzucił się ze sztyletem w rękę na młodego Coconnasa. Lecz nagle drzwi pałacu Gwizjuszów otworzyły się. Starzec, zobaczywszy połyskujące halabardy i szpady, uciekł, kiedy tymczasem ta, którą nazywał księżną, piękna w świetle łuny pożaru jakąś szatańską pięknnością i jaśniejąca drogimi kamieniami i brylantami, do połowy wychyliła się z okna i wołała do żołnierzy wskazując im Piemontczyka.

— Ten, ten! na wprost, w czerwonym kaftanie. Ten, tak, tak, ten sam!

ROZDZIAŁ X

ŚMIERĆ, MSZA LUB BASTYLIA

Małgorzata, jakeśmy powiedzieli, zamknęła drzwi i powróciła do pokoju.

Lecz wchodząc z bijącym sercem, spostrzegła Gillonnę, która z trwogą nachyliwszy się ku drzwiom gabinetu, patrzyła na ślady krwi na łóżku, meblach i dywanie.

— A... pani! — zawołała, ujrawszy królową — czyżby on umarł?

— Cicho, Gillonno — powiedziała Małgorzata tonem zdradzającym doniosłość tego rozkazu.

Gillonna zamilkła. Małgorzata wydobyła z woreczka maleńki złoty klucz, otworzyła nim drzwi gabinetu i wskazała służebnej młodzieńca. La Mole zdążył wstać i zbliżyć się do okna. Tutaj znalazł mały sztylecik, jaki wówczas nosiły kobiety. Na hałas otwierających się drzwi pochwycił go.

— Nie obawiaj się, panie, niczego — rzekła Małgorzata. — Zapewniam cię, jesteś bezpieczny.

La Mole znowu padł na kolana.

— O... pani! — zawołał — jesteś dla mnie więcej niż królową, jesteś bóstwem.

— Nie wzruszaj się, panie, tak bardzo — powiedziała Małgorzata. — Krew jeszcze ciecze. O, patrz, Gillonno, jaki on błąd... Gdzież pan jesteś raniony?

— Pani — odpowiedział La Mole wskazując ważniejsze rany — zdaje się, że jestem raniony sztylblem w ramię i w pierś. Na inne rany nie ma potrzeby zwracać uwagi.

— Zobaczymy — rzekła Małgorzata. — Gillonno, przynieś mi szkatułkę z balsamami.

Gillonna wyszła posłusznie i powróciła wkrótce, niosąc w jednej ręce szkatułkę, a w drugiej srebrną miednicę wyłacaną i bieliznę z cienkiego holenderskiego płótna.

— Pomóż mi unieść go, Gillonno — rzekła królowa Małgorzata, gdyż nieszczęśliwy wstając utracił wszystkie siły.

— O nie, pani, nie mogę się na to zgodzić — zaprotestował.

— Musisz się zgodzić, panie, abym ci obandażowała rany — odrzekła Małgorzata — gdyż skoro mogę cię uratować, byłoby występkiem pozwolić ci umrzeć.

— O... raczej umrę — zawołał La Mole — aniżeli pozwolę, ażebyś ty, królowo, miała walczyć moją niegodną krwią swoje ręce! O... nigdy! nigdy!

I odsunął się w tył z uszanowaniem.

— E... dosyć już pan zawałałeś krwią łóżko i pokój Jej Królewskiej Mości — uśmiechając się zauważyła Gillonna.

Małgorzata okryła płaszczem swój batystowy negligé zbryzgany krwią. Ruch ten, pełen niewieściej wstydlivosti, przypomniał La Mole'owi, że obejmował rękoma i przyciskał do piersi uwielbianą przez wszystkich królową.

Na to wspomnienie lekki rumieniec okraślił jego blade lica.

— Pani... — wyjąkał po chwili — czy nie mogłabyś powierzyć mnie staraniom jakiego chirurga?

— Katolika, nieprawdaż? — zagadnęła Małgorzata takim głosem, że La Mole, zrozumiawszy, wzdrygnął się. — Czyż pan nie wiesz — mówiła dalej królowa z czarującym uśmiechem — że księżniczki francuskie uczą się poznawać własności ziół i robić balsamy? My, jako kobiety i królowe, zawsze uważałyśmy za swój obowiązek koić cierpienia. Jesteśmy więc w stanie zastąpić najlepszych w świecie chirurgów; tak nam przynajmniej mówią pochlebcy. Czy moja sława w sztuce lekarskiej nie doszła do pańskiego ucha? Weźmy się do roboty, Gillonno.

La Mole chciał się jeszcze sprzeciwić. Powtórzył znowu, że woli umrzeć aniżeli pozwolić królowej na taki trud, który może zamienić jej współczucie w odrazę. Lecz spór wyczerpał w nim resztę sił. Rzucił się kilka razy, zamknął oczy i powtórnie stracił zmysły.

Małgorzata schwyciła sztylet, który mu wypadł z rąk, i zręcznie rozcięła kaftan rannego. Gillonna tymczasem rozpruła, a raczej przetrzęła jego rękawy.

Krew lała się z ramienia i piersi. Gillonna obmyła je płótnem umaczanym w świeżej wodzie. Małgorzata zaś sondowała rany złotą igłą, na końcu zaokrągloną. Sam Ambroży Pare w podobnym razie nie mógłby postąpić zręcznie i delikatnie.

Rana w ramieniu była głęboka. Na piersi sztylet zsunął się po żebrach i poprzecinał mięśnie. Żelazo nie doszło do kryjówek tej naturalnej fortecy, która broni serce i płuca.

— *Acerrimum humeri vulnus, non autem lethale*, rana ciężka, lecz nie jest śmiertelna — szepnęła piękna i uczona królowa. — Podaj mi balsam i przygotuj szarpi, Gillonno.

Tymczasem Gillonna, której królowa wydała ów nowy rozkaz, obmyła już i nabalsamowała pierś młodzieńca, potem ręce, piękne jak u starożytnych posągów, tors prześlizgnął, z wdziękiem w tył przegięty, i szyję ocienioną gęstymi puklami. La Mole'a w tym stanie prędzej można było wziąć za posąg z marmuru paroskiego aniżeli za człowieka umierającego wskutek ran.

— Biedny chłopiec! — odezwała się Gillonna, zwracając uwagę nie tyle na swą robotę, ile na przedmiot swej troskliwości.

— Wszak prawda, że piękny? — powiedziała Małgorzata z królewską łąką szczerością.

— Tak, pani. Lecz zdaje mi się, że byłoby lepiej podnieść go z podłogi i położyć na tym posłaniu, o które jest teraz oparty.

— To prawda — odrzekła Małgorzata.

Obie kobiety nachyliły się i razem podniosły La Mole'a, po czym położyły go na wielkiej sofie z rzeźbionymi poręczami, stojącej przed oknem, które następnie otworzyły, aby odświeżyć powietrze.

Przebudziło to La Mole'a; westchnął, otworzył oczy i zaczął doświadczać owej niewymownej błogości, jaka zwykle towarzyszy wszystkim wrażeniom rannego, gdy powracając do życia, poczuje chłód świeżego powietrza zamiast pożerającego ognia i woń balsamów zamiast nieprzyjemnego odoru krwi.

Wymówił kilka niezrozumiałych wyrazów. Małgorzata odpowiedziała na nie uśmiechem, kładąc palec na jego ustach.

W tejże chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi.

— Pukają do tajemnych drzwiczek — rzekła Małgorzata.

— Kto by to mógł być? — zapytała zatrwożona Gillonna.

— Pójdę się dowiedzieć — rzekła Małgorzata. Ty zostań tu i nie odchodź od niego ani na chwilę.

Weszła do swego pokoju, zamknęła drzwi gabinetu i otworzyła tajemne wejście, prowadzące do króla i królowej matki.

— Pani de Sauve! — zawołała, szybko odskakując w tył z wyrazem jeżeli nie trwogi, to przynajmniej nienawiści, gdyż kobieta nigdy nie przebaczy drugiej kobiecie odbicia wielbiciela, nawet jeżeli go nie kocha. — Pani de Sauve!

— Tak jest, Wasza Królewska Mość — odrzekła Karolina.

— Pani tu... — mówiła dalej królowa ze wzrastającym zdziwieniem, lecz zarazem i coraz bardziej wyniosłe.

Karolina padła na kolana.

— Przebacz mi, pani — powiedziała. — Czuję, jak wielce zawiniłam; lecz moja wina pochodzi z przymusu. Bezwarunkowy rozkaz królowej-matki...

— Powstań, pani — rzekła Małgorzata. — Nie sędzę, abyś przyszła do mnie w nadziei usprawiedliwienia się. Powiedzże, czego żadasz... po coś tu przyszła?

— Przyszłam, pani — odpowiedziała Karolina, ciągle klęcząc i z wyrazem prawie obłąkania w oczach — przyszłam zapytać, czy nie ma go tutaj?

— Tutaj, kogo? O kim pani mówisz? Gdyż doprawdy nic nie rozumiem.

— Mówię o królu.

— O królu? Szukasz go pani aż w moich pokojach! Wiesz bardzo dobrze, że on tutaj nie przychodzi.

— A... królowo! — zawołała pani de Sauve, nie odpowiadając na te zarzuty i jakby ich Wcale nie rozumiejąc. — A! dałby Bóg, ażeby tutaj był!

— Dlaczego?

— Mój Boże! Dlatego, że mordują hugenotów, a król Nawarry jest ich głową.

— O! — zawołała Małgorzata, chwytając panią de Sauve za rękę i każąc jej powstać. — O, zapomniałam o tym. Zresztą, nie sądziłam, ażeby niebezpieczeństwo groziło królowi tak jak innym.

— Grozi mu niebezpieczeństwo tysiąc razy większe niż komu innemu! — zawołała Karolina.

— A prawda, księżna Lotaryńska ostrzegła mnie. Ja mu powiedziałam, ażeby nie wychodził. Czyżby wyszedł?

— Nie, nie, musi być w Luwrze. Nie mogę go jednak znaleźć. Nie ma go tu?

— Nie, tutaj go nie ma.

— O, więc zginął! — zawołała pani de Sauve w rozpacz. — Królowa—matka poprzysięgła mu śmierć.

— Śmierć! A! — zawołała Małgorzata. — Przerażasz mnie. To niepodobna.

— Mówię pani — odrzekła pani de Sauve z energią, jaką może dać tylko namiętność — że nikt nie wie, gdzie jest król Nawarry.

— Gdzież jest królowa—matka?

— Królowa—matka poleciła mi zawołać pana Gwizjusza i pana de Tavannes, znajdujących się w jej modlitewni, potem kazała mi odejść. Wtedy, daruj pani, poszłam do siebie i czekałam myśląc, że przyjdzie jak zwykle.

— Mój mąż, czy tak? — zapytała Małgorzata.

— Nie przyszedł... Wtedy zaczęłam go wszędzie szukać, pytałam o niego wszystkich. Jakiś żołnierz powiedział mi, że zdaje się, jakoby widział króla Nawarry pomiędzy strażą eskortującą go z dobytymi szpadami na kilka godzin przed rozpoczęciem rzezi, a rzeź już trwa z godzinę.

— Dziękuję ci, pani — rzekła Małgorzata — mimo iż uczucie, które cię skłoniło do działania, jest dla mnie obelgą. Dziękuję ci jednak.

— O... przebac mi pani — powiedziała Karolina — a powrócę do siebie szczęśliwa z otrzymanego przebaczenia, gdyż nie śmiem towarzyszyć Waszej Królewskiej Mości, choćby nawet z daleka.

Małgorzata podała jej rękę i rzekła:

— Pójdę do królowej Katarzyny; idź, pani, do siebie. Król Nawarry jest pod moją opieką. Obiecałam być jego sprzymierzeńcem i dotrzymam wiernie danego słowa.

— Lecz jeżeli Wasza Królewska Mość nie będzie mogła dostać się do królowej—matki?

— Wtedy udam się do brata Karola i zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby z nim pomówić.

— Idź pani, idź — rzekła Karolina ustępując z drogi Małgorzacie. — Niech cię Bóg prowadzi.

Małgorzata wyszła na korytarz. Doszedłszy do końca obejrzała się, czy pani de Sauve pozostała w tyle. Karolina szła za nią.

Królowa Nawarry widząc, jak zakręciła na schody prowadzące do jej mieszkania, udała się do pokojów Katarzyny de Medici.

Tutaj wszystko się zmieniło. Zamiast tłumu usłużnych dworzan, śpieszących zwykle, aby z głębokim ukłonem torować jej drogę, Małgorzata spotykała tylko gwardzistów z zakrwawionymi halabardami, w ubraniach zbluzganych krwią, szlachtę w podartych płaszczach, z twarzami osmalonymi prochem, i roznosicielei depeš i rozkazów. Nieustanny ten ruch na galeriach miał podobieństwo do wzburzonego morza.

Małgorzata, wciąż idąc, doszła nareszcie do przedpokoju królowej–matki. Lecz przedpokój otoczony był podwójnym rzędem żołnierzy, wpuszczających tylko tych, którzy znali właściwe hasło. Małgorzata na próżno usiłowała przedrzeć się przez ów żywy szpaler. Kilka razy widziała otwierające i zamykające się drzwi i dojrzeć mogła Katarzynę, prawie odmłodniałą wskutek ciągłego krzątania się, nie wyglądającą na więcej niż dwadzieścia lat, zajętą odbieraniem, pisanem, rozpieczętowywaniem listów, wydawaniem rozkazów i zwracającą się do jednych z łaskawym słówkiem, do innych znowu z uśmiechem. Ci, do których się najmilej uśmiechała, byli najbardziej zakurzeni i zbroczeni krwią.

Pośród tego hałasu, panującego wewnątrz Luwru, w ulicy słyszeć dawały się strzały, ciągle się wzmagające.

— Nie dostanę się do niej — pomyślała Małgorzata po trzech daremnych usiłowaniach, ażeby przejść pośród wart. — Ha, aby nie tracić czasu, pójdę lepiej do brata.

W tej chwili przebiegł obok niej Gwizjusz, który zawiadomiwszy królową–matkę o śmierci admirała, powracał na miejsce morderstw.

— O, Henryku! — zawołała Małgorzata. — Gdzie jest król Nawarry? Książę spojrział na nią z uśmiechem zdziwienia, skłonił się i nie odpowiedział ani słowa, wyszedł ze swoimi żołnierzami.

Małgorzata przystąpiła do kapitana wychodzącego z Luwru, który przed wyjściem rozkazał swoim żołnierzom ponabijać broń.

— Gdzie król Nawarry? — zapytała.

— Nie wiem, pani — odrzekł kapitan. — Nie jestem na usługach Jego Królewskiej Mości.

— A, kochany René — zawołała Małgorzata spostrzegłszy perfumiarza Katarzyny. — To ty... czy idziesz od matki? Czy nie wiesz, gdzie mój mąż?

— Jego Królewska Mość król Nawarry nie jest moim przyjacielem, jak pani zapewne wiadomo. Mówią nawet — dodał z szyderyczym uśmiechem — że ośmiela się obwiniać mnie o współnictwo z królową Katarzyną w otruciu jego matki.

— Nie! nie... — zawołała Małgorzata — nie wierz temu, mój dobry René.

— O, mnie wszystko jedno — odpowiedział perfumiarz. — Ani król Nawarry, ani jego stronnicy nie są straszni w tej chwili.

I odwrócił się od Małgorzaty.

— O panie de Tavannes, panie de Tavannes! — zawołała Małgorzata. — Tylko słówko, bądź łaskaw!

Tavannes, przechodzący właśnie, zatrzymał się.

— Gdzie jest Henryk Nawarski? — zapytała Małgorzata.

— Na honor! — odpowiedział głośno — sądzę, że musi być na mieście z księciem d'Alencon i z księciem Kondeuszem.

Potem dodał tak cicho, że tylko Małgorzata mogła dosłyszeć: — Piękna królowo! Jeżeli chcesz zobaczyć tego, na którego miejscu żeby być, oddałbym swe życie, idź do zbrojowni króla.

— O, dziękuję ci. Tavannes — rzekła Małgorzata, słysząc z całej odpowiedzi tylko to, co ją obchodziło. — Dziękuję ci! Idę tam.

I poszła, mówiąc sama do siebie:

— Po tym wszystkim, co mu obiecałam, po tym, jak się zachował wówczas, kiedy niewdzięczny Henryk był ukryty w gabinecie, nie mogę dopuścić, ażeby zginął.

I zapukała do apartamentów króla. Lecz całe mieszkanie opasane było dwoma oddziałami gwardii.

— Król nikogo nie przyjmuje! — rzekł oficer, szybko przystępując do królowej.

— Lecz mnie... — zawołała Małgorzata.

— Rozkaz dotyczy wszystkich.

— Mnie, królowej Nawarry! Mnie, jego siostry!

— Przebacz, pani, rozkaz nie obejmuje żadnych wyjątków. I oficer zamknął drzwi.

— A, on zginął! — zawołała Małgorzata, zatrwożona złowrogimi twarzami wyrażającymi jeżeli nie zemstę, to przynajmniej niezłomną wolę. — Tak, tak, teraz wszystko pojmuję... Użyto mnie jako przynęty... Jestem sidłem, do którego zwabiono hugenotów... O, wejść, niech mnie zabiją.

I biegła jak szalona po korytarzach i krużgankach.

Nagle, przechodząc obok maleńkich drzwiczek, usłyszała śpiew cichy, prawie ponury, tak był jednostajny.

W pobliskiej komnacie jakiś drżący głos mówił kalwiński psalm.

— A, to mamka mego brata, Magdalena... Tak, to ona! — zawołała Małgorzata, w której głowie zabłysła nagle szczęśliwa myśl. — Ona to... Boże chrześcijan, dopomóż mi!

W rzeczy samej, po ostrzeżeniu Małgorzaty, po rozmowie z Reném, po wyjściu od królowej-matki, któremu tak się sprzeciwiała biedna suczka Febe, Henryk Nawarski spotkał kilku panów katolickich, którzy chcąc mu okazać swoje uszanowanie, odprowadzili go do domu. Tutaj czekało na niego przeszło dwudziestu hugenotów, którzy skoro zebrali się u młodego swego wodza, nie chcieli go odstąpić: tak, to przecucie strasznej nocy krążyło od kilku godzin po całym Luwrze. Zostali więc i nikt nie śmiał ich zaczepić. Wreszcie, za pierwszym uderzeniem dzwonu na wieży Saint-Germain-l'Auxerrois, którego głos rozległ się we wszystkich sercach jak dźwięk dzwonu śmierć zapowiadającego, wszedł Tavannes i pośród ogólnego milczenia dał znać Henrykowi, że król Karol IX chce z nim pomówić.

O oporze nie można było myśleć. Na galeriach i korytarzach Luwru dały się słyszeć kroki żołnierzy, zebranych w podwórzu i pokojach w liczbie blisko dwóch tysięcy. Henryk, pożegnawszy się z przyjaciółmi, których już nie miał więcej zobaczyć, udał się za Tavannesem, który wprowadził go do maleńkiej galerii przylegającej do gabinetu królewskiego i zostawił go tutaj samego, bezbronno, z sercem przepelnionym podejrzeniami.

Król Nawarry przepędził dwie nieskończenie długie godziny w samotności, przysłuchując się z coraz bardziej wzrastającą trwogą dźwiękom dzwonu alarmowego i odgłosom strzałów. Przez okratowane okno widział, przy łunie pożaru i blasku pochodni, nieszczęśliwych zbiegów i ścigających ich morderców, lecz nie znał przyczyny tych krzyków rozpacz i śmierci i chociaż dobrze znał Karola IX, jego matkę i księcia Gwizjusza, nie domyślał się, co za straszny dramat rozgrywa się w tej chwili.

Henryk nie miał odwagi fizycznej, lecz za to obdarzony był siłą moralną. Bojąc się niebezpieczeństwa, spotykał je z uśmiechem, lecz zwykle spotykał je na polu bitwy, wśród dnia, wobec wszystkich, a towarzyszyła mu przeraźliwa harmonia trąb, głuchy i drżący huk bębnow... Tu zaś był bezbronny, sam jeden, zamknięty w ciemnościach, w których zaledwie by można było rozpoznać skradającego się mordercę i grożące żelazo. Te dwie godziny były dla niego, być może, najstraszniejszymi w całym życiu.

Kiedy rozruchy doszły do szczytu i gdy Henryk zaczął się już domyślać, iż rzecz idzie o zupełne wymordowanie protestantów, wszedł do niego jakiś kapitan i przez korytarz zaprowadził do mieszkania króla. Gdy się zbliżyli, drzwi otworzyły się i zamknęły za nim jakby siłą czarodziejską. Następnie kapitan wprowadził Henryka do Karola IX, znajdującego się natenczas w zbrojowni.

Kiedy weszli, król siedział na ogromnym krześle, położywszy ręce na poręczach i spuściwszy głowę na piersi. Na hałas sprawiony przez wchodzących Karol IX podniósł głowę. Henryk ujrzał wtedy, że pot wielkimi kroplami spływał mu po twarzy.

— Dobry wieczór, Henryczku! — rzekł młody król niegrzecznie. — La Chastre, zostaw nas. Kapitan wyszedł.

Nastała grobowa cisza. Podczas tej chwili milczenia Henryk niespokojnie spojrzął naokoło i przekonał się, że był z królem sam. Nagle Karol IX zerwał się z krzesła.

— Na Boga! — zawołał, odrzucając w tył jasne włosy i ocierając z potu twarz — zapewne jesteś zadowolony, że znajdziesz się teraz przy mnie, nieprawdaż, Henryku?

— Bez wątpienia, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział król Nawarry. — Ja zawsze poczytuję sobie za szczęście być blisko Waszej Królewskiej Mości.

— Tutaj lepiej niż tam, he? — zagadnął Karol IX, idąc raczej za popędem swych myśli aniżeli odpowiadając na komplement Henryka.

— Nie rozumiem cię, Najjaśniejszy Panie — rzekł Henryk.

— Spójrz, a zrozumiesz.

I Karol IX prędko podszedł, a raczej skoczył do okna. Przyciągnąwszy do siebie szwagra, jeszcze bardziej zaleknionego, pokazał mu strasznych morderców, topiących lub zabijających na pokładzie statku ofiary, które im co chwila przyprowadzano.

— Na Boga! — zawołał Henryk blednąc — cóż to się dzieje dzisiejszej nocy?

— Dziejowej nocy — odrzekł Karol IX — uwalniają mnie od hugenotów. Czy widzisz ot tam, nad pałacem Burbonów, ten dym i płomień? To pałacy się dom admirała. Czy widzisz tego trupa, którego — pocziwi katolicy ciągną na starym sienniku? To trup zięcia admirała, trup twego przyjaciela, Teligny'ego.

— O, cóż to znaczy?! — zawołał Henryk, na próżno szukając przy boku rękojeści sztyletu i drżąc ze wstydu i gniewu, czuł bowiem, że się z niego wszyscy naśmiewają i zarazem mu grożą.

— To znaczy — krzyknął z wściekłością pobladły Karol IX — to znaczy, że nie chcę dłużej cierpieć hugenotów, czy słyszysz, Henryku?! Czy jestem królem? Czy jestem panem, który rozkazuje?

— Lecz, Wasza Królewska Mość...

— Moja królewska mość rąbie i morduje teraz wszystkich, co nie są katolikami; to moja rozkosz. A ty czy jesteś katolikiem?! — krzyknął Karol IX, a gniew jego wzrastał coraz bardziej.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Henryk — przypomnij sobie własne słowa: „Co mnie do ich religii, kiedy mi służą wiernie”.

— A, cha! cha! cha! — zawołał Karol, wybuchnąwszy złowieszczym śmiechem. — Chcesz, ażebym sobie przypomniiał swoje własne słowa. *Verba volant*, jak mówi moja siostra Margot. Patrz: alboż ci — dodał wskazując palcem na miasto — źle mi służyli? Czyż nie byli mężnymi na polu bitwy, mądrymi na radzie? Wszyscy oni byli pożytecznymi poddanymi; lecz byli hugenotami, a ja chcę tylko katolików.

Henryk milczał.

— Zrozum mnie, Henryku! — zawołał Karol IX.

— Już zrozumiałem, Najjaśniejszy Panie.

— A więc?...

— A więc nie widzę powodu, dla którego by król Nawarry miał uczynić to, czego nie uczynił nikt z jego szlachty i stronników. Gdyż nieszczęśliwi ci umierają dlatego, że im proponowano to, co Wasza Królewska Mość i mnie teraz proponujesz. Oni się nie zgodzili i ja również zgodzić się nie mogę.

Karol schwycił go za rękę i wlepił w niego wzrok, którego bezbarwność zmieniła się powoli w blask wzroku dzikich zwierząt.

— A czy myślisz, że zadawałem sobie trud namawiania do przyjęcia katolicyzmu tych, których tam teraz mordują?

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Henryk wyrwijając rękę — czyż nie umrzesz w wierze swoich ojców?

— Tak, a ty?

— I ja także — odrzekł Henryk.

Karol zgrzytnął zębami i drżącą ręką porwał rusznicę leżącą na stole.

Henryk, oparłszy się o ścianę, czuł, że zimny pot występuje mu na czoło, lecz dzięki władzy, jaką miał nad sobą, śledził bez żadnego wzruszenia na twarzy wszystkie ruchy strasznego monarchy.

Karpi nabił rusznicę, z wściekłością tupnął nogą, a błysnąwszy bronią przed oczyma Henryka, zawołał:

— Czy chcesz być katolikiem?

Henryk milczał.

Karol, który z bladego stał się prawie sinym, wstrząsnął sklepienia Luwru najstraszniejszym przekleństwem, jakie kiedykolwiek wymówiły usta ludzkie.

— Śmierć, msza lub Bastylia! — wrzasnął król zmierzyszy do Henryka.

— O... Najjaśniejszy Panie! — zawołał Henryk — czyż chcesz mnie zabić, mnie, swego szwagra?

W ten sposób z nieporównaną zręcznością, która była zawsze jedną z jego największych zalet, wykręcił się od odpowiedzi na pytanie Karola IX. Nie ulega wątpliwości, że gdyby odpowiedź była przecząca, Henryk zginąłby.

Karol IX nie powtórzył już pytania i po chwili z głuchym mručeniem zwróciwszy się do otwartego okna, zmierzył do jakiegoś człowieka biegnącego na przeciwległym bulwarze.

— Muszę kogoś zabić! — zawołał z oczyma zaszłymi krwią i twarzą zsiniałą jak u trupa.

I strzelił; biegnący upadł. Henryk jęknął.

Karol IX, uniesiony wściekłością, nabijał i strzelał bezustannie, wydając krzyki radosne za każdym razem, skoro kula trafiła celu.

— Zginąłem — pomyślał Henryk. — Jak nie będzie miał do kogo strzelać, zabije mnie.

— No i cóż, czy już koniec? — dał się słyszeć jakiś głos za nimi. Była to Katarzyna de Medici, która weszła do pokoju bez najmniejszego szelestu podczas ostatniego strzału.

— Nie, do tysiąca piorunów! — zawył Karol IX rzucając rusznicę na podłogę... — Nie, on uparty... nie chce!

Katarzyna nic nie odpowiedziała. Powoli obejrzała się w tę stronę pokoju, gdzie stał Henryk, nieporuszony jak figura na obiciu, o które się oparł. Następnie spojrzała na Karola IX wzrokiem, który wyraźnie mówił: „Dlaczegoż więc jeszcze żyje?”

— Żyje... żyje... — rzekł Karol IX, który zrozumiał to spojrzenie, jak nie można lepiej, i odpowiedział na nie bez wahania. — On żyje dlatego, że on... on... jest moim krewnym.

Katarzyna uśmiechnęła się.

Henryk spostrzegł ten uśmiech i zrozumiał, że najważniejszą rzeczą było zwyciężyć Katarzynę.

— Wszystko, jak widzę, od ciebie, pani, pochodzi — zwrócił się do Katarzyny — a nie od mego szwagra Karola. To pani zamierzyłaś uwikłać mnie w sidła; to pani ze swojej córki chciałaś zrobić przynętę, aby nas wszystkich zgubić; to pani na koniec rozłączyłaś mnie z żoną, ażeby ją uwolnić od przykrego widoku mojej śmierci.

— Tak, lecz to się nie uda! — zawołał inny głos, zadyszany i namięty. Henryk poznał go natychmiast. Karol IX zadrżał, gdyż się go nie spodziewał. Katarzyna drgnęła z wściekłości.

— Małgorzata! — zawołał Henryk.

— Margot! — rzekł Karol IX.

— Moja córka — mruknęła Katarzyna.

— Panie — odezwała się Małgorzata do Henryka — ostatnie twoje słowa obwiniły mnie; lecz masz słuszość i nie masz. Masz słuszość, gdyż rzeczywiście użyto mnie jako środka do zgubienia was wszystkich. Lecz nie masz słuszości, bo nic o tym nie wiedziałam. Ja sama zawdzięczam to może zapomnieniu mej matki. Lecz skoro tylko się dowiedziałam, że jesteś w niebezpieczeństwie, przypomniałam sobie swoje obowiązki. Obowiązkiem żony jest dzielić los męża. Wypędzą cię — idę z tobą na wygnanie, wtrąca cię do więzienia — ja pójdę za tobą. Zabiją cię — ja umrę.

I podała mężowi rękę, którą on uściskał, jeżeli nie z miłością, to na pewno z wdzięcznością.

— A... biedna Margot — rzekł Karol IX. — Lepiej byś zrobiła, gdybyś mu poradziła zostać katolikiem.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała Małgorzata z wrodzoną sobie dumą — dla samego siebie nie żądam niegodnego postępuku od członka swej rodziny.

Katarzyna znacząco spojrzała na Karola.

— Mój bracie — zawołała Małgorzata, pojawiając się również jak Karol IX, co oznaczał straszny wyraz twarzy Katarzyny — mój bracie, pomyśl o tym, wszak sam dałeś mi go za męża!

Karol IX pod rozkazującym wzrokiem Katarzyny i błagalnym Małgorzaty chwilę zawahał się, na koniec Oromaz zwyciężył.

— Prawdziwie — szepnął nachyliwszy się do ucha Katarzyny. — Margot ma słuszość, Henryk jest moim szwagrem.

— Tak — odrzekła Katarzyna, zbliżywszy się do ucha króla — tak... lecz gdyby nim nie był...

ROZDZIAŁ XI

CMENTARZ NIEWINIĄTEK

Małgorzata, powróciwszy do siebie, na próżno starała się odgadnąć, co Katarzyna de Medici powiedziała do ucha Karolowi IX.

Część ranka przeszła jej na pielęgnowaniu La Mole'a, druga zaś na bezowocnym usiłowaniu rozwiązania powyższej zagadki.

Król Nawarry pozostał w Luwrze jako więzień. Hugenotów mordowano z jeszcze większą zaciekłością. Po strasznej nocy nastąpiła rzeź przy świetle dziennym, jeszcze bardziej odrażająca. Dzwony nie jęczały już na trwożę, lecz dzwoniły na *Te Deum*. Uroczyste głosy spżu, rozchodzące się pośród morderstw i pożarów, były jeszcze smutniejsze w dzień aniżeli dzwon zwiastujący śmierć minionej nocy. To jeszcze nie wszystko; zdarzyła się dziwna rzecz: tarnina, kwitnąca wiosną i jak zwykle tracąca swoje wonne kwiaty w miesiącu czerwcu, zakwitła znowu w nocy. Katolicy, widząc w tym zjawisku cud i przypisując go zatwierdzeniu ich zbrodni przez Boga, szli procesją z krzyżami i chorągwiami na cmentarz Niewiniątek, gdzie rosły owe cudowne krzewy.

Naturalnie taki znak boskiego przyzwolenia podwoił okrucieństwo morderców.

I podczas kiedy w mieście na każdej ulicy, na każdym placu miały ciągle miejsce sceny śmierci, Luwr był ogólną mogiłą wszystkich protestantów znajdujących się w Paryżu w chwili złowrogięgo sygnalu.

Tylko król Nawarry, ksiązę Kondeusz i La Mole zostali oszczędzeni.

Uspokoiwszy się co do La Mole'a, którego rany, jak to zauważyła dnia poprzedniego, były ciężkie, lecz nie śmiertelne, Małgorzata myślała tylko o tym, jak uratować życie swego męża, które jeszcze było w niebezpieczeństwie. W istocie, pierwszym uczuciem obudzonym w żonie było uczucie ubolewania nad człowiekiem, któremu przysięgła, według słów samego Bearneńczyka, jeżeli nie miłość, to przynajmniej pomoc.

Lecz poza tym serce królowej przejęło i inne uczucie, nie tak bezinteresowne. Małgorzata była chciwa wyniesienia; wychodząc za Henryka de Bourbon na pewno liczyła na tron królewski.

Nawarra, rozszarpywana po kawałku z jednej strony przez francuskich, a z drugiej przez hiszpańskich królów do tego stopnia, że już zmniejszyła się o połowę, mogła się stać silnym królestwem, przyjąwszy za swych poddanych wszystkich hugenotów francuskich, gdyby Henryk spełnił pokładane w nim nadzieje. A męstwo jego, okazywane w tych kilku przypadkach, w których dobywał oreża, obiecywało dużo. Dzięki swemu wykształceniu i subtelnemu umysłowi Małgorzata wszystko to pojęła i rozważyła w swej głowie. Tracąc Henryka utraciłaby nie tylko męża, lecz i tron.

To jej głębokie zamyślenie przerwane zostało cichym pukaniem do tajemnych drzwiczek.

Małgorzata zadrzała, gdyż tylko trzy osoby wchodziły tymi drzwiczkami: król, królowa-matka i ksiązę d'Alencon. Otworzyła drzwi do gabinetu, zaleciła milczenie Gillonnie i La Mole'owi i poszła otworzyć tajemne wejście.

Był to ksiązę d'Alencon. Poprzedniego dnia młodzieniec ten zniknął. Była chwila, w której Małgorzata chciała błagać go o wstawienie za królem Nawarry, lecz straszna myśl wstrzymała ją. Małżeństwo zostało skojarzone wbrew jego życzeniom; Franciszek nienawidził Henryka i zachował neutralność względem Bearneńczyka dlatego tylko, że był przekonany, iż Henryk z Małgorzatą są sobie obojętni. Najmniejsza przeto oznaka przywiązania Małgorzaty do męża

mogłaby, zamiast oddalić, zbliżyć tylko do piersi Henryka jeden z trzech groźących mu sztyletów.

Toteż Małgorzata, ujrawszy młodego księcia, zadrżała bardziej, niż gdyby spostrzegła króla Karola IX lub królową-matkę. Zresztą patrząc na księcia trudno było przypuścić; że na mieście lub w Luwrze dzieje się coś nadzwyczajnego; Ubrany był ze zwykłą elegancją; bielizna i suknie jego wydawały zapach, którego nie mógł znieść Karol IX, którego jednak książę d'Alencon i książę Andegaweński zawsze używali. Tylko tak wprawne oko jak Małgorzaty mogło dojrzeć, że pomimo niezwyklej bladości twarzy i drżenia rąk, tak pięknych i tak starannie utrzymanych jak u kobiety, w sercu księcia panowała radość.

Wszedł jak zazwyczaj i postąpił naprzód, ażeby pocałować siostrę. Lecz Małgorzata zamiast mu nadstawić swych policzków, jak by to uczyniła, gdyby przyszedł Karol lub książę Andegaweński, schyliła się tylko i nadstawiła głowy.

Książę westchnął i dotknął bladymi ustami czoła Małgorzaty; następnie usiadł i zaczął opowiadać siostrze krwawe nowiny z tej nocy: powolny, straszny zgon admirała, gwałtowną śmierć Teligny'ego, który przestrelony kulą, w tejże chwili wydał ostatnie tchnienie.

Rozwodził się nad najmniejszymi szczegółami minionej nocy z tą chciwością krwi, jemu i jego dwóm braciom właściwą. Na koniec, opowiedziawszy wszystko, zamilkł.

— Przyszedłeś tu nie tylko dlatego, ażeby mi te wypadki opowiedzieć, nieprawdaż, mój bracie? — zapytała Małgorzata.

Książę d'Alencon uśmiechnął się.

— Jeszcze coś więcej masz mi do powiedzenia?

— Nie — odrzekł książę. — Ja czekam.

— Na co?

— Czyżeś mi nie mówiła, kochana Małgorzato — odparł książę przysuwając swe krzesło do siostry — żeś wyszła na króla Nawarry wbrew swoim życzeniom?

— Tak jest, bez wątpienia. Wcale nie znałam księcia Bearneńskiego, kiedy mi go przeznaczono na męża.

— A od tego czasu, jakieś go poznała, czyż nie mówiłaś, że nie czujesz ku niemu najmniejszego przywiązania?

— Mówiłam, to prawda.

— Podług twego mniemania małżeństwo to miało być dla ciebie nieszczęściem.

— Kochany Franciszku! — odpowiedziała Małgorzata. — Któreż małżeństwo nie jest największym nieszczęściem?!

— A więc, kochana Małgorzato, czekam, jak ci już powiedziałem.

— Lecz na cóż czekasz?

— Na to, ażebyś mi objawiła swoje zadowolenie.

— Z czegoż to mam być zadowolona?

— Z niespodziewanego wypadku, wskutek którego możesz zostać wolną.

— Wolną... — powtórzyła Małgorzata, chcąc zmusić księcia, ażeby dokończył zaczęłą myśl.

— Bez wątpienia; rozwiodą cię z Henrykiem Nawarskim.

— Rozwiodą! — zawołała Małgorzata utkwivszy wzrok w młodym księciu.

Książę d'Alencon chciał wytrzymać to spojrzenie, lecz wkrótce, zmieszany, musiał odwrócić oczy w drugą stronę.

— Rozwiodą?... — powtórzyła Małgorzata. — Zobaczmy to, mój bracie. Bądź tak łaskaw i opowiedz mi ze wszystkimi szczegółami, jakim to sposobem chcą nas rozwieść.

— No — mruknął książę — Henryk jest hugenotem.

— Bez wątpienia, lecz on przecież tego nie tał, wiedzieli o tym wszyscy, kiedy mnie wydawano za niego za mąż.

— Tak jest, moja siostru — rzekł ksiąę, a na twarzy jego błysnęła mimowolna radość. — Lecz od twego małżeństwa cóż robił Henryk?

— Wiesz o tym lepiej anizeli kto inny; prawie cały dzień przepędza on z tobą, to na polowaniu, to na grze w piłkę i innych zabawach.

— Tak, tak, dnie, bez wątpienia — odpowiedział ksiąę. — A noc? Małgorzata zamilkła i z kolei spuściła oczy.

— Noce... — mówił dalej ksiąę d'Alencon. — Noce?

— A więc?... — zapytała Małgorzata czując, że należałoby coś odpowiedzieć.

— Noce... Henryk przepędza u pani de Sauve.

— Skąd o tym wiesz?! — zawołała Małgorzata.

— Wiem, bo mnie to obchodzi — odrzekł młody ksiąę, blednac i obrywajac koronki od swoich rękawów. Małgorzata zaczęła się domyslać, co powiedziała Katarzyna do ucha Karolowi IX; udala jednak, że o niczym nie wie.

— Dlaczego mi to wszystko mówisz, mój bracie? — odpowiedziała z doskonale udanym smutkiem. — Czyżby dlatego, aby mi przypomnieć, że mnie nikt tu nie lubi, że mnie wszyscy nienawidzą... nawet ten, którego natura dała mi za obrońcę, a kościół za męża?

— Jesteś niesprawiedliwa — szybko wtrącił ksiąę przysuwajac się jeszcze bliżej. — Ja kocham cię i opiekuję się tobą.

— Bracie mój — rzekła Małgorzata spoglądajac na niego badawczym wzrokiem — masz mi coś powiedzieć od królowej-matki?

— Ja... mylisz się, siostru, przysięgam ci. Z czego mozesz o tym wnosić?

— Z tego, że zerwałeś przyjaźń z moim mężem; z tego, że opuszczasz stronę króla Nawarry.

— Stronę króla Nawarry! — ze zdziwieniem powtórzył ksiąę.

— Tak jest, bez wątpienia. Pomówmy otwarcie, Franciszku. Dwadzieścia razy zgodziłeś się na to, że mozesz się wznieść lub utrzymać nie inaczej, jak przy wzajemnym poparciu. Ten związek...

— Stał się niemożliwym do utrzymania, moja siostru — przerwał ksiąę d'Alencon.

— Dlaczego?

— Dlatego, że król ma swoje widoki na twego męża. Przebacz, omyliłem się nazywajac go twoim mężem. Chciałem powiedzieć: Henryka Nawarskiego. Nasza matka odgadła wszystko. Wprawdzie wziąłem stronę hugenotów, myśląc, że są silni. Teraz zaś mordują hugenotów, a za tydzień nie zostanie ich pięćdziesięciu w całym królestwie. Ścisiałem rękę króla Nawarry dlatego, że był... twoim mężem. Lecz teraz już nim nie jest. Cóż powiesz na to, ty, kobieta nie tylko najpiękniejsza, ale i najmądrzejsza w całej Francji?

— Powiem — odparła Małgorzata — że znam dobrze naszego brata Karola. Widziałam go wczoraj w jednym z tych napadów szaleństwa, skracajacych jego życie o dziesięć lat; powiem jeszcze, że te napady coraz częściej się powtarzają i że według wszelkiego prawdopodobieństwa nasz Karol niedługo pożyje. Powiem na koniec, że król Polski umarł i że na jego miejsce koniecznie chcą wybrać jakiegoś francuskiego księcia. W takich okolicznościach nie należy porzucać sprzymierzeńca, który w chwili bitwy może nas wesprzeć siłą całego narodu i królestwa.

— A ty! — zawołał ksiąę. — Czyż mnie nie zdradzasz jeszcze bardziej, przekładajac cudzoziemca nad brata?

— Objaśnij mi, Franciszku, jak i w czym cię zdradziłam.

— Wczoraj prosiłaś Karola o życie króla Nawarry.

— Cóż więcej? — zapytała Małgorzata z udaną niewinnością. Księżę nagle powstał i przeszedł się kilka razy po pokoju; potem schwycił Małgorzatę za rękę. Ręka ta była sztywna i zlodowaciała.

— Do widzenia, moja siostró — rzekł księżę. — Nie chciałaś mnie pojąć, przypisz więc sama sobie nieszczęścia, jakie, mogą spaść na ciebie.

Małgorzata pobladła i pozostała nieruchoma na miejscu. Księżę odchodził; Małgorzata nie prosiła go, aby pozostał. Lecz za ledwie znikł w korytarzu, sam natychmiast powrócił.

— Słuchaj, Małgorzato — rzekł — zapomniałem ci powiedzieć, że jutro o tej godzinie król Nawarry już żyć nie będzie,

Małgorzata krzyknęła; myśl, że użyto jej jako narzędzia do zamordowania Henryka, zatrwożyła ją do głębi duszy.

— I ty nie przeszkodzisz temu? — zapytała. — Nie obronisz swego najlepszego, najwierniejszego sprzymierzeńca?

— Od wczorajszego dnia król Nawarry przestał być moim sprzymierzeńcem.

— Któż więc jest nim?

— Gwizjusz. Tępiąc hugenotów Gwizjusz stał się królem katolików.

— Więc syn Henryka II uznaje za swego króla księcia Lotaryngii!

— Nie jesteś dzisiaj w stanie, Małgorzato, nic pojąć.

— Przyznam, że na próżno staram się przeniknąć twą myśl.

— Siostró, pochodzeniem nie ustępujesz w niczym księżnej de Porcian; Gwizjusz jest tak śmiertelny, jak i król Nawarry, wystaw więc sobie, Małgorzato, trzy rzeczy, wszystkie prawdopodobne: pierwsza, że księcia Gwizjusza obiorą królem Polski, druga, że ty mnie kochasz tak, jak ja ciebie. Wtedy... ja zostanę królem Francji... a ty... ty... będziesz królową katolików.

Małgorzata zakryła twarz rękoma, zdumiona przenikliwością obmyślanych planów i zamiarów młodzieńca, którego u dworu nikt nie miał za bardzo bystrego.

— Lecz — zapytała po chwili milczenia — ty nie trzymasz strony księcia Gwizjusza, podobnie jak nie dbasz o dobro króla Nawarry?

— Co się stało, odstać się już nie może! — głucho odrzekł księżę. — Jeżeli trzymałem stronę księcia, miałem bez wątpienia swoje powody.

— Twój plan doskonały, dobrze obmyślany, jedna tylko rzecz może połamać szyki i przeszkodzić w jego wykonaniu — powiedziała Małgorzata powstając.

— Cóż takiego?

— To, że już nie kocham księcia Gwizjusza.

— Kogóż więc kochasz?

— Nikogo.

Księżę spojrział na siostrę ze zdziwieniem człowieka, który nic nie rozumie. Po chwili wyszedł z westchnieniem, ocierając twarz ręką zimną jak lód.

Małgorzata pozostała sama, pogrążona w myślach. Jej położenie zaczęło się rysować przed oczyma jasno i wyraźnie; noc świętego Bartłomieja zbluzgała się krwią wskutek rozkazu króla. Wykonawcami rozkazu była królowa-matka i księżę Gwizjusz. Księżę Gwizjusz i d'Alencon połączyli się, ażeby wyciągnąć z tego zdarzenia jak najwięcej korzyści. Śmierć króla Nawarry była nieuniknionym skutkiem tej katastrofy. Po jego śmierci zawładną królestwem Nawarry. Małgorzata zostanie wdową bez tronu, bez władzy, widząc tylko przed sobą klasztor, gdzie nie będzie nawet miała smutnej pociechy opłakiwania męża, bo Henryk nigdy nim nie był.

Gdy tak rozmyślała, królowa Katarzyna przysłała zapytać ją, czyby nie życzyła sobie pojechać z całym dworem na Cmentarz Niewiniątek do cudownego krzewu. Pierwszym odruchem Małgorzaty było wymówić się od uczestnictwa w tej procesji. Lecz przyszło jej do głowy, że

może będzie mogła dowiedzieć się czegoś o królu Nawarry. Kazała więc odpowiedzieć, że jeżeli już jest dla niej przygotowany koń, z chęcią towarzyszyć będzie Ich Królewskim Mościom na Cmentarz Niewiniątek. W pięć minut później paź doniósł jej, że orszak zaraz wyruszy. Małgorzata dała znak Gillonnie, ażeby miała staranie o chorem, i wyszła.

Król, królowa-matka, Tavannes i znakomitsi katolicycy panowie siedzieli już na koniach. Małgorzata szybkim spojrzeniem przebiegła całe towarzystwo, składające się najmniej z dwudziestu osób. Króla Nawarry nie było, lecz pani de Sauve była obecna; zamieniła ona spojrzenie z Małgorzatą, która domyśliła się, że kochanka jej męża chce jej coś powiedzieć.

Orszak postępował przez ulicę Saint-Honore i de Lastruce.

Lud, zobaczywszy króla, królową-matkę i znakomitszych katolików, zbierał się coraz liczniej i towarzyszył im krzycząc:

— Niech żyje król! Niech żyją katolicy! Śmierć hugenotom! Wywijali przy tym zakrwawionymi szpadami i zakopconymi rusznicami, które brały tak żywy udział w nocnej rzezi.

Na końcu ulicy des Prouvelles spotkano tłum ludzi ciągnących jakiegoś trupa bez głowy. Był to trup admirała, którego ludzie ci ciągnęli, aby powiesić za nogi w Montfaucon.

Orszak wjechał na Cmentarz Niewiniątek bramą położoną naprzeciw ulicy des Chaps, obecnej des Dechargeurs! Duchowieństwo, uprzedzone o przybyciu króla i królowej-matki, oczekiwało ich z powitalną mową.

Pani de Sauve skorzystała z chwili, w której Katarzyna słuchała zwróconego do siebie przemówienia, i zbliżyła się do Małgorzaty prosząc, ażeby ta dozwoliła jej ucałować swoją rękę. Małgorzata podała jej rękę; pani de Sauve, całując ją, wsunęła za rękaw małą, zwiniętą karteczkę.

Jakkolwiek szybko i skrycie to uczyniła, Katarzyna jednak spostrzegła i obróciła się właśnie wtedy, kiedy jej dama całowała rękę królowej. Obie kobiety spostrzegły spojrzenie, które je na wskroś przeniknęło, lecz żadna nie zmieszała się. Tylko pani de Sauve oddaliła się od Małgorzaty i zajęła miejsce obok Katarzyny.

Odpowiedziawszy na przywitanie Katarzyna z uśmiechem dała znak królowej Nawarry, ażeby się zbliżyła. Małgorzata usłuchała.

— Widzę, moja córko — rzekła królowa-matka ze swoim akcentem włoskim — iż nie na żarty przyjaźnisz się z panią de Sauve.

Małgorzata uśmiechnęła się z wyrazem gorczy na twarzy.

— Tak jest, moja matko — odpowiedziała. — Żmija ukąsiła mnie w rękę.

— A! a!... — powiedziała z uśmiechem Katarzyna. — Jesteś zazdrosna, jak mi się zdaje.

— Mylisz się, pani — odrzekła Małgorzata. — Tyle jestem zazdrosna o króla Nawarry, ile król Nawarry jest we mnie zakochany. Ja tylko umiem odróżniać przyjaciół od wrogów. Kocham tych, którzy mnie kochają, pogardzam tymi, co mnie nienawidzą. Gdybym czyniła inaczej, czyż byłabym, pani, twą córką?

Katarzyna uśmiechnęła się w taki sposób, aby Małgorzata poznała, że jeżeli miała ją w podejrzeniu, podejrzenie to zupełnie upadło.

W tejsze chwili nowi, tylko co przybyli pielgrzymi zwrócili uwagę dostojnych gości. Był to książę Gwizjusz, który przybył w towarzystwie niewielkiego grona szlachty, zagrzanej jeszcze niedawną rzezią. Orszak ten postępował za bogato przybraną lektyką, która zatrzymała się naprzeciw króla.

— Księżna de Nevers! — zawołał Karol IX. — Witamy cię, piękna i surowa katoliczko. Słyszałem, kuzynko, żeś strzelała z okien do hugenotów i żeś nawet zabiła jednego kamieniem?

Księżna de Nevers nadzwyczaj się zarumieniła.

— Najjaśniejszy Panie! — powiedziała cichym głosem, zginając przed królem kolano — przeciwnie, miałam szczęście przyjąć do swego domu rannego katolika.

— Dobrze, dobrze, moja kuzynko. Można mi służyć dwojako: albo mordując moich nieprzyjaciół, albo pomagając przyjaciołom. Każdy robi, co może, i jestem przekonany, że gdybyś mogła, uczyniłabyś więcej.

Lud, widząc zgodę pomiędzy Karolem IX a Lotaryńczykami, krzyczał z całej siły:

— Niech żyje król! Niech żyje księżę Gwizjusz! Niech żyje katolicyzm!

— Czy pójdziesz z nami do Luwru, Henrieto? — zapytała królowa–matka piękną księżnę.

Małgorzata trąciła łokciem swoją przyjaciółkę, która zrozumiała ten znak, odpowiedziała:

— Nie, pani, przynajmniej jeżeli mi Wasza Królewska Mość uczynić tego nie rozkażesz. Mam pewne sprawy w mieście z królową Nawarry.

— Cóż to za sprawy? — zapytała Katarzyna.

— Chcemy obejrzeć bardzo rzadkie i bardzo ciekawe książki greckie, znalezione u pewnego starego protestanckiego pastora i złożone w wieży Saint–Jacques Boucherie — odpowiedziała Małgorzata.

— Lepiej byście pojechały zobaczyć, jak zrzucają hugenotów z mostu Moulins w Sekwanę — rzekł Karol IX. — Tam miejsce dla prawdziwych Francuzów.

— Będziemy i tam, jeżeli tego Wasza Królewska Mość wymagasz — odpowiedziała księżna de Nevers.

Katarzyna niedowierzająco spojrzała na obie przyjaciółki. Małgorzata zauważyła to i zaczęła niespokojnie oglądać się na wszystkie strony. Niepokój ten, prawdziwy czy też udany, nie uszedł baczności Katarzyny.

— Czego szukasz? — zapytała.

— Szukam... Nie widzę... — odrzekła Małgorzata.

— Czego szukasz? Czego nie widzisz?

— De Sauve — odpowiedziała Małgorzata. — Czy powróciła do Luwru?

— Mówiłam ci, że jesteś zazdrosna — szepnęła jej Katarzyna do ucha. — O głuptasie! No, Henrieto — dodała wzruszając ramionami — weź ze sobą królową Nawarry.

Małgorzata jeszcze udawała, że się naokoło ogląda, a potem, nachyliwszy się do ucha swej przyjaciółki, rzekła jej:

— Zabierz mnie ze sobą jak najprędzej. Muszę ci się zwierzyć z bardzo ważnej rzeczy. Księżna ukloniła się Karolowi IX i Katarzynie, następnie zwróciła się z uszanowaniem do królowej Nawarry:

— Czy Wasza Królewska Mość raczysz wsiąść do mojej lektyki?

— Jak najchętniej. Tylko zastrzegam sobie, ażebyś mnie odesłała z powrotem do Luwru.

— Ja, moja lektyka i moi ludzie są do usług Waszej Królewskiej Mości. Królowa Małgorzata wsiadła w lektykę i dała znak księżnej de Nevers, która także wsiadła i z uszanowaniem zajęła miejsce na przodzie.

Katarzyna wraz z orszakiem powróciła do Luwru tą samą drogą, którą jechała pierwiej.

Zauważono, że królowa–matka przez całą drogę szeptała coś do ucha Karolowi IX, wskazując po kilkakroć na panią de Sauve. I za każdym razem Karol IX śmiał się po swojemu; śmiech ten był gorszy aniżeli groźba.

Małgorzata zaś, zaledwie tylko lektyka ruszyła z miejsca i kiedy już nie potrzebowała obawiać się oczu Katarzyny, dobytej z rękawa karteczkę pani de Sauve i przeczytała, co następuje:

Otrzymałam rozkaz przesiania dziś wieczór królowi Nawarry dwóch kluczy: jeden jest od pokoju, w którym jest uwięziony, drugi zaś od mego. Skoro już będzie u mnie, polecono mi zatrzymać go u siebie do szóstej nad ranem.

Niech się Wasza Królewska Mość namyśli, zdecyduje i nie zważa na moje życie. — Nie ma wątpliwości — powiedziała Małgorzata. — Użyto tej biednej kobiety za narzędzie, którym chcą

nas wszystkich zgubić. Zobaczmy jednak, czy też to łatwo, jak mówi mój brat Karol IX, zrobić z królowej Margot zakonnice.

— Od kogóż jest ten bilecik? — zapytała księżna de Nevers wskazując papier, który Małgorzata odczytała z wielką uwagą.

— A, księżno!... Mam ci wiele rzeczy do powiedzenia — odrzekła Małgorzata drąc bilecik na drobne kawałki.

ROZDZIAŁ XII

ZWIERZENIA

— Lecz przede wszystkim dokąd się udamy? — zapytała Małgorzata. — Spodziewam się, że nie na most Moulins? Już dosyć napatrzyłam się na rzeź od wczorajszego dnia!

— Pozwolono mi odprowadzić Waszą Królewską Mość...

— Przede wszystkim zapomnij, proszę, o mojej królewskiej mości... Odprowadzisz mnie więc...

— Do pałacu Gwizjuszów, jeżeli się tylko pani zgodzisz.

— Dlaczegoż nie? Do ciebie, Henrieto; wszak księcia Gwizjusza tam nie ma?... i twego męża również?

— O tak! — zawołała księżna z błyszczącymi z radości oczyma. — Tak! Nie ma ani mego szwagra, ani męża, ani nikogo. Jestem wolna, wolna jak powietrze, jak ptak, jak chmura... wolna; moja królowo, czy słyszysz? Czy pojmujesz, ile szczęścia zawiera w sobie ten wyraz: wolna? Idę, dokąd chcę; rozkazuję! A, biedna królowo! Nie, jesteś wolna, dlatego też wzdychasz. — Idziesz, dokąd chcesz, rozkazujesz! Czy to już dosyć? Czy na tym koniec? Nie, na taką wolność jesteś zbyt wesola.

— Wasza Królewska Mość obiecałaś mi zwierzyć się.

— Znowu moja królewska mość. Ej, bo się pogniewamy, Henrieto. Czyż już zapomniałaś o naszej umowie?

— Nie! Jestem twoją uniżoną służką w obecności ludzi, lecz szczerą przyjaciółką, kiedy jesteśmy same. Czyż nie tak, pani? Czyż nie tak, kochana Małgorzato?

— Tak, tak — rzekła królowa śmiejąc się.

— Precz familijna nienawiści, precz wiarołomność przyjaźni. Wszystko prosto, otwarcie, szczerze. Słowem, związek na czas wojny i pokoju, z jednym celem schwywania w locie, jeżeli się uda, przemijającego szczęścia.

— Tak, tak, Henrieto, a na znak obopólnego przymierza uściśnijmy się i obydwie zachwycające twarzyczki, jedna biała i smętna, druga rumiana, otoczona jasnymi włosami i wesola, nachyliły się ku sobie i złączyły usta, tak jak już złączyły swe myśli.

— A więc masz jakie nowiny? — zapytała księżna, z wielką ciekawością spoglądając na Małgorzatę.

— Alboż te dwa dni nie są pełne nowin?

— O, ja mówię o miłości, nie zaś o polityce. Jak będziemy w tym wieku, co pani Katarzyna, twoja matka, wtedy się będziemy mogły nią zajmować.

Lecz mamy dosyć czasu czekać na to, jeszcze przynajmniej ze dwadzieścia lat, moja piękna królowo. Mówmy o czym innym. Czy czasem nie wyjdiesz znowu za męża?

— A za kogo? — zapytała śmiejąc się Małgorzata.

— A, uspokoiłaś mnie tą odpowiedzią.

— Tak, Henrieto! Lecz właśnie to, co ciebie uspokaja, mnie zatrwąza. Będę musiała wyjść za męża.

— Kiedy?

— Jutro.

— A, biedna przyjaciółko! I czy to konieczne?

— Tak.

— Do kroćset, jak mówi pewien mój znajomy, to nieprzyjemne.

— Masz znajomego, który mówi; „do kroćset”? — śmiejąc się zapytała Małgorzata.

— Tak.

— Któż to taki?

— Ciągłe mnie wypytujesz zamiast sama mówić. Dokończ, a ja wtedy zacznę.

— Otóż w kilku słowach powiem ci, o co chodzi: król Nawarry jest zakochany i mnie nie chce. Ja się nie kocham, lecz także go nie chcę. Tymczasem powinniśmy oboje zmienić nasze uczucia jeszcze przed jutrem, a choćby tylko udawać.

— A więc zmień je, a możesz być pewna, że i on zmieni.

— Lecz właśnie to jest niepodobieństwem, gdyż mniej niż kiedykolwiek jestem usposobiona do zmiany naszych obopólnych stosunków.

— Lecz do twego męża...

— Henrieto, już powątpiewam, waham się.

— Dlaczego?

— Ze względu na religię. Czy ty znajdujesz jaką różnicę między katolikami i protestantami?

— Czy w polityce?

— Tak.

— O, bez wątpienia.

— A w miłości?

— Kochana przyjaciółko, my kobiety jesteśmy takimi pogankami, że obdarzamy miłością ludzi wszystkich sekt, jakie tylko mogą istnieć. Co się zaś tyczy bogów, wyznajemy ich bardzo wielu...

— W osobie jednego, nieprawdaż?

— Tak jest — odrzekła księżna z błyszczącym w oczach bałwochwalstwem. — Tak, tego, którego nazywają Eros–Kupido–Amor. Tak, tego, który ma kołczan, opaskę na czole i skrzydła. Do kroćset, niech żyje na bożność!

— Ty jednak modlisz się w szczególny sposób: zabijasz hugenotów kamieniami.

— Niech sobie tak mówią... A, Małgorzato, jak to przekręcają usta gawiedzi najlepsze myśli, najszlachetniejsze czyny!

— Gawiedzi!... Lecz zdaje mi się, że za ten czyn podziękował ci mój brat, Karol.

— Twój brat, Karol IX, jest wielkim strzelcem, który trąbi w róg cały dzień, stąd taki chudy... Od takich jak on nie przyjmuję grzeczności. Zresztą, odpowiedziałam twemu bratu Karolowi... Czyż nie słyszałaś mojej odpowiedzi?

— Nie. Mówiłaś tak cicho.

— Tym lepiej, udzielę ci więcej wiadomości. Lecz dokończ pierwej swego wyznania, Małgorzato.

— Otóż jeżeli...

— Cóż?

— Jeżeli kamień — rzekła z uśmiechem królowa — o którym mówił mój brat Karol IX, jest kamieniem historycznym, to wolę już nic więcej nie powiedzieć.

— Dobrze! — zawołała Henrieta. — Ty wybrałaś hugenota. Nie obawiaj się jednak. Ażeby zaspokoić twoje sumienie, obiecuję ci wybrać sobie hugenota przy pierwszej sposobności.

— Zdaje się, że tym razem oczarował cię katolik.

— Do kroćset! — zawołała księżna.

— A, już rozumiem, rozumiem.

— Cóż to za jeden ten hugenot?

— Nie wybierałam go. Ten młodzieniec nie ma i bez wątpienia nie będzie miał u mnie nigdy żadnego znaczenia.

— Lecz jak on wygląda? To wcale nie przeszkadza, abyś go opisała. Wiesz przecież, jak jestem ciekawa.

— Piękny jak Apollo Belwederski, jest ten młodzieniec... który unikając pogoni, ukrył się w moim pokoju.

— O!... o!... Więc nie ty go zaprosiłaś?

— Biedny chłopiec! Nie śmieję się tak, Henrieto. Walczy w tej chwili ze śmiercią.

— Więc taki słaby!

— Ciężko ranny.

— O, to nieznośna rzecz; raniony hugenot... osobliwie też w tych czasach, lecz cóż ty robisz z tym hugenotem, który nie ma i niewątpliwie nie będzie miał dla ciebie nigdy żadnego znaczenia?

— Jest w moim gabinecie. Schowałam go i pragnę uratować.

— Ładny, młody, raniony... Ukryłaś go w swoim gabinecie, pragniesz go uratować? Powinno przynajmniej obudzić się w nim uczucie wdzięczności.

— Już się obudziło... Obawiam się tylko, czy nie jest silniejsze, aniżeli bym sobie tego życzyła.

— Więc interesujesz się nim... tym nieszczęśliwym młodzieńcem?

— Tylko z litości.

— Z litości! A, biedna królowo! Ta cnota gubi zawsze naszą płęć!

— Wiesz, że król, królowa-matka, księżę d'Alencon, nawet mój mąż... mają wolny wstęp do moich pokojów.

— Więc chcesz mnie prosić, ażebym ukryła twego hugenota, nieprawdaż? To jest, dopóki będzie chory, pod warunkiem jednak zwrócenia ci go, skoro tylko wyzdrowieje.

— Figlarko! — rzekła Małgorzata. — Nie, zaręczam ci, że nie sięgam myślą tak daleko. Czy nie mogłabyś go tylko ukryć, zachować życie, które ja uratowałam? Zapewniam cię, że byłabym ci bardzo wdzięczna. Jesteś wolna w pałacu Gwizjuszów, nie masz ani szwagra, ani męża, który by cię podglądał lub męczył. Ponadto za twoim pokojem jest podobny jak u mnie gabinet, z tą tylko różnicą, że nikt nie ma prawa wchodzić do niego. A więc pożycz mi tego gabinetu dla mego hugenota. Jak wyzdrowieje, otworzysz mu klatkę, a ptak uleci.

— Jest tu tylko jedna trudność, kochana królowo. Oto klatka już zajęta.

— Jak to, czyż i ty kogo ratowałaś?

— To właśnie odpowiedziałam twemu bratu.

— A, rozumiem. Dlatego też mówiłaś tak cicho, że nie mogłam cię dosłyszeć.

— Posłuchaj, Małgorzato, to cudowna historia, wcale nie gorsza od twojej. Pozostawiwszy ci sześciu żołnierzy, powróciłam z drugimi sześcioma do pałacu Gwizjuszów i przypatrywałam się, jak pała i rabują dom oddzielony od pałacu mego brata tylko ulicą des Quatre-Fils. Nagle usłyszałam krzyk kobiet i przekleństwa mężczyzn. Wychodzę na balkon i przede wszystkim spostrzegam szpadę, która zdawała się oświecać swoim blaskiem całą tę scenę. Podziwiam ruchy tego wściekłego oręża. Wiesz, jak ja lubię ładne widoki! Naturalnie zaczynam potem rozpoznawać rękę robiącą szpadą i osobę, do której ta ręka należy. Na koniec, pośród bitwy i krzyków, rozpoznaję człowieka i widzę... widzę bohatera. A, królowo! Ajaksa Telamona. Słyszę głos... głos Stentora. Wpadam w uwielbienie, lękam się, drzę przy każdym cięciu grożącym mu, przy każdym zamachu jego szpady. Kwadrans czułam jakiegoś wzruszenie, którego do tej chwili nie doświadczałam, którego istnienia nie przeczuwałam nawet. Oniemiałam, zaledwie już mogłam oddychać. Nagle mój bohater zniknął...

— Jak to?

— Pod kamieniem, który rzuciła na niego jakaś staruszka. Wtedy, tak jak Cyrus, odzyskałam mowę i zaczęłam wołać: „Na pomoc, na pomoc!”

Nasi żołnierze wypadli, porwali go i wnieśli do pokoju, o który prosisz dla swego protegowanego.

— A, rozumiem tę historię tym lepiej, kochana Henrieto, że bardzo jest podobna do mojej.

— Z tą jednak różnicą, moja królowo, że nie potrzebuję wcale odsyłać od siebie pana Annibala de Coconnas, bo służy on memu królowi i jest jednej ze mną religii.

— Nazywa się Annibal de Coconnas? — zapytała Małgorzata parsknawszy śmiechem. — Straszliwe nazwisko, nieprawdaż? — odrzekła Henrieta. — Lecz ten, który je nosi, godzien jest jego. Co za rycerz, do kroćset! A ile przelał krwi! Włóż, królowo, maskę, już przybyliśmy.

— Po cóż mam kłaść maskę?

— Dlatego, że chcę ci pokazać mojego bohatera.

— Czy piękny?

— Wydawał mi się prześliczny podczas bitwy. Wprawdzie było to w nocy, przy blasku pochodni. Dzisiaj rano, przy dziennym świetle, przyznam, że cokolwiek zbrzydł. Jednak sądzę, że będziesz z niego zadowolona.

— A więc mego protegowanego nie będzie można umieścić w pałacu Gwizjusza; szkoda, gdyż tutaj nikomu nie wpadłoby na myśl szukać hugenota.

— Dlaczegoż nie. Każ go tu przynieść dziś wieczorem; jeden będzie leżał w kącie na prawo, drugi zaś w kącie na lewo.

— Lecz jak się dowiedzą, że jeden z nich jest hugenotem, a drugi katolikiem, to się zjedzą nawzajem.

— O, tego nie masz się co obawiać. Pan de Coconnas tak jest zraniony w twarz, że nic prawie nie widzi. Twój hugenot zaś raniony w pierś tak, że zaledwie się rusza. Zalecisz mu milczenie, co się tyczy religii, a wszystko pójdzie jak najlepiej.

— Dobrze.

— Wejdźmy. A więc to już postanowione.

— Dziękuję ci — powiedziała Małgorzata ściskając Henrietę za rękę.

— Tutaj — rzekła księżna de Nevers — zamienisz się znowu na królową. Pozwólże służyć ci jako królowej Nawarry.

I księżna, wyszedłszy z lektyki, uklękła prawie, ażeby dopomóc wysiąść Małgorzacie. Następnie, wskazując jej drzwi pałacu strzeżone przez dwóch żołnierzy uzbrojonych rusznicami, udała się za królową, zachowując pełną uszanowania postawę, dopóki mogła być widziana. Przeszedłszy do swego pokoju księżna zamknęła drzwi i przywołała garderobianą, żywą i przenikliwą Sycylijkę.

— Mica — zapytała ją po włosku — a cóż hrabia?

— Ma się lepiej.

— Cóż robi?

— Zdaje mi się, że teraz coś zajada.

— Dobrze — rzekła Małgorzata. — Powrót apetytu jest dobrym znakiem.

— A, prawda, zapomniałam, że jesteś uczennicą Ambrożego Pare. Idź, Mica.

— Odsyłasz ją?

— Tak; przecież trzeba, żeby ktoś czuwał. Mica wyszła.

— Teraz — rzekła księżna — co chcesz: iść do niego czy zawołać go tutaj?

— Ani to, ani to. Chciałabym go widzieć nie będąc widzianą.

— Na cóż to wszystko, wszak jesteś w masce?

— Może mnie poznać po włosach, po rękach, po jakim klejnocie.

— A! jak jesteś przezorną od czasu wyjścia za mąż! Małgorzata uśmiechnęła się.

— Na to jest tylko jeden sposób — mówiła dalej księżna.

— Jakiż?

— Zobaczyć go przez dziurkę od klucza.

— Dobrze! prowadź mnie więc!

Księżna wzięła Małgorzatę za rękę, poprowadziła ją do drzwi osłoniętych dywanem, uklękła i przyłożyła oko do zamku, w którym nie było klucza.

— Właśnie widać go — rzekła — siedzi twarzą obrócony w tę stronę. Patrz.

Małgorzata zastąpiła miejsce księżnej i z kolei spojrzała przez dziurkę od klucza. Coconnas siedział przed bogato zastawionym stołem i nie zważając na rany, jadł z apetytem.

— A, mój Boże! — zawołała Małgorzata odskoczywszy w tył.

— Cóż tam takiego? — zapytała zdziwiona księżna.

— Niepodobna! Nie! O! na mą duszę! to ten sam!

— Kto taki?

— Tss!... — mruknęła Małgorzata wstając i chwytając księżną za rękę. — To ten sam, co chciał zabić mego hugenota, wpadł za nim aż do mego pokoju, zranił go nawet na moich rękach. O!... Henrieto, co za szczęście, że mnie nie widział!

— No, sama go widziałaś w walce; nieprawdaż, że piękny?

— Nie wiem — powiedziała Małgorzata — gdyż patrzyłam na tego, którego napastował.

— A ten, którego on napastował, nazywa się?...

— Lecz nie powtórzysz przy nim jego nazwiska?

— Nie, ręczę ci.

— Hrabia Lerac de La Mole.

— Jakże on ci się wydaje?

— Pan de La Mole?

— Nie, pan de Coconnas.

— Na honor! — rzekła Małgorzata — przyznam ci się, że... — Tu się zatrzymała.

— Widzę, że masz żal do niego za rany twojego hugenota.

— Lecz zdaje mi się — odrzekła z uśmiechem Małgorzata — że mój hugenot nic mu nie winien; ta blizna na twarzy...

— A więc skwitowali się i możemy ich pogodzić. Przyślij mi swego rannego.

— Nie, nie teraz, potem.

— A kiedyż?

— Jak przeznaczysz dla swego osobny pokój.

— Lecz który?

Małgorzata spojrzała na swą przyjaciółkę, która po chwili milczenia także na nią spojrzała i śmiać się zaczęła.

— Niech i tak będzie! — powiedziała księżna. — Związek więc nasz jest jeszcze ściślejszy aniżeli wprzódy?

— Wiecznie szczerą przyjaźń! — odrzekła królowa.

— A hasło, znak umówiony, jeżelibyśmy co od siebie potrzebowały?

— Potrójne imię twego potrójnego boga: Eros, Kupido, Amor.

I obie kobiety pożegnały się, ucałowawszy i uściskawszy za ręce przynajmniej ze dwadzieścia razy.

ROZDZIAŁ XIII

BYWA NIERAZ, ŻE KLUCZE OTWIERAJĄ DRZWI, DO KTÓRYCH NIE SĄ PRZEZNACZONE

Królowa Nawarry, powróciwszy do Luvru, znalazła Gillonnę bardzo zakłopotaną. Pani de Sauve przyszła tu pod nieobecność Małgorzaty i przyniosła klucz przysłany jej przez królową-matkę. Był to klucz od pokoju, w którym zamknięto Henryka. Widoczne było, że Katarzyna, chcąc osiągnąć jakiś cel, potrzebowała, ażeby Bearneńczyk przepędził tę noc u pani de Sauve.

Małgorzata, wzięwszy klucz, zaczęła go obracać w rękach na wszystkie strony. Kazała sobie powtórzyć to, co powiedziała pani de Sauve, rozważyla każde słowo i zdawało się jej, że przeniknęła zamiar Katarzyny.

Wzięła pióro i napisała na kawałku papieru:

Zamiast udać się dzisiejszego wieczoru do pani de Sauve, przyjdź do królowej Nawarry.
Małgorzata

Następnie zwinęła karteczkę, wsunęła ją w wydrążenie znajdujące się w kluczu i rozkazała Gillonnie, ażeby skoro noc nastąpi, klucz ten podsunęła pod drzwi więźnia. Uczyniwszy to, pomyślała o biednym rannym. Zamknęła wszystkie drzwi, weszła do gabinetu i z wielkim zdziwieniem ujrzała La Mole'a ubranego w swoje suknie, poszarpane i zbluzgane krwią.

La Mole na jej widok usiłował powstać, lecz nie mogąc się utrzymać na nogach, padł na kanapę służącą mu za łóżko.

— Co pan robisz? — zapytała Małgorzata — dlaczego nie wypełniasz przepisów doktora? Kazałam panu pozostać w spokoju, a pan zamiast mi być posłuszny, postępujesz przeciwnie.

— O pani! — rzekła Gillonna — ja temu nie jestem winna. Prosiłam, błagałam pana hrabiego, ażeby nie robił tego głupstwa, lecz oświadczył mi stanowczo, że nie pozostanie dłużej w Luwrze.

— Chce opuścić Luwr! — powiedziała Małgorzata patrząc ze zdumieniem na młodzieńca, który spuścił oczy. — Lecz to jest niepodobieństwem. Pan nie jesteś w stanie chodzić, jesteś błądy i bez sił. Patrz, jak ci jeszcze drżą nogi. Dziś rano nie można było zatamować krwi z rany w ramieniu.

— Pani! — odrzekł młodzieniec. — O ile wczoraj składałem dzięki Waszej Królewskiej Mości za udzielenie mi schronienia, o tyle dzisiaj błagam cię: pozwól mi stąd odejść.

— Lecz ja — rzekła zdziwiona Małgorzata — nie pojmuję pańskiego nierozsądnego zamiaru. Postępek taki gorszy jest od niewdzięczności.

— A, pani! — zawołał La Mole składając ręce — żywię w mym sercu uczucie, które dla ciebie, królowo, nigdy nie wygaśnie.

— Nie może ono trwać długo — powiedziała Małgorzata wzruszona tonem głosu, który nie dozwalał wątpić o szczerości słów młodzieńca — gdyż albo rany otworzą się i umrzesz wskutek ujęcia krwi, albo poznają w tobie hugenota i nie ujdiesz stu kroków, a już cię dobiją.

— Muszę jednak opuścić Luwr! — szepnął La Mole.

— Musisz! — zawołała Małgorzata utkwivszy w nim swe przezroczyście oczy i lekko blednąc. — A! rozumiem, daruj pan. Bez wątpienia poza Luwrem znajduje się osoba, która się bardzo o pana niepokoi. To bardzo naturalne, panie de La Mole, pojmuję to. Dlaczegoż mi pan od razu tego nie powiedziałeś? Albo raczej dlaczegoż ja o tym wpierv nie pomyślałam? Dajac

schronienie obowiązani jesteśmy dbać nie tylko o ciało gościa, lecz również myśleć o jego sercu i leczyć duszę.

— Niestety! — odrzekł La Mole — mylisz się pani bardzo. Jestem prawie sam na świecie, a zupełnie sam w Paryżu, gdzie mnie nikt nie zna. Morderca mój jest pierwszym człowiekiem, z którym mówiłem w tym mieście, a Wasza Królewska Mość — pierwszą kobietą, która raczyła ze mną rozmawiać.

— Dlaczegoż więc chcesz się pan oddalić? — zapytała zdumiona Małgorzata.

— Dlatego — odpowiedział La Mole — że Wasza Królewska Mość nie spoczywałaś wczorajszej nocy, dzisiejszej zaś...

Małgorzata zarumieniła się.

— Gillonno! — powiedziała — noc zapada, sądzę, że już czas odnieść klucz.

Gillonna uśmiechnęła się i wyszła.

— Lecz — podjęła Małgorzata — jeżeli pan jesteś w Paryżu sam jeden i bez przyjaciół, cóż poczniesz?

— Pani! przyjaciół znajdę wkrótce. Podczas mojej ucieczki stanęła mi w myśli moja matka, katoliczka. Zdawało mi się, że ją widzę unoszącą się przede mną z krzyżem w ręku na drodze prowadzącej do Luwru. Wtedy to uczyniłem ślub, że jeżeli mnie Bóg ocali, przyjmę wiarę mojej matki. Bóg wyświadczył mi więcej, pani. Nie tylko zachował mi życie, lecz zesłał anioła, abym je sobie cenił.

— Lecz pan nie jesteś w stanie chodzić, po zrobieniu kilkudziesięciu kroków padniesz bez zmysłów!

— Pani! próbowałem dzisiaj rano chodzić po tym gabinecie. Prawda, że stąpać z wolna i że chód sprawia mi ból dotkliwy, lecz bylebym się tylko dostał na plac Luwru, o reszcie nie myślę. Zdaję się zupełnie na los szczęścia.

Małgorzata opuściła głowę na rękę i głęboko się zamyśliła.

— A król Nawarry? — zapytała — już pan jego nie wspominasz. Zmieniając religię, czy zmieniasz pan zarazem zamiar pozostawania u niego w służbie?

— Pani! — odpowiedział La Mole błędąc — Wasza Królewska Mość dotknęłaś prawdziwej przyczyny mojego zamiaru odejścia stąd jak najprędzej... Wiem, że król Nawarry znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie i że jedynie znaczenie Waszej Królewskiej Mości, jako księżniczki francuskiej, jest w stanie uratować jego głowę.

— Jak to, panie? — zapytała Małgorzata — o czym chcesz mówić, o jakich to wspominasz niebezpieczeństwach?

— Pani! — odrzekł La Mole wahając się — w tym gabinecie słycać wszystko.

— Prawda! — powiedziała do siebie Małgorzata — księżę Gwizjusz już mi o tym wspominał. Następnie głośno dodała:

— I cóż pan słyszałeś?

— Najprzód rozmowę, jaką Wasza Królewska Mość miałaś dziś rano z bratem.

— Z Franciszkiem? — zawołała Małgorzata rumieniąc się.

— Z księciem d'Alencon, tak, pani. Następnie skoro Wasza Królewska Mość wyszłaś, słyszałem rozmowę Gillony z panią de Sauve.

— I te to dwie rozmowy?...

— Tak, pani, Wasza Królewska Mość zaledwie tydzień jesteś zameżną i kochasz swojego męża. Małżonek twój przyjdzie, jak już przyszli księżę d'Alencon i pani de Sauve. Zechce pewnie odkryć ci swoje tajemnice. Ja nie powinienem ich znać, byłbym niedyskretny... a nie mogę... nie powinienem... a nade wszystko nie chcę być niedyskretny.

Głos, jakim La Mole wymówił ostatnie słowa, jego zmieszanie otworzyły nagle oczy Małgorzacie.

— A!... — zawołała — więc pan słyszałeś wszystko, co było mówione w tym pokoju.

— Słyszałem, pani.

Te słowa wymówił La Mole zaledwie dosłyszalnym głosem.

— I pan chcesz oddalić się stąd dzisiaj Wieczorem, dzisiaj w nocy jedynie dlatego, ażeby już więcej nic nie słyszeć?

— Gotów nawet jestem w tej chwili, jeżeli Wasza Królewska Mość na to zezwolisz.

— Biedne dziecię! — rzekła Małgorzata tonem głębokiego współczucia.

Zdziwiony tak łagodną odpowiedzią, zamiast której spodziewał się surowych słów, La Mole bojaźliwie podniósł głowę. Wzrok jego spotkał się ze wzrokiem Małgorzaty i spoczął na niej, jakby przyciągany siłą magnetyczną.

— Więc czujesz się, panie de La Mole, niezdolny do ukrycia tajemnicy? — zapytała łagodnie Małgorzata, która wsparta na poręczy krzesła i na pół ukryta w cieniu ciężkiej firanki, napawała się przyjemnością czytania w sercu młodzieńca, będąc dla niego niewidzialną.

— Pani! — powiedział La Mole — mam dziwny charakter; nie dowierzam sobie, a szczęście bliźniego mnie rozwściecza.

— Czyje szczęście? — zapytała Małgorzata z uśmiechem. — A tak! szczęście króla Nawarry. Biedny Henryk!

— Widzisz, Wasza Królewska Mość, że on jest szczęśliwy — zawołał żywo La Mole.

— Szczęśliwy?

— Tak jest, ponieważ go Wasza Królewska Mość żałujesz.

Małgorzata zaczęła wyskubywać jedwab ze swego woreczka i strzępić złote frędzle.

— A więc nie chcesz widzieć króla Nawarry? — zapytała. — Czyż już postanowiłeś?

— Obawiam się, ażebym w takiej chwili nie przeszkodził Jego Królewskiej Mości.

— A księcia d'Alencon, mego brata?

— O pani! — zawołał La Mole — księcia d'Alencon... nie, nie. Skoro nie chcę widzieć króla Nawarry, to tym bardziej księcia d'Alencon.

— Dlatego, że?... — zapytała Małgorzata wzruszona do tego stopnia, że głos jej drżał..

— Dlatego, że będąc złym hugenotem, nie mogę być wiernym sługą Jego Królewskiej Mości króla Nawarry; katolikiem zaś nie jestem tak dobrym, ażebym był godny znajdować się w liczbie przyjaciół panów d'Alencon i Gwizjusza.

Tym razem Małgorzata musiała spuścić oczy; odpowiedź La Mole'a poruszyła ją do głębi. Nie mogła też określić, czy słowa młodzieńca były jej przyjemne czy też bolesne.

W tej chwili weszła Gillonna, Małgorzata zapytała ją spojrzeniem, na które Gillonna odpowiedziała potakującym skinieniem głowy. A więc oddała klucz królowi Nawarry. Małgorzata jeszcze raz rzuciła wejrzenie na La Mole'a, który błądy, zwiesiwszy głowę na piersi, wyglądał jak człowiek cierpiący fizycznie i moralnie.

— Panie de La Mole, jesteś dumny — powiedziała — nie śmiem więc uczynić ci propozycję, na którą bez wątpienia się nie zgodzisz.

La Mole wstał, postąpił krok naprzód i chciał uklonić się na znak gotowości w wypełnieniu danych mu rozkazów, lecz ból, palący, silny, przenikający, wycisnął łzę z jego oczu. Czując, że może upaść, chwycił się firanki.

— Widzisz więc — zawołała Małgorzata skoczywszy ku niemu i obejmując go ramieniem — widzisz, że jeszcze nie możesz obejść się bez mojej pomocy.

Uśmiech zaledwie dostrzegalny przemknął po ustach La Mole'a.

— O! tak — szepnął — jak bez powietrza, którym oddycham, jak bez światła, które sprawia, że widzę.

W tej chwili dało się słyszeć trzykrotne pukanie we drzwi.

— Słyszysz, pani? — zawołała strwożona Gillonna.

— Już! — szepnęła Małgorzata.

— Czy mam otworzyć?

— Zaczekaj. Może to król Nawarry.

— O pani! — zawołał La Mole, któremu na dźwięk słów królowej, wymówionych tak cicho, że tylko Gillonna powinna je była słyszeć, powróciły wszystkie siły. — Pani! błagam cię na kolanach, pozwól mi wyjść żywym lub umarłym. Miej litość nade mną! O! nie mi nie odpowiadasz. Dobrze więc! zacznę mówić, a wtedy, spodziewam się, wypędzisz mnie, pani!

— Milcz, nieszczęśliwy! — zawołała Małgorzata, znajdująca wielką rozkosz w słuchaniu wyrzutów młodzieńca. — Milcz pan!

— Pani! — odparł La Mole — powtarzam ci, że w tym gabinecie wszystko słychać. O! nie zmuszaj mnie do śmierci, jakiej by nawet najokrutniejszy, kat nie mógł wymyślić.

— Cicho, cicho! — powiedziała Małgorzata.

— O! pani, więc nie masz litości, nie chcesz mnie słuchać, nie chcesz mnie nawet zrozumieć. Wiedz, że cię ko... — Milcz pan, proszę! — przerwała Małgorzata, zatykając usta młodzieńca delikatną pachnącą rączką, którą La Mole schwycił i dotknął drżącymi ustami.

— Lecz... — szepnął La Mole.

— Lecz zamilcz już raz, moje dziecię! Jak śmiesz nie słuchać swojej królowej.

Następnie szybko wyszła z gabinetu, zamknęła za sobą drzwi i oparłszy się o ścianę, przycisnęła ręką mocno bijące serce.

— Otwórz, Gillonno! — powiedziała.

Gillonna wyszła z pokoju i po chwili twarz króla Nawarry, nacechowana dowcipem pomieszanym z odrobiną niedowierzania, ukazała się spoza portiery.

— Pani pragnęłaś mnie widzieć? — rzekł król Nawarry do Małgorzaty.

— Tak jest. Czy Wasza Królewska Mość odebrałaś mój list?

— Przyznaję, że nie bez zdziwienia — odpowiedział Henryk oglądając się z niedowierzaniem, które jednak wkrótce znikło.

— I nie bez niepokoju, nieprawdaż, panie? — dodała Małgorzata.

— Przyznaję się, pani, i do tego. Jednak będąc otoczony ze wszech stron nieubłaganymi nieprzyjaciółmi i przyjaciółmi może daleko groźniejszymi od samych nieprzyjaciół, przypomniałem sobie, że pewnego razu w oczach pani jaśniała wspaniałomyślność. Było to w wieczór naszego ślubu. Kiedy indziej zaś widziałem w tym wzroku jaśniejące męstwo. Było to w dniu wczorajszym, w dniu, w którym miałem zginąć.

— Tak, to prawda — powiedziała Małgorzata z uśmiechem, gdy tymczasem Henryk pragnął, zgłębić tajemnice jej serca.

— Mając na uwadze to wszystko i przeczytawszy list pani, natychmiast zdecydowałem, co mi czynić wypada; bez przyjaciół, uwięzionemu, bezbronnemu królowi Nawarry nic nie pozostaje, jak tylko umrzeć, umrzeć śmiercią głośną, śmiercią, która by została zapisana na kartach historii. Umrzeć nareszcie, zdradzonym przez własną żonę; przychodzę więc, pani...

— Najjaśniejszy Panie! — odrzekła Małgorzata — wiem, że powiesz co innego, skoro się dowiesz, iż wszystko, co się w tej chwili dzieje, jest dziełem osoby, która cię kocha... i którą ty kochasz.

Henryk o mało się nie cofnął przy tych słowach, a jego szare oczy rzucały spod czarnych brwi pytające spojrzenia.

— O! uspokój się, Najjaśniejszy Panie — rzekła królowa śmiejąc się. — Ja nie mam żadnego prawa uważać się za tę osobę.

— Lecz — powiedział Henryk — to pani przysłałaś mi ten klucz; to pismo jest twoje.

— W samej rzeczy, tę kartkę ja napisałam. Lecz co się tyczy klucza, jest to rzecz zupełnie inna. Dostyc ci wiedzieć,

Najjaśniejszy Panie, że przeszedł on przez ręce czterech kobiet, zanim dostał się do ciebie.

— Czterech kobiet! — zawołał zdziwiony Henryk.

— Tak, przez ręce czterech kobiet — powtórzyła Małgorzata — przez ręce królowej-matki, pani de Sauve, moje i Giilonny.

Henryk zaczął pojmować zagadkę.

— Teraz, panie, pomówmy rozsądnie — powiedziała Małgorzata — a nade wszystko pomówmy otwarcie. Czy to prawda, że Wasza Królewska Mość, jak już mówią powszechnie, jesteś gotów przejść na łono katolicyzmu?

— Zwykle plotki... Ja jeszcze o tym nie myślałem.

— Jednak teraz już się zdecydowałaś?

— To jest, myślę to uczynić. Jakże pani chcesz? W dwudziestym roku być prawie królem... Istnieją sprawy, które są warte mszy.

— Między innymi i życie, nieprawdaż?

Henryk nie mógł się wstrzymać od lekkiego uśmiechu.

— Wasza Królewska Mość niezupełnie wyjawiasz swoje myśli — zauważyła Małgorzata.

— To, czego się trzeba domyślać, zostawiam moim sprzymierzeńcom. Pani wiesz, że jesteśmy tylko sprzymierzeńcami; gdybyś pani chciała być na raz i moim sprzymierzeńcem... i...

— I żoną, nieprawdaż, Najjaśniejszy Panie?

— Na honor, tak... i moją żoną.

— Wtedy?

— O, wtedy to co innego: może starałbym się nawet zostać królem hugenotów, jak oni mówią... Teraz... muszę się zadowalać swoim życiem.

Małgorzata spojrzała, na Henryka tak dziwnym wzrokiem, że w umyśle mniej przenikliwym niż króla Nawarry wzrok ten mógłby obudzić podejrzenie.

— I czy jesteś, Najjaśniejszy Panie, pewny, że cel swój osiągniesz?

— Prawie — odpowiedział Henryk. — Pani wiesz, że teraz niczego nie można być pewnym.

— W rzeczy samej — rzekła Małgorzata — Wasza Królewska Mość okazujesz tyle umiarkowania i obojętności dla spraw nawet interesujących, że gdy zrzekniesz się korony i zmienisz nawet religię, sprawiedliwie mogą się spodziewać, że się zrzeczesz i związku z księżną francuską.

Słowa te zawierały tyle, że Henryk zadrżał mimo woli.

Lecz stłumiwszy wzruszenie z szybkością błyskawicy, odpowiedział:

— Pomyśl, pani, że w tej chwili jestem pozbawiony własnej woli. Uczynię to, co mi rozkaże król Francji. Gdyby zaś zapytano mnie o jaką kwestię dotyczącą mojego tronu, honoru i życia, wcale nie opierałbym swych praw na naszym wymuszonym związku i wolałbym zagrzebać się w jakimś zamku jako starzec lub w jakimś klasztorze jako pokutnik.

To straszne zdanie się na swój los, to wyparcie się wszystkiego, co ziemskie, przstraszyło Małgorzatę. Sądziła, że rozwód już został ułożony pomiędzy Karolem IX, Katarzyną i królem Nawarry. Lecz czyż to, że jest siostrą jednego, a córką drugiej, nie przeszkodzi im wybrać ją na ofiarę? Doświadczenie mówiło jej, że na tych stosunkach nie można opierać swego bezpieczeństwa. Miłość własna przemówiła w sercu młodej kobiety, a raczej młodej królowej.

— Wasza Królewska Mość, jak widzę — powiedziała nieco uszczypliwym tonem — niewiele masz zaufania do gwiazdy błyszczącej nad czołem każdego monarchy?

— A! — zawołał Henryk — nie mam zaufania dlatego, iż nie mogę dojrzeć swej gwiazdy pośród chmur, które w tym czasie zebrały się nad moją głową.

— A gdyby też tchnienie młodej kobiety rozprędziło te chmury i gwiazda zabłysła jaśniej aniżeli wprzód?

— To bardzo trudno! — powiedział Henryk.

— Czyż Wasza Królewska Mość powątpiewasz o istnieniu takiej kobiety?

— Nie, lecz powątpiewam o jej władzy.

— Zapewne chcesz, Wasza Królewska Mość, powiedzieć: o jej dobrej woli?

— Powiedziałem: o jej władzy, i jeszcze raz to powtarzam. Kobieta bywa rzeczywiście silna tylko wtedy, kiedy miłość i korzyść łączą się u niej w jednakowym stopniu. Jeżeli jedno z tych uczuć góruje, wtedy kobieta, jak Achilles, może być zwyciężona. Na miłość zaś takiej kobiety, jeżeli się nie mylę, liczyć nie mogę.

Małgorzata milczała.

— Słuchaj, pani — mówił dalej Henryk — po ostatnim uderzeniu w dzwon Saint-Germain-l'Auxerrois musiałaś zastanawiać się nad tym, jakim sposobem przywrócić sobie wolność, której cię pozbawiono jedynie dlatego, ażeby zgładzić wszystkich moich stronników. Ja zaś musiałem myśleć nad tym, jak uratować swe życie. To było rzeczą najważniejszą i najpilniejszą... Wiem, że tracimy Nawarrę. Lecz czymże jest utrata Nawarry w porównaniu z wolnością i prawem głośnego mówienia w swoim pokoju, czegoś, pani, nie śmiała czynić wtedy, kiedy cię podsłuchiowano z tego oto gabinetu.

Pomimo wysiłku Małgorzata nie była w stanie powściągnąć uśmiechu.

Król Nawarry powstał i zamierzał oddalić się do swoich pokoi; już bowiem jedenasta godzina wybiła i w Luwrze wszyscy spali, a przynajmniej udawali, że są pogrążeni we śnie. Henryk postąpił trzy kroki ku drzwiom. Nagle zatrzymał się, jak gdyby dopiero w tej chwili przypomniał sobie powód, dla którego przyszedł do królowej, i dodał:

— Ale, ale, czy nie masz mi, pani, już nic do powiedzenia, czy nie zechcesz dać mi możności podziękowania ci za wczorajsze wstawienie się za mną w zbrojowni króla? W istocie, przybyłaś, pani, w samą porę; dlatego nie mogę zaprzeczyć, że zjawiłaś się na scenie jak starożytne bóstwo i jakby jedynie po to, ażeby mi ocalić życie.

— Niestety! — zawołała królowa stłumionym głosem, porywając swego męża za rękę. — Jak to, czyż nie widzisz, że nic jeszcze nie jest uratowane, przeciwnie, wszystko zagrożone: wolność i korona, i życie? Biedny zaślepieńcze! Nieprawdaż, że mój list uważałeś tylko za oznaczenie schadzki? Sądziłeś, że Małgorzata, oburzona twoją oziębłością, chce przeciw temu coś przedsięwziąć.

— Ależ pani! — rzekł Henryk zdziwiony — przyznaję... Małgorzata wzruszyła ramionami z wyrazem twarzy, niepodobnym do oddania! W tejże chwili dały się słyszeć szybkie kroki poza tajemniczymi drzwiczkami. Małgorzata pociągnęła króla w stronę tych drzwiczek.

— Słuchaj!... — wyrzekła.

— Królowa-matka wychodzi ze swoich pokoi — odezwał się jakiś drżący ze strachu głos, po którym Henryk poznał natychmiast panią de Sauve.

— Dokąd idzie? — zapytała Małgorzata.

— Do Waszej Królewskiej Mości.

Coraz cichszy szelest jedwabnej sukni dał poznać, że pani de Sauve oddaliła się.

— O! o! — zawołał Henryk.

— Wiedziałam o tym — odrzekła Małgorzata.

— I ja się tego również obawiałem — podchwycił Henryk — oto dowód, patrz pani.

I gwałtownym ruchem odpiął czarny aksamitny kaftan, pod którym Małgorzata spostrzegła delikatną kolczugę stalową i długi sztylet mediolański.

— Dobrze, że się Wasza Królewska Mość uzbroiłeś! — zawołała Małgorzata. — Chodź, Najjaśniejszy Panie, chodź, zakryj tę zbroję. Prawda, że to idzie królowa–matka, lecz idzie sama...

— Jednakże...

— To ona, słyszę ją, ciszej.

I nachyliwszy się Henrykowi do ucha, coś mu szepnęła. Henryk natychmiast ukrył się za kotarą łóżka. Małgorzata zaś ze zwinnością tygrysy rzuciła się do gabinetu, gdzie był ukryty La Mole, i schwyciła go za rękę.

— Milcz! — wyrzekła zbliżając się ku niemu tak, iż uczył jej oddech. — Milcz!

Następnie, powróciwszy do swego pokoju i zamknąwszy drzwi, rozpuściła włosy, przecięła sztyletem wszystkie tasiemki u sukni i rzuciła się na łóżko.

Już był czas po temu; klucz obrócił się w zamku. Katarzyna miała klucze otwierające wszystkie drzwi w całym Luwrze.

— Kto tam? — zawołała Małgorzata, gdy tymczasem Katarzyna rozstawiała u drzwi czterech towarzyszących jej zwykle dworzan.

Małgorzata, jakby przelękniona tak niespodziewanym wejściem do jej sypialni, zerwała się z łóżka i w białym negliżu ukazała się spoza kotary. A zobaczywszy Katarzynę zbliżyła się do niej z tak dobrze udanym zadziwieniem, że nawet wychowankę Florencji oszukała; po czym ucałowała z szacunkiem rękę swej matki.

ROZDZIAŁ XIV

DRUGA NOC PO ŚLUBIE

Królowa–matka szybkim spojrzeniem obrzuciła cały pokój. Aksamitne pantofelki leżące przy łóżku, suknie Małgorzaty porzucane po krzesłach, oczy, które przecierała, ażeby z nich sen odpędzić — wszystko to przekonywało Katarzynę, że w istocie przebudziła swoją córkę.

Królowa–matka uśmiechnęła się uśmiechem kobiety osiągającej swój cel i przysunawszy krzesło powiedziała:

— Usiądźmy i pomówmy, Małgorzato.

— Słucham cię, pani.

— Nadszedł czas — rzekła Katarzyna zamykając oczy ze spokojem właściwym ludziom zamyślonym lub starającym się maskować — nadszedł czas, moja córko, w którym powinnaś już pojmować, o ile twój brat i ja staramy się zapewnić ci szczęście.

Wstęp ten był zastraszający dla tych, którzy znali Katarzynę.

— Co też ona mi powie? — pomyślała Małgorzata.

— Nie ma wątpliwości — mówiła dalej córa Florencji — że wydając cię za mąż spełniliśmy akt polityczny. Albowiem bardzo często okoliczności zmuszają władców do działania wbrew ich własnej woli. Lecz zbłądziliśmy moje biedne dziecię; nie sądziliśmy, ażeby obojętność króla Nawarry dla Małgorzaty, młodej, pięknej i uwielbianej, była tak silna.

Małgorzata wstała i oddała królowej–matce pełen głębokiego uszanowania ukłon.

— Dopiero dziś wieczorem dowiedziałam się o tym — mówiła Katarzyna — gdyż inaczej byłabym cię odwiedziła wcześniej; dowiedziałam się, że twój mąż ani myśli wykonywać obowiązków nie tylko względem tak pięknej kobiety, lecz nawet względem księżniczki krwi królewskiej.

Małgorzata westchnęła, Katarzyna mówiła dalej:

— W rzeczy samej, król Nawarry publicznie utrzymuje jedną z moich dam dworu, którą uwielbia aż do szaleństwa; pogardza zaś miłością kobiety, z którą go połączono. Jest to nieszczęście, któremu my, mimo że mamy tyle władzy, zaradzić jednak nie możemy, gdy tymczasem każdy szlachcic w naszym królestwie, będąc w takiej sytuacji, ukarałby śmiałka, bądź to wyzywając go na pojedynek osobiście, bądź to za pośrednictwem swego syna.

Małgorzata spuściła głowę.

— Już dawno spostrzegłam — mówiła dalej Katarzyna — i poznaję po twych czerwonych oczach, po tych gorzkich obelgach na panią de Sauve rzucanych, że rana zadana twemu sercu, mimo twych usiłowań, nie przestaje krwawić.

Małgorzata zadrżała, bo lekkie zmarszczki sfalowały powierzchnię firanek łóżka, lecz szczęściem Katarzyna nie spostrzegła tego poruszenia.

— Ranę tę — mówiła dalej ze wzrastającą czułością — ranę tę, moje dziecię, ręka matki powinna uleczyć. Ci, którzy zamyślając zapewnić ci szczęście, wydali cię za mąż i tobą się zajmują, zauważyli, że Henryk król Nawarry każdej nocy udaje się do innych, a nie twoich pokoi. Ci, którzy nie mogą przeszkodzić, iżby taki królik co chwila znieważał kobietę twojej piękności, twojego stopnia, twoich zasług pogardą i zaniedbaniem, co się tyczy potomstwa, ci na koniec, którzy widzą, że ten zuchwały człowiek przy pierwszej sposobności gotów jest targnąć się na naszą rodzinę i wygnać cię z twego własnego domu — czyż ci nie mają prawa, rozłączając cię z nim, zabezpieczyć twój przyszłość w sposób godny ciebie i twego stanu?

— Lecz, pani — odrzekła Małgorzata — pomimo tych uwag pełnych macierzyńskiej miłości i które z należnym szacunkiem umiem cenić, śmiem przedstawić Waszej Królewskiej Mości, że król Nawarry jest moim mężem.

Katarzyna poruszyła się gniewnie i zbliżywszy się do Małgorzaty powiedziała: — On jest twoim mężem! Czyż aby być mężem i żoną, dosyć jest błogosławieństwa kościoła? Czyż pobłogosławienie małżeństwa zawiera się tylko w słowach księdza? On twoim mężem! E! moja córko, gdybyś była panią de Sauve, odpowiedź taka byłaby zgodna z prawdą. Lecz wbrew naszym oczekiwaniom, od czasu gdy Henrykowi Nawarskiemu nadałaś prawo nazywania cię żoną, nadał on prawa żony innej, a nawet w tej chwili — mówiła Katarzyna coraz głośniejszym głosem — chodź, chodź ze mną, ten klucz otwiera drzwi od pokojów pani de Sauve; zaraz się przekonasz...

— O! mów pani ciszej, ciszej, błagam cię! — powiedziała Małgorzata. — Pani nie tylko się mylisz, lecz jeszcze...

— Cóż takiego?

— Obudzisz pani mego męża.

Przy tych słowach Małgorzata powstała z rozkosznym wdziękiem, pozwalając igrać rozpiętej nocnej koszuli, której krótkie rękawy uwidaczniały cudowne kontury ramienia i rękę prawdziwie królewską, wzięła kandelabr z różowymi świecami i odrzuciwszy kotarę łóżka, uśmiechając się, wskazała matce paluszką szlachetny profil, czarne włosy i usta na pół otwarte króla Nawarry, który zdawał się być pogrążony w głębokim śnie.

Błada, z błędnym wzrokiem, z ciałem przegiętym w tył, jak gdyby przepaść otworzyła się przed nią, Katarzyna nie krzyknęła, lecz wydała głuchy jęk.

— Widzisz, pani — rzekła Małgorzata — że pozwalasz obrażać swe uszy niesłusznymi potwarzami.

Katarzyna rzuciła okiem na Małgorzatę, a następnie na Henryka. Łączyła ona w myśli to blade i wilgotne czoło, te oczy podkrążone z uśmiechem Małgorzaty i gryzła swe cienkie wargi z niemą wściekłością. Małgorzata pozwoliła matce patrzeć czas jakiś na ten obraz, który wzbudzał w niej uczucie strachu, jakim przejmowała głowa Meduzy. Następnie opuściła kotarę i idąc na palcach, zbliżyła się do Katarzyny, a zajmąwszy obok niej miejsce na krześle, zapytała:

— Więc co pani mówisz?

Katarzyna kilka chwil badała szczerłość młodej kobiety, lecz nagle, jak gdyby jej ostre spojrzenia rozbiły się o spokój Małgorzaty, odpowiedziała:

— Nic, nic.

I dumnym krokiem wyszła z pokoju.

Skoro tylko jej chód zaczął niknąć w oddaleniu, kotara łóżka rozwarła się i Henryk z błyszczącymi oczyma, wstrzymanym oddechem i drżącymi rękami padł na kolana przed Małgorzatą. Miał na sobie tylko krótkie spodnie i żelazną koszulę. Małgorzata, ściskając go za rękę z całego serca, nie mogła się wstrzymać od śmiechu.

— A! pani, a! Małgorzato! Jakim sposobem zdołałam ci się wywdzięczyc? I Henryk zaczął okrywać jej rękę pocałunkami, które nieznacznie zaczęły się zbliżać do ramion młodej kobiety.

— Najjaśniejszy Panie! — powiedziała Małgorzata, z wolna się usuwając. — Czyż zapomniałaś, że w tejże samej chwili biedna kobieta, której jesteś winien życie, cierpi za ciebie? Pani de Sauve — dodała cicho — zrobiła ci ofiarę ze swej zazdrości i przysłała cię do mnie; ofiarując zaś swą zazdrość, być może, składa na ofiarę i życie. Wszak wiesz lepiej niżeli kto inny, Najjaśniejszy Panie, jak straszny jest gniew mej matki. Henryk zadrżał i powstał zamierzając wyjść.

— O! lecz nie ma się czego lękać — dodała Małgorzata z zachwycającą kokieterią. — Klucz został ci wręczony bez niczyjej namowy i mogą sobie pomyśleć, że dzisiaj raczyłeś mnie przełożyć nad inną.

— Ja ciebie zawsze przekładam, Małgorzato. Gdybyś tylko chciała zapomnieć...

— Mów ciszej, Najjaśniejszy Panie, ciszej — przerwała mu królowa, parodiując własne słowa, zaledwie przed dziesięciu minutami powiedziane królowej-matce — słyszą cię z gabinetu, a ponieważ jeszcze niezupełnie jestem wolna, proszę cię więc, Najjaśniejszy Panie, nie mów tak głośno.

— O! o... — zawołał Henryk IV uśmiechając się. — Prawda, zapomniałem, że zapewne nie mnie przeznaczono odegrać koniec tej zajmującej sceny. Ten gabinet...

— Wejźmy do niego, Najjaśniejszy Panie — rzekła Małgorzata — będę miała zaszczyt przedstawić Waszej Królewskiej Mości odważnego szlachcica, rannego owej krwawej nocy. Młodzieniec ten przybiegł do Luwru, ażeby cię zawiadomić o grożącym niebezpieczeństwie.

I królowa zwróciła się ku drzwiom gabinetu. Henryk postępował za żoną. Drzwi otworzyły się i król stanął osłupiały na widok młodego mężczyzny w gabinecie, któremu przypadło w udziale kryć wszelkie niespodzianki. Lecz La Mole zmieszał się jeszcze bardziej, znalazłszy się nagle przed królem Nawarry. Henryk rzucił ironiczne spojrzenie na Małgorzatę, obojętnie na niego spoglądającą.

— Najjaśniejszy Panie... — powiedziała Małgorzata — sprawy zaszły tak daleko, iż obawiam się, ażeby nie zamordowano w moim pokoju tego oto zostającego w usługach Waszej Królewskiej Mości młodego szlachcica, którego biorę pod swą opiekę.

— Najjaśniejszy Panie... — odezwał się młodzieniec — jestem hrabia Lerac de La Mole, którego Wasza Królewska Mość oczekiwałaś i o którym wspominał nieszczęsny pan de Teligny, zabity w moich oczach.

— A! a... — rzekł Henryk — królowa wręczyła mi pański list, lecz pan powinienes mieć jeszcze list od pana d'Auriac, gubernatora Langwedoku.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie; rozkazano mi oddać go Waszej Królewskiej Mości zaraz po przybyciu do Paryża.

— Dlaczegoż więc pan tego nie uczyniłeś?

— Najjaśniejszy Panie, byłem wczoraj wieczorem w Luwrze, lecz Wasza Królewska Mość tak byłaś zajęty, iż mnie nie raczyłeś przyjąć.

— Prawda! — rzekł król — lecz czemu pan nie kazałeś wręczyć mi tego listu przez kogo innego?

— Pan d'Auriac rozkazał mi go oddać tylko do rąk własnych Waszej Królewskiej Mości. Nadmieniał bowiem, że w liście tym znajdują się nowiny, których nie może powierzyć byle komu.

— W rzeczy samej — powiedział król czytając odebrany list — radzi mi on, ażebym opuścił Luwr i udał się do Bearn. Pan d'Auriac jest moim prawdziwym przyjacielem, mimo że jest katolikiem, a jako gubernator prowincji, wiedział bez wątpienia, co się gotuje. Lecz, do kata! mój panie, trzeba mi było oddać ten list przed trzema dniami, a nie dzisiaj!

— Miałem już zaszczyt powiedzieć Waszej Królewskiej Mości, że mimo pośpiechu dopiero wczoraj przybyłem.

— To źle, to źle — mruzczał król — w tej chwili bylibyśmy już bezpieczni w La Rochelle lub gdziekolwiek w otwartym polu, otoczeni dwoma czy trzema tysiącami rycerzy.

— Najjaśniejszy Panie, już się stało — rzekła z cicha Małgorzata — a zamiast na próżno tracić czas żałując przeszłości, czyby nie było lepiej pomyśleć o przyszłości?

— Będąc na moim miejscu — powiedział Henryk, rzucając pytające spojrzenie na królową — czy miałabyś, pani, jakkolwiek nadzieję?

— O! bez wątpienia. Uważam każdą grę za partię o trzech robrach; przegraliśmy dopiero jednego.

— A... — rzekł Henryk cicho — gdybym wiedział, że pani weźmie udział w mojej grze...

— Gdybym chciała przejść na stronę twoich przeciwników — odpowiedziała Małgorzata — zdaje się, że bym nie potrzebowała tak długo czekać.

— To prawda! — odparł Henryk. — Jestem niewdzięczny i jak pani mówisz, wszystko jeszcze można dzisiaj naprawić.

— Życzę ci, Najjaśniejszy Panie, wszystkiego dobrego — rzeki La Mole — lecz dzisiaj już nie mamy admirała.

Henryk uśmiechnął się uśmiechem prostaka, uśmiechem, który dwór poznał dopiero wtedy, gdy został królem Francji.

— Lecz pani — powiedział król, bacznie spoglądając na La Mole'a — ten szlachcic nie może tu pozostać; w każdej chwili mogą go odkryć. Cóż pani zamysłasz z nim zrobić?

— Najjaśniejszy Panie, czy nie moglibyśmy go oddalić z Luwru? Wszak się we wszystkim z sobą zgadzamy.

— To będzie trudno

— Najjaśniejszy Panie, czy pan de La Mole nie mógłby znaleźć pomieszczenia w domu Waszej Królewskiej Mości?

— Mówisz pani do mnie, jak gdybym był jeszcze królem hugenotów, a osobiwie, jak gdybym jeszcze władał narodem. Wszak wiesz, że jestem już na pół nawrócony.

Każda inna kobieta w takich okolicznościach nie zaniechałaby odpowiedzieć: on jest katolikiem. Lecz królowa chciała zmusić Henryka, ażeby ją prosił o to, czego sobie sama życzyła.

La Mole widząc, że jego opiekunka milczy, i obawiając się stąpać na śliskim gruncie dworu tak niebezpiecznego, jakim był wtedy dwór Francji, także milczał.

— Ależ? — zawołał Henryk przebiegając powtórnie wzrokiem list przywieziony przez La Mole'a. — Gubernator Prowansji pisze do mnie, że matka pańska była katoliczką i że z tego powodu jest tak bardzo do pana przywiązany.

— I mnie — rzekła Małgorzata — mówiłeś coś, panie hrabio, o uczynionym ślubie, wskutek którego masz zmienić religię? Lecz moje myśli mieszają się; objaśnij mnie więc, panie de La Mole. Zdaje się, że i pan hrabia tego żądałeś, i król tego od pana wymaga.

— Tak jest. Lecz Wasza Królewska Mość tak ozięble przyjęła moje objaśnienia — odparł La Mole — iż nie śmiałem...

— A to dlatego, że to wcale do mnie nie należy, mój panie. Wytłumacz to pan królowi.

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł La Mole. — Gdym był ścigany przez morderców, bezbronny, prawie umierający od dwóch ran, zdawało mi się, że widmo mojej matki, z krzyżem w ręku, wskazuje mi drogę do Luwru. Wtedy uczyniłem ślub, że jeżeli wyratuję się, przyjmę wiarę mej matki, której Bóg dozwolił opuścić swój grób, ażeby była moją przewodniczką podczas tej strasznej nocy. Bóg przywiódł mnie tutaj, Najjaśniejszy Panie. Tutaj znajduję się pod podwójną opieką: księżniczki francuskiej i króla Nawarry.

Życie moje ocalone zostało cudownym sposobem, teraz muszę tylko spełnić ślub. Jestem gotów zostać katolikiem.

Henryk zmarszczył brwi. Będąc sceptykiem, rozumiał, że można wyrzec się religii dla wyrachowania, lecz bardzo powątpiewał, iżby można było się jej wyrzec wskutek wiary.

— Król nie chce przyjąć pod swoją opiekę mego protegowanego — pomyślała Małgorzata.

La Mole czuł swoje drażliwe położenie. Ale Małgorzata, z właściwym kobietom taktem, wybawiła go od tej nieprzyjemności.

— Najjaśniejszy Panie! — powiedziała. — Zapomnieliśmy, że ranny potrzebuje odpoczynku. Ja sama upadam ze znużenia. A! trzymaj go, gdyż blednie.

La Mole w istocie bladł, lecz bladł wskutek powyższych słów Małgorzaty, które sobie tłumaczył zgodnie ze swymi życzeniami.

— I cóż, pani? — rzekł Henryk. — Nie może być nic prostszego; możemy wszak opuścić pana de La Mole?

Młodzieniec rzucił na Małgorzatę błagające spojrzenie i nie zważając naobecność dwóch ukoronowanych osób, padł na krzesło, wycieńczony bólem i znużeniem.

Małgorzata pojęła miłość w tym spojrzeniu, a rozpacz w tej słabości. — Najjaśniejszy Panie! — powiedziała. — Wypada Waszej Królewskiej Mości coś zrobić dla tego młodego szlachcica, który poświęcał życie dla swego króla, gdyż pomimo ran pośpieszył tutaj zawiadomić cię o śmierci admirała i Teligny'ego; Wypada więc, mówię, wyświadczyć mu łaskę, za którą całe życie będzie ci wdzięczny.

— Jakaż, pani? — zapytał Henryk. — Rzeknij, a rozkazy twoje natychmiast wypełnię. — Pan de La Mole przepędzi dzisiejszą noc obok Waszej Królewskiej Mości; sam zaś, Najjaśniejszy Panie, będziesz spał na tym oto łóżku. Ja, jeżeli mi pozwoli mój małżonek i monarcha — dodała Małgorzata uśmiechając się — zawołam Gillonnę i położę się do łóżka, gdyż upewniam cię, Najjaśniejszy Panie, że podobnie jak ty i pan de La Mole potrzebują spoczynku.

Henryk miał rozum, może nawet za wielki; w późniejszym czasie wyrzucali mu go jego przyjaciele i wrogowie. Zrozumiał też, że Małgorzata, usuwając go od siebie, miała do tego prawo nabyte wskutek jego oziębłości. Za tę oziębłość zresztą Małgorzata właśnie mu odplaciła, uratowawszy mu życie. Dlatego też odpowiedź Henryka nie tchnęła miłością własną.

— Pani! — powiedział — jeżeli pan de La Mole będzie w stanie udać się do mego mieszkania, ustąpię mu swego własnego łóżka.

— Lecz mieszkanie Waszej Królewskiej Mości — odrzekła Małgorzata — nikomu w tych czasach nie może zapewnić bezpieczeństwa; roztropność wymaga nawet, ażeby Wasza Królewska Mość pozostał tutaj do jutra.

I nie czekając na odpowiedź króla, zawołała Gillonnę, rozkazała przynieść poduszki i posłać w nogach króla dla La Mole'a, który tak był szczęśliwy z tej łaski mu wyświadczonej, że mógł być przysiąc, iż rany jego zupełnie się zagoiły.

Małgorzata oddała królowi głęboki ukłon i przeszedłszy do swego pokoju ze wszech stron zamkniętego, rzuciła się na łóżko.

— Teraz — powiedziała do siebie — pan de La Mole powinien jutro znaleźć protektora w Luwrze i ten, kto dzisiaj udawał głuchego, jutro tego pożałuje.

Następnie dała znak Gillonnie, ażeby się do niej zbliżyła dla odebrania ostatnich rozkazów.

Gillonna zbliżyła się.

— Gillonno — powiedziała królowa zniżając głos — trzeba, ażeby jutro, pod jakimkolwiek pozorem, mój brat książę d'Alencon przyszedł tu przed ósmą godziną.

Druga godzina wybiła w Luwrze.

La Mole przez chwilę rozmawiał o polityce z królem, który wkrótce zasnął i zaczął chrapać, jak gdyby spał na swoim łóżku, wysłanym skórą niedźwiedzi bearniejskich. La Mole zasnąłby może tak jak i król, lecz Małgorzata nie spała. Przewracała się ona z boku na bok, a szelest tego ruchu mieszał myśli i rozpraszał sen młodzieńca.

— On jeszcze tak młody — mówiła do siebie Małgorzata usypiając — tak bojaźliwy, a może nawet, a! to będzie rzecz ciekawa: może nawet będzie śmieszny. Oczy jednak ma prześliczne... figurę zachwycającą. Lecz jeżeli... jeżeli... jest tchórzem!

Uciekał.... wyrzeka się wiary... to źle. A! tak pięknie zaczęłam marzyć. Dalej! Zostawmy wypadki naturalnemu biegowi; poddając je opiece potrójnego bóstwa tej roztrzepanej Henriety.
Nad rankiem Małgorzata zasnęła szepcząc: Eros, Kupido, Amor.

ROZDZIAŁ XV

WOLA KOBIEТЫ JEST WOLA BOGA

Małgorzata nie myliła się. Gniew, wzniecony w sercu Katarzyny wskutek komedii, której początek już widziała, lecz rozwiązaniu zapobiec nie mogła, musiał znaleźć ujście. Królowa—matka zamiast powrócić do siebie udała się wprost do swojej damy dworu. Pani de Sauve spodziewała się podwójnych odwiedzin: myślała, czy czasem nie przyjdzie Henryk; obawiała się zaś, ażeby nie przyszła królowa—matka.

Na pół ubrana, spoczywając w łóżku, podczas kiedy Dariola czuwała w przedpokoju, usłyszała nagle odgłos obracającego się w zamku klucza, a następnie wolne kroki, które wydawały się ciężkimi, gdyby nie głużył ich miękki dywan.

Karolina obawiała się, ażeby nie przeszkodzono Darioli uprzedzić jej, podparłszy się więc na łokciach i nadstawivszy ucha, czekała z wyteżonym wzrokiem, podniesiono portierę i przed zalęknioną kobietą ukazała się Katarzyna de Medici. Katarzyna wydawała się spokojna, lecz pani de Sauve, przeszło od dwóch lat przyzwyczajona czytać w jej wzroku, zrozumiała, że ów spokój maskuje wiele ponurych myśli, a może nawet chęć strasznej zemsty. Pani de Sauve, ujrzawszy Katarzynę, chciała wyskoczyć z łóżka, lecz Katarzyna wstrzymała ją poruszeniem ręki. Biedna Karolina pozostała jakby przykuta do miejsca, starając się zebrać siły dla wstrzymania zbliżającej się burzy.

— Czy przesłałaś klucz królowi Nawarry? — zapytała Katarzyna głosem, w którym nie można było dostrzec żadnej zmiany, tylko usta jej coraz bardziej bladły.

— Tak pani — odpowiedziała Karolina, na próżno starając się nadać swemu głosowi taką samą pewność, jaką miał głos Katarzyny.

— I widziałaś go?

— Kogo? — zapytała pani de Sauve.

— Króla Nawarry.

— Nie, pani, lecz go oczekuję. Myślałam nawet, usłyszawszy, jak się klucz w zamku obrócił, że to on przychodzi.

Na tę odpowiedź, która albo zupełnie uniewinniła panią de Sauve, albo wykazywała, że kłamie, Katarzyna zadrżała i konwulsyjnie skurczyła pulchną i krótką rękę.

— Lecz ty wiesz dobrze — powiedziała królowa, złośliwie uśmiechając się — wiesz dobrze, Karlotto, że król Nawarry dzisiejszej nocy nie przyjdzie do ciebie.

— Ja, pani, mam o tym wiedzieć! — zawołała Karolina z doskonale udanym zdziwieniem.

— Tak, ty!

— Jeżeli nie przyjdzie — odrzekła młoda kobieta truchlejąc na te słowa — to znaczy, że zginął.

Karolina kłamała odważnie, wiedziała bowiem, że w razie wykrycia najmniejszej poszlaki zdrady czeka ją straszna kara.

— Czy nie pisałaś do króla Nawarry, *Carlotta miał* — zapytała Katarzyna ze złowieszczym uśmiechem.

— Nie, pani — odpowiedziała Karolina z zupełną szczerością — zdaje mi się, że Wasza Królewska Mość nie kazała mi czynić tego.

Przez chwilę trwało milczenie, podczas którego Katarzyna spoglądała na panią de Sauve wzrokiem, jakim wąż, czyhający na ptaka, stara się go zamagnetyzować, iżby tym łatwiej mógł go schwytać.

— Może myślisz, żeś piękna — rzekła Katarzyna — sądzisz, żeś zręczna, nieprawdaż?

— Nie, pani — odpowiedziała Karolina — wiem tylko, że Wasza Królewska Mość byłaś zawsze dla mnie łaskawa, skoro szło o moją piękność lub zręczność.

— Otóż wiedz — zawołała Katarzyna zapalając się gniewem — wiedz, żeś się myliła sądząc tak i że ja kłamałam mówiąc tak do ciebie: jesteś brzydka i głupia w porównaniu z moją córką Margot.

— To święta prawda — powiedziała Karolina — i nigdy nie śmiałybym temu przeczyć, zwłaszcza w twojej obecności, pani.

— Król Nawarry — mówiła dalej Katarzyna — przekłada nad ciebie córkę, co jak sądzę, wcale nie zgadza się z twoimi życzeniami i z naszą obopólną umową.

— Pani! — powiedziała Karolina, która tym razem zapłakała nie z przymusu — jeżeli to prawda, w takim razie jestem bardzo nieszczęśliwa.

— Prawda, prawda! — odrzekła Katarzyna utkwivszy w Karolinie dwa płomienie oczu jak dwa sztylety.

— Któż to powiedział Waszej Królewskiej Mości? — zapytała Karolina.

— Idź do królowej Nawarry, a znajdziesz tam swego kochanka.

— A! — zawołała pani de Sauve. Katarzyna wzruszyła ramionami.

— Czy jesteś zazdrosna? — zapytała.

— Ja? — odpowiedziała pani de Sauve zbierając wszystkie opuszczające ją siły.

— Tak, ty! Ciekawam też poznać zazdrość Francuzki.

— Lecz — rzekła pani de Sauve — jak Wasza Królewska Mość możesz wymagać, ażeby moja zazdrość była czym innym niż miłością własną? Kocham króla Nawarry tylko o tyle, o ile to jest zgodne z zamiarami Waszej Królewskiej Mości.

Katarzyna przez chwilę patrzyła na panią de Sauve badawczym wzrokiem.

— Być może, to, co mi mówisz, jest prawdą — szepnęła.

— Wasza Królewska Mość czytasz w moim sercu.

— Które jest zupełnie mi oddane?

— Rozkaż, pani, a przekonasz się.

— Dobrze więc! jeżeli jesteś gotowa poświęcić się dla mnie, Karlotto, nie przestawaj kochać Henryka, a nade wszystko bądź zazdrosna... zazdrosna jak Włoszka.

— Lecz, pani — zapytała Karolina — jakże to Włoszki są zazdrosne?

— Powiem ci — odpowiedziała Katarzyna. I wyszła równie cicho i powoli, jak weszła.

Karolina, zmieszana blaskiem owych oczu, błyszczących jak oczy kota lub pantery, nie zdołała przy jej wyjściu wymówić ani jednego słowa. Nie śmiała prawie oddychać i westchnęła dopiero wtedy, gdy usłyszała, że drzwi znowu się zamknęły, i kiedy Dariola przyszła ją uwiadomić, iż straszne zjawisko rzeczywiście zniknęło.

— Dariolo! — powiedziała pani de Sauve — przysuń sobie fotel i spędź tę noc przy mnie. Proszę cię o to, gdyż boję się pozostać sama.

Dariola usłuchała. Lecz mimo towarzystwa pokojówki, mimo światła lampy, której nie kazała gasić, pani de Sauve nie zasnęła aż nad ranem. Metaliczny głos Katarzyny brzmiał jej ciągle w uszach.

Małgorzata, chociaż zasnęła o świcie, przebudziła się jednak na dźwięk trąb i szczekanie psów. Spiesznie powstała z łóżka i zaczęła przywdziewać ranny negliz. Następnie przywołała swoje służebne i rozkazała wprowadzić do przedpokoju dworzan towarzyszących zwykli królowi Nawarry. Potem, otworzywszy drzwi prowadzące do gabinetu, w którym spali Henryk i La Mole, wzrokiem przywitała tego ostatniego, do męża zaś rzekła:

— Chodźmy, Najjaśniejszy Panie. To nie dosyć, że przekonałeś królową—matkę o tym, co nie jest prawdą; powinienes jeszcze przekonać cały swój dwór o panującej pomiędzy nami zupełnej zgodzie. Lecz uspokój się — dodała z uśmiechem — i pamiętaj na me słowa, którym okoliczności dodają wielkiej wagi. Dzisiaj ostatni raz poddaję Waszą Królewską Mość tej strasznej próbie.

Król Nawarry uśmiechnął się i kazał wprowadzić dworzan.

Podczas gdy go ci ostatni pozdrawiali, Henryk udał, że spostrzega na łożku Małgorzaty swój płaszcz. Zaczął więc usprawiedliwiać się przed swym dworem, iż ich bez ceremonii przyjmuje, wziął płaszcz z rąk zarumienionej Małgorzaty i przypiął go do ramienia. Następnie, obróciwszy się znowu do swych dworzan, zapytał o nowiny z miasta i dworu.

Małgorzata spod oka badała, jakie też wrażenie wywoła na twarzach obecnych zgoda pomiędzy królem i królową Nawarry, w tej chwili jednak wszedł do pokoju herold z kilku dworzanami i oznajmił księcia d'Alencon. Ażeby go skłonić do przybycia, dość było Gillonnie powiedzieć mu, że król spędził noc u królowej. Franciszek wpadł do pokoju tak raptownie, że o mało nie powywracał tych, którzy weszli przed nim.

Pierwsze spojrzenie rzucił na Henryka. Drugie dopiero padło na Małgorzatę. Henryk lekko mu się skłonił. Twarz Małgorzaty wyrażała najgłębszy spokój. Drugim spojrzeniem, błędnym, lecz badawczym, księżę obrzucił cały pokój; spostrzegł na łożku rozrzuconą pościel, dwie poduszki, leżące na wezglowiu, i kapelusz króla na krześle,

Franciszek zbladł, lecz natychmiast przybrał obojętny wyraz twarzy.

— Bracie Henryku! — zapytał — czy przyjdiesz dzisiaj grać z królem w piłkę?

— Czy to król czyni mi ten zaszczyt i zaprasza mnie do siebie? — zapytał Henryk — czy też ty, mój szwagrze, dajesz mi ze swej strony to zapytanie.

— Nie, król nic mi o tym nie wspominał — odrzekł księżę cokolwiek zmieszany — lecz wszakże z nim grywasz zwykle?

Henryk uśmiechnął się, albowiem od tego czasu, kiedy z nim grał po raz ostatni, zaszło tyle tak ważnych wypadków, że nie byłoby dziwne, gdyby Karol IX zmienił partnerów w grze.

— Przyjdę, bracie! — odpowiedział z uśmiechem Henryk.

— Przyjdź! — podchwycił księżę.

— Już odchodzisz? — zapytała Małgorzata.

— Już, siostrze.

— Tak bardzo się śpieszysz?

— Nie mam ani chwili do stracenia.

— A jeżeli zatrzymam cię na kilka minut?

Podobna prośba w ustach Małgorzaty była tak rzadka, że brat spoglądał na nią, blednąc i czerwieniejąc na przemian.

— Co ona mu chce powiedzieć? — pomyślał Henryk, nie mniej zdziwiony niż księżę d'Alencon.

Małgorzata, jakby zgadując myśli męża, zwróciła się ku niemu.

— Najjaśniejszy Panie! — powiedziała doń z czarującym uśmiechem. — Możesz się udać do Jego Królewskiej Mości; tajemnica, którą chcę powierzyć memu bratu, jest ci znana i Wasza Królewska Mość odmówiła już mej prośbie. Nie chcę więcej ci się naprzykrzać, powtarzając ją w twojej obecności, gdyż jak mi się zdaje, była tobie niemiła.

— Co takiego? — zapytał Franciszek, spoglądając na nich ze zdziwieniem.

— A! a! — zawołał Henryk czerwieniąc się ze złości — wiem, co chcesz, pani, powiedzieć. Prawdziwie, bardzo żałuję, że nie mam więcej swobody. Nie mogę ofiarować panu de La Mole mej opieki, która go wcale nie obroni; zresztą nie jestem wcale od tego, iżbym nie miał

przedstawić memu bratu d'Alencon osoby, która tak panią obchodzi. Być może — dodał wymawiając z naciskiem ostatnie słowa — być może, iż mój brat uzna za właściwe, ażeby pan de La Mole pozostał... tutaj... w bliskości pani... co byłoby najlepiej, nieprawdaż?

— Dobrze — pomyślała Małgorzata. — We dwóch gotowi są uczynić to, czego żaden z nich sam nie byłby uczynił.

I otworzyła drzwi do gabinetu, przywołała rannego młodzieńca, a zwracając się do Henryka, powiedziała:

— Do pana należy objaśnić memu bratu, z jakiego tytułu zajmujemy się panem de La Mole.

Henryk, wpadłszy w zasadzkę, w kilku słowach opowiedział księciu d'Alencon o przybyciu La Mole'a do Paryża i o tym, że zraniono go w chwili, gdy chciał mu wręczyć list od pana d'Auriac.

Gdy książę się obrócił, La Mole, który tylko co wyszedł z gabinetu, znalazł się naprzeciw niego. Franciszek ujrawszy przed sobą pięknego młodzieńca o bladym obliczu, uczuł w głębi serca rodzącą się trwogę. Małgorzata zraniła zarazem jego zazdrość i miłość własną.

— Mój bracie! — powiedziała królowa — ręczę ci, że ten młody szlachcic będzie bardzo pożyteczny temu, kto go zechce użyć. Jeżeli go przyjmiesz do siebie, znajdzie on w tobie możnego opiekuna, ty zaś w nim wiernego sługę. Wiesz, że korzystnie jest dzisiaj otaczać się stronnikami; nade wszystko zaś temu się to przydaje — dodała tak cicho, że tylko książę d'Alencon mógł ją dosłyszeć — kto jest chciwy władzy, a na nieszczęście jest trzecim z rządu księciem francuskim.

I położyła palec na ustach, ażeby dać poznać Franciszkowi, iż nie dokończyła jeszcze głównej myśli.

— Zresztą — podjęła Małgorzata — być może, że nie uznasz za, przyzwoite, iżby ten młodzieniec znajdował się tak blisko moich pokoi.

— Siostró! — rzekł szybko Franciszek. — Jeżeli pan de La Mole zechce, natychmiast może się przenieść do mego mieszkania, gdzie jak mi się zdaje, będzie zupełnie bezpieczny. Byleby tylko był do mnie przywiązany, będę go kochał.

Franciszek kłamał, gdyż już z całej duszy nienawidził La Mole'a.

— Dobrze, dobrze... a więc nie zawiodłam się — mówiła do siebie Małgorzata, widząc, że Henryk zmarszczył brwi. — A! widzę, że chcąc wami powodować, trzeba kierować jednym przy pomocy drugiego.

Potem dopełniając myśli, dodała: — Dobrze idzie, Małgorzato; Henrieta będzie z ciebie zadowolona.

W pół godziny później La Mole, wysłuchawszy napomnień Małgorzaty i ucałowawszy rąbek jej sukni, zszedł po schodach wiodących do pokoi księcia d'Alencon.

W przeciągu dwóch czy trzech dni zgoda pomiędzy Henrykiem i jego żoną wyraźnie się ustaliła. Uwolniono Henryka od smutnej konieczności wyrzekania się publicznie wyznania protestanckiego; pozwolono mu wyprzeć się go przed spowiednikiem króla i zmuszono jedynie do codziennego uczęszczania na mszę odprawianą w Luwrze. Wieczorem wszyscy widzieli, jak udawał się do pokoi żony, wchodził przez wielkie podwoje, rozmawiał z nią chwil kilka, a potem skrytymi drzwiczkami przechodził do pani de Sauve, która nie zaniedbała go uprzedzić o odwiedzinach Katarzyny i o grożącym mu niebezpieczeństwie. Henryk, ostrzegany z obydwóch stron, podwoił czujność względem królowej-matki, tym bardziej że czoło Katarzyny zaczęło się rozjaśniać. Pewnego nawet dnia Henryk spostrzegł na jej ustach uśmiech bardzo dlań życzliwy.

Tego właśnie dnia zaledwie zgodził się zjeść kilka jajek, które sam kazał ugotować, i napić się wody, którą w jego obecności zaczerpnięto z Sekwany. Morderstwa jeszcze trwały, chociaż już nie były dokonywane z tak wielką jak przedtem zażartością.

Tak wielką liczbę hugenotów wymordowano, że już ich niewiele pozostało przy życiu. Większa część była pozabijana; wielu uciekło, nieliczni się ukryli. Czasami, w tym lub owym cyrkułe miasta, wszczynał się zgiełk. Był to znak, że lud znalazł hugenotę. Wtedy dokonywano egzekucji wobec większego lub mniejszego zgromadzenia pospólstwa, zależnie od tego, gdzie nieszczęśliwy został schwytany, czy w zaułku, czy też w takim miejscu, iż mógł uciekać. W ostatnim przypadku była to uroczystość dla całej dzielnicy, gdyż katolicy, zamiast nasycić się rzezią nieprzyjaciół, stali się jeszcze bardziej chciwymi krwi. Im mniej pozostawało ofiar, tym zacieklej je prześladowano. Karol IX wielką znajdował rozkosz w polowaniu na hugenotów; później, kiedy już sam nie mógł brać udziału w tych łowach, napawał się hałasem sprawianym przez innych polujących.

Pewnego dnia, powracając z gry w piłkę, która równie jak polowanie była jego ulubioną zabawą, wszedł do swej matki z twarzą promieniejącą z radości, w towarzystwie kilku swoich dworzan.

— Matko! — zawołał rzucając się w objęcia Katarzyny, starającej się odgadnąć powód jego radości. — Moja matko, dobra nowina! Do diabła! czy wiesz? odnaleziono zwłoki pana admirała, które już mieliśmy za stracone.

— A! a! — zawołała Katarzyna.

— O! mój Boże, tak! Oboje myśleliśmy, że psy rozszarpały jego tułów, nieprawdaż, moja matko? Ale stało się inaczej. Mój lud, mój kochany lud, mój dobry lud powziął pyszną myśl. Powiesił admirała na szubienicy w Montfaucon.

— I cóż z tego? — powiedziała Katarzyna.

— Co z tego, kochana matko? — odrzekł Karol IX. — Oto miałaś wielką chęć jeszcze raz zobaczyć trupa tego szanownego męża, Śliczna pogoda. Zdaje mi się, że wszystko dzisiaj zakwitło. Powietrze przepelnione świeżością i zapachem; jestem zdrow, jak już dawno nie byłem. Jeżeli zechcesz, droga matko, wsiądziemy na koń i pojedziemy do Montfaucon.

— Pojechałabym chętnie, mój synu — odpowiedziała Katarzyna — lecz oznaczyłam spotkanie, którego rada bym nie opuścić; a co ponadto, wybierając się w odwiedziny do osoby tak znakomitej jak pan admirał, wypadałoby wezwać dwór cały. Będzie to sposobność do poczynienia ciekawych spostrzeżeń. Zobaczmy, kto pojedzie, a kto zostanie.

— Masz słuszość, kochana matko. Odłożmy tę wycieczkę na jutro. Tymczasem porozsyłaj zaproszenia ze swej strony, ja zaś... albo lepiej nie zapraszajmy nikogo. Powiemy tylko, że tam będziemy, a wtedy każdy będzie mógł udać się za nami lub pozostać, według swej woli. Do widzenia, kochana matko; pójdę trąbić na rogu.

— Karolu, zabijasz się. Ambroży Pare ciągle ci to mówi i ma słuszość; ta zabawa nie jest dla ludzi twego zdrowia.

— Ba, ba! — rzekł Karol. — Chciałbym wiedzieć na pewno, że tylko od tego umrę. Wtedy pochowałbym tu wszystkich, nawet Henryka, który jak zapewnia Nostradamus, będzie kiedyś moim następcą.

Katarzyna zmarszczyła brwi.

— Nie wierz, mój synu, rzeczom niepodobnym do prawdy — powiedziała — lecz oszczędzaj swe zdrowie.

— Zatrąbię tylko dwie lub trzy pobudki; trzeba przecież rozweselić psy; inaczej mogą pozdychać biedne zwierzęta! Warto by poszczuć nimi jakiegoś hugenota. To by je zabawiło.

Karol IX wyszedł z pokoju matki, udał się do zbrojowni, zdjął ze ściany róg i wydobył z niego tony tak silne, że przyniosłyby zaszczyt samemu Rolandowi. Nie do pojęcia było, jakim sposobem z tego słabego, cierpiącego ciała i z tych ust białych wyjść mogło tak potężne dęcie.

Katarzyna istotnie kogoś oczekiwała, jak oświadczyła synowi. W kilka minut po jego wyjściu jedna z dam przyszła jej coś powiedzieć do ucha. Królowa uśmiechnęła się, wstała, skłoniła się swoim dworzanom i wyszła z pokoju.

Do modlitewni królowej–matki wszedł florentczyk René, ten sam z którym król Nawarry tak dyplomatycznie się przywitał w wieczór świętego Bartłomieja.

— A! to ty, René — powiedziała Katarzyna. — Oczekiwałam cię z niecierpliwością.

René uklonił się.

— Czy odebrałeś wczoraj karteczkę, którą do ciebie pisałam?

— Miałem ten zaszczyt.

— I cóż? czy sprawdziłeś horoskop ułożony przez Ruggieriego, co we wszystkich punktach zgadza się co do joty z przepowiednią Nostradamusa zapewniającego, że moi trzej synowie panować będą? Od kilku dni stan rzeczy bardzo się zmienił, René, i pomyślałam sobie: może być, że i los stanie się nam bardziej przyjazny.

— Pani! — powiedział René potrząsając głową — Wasza Królewska Mość wiesz dobrze, że wypadki nie rządzą losem, lecz przeciwnie, los rządzi wypadkami.

— Pomimo to powtórzyłeś działanie, nieprawdaż?

— Tak, pani — odpowiedział René — posłuszeństwo względem ciebie jest moim pierwszym obowiązkiem.

— I jakież otrzymałeś wynik?

— Ten sam co i wprzód, pani.

— Jak to! czarne jagnię znowu wydało trzy okrzyki?

— Znowu, pani.

— Co jest przepowiednią trzech tragicznych śmierci w mojej rodzinie? — wyjąkała Katarzyna.

— Tak, niestety — odparł René.

— I cóż dalej?

— Następnie, pani, znalazłem w jego wnętrzościach, jak to już widzieliśmy w dwóch pierwszych próbach, wątrobę poruszoną z miejsca i przewróconą na drugą stronę.

— Zmiana dynastii! Zawsze, zawsze, zawsze! — wyjąkała Katarzyna chrypliwym głosem. — René, trzeba jednak temu zapobiec.

René potrząsnął głową.

— Powiedziałem już Waszej Królewskiej Mości — odrzekł — że los rządzi wypadkami.

— Tak myślisz? — zapytała Katarzyna.

— Tak, pani.

— Czy pamiętasz horoskop Joanny d'Albret? Powtórz go pokrótce, a zobaczymy. Ja sama już go nie pamiętam.

— *Vives honorata* — rzekł René — *morieris reformidata, regina amplijicabere*.

— To znaczy, jak sądzę — odparła Katarzyna — „żyć będziesz czczona”; a jej brakowało najpierwszych potrzeb do życia; biedna kobieta! „Umrzesz będąc postrachem”; a my się z niej naigrawaliśmy. „Będziesz większa aniżeli będąc królową”, a umarła i jej wielkość pochowana w grobie, na którym nawet zapomnieliśmy położyć jej imienia.

— Wasza Królewska Mość źle tłumaczysz *vives honorata*. Królowa Nawarry rzeczywiście żyła czczona, ponieważ za życia cieszyła się miłością swych dzieci i szacunkiem stronników, miłością i poszanowaniem tym bardziej szczerymi, że była biedna.

— No dobrze — powiedziała Katarzyna — pomińmy już *vives honorata*, lecz zobaczymy, jak też wytłumaczysz *morieris reformidata*?

— Jak wytłumaczyć? Nic łatwiejszego: Umrzesz straszna.

— Dobrze; a czyż umarła straszna?

— Nie inaczej, jak straszna, gdyż nie umarłaby, gdybyś Wasza Królewska Mość jej się nie obawiała. Nareszcie: „będziesz większą aniżeli będąc królową”. I to prawda, pani, albowiem pozostawiając koronę znikomą, doczesną, bez wątpienia teraz, jako królowa męczenniczka, osiągnęła koronę w niebiosach. A zresztą, któż może wiedzieć, co jest zachowane na ziemi dla jej rodu?

Katarzyna była nadzwyczaj zabobonna. Więcej się może przelekła zimną krwią Reného aniżeli uporem wyroczeni, a ponieważ jeden zuchwały krok dał jej powód do zerwania rozmowy na temat horoskopu, opryskliwie zapytała perfumiarza:

— Czy już przybyły pachnidła z Włoch?

— Tak, pani.

— Przyślesz mi całą szkatułkę.

— Których?

— Ostatnich, tych... Katarzyna ucieła.

— Czy tych, które szczególnie lubiła królowa Nawarry? — zapytał René. — Tych właśnie.

— Nie potrzebuję ich wcale przygotowywać, nieprawdaż, pani? Wasza Królewska Mość jesteś teraz tak biegła jak i ja.

— Tak sądzisz? — odpowiedziała Katarzyna. — Zależy mi bardzo na tym, żeby się pachnidła udały.

— Czy Wasza Królewska Mość nie masz mi nic więcej do powiedzenia? — zapytał René.

— Nie, nie — powiedziała Katarzyna zatopiona w myślach — nie, nie wierzę w to. Gdyby zaszło coś nowego w ofiarach, donieś mi o tym. Porzućmy już jagnięta, a przejdźmy do kur.

— Obawiam się, pani, że zmieniając ofiarę nic nie zmienimy w przepowiedniach.

— Czyń, co ci każe. René uklonił się i wyszedł.

Katarzyna przez chwilę siedziała zamyślona, lecz wkrótce wstała i udała się do swej sypialni, gdzie czekały na nią jej damy, które zawiadomiła o jutrzejszej wycieczce do Montfaucon. Niespodziewana ta rozrywka stała się powodem zamieszania i zgiełku w mieście. Kobiety przygotowywały najpiękniejsze suknie, mężczyźni broń i konie. Kupcy pozamykali sklepy i pracownie, a włóczędzy spomiędzy motłochu zabili kilku hugenotów, zachowanych na uroczystość, a przeznaczonych teraz dla towarzystwa admirałowi. Zgiełek ten trwał przez cały wieczór i większą część nocy.

La Mole spędził kilka dni bardzo smutno. Pan d'Alencon, ażeby zadość uczynić żądaniu Małgorzaty, umieścił go w swoim mieszkaniu, lecz ani zajązwał do niego. La Mole uczuł się nagle opuszczony jak biedne dziecko i pozbawiony czułych starań dwóch pięknych kobiet, których pamięć, osobliwie zaś jednej, ustawicznie zajmowała wszystkie jego myśli. Wprawdzie lekarz Ambroży Pare przyniósł mu o niej wiadomości, lecz wiadomości przynoszone przez człowieka, który nie znał wagi, jaką La Mole przywiązywał do najmniejszych szczegółów tyczących się Małgorzaty, były niezupełne i niedostateczne. Gillonna przyszła raz, rozumie się, że sama od siebie, ażeby się dowiedzieć o zdrowie rannego.

Odwiedziny te zrobiły na La Mole'u wrażenie, jakie sprawia na więźniu, promień słońca przedzierający się przez kraty: został jakby olśniony. I nie przestawał oczekiwać innych odwiedzin, te jednak nie następowały, chociaż już upłynęły dwa dni.

Skoro doszła do ucha La Mole'a wiadomość o wspaniałym wystąpieniu całego dworu następnego dnia, kazał prosić pana d'Alencon o zaszczyt towarzyszenia mu. Książę, nie spodziewając się, ażeby La Mole był w stanie znieść znużenie dalekiej przejażdżki, odpowiedział:

— Doskonale! niech mu dadzą jednego z moich koni. La Mole niczego też więcej nie pragnął.

Ambroży Pare przyszedł, jak zwykle, opatrzyć rany. La Mole przedstawił mu konieczność przedsięwzięcia wszystkich środków, które by mu dozwoliły towarzyszyć konno orszakowi. Zresztą dwie rany już się zabiłiły, tylko rana na ramieniu jeszcze była świeża.

Lekarz przyklepił mu na rany kitajkę gumowaną, jak to zwykle czynili w tych czasach, i zaręczył ranionemu, że byleby tylko unikał gwałtownych ruchów podczas konnej jazdy, wszystko pójdzie dobrze.

La Mole promieniał radością. Pomimo osłabienia wynikłego z utraty krwi i lekkiej gorączki, jaka się zwykle wywiązuje u rannych, czuł się daleko zdrowszy. Poza tym spodziewał się, że Małgorzata będzie niezawodnie w orszaku; znajdzie więc sposobność ujrzenia jej. Skoro zaś widok Gillonny był dlań tak miły, nie wątpił, że stokroć większą przyjemność sprawi mu widok jej pani. Użył więc część pieniędzy, otrzymanych przy wyjeździe od rodziców, na kupno pięknego, obcisłego kaftana z białego atłasu i bogato haftowanego płaszcza. Dostarczył mu tego najmodniejszy krawiec. Tenże sam przysłał mu buty ze skóry pachnącej, jakich wówczas używano; wszystko to przyniesiono z rana, tylko pół godziny później, niż obiecano, nie było więc na co szemrać.

La Mole ubrał się szybko, spojrzął w lustro i zobaczył, iż jest przyzwoicie odziany, uczesany i uperfumowany, tak, iż sam z siebie był zadowolony. Potem przeszedł się kilka razy po pokoju i przekonał się, że pomimo bólu; który od czasu do czasu go nachodził, szczęście jego jest w stanie zmusić do milczenia cierpienie fizyczne.

Gdy ta scena odbywała się w Luwrze, inna, w podobnym rodzaju, miała miejsce w pałacu Gwizjuszów.

Człowiek wysokiego wzrostu, rudowłosy, przyglądał się przed zwierciadłem czerwonej szramie, która mu strasznie twarz szpeciła; czesał i pomadował sobie wąsy, a nie przestawał przeklinać blizny, która pomimo użycia wszystkich wówczas znanych kosmetyków, z uporem pozostawała na miejscu. Już trzy warstwy bielidla i różu na nią położył, lecz nic nie pomagało.

Nagle szczęśliwa myśl zabłysła mu w głowie, Letnie słońce sierpniowe świeciło za oknem, wzięwszy więc kapelusz w rękę, zszedł na podwórze, zamknął oczy i podniósłszy głowę do góry, przechadzał się przez kilkanaście minut, poddając twarz działaniu palących promieni słońca. W dziesięć minut dzięki słońcu twarz szlachcica tak poczerwieniała, że przy owych rumieńcach szrama wydawała się żółta. Szlachcic nasz był już zupełnie zadowolony z tej ozdoby, której za pomocą różu nadał kolor, jaki miała cera całej twarzy. Następnie przywdział wspaniałe szaty przyniesione mu przez krawca.

Ubrany, upomadowany, uzbrojony od stóp do głów, zszedł powtórnie na podwórze i zaczął pieścić wielkiego karego konia, którego piękność byłaby niezwykłą, gdyby w jednej z ostatnich bitew domowych szabla rajtara nie pozostawiła na nim szramy, zupełnie podobnej do blizny na obliczu jeźdźca.

Zadowolony ze swego konia równie jak i z samego siebie, szlachcic ten, którego czytelnicy bez wątpienia z łatwością poznali, siedział na swym rumaku kwadrans pierwszej anizeli wszyscy. Na podwórku pałacu dało się słyszeć rzenie konia, na które odpowiadało: „do kroćset!”, wymawiane we wszystkich tonacjach, w miarę jak jeździec poskramiał rumaka. W kilka minut koń, zupełnie poskromiony, uznał nad sobą władzę przynależną jeźdźcowi, zwycięstwo jednak zostało osiągnięte nie bez hałasu. Hałas ten zaś (jeździec bez wątpienia nań liczył) sprowadził do okna damę, której nasz poskramiacz złożył głęboki ukłon, w zamian za co przesłano mu czarowny uśmiech. W pięć minut później pani de Nevers rozkazała zawołać swego intendenta.

— Czy pan hrabia Annibal de Coconnas jadł już śniadanie? — zapytała.

— Tak, pani — odpowiedział marszałek — dziś rano jadł nawet z większym niż zwykle apetytem.

— Dobrze — rzekła księżna.

Następnie zwróciła się do swego pierwszego dworzanina.

— Panie d'Arguson! — powiedziała — pojedziemy do Luwru; bądź tak łaskaw i miej też baczność na pana hrabiego Annibala de Coconnas, gdyż jest ranny i jeszcze niezupełnie wyzdrowiał. Nie chciałabym zaś za nic w świecie, iżby mu się miało przytrafić jakie nieszczęście. Dałoby to powód do śmiechu hugenotom, którzy mają na niego chrapkę od czasu szczęśliwej nocy świętego Bartłomieja.

Po tych słowach pani de Nevers dosiadła konia i cała promieniejąca szczęściem udała się do Luwru, gdzie mieli zebrać się wszyscy.

ROZDZIAŁ XVI

TRUP NIEPRZYJACIELA ZAWSZE PIĘKNIE PACHNIE

O godzinie drugiej po południu długi poczet rycerzy, błyszczących złotem, drogimi kamieniami i wspaniałymi ubiory, ukazał się na ulicy Saint-Denis spoza rogu Cmentarza Niewiniątek, posuwając się w ognistym blasku słońca, pomiędzy ciemnymi i ponurymi domami, jakby ogromny wąż o zmieniającej się skórze.

Żaden najwspanialszy orszak nie może dać wyobrażenia o tym widoku.

Jedwabne, bogate, świetne ubiory, jakby testamentem przekazane przez Franciszka I, jeszcze nie zamieniły się w wąskie i ponure suknie, jakie noszono za Henryka III; wśród nich kostium Karola IX, mniej bogaty, lecz być może, że wykwintniejszy od ubiorów z epoki dawniejszej, odznaczał się doskonałym smakiem.

Paziowie, koniuszowie, dworzanie, psy i konie, idąc po bokach i z tyłu, upodabniali orszak królewski do armii.

Za tą armią postępował lud; albo raczej — lud był wszędzie. Biegł naprzód, postępował z orszakiem i szedł z tyłu, wołając na przemian: Noel i Haro; w orszaku bowiem widzieli wielu kalwinów, znowu zjednoczonych, do których naturalnie lud miał urazę.

Z rana Karol IX w obecności Katarzyny i księcia Gwizjusza uwiadomił Henryka, króla Nawarry, jakby o rzeczy najzwyczajniejszej, że wszyscy zamierzają pojechać do szubienicy w Montfaucon, aby zobaczyć zbrukane ciało admirała, na niej wiszące.

Pierwszą myślą Henryka było wymówienie się od uczestnictwa w tej przejażdżce.

Katarzyna tego tylko sobie życzyła. Przy pierwszych jego słowach wyłuszczających to postanowienie królowa-matka i książę Gwizjusz zamienili pomiędzy sobą spojrzenia i uśmiechy. Henryk, spostrzegłszy to, zrozumiał wszystko i nie omieszkał się poprawić.

— Zresztą — powiedział — dlaczegoż bym nie miał jechać? Jestem katolikiem i powinien bym coś uczynić dla swej nowej wiary.

Następnie, zwracając się do Karola IX, dodał:

— Wasza Królewska Mość może liczyć na mnie; bardzo mi będzie miło towarzyszyć ci, gdziekolwiek byś się udał.

I szybko spojrzał dokoła, ażeby się przekonać, jak też wiele brwi się zmarszczyło.

Na nikogo więc z całego orszaku nie zwracano tyle uwagi, co na Henryka, tego syna bez matki, króla bez królestwa, hugenota-katolika. Jego twarz charakterystyczna, prostota w obejściu, życzliwość w przestawianiu z niższymi, życzliwość, która była prawie naganą dla króla, a której nabył w młodości, bawiąc pomiędzy góralami, i którą zachował do śmierci — łatwo dawały go poznać licznym widzom, z których niejeden zawołał:

— Na mszę, Henryku, na mszę! Na co Henryk odpowiadał:

— Byłem na niej wczoraj, byłem dzisiaj i będę jutro. Zdaje mi się, że to dosyć.

Siedząca na koniu Małgorzata była dzisiaj tak świeża, tak piękną, że powszechny szmer uwielbienia rozchodził się pomiędzy otaczającymi ją widzami.

Cząstka tego zachwyty spadała i na śliczną księżnę de Nevers, jadącą obok Małgorzaty na białym koniu, potrząsającym grzywą i jakby pyszniącym się ciężarem, który dźwigał.

— Cóż tam nowego, księżno? — zapytała królowa Nawarry.

— Nic nie wiem, pani — odpowiedziała Henrieta głośno. Potem, zniżając głos, dodała:

— A jakże się miewa hugenot?

— Znalazłam dla niego prawie zupełnie bezpieczne schronienie — odrzekła Małgorzata — lecz co robi twój straszny morderca rodu ludzkiego?

— Chciał koniecznie uczestniczyć w naszym orszaku; jest tutaj, siedzi na koniu bojowym księcia de Nevers, na koniu tak wielkim jak słoń. Dzielny kawalerzysta! Pozwoliłam mu wziąć udział w ceremonii, spodziewając się, że twój hugenot nie przybędzie i tym sposobem nie będziemy potrzebowały obawiać się żadnego między nimi zajścia.

— O, chociażby tu i był — odpowiedziała Małgorzata z uśmiechem — w żadnym razie nie potrzebujemy się tego obawiać, ale zdaje się, że go nie ma. Mój hugenot jest dobrym chłopcem, dobrym jak gołąb, a nie jak kania; grucha, a nie zabija. Ale wiesz co? — dodała tonem niepodobnym do oddania i lekko wzruszając ramionami — sądziliśmy, że to hugenot, a on jest braminem i jego religia zabrania mu przelewania krwi.

— Lecz gdzież jest książę d'Alencon? — zapytała Henrieta — nie widzę go.

— Bez wątpienia dogoni nas; dzisiaj z rana bolały go oczy, chciał więc pozostać. Lecz jak ci wiadomo, ujmuje się on za hugenotami dlatego tylko, ażeby się sprzeciwić swoim braciom: Karolowi i Henrykowi. Zwrócono mu jednak uwagę, że król mógłby sobie wytłumaczyć jego nieobecność opacznie, postanowił zatem pojechać. Lecz czy słyszysz okrzyki? To pewnie on wyjeżdża z bramy Montmartre.

— Tak, to on, poznaję go — powiedziała Henrieta. — A! jak dziś pięknie wygląda. Od niejakiego czasu bardzo zajmuje się swoim ubiorem, musi być zakochany. Patrz, jak to dobrze być księciem z krwi królewskiej — pędzi jak wicher i wszyscy mu ustępują z drogi.

— Prawda — odrzekła Małgorzata śmiejąc się — podepcze nas, Boże, zmiłuj się nade mną! Rozkaż pośpieszyć swej świcie, księżno; patrz! jeżeli ten oto nie ustąpi z drogi, zabiją go.

— A! to mój nieustraszony rycerz — zawołała księżna — uważaj, panie, uważaj!

Coconnas opuścił szereg, chcąc zbliżyć się do księżnej de Nevers, lecz właśnie w tej samej chwili, kiedy koń jego przebywał zewnętrzny bulwar, oddzielający ulicę od przedmieścia Saint-Denis, jakiś jeździec ze świty księcia d'Alencon, pomimo wszelkich usiłowań nie mogąc wstrzymać rozhukanego konia, całym pędem wpadł na Piemontczyka.

Coconnas zachwiał się na swym ogromnym koniu, kapelusz spadł mu z głowy, lecz schwycił go w powietrzu i obejrzał się z oburzeniem.

— Boże! — zawołała Małgorzata nachylając się do ucha przyjaciółki. — To pan de La Mole.

— Kto? ten przystojny błady młodzieniec? — zapytała księżna nie mogąc pohamować pierwszego wrażenia.

— Tak, ten sam, który omal nie wysadził z siodła twego Piemontczyka.

— O!... teraz stanie się coś strasznego! — powiedziała księżna — patrzą na siebie... poznają się...

W rzeczy samej, Coconnas, obróciwszy się, poznał La Mole'a i ze zdziwienia wypuścił z rąk cugle, myślał bowiem, że zabił swego towarzysza, a przynajmniej, że na długo uczynił go niezdolnym do walki.

La Mole także poznał swego przeciwnika i uczuł, że twarz mu się zaogniła.

W przeciągu kilkunastu sekund, które starczyły na odmalowanie na ich twarzach wszystkich uczuć w sercach ich gorejących, mierzyli się wzajemnie wzrokiem, na który wzdrygały się nasze młode damy. Następnie La Mole, obejrzawszy się dokoła i zrozumiałwszy, że miejsce i czas źle były obrane do wzajemnych wyjaśnień, spiął ostrogami konia i przyłączył się do księcia d'Alencon.

Coconnas pozostał jeszcze przez chwilę na miejscu, pokręcając wąsą; potem, widząc, że La Mole oddala się nic nie mówiąc, ruszył z miejsca i pojechał dalej.

— A! — powiedziała Małgorzata z pogardą — tak, nie omyliłam się... Lecz tym razem tego już za wiele.

I aż o krwi zagryzła sobie usta.

— A! jaki to ładny chłopiec — powiedziała księżna ze współczuciem. W tejże chwili książe d'Alencon zajął miejsce za królem i królową-matką; świta jego, jadąc tuż za nim, musiała przejechać obok Małgorzaty i księżnej de Nevers.

La Mole, mijając damy, zdjął kapelusz, skłonił się królowej bardzo uniznienie i pozostał z odkrytą głową, oczekując jej spojrzenia. Lecz Małgorzata dumnie odwróciła od niego głowę; La Mole bez wątpienia dostrzegł na jej twarzy wyraz pogardy, gdyż z bladego, zrobił się siny. Musiał nawet schwyć się za grzywę konia, ażeby nie spaść z niego.

— A! — zawołała Henrieta — spójrz na niego, okrutna! Może mu się zrobić słabo...

— Tego tylko brakuje — odparła Małgorzata z pogardliwym uśmiechem. — Czy nie masz czasem trzeźwiający soli?

Pani de Nevers myliła się. La Mole zebrał wszystkie siły, poprawił się na siodle i pośpieszył zając miejsce w orszaku księcia d'Alencon.

Tymczasem orszak zbliżał się coraz bardziej do miejsca przeznaczenia. W oddaleniu rysował się już ponury kontur szubienicy, pomyślanej i wystawionej przez Engeurranda de Marigny. Nigdy nie była jeszcze tak przystrojona, jak teraz. Heroldowie i halabardnicy udali się naprzód i utworzyli naokoło niej obszerne koło. Gdy się zbliżyli, kruki zerwały się z szubienicy i odleciały z żalobnym krzykiem. Szubienica wznosząca się w Montfaucon ściągała tu często gromady psów, wabionych obfitym pokarmem, i rozbójników-filozofów, przybywających rozmyślać u jej stóp o smutnych zmianach losu.

Lecz tego dnia w Montfaucon nie było ani psów, ani rozbójników. Żołnierze i halabardnicy wypędzili pierwszych razem z krukami, drudzy, zaś wmieszali się w tłum, ażeby tam wypróbować swoje umiejętności.

Orszak zbliżał się.

Karol IX i Katarzyna jechali na przodzie, a za nimi książe Andegaweński, książe d'Alencon, król Nawarry, Gwizjusz i ich świta; potem Małgorzata i księżna de Nevers z całym dworem kobiet, nazwanym „skrzydlatym orszakiem królowej”; za nimi dopiero postępowali paziowie, masztalerze, giermkowie, służba i około dziesięciu tysięcy pospólstwa.

Na głównej szubienicy wisiał trup, czarny, bezkształtny, pokryty spiekłą krwią i błotem, gdzieniegdzie ubielony kurzem. Trup był bez głowy, powieszony za nogi. Pospólstwo, jak to zwykle bywa, pełne pomysłowości, zastąpiło głowę pęczkiem słomy, na który włożono maskę; dowcipniś, który znał zwyczaj admirała, wsadził masce w usta piórko do zębów.

Było to widowisko zarazem dziwne i potworne, kiedy ci wszyscy bogato ubrani panowie i wszystkie piękne damy przechodziły, jak w procesji odmalowanej przez Goyę, wśród poczerńiałych szkieletów i szubienic, które wyciągały ku nim długie ramiona.

Im głośniejsza była wesołość przybyłych, tym straszliwszy kontrast stanowiła z ponurym milczeniem i zimną nieczułością trupów, z których się naigrawano, dlatego niekiedy trupy przyprawiały o drżenie tych, co się z nich śmiali. Wielu z trudnością znosiło ów straszny widok.

W grupie hugenotów bladością odznaczał się Henryk, który mimo siły charakteru i wrodzonych zdolności maskowania się, jakimi szczerze obdarzyło go niebo, nie mógł jednak znieść tego widoku.

Wszystkich zapewniał, że odór trupów jest mu nieznośny, następnie zbliżył się do Karola IX, który razem z Katarzyną zatrzymał się przed szczątkami admirała, i rzekł doń:

— Najjaśniejszy Panie! Czyż Wasza Królewska Mość nie czujesz, że ten trup cuchnie do tego stopnia, iż jest niepodobieństwem dłużej tu pozostać?

— Tak sądzisz, Henryku? — powiedział Karol IX, a w oczach jego błyszczała dzika radość.

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— No, pod tym względem nie jestem z tobą jednego zdania, bo dla mnie... trup nieprzyjaciela zawsze pięknie pachnie.

— Na honor! — zawołał Tavannes. — Ponieważ Wasza Królewska Mość wiedziałaś, że jedziemy w odwiedziny do pana admirała, trzeba było zaprosić do naszego towarzystwa Piotra Ronsarda, twego nauczyciela poezji; bez wątpienia zaimprovizowałby on epitafium staremu Gaspardowi.

— Jeżeli o to tylko idzie, to wcale nie jest on nam potrzebny — powiedział Karol IX — i bez niego potrafimy to zrobić... Na przykład, słuchajcie, panowie! — i po chwili namysłu zacytował czterowiersz.

— Wybornie! doskonale! — zawołali jednogłośnie katolicy; hugonoci milczeli, marszcząc brwi.

Tymczasem Henryk zaczął rozmawiać z Małgorzatą i księżną de Nevers i udał, że nic nie słyszy.

— Jedźmy, jedźmy! — zawołała Katarzyna, której pomimo pachnideł wyziewy trupów zaczynały dokuczać — jedźmy, jakkolwiek bardzo nam tu przyjemnie. Powiedzmy „do widzenia” panu admirałowi i wracajmy do Paryża.

I uczyniła głową ironiczny ruch, jak gdyby zęgnęła się z przyjacielem. Następnie, skręciwszy koło głównej szubienicy, wyjechała na drogę, gdy orszak przeciągał obok trupa admirała de Coligny.

Słońce spuszczało się pod horyzont.

Tłum udał się za ukoronowanymi głowy, chcąc nasycić się do końca widokiem wspaniałego orszaku i szczegółami widowiska.

Złodzieje także pośpieszyli za tłumem i w dziesięć minut po odjeździe króla nikt nie pozostał pod szubienicą, na której wisiał bezkształtny trup admirała, oświecony promieniami zachodzącego słońca.

Mówiąc, że nikt nie pozostał, omyliliśmy się.

Siedzący na czarnym koniu szlachcic, który bez wątpienia w obecności książąt nie mógł dobrze obejrzeć wszystkich szczegółów — zatrzymał się. Z ciekawością zaczął rozpatrywać wszystkie części składowe szubienicy: łańcuchy, haki, słupy kamienne, jednym słowem, przyglądał się całemu przyrządowi, który młodzieńcowi niedawno przybyłemu do Paryża i nie obeznanemu ze wszystkimi wynalazkami stolicy zdał się być wymysłem straszliwym.

Nie ma potrzeby mówić naszym czytelnikom, że tym ciekawym był nasz przyjaciel Coconnas. Bystre oko kobiece na próżno szukało go w orszaku. Pan de Coconnas, jak już powiedzieliśmy, w uniesieniu podziwiał dzieło Enguerranda de Marigny.

Lecz nie tylko kobieta szukała pana de Coconnas. Jakiś szlachcic, w białym atlasowym ubraniu z pięknym piórem, spojrzawszy przed siebie i obejrzawszy się na boki, rzucił okiem poza siebie i spostrzegł na czerwonym tle nieboskłonu wysoką postać Piemontczyka i jego olbrzymiego konia.”

Natychmiast opuścił orszak, skręcił koniem na ścieżkę i opisując łuk, powrócił do szubienicy.

Prawie w tymże samym czasie księżna de Nevers zbliżyła się do Małgorzaty i rzekła:

— Omyliłyśmy się obydwie, Małgorzato, gdyż Piemontczyk pozostał w tyle, pan de La Mole zaś pędzi ku niemu.

— Do krośset! — zawołała Małgorzata śmiejąc się — należy się spodziewać jakiegoś zajścia. Na honor, przynajmniej, że byłabym rada zmienić o nim zdanie...

Małgorzata obejrzała się i dostrzegła manewr La Mole'a, o którym tylko co mówiliśmy. Teraz z kolei obydwie księżniczki gotowały się opuścić orszak. Okoliczności bardzo temu sprzyjały; wszyscy skręcali właśnie na drodze obok wysokiego żywopłotu. Pani de Nevers powiedziała kilka słów do ucha swemu kapitanowi. Małgorzata dała znak Gillonnie i cztery osoby puściły się drogą, po czym zatrzymały się ukryte za krzakami osłaniającymi miejsce, gdzie miał zajść wypadek, którego być świadkami tak gorąco pragnęły. Nie było więcej nad trzydzieści kroków od tych krzaków do Piemontczyka, kontemplującego, jak to już wyżej powiedzieliśmy, szubienicę i czyniącego gwałtowne ruchy przed panem admirałem.

Małgorzata zsiadła z konia, pani de Nevers, Gillonna i kapitan uczynili to samo; ten ostatni wziął lejce wszystkich czterech koni. Świeża i miękka murawa dostarczała trzem damom siedzenia, jakiego nieraz na próżno pragną księżniczki. Krzaki nie były gęste i pozwalały wszystko widzieć.

La Mole objechał plac dokoła. Stępa zbliżył się do Piemontczyka i uderzył go ręką po ramieniu. Coconnas obrócił się.

— A!... — zawołał — więc to nie sen pan żyjesz jeszcze?

— Tak, panie! — odpowiedział La Mole — żyję jeszcze. Prawda, że to nie pańska wina, lecz mimo wszystko żyję.

— Do krośet! dobrze pana poznaję — rzekł Coconnas — poznaję pomimo twej bladeści. Kiedyśmy się widzieli ostatnim razem, byłeś pan daleko czerwiejszy.

— I ja — odparł La Mole — poznaję pana pomimo tej żółtej kresy na twarzy; kiedy nią pana uczęstowałem, byłeś pan bladejszy.

Coconnas przygryzł wargi, lecz ponieważ sobie postanowił prowadzić rozmowę tonem szyderczym, rzekł:

— Nieprawdaż, panie de La Mole, że to bardzo ciekawe, nade wszystko dla hugenota, widzieć pana admirała zawieszono na żelaznym haku? A są nawet ludzie, którzy upewniają, że wycięliśmy wszystkich hugenotów przy piersiach matek.

— Hrabio! — powiedział La Mole kłaniając się — nie jestem już hugenotem; mam szczęście być katolikiem.

— Aha! — zawołał Coconnas wybuchając gwałtownym śmiechem — nawróciłeś się pan. O! nie ma co mówić, postąpiłeś bardzo zręcznie!

— Panie! — odparł La Mole poważnie i grzecznie — uczyniłem ślub, że jeżeli nie zginę podczas pamiętnej rzezi, to się nawrócę.

— A więc, hrabio — zauważył Piemontczyk — uczyniłeś ślub bardzo rozsądny; winszuję ci, lecz czy czasem nie uczyniłeś jeszcze jakiego innego ślubu?

— Owszem, panie, uczyniłem jeszcze drugi — odpowiedział La Mole z zupełnym spokojem.

— Jakiż? — zapytał Coconnas.

— Powiesić pana tu... wysoko... patrz pan! obok admirała... oto na tym małym gwoździu, który zdaje się z niecierpliwością pana oczekiwać.

— Jak to? — zdziwił się Coconnas — mnie powiesić żywcem?

— Nie, panie, przebiwszy cię pierwej szpadą. Coconnas zsiniał; jego zielone oczy ciskały błyskawice.

— Patrz pan — spytał szyderczo — czy na tym haku?

— Na tym... — odrzekł La Mole.

— Jeszcze ty nie urósł, mój chłystku — powiedział Coconnas.

— To nic nie szkodzi; dostanę do tego haka po pańskim ogromnym koniu, mój ty wielki morderco ludzi — odparł La Mole. — Czy sądzisz, kochany panie Annibalu de Coconnas, że można bezkarnie mordować ludzi jedynie pod tym szlachetnym pozorem, iż jest nas stu

przeciwko jednemu? O nie! Z wielkim ukontentowaniem wsadziłbym ci w twój szkaradny łeb, mój panie, kulkę z pistoletu. Chybiłbym jednak, ponieważ jeszcze drży mi ręka, pokaleczona twoimi zdradzieckimi pchnięciami z tyłu.

— W mój szkaradny łeb! — wrzasnął Coconnas, zeskakując z konia. — Zsiądź! zsiądź, hrabio! rozprawimy się żelazem.

I dobył szpady.

— Zdaje się, że twój hugenot nazwał jego głowę szkaradnym łbem — szepnęła do ucha Małgorzaty księżna de Nevers — czyż on i dla ciebie brzydki?

— Zachwycający! — odpowiedziała Małgorzata z uśmiechem — lecz pan de La Mole z wściekłości nie wie, co mu odpowiedzieć. Cicho, uważajmy.

La Mole z wolna zsiadł z konia i dobył szpady.

— Aj! — syknął wyciągając rękę.

— Oj! — mruknął Coconnas podniósłszy w górę szpadę.

Obydwaj byli ranni w ramię, szybkie więc ruchy sprawiły im dotkliwy ból.

Wybuch śmiechu, źle powstrzymanego, dał się słyszeć spoza krzaka. Obie panie nie mogły go powstrzymać, widząc, jak dwóm zapaśnikom z bólu opadły ręce. Śmiech ten doszedł do pojedynkujących się, nieświadomych tego, że mają nie widzianych świadków. Obejrżeli się i poznali swe damy.

La Mole, sztywny jak automat, stanął do ataku.

Coconnas zaś, wznosząc szpadę, głosem stentora krzyknął: do kroćset!

— Tak! lecz oni się zamordują nawzajem, jeżeli im nie przeszkodzimy — zawołała Małgorzata. — Już dosyć tych żartów. Hola, panowie! wstrzymajcie się!

— Daj pokój, nie przeszkadzaj im — powiedziała Henrieta, widząc bowiem poprzednio Coconnasa w bójce, sądziła, że z La Mole'em załatwi się podobnie jak z synami i krewnymi Mercandona.

— A! jakże teraz są piękni — rzekła Małgorzata — patrz! zda się, że zioną ogniem.

W samej rzeczy, walka, zaczęta wśród żartów i drwin, stała się milcząca, skoro tylko skrzyżowały się żelaza zapaśników. Obaj nie dowierzali swoim siłom i każdy z nich przy najmniejszym żywym poruszeniu mimo woli wydawał jęk bolesny, jaki dawna rana wyrwała mu z piersi.

Zresztą La Mole, z na wpół otwartymi ustami, zaciśniętymi zębami i oczyma stale utkwionymi w swego przeciwnika, nieznacznie wysuwał się naprzód. Coconnas, znalazłszy w nim dobrego szermierza, ciągle musiał się cofać.

Tym sposobem obaj zbliżyli się do parowu, za którym znajdowali się widzowie. Tutaj, jak gdyby cofanie się wynikało z chęci zbliżenia się do swej damy, Coconnas stanął, a wytrzymałszy cokolwiek zbyt śmiało natarcie La Mole'a, ciął go z szybkością błyskawicy.

Wkrótce na białym atłasowym kaftanie wystąpiła czerwona plama, szybko się rozszerzająca.

— Odważnie! — zawołała księżna de Nevers.

— A! biedny La Mole! — powiedziała Małgorzata przejęta boleścią La Mole, usłyszawszy te słowa, z wdzięcznością rzucił na królową jedno z tych spojrzeń, które przenikają serce bardziej aniżeli żelazo. I w tej chwili jego rapier przebił na wskroś plecy Piemontczyka. Ukazała się klinga, cała zbroczona we krwi.

Obie kobiety wydały rozpaczliwy okrzyk. Jednakże żaden z zapaśników nie upadł. Obaj stali i mierzyli się nawzajem wzrokiem; każdy z nich czuł, że lada chwila może stracić równowagę. Na koniec Piemontczyk, ciężiej ranion aniżeli jego przeciwnik, czując, że z upływem krwi siły go odstupują, rzucił się na La Mole'a dławiąc go jedną ręką, gdy tymczasem drugą usiłował dobyć sztyletu. Ze swej strony La Mole, zebrałszy wszystkie siły, wzniesł rękę ze szpadą i zadał

Piemontczykowi gardą silny cios w głowę. Coconnas ogłuszony uderzeniem, padł, lecz padając pociągnął za sobą wroga i obaj stoczyli się w parów.

Małgorzata i księżna de Nevers, widząc, że konający szukają jeszcze sposobności dobitcia się, pośpieszyły ku nim z kapitanem straży. Lecz nim zdążyły przybiec, oczy zapaśników zamknęły się, ręce zeszywniały i obaj wypuściwszy oręż, wyciągnęli się konwulsyjnie.

Otaczała ich wielka kałuża krwi.

— O! mężny, mężny La Mole! — zawołała Małgorzata, nie mogąc dłużej powstrzymać swego uwielbienia. — A! przebac mi, przebac, z śmiała powątpiewać o twojej odwadze.

I oczy jej napelniły się łzami.

— Niestety! — szepnęła księżna. — Waleczny Annibal... Powiedz, pani, powiedz, czyś kiedy widziała dwa lwy bardziej nieustraszone?

I rozplynęła się we łzach.

— Na Boga! śliczne cięcia! — zauważył kapitan usiłując zatamować krew płynącą strumieniami. — Hej! hej! bywaj!

Słowa te skierowane były do człowieka jadącego wózkiem pomalowanym na czerwono.

— No i cóż! — zawołał kapitan — ruszajże się przecież, kiedy cię wołam! Czyż nie widzisz, że ci panowie potrzebują pomocy?

Człowiek na wózku, odrażającej powierzchowności i brzydkiej twarzy, zatrzymał swego konia, wysiadł i nachyliwszy się ku dwóm ciałom, powiedział:

— Fiu! fiu! piękne rany, lecz ja zadaję lepsze.

— Któż więc jesteś? — zapytała Małgorzata, czując mimowolny nieprzewyciężony lęk.

— Pani! — odpowiedział człowiek kłaniając się prawie do ziemi — jestem mistrz Caboche, kat okręgu paryskiego. Przyjechałem tu rozwiesić ot, na tej szubienicy towarzyszków dla pana admirała.

— Ja zaś jestem królowa Nawarry. Porzuć trupy, włóż do swego wózka czapraki z naszych koni i wieź za nami ostrożnie do Luwru tych dwóch ranionych panów.

ROZDZIAŁ XVII

ZASTĘPCA AMBROŻEGO PARE

Wózek, w którym umieszczono panów de Coonnasa i de La Mole'a, jechał do Paryża w ślad za świadkami walki. Przed Luwrem zatrzymał się; woźnica otrzymał szczodre wynagrodzenie. Rannych rozkazano przenieść do księcia d'Alencon i natychmiast posłano po Ambrożego Pare.

Coonnas i La Mole byli jeszcze bez zmysłów, kiedy przybył lekarz. La Mole był ranny: otrzymał pchnięcie szpadą pod prawą łopatkę, lecz pchnięcie to nie uszkodziło mu żadnego z główniejszych mięśni. Coonnas, przeciwnie, był na wskroś przeszyty aż do płuc, a powietrze wychodzące z rany chwiała płomieniem świecy. Pare nie chciał ręczyć za życie Piemontczyka.

Księżna de Nevers była w rozpacz. Ona to, polegając na sile, zręczności i męstwie Piemontczyka, wstrzymała Małgorzatę w chwili, kiedy ta chciała przerwać pojedynek. Księżna miała chęć przenieść Coonnasa do pałacu Gwizjuszów i mieć około niego staranie, jakie już przedtem podejmowała. Lecz w następstwie zaszytych wypadków co chwila należało się spodziewać przyjazdu męża księżny z Rzymu; mężowi zaś wydałoby się bez wątpienia dziwne, że jakiś nieznajomy pod jego nieobecność został przyjęty do grona rodzinnego.

Małgorzata, chcąc ukryć przyczyny ran, rozkazała odnieść obydwóch do swego brata księcia d'Alencon, u którego, jak już wiadomo, jeden z nich mieszkał od niejakiego czasu. Nadto królowa oświadczyła, że panowie ci podczas przechadzki spadli z koni. Lecz kapitan, będący świadkiem pojedynku, rozgłosił prawdę.

Pare miał równą pieczę nad obydwoma rannymi, którzy stopniowo, acz w różny sposób, przychodzili do zdrowia. La Mole, lżej ranny, wprzód odzyskał zmysły. Coonnas zaś przetrwał straszną gorączkę, a jego powrót do życia objawił się okropnymi symptomami maligny.

Chociaż La Mole leżał w tym samym pokoju co i Coonnas, ocknąwszy się jednak, nie spostrzegł swego towarzysza lub może udał, że go nie spostrzega. Przeciwnie, Coonnas jak tylko otworzył oczy, wlepił weń swój wzrok, wskazujący, że utrata krwi wcale nie ostudziła jego ognistego temperamentu. Coonnas myślał, że marzy i że we śnie widzi swego przeciwnika, którego zabił już dwa razy, lecz sen ów trwał zbyt długo. Coonnas widział, że La Mole leży tak jak i on, że lekarz i jemu także przewiązuje rany; następnie spostrzegł, że La Mole podnosi się na łóżku, gdy tymczasem on, wyniszczony słabością, leży nieporuszenie, jakby przykuty do łoża; na koniec zobaczył, że La Mole wstał z łóżka, zaczął chodzić wspierając się na ramieniu lekarza, potem o kiju, a wreszcie i sam.

Coonnas, ciągle dręczony maligną, patrzył na to ciągle polepszanie się zdrowia swego nieprzyjaciela już to zamglonym, już to strasznym, a zawsze pełnym grózb wzrokiem. W ognistym umyśle Piemontczyka rzeczywistość mieszała się z fantazją, dając przerażające koszmary.

La Mole był dla niego umarły, dwakroć umarły; mimo to widział, że cień La Mole'a leży na łożu; potem widział, jak ów cień wstał, jak chodzi i — o zgrozo!... zbliża się do jego łoża.

Cień, przed którym Coonnas gotów był zagrzebać się w otchłaniach piekielnych, przystąpił do niego, zatrzymał się przy wezglowiu i wlepił weń wzrok.

Wzrok ten wyrażał nawet współczucie, lecz Coonnas wziął go za naigrawanie się szatana. Wtedy w duszy Piemontczyka, cierpiącej katusze większe bez wątpienia niż ciało, powstała myśl zemsty. Zaczął przemyśliwać, jakim by sposobem dostać broń, którą mógłby przebić cień czy też ciało nieustannie go dręczącego nieprzyjaciela.

Jego ubranie leżało na krześle, lecz ponieważ całe było zbluzgane krwią, uznano za właściwe usunąć widok krwi sprzed oczu rannego. Na krześle pozostawiono tylko sztylet; nikomu bowiem nie przyszło na myśl, ażeby ranny w stanie, w jakim się znajdował, chciał go użyć. Coconnas spostrzegł ten sztylet; przez trzy noce, korzystając ze snu La Mole'a, po trzykroć starał się wyciągnąć rękę, ażeby go dostać, i po trzykroć zabrakło mu sił. Na koniec czwartej nocy dosięgnął sztyletu, chwycił go końcami drżących palców, jęknął z bólu i schował pod poduszkę.

Na drugi dzień Coconnas ujrzał widok, dotąd mu nie znany. Oto cień Mole'a, z każdym dniem wyraźnie nabierający sił — gdy tymczasem on, ciągle dręczony strasznym widziadłem, coraz bardziej słabł, natężając umysł, jakim by sposobem pozbyć się swego koszmaru — cień ów, zatopiony w myślach, dwa lub trzy razy przeszedł się po pokoju; potem, zarzuciwszy na siebie płaszcz, przypasawszy szpadę i włożywszy na głowę kapelusz, otworzył drzwi i wyszedł.

Coconnas odetchnął swobodniej, sądził bowiem, że się już uwolnił od tego widziadła. Dwie czy trzy godziny krew równiej krążyła w jego żyłach. Uczuł ponadto rzeźwość, jakiej nie doznawał od czasu pojedynku. Nieobecność pana de La Mole'a przez dobę bez wątpienia przywróciłaby zmysły Piemontczykowi; przez osiem dni jego nieobecności może by zupełnie wyzdrowiał. Na nieszczęście La Mole za dwie godziny powrócił. Powrót ten był dla Piemontczyka pchnięciem sztyletu i chociaż La Mole powrócił nie sam, Coconnas jednak ani razu nie rzucił okiem na jego towarzysza.

Towarzysz zaś ów zasługiwał, ażeby na niego spojrzeć. Był to człowiek lat czterdziestu, średniego wzrostu, silnej budowy; jego czarne włosy spadały mu aż do brwi; broda, zupełnie wbrew ówczesnej modzie, pokrywała mu całą dolną część twarzy. Zresztą człowiek ten zdawał się mało zważać na modę. Miał na sobie rodzaj nakrapianego skórzanego kaftana, czerwone spodnie, wielkie skórzane trzewiki, zawiązane powyżej kostek, czapkę tegoż koloru co i spodnie i pas z wiszącym na nim nożem. Dziwna ta osoba, której obecność w Luwrze wydawała się pomyłką, rzuciła brunatny płaszcz na krzesło i niezbyt grzecznie przystąpiła do łóżka hrabiego de Coconnas. Lecz oczy rannego, jakby przyciągane czarodziejską siłą, były utkwione w La Mole'a, stojącego opodal.

Nieznamy spojrział na chorego, pokręcił głową i rzekł:

— Dość późno mnie wezwałeś, hrabio.

— Nie mogłem wyjść wcześniej — odpowiedział La Mole.

— Trzeba było przysłać po mnie.

— A kogo?

— A! prawda! zapomniałem, gdzie jesteście. Wszak mówiłem to damom, lecz one nie chciały mnie wcale słuchać. Gdyby były mnie usłuchały, a nie tego osła zwanego Ambrożym Pare, panowie już dawno bylibyście w stanie się zabawić lub powtórnie skrzyżować swe szpady. Zresztą zobaczymy. Czy pański przyjaciel rozumie, co się do niego mówi?

— Niezupełnie.

— Pokaż język, mój hrabio.

Coconnas pokazał język La Mole'owi, wykrzywiając się tak straszliwie, że nieznamy znowu pokręcił głową.

— Oho — mruknął — kontrakcja mięśni. Nie ma ani chwili czasu do stracenia. Dziś wieczorem przyślę lekarstwo, które chory wypije w trzech dozach. Pierwszą o północy, drugą w godzinę później, a trzecią we dwie godziny.

— Dobrze!

— Lecz któż będzie mu podawał to lekarstwo?

— Ja to biorę na siebie.

— Jak to, pan hrabia sam?

— Tak.

— Dajesz mi pan słowo honoru?

— Daję słowo honoru!

— A gdyby jaki lekarz zechciał wziąć choćby kropelkę, ażeby je zbadać i dociec części składowych dekoktu?

— W takim razie wyleję go do ostatniej kropli.

— Ręczysz mi, hrabio, słowem honoru?

— Przysięgam.

— Lecz przez kogo mam przysłać lekarstwo?

— Przez kogo chcesz.

— Ale mój posłaniec...

— Cóż twój posłaniec?

— Jakim sposobem dostanie się do pana hrabiego?

— Już o tym pomyślałem. Niech powie, że przychodzi od perfumiarza René.

— Od florentczyka, który mieszka na moście Saint-Michel?

— Tak jest. René dniem i nocą, o każdej porze, ma wolny wstęp do Luwru.

Nieznajomy uśmiechnął się.

— W rzeczy samej — odpowiedział — królowa-matka winna mu wiele. A więc przyślę lekarstwo w imieniu perfumiarza René. Przecież choć raz mogę przyjąć jego nazwisko; on bardzo często wypełniał za mnie obowiązki, nie mając do tego żadnego prawa.

— A zatem — powiedział La Mole — mogę się zdać na pana?

— Możesz pan być pewny.

— A co do zapłaty...

— O! o tym pogadamy z hrabią de Coconnasem, skoro wyzdrowieje.

— Bądź pan spokojny; sądzę, że jest w stanie szczerze pana wynagrodzić.

— I ja tak sądzę. Lecz — dodał z jakimś dziwnym uśmiechem — zwykle ludzie mający ze mną do czynienia nie bardzo mi są wdzięczni; wcale bym się więc nie dziwił, gdyby hrabia Coconnas, wyzdrowiawszy, ani pomyślał o mnie.

— Dobrze, dobrze! — powiedział La Mole uśmiechając się z kolei — w takim razie ja pomogę jego pamięci.

— Niech i tak będzie. We dwie godziny przyślę lekarstwo.

— Do widzenia.

— Co pan mówisz?

— Do widzenia. Nieznajomy uśmiechnął się.

— Ja — rzekł — mam zwyczaj mówić: „żegnaj”. Żegnaj więc, panie de La Mole, za dwie godziny będzie lekarstwo. Pamiętaj pan, niech ranny zażyje lekarstwo w trzech dozach: o północy, a następnie dwie co godzinę.

Powiedziawszy to wyszedł.

La Mole znowu został sam na sam z hrabią de Coconnasem. Coconnas słyszał całą rozmowę, lecz nic z niej nie rozumiał; do jego uszu dolatywały jedynie słowa bez związku. Utkwił mu tylko w pamięci jeden wyraz: „północ”. Coconnas nie przestawał uważnie spoglądać na La Mole’a, który to chodził po pokoju, to nagle stawał.

Nieznajomy doktor dotrzymał słowa i na umówioną godzinę przysłał lekarstwo. La Mole postawił je na srebrnej fajercie i położył się spać. To cokolwiek uspokoiło Piemontczyka; spróbował więc także zamknąć oczy, lecz po malignie na jawie nastąpiło gorączkowe majaczenie we śnie. Widziadło i teraz nie przestawało dręczyć chorego; przez rozpalone powieki widział La

Mole'a urągającego i grożącego. A ponadto jakiś głos ustawicznie powtarzał: „północ! północ! północ!”

Nagle wśród ciszy nocnej dał się słyszeć ponury dźwięk wieżowego zegara: północ wybiła.

Coconnas otworzył rozpalone oczy, gorący oddech wysuszał mu usta; pragnienie nie do zaspokojenia paliło mu piersi. Małeńka nocna lampka zaledwie oświecała pokój i tysiąc widziadeł zaczęło napastować wyobraźnię Piemontczyka. Wtedy spostrzegł, że La Mole wstaje z łóżka i przeszedłszy się dwa razy po pokoju, zbliża się do niego z podniesioną pięścią. Coconnas sięgnął po sztylet. Uchwycił go za rękę i gotował się zamordować swego nieprzyjaciela.

La Mole ciągle się zbliżał.

Coconnas szeptał:

— A! to ty, zawsze ty, wiecznie ty! Zbliżasz się. A! grozisz mi, pokazujesz mi pięść, śmiejesz się! Zbliź się, zbliź się więc! A! tak, krok za krokiem. Zbliź się tutaj... przybądź... niech cię zamorduję.

I w rzeczy samej Coconnas, popierając groźbę gestem, w chwili kiedy La Mole nachylił się nad jego łóżkiem, spod poduszki dobył sztyletu. Lecz wysilek, z jakim się podniósł, wyczerpał go. Ręka, wyciągnięta, aby pchnąć nieprzyjaciela, opadła, wypuściła sztylet, a umierający osunął się na poduszki.

— Dalej, dalej! — mówił La Mole, z lekka podnosząc mu głowę i zbliżając czarkę do jego ust. — Wypij to, biedny mój towarzyszu, inaczej wszystko się w tobie spali.

Tę właśnie czarkę, którą La Mole podawał Piemontczykowi, Coconnas w malignie wziął za zaciśniętą, grożącą pięść.

Lecz dotknąwszy wargami skutecznego lekarstwa, które ochłodziło mu spieczone usta i gardło, Coconnas cokolwiek przyszedł do siebie; poczuł, że jego ciało ogarnia jakieś przyjemne uczucie, spojrzął na swego nieprzyjaciela La Mole'a podtrzymującego go na swym ręku, i z oczu jego, dotychczas rzucających błyskawice gniewu, potoczyła się łza.

— Do kroćset! — powiedział Coconnas, opuszczając głowę na poduszki. — Panie de La Mole, jeżeli wyzdrowieję, będziesz moim przyjacielem.

— Wyzdrowiejesz, mój towarzyszu — odrzekł La Mole.

W godzinę później La Mole, dokładnie się stosując do przepisu nieznanego lekarza, wstał, znowu nalał w kieliszek lekarstwo i podał je Piemontczykowi. Tym razem Coconnas nie oczekiwał go ze wzniesionym sztyletem, lecz z otwartymi ramionami. Z chciwością połknął lekarstwo; po drugiej dozie Coconnas pierwszy raz zasnął dosyć spokojnie. Trzecia doza również dobrze skutkowała. Piersi chorego zaczęły się regularnie wznosić; jego skostniałe członki stały, się gibkie i pot wystąpił mu na rozpaloną skórę.

Kiedy Pare nazajutrz przyszedł go odwiedzić, uśmiechnął się z zadowoleniem, mówiąc:

— Od tej chwili ręczę za pana de Coconnasa; jest to jeden z najpomyślniejszych wypadków mojej kuracji.

Skutkiem tej na pół dramatycznej, na pół komicznej sceny było to że przyjaźń pomiędzy hrabią de Coconnasem i hrabią de La Mole, zawarta w obergerzy „Pod Piękną Gwiazdą” i zerwana przez wypadki strasznej nocy świętego Bartłomieja, odrodziła się teraz z jeszcze większą siłą.

Jakkolwiek bądź, na koniec rany zaczęły się zamykać.

La Mole, który wprzód wyzdrowiał, nie przestawał podejmować starań około przyjaciela i postanowił wyjść z pokoju nie pierwiej, aż Coconnas zupełnie wydobrzeje. Pomagał mu podnieść się na łóżku, dopóki był jeszcze tak słaby, że tego o własnych siłach uczynić nie był w stanie. Potem pomagał mu chodzić, słowem, pomagał w tym wszystkim, co mu kazało wykonywać jego szlachetne serce. Te starania i silna budowa Piemontczyka sprowadziły wyzdrowienie tak szybkie, jakiego się nikt nie spodziewał.

Pewna myśl jednak dręczyła umysły młodych ludzi.

W gorączce każdemu z nich zdawało się, że do łóża zbliża się kobieta, przedmiot jego namiętności. Lecz od czasu, w którym przyszli do zmysłów, ani Małgorzata, ani księżna de Nevers nie zaglądały do ich pokoju. Można to było sobie bardzo łatwo wytłumaczyć: jedna — żona króla Nawarry, druga — siostra, księcia Gwizjusza, czyż mogły publicznie okazywać, że się zajmują prostą szlachtą? Nie!... Tak powinni byli sobie odpowiedzieć La Mole i Coconnas. Lecz nieobecność dam była zawsze dla nich bolesna; a może też o nich i zapomniano...

Prawda, że kapitan, będący świadkiem pojedynku, nieraz przychodził dowiadywać się o zdrowie rannych, lecz przychodził nie przysyłany przez nikogo. I Gillonna przychodziła, ale także tylko z własnej woli. La Mole nie śmiał jej zapytać o Małgorzatę, podobnie jak Coconnas nie śmiał zapytać kapitana o księżnę de Nevers.

ROZDZIAŁ XVIII

POWRACAJĄCY Z TAMTEGO ŚWIATA

Przez pewien czas obaj młodzi ludzie zachowywali tajemnicę gnieźdzącą się w sercu każdego z nich. Na koniec, w chwili wzajemnego wynurzenia uczuć, myśl wyłącznie zajmująca ich serca została odkryta. Wyznanie to jeszcze bardziej wzmocniło ich przyjaźń; przyjaźń bowiem może istnieć tylko tam, gdzie panuje zupełna szczerłość.

Obydwaj byli zakochani do szaleństwa: jeden w księżnej, a drugi w królowej. Dla nieszczęśliwych kochanków było coś strasznego w bezwzględnym prawie przestrzeni dzielącej ich od przedmiotu miłości. Lecz nadzieja tak głęboko jest zakorzeniona w sercach ludzkich, że nie zważając na niedorzeczność podobnych myśli, Coconnas i La Mole nie przestawali mieć nadziei.

Nareszcie obydwaj, w miarę polepszania się zdrowia, zaczęli więcej dbać o swą powierzchowność. Nawet człowiek najbardziej obojętny dla swoich fizycznych przymiotów w niektórych okolicznościach zwraca nieme pytanie do zwierciadła i zamieniwszy z nim tysiące znaków, odchodzi nareszcie od tego dziwnego powiernika bardzo zadowolony ze swej rozmowy. Nasi zaś bohaterowie nie byli wcale z rzędu tych, którym by zwierciadło czyniło gorzkie wyrzuty. La Mole, chudy, blady, wiele miał szlachetności w postawie i obliczu. Coconnas, wysoki, dobrze zbudowany, ciemnej cery, był uosobieniem siły. Nawet choroba nie przeszła dla niego bez korzyści. Cokolwiek schudł i pobladł, ale zniknęła na koniec wielka blizna, który go dręczyła niejakim podobieństwem do tęczy. Bez wątplenia zniknięcie jej stanowiło przepowiednię długiego szeregu spokojnych dni i nocy.

Czułe starania nie przestawały otaczać rannych. Każdy z nich, skoro tylko mógł wstać z łóżka, zastawał na krześle, w pobliżu stojącym, ranne ubranie; następnie, kiedy mógł zupełnie się ubrać, znajdował całkowity strój.

To jeszcze nie wszystko. W kieszeni każdego z nich brzęczał porządnie nabity worek. Rozumie się, że Coconnas i La Mole zatrzymali worki przy sobie tylko dlatego, ażeby przy pierwszej sposobności zwrócić je nieznanemu opiekunowi. Lecz tym hieznanym opiekunem nie mógł być książę d'Alencon, u którego mieszkali, on bowiem ani razu nie raczył ich odwiedzić, a nawet nie kazał dowiadywać się o zdrowie. Każdemu z nich nadzieja szeptała, że opiekunem tym była ubóstwiana kobieta.

Ranni z wielką niecierpliwością oczekiwali chwili, w której będą mogli wyjść z domu. La Mole, zdrowy zupełnie, dawno już mógłby wyjść, lecz rodzaj niemej umowy zatrzymywał go przy łożu przyjaciela. Zgodzili się, ażeby przy pierwszym wyjściu odwiedzić trzy osoby:

Najprzód nieznanego doktora, którego lekarstwo tak skuteczny wpływ wywarło na płonące gorączką płuca hrabiego de Coconnasem.

Następnie zamierzali udać się do oberży nieboszczyka La Hurière'a, gdzie pozostały ich zawiniątka i konie.

Na koniec mieli pójść do florentczyka René, który nie tylko był perfumiarzem i czarnoksiężnikiem, sprzedawał nie tylko kosmetyki i trucizny, ale nadto robił miłosne napoje i przepowiadał przyszłość.

Nareszcie po dwóch miesiącach cierpień, nadszedł dawno oczekiwany dzień. Kilka razy, w chwilach niecierpliwości, chcieli przyspieszyć ów dzień, lecz warta stojąca przy drzwiach nie chciała ich wypuścić bez wyraźnego pozwolenia Ambrożego Pare.

Pewnego dnia doskonały ten lekarz, przekonawszy się, że ranni, jeżeli jeszcze niezupełnie zdrowi, znajdują się przynajmniej na drodze do wyzdrowienia, pozwolił im wyjść. O drugiej po południu, jednego z tych pięknych dni jesiennych, które zadziwiają czasami mieszkańców Paryża, dwaj przyjaciele, wspierając się wzajemnie, wyszli z Luwru.

La Mole zobowiązał się być przewodnikiem; Coconnas zgadzał się na wszystko bez najmniejszego oporu. Wiedział, że przyjaciel zaprowadzi go do nieznanego doktora, którego nie opatentowany lek wyleczył go przez jedną noc, podczas gdy lekarstwa Ambrozego Pare powoli go zabijały. Coconnas podzielił swoje pieniądze na dwie równe części: z dwustu dukatów sto przeznaczył na honorarium dla swego eskulapa. Coconnas nie obawiał się śmierci, lecz również wcale nie był od tego, żeby jeszcze pożyć. Dlatego postanowił szczerze wynagrodzić swego zbawcę.

La Mole udał się na ulicę l'Astruce, następnie przeszedł wielką ulicą Saint-Honore, Trouvelles i wkrótce znalazł się na placu des Hailes. W pobliżu starożytnej fontanny, na miejscu, które dzisiaj jest znane pod nazwą, Carreau des Hailes, wznosił się kamienny ośmiokątny budynek. Na nim sterczała drewniana wieżyca z ostrokończastym dachem, a na jej wierzchołku niemiłosiernie skrzypiała blaszana chorągiewka. Wieża ta miała osiem otworów, które przecinał rodzaj koła z drzewa, na kształt części heraldycznej nazwanej „pasem poprzecznym” pola herbowego; koło to miało na obwodzie wycięcie, urządzone umyślnie w ten sposób, ażeby można tam wkładać głowę i ręce skazanego lub skazanych, których wystawiano na widok publiczny.

Spod stóp tej wieży wyłaził domek, niekształtny, pochylony, odrapany i ciemny, z dachem upstrzonym kępkami mchu, na podobieństwo skóry trędowatego, i podobny do grzyba.

Było to mieszkanie kata. W wieży wystawiony był jakiś złoczyńca, który wywieszał język na przechodzących: był to jeden ze złodziei grabiących pod szubienicą Montfaucon, który przypadkowo został schwytany na gorącym uczynku.

Coconnas sądził, że jego przyjaciel przyprowadził go tutaj dla obejrzenia tego dziwnego widowiska. Wmieszał się przeto w gromadę gapiów, odpowiadających na wykrzywania skazanego krzykiem i wyciem.

Coconnas z natury był srogi, bawił go więc ten widok. Wolałby tylko, ażeby zamiast miotać szyderstwa rzucano kamieniami na skazanego, który był na tyle zuchwały, iż na szlachetnych panów, przychodzących go odwiedzać, śmiał wywieszać język.

Dlatego skoro ruchoma wieża obróciła się na swej podstawie, aby dać przyjemność widoku cierpiącego i innej stronie placu, i skoro gromada posunęła się za ruchem wieży, Coconnas również chciał pójść za tłumem, lecz La Mole wstrzymał go, powiedziawszy z cicha:

— Nie po to tutaj przybyliśmy.

— Po cóż więc? — zapytał Coconnas.

— Dowiesz się wkrótce — odpowiedział La Mole.

Dwaj przyjaciele mówili sobie „ty” od owej sławnej nocy, w której Coconnas koniecznie usiłował zamordować La Mole'a.

Tedy La Mole poprowadził hrabiego de Coconnas prosto do okienka domu przylegającego do wieży, w którym stał oparty na łokciu jakiś człowiek.

— A! a! to panowie! — powiedział uchylając czapki koloru krwi, spod której dały się widzieć czarne i twarde, sięgające aż do brwi włosy. — Witajcie mi.

— Kto to jest? — zapytał Coconnas starając się go sobie przypomnieć, gdyż zdawało mu się, że widział tę głowę podczas gorączki.

— To twój zbawca, przyjacielu — powiedział La Mole — ten sam, który ci przyniósł do Luwru napój orzeźwiający; jego to lekarstwo zrobiło ci tyle dobrego.

— O! o! — zawołał Coconnas — w takim razie, mój przyjacielu... I wyciągnął ku niemu rękę.

Lecz człowiek, zamiast odpowiedzieć na ruch ten podobnym ruchem, wyprostował się, a wyprostowawszy oddalił się od przyjaciół na odległość, jaką zajmowała jego nachylona postać.

— Mój panie — rzekł do Coconnasa — dziękuję za honor, który mi chcesz wyświadczyć, lecz mniemam, że gdybyś mnie znał, nie czyniłbyś mi tego.

— Dalibóg, choćbyś był nawet diabłem, jestem ci obowiązany — odpowiedział Coconnas — gdyż gdyby nie ty, już by mnie nie było na tym świecie.

— Wprawdzie nie jestem diabłem — odparł człowiek w czerwonej czapce — lecz często wielu wołałoby raczej diabła widzieć aniżeli mnie.

— Któż więc jesteś? — zapytał Coconnas.

— Mój panie — odpowiedział nieznajomy — jestem mistrz Caboche, kat miejski Paryża...

— A!... — zawołał Coconnas cofając rękę.

— A widzisz pan! — rzekł mistrz Caboche.

— Nie! dotknę się twojej ręki albo niech mnie wszyscy diabli porwą! Podaj mi rękę...

— Czy naprawdę?

— No tak, całą rękę.

— Oto jest!

— Otwórz ją jeszcze bardziej... jeszcze... o tak... dobrze!

Coconnas sięgnął do kieszeni po garść złota przeznaczonego dla nieznajomego lekarza i wsywał mu je na dłoń.

— Ręka podana mi bez pieniędzy byłaby dla mnie przyjemniejszą — powiedział Caboche potrząsając głową. — Nie zbywa mi na złocie, lecz na dłoni, która by chciała moją uściskać. Ale niech i tak będzie! Oby ci, szanowny panie, Bóg pobłogosławił!

— A więc, mój przyjacielu — rzekł Coconnas, z ciekawością spoglądając na kata — to ty krzyżujesz, łamiesz kości, zdejmujesz głowy. A! bardzo jestem zadowolony, że z tobą zawarł znajomość.

— Mój panie — powiedział Caboche — ja sam nie robię tego wszystkiego. Jak panowie macie lokai po to, ażeby zrobili za was to, czego robić nie chcecie, tak również i ja mam pomocników, którzy wykonują wyroki na pospółstwie. Lecz jeżeli zdarzy się mieć do czynienia ze szlachtą, jak na przykład z panem lub jego towarzyszem, o! w takim razie to zupełnie co innego. Wtedy rozumie się, że ja poczytuję sobie za zaszczyt osobiście wykonywać wyrok ze wszelkimi szczegółami, od początku aż do końca.

Coconnas poczuł, że przeszedł go mimo woli dreszcz po wszystkich członkach, jak gdyby zabijano mu straszny klin pomiędzy nogi i jak gdyby ostrze stali dotknęło jego szyi. La Mole doznał podobnego wrażenia i również nie mógł sobie zdać z niego sprawy. Lecz Coconnas stłumił swe wzruszenie i chcąc żartami zakończyć rozmowę z katem, rzekł:

— Dobrze więc! Pamiętaj, że mam twoje słowo, i kiedy na mnie przyjdzie kolej wleźć na szubienicę Enguerranda de Marigny lub na rusztowanie pana de Nemours, nikt mnie nie dotknie oprócz ciebie.

— Obiecuję to.

— Przyjmuję obietnicę — powiedział Coconnas. — A oto moja ręka. I Coconnas przy tych słowach wyciągnął do kata rękę. Kat bojaźliwie się jej dotknął, chociaż widoczne było, że ma wielką chęć serdecznie ją uściskać. Coconnas wskutek tego dotknięcia pobladł nieco, lecz uśmiech nie przestawał igrać na jego ustach.

Tymczasem La Mole, będący nie w humorze, widząc, że wieża obraca się na powrót, a za jej ruchem zbliża się ku nim gromada ciekawych — szarpnął go za płaszcz.

Coconnas, również sobie życząc zakończenia tej sceny, w której powodując się swym otwartym charakterem, zaszedł dalej, aniżeli sam tego chciał — skinął głową i oddalił się.

— Na honor! — odezwał się La Mole, skoro już znaleźli się obaj pod krzyżem Trahoir. — Przyznaj, że tu można swobodniej odetchnąć aniżeli na placu des Hailes.

— Przyznaję — odpowiedział Coconnas — lecz nie żałuję, że zawarł znajomość z mistrzem Caboche. Nie zawadzi mieć wszędzie przyjaciół.

— Nawet i w oberży „Pod Piękną Gwiazdą” — śmiejąc się zauważył La Mole.

— O! co do tego biednego La Hurière’a — rzekł Coconnas — ten już zginął; szlachetnie umarł. Widziałem płomień, który błysnął u zamku muszkietu. Słyszałem, jak kula uderzyła weń z siłą, z jaką serce uderza w dzwon Notre-Dame. Kiedy odchodziłem, leżał w kałuży krwi płynącej mu z nosa i ust. Jeżeli jest naszym przyjacielem, to chyba przyjacielem na tamtym świecie.

Tak rozmawiając weszli na ulicę de l’Arbre-Sec i zbliżyli się do oberży „Pod Piękną Gwiazdą”, przed którą jak dawniej skrzypiał szyld przyciągający do siebie podróżnika gastronomicznym i wzbudzającym apetyt malunkiem.

Coconnas i La Mole spodziewali się zastać dom w smutku i rozpacz, wdowę i dzieci w żałobie, lecz z wielkim zdziwieniem znaleźli oberżę pełną wrzawy i ruchu. Pani La Hurière była bardzo uradowana, a dzieci bawiły się wesołej aniżeli kiedykolwiek.

— O niewierna! — zawołał La Mole — wyszła za mąż niezawodnie.

Następnie, zwróciwszy się do niej, powiedział:

— Pani, jesteśmy znani biednemu panu La Hurière. Zostawiliśmy tutaj dwa konie i dwa zawiniątka. Prosimy o ich zwrot.

— Panowie! — odpowiedziała gospodyni po krótkiej chwili, w czasie której chciała sobie przypomnieć ich twarze — nie mam honoru was znać, lecz jeżeli chcecie, rozkażę zawołać męża. Grzegorz, zawołaj tu pana.

Grzegorz wyszedł z pierwszej kuchni, ogólnego pandemonium, do drugiej, która służyła za laboratorium i gdzie La Hurière za życia przyrządzał potrawy, uważane przez niego za godne jego osobistego trudu.

— Niech to diabli! — powiedział z cicha Coconnas — bardzo mnie dziwi, że wszyscy się tu weselą zamiast płakać. Biedny La Hurière!

— Chciał mnie zamordować — rzekł La Mole — lecz odpuszczam mu to z całego serca.

Zaledwie wymówił te słowa, kiedy nagle naprzeciwko nich zjawił się człowiek z rondelkiem w ręku, mieszając w nim drewnianą łyżką przyrumioną cebulkę. La Mole i Coconnas krzyknęli z zadziwienia. Człowiek, który na to podniósł głowę, odpowiedział podobnym okrzykiem i wypuścił z rąk rondelki.

— *In nomine Patris* — zawołał machając łyżką — *et Filii, et Spiritus Sancti!*

— La Hurière! — jednogłośnie zawołał obaj przyjaciele.

— Pan de Coconnas i pan de La Mole! — zawołał La Hurière.

— Więc nie zginąłeś? — zapytał Coconnas.

— I pan jeszcze żyjesz? — zapytał oberżysta.

— Wszak widziałem, jak upadłeś — odpowiedział Coconnas — słyszałem, jak kula zgruchotała ci coś, nie wiem z pewnością co. Pozostawiłem ci nurzającego się we krwi, a krew płynęła ci z nosa, ust, nawet z oczu.

— Jest to święta prawda, panie de Coconnas, lecz uderzenie, które pan słyszałeś, było uderzeniem kuli o szyszak, o który na szczęście się splaszczyla. Lecz z tym wszystkim cios był silny, a na dowód tego — dodał La Hurière zdejmując czapkę i pokazując głowę łysą jak kolano — widzicie, panowie, nie pozostał mi ani jeden włos.

Dwaj młodzi ludzie zaczęli się śmiać do rozpuku, zobaczywszy tę śmieszna figurę.

— Ach! ach! panowie się śmiejecie — powiedział La Hurière nabierając otuchy. — Więc nie macie żadnych złych zamiarów?

— No a ty, La Hurière, czyś się już wyleczył z chętki do wojowania?

— Tak, panowie, już, i teraz...

— Cóż teraz?

— Teraz postanowiłem sobie nie widzieć innego ognia prócz ognia mojej kuchni.

— Doskonale! — zawołał Coconnas. — To się nazywa być roztropnym.

Lecz — dodał — zostawiliśmy tutaj w stajni dwa konie, a w pokoju dwa zawiniątka.

— A, do diabła! — mruknął oberżysta drapiąc się za uchem.

— No i cóż?

— Dwa konie, pan mówisz?

— Tak, w stajni.

— I dwa zawiniątka?

— Tak, w stancji.

— Otóż, widzisz pan... wszak pan sądziłeś, że umarł; nieprawdaż?

— Bez wątpienia.

— Przyznaj więc pan, że skoro sam mogłeś się omylić, i ja również mogłem się omylić.

— Myśląc, że umarliśmy. Jesteś bardzo szczery.

— To, to właśnie! Widzisz pan, otóż ponieważ pan umarłeś bez testamentu... — mówi dalej

La Hurière.

— No więc cóż?

— Myślałem, lecz byłem w błędzie, jak się teraz o tym przekonuję...

— Cóż myślałeś, bardzo jestem ciekaw?

— Oto myślałem, że po panu mogę odziedziczyć.

— A! a! — zawołał jednogłośnie dwaj młodzi ludzie.

— Pomimo to wszystko bardzo jestem zadowolony, że widzę panów żywych.

— Słowem, sprzedałeś nasze konie? — powiedział Coconnas!

— Tak, niestety! — rzekł La Hurière.

— A nasze tłumoczki? — dodał La Mole.

— O nie! Tłumoczków nie sprzedałem — zawołał La Hurière — lecz tylko to, co się w nich znajdowało.

— Słuchaj no, La Mole — powiedział Coconnas — zdaje mi się, że to zuchwały łotr... Czy czasem nie wypadałoby go wypatroszyć?

Pogróżka ta, zdawało się, silnie podziałała na oberżystę, który odważył się powiedzieć:

— Lecz zdaje mi się, panowie, że moglibyśmy się ułożyć.

— Słuchaj! — rzekł La Mole — wiesz, że ja mam największe prawo uzalać się na ciebie.

— W istocie, panie hrabio, pamiętam, że w chwili szaleństwa śmiałem ci grozić.

— Tak jest, kulą, która świsnęła o kilka cali nad moją głową,

— Tak pan sądzisz?

— Jestem o tym przekonany.

— Jeżeli pan hrabia jesteś o tym przekonany — odpowiedział La Hurière przybierając skromną minę i podnosząc ronderek — nie śmiem mu przeczyć.

— Co się tyczy mnie — odparł La Mole — ja z mej strony niczego od ciebie nie wymagam.

— Jak to, panie hrabio.

— Tylko...

— Tylko co? — podchwycił La Hurière.

— Tylko będziesz mnie i moim przyjaciołom dawał obiady za każdym razem, gdy znajdę się w tych stronach.

— Bardzo dobrze! — uradowany zawołał La Hurière — zawsze będę na pańskie rozkazy.

— A więc pomiędzy nami już zgoda?

— I owszem ... A pan, panie de Coconnas — mówił dalej oberżysta — czy i pan się na to zgadzasz?

— Zgadzam, lecz równie jak i mój przyjaciel stawiam jeden mały warunek.

— Jakież?

— Że, oddasz panu de La Mole pięćdziesiąt talarów, które do niego przegrałem i które dałem ci do schowania.

— Mnie, panie, kiedy?

— W kwadrans przedtem, zanim sprzedałeś mego konia i tłumoczek. La Hurière kiwnął głową.

— A, rozumiem — powiedział.

I poszedł do kufra, wyjął pięćdziesiąt talarów, które przyniósł panu de La Mole.

— Dobrze, dobrze — rzekł La Mole — przyrządź nam teraz śniadanie. Te pięćdziesiąt talarów daj Grzegorzowi.

— O! — zawołał La Hurière — w samej rzeczy, jesteś, hrabio, hojny jak król, gotów jestem służyć ci do śmierci.

— No, na dzisiaj — rzekł Coconnas — zrób nam jajecznicy, a nie żałuj masła ani słoniny.

Następnie, spojrzawszy na zegar, dodał:

— Na honor! Masz słusność, La Mole. Mamy jeszcze czekać trzy godziny, które tutaj możemy przepędzić tak dobrze jak i gdzie indziej. A jeżeli się nie mylę, jesteśmy na pół drogi do mostu Saint-Michel.

I obydwaj przyjaciele usiedli przy tym samym stole i w tym samym pokoju, który zajmowali pamiętnego wieczoru 24 sierpnia 1572 roku i w którym Coconnas zaproponował hrabiemu de La Mole grę w karty o pierwszą kochankę.

Musimy dodać, oddając należną cześć moralności naszych młodych przyjaciół, że już żaden z nich nie śmiał zrobić drugiemu podobnej propozycji.

ROZDZIAŁ XIX

MIESZKANIE PANA RENÉ, PERFUMIARZA KRÓLOWEJ—MATKI

W owym czasie, gdy rozgrywały się opowiadane przez nas wypadki, tylko pięć mostów łączyło obie części miasta. Mosty te były już to kamienne, już to drewniane; wszystkie pięć wiodły do Cite.

W innych miejscach, gdzie komunikacja była konieczna, promy jako tako zastępowały mosty. Mosty owe po obu stronach obsiadły rozmaite domy, jak to jeszcze dzisiaj można widzieć na Ponte Vecchio we Florencji.

Spośród tych pięciu mostów, z których każdy ma swoją historię, zajmiemy się szczególnie opowiedzeniem przemian, jakim uległ most Saint—Michel.

Most Saint—Michel był wybudowany z kamienia w 1373 roku. Pomimo jego pozornej mocy wylew Sekwany zniszczył go po części 31 stycznia 1408 roku. W 1418 roku odbudowano go z drzewa, lecz znowu w nocy z 16 na 17 grudnia 1547 roku woda uniosła go ze sobą. Około 1550 roku, a zatem na dwadzieścia dwa lata przed wypadkami przez nas opisanymi, most został powtórnie odbudowany z drzewa i chociaż wymagał gruntownej naprawy, trzymał się jeszcze dosyć dobrze.

Spośród domów, które go otaczały frontem i równolegle do wysepki, na której żywcem spalono templariuszów, a na której dzisiaj założono główny fundament mostu Nowego, wyróżniał się drewniany dom, nad którym zawisł wysoki dach, jakby powieka nad ogromnym oknem.

W otwartym oknie na pierwszym piętrze, znajdującym się nad drzwiami i oknem parteru, zawsze szczelnie zamkniętym, dawało się widzieć różowawe światło, ściągające uwagę przechodniów na elewację niską, długą, pomalowaną na niebiesko i przybraną mnóstwem bogato złożonych listewek. Rodzaj fryzu, oddzielającego parter od pierwszego piętra, przedstawiał tłumy diabełków w najdziwniejszych pozach. Pomiędzy tym fryzem a oknami pierwszego piętra znajdowała się wielka tablica, pomalowana również jak i cały dom kolorem niebieskim; na tablicy widniał napis:

RENÉ, FLORENTCZYK, PERFUMIARZ JEJ WYSOKOŚCI KRÓLOWEJ—MATKI

Drzwi tego sklepu, jak to już wyżej powiedzieliśmy, zawsze były szczelnie zamknięte, lecz daleko korzystniej aniżeli zasuwę broniła je od napadów nocnych straszna sława, jaką posiadał właściciel domu.

Przechodzący przez most Saint—Michel omijali ten dom, obchodząc go z daleka, jak gdyby się obawiali, ażeby zapach perfum nie dostał się do nich przez grube ściany. I nie dosyć na tym: sąsiedzi z obydwóch stron, sądząc zapewne, że i na nich przeniesie się zła sława, po wprowadzeniu się na most pana René wynieśli się z domów wzięwszy swe manatki i tym sposobem budynki przylegające do domu pana René zostały opuszczone i zamknięte. Jednakże pomimo iż domy te były opuszczone, przechodzący przez most późno w nocy widzieli przez szpary zamkniętych okiennic jakieś światła i słyszeli głosy podobne do jęków. Wszystko to dowodziło, że domostwa owe były uczęszczane; nie wiadomo tylko, czy goście należeli do tego czy do tamtego świata.

To było przyczyną, że sąsiedzi dwóch opuszczonych domów nieraz zastanawiali się, czyby nie było roztropniej wynieść się cokolwiek dalej.

Zapewne też wskutek strasznej opinii, jaką posiadał René, jemu tylko wolno było utrzymywać ogień po godzinie zakazanej.

Ani patrol, ani warta nie śmiały nigdy zakłócać spokoju człowieka, który jako ziomek i jako perfumiarz podwójnie był miły Jej Królewskiej Mości.

Ponieważ nie wątpimy, że filozofia XVIII wieku wyniszczyła w naszym czytelniku wiarę w magię i magów, prosimy go więc, ażeby raczył z nami wejść do tego mieszkania, szerzącego tak wielki postrach w epoce przesądów.

W sklepie, ciemnym i pustym od godziny ósmej wieczór (o tej bowiem godzinie był zamykany, ażeby nazajutrz rano znowu się otworzyć), sprzedawano pachnidła, maści i kosmetyki we wszystkich gatunkach, przygotowywane przez biegłego chemika.

Dwóch uczniów wyręcza go w tej drobnej sprzedaży, lecz nie mieszkają u niego w domu; nocują na ulicy de la Calandre. Wieczorem wychodzą na chwilę przed zamknięciem sklepu. Rano przechadzają się przed sklepem oczekując na jego otwarcie.

Sklep, jak to już wyżej powiedzieliśmy, jest w tej chwili ciemny i pusty.

W sklepie, dosyć dużym i obszernym, znajduje się dwoje drzwi, z których każde prowadzą na schody. Jedne z tych schodów wiją się w murze, są więc wewnętrzne; drugie zaś, zewnętrzne, widziane są z bulwaru, zwanego dziś des Augustins, i z nabrzeża, znanego dziś pod nazwą bulwaru des Orfevres.

Schody te prowadzą do pokoju, położonego na pierwszym piętrze.

Pokój, tej samej wielkości co sklep znajdujący się pod nim, przedzielony jest zasłoną na dwie części. W głębi pierwszej części widać drzwi prowadzące na schody zewnętrzne. W drugiej części prowadzą drzwi do schodów ukrytych, lecz drzwi także są niewidzialne, zakryte są bowiem wielką rzeźbioną szafą, obracającą się, jak gdyby na osi, na wielkich, żelaznych zawiasach. Tylko Katarzyna i René wiedzą o tych tajemniczych drzwiczkach. Tędy to królowa-matka przychodzi i schodzi. Tu, przyłożywszy oko lub ucho do szafy, może przez porobione w niej otwory widzieć i słyszeć wszystko, co się dzieje w pokoju.

Jeszcze dwoje drzwi, doskonale widocznych, znajduje się w tej części pokoju. Jedne prowadzą do pokoiku oświetlonego oknem znajdującym się w dachu. Pokoik ów posiada ogromny piec, tygle, retorty i tym podobne narzędzia: jest to laboratorium chemika.

Drugie drzwi prowadzą do celki jeszcze dziwniejszej; tutaj wcale nie ma światła, nie ma dywanów, nie ma mebli. Tylko na środku stoi rodzaj ołtarza z kamienia. Podłogę zastępuje płyta kamienna ze spadkami ku wszystkim ścianom. Obok ścian przechodzi rynienka, zakończona otworem, przez który widać mętne bałwany toczące się po Sekwanie. Na gwoździach wiszą rozmaite narzędzia dziwnych kształtów, wszystkie ostre jak igły lub brzytwy. Jedne z nich błyszczą jak zwierciadła, inne są bez połysku, szarego lub ciemnoniebieskiego koloru. Jest to przybytek wieszczby.

Powróćmy do pokoju środkowego, przedzielonego na dwie części.

Tutaj perfumiarz przyjmuje zazwyczaj gości. Tutaj egipski ibis, mumie przewiązane złotymi wstążkami, krokodyl z rozwartą paszczą, trupie główki bez oczu i z chwiejącymi zębami, nareszcie szpargały zakurzone i nadgryzione przez szczury biją w oczy przychodnia strasznym chaosem i nie pozwalają jego myślowi trzymać się prostej drogi. Za firanką są rozrzucone flaszeczki, szklanki, urny, czarki nieznanych kształtów; wszystko to oświetlają dwie srebrne lampki, bardzo podobne do siebie i jakby zabrane z kościoła Santa Maria Novella lub dei Servi we Florencji. Każda z tych lampek, zawieszona na trzech łańcuszkach, wydając z siebie zapach, obrzuca ponure sklepanie pokoju żółtawym światłem.

René, sam, założywszy ręce na krzyż i potrząsając głową, chodził po drugiej części środkowego pokoju wielkimi krokami. Po długim namyśle zatrzymał się przed klepsydrą.

— A, a! — powiedział — zapomniałem ją przewrócić, a może piasek już się dawno przesypał.

Potem spojrział na księżyc wychodzący spoza czarnej chmury, obok dzwonnicy katedry Notre-Dame, i dodał:

— Dziewiąta godzina. Gdyby miała przyjść, przyjdzie, jak zwykle, za godzinę lub półtorej; na wszystko wystarczy czasu.

W tej chwili dał się słyszeć na moście odgłos kroków. René przyłożył ucho do długiego lejka wychodzącego na ulicę i zakończonego miedzianym maszkaronem.

— Nie, to nie ona ani nie one. To kroki męskie. Zatrzymali się przed moimi drzwiami; przyszli więc do mnie.

W tej chwili rozległy się trzy silne uderzenia. René szybko zszedł na dół. Potem, nie otwierając jeszcze drzwi, zaczął nadśluchiwać.

Trzy uderzenia ponowiły się.

— Kto tam? — zapytał René.

— Czy koniecznie mamy wymienić swoje nazwiska? — zapytał jakiś głos.

— Tak, to konieczne — odpowiedział René.

— A więc jestem hrabia Annibal de Coconnas — powiedział tenże sam głos.

— Ja zaś jestem hrabia Lerac de La Mole — dodał głos drugi.

— Zaczekajcie, panowie, chwilkę, zaraz otworzę.

René odsunął rygle, spuścił zapory, otworzył dwóm młodym ludziom drzwi i zamknął je tylko na klucz. Następnie po schodach zewnętrznych wprowadził ich do drugiej części środkowego pokoju.

La Mole, wchodząc, nieznacznie przeżegnał się pod płaszczem; był blady, ręce mu drżały.

Coconnas obejrzał wszystko szczegółowo, a spostrzegłszy drzwiczki prowadzące do celki, chciał je otworzyć.

— Daruj, mój panie! — powiedział René głosem tajemniczym, zatrzymując hrabiego de Coconnas. — Ci, którzy mi czynią ten zaszczyt i odwiedzają mnie, pozostają w tym tylko pokoju.

— A! to co innego — odparł Coconnas — chciałbym jednak usiąść. Coconnas wziął krzesło i usiadł.

Nastąpiło głębokie milczenie. René czekał objaśnień ze strony młodych ludzi. Było tak cicho, że można było słyszeć gwizdzący oddech Piemontczyka, jeszcze niezupełnie wyleczonego.

— René... — zapytał na koniec Coconnas — jesteś człowiekiem uczonym, powiedz mi też z łaski swojej, czy pozostanę kaleką, to jest, czy mnie przestanie dręczyć ten krótki oddech, który mi nie pozwala dotrzeć konia, robić bronię i zajadać jajecznicę na słoninie.

René przyłożył ucho do piersi Piemontczyka i uważnie liczył uderzenia pulsu w płucach. — Panie hrabio, wyzdrowiejesz zupełnie.

— Czy niezawodnie?

— Ręczę ci.

— Bardzo mnie to cieszy. Znowu nastąpiło milczenie.

— Czy pan hrabia życzy sobie jeszcze dowiedzieć się czego?

— I owszem — odpowiedział Coconnas — chciałbym się dowiedzieć, czy jestem naprawdę zakochany.

— Jesteś pan zakochany — odrzekł René.

— Skąd pan wiesz o tym?

— Stąd, że się pan o to pytasz.

— Do kroćset! sędzę, że masz słuszność. Lecz w kim?

— W tej, która teraz może tak jak pan wykrzykuje „do kroćset”!

— W samej rzeczy — powiedział zdumiony Coconnas — jesteś bardzo zręczny. No, teraz na ciebie kolej, La Mole!

La Mole zarumienił się i zmieszał.

— No! do kroćset! — zawołał Coconnas — mówże!

— Mów pan — powiedział florentczyk.

— Ja, panie René — przemówił La Mole głosem drżącym — ja nie będę się pana pytał, czy jestem zakochany, ponieważ wiem o tym bardzo dobrze i nie mam potrzeby oszukiwać siebie, lecz powiedz mi, czy będę kochanym, gdyż wszystko, co mi dawało z początku jakąś nadzieję, przywodzi mnie teraz do rozpacz.

— Może pan nie przedsięwziął wszystkiego, jak należy.

— Cóż mam czynić, mój panie; myślę, że tylko uszanowaniem i poświęceniem wypada mi dowieść, iż ją kocham prawdziwie i szczerze.

— Pan wiesz — powiedział René — że te dowody czasem bardzo małą mają wagę.

— A więc pozostaje mi rozpaczać?

— Nie, teraz trzeba uciec się do nauki. W ludzkiej naturze znajdują się antypatie, które trzeba przezwyciężyć, i sympatie, które należy obudzić. Żelazo nie jest magnezem, lecz namagnesowane przyciąga do siebie żelazo.

— Bez wątpienia, bez wątpienia — szepnął La Mole — lecz obawiam się tych wszystkich czarnoksiężskich zaklinań.

— A! kiedy się pan obawiasz, po cóżes pan do mnie przyszedł?

— Wstydź się, nie bądźże dzieckiem — powiedział Coconnas. — Panie René, czy możesz mi pokazać diabła?

— Nie, panie hrabio.

— Szkoda! miałem mu do powiedzenia kilka słów, to bez wątpienia obudziłoby odwagę w panu de La Mole.

— Niech i tak będzie! — zawołał La Mole. — Przystąpmy śmiało do rzeczy. Mówiono mi o figurach z wosku, modelowanych na podobieństwo ukochanych osób. Czy można w ten sposób dowiedzieć się czegoś?

— Niezawodnie.

— I nie zaszkodzi to zdrowiu ukochanej kobiety, ani nie skróci jej życia?

— Nic a nic.

— A więc spróbujmy.

— Czy chcesz, ażebym zaczął? — zapytał Coconnas.

— Nie — odpowiedział La Mole — zacząłem, więc skończę.

— Pan więc koniecznie, namiętnie chcesz się dowiedzieć prawdy, panie de La Mole? — zapytał florentczyk.

— O tak! — zawołał La Mole — umieram z niecierpliwości, mistrzu René. W tej chwili ktoś zastukał do drzwi z ulicy, lecz zastukał tak lekko, że tylko René usłyszał, i to bez wątpienia dlatego, że się spodziewał czyjejś wizyty.

Zadając obojętne pytania La Mole'owi, florentczyk nieznacznie przytknął ucho do tuby i usłyszał głos, który go mocno zatrwożył.

— Teraz obmyśl pan swoje życzenia — powiedział po chwili florentczyk — i przywołaj ukochaną osobę.

La Mole ukląkł, jak gdyby rozmawiał z bóstwem. Tymczasem René wyszedł do drugiego pokoju i po cichu zsunął się po schodach zewnętrznych. W kilka chwil potem lekkie kroki dały się słyszeć w sklepie.

La Mole, wstając, znowu ujrzał przed sobą mistrza René. Florentczyk trzymał w ręku dość lichy wykonaną woskową figurkę w koronie i w płaszczu królewskim.

— Więc chcesz pan pozyskać miłość osoby ukoronowanej? — zapytał perfumiarz.

— Tak jest, chociażbym miał zatracić swą duszę — odpowiedział La Mole.

— Dobrze — odrzekł florentczyk, po czym maczając końce palców w jakimś płynie i wymawiając jakieś łacińskie słowa, pokropił tym płynem głowę figurki.

La Mole wzdrygnął się; czuł, że popełnia świętokradztwo.

— Co robisz? — zapytał florentczyka.

— Chrzczę tę figurkę w imię kobiety, którą pan kochasz.

— Lecz w jakim celu?

— Ażeby w niej wzbudzić sympatię.

La Mole otworzył usta, chcąc przerwać te praktyki, lecz szydercze spojrzenie Piemontczyka wstrzymało go.

René, spostrzegłszy ten ruch, zatrzymał się.

— Trzeba zupełnej i nieprzymuszonej woli — rzekł.

— Rób dalej — odpowiedział La Mole.

René napisał na kawałku czerwonego papieru kilka kabalistycznych znaków, przetknął tę karteczkę przez Uszko igły i utkwił ją w sercu figurki.

Rzecz dziwna! Z rany pociekła kropelka krwi.

Następnie René zapalił karteczkę. Gorąco igły stopiło około niej wosk i wysuszyło kropelkę krwi.

— A więc — powiedział René — pańska miłość siłą sympatii przedziera się i rozpala serce kobiety, którą kochasz.

Coconnas, umysłu trzeźwego, po cichu śmiał się ze wszystkiego, co widział, lecz La Mole, zakochany i zabobonny, uczył, że zimny pot wystąpił mu na czoło.

— Teraz zaś — powiedział René — dotknij pan swymi ustami statuetki i zawołaj: „Małgorzato, kocham cię. Przybywaj,

Małgorzato!”

La Mole usłuchał.

W tej chwili dał się słyszeć szelest otwierających się drzwi w drugim pokoju, a następnie lekkie stąpanie. Coconnas, ciekawy i zarazem pełen podejrzeń, dobył sztyletu, a obawiając się, ażeby jeżeli zechce podnieść zasłonę, René znowu nie zabronił mu tego uczynić, przeciął zasłonę sztyletem i przyłożywszy oko do otworu tylko co zrobionego, wydał okrzyk, na który odpowiedziały mu okrzyki dwóch kobiet.

— Kto tam? — zapytał La Mole, omal nie wypuściwszy z rąk woskowej figury, którą René zdążył mu odebrać.

— Księżna de Nevers i królowa Małgorzata są tutaj — odpowiedział Coconnas.

— No i cóż! niedowiarki — rzekł René, cierpko się uśmiechając — czyż jeszcze powątpiewacie w istnienie siły sympatii?

La Mole stanął jak skamieniały, spostrzegłszy Małgorzatę; Coconnas na chwilę został olśniony, poznawszy księżnę de Nevers.

Pierwszy wystawiał sobie, że czarnoksiężstwa mistrza René wywołały widmo Małgorzaty; drugi, widząc przez szparę w firance, jak dwa piękne widziadła weszły, w mgnieniu oka wytłumaczył sobie ten cud jako wypadek bardzo naturalny.

Kiedy La Mole żegnał się, Coconnas mający stosowny czas do zrobienia kilku filozoficznych uwag i odpędzenia złego ducha kropidłem zwanym niedowiarstwem — spostrzegł zadziwienie malujące się na twarzy pani de Nevers i uśmiech cokolwiek sarkastyczny Małgorzaty. Wtedy pojął, że chwila była decydująca.

Wiedząc, że w imieniu przyjaciela można powiedzieć to, czego by się od siebie nie powiedziało, zamiast zwrócić się do pani de Nevers, wprost zbliżył się do Małgorzaty i klękając, głosem, któremu świst wychodzący z chorej piersi dodawał szczególniejszego wyrazu, zawołał:

— Pani! tylko co, na usilne żądanie mego przyjaciela, hrabiego de La Mole, mistrz René przywołał twój cień. Ku wielkiemu memu zdziwieniu cień twój zjawił się w towarzystwie wielce mi drogiej damy, którą będę miał zaszczyt przedstawić memu przyjacielowi. Cieniu Jej Królewskiej Mości królowej Nawarry! czy nie zechcesz powiedzieć swej towarzysze, ażeby raczyła wyjść za firankę?

Małgorzata zaczęła się śmiać i dała znak Henricie, która wyszła do drugiej części pokoju.

— La Mole, mój przyjacielu! — powiedział Coconnas — bądź wymownym jak Demostenes, jak Ciceron, jak kanclerz de l'Hospital; upewnij cień księżnej de Nevers, że jestem jej najbardziej oddanym, najuniżeńszym i najwierniejszym sługą. Pamiętaj, że tu idzie o moje życie.

— Leczyć?... — szepnął La Mole.

— Czyń, co ci mówię, a ty, panie René, bacz na to, ażeby nam nikt nie przeszkodził.

René był posłuszny.

— Do kroćset! — zawołała Małgorzata. — Słucham pana, co mi pan chcesz powiedzieć?

— Mam ci powiedzieć, pani, że cień mego przyjaciela — a że on jest cieniem, dowodzi to, iż jeszcze nie powiedział ani słówka — jestem więc obowiązany objaśnić panią, że ów cień mego przyjaciela błaga mnie, ażebym korzystając ze zdolności, mocą której jestem w stanie mówić głośno, powiedział ci: „Śliczny cieniu! biedny La Mole wyraźnie usycha wskutek surowości twych oczu. Cieniu! gdybyś się urzeczywistnił, raczej bym pozwolił się mistrzowi René zamknąć do jakiej flaszeczki, aniżeli odważyłbym się przemawiać tymi słowy do córki Henryka II, siostry Karola IX i żony Henryka króla Nawarry. Leczyć duchy nie mają nic wspólnego z ziemią, nie znają dumy ziemskiej i nie gniewają się na tych, którzy ich kochają. Pani! uproś swoje ciało, aby choć kochało duszę biednego La Mole'a, duszę cierpiącą, duszę dręczoną z początku przyjaźnią, a teraz spopieloną ogniem twych oczu, ogniem stokroć silniejszym aniżeli ognie samego piekła. Zlituj się więc nad tą biedną duszą. Pokochaj choć trochę tego, którego nazywałaś pięknym La Mole'em, a jeżeli jesteś pozbawiona mowy, roześmiej się doń, podaj mu rękę. Dusza mego przyjaciela jest bardzo pojętna; on natychmiast wszystko zrozumie. Roześmiej się więc lub, do kroćset! przebiję szpadą Renégo, jeżeli nie zechce zmusić twego cienia wywołanego w porę tak stosowną, do uczynienia dla mego przyjaciela czegokolwiek, co by odpowiadało twojej szlachetności”.

Coconnas oddał tę przemowę w postawie Eneasza wstępującego do otchłani piekielnych.

Małgorzata nie mogła się wstrzymać od głośnego wybuchu śmiechu i zachowując milczenie, godne cienia królewskiego, podała rękę Coconnasowi.

Ten z kurtuazją wziął jej dłoń i zawołał:

— Cieniu mego przyjaciela, przybywaj do mnie niezwłocznie. La Mole, zmieszany i cały drżący, usłuchał.

— Dobrze — powiedział Coconnas wzięwszy go z tyłu za głowę — teraz schyl swą piękną ciemnej cery twarz do tej białej rączki.

I Coconnas, stosując do słów odpowiednie gesty, połączył śliczną rączkę z ustami hrabiego de La Mole. Rączka wcale nie starała się wydobyć z tego słodkiego uścisku. Małgorzata nie przestawała się uśmiechać, lecz pani de Nevers, jeszcze strwożona niespodziewanym spotkaniem dwóch szlachciców, wcale się nie śmiała. Księżna uczuła w sobie rodzącą się zazdrość; podług niej Coconnas nie powinien był do tego stopnia zapominać o swoich interesach, zajmując się cudzymi! La Mole spostrzegł jej zmarszczone brwi, widział błyskawice w jej oku i nie zważając

na swoje upojenie, pojął, jakie niebezpieczeństwo grozi jego przyjacielowi, i przeniknął, co mu wypada czynić dla uratowania go.

Wstał, pozostawiając rękę Małgorzaty w rękę Piemontczyka, potem zbliżył się do księżnej de Nevers i ukląkłszy powiedział:

— O ty! najpiękniejsza i najgodniejsza uwielbienia kobieto. Mówię do kobiet żyjących, a nie do cieni — dorzucił uśmiechając się i spoglądając na Małgorzatę. — Pozwól duszy ogołoconej ze wszystkiego, co ziemskie, naprawić błąd osoby dającej się powodować materialną przyjaźnią. Pan de Coconnas, jak pani wiesz, jest człowiekiem stałym i śmiałym, jest to ciało być może piękne, lecz znikome jak każde ciało; *omnis caro foenum*. Mimo iż szlachcic ten od rana do wieczora czyta mi błagalne litanie, których przedmiotem jesteś, pani, mimo iż w obecności pani zadawał najpiękniejsze pchnięcia, jakie tylko kiedy zadano we Francji, mimo to wszystko ten zapaśnik, tak wymowny w obliczu cienia, nie śmie mówić do kobiety. Oto powód, dla którego zwrócił się on do cienia królowej, polecając mi przemówić do pięknego ciała pani, powiedzieć ci, że składa u stóp twoich swą duszę i serce, prosić cię, ażebyś raczyła nań spojrzeć swymi anielskimi oczyma, ażebyś skinęła na niego swym pięknym różowym paluszkim, ażebyś przemówiła do niego swym słodkim i mile brzmiącym głosem choć jedno słówko, które by utkwilo w jego sercu na zawsze.

Gdybyś zaś pani tego uczynić nie zechciała, prosił mnie, ażebym go przebił powtórnie moją szpadą, szpadą, która nie jest cieniem. Mój przyjaciel bowiem nie może żyć na tym świecie, jeżeli pani nie pozwolisz mu żyć wyłącznie dla ciebie.

Coconnas wygłosił swą mowę z uniesieniem i siłą, La Mole zaś chciał obudzić czułość i litość.

Oczy Henriety baczenie utkwione w La Mole'a, podczas gdy mówił, zwróciły się na Piemontczyka, chcąc zbadać, czy wyraz twarzy szlachcica zgadza się z miłosnymi słowy jego przyjaciela.

Beż wątpienia była zadowolona z tego, co ujrzała, gdyż rumieniąc się i wstrzymawszy oddech, powiedziała do Coconnasa z uśmiechem, który dał widzieć podwójny rząd pereł oprawnych w koral.

— Czy to prawda?

— Do kroćset! — zawołał Coconnas oczarowany tym spojrzeniem — czy to prawda! O tak, pani, to prawda! prawda, na twe życie... prawda na mą śmierć!

— Więc zbliż się — powiedziała Henrieta, wyciągając ku niemu rękę z pełnym wdziękiu zmieszaniem, które zdradzały jej przymglone oczy.

Coconnas, rzuciwszy w górę swój tok aksamitny, w jednym podskoku znalazł się obok młodej kobiety.

La Mole, posłuszny skinieniu Małgorzaty, zbliżył się do niej. W tej chwili René pokazał się we drzwiach, w głębi pokoju.

— Cisza! — zawołał głosem, który natychmiast przytłumił ten ogień... — cisza!

We wnętrzu ściany dało się słyszeć lekkie skrzypnięcie żelaza w zamku i łoskot drzwi obracających się na zawiasach.

— Lecz zdaje się — powiedziała dumnie Małgorzata — że nikt nie ma prawa wejść, skoro my tutaj jesteśmy?

— Nawet królowa-matka? — szepnął jej do ucha René.

Małgorzata w jednej chwili rzuciła się na zewnętrzne schodki, ciągnąc za sobą La Mole'a; Henrieta i Coconnas udali się za nimi. I wszyscy uciekli, jak uciekają ptaszki spłoszone z drzewa.

ROZDZIAŁ XX

CZARNE KURY

Dwie pary w sam czas zdążyły uciec. Katarzyna wkładała klucz do zamku właśnie w chwili, kiedy Coconnas i pani de Nevers schodzili na dół zewnętrznymi schodami.

Katarzyna, wchodząc, mogła słyszeć skrzypienie schodów pod nogami uciekających. Rzuciła naokoło badawcze spojrzenie i zatrzymawszy swe przenikliwe oko na mistrzu René, z uszanowaniem przed nią schylonym, zapytała:

— Kto tu był?

— Kochankowie, którzy zostali zaspokojeni, skoro ich upewniłem, że się nawzajem kochają.

— Dajmy temu pokój — powiedziała Katarzyna wzruszając ramionami — nie ma tu więcej nikogo?

— Nikogo oprócz mnie i Waszej Królewskiej Mości.

— Czyś zrobił to, co ci mówiłam?

— Czy to się tyczy czarnych kur?

— Tak.

— Są przygotowane, pani.

— Ach!... gdybyś był Żydem! — szepnęła Katarzyna.

— Ja Żydem, dlaczego, pani?

— Będąc Żydem mógłbyś czytać szacowne dzieła, jakie Hebrajczycy napisali o ofiarach. Rozkazałam przetłumaczyć dla siebie jedną z tych ksiąg; tam wyraźnie powiedziano, że Hebrajczycy nie szukali przepowiedni w sercu ani w wątrobie, jak to czynili Rzymianie, lecz wyciągali je z położenia mózgu i nakreślenia liter naznaczonych na nim wszechmocną ręką przeznaczenia.

— Prawda, pani, słyszałem toż samo od jednego starego rabina, mego przyjaciela.

— Są znaki — powiedziała Katarzyna — za pomocą których można wyczytać proroczo całe życie. Otóż mędrcy chaldejscy radzą...

— Cóż takiego radzą? — zapytał René widząc, iż królowa zawahała się.

— Radzą czynić doświadczenia nad ludzkim mózgiem, jak można najdoskonalej rozwiniętym i sympatyzującym z wolą proroka, — Niestety! — rzekł René — Wasza Królewska Mość wiesz, że to jest niepodobieństwem.

— Prawda, że to trudno — odparła Katarzyna — lecz gdybyśmy byli wiedzieli o tym przed nocą świętego Bartłomieja... he! René... co za obfity zbiór! nieprawdaż? Skoro tylko będzie kto skazany... pomyślę o tym. Tymczasem czynmy doświadczenia w zakresie możliwym. Czy pokój do ofiar jest już przygotowany?

— Tak, pani.

— Chodźmy więc tam.

René zapalił świecę, której woń, już to subtelna lub gryząca, już przyprawiająca o cikliwość lub dymna, kazała się domyślać jej różnorodnych części składowych.

René, świecąc Katarzynie, pierwszy wszedł do Celki. Katarzyna wybrała sama spomiędzy ofiarniczych narzędzi nóż z błękitnej stali, gdy tymczasem René poszedł do kąta izby po kurę.

— Jakże przystąpimy do rzeczy?

— Poradźmy się wątroby jednej, a mózgu drugiej kury. Jeżeli z obydwóch prób otrzymamy jedną i tę samą wróżbę, będzie to znak, że trzeba przepowiedni wierzyć, zwłaszcza jeżeli będzie zgodna z poprzednimi.

- Od czego zaczniemy?
- Od doświadczenia na wątrobie.
- Dobrze — powiedział René.

I przywiązał kurę na maleńkim ołtarzu, pomiędzy dwoma kólkami, w ten sposób, że ptak, leżąc na grzbiecie, mógł się tylko trzepotać, nie poruszając się z miejsca.

Jednym cięciem noża Katarzyna rozplątała jej piersi. Kura krzyknęła trzy razy i po krótkim rzucaniu się zdechła.

- Zawsze trzy krzyki! — szepnęła Katarzyna. — Przepowiednia trzech strasznych śmierci. Następnie królowa wypatroszyła kurę.

— I wątroba przewrócona — dodała — zawsze przewrócona. Trzy straszne” zgony, a potem upadek. René, to okropność.

- Zobaczmy, pani, czy rezultat drugiego doświadczenia będzie taki jak pierwszego.

I René odwiązał zabita kurę, rzucił ją w kąt i poszedł po drugą.

Lecz ta przeczuła śmierć i ratując się zaczęła uciekać pod ścianami celki, na koniec przyparta w kącie, zerwała się, przeleciała ponad głową Reného w locie zgasła magiczną świecę, którą trzymała Katarzyna.

— Patrz, René, patrz! — powiedziała królowa-matka. — Tak zgaśnie mój ród. Śmierć tchnie na niego i zgaśnie on na tej ziemi. Trzech synów, jednak trzech synów... — mówiła smutnie Katarzyna.

René wziął zgaszoną świecę i poszedł ją zatlić do drugiego pokoju. Skoro powrócił, spostrzegł, że druga kura stara się wydobyć przez otwór lejka.

- Tym razem — rzekła Katarzyna — uprzedzę jej krzyk: jednym cięciem utnę jej głowę.

I w samej rzeczy, skoro René przywiązał kurę, Katarzyna, jak powiedziała, jednym cięciem ucięła jej głowę. Lecz w ostatnich konwulsyjnych ruchach dziób otworzył się trzy razy i zamknął się już na zawsze.

— Czyś widział?! — zawołała Katarzyna strwożona — zamiast trzech krzyków trzy westchnienia. Trzy i zawsze trzy. Umrą więc wszyscy trzej. Zobaczmy teraz mózg.

Skrajała ze łba blade grzebienie, ostrożnie podważała czaszkę i odjąwszy ją tak, ażeby można dokładnie widzieć mózg, starała się upatrzeć w krwią zbroczonych załamaniach miękiszu mózgowego podobieństwo z jakąkolwiek literą.

— Zawsze więc... — zawołała załamując ręce — zawsze! A tym razem wróżba jest jaśniejsza niż kiedykolwiek. Chodź i patrz.

René zbliżył się.

- Co to za litera? — zapytała Katarzyna wskazując na znak.

— H — odpowiedział René.

— Ile razy powtórzone? René policzył.

— Cztery razy — rzekł.

— No i cóż! nieprawdaż? To znaczy Henryk IV. O! — ryknęła Katarzyna rzucając nóż. — Jestem przeklęta w moim potomstwie.

Straszna była postać tej kobiety, bladej jak trup, załamującej zakrwawione ręce w blasku ponurego płomienia świecy.

— On będzie panował! — powiedziała z rozpaczą.

— On będzie panował! — powtórzył René z głęboką zadumą.

Lecz wkrótce wyraz rozpacz, malujący się na twarzy Katarzyny, zniknął przed światłem myśli, która błysnęła w jej głowie.

— René — powiedziała wyciągając rękę do florentczyka, lecz nie podnosząc na niego oczu — René! czy znasz straszną historię o peruwiańskim doktorze, który zatrutą pomadą za jednym zamachem zabił swoją córkę i jej kochanka?

— Znam, pani.

— A tym kochankiem był?... — cedziła z wolna Katarzyna.

— Był król Władysław, pani.

— A! prawda. Czy znasz szczegóły tej historii?

— Mam starą książkę, w której jest ona opisana — odpowiedział René.

— Chodźmy więc do twojej biblioteki; pożyczysz mi tę książkę.

Oboje opuścili celkę. René zamknął ją na klucz.

— Czy Wasza Królewska Mość nie rozkażesz mi przygotować nowych ofiar? — zapytał.

— Nie, René, nie. Jestem już dostatecznie przekonana. Poczekamy do czasu, w którym byśmy mogli użyć głowy jakiego skazanego. W dzień egzekucji nie zapomnij ułożyć się o nią z katem.

René uklonił się na znak zgody, następnie ze świecą w ręku zbliżył się do półki z książkami, wziął jedną z nich i podał Katarzynie. Królowa otworzyła ją.

— Co to jest? — zapytała. — *O sztuce żywienia i chowania sokołów i białozorów, jako też o najlepszych środkach do czynienia ich śmiałymi i zawsze gotowymi do polowania.*

— A! przebacz pani, omyliłem się. To jest dzieło łowieckie, napisane przez jakiegoś uczonego z Lukki dla sławnego Castruccio Castracaniego! Stało obok książki, której pani żądaś; omyliłem się, gdyż jest tak samo oprawne. Książka ta jest bardzo kosztowna, tylko trzy jej egzemplarze są na całym świecie: jeden należy do biblioteki weneckiej, drugi był kupiony przez pani przodka Wawrzyńca i darowany przez Piotra Medici Karolowi VIII, podczas gdy ten bawił we Florencji, trzeciego egzemplarza ja jestem posiadaczem.

— Szacuję go jako rzadkość — powiedziała Katarzyna. — Lecz ponieważ mi niepotrzebny, oddaję ci go.

I wyciągnęła prawą rękę, ażeby odebrać podawaną sobie książkę, lewą zaś oddała rzadki egzemplarz.

Tym razem René nie omylił się; wziął książkę, której szukał. Jakiś czas przewracał karty i podał ją królowej otwartą.

Katarzyna usiadła przy stole, René postawił przed nią magiczną świecę, przy której błękitnawym świetle Katarzyna na pół głośno przeczytała kilka wierszy.

— Dobrze! — powiedziała zamykając książkę. — Wiem wszystko, com chciała wiedzieć.

Wstała, zostawiając książkę na stole i piastując w głowie straszną myśl, która, teraz jeszcze w zarodku, z czasem miała dojrzeć. René, trzymając w ręku świecę, czekał z uszanowaniem na nowe rozkazy lub pytania. Katarzyna zrobiła kilka kroków naprzód z pochyloną na piersi głową, trzymając na ustach palec i zachowując głębokie milczenie. Nagle zatrzymała się przed mistrzem René, a utkwivszy weń swój nieruchomy wzrok, rzekła:

— Przyznaj się, żeś dla niej przyrządził jakiś napój.

— Dla kogo? — zapytał René zadrżawszy.

— Dla pani de Sauve.

— Ja, pani? — powiedział René — nie.

— Nie?

— Na mą duszę, przysięgam.

— Tutaj jest coś z magii, gdyż zakochał się w niej jak głupiec, on, który jest znany z niestałości.

— On, kto taki, pani?

— Ten przeklęty Henryk. Ten, co nastąpi po moich trzech synach, ten, którego będę nazywała Henrykiem IV, ten na koniec, który jest synem Joanny d'Albret.

I Katarzyna przy ostatnich słowach westchnęła.

René zadrżał, gdyż przypomniał sobie sławne rękawiczki, które na rozkaz Katarzyny przygotował dla królowej Nawarry.

— Więc on u niej jeszcze ciągle bywa? — zapytał René.

— Zawsze — odpowiedziała Katarzyna.

— A ja myślałem, że król Nawarry zupełnie się pogodził ze swoją żoną.

— Komedia, René, komedia. Nie wiem, w jakim celu, lecz wszyscy chcą mnie oszukiwać. Nawet moja własna córka Małgorzata sprzeciwia mi się. Może być, że liczy na śmierć swoich braci i spodziewa się zostać królową Francji.

— Tak, być może — powtórzył René zamyślony i niby echo odpowiadając na straszne myśli Katarzyny.

— Zresztą — dodała Katarzyna — zobaczymy, co nam czynić wypadnie. I zwróciła się ku drzwiom w głębi. Będąc przekonana, że nie ma nikogo, nie widziała potrzeby schodzić tajnymi schodami. René szedł naprzód i wkrótce znaleźli się oboje w sklepie.

— Obiecałeś mi, René, dostarczyć nowych kosmetyków do rąk i do ust — powiedziała Katarzyna. — Już się zaczęła zima, a wiesz, że moja skóra bardzo jest czuła na zimno.

— Już myślałem o tym, pani, i jutro dostarczę wszystkiego.

— Jutro nie będziesz mógł się ze mną widzieć wcześniej jak o dziewiątej lub dziesiątej wieczorem. Cały jutrzejszy dzień poświęcam modlitwie.

— Będę jutro w Luwrze o dziewiątej wieczorem.

— Pani de Sauve ma śliczne rączki i usta — powiedziała Katarzyna obojętnym tonem — czego ona do nich używa?

— Czy do rąk?

— Tak, do rąk.

— Pomady z heliotropów.

— A do ust?

— Do ust używa nowo przeze mnie wynalezionej opiaty, której jutro przyniosę słoiczek dla Waszej Królewskiej Mości i dla niej.

Katarzyna zamyśliła się.

— Z tym wszystkim jest ona piękna — rzekła odpowiadając na swoją tajemną myśl. — Nic więc dziwnego, że się w niej Bearneńczyk zakochał.

— A przede wszystkim jest zupełnie oddana Waszej Królewskiej Mości, przynajmniej tak mi się zdaje.

Katarzyna uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

— Czyż zakochana kobieta może być oddana komu innemu, jak przedmiotowi swej namiętności? René, czy zrobiłeś dla niej jaki napój?

— Nie zrobiłem, przysięgam, pani.

— No dobrze! nie mówmy już o tym. Pokaż no mi tę nową opiatę, o której wspominałeś, a która ma jej odświeżyć usta.

René zbliżył się do półki i pokazał Katarzynie sześć srebrnych, zupełnie do siebie podobnych słoików, stojących rzędem.

— Oto jedyny przetwór, o który mnie prosiła. Prawda, że tę opiatę zrobiłem wyłącznie dla niej; ma bowiem tak delikatne i wrażliwe usta, że wysychają jej zarówno od słońca, jak i od wiatru.

Katarzyna otworzyła jeden słoik, zawierający masę w kolorze najpiękniejszego karminu.

— René — powiedziała — daj mi maści do rąk; właśnie mi jej zabrakło, wezmę ją więc ze sobą.

René wziął świecę i poszedł poszukać żądanej maści we właściwej szafeczce. Lecz obróciwszy się szybko spostrzegł, że Katarzyna prędkim ruchem chwyciła jeden słoik i schowała go pod płaszcz. René przyzwyczajony był do kradzieży królowej–matki, udał więc, że nic nie widzi. Podając jej żadaną maść owiniętą w papierową kopertę, ozdobioną herbami Walezjuszów, rzekł:

— Proszę, Wasza Wysokość.

— Dziękuję ci, René — odpowiedziała Katarzyna. Następnie, po chwili milczenia, dodała:

— Nie zanośże pani de Sauve opiaty prędzej jak za osiem lub dziesięć dni; sama jej pierwszej spróbuję.

I zamierzała wyjść.

— Czy Wasza Królewska Mość życzy sobie, żebym ją odprowadził?

— Odprowadzisz mnie tylko do końca mostu. Moi dworzanie czekają na mnie z lektyką.

Wyszli, oboje i wkrótce znaleźli się na rogu ulicy de Barillerie, gdzie czterech dworzan konno i lektyka bez herbów czekała na Katarzynę. René, powróciwszy do siebie, najprzód pobiegł policzyć słoiki z opiatą. Jednego brakowało.

ROZDZIAŁ XXI

MIESZKANIE PANI DE SAUVE

Katarzyna nie myliła się w swoich podejrzeniach.

Henryk powrócił do dawnego trybu życia i co wieczór chodził do pani de Sauve.

Z początku składał owe wizyty z wielką ostrożnością, lecz wkrótce jego podejrzliwość osłabła i zaniedbał środków ostrożności do tego stopnia, iż Katarzyna bardzo łatwo mogła się przekonać, że Małgorzacie pozostał tylko tytuł żony króla Nawarry, rzeczywiście zaś była nią pani de Sauve.

Na początku naszego opowiadania wspomnieliśmy o pokojach pani de Sauve, lecz ilekroć Dariola otwierała drzwi Henrykowi, tyle razy drzwi zamykały się za nim hermetycznie, tak że tego pomieszczenia — sceny tajemnych miłości Bearnieńczyka — wcale nie znamy.

Mieszkanie pani de Sauve było z rodzaju tych, jakie panujący wyznaczają w swym pałacu dworzanom, których chcieliby mieć ciągle pod ręką; było zatem mniejsze i bardziej niewygodne niż mieszkanie najęte w mieście.

Mieszkanie to, jak już czytelnikowi wiadomo, znajdowało się na drugim piętrze, prawie nad pokojami Henryka. Drzwi jego wychodziły na korytarz oświetlony oknem w stylu wschodnim, oszklonym małymi kwadratowymi szybami oprawionymi w ołów. Okno to, nawet podczas najpiękniejszych dni lata, skąpo użyczało światła. Zimą zaś o trzeciej godzinie po południu korytarz już był ciemny; zapalano więc lampę, a ponieważ i latem, i zimą nalewano do lampy jedną i tę samą ilość oleju, gasła więc zawsze o dziesiątej wieczorem. Ciemność zatem zimową porą sprzyjała bezpieczeństwu dwojga kochanków.

Mały przedpokój, wybity jedwabnym adamaszkiem w duże żółte kwiaty, pokój przyjęć, obciążony błękitnym aksamitem, i sypialnia z łóżkiem o kręconych kolumienkach i kotarą z atlasu karmazynowego, nad którym wisiało lustro ozdobione srebrnymi ramami i dwa obrazy przedstawiające miłostki Wenery i Adonisa — oto wszystko, co stanowiło mieszkanie, a co dzisiaj nazwano by gniazdkiem pięknej damy z dworu Katarzyny de Medici.

Baczny widz dojrzałby jeszcze w ciemnym kącie pokoju, naprzeciwko toalety we wszystkie drobiazgi zaopatrzonej, małe drzwiczki prowadzące do modlitewni, gdzie na wzniesieniu dwóch stopni stał mały ołtarzyk.

W tej modlitewni, jak gdyby na złagodzenie dwóch wyżej opisanych, mitologicznych obrazów, zawieszonych było kilka malowideł, z których przebijał spirytualizm, do najwyższego stopnia wyegzaltowany. Między tymi malowidłami zawieszone były na złożonych hakach kobiece zbroje. W ówczesnej bowiem epoce tajemnych i straszliwych intryg kobiety nosiły zbroje jak mężczyźni i czasami równie dobrze umiały jak i mężczyźni władać orężem. Wieczorem, nazajutrz po opisanych przez nas wypadkach u mistrza René, pani de Sauve, siedząc w sypialni na łóżku, mówiła Henrykowi o swej miłości i obawach o jego życie, przytaczając mu jako dowód poświęcenie dla niego podczas nocy świętego Bartłomieja, nocy, którą Henryk przepędził u żony. Henryk ze swej strony dziękował jej za tyle poświęceń. Pani de Sauve tego wieczoru w skromnym, batystowym negliżu, była prześliczna; Henryk był z niej zadowolony. Lecz ponieważ był rzeczywiście zakochany, naturalnie stał się marzycielem. Pani de Sauve zaś, całkiem oddana miłości, która się wszczeła na rozkaz Katarzyny, bacznie spoglądała na Henryka, starając się poznać, czy jego spojrzenia zgadzają się z jego słowy.

— Henryku! — zapytała pani de Sauve — bądź tylko szczery; powiedz mi, jak też przepędziłeś tę noc w gabinecie królowej Nawarry i czyś nie żałował, że pan de La Mole, śpiący w twoich nogach, stał na przeszkodzie pomiędzy tobą i sypialnią królowej?

— Tak, w samej rzeczy, moja przyjaciółko — odpowiedział Henryk — gdyż musiałbym przejść przez ten pokój, aby udać się tu, gdzie mi tak dobrze i gdzie w tej chwili jestem tak szczęśliwy.

Pani de Sauve uśmiechnęła się.

— A później już tam nie byłeś.

— I owszem, byłem raz; wszak ci o tym mówiłem.

— I nigdy tam nie pójdziesz nie uprzedziwszy mnie pierwej?

— Nigdy.

— Przysięgnij.

— Przysięgnę, gdybym był jeszcze hugenotem. Lecz...

— Lecz cóż?

— Lecz religia katolicka, której zasad w tej chwili się uczę, zabrania przysięgać.

— Gastończyk! — zawołała pani de Sauve potrząsając głową.

— Lecz Karolino — rzekł Henryk — jeżeli ja cię z kolei zapytam, czy odpowiesz mi szczerze na moje pytania?

— O! niezawodnie — odpowiedziała młoda kobieta. — Nie mam potrzeby ukrywać nic przed tobą.

— Zobaczymy, Karolino — rzekł król — objaśnij mnie też, dlaczego z takim uporem sprzeciwiałaś się mojemu małżeństwu; po moim zaś ślubie przestałaś być okrutna dla mnie, niezgrabnego Bearneńczyka, dla mnie, śmiesznego parafianina, dla mnie, biednego księcia, nie będącego w stanie utrzymać blasku swej korony?

— Henryku! — powiedziała Karolina — wymagasz, ażebym rozwiązała zagadkę, którą już od trzech tysięcy lat filozofowie całego świata starają się rozwiązać. Nie pytaj kobiety, dlaczego cię kocha, poprzestań na pytaniu: Czy kochasz mnie?

— Czy kochasz mnie, Karolino? — zapytał Henryk.

— Kocham — odpowiedziała pani de Sauve z czarującym uśmiechem, pozwalając swej pięknej rączce opaść na rękę Henryka.

Henryk ucisnął tę rękę.

— A jeżeli — odparł król goniąc za swą myślą — jeżeli ja odgadłem tę zagadkę, którą filozofowie już od trzech tysięcy lat starają się rozwiązać, jeżeli przynajmniej względem ciebie, Karolino, ją odgadłem?

Pani de Sauve zarumieniła się.

— Kochasz mnie — mówił Henryk — nie potrzebuję więc o niczym więcej wiedzieć i uważam się za człowieka najszczęśliwszego w świecie. Lecz jak wiesz zapewne, nie ma na tym świecie szczęścia zupełnego. Adam, umieszczony w raju, nie czuł się szczęśliwy i skosztował nędznego jabłka, które w nas zaszczepiło tę ciekawość bez granic, każąc każdemu z nas wzdychać za czymś nieznanym. Powiedz mi, moja miła, czy to nie Katarzyna z początku rozkazała ci mnie pokochać?

— Henryku! — powiedziała pani de Sauve — mów ciszej, ilekroć mówisz o królowej-matce.

— O!... — rzekł Henryk z taką swobodą i pewnością siebie, że nawet panią de Sauve oszukał — z początku, kiedy jeszcze nie byliśmy w zgodzie, bez wątpienia mogłem jej nie dowierzać, lecz teraz, ożeniwszy się z jej córką...

— Ożeniwszy się z Małgorzatą! — zawołała Karolina czerwieniejąc z zazdrości.

— Teraz ty z kolei mów ciszej — powiedział Henryk. — Teraz, kiedy jestem mężem jej córki, jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi w świecie. Czegóż ode mnie wymagali? Zdaje mi się, że chcieli, iżbym został katolikiem. Dobrze więc! łaska boska zstąpiła na mnie i za orędownictwem

świętego Bartłomieja zostałem nawrócony. Teraz żyjemy w rodzinie jak dobrzy bracia, jak dobrzy chrześcijanie katolicy.

— A królowa Małgorzata?

— Królowa Małgorzata? — powtórzył Henryk. — Ona jest węzłem łączącym nas wszystkich.

— Lecz mówiłeś mi, Henryku, że królowa Nawarry była dla mnie wspaniałomyślna za to, że byłam jej oddaną. Jeżeli mówiłeś mi prawdę, jeżeli ta wspaniałomyślność nie jest twoim wymysłem, w takim razie węzeł jest łatwy do rozerwania. Nie możesz zatem opierać się na tym węźle, gdyż twoje rzekome pożycie z żoną nie wywarło na nikim wrażenia.

— Jednakże ja się na nim opieram; na tej poduszce spoczywam już trzy miesiące.

— W takim razie, Henryku — zawołała pani de Sauve — szukałeś mnie. Małgorzata jest rzeczywiście twoją żoną.

Henryk uśmiechnął się.

— Henryku! — rzekła pani de Sauve — to te twoje uśmiechy rozjątrzają mnie i przyznam ci się, że chociażżeś król, jednak bardzo często napada mnie chęćka wydrapania ci oczu.

— A więc — odpowiedział Henryk — widać, że moje pozorne pożycie małżeńskie wywołuje niekiedy wrażenie, w tej bowiem chwili, mimo że jestem królem, chciałaś mi wydrzeć oczy, a to wszystko dlatego, że wątpisz o tym, co jest.

— Henryku, Henryku — powiedziała pani de Sauve — zdaje mi się, że nawet sam Bóg nie zna twych myśli.

— Ja myślę, moja przyjaciółko — rzekł Henryk — że Katarzyna rozkazała ci kochać mnie, potem tenże sam rozkaz wydało twoje własne serce, teraz zaś, kiedy słyszysz obydwą głosy, jesteś tylko posłuszna głosowi serca. Ja kocham cię także, kocham cię z całego serca i dlatego właśnie, jeżeli będę miał jakie tajemnice, nie zwierzę ci się z nich, rozumie się dlatego, ażeby cię nie skompromitować... Dobrze bowiem zważywszy... przyjaźń królowej jest zmienna, jest to przyjaźń... macochy.

Karolina nie o tym chciała się dowiedzieć; zdawało się jej, ilekroć chciała zbadać to serce niezgłębione, że coraz gęstsza zasłona jak mur oddziela ją od kochanka.

Karolina uczuła, jak na tę odpowiedź łyzy cisną się jej do oczu.

Wybiła godzina dziesiąta.

— Najjaśniejszy Panie — powiedziała Karolina — już czas udać się na spoczynek. Jutro od samego rana czeka mnie służba u królowej-matki.

— A więc wypędzasz mnie dzisiejszego wieczora? — zapytał Henryk.

— Henryku, jestem smutna; będąc smutna, jestem nudna, a znajdując mnie nudną, nie możesz mnie kochać. Widzisz więc, że byłoby lepiej, gdybyś się oddalił.

— Dobrze — rzekł Henryk — oddalę się, jeżeli tego wymagasz, Karolino; jednakże pozwolisz mi być przytomnym przy twej toalecie?

— Lecz w takim razie królowa Małgorzata, Najjaśniejszy Panie, będzie musiała czekać na ciebie. — Karolino! — odparł Henryk poważnie — czyż nie umówiliśmy się nie wspominać o królowej Nawarry, a zdaje mi się, że dzisiejszego wieczora tylko o niej była mowa.

Pani de Sauve westchnęła i usiadła naprzeciw swej toalety. Henryk wziął krzesło, przysunął je do niej i oparłszy się na poręczy rzekł;

— Kochana Karolino, chciałbym zobaczyć, co robisz, żeby być piękną, piękną wyłącznie dla mnie. Mój Boże! co tu rozmaitych drobiazgów, co tu flakoników z pachnidłami, słoików z proszkami, flaszek, kadzielnic!

— Zdaje ci się, że tego wszystkiego jest nadmiar — powiedziała Karolina uśmiechając się — a tymczasem jest za mało; gdyż mimo to wszystko jeszcze nie znalazłam środka, za pomocą którego mogłabym wyłącznie panować w sercu Waszej Królewskiej Mości.

— Dajmy spokój polityce — odrzekł Henryk. — Co to za pędzelek tak cienki, tak delikatny? Czy nie służy czasem do wyrównania brwi memu Olimpijskiemu Jowiszowi?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała Karolina uśmiechając się. — A te piękne maleńkie grabki ze słoniowej kości?

— Służą do rozczesywania włosów.

— A ów słoiczek srebrny z cyzelowaną pokryweczką?

— O! to podarunek od Reného. Słoik ten zawiera sławną opiatę, obiecaną mi przez niego bardzo dawno. Opiata owa ma mi zmiękczyć usta, które Wasza Królewska Mość raczysz bardzo często znajdować słodkimi.

Henryk na potwierdzenie tych słów pocałował ją. Karolina wyciągnęła rękę po słoiczek, o którym była mowa, zapewne chcąc pokazać Henrykowi użycie różowej opiaty, gdy nagle dało się słyszeć głucho uderzenie do drzwi przedpokoju.

Kochankowie zadrżeli.

— Pukają, pani — powiedziała Dariola wysuwając głowę spoza portiery.

— Idź, zobacz kto i przyjdź mi powiedzieć — odrzekła pani de Sauve. Henryk i Karolina spojrzeli po sobie z niepokojem; Henryk już zamyślał ukryć się w modlitewni, lecz w tej chwili weszła Dariola.

— Mistrz René, perfumiarz — zameldowała Dariola.

Na to nazwisko Henryk zmarszczył brwi i przygryzł usta.

— Czy pani nie przyjmujesz? — zapytała Dariola.

— Mistrz Reno — powiedział Henryk — nic nie robi bez namysłu; skoro przyszedł do ciebie, musi mieć do tego dostateczną przyczynę.

— Czy chcesz się schować?

— Nie ma potrzeby — odpowiedział Henryk — mistrz René wie o wszystkim, wie zatem, że tutaj jestem.

— Lecz czyjego obecność nie będzie przykra Waszej Królewskiej Mości?

— Mnie? — zapytał Henryk, na próżno udając obojętność — mnie wcale przeszkadzać nie będzie. Prawda, że byliśmy względem siebie oziębli, lecz od czasu nocy świętego Bartłomieja pogodziliśmy się zupełnie.

— Proś — powiedziała pani de Sauve do Darioli.

W chwilę potem René wszedł i jednym spojrzeniem objął cały pokój. Pani de Sauve pozostała przed toaletą. Henryk usiadł na sofie. Karolina siedziała w świetle, Henryk zaś w cieniu.

— Pani! — powiedział René z poufałością — przyszedłem usprawiedliwić się.

— Z czego, René? — zapytał pani de Sauve tonem pobłażliwym, jakim zwykle piękne kobiety przemawiają do swych dostawców.

— Z tego, że tak dawno obiecałem zrobić coś dla ślicznych ust pani, a...

— Wypełniłeś swą obietnicę dopiero dzisiaj, nieprawdaż? — przerwała Karolina.

— Dzisiaj! — powtórzył René.

— Tak, dzisiaj! właśnie nad wieczorem odebrałam ten słoiczek przysłany mi przez ciebie.

— A! w samej rzeczy — zawołał René, ze zdziwieniem spoglądając na słoiczek opiaty stojący na stoliku pani de Sauve, zupełnie podobny do tych, jakie miał w swoim sklepie.

— Nie omyliłem się więc — mruknął René. — Czyś pani już używała tej maści?

— Nie jeszcze, właśnie chciałam jej spróbować, kiedy wszedłeś. Twarz mistrza René przyjęła wyraz głębokiego zamyślenia, które nie uszło baczności Henryka. Zresztą król Nawarry rzadko kiedy nie był baczny. — René, co ci jest? — zapytał król.

— Mnie? nic, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział René. — Oczekuję z pokorą na słówko Waszej Królewskiej Mości, zanim pożegnają panią baronową.

— Czy potrzebuję ci mówić — rzekł Henryk uśmiechając się — że poczytuję sobie za szczęście, gdy cię widzę.

René spojrział dookoła, obszedł pokój, jak gdyby starając się wybadać okiem i uchem wszystkie drzwi i firanki, potem zatrzymał się i stanąwszy w taki sposób, ażeby móc zarazem widzieć Karolinę i Henryka, powiedział:

— Tego nie rozumiem.

Henryk, obdarzony zadziwiającym instynktem, który jak szósty zmysł prowadził go w pierwszej połowie życia pośród grożących mu niebezpieczeństw, poznał, że się dzieje w tej chwili coś dziwnego i że jakaś walka toczy się w umyśle perfumiarza.

Zwrócił się więc ku niemu i cały pozostając w cieniu, podczas gdy postać florentczyka pozostała oświetlona, rzekł:

— Ty tutaj, René, o tej godzinie?

— Czy mam nieszczęście przeszkadzać Waszej Królewskiej Mości? — zapytał perfumiarz chcąc wyjść.

— Nie. Lecz chciałbym się dowiedzieć jednej rzeczy.

— Jakiej, Najjaśniejszy Panie?

— Czyś wiedział, że mnie tutaj zastaniesz?

— Byłem tego pewny.

— A więc szukałeś mnie?

— Jestem bardzo zadowolony, że znalazłem tutaj Waszą Królewską Mość.

— Czy masz mi co do powiedzenia? — zapytał Henryk.

— Być może, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział René.

Karolina zarumieniła się, obawiała się bowiem, czy czasem René nie zamyśla odkryć jej poprzedniego postępowania względem Henryka. Udała więc, że zupełnie oddana swej toalecie, nic nie słyszy. Nagle przerwała ich rozmowę.

— A! w samej rzeczy, René — zawołała otwierając słoiczek z opiatą — jesteś człowiekiem zachwycającym. Co za przepyszny kolor tej pomady! Dobrze, żeś przyszedł, chcę w twojej obecności oddać cześć twemu nowemu wynalazkowi.

I wzięła na koniec paluszka cokolwiek różowej maści, chcąc nią posmarować usta.

René zadrżał.

Baronowa, uśmiechając się, zbliżyła palec do ust.

René zbladł.

Henryk, ciągle stojąc w cieniu, nie tracił z oczu ani jednego ruchu perfumiarza.

Ręka Karoliny miała właśnie dotknąć ust, gdy nagle René schwycił ją za ramię właśnie w chwili, kiedy Henryk zerwał się z sofy w tym samym zamiarze.

Henryk po cichu usiadł na powrót.

— Zaczekaj, pani, chwilkę — powiedział René uśmiechając się z przymusem — nie należy używać tej opiaty bez uprzednich objaśnień.

— A któż mi ich udzieli?

— Ja.

— Kiedy?

— Natychmiast, skoro tylko powiem Jego Królewskiej Mości królowi Nawarry to, com mu miał powiedzieć.

Karolina wytrzeszczyła oczy, wcale nie rozumiejąc tajemniczej rozmowy. Trzymając słoiczek z opiatą w jednej ręce, spoglądała na koniec palca zaczerwieniony pomadą.

Henryk wstał i napastowany myślą, która jak zwykle u młodego króla, miała dwie strony: jedną powierzchowną, a drugą niezgłębiającą, wziął rękę Karoliny chcąc ją pocałować.

— Wstrzymaj się chwilkę, Najjaśniejszy Panie!. — zawołał René szybko. — Czy nie raczysz, pani, umyć pięknej rączki tym oto neapolitańskim mydłem, które zapomniałem przysłać razem z opiatą i które mam zaszczyt sam ci wręczyć?

I wyjąwszy ze srebrnej koperty kostkę mydła koloru zielonkawego, położył ją w wyślacanej miednicy, nalał wody i ukląkłszy podał pani de Sauve.

— Lecz doprawdy, mistrzu René, nie poznaję cię — powiedział Henryk — przewyższasz wszystkich dworaków w elegancji.

— A! co za śliczny zapach! — zawołała Karolina, trąc swe piękne ręce pianą aromatycznego mydła.

René do końca wypełnił obowiązki służącej: podał baronowej cienki ręczniczek z płótna fryzyjskiego.

— Teraz już możesz, Najjaśniejszy Panie — rzekł do Henryka.

Król ucałował rękę podaną przez Karolinę, gdy tymczasem baronowa obróciła się na krześle, ażeby lepiej usłyszeć, co René zamierza powiedzieć.

Król usiadł na swoim miejscu, przekonany, że w umyśle florentczyka dzieje się coś niezwykłego.

— No i cóż? — zapytała Karolina.

Florentczyk, zdawało się, zebrał wszystkie siły i zwrócił się ku Henrykowi.

ROZDZIAŁ XXII

NAJJAŚNIEJSZY PANIE, BĘDZIESZ KRÓLEM!

— Najjaśniejszy Panie! — powiedział René — mam ci powiedzieć coś, co mnie zajmuje od bardzo dawna.

— Zapewne o pachnidłach? — zapytał Henryk uśmiechając się.

— Właśnie, Najjaśniejszy Panie... o pachnidłach — odpowiedział René potakując w szczególny sposób.

— Mów, słucham cię, jest to przedmiot, który mnie zawsze bardzo interesował.

René spojrział na Henryka, starając się odgadnąć jego nieprzeniknioną myśl, lecz widząc, że byłoby to daremne, mówił dalej:

— Jeden z moich przyjaciół, Najjaśniejszy Panie, przybył z Florencji. Jest niezwykle biegły w astrologii.

— Tak — przerwał Henryk — znam tę namiętność florentczyków.

— Przy pomocy najuczestszych ludzi na świecie ułożył horoskopy dla wszystkich znakomitych osób w Europie.

— Aha! — zawołał Henryk.

— A ponieważ dom Burbonów liczy się do najświetniejszych, pochodzi bowiem od hrabiego de Clermont, piątego syna Ludwika Świętego, przeto Wasza Królewska Mość zapewne się domyślasz, że ty, Najjaśniejszy Panie, nie zostałeś pominięty.

Henryk zaczął słuchać uważniej.

— I pamiętasz ten horoskop? — zapytał starając się uśmiechnąć obojętnie.

— O! — odparł René potrząsając głową — horoskop Waszej Królewskiej Mości należy do tych, o których się nie zapomina.

— Co mówisz? — zawołał Henryk czyniąc gest ironiczny.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie; horoskop ten przepowiada Waszej Królewskiej Mości znakomitą przyszłość.

Oko młodego księcia załśniło przelotną błyskawicą, która natychmiast zniknęła we mgle obojętności.

— Wszystkie te włoskie przepowiednie są pochlebstwem — odrzekł Henryk — a to pochlebia, ten kłamie. Czy czasem nie przepowiadano mi, że będę dowodził armiami.

I król wybuchnął śmiechem. Lecz ktoś mniej zamyślony niż René spostrzegłby w tym śmiechu przymus.

— Najjaśniejszy Panie! — powiedział René zimno — horoskop obiecuje więcej.

— Czyżby obiecywał, że dowodząc armiami będę wygrywał bitwy?

— Więcej, Najjaśniejszy Panie.

— Idźmy więc dalej — powiedział Henryk — może będę zdobywcą? — Najjaśniejszy Panie! będziesz królem.

— E! — zawołał Henryk, usiłując powstrzymać gwałtowne bicie serca czyż już nie jestem królem?

— Najjaśniejszy Panie! mój przyjaciel wie, co przepowiada; nie tylko będziesz królem, lecz będziesz panował.

— W takim razie — mówił Henryk tym samym żartobliwym tonem — twój przyjaciel wymaga dziesięciu złotych talarów, nieprawdaż, René? Gdyż podobna przepowiednia jest bardzo

pochlebna w dzisiejszym stanie rzeczy. René, wiesz, że nie jestem bogaty, dam więc twemu przyjacielowi pięć talarów teraz, a pięć, skoro ziści się przepowiednia.

— Najjaśniejszy Panie! — powiedziała pani de Sauve — nie zapomnij o obietnicy uczynionej Darioli i nie bądź za bardzo szczodry w rozsypywaniu talarów.

— Pani! — odpowiedział Henryk — skoro nadejdzie taka chwila, sądzę, że każdy będzie zadowolony, jeżeli dotrzymam chociaż połowy tego, co obiecałem.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł René — pozwól mi skończyć...

— Jak to? to jeszcze nie wszystko? — zawołał Henryk. — A więc jeżeli zostanę cesarzem, dam dwa razy tyle.

— Najjaśniejszy Panie! mój przyjaciel po powrocie z Florencji sprawdził horoskop w Paryżu, otrzymał tenże sam rezultat i powierzył mi pewną tajemnicę.

— Czy tajemnicę, która obchodzi Jego Królewską Mość? — zawołała żywo Karolina.

— Tak sądzę — odpowiedział florentczyk.

— Szuka słów — powiedział sam do siebie Henryk — widać, że to jest coś, co mu się nie chce precyzyjnie przez gardło.

— Więc mów — odparła baronowa de Sauve — o cóż chodzi?

— Chodzi tu — rzekł florentczyk ważąc każde słowo — chodzi tu o pogłoski o otruciach, jakie od niejakiego czasu zaczęto rozsiewać przy dworze.

Nieznaczne rozszerzenie nozdrzy Henryka było wskazówką, że słowa florentczyka zaczęły go zajmować.

— A twój przyjaciel florentczyk — powiedział Henryk — wie coś o tych otruciach?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

— Dlaczegoż więc, René, powierzasz mi tajemnicę, która nie jest twoją, i to jeszcze tajemnicę tak ważną? — zapytał Henryk tonem najnaturalniejszym.

— Mój przyjaciel prosi Waszą Królewską Mość o radę.

— Jak to, mnie?

— Cóż w tym dziwnego, Najjaśniejszy Panie? Przypomnij sobie starego żołnierza spod Actium, który mając sprawę, udał się po radę do Augusta.

— August był adwokatem, René, a ja nim nie jestem.

— Najjaśniejszy Panie! kiedy mój przyjaciel powierzył mi swą tajemnicę, Wasza Królewska Mość byłeś jeszcze dowódcą stronnictwa protestantów, a pan Kondeusz był drugim po tobie.

— Cóż dalej? — rzucił Henryk.

— Mój przyjaciel spodziewał się, że wskutek wpływu, jaki, Najjaśniejszy Panie, wywierasz na księcia Kondeusza, Wasza Królewska Mość będziesz mógł usunąć nienawiść, jaką książe pała ku niemu.

— Wytlumacz mi to, René, jeżeli chcesz, ażebym zrozumiał — powiedział Henryk, nie zmieniając wcale ani głosu, ani wyrazu twarzy.

— Najjaśniejszy Panie, zrozumiesz mnie, skoro ci powiem, że mój przyjaciel zna we wszystkich szczegółach środki, jakich używano w celu otrucia księcia Kondeusza.

— Jak to, więc chciano. otruć księcia Kondeusza? — zapytał Henryk, doskonale udając zdziwienie. — Powiedz mi, jak to było i kiedy?

René bacznie spojrział na króla i odpowiedział: —Przed ośmiu dniami.

— Czy kto z jego przyjaciół? — zapytał Henryk.

— Tak jest — odpowiedział René — przyjaciel, który zna Waszą Królewską Mość i który jest znany Waszej Królewskiej Mości.

— W samej rzeczy — rzekł Henryk — zdaje mi się, że coś o tym słyszałem, lecz nie znam szczegółów, których jak powiadasz, ma mi udzielić twój przyjaciel.

— Księżciu Kondeuszowi podano jabłko nasycone pachnidłami, lecz na szczęście jego doktor był przy tym obecny. Doktor wziął jabłko do ręki i powąchał je chcąc poznać, jaki ma zapach. W dwa dni później nabrzmienie twarzy, upływ krwi, rana, która oszpeciła mu oblicze — wszystko to było skutkiem jego nieroztropnego poświęcenia.

— Szkoda! — odpowiedział Henryk — lecz będąc na pół katolikiem, zupełnie straciłem wpływ na pana Kondeusza; zatem twój przyjaciel na próżno zwraca się do mnie.

— Lecz Wasza Królewska Mość możesz pomóc memu przyjacielowi nie tylko wstawiennictwem do księcia Kondeusza, lecz do księcia de Porcian, tego właśnie, któremu otruto brata.

— Wiesz, René — odezwała się Karolina — te twoje historie przyprawiają o drzenie. Zupełnie nie w porę zanosisz prośby. Teraz już jest za późno; wszystko, o czym mówisz, tchnie grobem. Wolę już twoje pachnidła.

I Karolina znowu wyciągnęła rękę po słoiczek z opiatą.

— Pani — rzekł René — nim użyjesz tej pomady, posłuchaj, jak źli ludzie mogą korzystać z okoliczności.

— René, przerażasz mnie dzisiaj — powiedziała baronowa.

Henryk zmarszczył brwi; rozumiał, że René prowadzi do celu, którego jeszcze nie był w stanie odgadnąć, postanowił więc dalej ciągnąć rozmowę, która w nim obudziła tyle smutnych wspomnień. — A czy znasz — zapytał król — szczegóły otrucia księcia de Porcian?

— Znam — odpowiedział florentczyk. — Wszystkim było wiadomo, że miał zwyczaj palenia lampy przez całą noc obok swego łóżka; zatruto olej i udusił się jego wyziewami.

Henrykowi skrzyły się konwulsyjnie palce, zwilgotniałe od potu.

— A więc ten — szepnął król — którego nazywasz swoim przyjacielem, zna nie tylko wszystkie szczegóły otrucia, lecz i ich sprawcę?

— Tak, i dlatego właśnie chciałby się od ciebie, Najjaśniejszy Panie, dowiedzieć, czy za twoim wstawiennictwem książę de Porcian nie przebaczyłby mordercy swego brata.

— Szkoda — odparł Henryk — że będąc na pół hugenotem, straciłem mój wpływ na księcia de Porcian; zatem twój przyjaciel na próżno szuka mojej pomocy.

— Lecz, Najjaśniejszy Panie, co sądzisz o usposobieniu książąt Kondeusza i de Porcian?

— Co sądzę o ich usposobieniach, René? Bóg, któremu służę, nie obdarzył mnie przywilejem czytania w sercach ludzkich.

— Wasza Królewska Mość możesz zapytać o to samego siebie — zauważył florentczyk. — Czyż w życiu Waszej Królewskiej Mości nie wydarzył się jaki wypadek tak smutny, ażeby mógł służyć za powód do pobłażania, tak bolesny, żeby mógł służyć za kamień probierczy do wspaniałomyślności?

Te słowa były wymówione głosem, na który Karolina zadrzała; była to aluzja tale prawdziwa, tak dotykająca, że młoda kobieta odwróciła się, żeby uniknąć spotkania ze wzrokiem Henryka.

Henryk ostatnim wysiłkiem woli rozjaśnił czoło, które na dźwięk słów florentczyka przybrało wyraz groźby, i przeszedłszy ze szlachetnej boleści synowskiej rozdzierającej mu serce do głębokiego zamyślenia, rzekł:

— W moim życiu wypadek smutny... nie, René, nie pamiętam z mojej młodości nic oprócz głupich wybryków i niedbalstwa.

René z kolei stłumił wzruszenie i rzucił okiem na Henryka i Karolinę, jak gdyby chcąc jednego pobudzić, a wstrzymać drugą.

Karolina, odwróciwszy się do toalety, aby ukryć zmieszanie, znowu wyciągnęła rękę po słoik z maścią. — Otóż, Najjaśniejszy Panie, gdybyś był bratem księcia de Porcian lub synem księcia Kondeusza i gdyby otruto twego brata lub ojca...

Karolina wydała krzyk i znowu zbliżyła opiatę do ust. Ren widział ten ruch, lecz tym razem nie zatrzymał jej słowem ani gestem, tylko zawołał:

— Na imię nieba, odpowiedz mi, Najjaśniejszy Panie; gdyby Wasza Królewska Mość był na ich miejscu, co byś uczynił?

Henryk zebrał myśli, otarł drżącą dłonią zimny pot spływający mu po czole i powstawszy, pośród milczenia tak głębokiego, że można było słyszeć oddech Karoliny i mistrza René, powiedział:

— Gdybym był na ich miejscu i gdybym był pewny, że jestem królem, to jest zastępcą Boga na ziemi, postąpiłbym tak jak Bóg — przebaczyłbym.

— Pani — zawołał René wyrwawszy słoik z ręki pani de Sauve — oddaj mi tę opiatę; zdaje się, że mój chłopiec pomylił się. Jutro przyślę pani inny słoik.

ROZDZIAŁ XXIII

NOWO NAWRÓCONY

Na dzień następny wyznaczono piesze polowanie w lesie Saint–Germain.

Henryk rozkazał, ażeby na ósmą z rana był gotów, to jest osiodłany i okiełznany, mały konik bearneński, którego zamierzał dać pani de Sauve, lecz wprzód chciał go sam wypróbować.

Trzy kwadranse na ósmą koń był gotów; punkt o ósmej Henryk zszedł na dół. Koń, pomimo maleńkiego wzrostu ognisty i hardy, potrzasał grzywą i rzucał się. Zimno było i cienka warstwa lodu pokrywała ziemię. Henryk chciał przejść przez podwórze i udać się do stajen, gdzie nań czekał masztalerz z koniem, lecz gdy przechodził przez bramę, stojący na warcie żołnierz zaprezentował broń mówiąc:

— Niech Bóg zachowa Jego Królewską Mość króla Nawarry! Na to przywitanie, a szczególnie na ten głos Bearneńczyk zadrzał. Obrócił się i cofnął na krok.

— De Mouy! — zawołał król.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, de Mouy.

— Co tu robisz?

— Szukam cię, Najjaśniejszy Panie.

— Czego chcesz ode mnie?

— Muszę pomówić Waszą Królewską Mością.

— Nieszczęśliwy! — zawołał król zbliżając się ku niemu — wiesz, że narażasz głowę?

— Wiem o tym.

Henryk z lekka pobladł, wiedział bowiem, że podziela niebezpieczeństwo, jakie zagraża odważnemu młodzieńcowi. Z niepokojem obejrzał się dokoła i odskoczył od niego równie szybko jak i za pierwszym razem. Spozrzegł bowiem księcia d’Alencon w jednym z okien pałacu. Król Nawarry wziął muszkiet z rąk de Mouya, stojącego, jak już mówiliśmy, na warcie, i udając, że go uczy, powiedział:

— De Mouy, zapewne nie bez ważnych powodów rzuciłeś się do tego wilczego dołu.

— Naturalnie, Najjaśniejszy Panie. Od ośmiu dni już czatuję. Wczoraj dopiero dowiedziałem się, że Wasza Królewska Mość wyjdzie obejrzyć swego konia; stanąłem więc na warcie u drzwi Luwru.

— Lecz dlaczegóż to jesteś w tym mundurze?

— Kapitanem kompanii jest protestant, jeden z moich przyjaciół.

— Weź muszkiet i stań do frontu. Patrzą na nas. Powracając będę się starał pomówić z tobą, lecz gdybym do ciebie nie przemówił, nie zaczepiaj mnie. Do widzenia.

De Mouy zaczął chodzić miarowymi krokami, Henryk zaś zbliżył się do konia.

— Co to za piękny konik? — zapytał książę d’Alencon z okna.

— Właśnie chcę go wypróbować — odpowiedział Henryk.

— Lecz to nie jest koń dla mężczyzny.

— Toteż przeznaczony jest dla pięknej kobiety.

— Nie wydajże się, Henryku, zobaczymy tę piękną kobietę na polowaniu, a jeżeli się nie dowiem, czyim jesteś rycerzem, przynajmniej będę wiedział, czyim jesteś koniuszym.

— E! mój Boże, nie, nie dowiesz się tego — odparł Henryk z udaną dobroduszością — gdyż owa piękna dama, z powodu lekkiej słabości, nie może opuścić pokoju.

— Aha! — zawołał książę d’Alencon śmiejąc się — biedna pani de Sauve! — Franciszku! Franciszku! Jesteś niedyskretny.

— I cóż się stało pięknej Karolinie? — przerwał księżę d'Alencon.

— Nie wiem — mówił dalej Henryk, galopując na koniu wokół dziedzińca — Dariola mówiła mi, że Karolina czuje wielką ociężałość w głowie, jakąś drętwość w całym ciele i ogólne osłabienie.

— I to nie pozwoli ci jechać z nami? — zapytał księżę.

— Mnie, a to dlaczego? — odparł Henryk — wszak wiesz, że namiętnie poluję i że nic w świecie nie jest mnie w stanie zatrzymać.

— Lecz na tym polowaniu nie będziesz, Henryku — powiedział księżę i przemówiwszy kilka słów do osoby, której Henryk nie mógł widzieć, znowu się odwrócił i zawołał: —Jego Królewska Mość kazał mi zawiadomić cię, że polowanie odwołane.

— A to dlaczego? — zapytał Henryk bardzo zakłopotany.

— Zdaje mi się, że odebrano bardzo ważne listy od pana de Nevers. Król, królowa—matka i mój brat księżę Andegaweński zeszli się na naradę.

— A! a! czy czasem nie nowiny z Polski! — pomyślał Henryk. Następnie zaś dodał głośno:

— W takim razie nie ma potrzeby narażać się na tej gołoledzi. Do widzenia, bracie.

Henryk zatrzymał się przed de Mouyem.

— Przyjacielu — rzekł — zawołaj którego ze swoich towarzyszków, żeby cię zluzował. Pomóż masztalerzowi rozsiodłać tego konia, weź siodło na głowę i zanieś je do rymarza, bo jeszcze nie skończył na dzisiaj jednego haftu. Przyjdź z odpowiedzią do mnie.

De Mouy pośpieszył wykonać rozkaz, gdyż księżę d'Alencon zniknął z okna; było widoczne, że powziął jakieś podejrzenie. W samej rzeczy zaledwie de Mouy miał czas zamknąć za sobą furtkę, księżę d'Alencon zszedł.

Na miejscu de Mouya stał już inny żołnierz.

D'Alencon bacznie spojrział na niego, a potem obróciwszy się ku Henrykowi zapytał:

— Bracie, wszak to nie ten człowiek, z którym przed chwilą rozmawiałeś?

— Nie, tamten jest jednym z moich; umieściłem go w straży szwajcarskiej. Dałem mu pewne polecenie, które pobiegł wypełnić.

— Aha! — mruknął księżę, jak gdyby ta odpowiedź już go zadowoliła. — A Małgorzata jakże się miewa?

— Właśnie do niej idę, bracie.

— Jak to? więc jej nie widziałeś od wczoraj?

— Nie. Byłem u niej tej nocy o godzinie jedenastej, lecz Gillonna powiedziała mi, że królowa, strudzona, udała się na spoczynek.

— Teraz nie zastaniesz jej u siebie, gdyż wyszła.

— Być może — odpowiedział Henryk — zapewne udała się do klasztoru Zwiastowania Najświętszej Marii Panny.

Niepodobieństwem było ciągnąć dalej rozmowę, Henryk bowiem postanowił tylko odpowiadać. Szwagrowie rozeszli się. Księżę d'Alencon poszedł zasięgnąć nowin, król Nawarry udał się do swoich pokoi. Zaledwie się obaj rozstali, do pokoju sypialnego Henryka ktoś zapukał.

— Kto tam? — zapytał król.

— Najjaśniejszy Panie! — powiedział głos; po którym Henryk poznał de Mouya — przynoszę odpowiedź rymarza.

Henryk, wyraźnie zmieszany, poszedł otworzyć drzwi młodemu człowiekowi i zamknął je za nim.

— To ty, de Mouy? — zapytał. — Sądziłem, że się namyślisz...

— Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział de Mouy —już trzy miesiące się namyślałem, teraz czas działać.

Poruszenie Henryka zdradziło jego niepokój.

— Nie obawiaj się, Najjaśniejszy Panie. Jesteśmy sami, a ja muszę pośpieszyć, bo każda chwila jest droga. Wasza Królewska Mość jednym słówkiem możesz nam powrócić wszystko, co my i nasza wiara tracimy wskutek nieszczęsnych wypadków tego roku. Pomówmy ze sobą jasno, zwięźle i szczerze

— Słucham cię, mężny de Mouyu — odpowiedział Henryk widząc, że niepodobna uniknąć objaśnień.

— Czy to prawda, że Wasza Królewska Mość wyrzekłeś się wyznania protestanckiego?

— Prawda — odrzekł Henryk.

— Tak, lecz to tylko usta wyparły, się go, a w duszy?...

— Człowiek zawsze jest wdzięczny Bogu, skoro ten zachowa mu życie — odpowiedział Henryk przerywając pytanie, jak to zwykle czynił w podobnych wypadkach — a Bóg niezaprzeczenie zachował mi życie.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł de Mouy — przyznaj się do jednej rzeczy.

— Do jakiej?

— Do tej, że twoje odstępstwo nastąpiło nie wskutek wewnętrznego przekonania, lecz z wyrachowania. Najjaśniejszy Panie, wyparłeś się wiary, bo król, a nie Bóg zachował ci życie.

— Cokolwiek było powodem mego nawrócenia, panie de Mouy — odpowiedział Henryk — koniec końcem, jestem katolikiem.

— Tak, lecz czyliż, królu, zostaniesz nim na zawsze? Czy nie chcesz skorzystać z pierwszej lepszej okazji, ażeby sobie przywrócić wolność istnienia i sumienia? Sprzyjająca okoliczność właśnie się nadarza: La Rochelle powstała, Rousillon i Bearn oczekują tylko wezwania, aby wystąpić. Gulenne dyszy chęcią porwania za broń. Powiedz tylko, Najjaśniejszy Panie, że zostałeś katolikiem z musu, a ja biorę odpowiedzialność za twą przyszłość.

— Szlachcica mego rodu nie przymuszają, kochany de Mouy. Co uczyniłem, uczyniłem dobrowolnie.

— Lecz, Najjaśniejszy Panie! — zawołał młody człowiek, a serce mu się ścisnęło na ten niespodziewany upór — Najjaśniejszy Panie, zapominasz, że tak postępując, opuszczasz nas... zdradzasz...

Henryk pozostał obojętny.

— Tak — dodał de Mouy — tak, zdradzasz nas, Najjaśniejszy Panie. Wielu z nas przybyło tutaj z narażeniem życia, a jednak przybyli, ponieważ chcieli ocalić twój honor i swobodę. Zrobiliśmy wszystko, żeby ci zapewnić tron, Najjaśniejszy Panie, czy słyszysz? Chcieliśmy ci zapewnić nie tylko wolność, lecz potęgę i tron do twego wyboru, bo w dwa miesiące możesz zostać posiadaczem Nawarry lub Francji.

— De Mouy! — powiedział Henryk, a oczy zaiskrzyły mu się na tę propozycję — de Mouy, jestem bezpieczny, jestem katolikiem, jestem mężem Małgorzaty, jestem bratem króla Karola, jestem zięciem Katarzyny. Wstępując w te wszystkie związki, obliczyłem korzyści, jakie z nich można wyciągnąć, lecz nie zapomniałem również, do czego mnie one zobowiązują.

— Lecz, Najjaśniejszy Panie, komuż wierzyć? Mówiono mi, że twoje małżeństwo nie jest niczym więcej, tylko czczą formą; mówiono mi, że nienawiść Katarzyny...

— Kłamstwo, kłamstwo — żywo przerwał Bearneńczyk. — Mój przyjacielu, bezwstydnie cię oszukano. Piękna Małgorzata jest rzeczywiście moją żoną; Katarzyna jest moją matką; na koniec Karol IX jest panem mego życia i serca.

De Mouy zadrzał; szyderczy uśmiech przesunął się przez jego usta.

— A więc, Najjaśniejszy Panie — powiedział opuszczając ręce i starając się przeniknąć w głąb tej duszy tak nieodgadnionej — a więc tę odpowiedź mam zanieść moim braciom? Można

im powiedzieć, że król Nawarry oddał swą rękę i serce tym, którzy wymordowali naszych? Można im powiedzieć, że został pochlebcą królowej–matki i przyjacielem pana de Maurevel?.

— Kochany de Mouy — rzekł Henryk — król natychmiast wyjdzie z rady; muszę iść go zapytać, dlaczego odłożył tak ważną sprawę jak polowanie. Do widzenia! Radzę ci wstąpić w moje ślady, mój przyjacielu porzuć politykę, powróć do króla i bywaj na mszy.

I Henryk odprowadził, a raczej popchnął ku drzwiom młodzieńca, którego zdumienie zaczęło się przemieniać we wściekłość.

Zaledwie de Mouy przestąpił próg, nie mógł się wstrzymać; musiał wyrzucić na kimś, a przynajmniej na czymś swe nieukontentowanie. Rzucił więc kapelusz na ziemię, a depreczając go nogami, ja to czyni byk z płaszczem matadora, zawołał:

— Na mą śmierć! ten księżę godzien politowania, a! pozwoliłbym się tutaj zabić, żeby tylko jego imię na zawsze zbluzgać swą krwią.

— Cyt! panie de Mouy — szepnął jakiś głos przez na wpół uchylone drzwi — cyt! cicho! gdyż oprócz mnie mógłby jeszcze kto inny pana usłyszeć.

De Mouy odwrócił się szybko i spostrzegł owiniętego płaszczem księcia d'Alencon, który wysunął blade oblicze, aby przekonać się, czy są sami.

— Księżę d'Alencon — zawołał de Mouy — zginąłem!

— Przeciwnie — odparł księżę — może też znalazłeś pan tego, kogoś szukał. A na dowód oświadczam ci, że nie chcę, iżby pana tutaj zabito, jak tego sobie życzyłeś. Pańska krew lepiej może być użyta niż do zboczenia progu króla Nawarry.

Z tymi słowami księżę otworzył drzwi na oścież.

— Jest to pokój mych dwóch dworzan — powiedział — nikt nam tutaj nie przeszkodzi, możemy więc pomówić zupełnie spokojnie. Proszę, wejdź pan.

— Jestem na twe rozkazy, panie — rzekł zdumiony spiskowiec.

I wszedł do pokoju. Księżę d'Alencon zamknął za nim drzwi równie spieszenie, jak to uczynił Henryk.

De Mouy wszedł oburzony, wściekły, z przekleństwem na ustach, lecz wkrótce zimne i nieruchome spojrzenie księcia Franciszka wywarło na hugenota wpływ, jaki wywiera szkło magiczne na wytrzeźwienie pijaka.

— Jeżeli się nie mylę, Wasza Księżęca Mość, chciałeś ze mną pomówić.

— Tak jest, panie de Mouy. Mimo przebrania poznałem cię, a widząc, jak prezentowałeś broń przed moim bratem Henrykiem, utwierdziłem się w tym przekonaniu. No i jakże, panie de Mouy, czy jesteś zadowolony z króla Nawarry?

— Mości księżę...

— Dobrze, dobrze, mów pan śmiało. Może się pan nawet nie domyślasz że jestem twym przyjacielem.

— Jak to, Wasza Księżęca Mość?

— Tak jest, ja. Mów pan więc.

— Nie wiem, co mam powiedzieć Waszej Księżęcej Mości. To, o czym mówiłem z królem Nawarry, jest zupełnie obce sprawom Waszej Księżęcej Mości. Zresztą — dodał de Mooy tonem o ile można oziębłym — szło tu o drobnostki. — O drobnostki? — zapytał księżę.

— Tak jest, panie.

— O drobnostki, za które pan byłeś gotów narażać swą głowę powracając do Luwru, gdzie jak pan wiesz, twoja głowa idzie na wagę złota? Wierz mi pan, że wszyscy wiedzą, że jesteś, równie jak król Nawarry i księżę Kondeusz, jednym z głównych przywódców hugenotów.

— Jeżeli tak sądzisz, panie, postąp ze mną tak, jak wypada uczynić bratu króla Karola i synowi królowej Katarzyny.

— Lecz po cóż mam tak postąpić, kiedy jak już powiedziałem, jestem pańskim przyjacielem? Mów więc pan prawdę.

— Panie — rzekł do Mouy — przysięgam ci...

— Nie przysięgaj pan; religia reformowana zabrania przysięgać, a tym bardziej popełniać krzywoprzysięstwo.

De Mouy zmarszczył brwi.

— Powiadam panu, że wiem p wszystkim — dodał książę. De Mouy milczał w dalszym ciągu.

— Wątpisz pan o tym? — mówił dalej książę nie przestając nalegać. — A więc, kochany de Mouy, muszę cię przekonać.

Osądźże sam, czy się myślę. Czyż nie ofiarowałeś memu szwagrowi Henrykowi, w tej chwili, ot tam — książę wskazał ręką w kierunku pokoju Bearneńczyka — swej pomocy i swoich stronników w celu osadzenia go na powrót na tronie Nawarry? De Mouy ze zdziwieniem patrzył na księcia.

— Wszak twą ofiarę odrzucił z przestraczem? De Mouy osłupiał.

— Czyż nie powoływałeś się na dawną przyjaźń, na pamięć wspólnej religii? Czyż nie łudziłeś go przyszłością tak świetną, że omal go nie oślepiła? Czyż nie przyrzekłeś mu korony Francji? A co! powiedz, dobrze jestem powiadomiony? Czy nie proponowałeś tego Bearneńczykowi?

— Panie! — zawołał de Mouy — wszystko to jest taką prawdą, że myślę, czy czasem nie wypadaloby powiedzieć Waszej Książęcej Mości: kłamiesz! następnie wyzwać cię do walki na śmierć w tym oto pokoju, a przez śmierć jednego z nas zniszczyć możliwość rozgłoszenia tej strasznej tajemnicy.

— Ciszej, mój odważny de Mouy, ciszej — rzekł książę d'Alencon, nie zmieniając twarzy ani nie czyniąc żadnego gestu na tę okropną groźbę — tajemnica może być zachowana daleko lepiej, jeżeli zostaniemy przy życiu, niż gdyby jeden z nas umarł.

Posłuchaj mnie, a przede wszystkim nie chwytaj za szpadę. Po raz trzeci powtarzam ci, że stoi przed tobą przyjaciel. Odpowiedz zatem jak przyjacielowi. Powiedz mi, czy król Nawarry odrzucił wszystkie twoje ofiary? — Tak, panie; mogę to powiedzieć, ponieważ to wyznanie tylko mnie może narazić na niebezpieczeństwo.

— Czyż to nie pan wyszedłszy z jego pokoju wykrzykiwałeś, depcząc swój kapelusz, iż jest księciem nikczemnym i niegodnym, aby tobie przewodzić?

— Prawda, panie, mówiłem.

— A! to prawda. Więc przyznajesz się pan wreszcie.

— Tak jest.

— I nie zmieniasz swego sądu?

— Nie zmieniam, panie.

— A ja, ja, panie de Mouy, ja, trzeci syn Henryka II, ja, francuski książę krwi, czy jestem godny, żeby dowodzić twymi żołnierzami? Czyż pan nie masz mnie za człowieka honoru i wątpisz, że można polegać na mym słowie?

— Ty, panie, ty dowódcą hugenotów?

— Dlaczegoż by nie? Wszak wiesz, że żyjemy w epoce nawracań. Henryk stał się katolikiem. Czyż ja nie mógłbym zostać protestantem?

— Bez wątpienia, mości książę, lecz czekam stosownych objaśnień...

— Nie ma nic prostszego; w kilku słowach przedstawię ci politykę wszystkich. Mój brat Karol morduje hugenotów, żeby móc panować samowładnie. Mój brat książę Andegaweński pozwala ich mordować, gdyż jest następcą Karola, a pan wiesz, że Karol jest bardzo często słaby. Lecz ja... to zupełnie co innego; ja panować nie będę, przynajmniej we Francji, bo dwóch starszych

braci jest przede mną, a oprócz tego nienawiść, jaką żywi ku mnie moja matka i bracia, jeszcze bardziej usuwa mnie od tronu niż samo prawo natury. Ja, co nie mogę liczyć ani na przywiązanie rodziny, ani na sławę, ani na tron, ja, co mam krew równie szlachetną jak i moi starsi bracia, ja, panie de Mouy, chcę sobie zdobyć tron moją szpadą, tron... w tej Francji, którą oni rozdarli wojnami. Oto czego żądam, de Mouy. Słuchaj mnie. Chcę zostać królem Nawarry nie przez urodzenie, lecz przez elekcję. Nie możesz mi nic zarzucić, nie chcę bowiem być przywłaszczycielem. Mój brat nie chce przyjąć twojej ofiary i pogrążywszy się w opieszałości, oświadcza, że królestwo Nawarry jest czczym marzeniem. Pan, trzymając z Henrykiem Nawarskim, nic z tego nie masz. Połączywszy się zaś ze mną, mieć będziesz szpadę i imię. Franciszek d'Alencon, księżę krwi, zasłoni wszystkich twoich towarzyszy i spiskowców; nazwij ich zresztą, jak ci się podoba. No i cóż, panie de Mouy, cóż powiesz na to?

— Zdziwiłeś mnie, panie.

— De Mouy, de Mouy, będziemy musieli wiele przeszkód pokonać. Nie bądź więc na pierwszy raz tak wymagający względem syna i brata królewskiego, skoro ten oddaje ci się zupełnie.

— Panie! Gdyby to wszystko ode mnie zależało, przymierze już byłoby zawarte; lecz my mamy radę, a jakkolwiek twoja propozycja jest olśniewająca, może też właśnie z tego powodu naczelnicy mojej partii nie przyjmą jej bez pewnych warunków.

— A, to zupełnie co innego; jest to odpowiedź serca prawego i wytrawnego rozumu. Po moim występkę, de Mouy, możesz także wnioskować o mej uczciwości. Obchodź się więc ze mną jak z człowiekiem, którego poważają, a nie jak z księciem któremu pochlebiają.

— Skoro wymagasz ode mnie, iżbym objawił swe zdanie, daję ci, panie, słowo, że od czasu, jak król Nawarry odrzucił moją propozycję, zupełna pewność powodzenia znajduje się po stronie Waszej Księżęcej Mości. Lecz powtarzam ci, księżę, muszę się porozumieć z członkami naszej rady.

— Uczyni to — odpowiedział d'Alencon. — A kiedy będę mógł otrzymać odpowiedź?

De Mouy milcząc popatrzył na niego. Następnie, jak gdyby coś sobie postanowił, rzekł:

— Daj mi swą dłoń, księżę. Ręka księcia krwi musi dotknąć mojej, iżbym był pewny, że nie będę zdradzony.

Księżę nie tylko podał rękę, lecz nawet uściśnął dłoń de Mouya.

— Teraz jestem zupełnie spokojny — powiedział miody hugenot. — Gdyby nas odkryto, powiem, że księżę nie należał do spisku, inaczej Wasza Księżęca Mość mógłbyś być skompromitowany!

— I na cóż mi o tym mówisz, de Mouy? Powiedz raczej, kiedy przyniesiesz mi odpowiedź od twych przywódców.

— Pytając mnie, jak prędko przyniosę odpowiedź, pytasz tym samym, gdzie są moi przywódcy, a gdybym ci odpowiedział:

„dzisiaj wieczorem”, wiedziałbyś, że ukrywają się oni w Paryżu.

Mówiąc te słowa de Mouy spojrział przenikliwym wzrokiem na księcia.

— A, a! — odparł księżę — a więc jeszcze wątpisz, panie de Mouy. Lecz prawda, od pierwszego razu nie mogę od ciebie wymagać zupełnego zaufania. Z czasem poznasz mnie lepiej. Później zostaniemy związani wspólnością jednej sprawy, a wtedy podejrzliwość twoja upadnie. Mówisz więc, że dzisiaj wieczorem?

— Tak, panie ponieważ nie ma ani chwili do stracenia. Dzisiaj wieczorem przyniosę odpowiedź. Lecz gdzie mam cię szukać?

— W Luwrze, tutaj w tym pokoju.

— Lecz ten pokój jest zajęty — powiedział de Mouy, spostrzegłszy dwa łóżka stojące naprzeciwko siebie.

— Tak jest, mieszka tutaj dwóch moich dworzan.

— Mości księżę, zdaje mi się, że nie bardzo będzie dla mnie bezpieczne powrócić do Luwru.

— Dlaczego?

— Ponieważ skoro pan mnie poznałeś, inni, mający tak dobry wzrok jak Wasza Księżęca Mość, mogą mnie również poznać. Powrócę dzisiaj do Luwru, lecz jeżeli dasz mi to, czego będę wymagał.

— Czegoż chcesz?

— Karty bezpieczeństwa.

— De Mouy! — odpowiedział księżę — karta bezpieczeństwa przeze mnie wydana, a u ciebie znaleziona i mnie by zgubiła, i ciebie by nie uratowała. Mogę wiązać się z tobą tylko pod warunkiem, że w czyjejkolwiek obecności będziemy względem siebie jak obcy. Jeżeli najmniejszy kontakt z tobą odkryje moja matka lub moi bracia, zginę niechybnie. Mój własny interes jest dla ciebie obroną. Wolny w sferze mych działań, silny, dopóki nie odkryją moich knowań, ręczę za ciebie, nie zapominaj o tym. Odwołaj się więc jeszcze raz do mego męstwa, odważ się na moje słowo uczynić to, coś się odważył uczynić polegając na słowie mego brata. Przyjdź dzisiaj wieczorem do Luwru. Czekam cię.

— Lecz jakże mogę przyjść? W pokojach nie mogę się pokazać w tym ubraniu. Moje własne nadaje się do przedpokojów i podwórzy, to zaś, które mam na sobie, jest bardzo niebezpieczne. Wszyscy mnie tutaj znają i ten ubiór nie może mnie ukryć.

— Sam już o tym myślałem, zaczekaj... Zdaje mi się, że... lecz tak, samej rzeczy.

Księżę spojrział dokoła, a jego wzrok spoczął na paradnym stroju La Mole'a, leżącym na poręczu łóżka, to jest na wspaniałym czerwonym płaszczu bramowanym złotem, na toku z powiewającym pawim piórem, otoczonym sznurem stokrotek złotych i srebrnych, i na kaftanie perłowego koloru haftowanym złotem.

— Czy widzisz ten płaszcz, to pióro i ten kaftan? — zapytał księżę — wszystko to należy do pana de La Mole, jednego z moich dworzan, eleganta pierwszej wody. Kostium ten narobił wiele hałasu przy dworze i po nim z daleka poznają pana de La Mole. Dam ci adres krawca, który ten ubiór sporządził; zapłaciwszy mu podwójną cenę, możesz mieć zupełnie taki sam jeszcze dzisiaj wieczorem. Zatrzymaj dobrze w pamięci nazwisko de La Mole'a.

Zaledwie księżę wymówił te słowa, w korytarzu dały się słyszeć kroki, a wkrótce potem klucz wsunął się w zamek.

— Kto tam? — zawołał księżę, zbliżając się do drzwi i zamykając je na zasuwkę. — A to dziwne pytanie — odpowiedział głos za drzwiami. — A ty sam coś za jeden? Zabawna rzecz, przychodzę do siebie, a tu mnie się pytają: „kto tam”!

— A! to ty, panie de La Mole?

— Naturalnie, że ja. Lecz ty, ty kto jesteś?

Podczas gdy de La Mole dawał wyraz zdumieniu, znalazłszy swój pokój zajęty, i gdy usiłował poznać nowego lokatora, księżę d'Alencon żywo się obrócił do de Mouya, trzymając jedną rękę na zamku, a drugą na zasuwce, i zapytał go:

— Czy znasz pana de La Mole?

— Nie, nie znam.

— A on także cię nie zna?

— Sądzę, że nie.

— No to dobrze; zresztą udawaj, że wyglądasz oknem.

De Mouy usłuchał w milczeniu; La Mole ze swej strony zaczął się niecierpliwić i łomotał w drzwi ze wszystkich sił.

Książę jeszcze raz rzucił okiem, na de Mouya, a widząc, że ten stoi do niego tyłem, otworzył drzwi.

— Książę! — zawołał La Mole cofając się ze zdumieniem. — Daruj mi, panie, przebac!

— Nic nie szkodzi, panie. Zdał mi się pański pokój; musiałem tutaj pomówić z pewną osobą.

— Proszę, mości książę, proszę. Bądź tylko łaskaw pozwolić mi wziąć mój płaszcz i kapelusz z łóżka, gdyż i to, i to zgubiłem dzisiejszej nocy na bulwarze de la Greve.

— W rzeczy samej — powiedział książę, uśmiechając się i podając mu sam żądane przedmioty — na pańskich sukniach można widzieć ślady jakiegoś nieładu; zapewne miałeś pan zajście ze złodziejami bardzo natarczywymi.

Młody człowiek skłonił się i wyszedł do przedpokoju, aby się przebrać, wcale nie troszcząc się o to, co książę robi w jego pokoju, w Luwrze bowiem było przyjęte, że książęta przyjmowali różnych gości w pokojach swych dworzan.

De Mouy odwrócił się do księcia i obydwaj zaczęli nadśłuchiwać, czy prędko La Mole przebierze się i wyjdzie. Lecz ten, skoro tylko zmienił strój, sam wybawił ich z kłopotu, gdyż zbliżył się do drzwi i zawołał:

— Przepraszam, czy czasem Wasza Książęca Mość nie spotkałeś hrabiego de Coconnasa?

— Nie, panie hrabio, ale pan de Coconnas miał dzisiaj rano służbę.

— A więc go zamordowano — mówił do siebie La Mole oddalając się. Wkrótce odgłos jego kroków zaczął słabnąć. Książę otworzył drzwi, a przyciągając de Mouya do siebie, powiedział:

— Uważaj, jak on idzie, i staraj się nabrać takich ruchów.

— Będę się o to starał, ile tylko będzie w mojej możliwości. Książę wie jednak, że nie jestem elegantem, lecz żołnierzem.

— W każdym razie czekam na ciebie przed północą w tym korytarzu. Jeżeli pokój moich dworzan będzie wolny, przyjmę cię w nim; w przeciwnym razie poszukamy sobie innego miejsca.

— Dobrze, panie.

— A więc dzisiaj przed północą.

— Tak, przed północą.

— Ach! de Mouy, nie zapomnij też, idąc, mocno machać prawą ręką; jest to ruch właściwy panu de La Mole.

ROZDZIAŁ XXIV

ULICA TIZON I ULICA CLOCHE—PERCÉE

La Mole wybiegł z Luwru i pośpieszył dowiedzieć się czegokolwiek, co by mogło mu posłużyć do odnalezienia biednego hrabiego de Coconnasa.

Najprzód pobiegł na ulicę de l'Arbre-Sec i wstąpił do oberży La Hurière'a, ponieważ de La Mole przypominał sobie, że nieraz powtarzał swemu przyjacielowi pewne zdanie łacińskie, które dowodziło, że Amor, Bakchus i Ceres są bożkami najpierwszych potrzeb człowieka, spodziewał się, że Coconnas, stosując się do rzymskiego przysłowia, zagospodarował się w oberży „Pod Piękną Gwiazdą”, zwłaszcza że nie byłoby nic dziwnego, gdyby to uczynił po nocy tak burzliwej zarówno dla przyjaciela, jak i dla niego.

La Mole nikogo nie zastał u La Hurière'a, który związany umową, dosyć ozięble ofiarował śniadanie, przyjęte jednak i zjedzone przez naszego szlachcica z wielkim apetytem pomimo niepokoju o przyjaciela.

Nasyciwszy żołądek z uszczerbkiem dla ducha; La Mole udał się na dalsze poszukiwania. Poszedł w górę Sekwany, jak mąż, który szuka trupa utopionej żony. Przyszedszy na bulwar de La Greve, poznał miejsce, gdzie przed trzema czy czterema godzinami był napastowany, a znalazł tu nawet kawałek pióra ze swego kapelusza.

Poczucie własności jest wrodzone człowiekowi. La Mole miał z dziesięć piór, z których jedno było lepsze od drugiego; jednak mimo to zatrzymał się, podniósł kawałek pióra i popatrzał nań z żalem. Wtem dały się słyszeć ciężkie kroki i jakiś głos, cokolwiek brutalny, kazał mu ustąpić z drogi. La Mole odwrócił się i spostrzegł lektykę poprzedzaną przez dwóch paziów; towarzyszył jej giermek.

La Mole poznał lektykę i szybko się na bok usunął. Młody szlachcic nie omylił się.

— Pan de La Mole? — ozwał się z głębi lektyki głos pełen słodczy, podczas gdy biała i delikatna rączka odsunęła firanki.

— Tak jest, pani, ja sam — odrzekł La Mole kłaniając się.

— Pan de La Mole z piórem w ręku... — mówiła dalej dama w lektyce — zapewne pan jesteście zakochany i szukasz zatartych śladów?

— Tak, pani — odpowiedział La Mole — jestem zakochany, i to nawet bardzo, lecz w — tej chwili ślady, które znajduję, są moje własne, chociaż ich nie myślałem szukać. Lecz Wasza Królewska Mość pozwoliśz zapytać o swoje zdrowie?

— Mam się bardzo dobrze; zdaje mi się, że nigdy nie byłam zdrowsza. Bez wątpienia pochodzi to stąd, że nie nocowałam w domu.

— A! Wasza Królewska Mość nie nocowałaś w domu — powtórzył La Mole, dziwnie spoglądając na Małgorzatę.

— Tak, i cóż w tym dziwnego?

— Czy wolno mi zapytać, w jakim klasztorze?

— Bez wątpienia, panie, nie ma w tym żadnej tajemnicy. W klasztorze Zwiastowania. Lecz co pan tutaj porabiasz? Wyglądasz na rozgniewanego.

— Szukam mego przyjaciela, który gdzieś przepadł, a szukając go znalazłem to pióro.

— Które należy do niego? Doprawdy, pan mnie przerażasz; to miejsce jest niebezpieczne...

— Uspokój się, Wasza Królewska Mość, pióro to należy do mnie. Zgubiłem je dzisiaj na tym placu, najpóźniej około piątej, ratując się ucieczką przed czterema rozbójnikami, którzy jak się przynajmniej domyślam, chcieli mnie zamordować.

Małgorzata stłumiła wzruszenie.

— Opowiedz mi pan, jak to było?

— Nic prostszego, pani. Była mniej więcej piąta z rana, jak miałem już honor powiedzieć Waszej Królewskiej Mości...

— Jak to! pan o godzinie piątej rano już wyszedłeś?

— Zaraz się wytłumaczę, Wasza Królewska Mość — rzekł de La Mole — ja nie wracałem wcale do domu.

— A! panie de La Mole, powracać do domu o piątej z rana — powiedziała Małgorzata ze złośliwym uśmiechem, który La Mole'owi wydał się czarujący — powracać tak późno! Zasłużyłeś pan na tę karę.

— Ja się też, pani, wcale nie żalę — rzekł La Mole kłaniając się z uszanowaniem. — Nawet gdyby mnie zamordowano, poczytałbym to sobie za niezasłużone szczęście. Jakkolwiek czym wracał do domu wcześniej czy później, dosyć, że z ulicy Mortellerie wypadło na mnie czterech łotrów, uzbrojonych w niezmiernie długie kuchenne noże. Było to bardzo śmieszne, nieprawdaż, pani? Z tym wszystkim, musiałem uciekać, zapomniałem bowiem wziąć szpadę z domu, w którym nocowałem.

— A! teraz rozumiem — zawołała Małgorzata z doskonale udaną naiwnością — a więc szukasz pan swej szpady?

La Mole spojrział na Małgorzatę, jak gdyby się zaczął czegoś domyślać.

— Pani! z ochotą bym powrócił, ażeby odzyskać szpadę gdyż miała wyborną klingę. Lecz nie wiem, gdzie jest ów dom.

— Jak to, panie — zapytała Małgorzata — nie znasz domu, w którym przepędziłeś dzisiejszą noc?

— Nie znam, pani, i niech mnie diabli porwą, jeżeli domyślam się, gdzie się on znajduje.

— A, to rzecz dziwna. Ależ pańskie zdarzenie to cały romans!

— W rzeczy samej, istny romans, jak pani mówisz.

— Opowiedz mi go pan.

— Jest cokolwiek długi.

— Nic nie szkodzi, mam czas.

— Przede wszystkim mój romans jest bardzo nieprawdopodobny.

— I to nic nie szkodzi, mów pan, jestem bardzo łatwowierna.

— Wasza Królewska Mość rozkazuje?

— Tak jest, jeżeli i do tego mój rozkaz jest potrzebny.

— Jestem posłuszny. Wczoraj wieczorem jedliśmy kolację u La Hurière'a.

— Najprzód powiedz mi pan — zapytała Małgorzata — kto zaczął ten La Huridre?

— La Hurière — powiedział La Mole, znowu niedowierzająco spojrzawszy na Małgorzatę — jest właścicielem oberży „Pod Piękną Gwiazdą”, położonej przy ulicy de l'Arbre-Sec.

— Dobrze, widać ją stąd... Otóż jesz pan kolację u La Hurtere'a bez wątpienia ze swoim przyjacielem panem de Coconnasem?

— Tak, pani, z moim przyjacielem de Coconnasem. Wtem wchodzi jakiś człowiek i każdemu z nas wręcza kartkę.

— Czy kartki te były jednakowe? — zapytała Małgorzata.

— Zupełnie jednakowe.

— I cóż zawierały?

— Tylko te wyrazy: „Czekają pana przy ulicy Saint-Antoine, naprzeciwko ulicy de Jouy”.

— A nie było żadnego podpisu? — zapytała Małgorzata.

— Nie, tylko trzy słowa, trzy słowa cudowne, które trzy razy powtórzone znaczą to samo; jednym słowem, potrójne szczęście. — Jakież były owe trzy słowa?

— Eros, Kupido, Amor.

— Prawdziwie, trzy słodkie słowa; a czy też dotrzymały tego, co obiecywały?

— O więcej, pani, sto razy więcej! — zawołał La Mole z zapalem.

— Mów pan dalej, jestem bardzo ciekawa, kto oczekiwał panów na ulicy Saint–Antoine na wprost ulicy de Jouy.

— Dwie garderobiane, z których każda miała w ręku chustkę. Musieliśmy zezwolić na zawiązanie sobie oczu. Wasza Królewska Mość domyślasz się, że się temu wcale nie opieraliśmy i śmiało ugięliśmy karków. Moja przewodniczka poprowadziła mnie na lewo, przewodniczka zaś mego przyjaciela poprowadziła go na prawo. Tak więc rozstaliśmy się.

— Następnie?... — podchwyciła Małgorzata, widocznie chcąc się wywiedzieć o wszystkim.

— Nie wiem, dokąd przewodniczka zaprowadziła mego przyjaciela. Być może do piekła. Co do mnie, wiem tylko, że moja zaprowadziła mnie do raju.

— I bez wątpienia wypędzono pana z niego za nieumiarkowaną ciekawość?

— Tak jest, masz pani dar odgadywania. Z niecierpliwością oczekiwałem dnia, ażeby się dowiedzieć, gdzie jestem. Lecz po godzinie czwartej taż sama garderobiana powróciła, znowu zawiązała mi oczy i otrzymawszy ode mnie zapewnienie, że nie podniosę zasłony, wyprowadziła mnie z domu, towarzyszyła mi ze sto kroków i na koniec kazawszy przysiąc, że ujdę jeszcze pięćdziesiąt kroków nie zdejmując przepaski, zniknęła. Naliczyłem pięćdziesiąt i znalazłem się na ulicy Saint–Antoine, na wprost ulicy de Jouy. Tutaj, pani, znalazłem część mego pióra; zdrząłem z radości i podniosłem je, ażeby schować na wieczną pamiątkę tej rozkosznej nocy. Jedynie niepokój o przyjaciela zakłóca moje szczęście.

— A więc on nie powrócił do Luwru?

— Niestety; nie powrócił, pani. Szukałem go wszędzie, gdzie tylko spodziewałem się go zastać. Byłem „Pod Piękną Gwiazdą”, w sali gry w piłkę i w innych zaszczytnych miejscach, lecz nie znalazłem Annibala, a tym bardziej Coconnasa.

Przy tych słowach La Mole gestem wyrażającym rozpacz odrzucił płaszcz z ramienia, na którym przez podarte bufy kaftana można było widzieć podszewkę.

— Lecz wszystko na panu jest poszarpane — powiedziała Małgorzata.

— Tak jest, poszarpane — odrzekł La Mole, gdyż przykro mu było robić sobie zasługę z wypadku, dla uniknięcia którego musiał się ratować ucieczką. — Patrz, pani.

— Dlaczegoż pan nie zmieniłeś kaftana w Luwrze, kiedyś tam powrócił? — zapytała królowa.

— Ponieważ — powiedział La Mole — w moim pokoju był ktoś.

— Był ktoś u pana w pokoju? — zapytała Małgorzata, w której oczach malowało się najwyższe zadziwienie. — I któż to był?

— Jego Książęca Mość.

— Cicho! — szepnęła Małgorzata.

La Mole zamilkł posłusznie.

— *Qui ad lecticam meam stant?* — zapytała królowa La Mole’a.

— *Duo pueri et unus eques.*

— *Optime, barbari* — powiedziała królowa — *dis, Moles, quem inveneris in cubiculo tuo?*

— *Franciscum ducem.*

— *Agentem?*

— *Nescio quid.*

— *Quo cum?*

— *Cum ignoto.*

— To rzecz szczególna — powiedziała Małgorzata. — A więc nie odnalazłeś jeszcze pana de Coconnasa? — mówiła dalej, wcale nie myśląc o tym, co mówi.

— Nie, pani, co jak już miałem szczęście Waszej Królewskiej Mości oświadczyć, bardzo mnie niepokoi.

— Nie chcę panu przeszkadzać w dalszych poszukiwaniach — rzekła Małgorzata uśmiechając się — zdaje mi się tylko, że przyjaciel pański sam się znajdzie. Zresztą, szukaj go pan!

I królowa położyła paluszek na ustach.

Ponieważ piękna Małgorzata nie powierzyła mu żadnej tajemnicy, nie uczyniła żadnego wyznania, młodzieniec wytłumaczył sobie, że gest ten nie nakazywał milczenia, lecz musiał mieć jakieś inne znaczenie.

Orszak ruszył dalej, a La Mole, nie zaprzestając dalszych poszukiwań, poszedł bulwarem aż do ulicy Long-Pont, prowadzącej na ulicę Saint-Antoine.

Naprzeciw ulicy de Jouy zatrzymał się. Tutaj właśnie poprzedniego dnia wieczorem dwie garderobiane zawiązały oczy jemu i jego przyjacielowi.

Stanął, obrócił się w lewo, odmierzył dwadzieścia kroków; w tym samym kierunku powtórzył to samo i znalazł się przed domem, a raczej przed murem, za którym wznosił się dom. Pośrodku muru były drzwi, gęsto nabite wystającymi gwoździami i opatrzone okienkiem na kształt strzelnicy. Dom ten położony był na ulicy Cloche-Percée, ulicy ciasnej, biorącej swój początek od ulicy Saint-Antoine i przytykającej do ulicy Roi-de-Sicile.

— Tam do kata! — zawołał La Mole — to tutaj... mógłbym na to przysiąc... Wychodząc wyciągnąłem rękę i dotknąłem tych gwoździ; potem zszedłem po dwóch stopniach. Człowiek, który biegł wołając: „Na pomoc”, a którego zabito na ulicy Roi-de-Sicile, właśnie przebiegał wtedy w chwili, kiedy ja stąpnąłem nogą na pierwszy stopień. Zobaczmy.

La Mole zapukał do drzwi. Otworzyły się i jakiś wąsaty odźwierny wysunął głowę.

— *Was ist das?* — zapytał.

— A, zdaje się, że to będzie Szwajcar. Mój przyjacielu — mówił dalej La Mole, przybierając ile możności przyjemny ton głosu — chciałbym odebrać szpadę, którą zostawiłem w tym domu, tu bowiem nocowałem.

— *Ich verstehe nicht!* — odpowiedział odźwierny.

— Moją szpadę — powtórzył La Mole.

— *Ich verstehe nicht* — powtórzył Niemiec.

— Którą zostawiłem... Moją szpadę, którą tutaj zostawiłem...

— *Ich verstehe nicht.*

— W tym właśnie domu, tutaj bowiem nocowałem.

— *Gehe zum Teufel...* I zamknął drzwi.

— O do diabła! — zawołał La Mole — gdybym miał teraz swą szpadę w rękę, z wielkim ukontentowaniem przebiłbym tego łotra... Lecz nic nie szkodzi; mogę mu to samo zrobić jutro.

La Mole poszedł ku ulicy Roi-de-Sicile, obrócił się na prawo, odliczył pięćdziesiąt kroków, znowu obrócił się na prawo i znalazł się na ulicy Tizon, uliczce ciasnej, równoległej do ulicy Cloche-Percée i zupełnie do niej podobnej z wyglądu.

Nie dość na tym: uszedłszy nie więcej jak trzydzieści kroków, znalazł małe drzwi, także nabite wystającymi gwoździami i opatrzone okienkiem na kształt strzelnicy. Drzwi te były w murze i miały dwa stopnie. Młodemu szlachcicowi zdawało się, że ulica Cloche-Percée obróciła się, aby jeszcze raz nasycić się jego widokiem.

Wtedy przyszło mu do głowy, że skręcając na prawo i na lewo mógł się łatwo omylić; zaczął więc pukać do drzwi, mając zamiar znowu powtórzyć te same pytania. Lecz tym razem pomimo pukania nikt nie otworzył.

Dwa lub trzy razy powtarzał swą drogę, aby obejść dom, i nareszcie wpadł na szczęśliwą myśl, że dom miał dwa wyjścia: jedno na ulicę Cloche–Percée, a drugie na ulicę Tizon. Lecz całe to rozumowanie, pomimo logiczności, nie powróciło mu szpady i nie pomogło znaleźć przyjaciela.

Na chwilę przyszła mu do głowy myśl, ażeby sobie kupić nową szpadę i zabić łotra odźwiernego, który uparcie mówił tylko po niemiecku, lecz pomyślał, że jeżeli ów odźwierny był wybrany przez Małgorzatę i jej służył, królowa do wyboru takiego musiała mieć jakieś powody i bez wątpienia byłoby jej przykro utracić swego sługę. A La Mole za nic w świecie nie śmiałby sprawić przykrości Małgorzacie. Obawiając się więc, aby nie ulec tej pokusie, zawrócił do Luwru; było wtedy około drugiej popołudniu.

Ponieważ tym razem zastał swój pokój nie zajęty, mógł więc wejść swobodnie. Jego kaftan w istocie był bardzo podarty, jak to już zauważyła królowa. Zbliżył się więc do swego łóżka, ażeby wziąć inny kaftan koloru perłowego, lecz ku jego wielkiemu zadziwieniu pierwszą rzeczą, którą spostrzegł, była sławna szpada, pozostawiona na ulicy Cloche–Percée.

La Mole wziął ją do ręki i obejrzał na wszystkie strony; szpada rzeczywiście była ta sama.

— A! — zawołał — czy w tym nie ma czasami jakich czarów? Następnie wzdychając dodał:

— Gdybyż biedny Coconnas znalazł się jak ta szpada!

W dwie lub trzy godziny po tym, jak La Mole obszedł dokoła mały domek z dwoma wyjściami, drzwi na ulicę Tizon otworzyły się.

Była godzina mniej więcej piąta wieczorem, a zatem było ciemno.

Kobieta, owinięta długim płaszczem lamowanym futrem, wyszła w towarzystwie służącej przez te drzwi, które jej otworzyła niewiasta lat czterdziestu, i szybko przebiegła na ulicę du Roi–de–Sicile, zapukała do małych drzwiczek w pałacu d’Argenson, które jej otworzono, następnie wyszła przez wielką bramę tegoż pałacu, prowadzącą na ulicę Vieille–Rue–du–Temple; stąd podeszła do ukrytych drzwi w pałacu Gwizjuszów, otworzyła je kluczykiem, który miała przy sobie, i zniknęła.

W pół godziny później młody człowiek z zawiązanymi oczyma wyszedł z tych samych drzwiczek tegoż samego domku, prowadzony przez kobietę, która mu towarzyszyła do zbiegu ulic Geoffroy Lasnier i de la Mortellerie.

Tutaj jego przewodniczka prosiła, ażeby zdjął przepaskę z oczu nie pierwej, aż zrobi pięćdziesiąt kroków.

Młodzieniec najzupełniej zastosował się do jej żądania, naliczył pięćdziesiąt kroków i zdjął chustkę z oczu.

— Do krośet! — zawołał oglądając się dokoła — niech mnie powiesz, jeżeli wiem, gdzie jestem! Godzina szósta! — wykrzyknął licząc uderzenia zegara na wieży Notre–Dame. — A biedny La Mole! co się z nim stało? Pobiegnę do Luwru, może tam się o nim dowiem.

Z tymi słowy Coconnas pędem przebiegł ulicę de la Mortellerie i przybył do Luwru tak szybko, że dobry koń nie dobiegłby prędkiej; w biegu potracił i wywrócił niejednego pocziwego mieszczanina, przechadzającego się przed rzędem sklepów, otaczających plac Baudoyer.

Na podwórzu Coconnas zaczął wypytywać Szwajcara i żołnierza stojącego na warcie. Szwajcar powiedział, że jak mu się zdaje, pan de La Mole powrócił z rana, lecz później nie wychodził wcale. Żołnierz na warcie stał dopiero od półtorej godziny i nikogo nie widział.

Lotem błyskawicy Coconnas dopadł pokoju i szybko otworzył drzwi, lecz w pokoju znalazł tylko podarty kaftan La Mole’a, co podwoiło jego niepokój o przyjaciela. Wtedy pomyślał o szanownym oberżyscie La Hurière; pobiegł więc natychmiast „Pod Piękną Gwiazdę”.

La Hurière widział La Mole’a, ponieważ ten jadł u niego śniadanie. Coconnas zupełnie się uspokoił, a czując, że głód mu dokucza, kazał sobie dać kolację.

Coconnas posiadał dwa warunki konieczne dla apetytu w jedzeniu: był zupełnie spokojny o los swego przyjaciela i miał pusty żołądek; zjadał więc z takim smakiem, że kolacja przeciągnęła się do ósmej wieczorem.

Następnie, wzmocniwszy się dwiema butelkami ulubionego wina andegaweńskiego, które pociągał z upodobaniem, Coconnas znów poszedł szukać przyjaciela, częstując przechodniów pięścią w imię uczucia przyjaźni, które wzmogło się po dobrej kolacji.

Na tym zeszła godzina.

Przez drugą godzinę Coconnas przebiegł wszystkie ulice przytykające do bulwaru de la Greve, ulicę Saint-Antoine i ulice Tizon i Cloche-Percée, dokąd, jak się spodziewał, mógł powrócić La Mole.

Na koniec Coconnas pomyślał, że jest miejsce, którego La Mole nie może ominąć, to jest brama Luwru; postanowił więc czekać w tej bramie, dopóki przyjaciel nie powróci.

Nie był już dalej niż sto kroków od Luwru i pomagał podnieść się damie, której męża wywrócił na placu Saint-Germain-l'Auxerrois, kiedy nagle przed sobą, przy niepewnym świetle latarni, tuż przed zwodzonym mostem Luwru, spostrzegł czerwony płaszcz i białe pióro przyjaciela, który podobny do cienia zniknął pod sklepieniem bramy, skinąwszy głową żołnierzowi oddającemu wojskowe honory.

Słynny czerwony płaszcz sprawił na wszystkich takie wrażenie, że niepodobieństwem było się omylić.

— Do kroćset! — zawołał Coconnas — to on, on sam, niezawodnie powraca do domu. EL. e!... La Mole, przyjacielu. Cóż u diabła! przecież mam dobry głos. Dlaczego on nie słyszy? Lecz na szczęście nogi mam równie dobre jak i głos donośny; dogonię go.

Zaczął więc biec ze wszystkich sił i za chwilę dopadł do Luwru. Lecz chociaż pośpieszał, czerwony płaszcz, także widocznie się śpiesząc, zniknął w sieni w tej samej chwili, kiedy Coconnas wbiegł na podwórze.

— La Mole — zawołał Coconnas nie przestając biec — zaczekaj, to ja, Coconnas! Czy cię diabli niosą? Uciekasz przed kim? Jesteś w niebezpieczeństwie?

W rzeczy samej czerwony płaszcz nie wszedł na piętro, lecz jak gdyby wzniósł się na skrzydłach.

— A! więc nie chcesz na mnie zaczekać — wołał Coconnas. — Gniewasz się na mnie! No to dobrze!

Wszystkie te okrzyki Coconnas miotał z dołu; przestał bowiem gonić uciekającego, nie przestając jednakże śledzić go oczyma. Tymczasem czerwony płaszcz dopadł piętra, na którym były pokoje Małgorzaty.

Nagle z tych pokoi wyszła kobieta i schwyciła uciekającego za rękę. — Aha! — mówił Coconnas — czy to czasem nie królowa Małgorzata? Czekano na niego. To zupełnie co innego; teraz rozumiem, dlaczego mi nie odpowiedział.

I Coconnas nachylił się ku poręczy schodów, zatapiając wzrok w przestrzeni otwartej pomiędzy schodami.

Po cichej wymianie słów czerwony płaszcz zniknął w pokojach królowej.

— Dobrze! dobrze! — mruknął Coconnas — to już aż do tego doszło. A więc się nie omyliłem. Zdarzają się chwile, kiedy obecność najbardziej zaufanego przyjaciela jest nieznośna. Kochany La Mole jest właśnie w takiej sytuacji.

I Coconnas po cichu wszedł na schody, usiadł na sofie aksamitnej, mówiąc sam do siebie:

— Niech i tak będzie! Zaczekam, lecz zdaje mi się, że jest u królowej Nawarry; wypadnie więc może długo czekać... A, jak zimno... Pójdźmy... mogę zaczekać na niego u siebie w pokoju. Przecież musi kiedyś przyjść do domu.

Zaledwie wymówił te słowa i właśnie kiedy zabierał się spełnić swój zamiar, ponad jego głową dały się słyszeć kroki, lekki szelest i ulubiona śpiewka jego przyjaciela.

Coconnas natychmiast nadstawił ucha w stronę, skąd dochodził odgłos kroków i śpiewka.

Był to La Mole, wychodzący z wyższego piętra, na którym znajdował się jego pokój, a spostrzegłszy przyjaciela zaczął biec ku niemu po cztery schody i w chwilę później rzucił się w jego objęcia.

— O! do kroćset! to ty — zawołał Coconnas — skąd, u diabła, wyszedłeś?

— Z ulicy Cloche–Percée.

— Ale nie. Nie o to cię pytam...

— A o co?

— Czy od królowej?!

— Od królowej?

— No tak, od królowej Nawarry.

— Ja u niej wcale nie byłem.

— Jak to?

— Kochany Annibalu — powiedział La Mole — bredzisz. Wyszedłem z mego pokoju, gdzie czekałem na ciebie ze dwie godziny.

— Wyszedłeś ze swego pokoju?

— Tak jest.

— Więc to nie ciebie goniłem przez podwórze Luwru?

— Kiedy?

— Przed chwilą.

— Nie.

— I ty nie zniknąłeś przed bramą Luwru przed dziesięciu minutami?

— Nie.

— A nie pędziłeś po tych schodach, jakby cię gonił cały pułk diabłów?

— Nie.

— O, do kroćset! — zawołał Coconnas — przecież wino spod „Pięknej Gwiazdy” nie jest tak mocne, ażeby mi aż do tego stopnia mogło zawrócić głowę! Mówię ci, zem poznał twój czerwony płaszcz i białe pióro w bramie Luwru, zem cię gonił aż do tych schodów, gdzie na twój płaszcz, twoje pióro i twój ruch ręki czekała jakaś kobieta, która, mam podejrzenie, była królową Nawarry. Kobieta owa wprowadziła cię przez te drzwi prowadzące, jeżeli się nie mylę, do mieszkania pięknej Małgorzaty.

— Na Boga! — zawołał La Mole blednąc — czyżby jaka zdrada?

— Na honor! — powiedział Coconnas — sądz o tym, jak chcesz, ale ja ci powiem, że się nie mylę.

La Mole chwilę się zawahał, ścisnąwszy głowę rękoma, a zazdrość walczyła w nim z szacunkiem dla królowej.

Zazdrość jednak wzięła górę: rzucił się ku drzwiom i zaczął w nie łomotać ze wszystkich sił.

— Zaaresztuj nas — rzekł Coconnas — lecz wszystko jedno! Przyznam ci się, że to dość zabawne. Powiedz mi, mój przyjacielu, czy czasem po. Luwrze nie błądzą upiory?

— Nie wiem — odpowiedział młodzieniec, blady jak pióro ocieniające jego czoło — wiem tylko, że już dawno chciałem spotkać upiора. Otóż trafia mi się dobra sposobność; uczynię wszystko, ażeby się z nim spotkać oko w oko.

— Nie mam nic przeciwko temu — rzekł Coconnas — lecz nie pukaj tak mocno, gdyż możesz upiора rozniewać.

La Mole, pomimo wściekłości, pojął słuszność tej uwagi i zaczął pukać ciszej.

ROZDZIAŁ XXV

CZERWONY PŁASZCZ

Coconnas nie omylił się.

Dama, która zatrzymała człowieka w czerwonym płaszczu, była królową Nawarry. Kawalerem zaś, jak to zapewne czytelnik już się domyślił, był waleczny de Mouy.

Poznawszy królową, de Mouy pojął, że zachodzi tu jakieś nieporozumienie, lecz nie śmiał wyrzec ani słowa, obawiając się, aby Małgorzata nie krzyknęła i tym sposobem nie wydała go. Z tego powodu uznał za konieczne udać się z nią w głąb jej pokoi, aby tam jej powiedzieć: „Pani, milczenie za milczeniem”. Królowa lekko ścisnęła go za rękę, w ciemności biorąc go za hrabiego de La Mole, i nachyliwszy mu się do ucha, powiedziała po łacinie:

— Jestem sama; wejdź, mój przyjacielu.

De Mouy, milcząc, udał się za nią, lecz zaledwie drzwi się zamknęły i znalazł się w przedpokoju Małgorzaty, oświetlonym lepiej aniżeli schody, królowa poznała, że to nie La Mole. Lekki krzyk, którego się tak obawiał roztropny hugenot, wyrwał się z piersi Małgorzaty.

— Pan de Mouy! — zawołała cofając się o krok.

— Tak jest, pani. Pozwól mi Wasza Królewska Mość wyjść, błagam cię, i nie mów nikomu o mojej bytności w Luwrze.

— O! panie de Mouy... — wyszeptła Małgorzata — omyliłam się.

— Tak jest, rozumiem — odpowiedział de Mouy. — Wasza Królewska Mość wzięłaś mnie za króla Nawarry; w samej rzeczy, jestem z nim jednego wzrostu, noszę takie samo jak on pióro, co więcej, ci, co mi pochlebiają, mówią, że mam te same ruchy co i król Nawarry.

Małgorzata spojrzała na de Mouya wzrokiem badawczym.

— Czy umiesz po łacinie, panie de Mouy? — zapytała.

— Kiedyś umiałam — odrzekł hugenot — ale teraz już zapomniałem. Małgorzata uśmiechnęła się.

— Panie de Mouy — powiedziała — możesz być pewny mojego milczenia. A teraz, ponieważ wiem, kogo pan szukasz w Luwrze, bezpiecznie zaprowadzę cię do niego.

— Daruj, pani — odrzekł de Mouy — sądzę, że Wasza Królewska Mość mylisz się. Pani wcale nie wiesz...

— Jak to! — zawołała Małgorzata — czy pan nie idziesz do króla Nawarry?

— Bardzo mi przykro, że jestem zmuszony prosić Waszą Królewską Mość, ażeby moją obecność w Luwrze raczyła ukryć przede wszystkim przed swym małżonkiem.

— Posłuchaj, panie de Mouy — powiedziała zdumiona Małgorzata — dotychczas uważałam pana za jednego z nieuleknionych przywódców hugenotów, za jednego z najwierniejszych stronników mego męża. Czyżbym miała się omylić?

— Nie, pani, jeszcze dzisiaj rano byłem nim.

— I cóż pana od tego czasu zmieniło?

— Uwolnij mnie, Wasza Królewska Mość, od odpowiedzi na to pytanie i pozwól, abym się oddalił.

De Mouy postąpił kilka kroków ku drzwiom. Małgorzata zatrzymała go.

— Lecz jeżeli ośmielę się pana prosić, ażebyś mi się wytłumaczył? Zdaje mi się, że na tym słowie można polegać.

— Pani! — odrzekł de Mouy — jestem zmuszony milczeć. Mam przyczyny, dla których nie Waszej Królewskiej Mości powiedzieć nie mogę.

— Jednakże, panie...

— Wasza Królewska Mość możesz mnie zgubić, lecz nie możesz wymagać, iżbym zdradzał mych obecnych przyjaciół.

— Więc starzy przyjaciele nie mają już do pana żadnego prawa?

— Ci, co pozostali wierni, są nimi zawsze, lecz ci, co nie tylko nas zdradzili, lecz i zgubili się sami — ci utracili to prawo zupełnie.

Małgorzata, zdumiona i niespokojna, bez wątpienia zadałaby jeszcze niejedno pytanie, lecz w tej chwili wbiegła Gillonna.

— Król Nawarry! — zawołała.

— Które dy idzie?

— Korytarzem tajemnym.

— Zaprowadź go do drugich drzwi.

— Nie można, pani! O!... ktoś puka.

— Kto by to mógł być?

— Nie wiem.

— Zobacz i powiedz mi.

— Pani! — rzekł de Mouy — śmiem uczynić Waszej Królewskiej Mości uwagę, że jeżeli król Nawarry zobaczy mnie w Luwrze w tej chwili i w tym ubraniu — zginąłem.

Małgorzata schwyciła de Mouya za rękę i pociągnęła go ku znanemu nam gabinetowi.

— Wejdz pan tu — rozkazała. — Tutaj będziesz tak bezpieczny jak w swym własnym domu. Ręczę moim słowem.

De Mouy spiesznie rzucił się do gabinetu, a za ledwie zdołał zamknąć za sobą drzwi, wszedł Henryk.

Tym razem Małgorzata była zupełnie spokojna, jednakże twarz miała zaszępioną, miłość zaś daleko uleciała z jej myśli.

Henryk wszedł z niedowierzaniem, które w chwilach niebezpieczeństwa zmuszało go do podchwytywania najmniejszych pozorów; był zaś ostrożniejszy w tym czasie niż zwykle.

Od razu dostrzegł chmurę na czole Małgorzaty.

— Pani byłaś zajęta? — zapytał.

— Ja? Tak... marzyłam.

— Masz pani słuszność, bardzo z tym pani do twarzy. I ja także marzyłem; lecz pani, marząc, szukasz samotności, gdy tymczasem ja przyszedłem podzielić z tobą moje marzenia.

Małgorzata poprosiła króla, aby usiadł, i sama usiadła na hebanowym krześle, kosztownie rzeźbionym. Kilka chwil milczeli oboje; Henryk pierwszy przerwał milczenie.

— Już wspomniałem — powiedział — że moje plany na przyszłość zupełnie się zgadzają z planami pani i chociaż nie mamy nic wspólnego z sobą jako mąż i żona, jednakże chcemy oboje przyszły los połączyć.

— To prawda.

— Zdaje się, że się także nie omylił spodziewając się, że do wykonania planu, jakkolwiek byłby, a który ja ułożyłem w celu naszego wspólnego wywyższenia, znajdę w pani nie tylko wiernego, lecz i czynnego sprzymierzeńca. — Tak jest, Najjaśniejszy Panie, upraszam cię tylko o to, ażebyś przystąpił do dzieła jak najprędzej i dał mi sposobność przyjąć uczestnictwo w jego wykonaniu.

— Bardzo jestem zadowolony z pani gotowości i spodziewam się, żeś ani na chwilę nie wątpiła, iż nie stracę z uwagi planu obmyślanego przeze mnie właśnie tego samego dnia, kiedy dzięki ostrzeżeniu pani dowiedziałem się, że życie moje znajduje się w niebezpieczeństwie.

— Wiem, panie, że twoja beztroska jest jedynie maską; wierzę zaś nie tylko w przepowiednie astrologów, lecz w siłę twego umysłu, Najjaśniejszy Panie.

— Cóż byś jednak powiedziała, pani, gdyby ktoś chciał stanąć na przeszkodzie wykonania naszych planów i odgrażał się, że nas umieści na stanowisku, na którym nawet nie moglibyśmy się bronić?

— Powiedziałabym, że jestem skłonna walczyć razem z tobą przeciw temu, kto by jawnie wystąpił, bądź przeciw działającemu skrycie.

— Pani! — rzekł Henryk — wszak możesz w każdej chwili widzieć się z twoim bratem, księciem d'Alencon, nieprawdaż? On wierzy pani i żywi dla cię szczerą przyjaźń. Śmiem więc panią upraszać, iżbyś się raczyła od niego dowiedzieć, czy nie ma właśnie w tej chwili jakiejś tajemnej schadzki.

Małgorzata zadrżała.

— Z kim? — zapytała.

— Z panem de Mouyem.

— Dlaczego? — zapytała Małgorzata usiłując stłumić wzruszenie.

— Dlatego, że jeżeli to prawda, w takim razie możemy się pożegnać ze swoimi planami, przynajmniej ja żegnam się z moimi.

— Najjaśniejszy Panie, mów ciszej — powiedziała Małgorzata wskazując palcem na drzwi gabinetu.

— O, o! — zawołał Henryk — znowu ktoś? Doprawdy, ten gabinet tak często miewa gości, że jest niepodobieństwem przychodzić do pani.

Małgorzata uśmiechnęła się.

— I zawsze ów pan de La Mole? — zapytał Henryk.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, tym razem jest tam pan de Mouy.

— On! — zawołał Henryk zadziwiony i uradowany — a więc nie jest u księcia d'Alencon? Zawołaj go tutaj, pani; chcę z nim pomówić...

Małgorzata poszła do gabinetu, otworzyła drzwi, wzięła de Mouya za rękę i przyprowadziła go przed króla Nawarry.

— A! pani — rzekł młody hugenot z szyderstwem, lecz więcej smutnym aniżeli cierpkim tonem — zdradasz mnie, nie uważając wcale na dane mi słowo, to źle. Co byś, pani, powiedziała, gdybym chcąc się zemścić, odparł...

— Pan się nie będziesz mścił — przerwał Henryk ściskając rękę hugenota — lub przynajmniej wprzód wysłuchasz mnie... Pani — mówił dalej Henryk obracając się do królowej — bądź łaskawa, pilnuj, ażeby nas kto nie podsłuchał.

Zaledwie Henryk wymówił te słowa, wpadła do pokoju zatrwożona Gillonna i powiedziała coś do ucha Małgorzacie. Małgorzata natychmiast wstała i wyszła z Gillonną do przedpokoju.

Henryk tymczasem, nie zwracając uwagi na to, co ją mogło zmusić do wyjścia, oglądał łóżko, firanki, portiery i macał nawet rękoma po ścianach. De Mouy, wskutek przedsiębranych przez króla Nawarry środków ostrożności, spróbował, czy jego szpada wyjmuje się z pochwy.

Małgorzata, wyszedłszy z sypialni, pobiegła do przedpokoju, gdzie znalazła się oko w oko z La Mole'em, który nie zważając na prośby Gillonny gwałtem chciał wejść do pokoju Małgorzaty.

Za nim stał Coconnas, gotów popchnąć go naprzód lub zabezpieczyć mu odwrót.

— A! to pan de La Mole; lecz co się panu stało? Pan jesteś błądy, drżysz...

— Pani — powiedziała Gillonną — pan de La Mole tak mocno stukał do drzwi, że nie zważając na rozkaz Waszej Królewskiej Mości, byłam zmuszona otworzyć.

— O! o! cóż to znaczy? — zapytała królowa surowo — czy to prawda, panie de La Mole?

— Pani, chciałem Waszą Królewską Mość ostrzec, że jakiś nieznajomy, może morderca, wszedł tutaj do niej w moim płaszczu i w mojej czapce.

— Chyba pan oszalałeś — powiedziała Małgorzata — wszak widzę pański płaszcz na twoich ramionach, jeżeli się nie mylę, i czapkę masz pan na głowie, mimo iż mówisz z królową.

— O! daruj, pani, daruj! — zawołał La Mole szybko zdejmując czapkę. — Bóg świadkiem, żem tego nie uczynił przez nieuszanowanie.

— Lecz z powodu braku zaufania, nieprawdaż?

— Zrozum mnie, pani! — zawołał La Mole. — Kiedy u Waszej Królewskiej Mości znajduje się mężczyzna, kiedy ten mężczyzna wszedł tu w moim ubraniu, a może i pod moim nazwiskiem?...

— Mężczyzna! — powiedziała Małgorzata, z lekka ściskając rękę swego kochanka — mężczyzna! Jesteś skromny, panie de La Mole. Spójrz pan za portierę, a zobaczysz dwóch mężczyzn.

I Małgorzata odsunęła aksamitną portierę, haftowaną złotem.

La Mole zobaczył Henryka rozmawiającego z człowiekiem w czerwonym płaszczu.

Coconnas, dręczony ciekawością, także zajrzał i poznał de Mouya; obydwaj przyjaciele stanęli jak wryci.

— Spodziewam się — rzekła Małgorzata — że jesteś pan spokojny, panie de La Mole. Teraz zaś stań pan przy drzwiach mego pokoju i nikogo nie wpuszczaj. Gdyby ktokolwiek szedł po schodach... daj mi pan znać.

La Mole, pokorny jak dziecko, wyszedł patrząc z zadziwieniem na hrabiego de Coconnas, również zdziwionego.

— De Mouy! — zawołał Coconnas.

— Henryk! — mruknął La Mole.

— De Mouy w twoim czerwonym płaszczu i czapce z białym piórem.

— Tak, ale... — odpowiedział La Mole — ręczę ci, że jeżeli nie idzie tu o miłość, to niezawodnie o jakiś spisek.

— A! do krośset! Znowuśmy wleźli w politykę — rzekł ze złością Coconnas. — Szczęście, że księżna de Nevers nie jest w to wplątana.

Małgorzata tymczasem powróciła do swego pokoju i usiadła obok rozmawiających. Jej nieobecność nie była dłuższa nad minutę, a jednak dobrze użyła tego czasu.

Gillonna strzegła tajemnego wejścia. La Mole zaś i Coconnas strzegli głównego; było więc zapewnione zupełne bezpieczeństwo.

— Pani! — zapytał Henryk — czy czasem nie mogą nas tu podsłuchać?

— Najjaśniejszy Panie — odparła Małgorzata — pokój ten cały jest wybity materacami, a podwójne filtrowanie czyni niepodobnym odbicie głosu.

— Chcę pani wierzyć — odpowiedział Henryk z uśmiechem. Następnie zwrócił się de Mouya:

— Chciałbym też wiedzieć — dodał zniżając głos, jakby mimo zapewnienia Małgorzaty jego obawa wcale nie zniknęła — co pan tutaj robisz.

— Tutaj? — odrzekł de Mouy.

— Tak jest, tu, w tym pokoju — powtórzył Henryk.

— Pan de Mouy wcale nie miał zamiaru przyjść tutaj — powiedziała Małgorzata — ja go tu sama wprowadziłam.

— Wiedziałaś więc, pani?

— Domyślałam się wszystkiego.

— Widzisz, panie de Mouy, że można się domyślić.

— Pan de Mouy — mówiła dalej Małgorzata — był dzisiaj rano u księcia Franciszka, w pokoju dwóch jego przybocznych dworzan.

— Widzisz więc, panie de Mouy — powtórzył Henryk — że wszystko jest nam wiadome.

— Prawda — odpowiedział de Mouy.

— Byłem pewny — rzekł Henryk — że pan d'Alencon zechce cię pozyskać.

— Najjaśniejszy Panie, to ty sam jesteś temu winien. Dlaczego tak uparcie odrzucałeś moje propozycje?

— A więc pan je odrzuciłeś! — zawołała Małgorzata. — Przeczuwałam to; nie omyliłam się więc.

— Pani — powiedział Henryk potrząsając głową — i twoje, mężny de Mouy, narzekania pobudzają mnie do śmiechu. Jak to! Wchodzi do mnie człowiek i zaczyna mi mówić o tronie, o powstaniu, o rewolucji, mówić mnie, Henrykowi, władcy cierpianemu tylko pod tym warunkiem, ażeby siedział spokojnie, hugenotowi oszczędzonemu tylko pod warunkiem, ażeby udawał katolika. I oni chcą, żebym ja przyjął jego namowy, podawane mi w pokoju nie wybitym materacami i nie mającym podwójnych futrowań? Albo jesteście dziećmi, albo szalonymi!

— Lecz czyż, Najjaśniejszy Panie, nie mogłeś mi dać jakiegokolwiek nadziei, jeżeli nie słowami, to przynajmniej znakiem?

— Co ci, panie de Mouy, powiedział mój szwagier? — zapytał Henryk. — Najjaśniejszy Panie, to nie moja tajemnica.

— E, mój Boże — rzekł Henryk z niecierpliwością — nie pytam pana, co ci proponował, lecz chcę wiedzieć tylko, czy mój szwagier słuchał i słyszał.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, słuchał i słyszał.

— Słuchał i słyszał? Więc sam się pan do tego przyznajesz, panie de Mouy. Jesteś niefortunnym spiskowcem; gdybym wyrzekł jedno słowo, zginąłbyś. Nie wiedziałem, lecz miałem podejrzenie, że on podsłuchiwał, a jeżeli nie on, to kto inny: księżę Andegaweński, Karol IX, królowa-matka. Nie znasz ścian Luwru, panie de Mouy. Wszakże to dla murów Luwru wynaleziono przysłowie: „Ściany mają uszy”. Znając te mury, cóż miałem mówić? O! Panie de Mouy, niewielkie pan masz wyobrażenie o przenikliwości króla Nawarry i dziwię się, jak pan, stawiając go w moim mniemaniu tak nisko, mogłeś mu ofiarować koronę...

— Lecz, Najjaśniejszy Panie — powtórzył znowu de Mouy — wymawiając się od przyjęcia tej korony, mogłeś jednakże dać mi znak jaki. Nie zniechęciłbym się wtedy i nie uznałbym wszystkiego za stracone.

— E! — zawołał Henryk. — Jeżeli kto słyszał, równie łatwo mógł widzieć; znak mógłby mnie tak samo zgubić jak i wyrzeczone słowo. Nawet w tej chwili — ciągnął oglądając się na wszystkie strony — mówię tak cicho, że zdaje mi się, iż tylko my troje powinniśmy słyszeć, a jednak obawiam się, ażeby nie podsłuchano tych moich słów; de Mouy, powtórz mi swoje warunki.

— Ależ, Najjaśniejszy Panie! — zawołał de Mouy z rozpaczą — teraz już jestem stronnikiem pana d'Alencon.

Małgorzata gestem okazała swoje oburzenie.

— A więc już za późno — powiedziała królowa Nawarry.

— Przeciwnie — wyszeptał Henryk — czyż nie pojmujecie, że nawet w tym przypadku jawnie okazuje się łaska Boga? Panie de Mouy, pozostań w związku z księciem Franciszkiem, będzie on naszą ucieczką. Czyż myślisz, że król Nawarry może ręczyć za wasze głowy? Przeciwnie, nieszczęśliwi! Za najmniejszym podejrzeniem pozwolę was wyrzucić co do nogi. Lecz francuski księżę krwi to zupełnie co innego. De Mouy, wymagaj od niego rękojmi

bezpieczeństwa; coś mi się jednak zdaje, żeś mu się oddał z duszą i zapewne poprzestałeś na jego słowie.

— A! Najjaśniejszy Panie — zawołał de Mouy — wierz mi, że tylko rozpacz rzuciła mnie w objęcia księcia, rozpacz, która mną oświadczyła po twojej odmowie. Oprócz tego i obawa, ażeby nie być wydanym... on bowiem znał naszą tajemnicę.

— Teraz ty znasz jego tajemnicę, korzystaj więc z tego, de Mouy. Czego on chce? Zostać królem Nawarry! Ofiaruj mu koronę. Opuścić chce dwór! Przygotuj mu środki do ucieczki, pracuj dla niego, jakbyś dla mnie pracował, kieruj tą tarczą tak, ażeby wszystkie ciosy, w nas wymierzone, w nią tylko mogły uderzyć. Kiedy będzie nam trzeba uciec, uciekniemy obydwaj. Kiedy będzie potrzeba bić się i panować, ja sam będę panował.

— Nie dowierzajcie księciu — powiedziała Małgorzata — jego ponury i przenikliwy umysł równie jest obcy uczuciu nienawiści, jak przyjaźni. Franciszek zawsze jest gotów obejść się z przyjaciółmi jak z wrogami lub znowu z nieprzyjaciółmi jak z przyjaciółmi.

— Panie de Mouy, czy on na cię teraz czeka?

— Tak jest.

— Gdzie?

— W pokoju swych przybocznych dworzan.

— O której godzinie?

— Będzie na mnie czekał do północy.

— Teraz dopiero jedenasta — rzekł Henryk — a zatem nic straconego; idź do niego, de Mouy.

— Czy możemy dostać pańskie słowo honoru? — zapytała Małgorzata.

— Naturalnie, panu de Mouy możesz bezpiecznie zaufać, pani — powiedział Henryk z nieudaną szczerością, którą tak dobrze umiał okazywać pewnym osobom w pewnych okolicznościach.

— Najjaśniejszy Panie, masz słuszość — odrzekł de Mouy. — Lecz ja ośmielam się wymagać słowa od ciebie, ażebym mógł swoim zwierzchnikom oświadczyć, że ja otrzymałem. Najjaśniejszy Panie, wszak nie jesteś katolikiem?

Henryk potrząsnął głową.

— Najjaśniejszy Panie, wszak nie zrzekasz się korony Nawarry?

— Nie zrzekam się żadnej korony, de Mouy; owszem, postanawiam sobie wybrać lepszą, to jest taką, która by i mnie, i tobie była więcej na rękę.

— A na przypadek uwięzienia Waszej Królewskiej Mości, czy przyobiecujesz mi, Najjaśniejszy Panie, nic nie wydać, nawet gdyby się ośmielono skalać torturą twój majestat królewski?

— Przysięgam na Boga!

— Jeszcze jedno słówko, Najjaśniejszy Panie. Jakim sposobem moglibyśmy się porozumiewać?

— Jutro dostaniesz klucz od mego gabinetu, możesz wchodzić, jak tylko i kiedykolwiek zechcesz. Za twoją obecność w Luwrze odpowiadać będzie d'Alencon. Teraz wyjdź skrytymi schodkami, będę twoim przewodnikiem. Tymczasem królowa wpuści tutaj jakiś czerwony płaszcz jak i twój, który tylko co mogłeś widzieć w przedpokoju. Nikt nie powinien wiedzieć, że są dwa egzemplarze czerwonego płaszcza, nieprawdaż, de Mouy? Nieprawdaż, pani?

I mówiąc to, Henryk spoglądał na Małgorzatę z uśmiechem.

— Tak jest — odpowiedziała królowa. — Pan de la Mole jest w służbie u księcia, mego brata.

— Gdybyś go pani zechciała przeciągnąć na moją stronę — rzekł Henryk poważnie — nie szczędź złota ani obietnic. Wszystkie moje skarby oddaję na pani rozkazy.

— Dobrze!... — odpowiedziała Małgorzata z uśmiechem, właściwym tylko kobietom Boccaccia — użyję do tego wszystkich możliwych środków, skoro jest to wola twoja, Najjaśniejszy Panie.

— Dobrze, dobrze, pani; a ty, panie de Mouy, idź do księcia, podejdź go i wplącz w sieci.

ROZDZIAŁ XXVI

MAŁGORZATA

Podczas rozmowy, którąśmy podali, La Mole i Coconnas stali na warcie. La Mole cokolwiek smutny, Coconnas cokolwiek niespokojny. La Mole musiał rozważyć wiele spraw, w czym Coconnas był dla niego niemałą pomocą.

— Co ty o tym wszystkim myślisz, mój przyjacielu? — zapytał La Mole Piemontczyka.

— Myślę — odpowiedział Coconnas — że w tym ukrywa się jakaś dworska intryga.

— A w przypadku, gdyby cię o to poproszono, czy jesteś gotów odegrać rolę w tej intrydze?

— Mój kochany — odparł Coconnas — wysłuchaj mnie uważnie i z tego, co ci powiem, staraj się wyciągnąć dla siebie korzyść. We wszystkich tych spiskach książęcych, we wszystkich królewskich intrygach możemy być i będziemy zawsze tylko cieniami; a gdzie król Nawarry straci kawałek pióra lub książę d'Alencon kawałek swego płaszcza, tam my stracimy życie. Trać głowę, ale z miłości, mój kochany, lecz nie trać jej wskutek polityki!

Była to roztropna rada.

La Mole słuchał jej z miną człowieka, który będąc zawieszony pomiędzy roztropnością a szaleństwem, wie, że popełni szaleństwo.

— Lecz ja kocham królową, Annibalu, kocham ją i na moje szczęście lub nieszczęście, kocham ją z całego serca. Powiesz mi, że to nedorzecznosc. I ja sądzę, że jestem szalony. Lecz ty, Coconnas, ty, który jesteś roztropany, nie powinienes cierpieć wskutek moich szaleństw i dzielić nieszczęść mnie prześladujących. Wróc więc do księcia i nie wystawiaj się na niebezpieczeństwo.

Coconnas pomyślał chwilę, a następnie, podnosząc głowę, powiedział:

— Masz słusznosc, mój drogi, jesteś zakochany, postępuj więc tak, jak postępują zakochani. Ja zaś jestem dumny; sądzę, że życie jest więcej warte aniżeli uśmiech kobiety. Narażając życie będę żądał za to zapłaty. I ty, biedny Medorze, postaw jakie warunki w zamian za swoje poświęcenie.

Po tych słowach Coconnas, uściskawszy rękę przyjaciela, odszedł, pożegnawszy go spojrzeniem. W kilka minut po tym, jak Coconnas opuścił swoje stanowisko, drzwi otworzyły się i Małgorzata, wyjrawszy z ostrożnością, wzięła pana de La Mole za rękę, a nie mówiąc ani słowa, z korytarza pociągnęła go w głąb apartamentu, zamykając za sobą starannie drzwi, z czego La Mole mógł wnosić, że rozmowa będzie wielkiej wagi.

Powróciwszy do pokoju zatrzymała się, usiadła na hebanowym krześle i wzięwszy hrabiego za obydwie ręce, przyciągając go do siebie, powiedziała:

— Teraz jesteśmy sami, pomówmy więc poważnie, mój przyjacielu.

— Poważnie, pani? — zapytał La Mole.

— Lub otwarcie... zobaczymy, może ci się to lepiej podoba? Wszak będąc w zażyłości, można się dowiedzieć a wielu ważnych sprawach, tym bardziej będąc w zażyłości z królową.

— A więc pomówmy... o tych ważnych sprawach, lecz pod warunkiem, że Wasza Królewska Mość nie będzie się gniewać za moje nedorzeczne odpowiedzi.

— Będę się gniewała tylko w takim razie, La Mole, jeżeli mnie będziesz nazywać panią lub Waszą Królewską Mością. Dla ciebie, mój przyjacielu, jestem tylko Małgorzatą.

— Tak, Małgorzatą, Małgorzatą — zawołał młodzieniec, pożerając królową wzrokiem. — Otóż tak, dobrze — powiedziała Małgorzata — czy jesteś zazdrosny, mój piękny szlachcicu?

— O! Do szaleństwa.

— Tak dalece!...

— Mówię ci, Małgorzato, aż do szaleństwa.

— I o kogóż jesteś zazdrosny?

— O wszystkich.

— Lecz w szczególności?

— Naprzód o króla.

— Sądzę, że po tym wszystkim, coś widział i słyszał, możesz być spokojny z tej strony.

— I o pana de'Mouya, którego widziałem dzisiaj rano po raz pierwszy, a który wieczorem już został dopuszczony do zażyłości z panią!

— Pan de Mouy?

— Tak jest.

— I skądże masz podejrzenia do pana de Mouya?

— Posłuchaj, pani... poznałem go po figurze, po kolorze włosów, po wrodzonemu ku niemu uczuciu nienawiści; on to dzisiaj rano był u księcia d'Alencon.

— Lecz wszystko to jaki ma związek ze mną?

— Tego, wiedzieć nie mogę, lecz w każdym razie, pani, szczerą miłość, taka jak moja, może przynajmniej wymagać szczerości w braku innego uczucia. Jestem u nóg twoich. Jeżeli to, coś czuła do mnie, było uczuciem przelotnym, było kaprysem serca, zwracam ci twoje słowo, twoje przyrzeczenia, podziękuję panu d'Alencon za jego łaski, przestanę u niego służyć i pobiegnę pod La Rochelle na spotkanie śmierci, jeżeli mnie wprzód nie zabije miłość.

Małgorzata z uśmiechem słuchała tych słów wymówionych z zapalem i opuściwszy swą uroczą, zamyśloną główkę na rękę cudownej piękności, powiedziała:

— Kochasz mnie?

— A! Pani, kocham cię nad życie, nad wieczne zbawienie, nad wszystko, lecz ty, ty... czy mnie kochasz?

— Biedny szaleńcze! — szepnęła królowa.

— Tak, pani — zawołał La Mole, ciągle klęcząc u nóg Małgorzaty — powiedziałem ci już, że nim jestem.

— A więc pierwszą potrzebą twego życia jest miłość, kochany La Mole?

— Pierwszą, pani, i jedyną.

— Niech i tak będzie; wszystko zatem pozostałe nie liczy się. A więc kochasz mnie, chcesz na zawsze pozostać ze mną?

— Jedyłą moją prośbą do Boga jest, ażebyśmy się nigdy nie rozłączyli.

— Nie, nigdy się nie rozłączymy; La Mole, jesteś mi potrzebny.

— Ja tobie potrzebny? Czyż słońcu jest niezbędny robaczek świętojański?

— A jeżeli ci powiem, że cię kocham, czy będziesz mi zupełnie oddany?

— Pani, czyż już nie jestem ci, oddany całą duszą?

— Tak, to prawda, lecz zdaje mi się, że jeszcze się wahasz...

— O! To pewna, że jestem niewdzięczny, więcej jeszcze, jestem szalony, jak to już powiedziałem, a pani powtórzyłaś. Lecz po co pan de Mouy był dzisiaj u ciebie wieczorem? Dlaczego widziałem go dzisiaj rano u pana d'Alencon? Na co ten płaszcz czerwony, białe pióro, to naśladowanie moich ruchów?

— Nieszczęsny!... — powiedziała Małgorzata. — Nieszczęsny, kto mniema, że księżę Franciszek posunie swą życzliwość tak daleko, iż sam przyprowadzi go do mnie! Nieroztropny ten, co mówi, że pożera go zazdrość, a nie zna całej prawdy! Czy wiesz, La Mole, że księżę d'Alencon jutro zamordowałby cię własną ręką, gdyby wiedział, że ty w tej chwili jesteś u moich

nóg, a ja zamiast cię wypędzić mówię do ciebie: „Zostań, La Mole, ponieważ cię kocham, mój piękny szlachcicu”; czy słyszysz? Kocham cię! Tak, tak jest, powtarzam ci, że zabiłby cię!

— Wielki Boże! — zawołał La Mole, cofając się i z przestachem patrząc na Małgorzatę. — Czy podobna!

— Mój przyjacielu, w naszych czasach i na tym dworze wszystko jest możliwe. Teraz jedno słówko; de Mouy, w twoim płaszczu i w twoim piórze, przychodził do Luwru wcale nie do mnie, lecz do pana d’Alencon. Ja zaś, wcale o tym nie wiedząc, wzięłam go za ciebie, przyprowadziłam tutaj i co gorsza, przemówiłam do niego, sądząc, że to ty jesteś. Posiada więc naszą tajemnicę, La Mole, trzeba go tedy oszczędzać.

— Raczej zabić — zawołał La Mole — podług mnie byłoby to krócej i pewniej.

— Podług mnie zaś, kochany przyjacielu — powiedziała królowa — lepiej go nie zabijać; wyznam ci wszystko; jego życie nie tylko jest dla nas korzystne, lecz nawet niezbędne. Wysłuchaj mnie, a nim odpowiesz, zważ dobrze każde swoje słowo. La Mole, czy kochasz mnie do tego stopnia, iż będziesz zadowolonym, jeżeli zostanę królową prawdziwego królestwa?

— A! Pani — zawołał La Mole — kocham cię tak, iż ci życzę wszystkiego, czego tylko sama sobie życzyć możesz, chociażby nawet spełnienie twych pragnień uczyniło mnie nieszczęśliwym na całe życie.

— A chcesz mi pomóc w urzeczywistnieniu marzenia, które cię może uczynić jeszcze szczęśliwszym?

— Ach, pani, utracę cię — zawołał La Mole, zakrywając twarz rękoma.

— Nie, przeciwnie; tylko zamiast być moim pierwszym sługą będziesz moim pierwszym poddanym. Otóż i wszystko.

— Precz rachuby... na bok chęci wywyższenia się, pani... nie poniżaj mego uczucia, które ku tobie żywię... tylko zupełnego oddania ci się, tylko tyle i nic więcej nie wymagaj!

— Szlachetne serce — powiedziała Małgorzata. — Tak, dobrze, przyjmuję twoje przywiązanie i będę je umiała cenić.

I królowa podała mu dłonie, które La Mole uściskał w swoich.

— Zgadzasz się więc? — zapytała Małgorzata.

— Zgadzam się — odpowiedział La Mole. — Tak, Małgorzato, teraz dopiero zaczynam pojmować ów piekielny plan, o którym nasi hugonoci szeptali pomiędzy sobą przed nocą świętego Bartłomieja. To właśnie dla wykonania tego planu byłem, podobnie jak inni, znakomitsi ode mnie, wezwany do Paryża. Chcesz, ażeby urojone królestwo Nawarry zmieniło się w rzeczywiste; tego żąda także król Henryk. De Mouy jest z wami w spisku, nieprawdaż? Lecz księżę d’Alencon? Jakież on w tym spisku ma znaczenie? Gdzie jest tron dla niego? Nie widzę go. Chyba że księżę d’Alencon do tego stopnia jest twoim... przyjacielem, że bez korzyści dla siebie dopomaga ci w wypełnieniu twoich zamiarów i nie żąda niczego w zamian za niebezpieczeństwo, na jakie się naraża?

— Księżę, mój przyjacielu, przystąpił do spisku wyłącznie dla swoich celów. Pozwólmy mu uwikłać się; jego życie zabezpiecza nasze.

— Lecz służąc u niego, czy mogę go zdradzić?

— Zdradzić? I w czymże go zdradzisz? Czyż on ci się z czym zwierzył? Czy to nie on zdradził cię, dając de Mouyowi twój płaszcz i twój kapelusz, ażeby tym łatwiej mógł się do niego dostać? Jesteś u niego w służbie, mówisz... Lecz czyż nie służyłeś wprzód mnie aniżeli jemu, mój dzielny szlachcicu? Czyż dał ci dowody swej przyjaźni tak silne, jak ja dałam ci dowody mej miłości?

La Mole powstał blady i jak gdyby rażony gromem.

— Coconnas miał słuszość — pomyślał. — Intryga zaczyna mnie wikłać w swe sieci. Ona mnie zgubi:

— No i jakże? — zapytała Małgorzata.

— Oto moja odpowiedź! — zawołał La Mole. — Powiadają, a ja słyszałem o tym na drugim krańcu Francji, gdzie twoje sławne imię i piękność nadzwyczajna owładnęły moim sercem i wlażyły weń jakąś żądzą nieznaną; mówią więc, że już nieraz kochałaś, że twoja miłość była zawsze fatalna dla wybranego przez ciebie mężczyzny i że wszystkie ofiary twej miłości pochłonęła śmierć. Nie przerywaj mi, Małgorzato! Powiadają także, że przechowujesz serca tych wiernych przyjaciół w złotych puszczykach i że czasami owe smutne szczątki obdarzasz tkliwym spojrzeniem.

Wzdychasz królowo, twoje oczy rzucają błędne spojrzenia, nieprawdaż? Niechże ja będę najukochańszym i najulubieńszym ze wszystkich twoich kochanków. Tamtym przeszylaś serca, następnie zachowujesz te serca; dla mnie uczynisz więcej, zachowasz moją głowę... Tak jest! Małgorzato, przysięgnij mi przed tym wyobrażeniem Boga, który mi zachował życie, przysięgnij, że jeżeli umrę dla ciebie, jak to mi mówi przecucie, przysięgnij, że zachowasz moją głowę, którą kat oddzieli od tułowia, i że niekiedy obdarzysz ją choć jednym spojrzeniem; przysięgnij, Małgorzato, a obietnica taka w potrzebie uczyni mnie dla mej królowej niemy, podłym zdrajcą, jednym słowem — wszystkim, lecz zupełnie ci oddanym i takim, jakim winien być twój kochanek i spiskowiec.

— O, co za posępne myśli, mój drogi przyjacielu! — zawołała Małgorzata.

— Przysięgnij więc.

— Przysięgać?

— Tak jest, przysięgnij na ten srebrny krucyfiks.

— Dobrze — powiedziała Małgorzata. — Przysięgam ci na ten krzyż, że gdyby twoje smutne przecucia, od czego niech Bóg nas ustrzeże, spełniły się, będziesz ciągle przy mnie, żywy lub umarły, dopóki tylko ja sama nie umrę; i gdybym cię nie mogła uratować z niebezpieczeństwa, w które się rzucasz dla mnie, obiecuję ci wypełnić to ostatnie twoje życzenie, o które prosisz i na które zasługujesz.

— Jeszcze jedno, Małgorzato. Teraz mogę umrzeć, bo jestem spokojny o mą śmierć; lecz jeżeli nie zginę, a nasz plan się uda? Król Nawarry może zostać królem, ty możesz zostać królową; w takim razie król weźmie cię ze sobą, obietnica dana mi przez ciebie upadnie, a ja stanę się dla ciebie obcy. Małgorzato, kochana Małgorzato! Jedno twoje słówko zaspokoi mnie na przypadek mej śmierci; wyrzecz jeszcze jedno słowo, które by mnie zaspokoiło na przypadek, gdybym pozostał przy życiu.

— O! Nie obawiaj się niczego — zawołała Małgorzata, wyciągając rękę ku krucyfiksowi — jeżeli wyjadę, udasz się za mną; gdyby zaś król sprzeciwiał się temu, w takim razie ja nie wyjadę.

— Nie będziesz śmiała mu się oprzeć!

— Nie znasz Henryka, mój ty zakochany Hiacyncie — powiedziała Małgorzata. — Henryk o niczym teraz nie myśli, tylko o tronie, i ażeby go osiągnąć, gotów wszystko poświęcić, co tylko posiada. Do widzenia.

Od tego wieczoru La Mole przestał być kochankiem pospolitym i mógł wysoko nosić głowę, której obiecano tak piękną przyszłość. Jednakże głowa ta nieraz opadała mu na piersi, twarz bladła i ponure myśli marszczyły brwi człowieka, dawniej tak wesołego, a teraz tak szczęśliwego.

ROZDZIAŁ XXVII

RĘKA BOGA

Henryk, opuszczając panią de Sauve, powiedział jej:

— Karolino, połóż się do łóżka. Udawaj, że jesteś bardzo słaba, i nie przyjmuj jutro nikogo.

Karolina zastosowała się w zupełności do tego rozkazu, nie usiłując odgadnąć powodów, jakie skłoniły króla do wydania go.

Zresztą już się przyzwyczaiła do tych ekscentryczności, jak by dzisiaj powiedziano; a do tych fantazji, jak mówiono wówczas.

Prócz tego pani de Sauve wiedziała, że Henryk w swym sercu zamyka tajemnice, których nikomu nie powierza; że w jego umyśle rodzą się plany, które obawia się wydać przez sen.

Była więc posłuszna wszystkim jego żądaniom, będąc przekonana, że wszystkie jego, chociażby najdziwaczniejsze, polecenia mają cel jakiś.

Jeszcze więc tego samego wieczora zaczęła się użalać przed Dariolą na ociążałość głowy i zaćmienie w oczach. Były to symptomy, na które Henryk kazał się jej uskarżać. Nazajutrz rano udała, że chce wstać, lecz zaledwie wsparła małą nóżkę na posadzce, natychmiast upadła z powrotem na łóżko, narzekając na niewymowne bóle.

Słabość ta, o której już Henryk napomknął księciu d'Alencon, była pierwszą nowiną, jaką przyniesiono Katarzynie zajętej toaletą; królowa—matka bowiem zapytała, dlaczego pani de Sauve nie była obecną przy jej wstawaniu.

— Jest słaba — odpowiedziała księżna de Lorraine, stojąca obok Katarzyny. — Słaba — powtórzyła Katarzyna, a żaden muskuł w jej twarzy nie wskazał, ile ją ta odpowiedź obeszała. — Zapewne choruje na lenistwo.

— Nie, pani — odrzekła księżna — pani de Sauve doznaje zawrotu głowy i wskutek osłabienia nie może chodzić.

Katarzyna nic nie odpowiedziała, lecz ażeby lepiej ukryć radość, odwróciła się ku oknu i zobaczyła Henryka, który tylko co skończył mówić z de Mouyem; ażeby go lepiej widzieć i dręczona sumieniem, które zawsze się odzywa, nawet w człowieku pobratanym ze zbrodnią, zapytała swego kapitana:

— Nie wiem, czy mi się zdaje, że mój syn Henryk jest dzisiaj bleśszy niż zwykle? Uwaga była zupełnie nieuzasadniona: Henryk był niespokojny, lecz zdrow zupełnie.

Powoli wszyscy obecni przy toalecie królowej—matki rozeszli się, pozostało tylko trzech lub czterech dworzan, bardziej poufałych.

Niecierpliwa Katarzyna rozkazała im odejść, chcąc pozostać sama.

Skoro już ostatni dworzanin wyszedł, Katarzyna zamknęła drzwi, a zbliżywszy się do sekretnej szafy, znajdującej się w murze, i przycisnąwszy drzwi ukryte w boazerii, wydostała książkę, której zniszczone karty przekonywały o częstym jej użyciu.

Katarzyna położyła książkę na stole, otworzyła ją i wsparła głowę na rękę.

— Właśnie to samo — cicho czytała królowa — ból głowy, ogólne osłabienie, zapalenie oczu, nabrzmienie podniebienia. Dotychczas mówiono mi tylko o bólu głowy i o ogólnym osłabieniu... spodziewać się należy, że dalsze symptomy nie każą na siebie czekać.

Następnie dodała:

— Potem zapalenie przechodzi w gardło, schodzi do żołądka, otacza serce jak gdyby płątami ognia, zapala mózg i rozsadza głowę.

Katarzyna przeczytała powyższy ustęp po raz drugi i jęła czytać dalej, coraz ciszej:

— Febra, sześć godzin; zapalenie trawiące, dwanaście godzin; gangrena, dwanaście godzin; agonia (konwulsje przy śmierci) sześć godzin; na wszystko więc trzydzieści sześć godzin.

Teraz przypuśćmy, że palenie działa wolniej aniżeli pochłanianie; weźmy więc zamiast trzydziestu sześciu godzin czterdzieści, nawet czterdzieści osiem! Tak! Czterdzieści osiem godzin powinno być dosyć. Lecz on, Henryk, dlaczegoż jest jeszcze na nogach? To rzecz dziwna. Być może jest silniej zbudowany.

Katarzyna z niecierpliwością czekała godziny obiadu.

Henryk codziennie zasiadał u stołu królewskiego. I tego dnia przyszedł również na obiad do króla, uskarżał się na ból głowy, nic nie jadł i natychmiast po obiedzie wyszedł, mówiąc, że w nocy prawie nie zmrużył oczu i że czuje potrzebę spoczynku.

Katarzyna przysłuchiwała się odgłosom chwiejnych kroków Henryka i kazała go śledzić. Wkrótce doniesiono jej, że król Nawarry poszedł do pani de Sauve.

— Henryk — mówiła królowa sama do siebie — idzie naprzeciw śmierci, której niechący uniknął.

Nazajutrz Henryk nie wychodził wcale ze swego pokoju i nie przyszedł do króla na obiad. Mówiono, że pani de Sauve ma się coraz gorzej, a pogłoska o słabości Henryka, rozgłaszana przez Katarzynę, lotem błyskawicy rozniosła się w Luwrze jak jedno z tych przecuń, z których nikt nie stara się sobie zdać sprawy.

Katarzyna triumfowała; jeszcze poprzedniego ranka wysłała Ambrożego Pare do Saint-Germain, ażeby udzielił pomocy pewnemu słabemu dworzaninowi. Do pani de Sauve przyzwano by więc jednego z jej stronników, który by mówił tylko to, co mu każą powiedzieć.

Chociażby nawet przypadkiem wmieszał się tu jaki inny doktor i gdyby jaka pogłoska o otruciu zatrwożyła dwór, na którym już nieraz podobne wieści krążyły, Katarzyna liczyła bardzo na zazdrość Małgorzaty.

Trzeba wiedzieć, że Katarzyna bardzo wiele i bardzo głośno mówiła o tej zazdrości, objawiającej się tak często, a między innymi na przechadzce do cudownej tarniny, gdzie wobec wielu osób powiedziała do córki:

— Jesteś bardzo zazdrosna, Małgorzato?

Katarzyna co chwila oczekiwała, rychło drzwi otworzą się i służący, blade i pomieszany, wpadnie, wołając:

— Wasza Królewska Mość! Król Nawarry kona, a pani de Sauve już skoła.

Wybiła godzina czwarta po południu. Katarzyna rozdawała w swojej ptaszarni kawałki biszkoptów rzadkim ptakom, które zwykle sama karmiła. Jej twarz jak zawsze była zimna, a raczej ponura, lecz za najmniejszym szmerem serce biło jej gwałtownie.

Nagle drzwi otworzyły się.

— Pani — powiedział kapitan straży — król Nawarry...

— Zasłabł? — przerwała szybko Katarzyna.

— Nie, dzięki Bogu, nie, pani! Jego Królewska Mość, zdaje się, jest zupełnie zdrów.

— Więc cóż?

— Król Nawarry przyszedł do Waszej Królewskiej Mości.

— Czegóż chce?

— Przyniósł dla Waszej Królewskiej Mości małą rzadkiego gatunku. W tej chwili wszedł Henryk, trzymając w jednej ręce koszycek, a drugą głaszcząc małą małą małą śpiącą w koszyczku. Henryk, wchodząc, uśmiechał się i zdawało się, że jest zajęty wyłącznie maleńkim zwierzątkiem; pomimo to jednym rzutem oka objął wszystko dokoła.

Katarzyna była blada, lecz zbladła jeszcze bardziej, skoro spostrzegła na policzkach młodego człowieka rumieńce znamionujące zdrowie.

Królowa—matka osłupiała. Machinalnie przyjęła podarunek Henryka, zmieszała się, powiedziała jakiś komplement o jego pięknym wyglądzie i dodała:

— Tym bardziej jestem zadowolona widząc cię zdrowym, że słyszałam, iż byłeś cokolwiek słaby: tak, prawda, zdaje mi się, że sam uskarżałeś się przede mną na zdrowie; lecz teraz rozumiem — mówiła dalej Katarzyna, starając się uśmiechnąć — był to tylko wybieg, ażeby się wydostać na wolność.

— W samej rzeczy, byłem bardzo słaby — odpowiedział Henryk — lecz lekarstwo używane przez naszych górali, które mi dała nieboszczka matka, zniszczyło chorobę.

— Dasz mi tę receptę, nieprawdaż, Henryku? — zapytała Katarzyna, tym razem uśmiechając się naprawdę, lecz ze źle ukrytą ironią.

— Zapewne jakieś lekarstwo przeciwko truciznie — powiedziała Katarzyna sama do siebie — zobaczymy. Bez wątpienia słabość pani de Sauve wzbudziła w nim podejrzenia. W samej rzeczy! Można by sądzić, że ręka Boga czuwa nad tym człowiekiem.

Katarzyna z niecierpliwością czekała nocy.

Pani de Save nie pokazywała się.

Podczas gry królowa—matka, wypytujac o nowiny, dowiedziała się, że Karolina coraz bardziej cierpi. Cały wieczór była zaniepokojona i wszyscy ze strachem zapytywali nawzajem, co by za ponure myśli mogły zalegać czoło to, zwykle bez zmarszczek.

Wszyscy odeszli.

Katarzyna, rozebrawszy się, udała się na spoczynek, lecz wkrótce, skoro już wszyscy w Luwrze byli pogrążeni w głębokim śnie, wstała, wdziała długą, czarną suknię, wzięła lampę, wyszukała klucze ode drzwi prowadzących do pani de Sauve i udała się do swej damy dworskiej. Ostrożnie otworzyła drzwi, przeszła przedpokój, weszła do pokoju, postawiła lampę na stole, ponieważ przy chorej paliła się lampka, i jak cień wśliznęła się do sypialni.

Dariola spała w ogromnym fotelu obok łóżka swej pani. Łóżko było zupełnie zasłonięte kotarą.

Oddech młodej kobiety był tak lekki, że Katarzyna przez chwilę myślała, iż Karolina już nie oddycha.

Na koniec usłyszała lekkie westchnienie i ze złośliwą radością odrzuciła kotarę, ażeby się przekonać naocznie o skutkach strasznej trucizny. Drżała, spodziewając się zobaczyć siną błądź lub purpurowy rumieniec zabijającej febry na licu konającej; lecz zamiast tego wszystkiego przekonała się, że pani de Sauve śpi jak najspokojniej; jej oczy, ocienione jasnymi powiekami, były zmrużone; różowe usteczka na pół otwarte, główka z wdziękiem oparta na pięknie utoczonym ramieniu, gdy tymczasem drugie, świeże i połyskliwe, chowało się pod karmazynową adamaszkową kołdrą. Bez wątpienia, jakiś przyjemny sen wywołał na jej ustach uśmiech, a rumieniec, wcale nie chorobliwy, krasiał jej lica.

Katarzyna nie mogła powstrzymać okrzyku zdziwienia, który na chwilę obudził Dariolę.

Królowa—matka rzuciła się za kotarę łóżka.

Dariola otworzyła oczy, o ciężałe od snu, lecz nie zdając sobie sprawy, co by mogło być przyczyną jej przebudzenia, opuściła powieki i powtórnie zasnęła. Wtedy Katarzyna wyszła spoza firanek i obejmując wzrokiem cały pokój, spostrzegła na małym stoliku butelkę hiszpańskiego wina, owoce, pasztety i dwie szklanki; Henryk więc wieczerzał u baronowej, zdrowej jak i on.

Następnie Katarzyna, zbliżywszy się do toalety, wzięła srebrny słoiczek, w dwóch trzecich napełniony pomadą. Był to ten sam słoiczek, a przynajmniej zupełnie podobny do tego, który posłała Karolinie. Katarzyna wzięła na koniuszek złotej igły kulkę pomady wielkości perły,

powróciła do siebie i dała ją do zjedzenia małej małpce, którą jej tego wieczoru podarował Henryk.

Zwierzątko, znęcone aromatycznym zapachem, chciwie połknęło pomadę i zwinąwszy się w kłębek w swoim koszyczku, zasnęło.

Katarzyna czekała kwadrans..

— Od połowy dozy, jaką dałam tej małpce, mój piesek Brunot zdechł w jednej minucie. Oszukano mnie!... Och!... Czy to czasem nie ten René? René? Nie, to niepodobna. Zawsze więc Henryk, o losie fatalny! Tak, to jest jasne, Henryk musi panować i dlatego nie może zginąć. Lecz, być może, trucizna nie działa na niego; zobaczymy więc, co powie żelazo.

Katarzyna udała się na spoczynek, piastując w swej głowie myśl, która jeszcze przed rankiem musiała się zamienić w systematyczny plan, albowiem raniuteńko zawołała swego kapitana straży i wręczyła mu list, który miał on oddać do własnych rąk tego, do którego był adresowany. Adres zaś listu był następujący:

Do pana Louviersa de Maurevela, kapitana bombardierów królewskich.

Ulica Cerisaie, obok Arsenalu.

ROZDZIAŁ XXVIII

LIST Z RZYMU

Kilka dni upłynęło od wypadków, któreśmy opowiedzieli, kiedy pewnego ranka lektyka, otoczona mnóstwem szlachty w barwie księcia Gwizjusza, przybyła do Luwru; królowej Nawarry doniesiono, iż księżna de Nevers chce jej złożyć swoje uszanowanie.

U Małgorzaty była właśnie z odwiedzinami pani de Sauve. Piękna baronowa po raz pierwszy wyszła po swojej udanej boleści. Wiedząc bowiem, że królowa nieraz objawiała dla niej współczucie swemu mężowi wskutek słabości, o której przez cały tydzień tyle mówiono na dworze, przyszła Małgorzacie podziękować. Małgorzata winszowała baronowej, iż szczęśliwie uniknęła tak dziwnej choroby, której całą wagę ona, jako księżna krwi francuskiej, pojmowała.

— Spodziewam się, że się pokażesz na wielkim polowaniu, już raz odłożonym, a które nieodwołalnie jest naznaczone na jutro — powiedziała Małgorzata. — Jak na zimę, czas jest prześliczny. Słońce już zaczyna dogrzewać i wszyscy strzelcy upewniają, że dzień jutrzejszy będzie jednym z najpomyślniejszych.

— Lecz, pani — rzekła baronowa — nie wiem, czy będę mogła w nim brać udział.

— E! — odparła Małgorzata. — Zrób to; jak wiesz, jestem bardzo odważna, dlatego też pozwałam memu mężowi rozporządzać małym i spokojnym bearneńskim konikiem, dla mnie przeznaczonym. Weź go, przyda ci się, gdyż nosi wybornie. Czy nic o nim nie słyszałaś?...

— I owszem, słyszałam; nie wiedziałam jednak, że ten mały konik jest przeznaczony dla Waszej Królewskiej Mości; teraz, wiedząc o tym, nie mogę go przyjąć.

— Czyż duma nie pozwala ci tego uczynić, baronowo?

— Nie, pani; przeciwnie, uszanowanie.

— Z tym wszystkim, będziesz jednak na polowaniu.

— Dziękuję Waszej Królewskiej Mości za cześć mi wyświadczoną. Będę, skoro tak rozkazuje.

W tej chwili doniesiono królowej o przybyciu księżnej de Nevers.

Usłyszawszy to, Małgorzata uczyniła poruszenie radości; baronowa spostrzegła ten ruch, a spodziewając się, że dwie przyjaciółki chciałyby pomówić sam na sam, wstała, zamierzając odejść.

— A więc do jutra — powiedziała Małgorzata.

— Tak jest, pani, do jutra.

— Ale, ale — dorzuciła królowa, wyciągając ku Karolinie rękę — wiesz, baronowo, przy świadkach nienawidzę cię, jestem bardzo zazdrosna.

— A kiedy jesteście same? — zapytała pani de Sauve.

— O! Kiedy jesteście same, nie tylko ci przebaczam, lecz nawet jestem ci wdzięczna.

— Pozwól mi więc, Wasza Królewska Mość...

Małgorzata wyciągnęła swą rękę, którą baronowa ucałowała, a oddawszy królowej głęboki ukłon, wyszła.

Podczas kiedy baronowa z lekkością sarny przebiegała schody, pani de Nevers wymieniła z królową kilka ceremonialnych ukłonów; towarzysząca jej szlachta oddaliła się.

— Gillonno! — zawołała Małgorzata, skoro drzwi za ostatnim z nich zamknęły się. — Uważaj, żeby nikt nam nie przeszkodził.

— Tak — powiedziała księżna — potrzebujemy pomówić o rzeczach bardzo ważnych.

I wzięwszy krzesło, bez prośnienia usiadła, będąc pewną, iż nikt nie przeszkodzi tej zażyłości, w jakiej zostawała z królową Nawarry.

— No i cóż? — zapytała Małgorzata z uśmiechem. — Cóż porabia nasz wielki niszczyciel rodu Judzkiego? — Kochana królowo — powiedziała księżna — przysięgam ci, że jest on jakąś mitologiczną figurą. Jego dowcip jest nieporównany i niewyczerpany. Czasami powie coś tak dowcipnego, iż zmusiłby do śmiechu nawet człowieka leżącego na marach. Zresztą jest to największy bezbożnik, jaki kiedykolwiek istniał w ludzkim ciele katolika. Przepadam za nim; a ty cóż robisz ze swoim Apollinem?

— Niestety! — zawołała Małgorzata, wzdychając.

— A! A! Co za niedostatek! Przestraszasz mnie, królowo; czyżby grzeczny La Mole miał być zbyt poważnym i sentymentalnym? W takim razie byłby zupełnym przeciwieństwem mego kochanego Annibala.

— Nie, nie, ma on chwile wesołości — powiedziała Małgorzata — lecz to „niedostatek” odnosi się do mnie.

— Jak to? Cóż mam stąd wnosić?

— Masz wnosić to, że się obawiam, iżbym się w nim nie zakochała.

— Czy nie żartujesz?

— Małgorzata daje ci swoje słowo.

— O! Tym lepiej! — zawołała Henrieta. — Nie wiesz więc, jak jest przyjemnie, moja kochana i uczona królowo, zmordowawszy swój umysł, poigrać z czyimś sercem. A! Małgorzato, przeczuwam, że doskonale przepędzimy ten rok.

— Tak myślisz? — odpowiedziała królowa. — Mnie zaś, przeciwnie, zdaje się, nie wiem czemu, że wszystko, na co spojrzę, pokrywa się czarną krepą. Cała ta polityka strasznie mnie zajmuje... Ale, ale, dowiedz się też, czy twój Annibal jest rzeczywiście tak przywiązany do mego brata, jak na to wygląda. Wywiedz się o tym, bardzo to dla mnie ważne.

— Co, on przywiązany do kogoś lub do czegoś? Z tego wszystkiego widzę, że go nie znasz tak dobrze jak ja. Jeżeli on do czego się przywiąże, to tylko w celu zaspokojenia swej dumy, dla niczego więcej. A czy twój brat jest człowiekiem zdolnym do świadczenia jakich łask? Zresztą dobrze przypuśćmy, że jest przywiązany do twego brata, lecz księżę d'Alencon, chociaż jest synem Francji, niech mu nic nie obiecuje, bo gdyby nie dotrzymał słowa, biada mu!

— Czy tak jest w istocie?

— Tak jest, Małgorzato, bywają chwile, w których ten ugłaskany przeze mnie tygrys nawet mnie samą przestrasza. Jednego dnia powiedziałam doń: „Annibalu, strzeż się, nie zdradź mnie; bo jeżeli mnie zdradzisz...” I przy tych słowach utopiłam w nim spojrzenie mych oczu koloru szmaragdów.

— No i cóż ci odpowiedział?

— Myślałam, że mi odpowie: „Ja miałbym cię oszukać! Nie, nigdy!” lub coś podobnego... Tymczasem wiesz, co mi rzekł?

— Nie wiem.

— A więc osądź sama; odpowiedział mi: „Ty także, jeżeli mnie zdradzisz, strzeż się, chociaż jesteś księżną, bo...” I mówiąc to, pogroził mi nie tylko spojrzeniem, lecz palcem, suchym i skrzywionym, uzbrojonym w ogromny paznokiec, którym mi wytrząsał pod samym nosem. W tej chwili był tak straszny, iż przyznaję ci, że zadrżałam, a wiesz, że jestem odważna.

— I on tobie, tobie, Henrieto, ośmielił się grozić?

— E! Do diabła! Wszak ja mu też groziłam. Dobrze wreszcie zważywszy, miał słusność. Widzisz więc, iż on przywiązuje się tylko do pewnych granic, a raczej do granic bardzo niepewnych.

— Zobaczmy — powiedziała zamyślona Małgorzata — pomówię z hrabią de La Mole. Czy nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

— I owszem, mam ci udzielić bardzo ważnej wiadomości i właśnie po to do ciebie przybyłam. Lecz ty zaczęłaś mówić o rzeczach jeszcze ważniejszych, więc zapomniałam o swojej sprawie. Odebrałam list...

— Z Rzymu?

— Tak jest, przez kuriera mego męża.

— Zapewne przywiózł wiadomości o Polsce?

— Tak jest; sprawy polskie idą doskonale i niezawodnie za kilkanaście dni uwolnisz się od swego brata Andegaweńskiego.

— A więc papież zatwierdził wybór Polaków?

— Tak jest.

— I nie mówiłaś mi o tym od razu! — zawołała Małgorzata. — Opowiedz mi szczegóły.

— Na honor, nie znam żadnych szczegółów; powiedziałam ci już wszystko. Zresztą zaczekaj, dam ci list pana de Nevers. Otóż jest. E! Nie, nie, to wiersze Annibala, wiersze straszliwe, Małgorzato, lecz cóż robić, kiedy lepszych pisać nie umie. Czekać, czekać, tym razem już go mam. Ale nie, to jeszcze nie ten list, jest to bilecik, który oddaj La Mole'owi, niech go wręczy panu de Coconnas. A! Nareszcie, oto jest rzeczony list.

I pani de Nevers podała list królowej Nawarry.

Małgorzata szybko go otworzyła i przebiegła wzrokiem, lecz list w rzeczy samej nie zawierał w sobie nic więcej jak tylko to, co już słyszała z własnych ust księżnej.

— Jakimże sposobem otrzymałaś ów list? — zapytała królowa.

— Przez kuriera mego męża, który mu wydał rozkaz, ażeby zanim przybędzie do Luvru, wstąpił do pałacu Gwizjuszów i wręczył mi list wprzód, aniżeli królowi. Wiedziałaś, jak wielką wagę przywiązujesz do tych wiadomości, prosiłam więc pana de Nevers, ażeby tak rozporządził, jak to właśnie zostało wykonane. Widzisz więc, iż mój mąż jest mi posłuszny, nie tak jak to straszyciło Coconnas. Teraz nikt nie zna tej nowiny oprócz mnie, ciebie i króla, i może jeszcze człowieka, który pędził za kurierem mego męża.

— Jaki człowiek?

— A! Okropna służba! Wystaw sobie, że ten kurier przybył zakurzony, zmordowany, zбитy; pędził siedem dni, dzień i noc, nie zatrzymując się ani na chwilę.

— Lecz cóż to za człowiek, o którym mówiłaś?

— Miej cierpliwość. Otóż za naszym kurierem ciągle pędził jakiś człowiek ponurej powierzchowności, zmieniał konie tam gdzie i on i nie odstępował go ani na chwilę przez całe dwieście mil; biedny nasz kurier tylko czekał, rychło kula pistoletowa przewierci mu plecy. Obydwaj przybyli razem do rogatek Saint-Marcel, obydwaj w najtęższym galopie wpadli na ulicę Mouffetard i razem skręcili do Cite. Lecz przed mostem Notre-Dame kurier mego męża popędził na prawo, gdy tymczasem drugi skręcił na lewo i przez plac Chatelet i bulwary jak wichur sunął ku Luvrowi.

— Dziękuję ci, kochana Henrieto, dziękuję ci! — zawołała Małgorzata. — Miałaś słusność, że wypadki te są bardzo ważne. Lecz do kogóż pędził ów drugi kurier? Muszę to wykryć. Teraz zostaw mnie samą. Dzisiaj wieczorem zobaczymy się na ulicy Tizon, nieprawdaż? Jutro na polowaniu. Ale, ale, nie zapomnij wsiąść na jakiego porywistego konia, który by cię uniósł; odłączywszy się, będziemy mogły swobodnie pomówić. Dzisiaj wieczorem powiem ci, czego by warto się dowiedzieć od twego Coconnasa.

— A nie zapomnij też o moim liście — powiedziała księżna de Nevers, uśmiechając się.

— O, bądź spokojna, nie zapomnę; odbierze go, kiedy będzie czas ku temu.

Pani de Nevers wyszła.

Małgorzata natychmiast posłała po Henryką, który też wkrótce przybiegł; królowa wręczyła mu list księcia de Nevers.

— O! O!... — zawołał Henryk.

Małgorzata opowiedziała mu historię o dwóch kurierach.

— Widziałem, jak kurier wszedł do Luwru — rzekł Henryk.

— Zapewne udał się do królowej-matki?

— O nie, jestem tego pewny; na wszelki wypadek stanąłem w korytarzu, lecz nikt koło mnie nie przechodził.

— A więc — powiedziała Małgorzata, patrząc w oczy mężowi — niezawodnie do...

— Do twego brata, księcia d'Alencon, nieprawdaż? — zapytał Henryk.

— Tak jest, lecz jak, by się o tym można przekonać?

— Czyżby nie można — powiedział Henryk, na pozór obojętnie — posłać po którego z jego dworzan i dowiedzieć się...

— Masz słuszność, Najjaśniejszy Panie — odparła Małgorzata, uradowana projektem męża — pošlę po pana de La Mole. Gillonno! Gillonno!

Powiernica weszła.

— Chciałabym w tej chwili pomówić z panem de La Mole. Wynajdź go i przyprowadź do mnie.

Gillonna wyszła.

Henryk usiadł przed stołem, na którym leżała jakaś niemiecka książka ze sztychami Alberta Durerera, i z taką pilnością zaczął ją oglądać, iż zdawało się, że nie słyszał, kiedy La Mole wszedł; nawet nie podniósł głowy.

Ze swej strony młody człowiek, spostrzegłszy w pokoju Małgorzaty króla, zatrzymał się na progu, oniemiały z zadziwienia i pobladły z niepokoju.

Małgorzata zbliżyła się ku niemu.

— Panie de La Mole — zapytała — czy nie mógłbyś mi powiedzieć, kto dzisiaj jest na służbie u pana d'Alencon?

— Coconnas, Najjaśniejsza Pani — odpowiedział La Mole.

— Dowiedz się pan od niego, czy nie wprowadzał czasem do swego pana pokrytego kurzem człowieka, na którym było widać ślady długiej drogi.

— A! Najjaśniejsza Pani, obawiam się, że nic mi nie odpowie; od kilku dni stał się bardzo milczący.

— Czy być może? Lecz w zamian za ten liścik spodziewam się, że będziesz pan mógł dowiedzieć się czegoś.

— List od księżnej! Daj mi go, Najjaśniejsza Pani, daj — zawołał spiesźnie La Mole — za ten liścik dowiem się o wszystkim.

I wybiegł.

— Jutro dowiemy się, czy książę d'Alencon jest powiadomiony o polskich sprawach — powiedziała spokojnie Małgorzata, obróciwszy się do swego męża.

— Ten pan de La Mole to bardzo usłużny człowiek — zauważył Bearneńczyk, z właściwym tylko jemu uśmiechem — i... przysięgam na mszę!... Zapewnię mu piękną przyszłość.

ROZDZIAŁ XXIX

ODJAZD

Nazajutrz bezpromienne słońce, jak to zwykle bywa w jesieni, wzeszło spoza pagórków otaczających Paryż.

Już od dwóch godzin na podwórzach Luwru panował niezwykle ruch.

Wspaniały arabczyk, muskularny, chociaż wysmukły, o jelenich nóżkach, na których się krzyżowały liczne żyły, uderzając kopytami, strzygąc uszami i parszając z nozdrzy ogniem, oczekiwał na podwórzku na Karola IX, który niecierpliwił się daleko więcej niż jego koń, albowiem Katarzyna zatrzymała go w galerii, ażeby jak twierdziła, pomówić z nim o ważnych rzeczach.

Oboje znajdowali się w galerii oszklonej. Katarzyna była blada, zimna i obojętna, jak zwykle; Karol IX przeciwnie; drżał, gryzł paznokcie i smagał pejcem swoje dwa ulubione psy, pokryte drucianymi kolczugami, ażeby dzik nie mógł ich kaleczyć cięciami swych kłów i ażeby mogły bezkarnie napastować tego straszego zwierza. Na piersiach miały małe tarcze z herbem Francji, na kształt tych, jakie nosili paziowie, którzy nieraz zazdrościli tego przywileju szczęśliwym psom, ulubieńcom.

— Karolu — powiedziała Katarzyna — tylko ty i ja wiemy o przybyciu polskich posłów. Jednakowoż, Boże, przebac mi, zdaje mi się, iż król Nawarry postępuje tak, jak gdyby o tym wiedział. Mimo iż się wyrzekł protestantyzmu, czemu ja nigdy nie wierzyłam, jest jeszcze w stosunkach z hugenotami. Czy nie uważałeś, jak od kilku dni często wychodzi z domu? Teraz ma i pieniądze, których nigdy nie miał, kupuje konie, broń, a w dżdżyste dni od rana do nocy ćwiczy się w fechtunku.

— Eh!... Mój Boże, matko — zawołał Karol IX zniecierpliwiony — czy czasem nie myślisz, iż ma zamiar zabić mnie lub mego brata Andegaweńskiego? W takim razie będzie musiał wziąć jeszcze kilka lekcji, bo wczoraj przeciąłem mu floretem jedenaście dziurek od guzików u nowiuteńskiego kaftana. Co się zaś tyczy mego brata Andegaweńskiego, to wiesz, że robi bronią lepiej aniżeli ja, a przynajmniej nie gorzej ode mnie.

— Karolu, słuchaj — mówiła dalej Katarzyna — nie traktuj tak lekko spraw, które ci przedstawia twoja matka. Posłowie wkrótce przybędą; zobaczysz, iż skoro tylko wjadą do Paryża, Henryk wszelkimi środkami będzie się starał zwrócić na siebie ich uwagę. Henryk jest chytry, skryty; oprócz tego żona, która mu pomaga, nie wiem dlaczego, będzie z nimi szczebiotać po grecku, po łacinie, po węgiersku i Bóg wie po jakiemu. O! Mówię ci, Karolu, a wiesz, że się nigdy nie mylę, mówię ci, że tu gotuje się coś niedobrego.

W tej chwili zaczął bić zegar; Karol IX przestał uważać na to, co mówiła matka, ażeby liczyć uderzenia zegara. — A! Na mą duszę! — zawołał. — Już siódma godzina! Godzina na jazdę, to będzie ósma; godzina na zebranie się i założenie polowania; nie zaczniemy więc wcześniej jak o dziewiątej. Matko, bałamucisz mi bardzo wiele drogiego czasu. Leżeć, Risquetout... na me zbawienie! Już czas, precz, łotrze!

I król z wielkim zamachem uderzył psa pejcem; biedne zwierzę, nie spodziewając się chłosty w zamian za przymilanie, żałośnie zaskowyczało.

— Karolu, proszę cię, w imię Boga! Wysłuchaj mnie i nie powierzaj ślepemu losowi swej przyszłości i przyszłości Francji. Zawsze mówisz: polowanie, polowanie, polowanie... Wypełnij naprzód obowiązki króla, a jeszcze dosyć czasu pozostanie ci na rozrywki.

— Prędzej, prędzej, moja matko — zawołał Karol, blednąc z niecierpliwości — wytłumacz się, gdyż tylko krew burzysz we mnie. W samej rzeczy, nigdy nie mogę cię zrozumieć...

I król, nagle zatrzymawszy się, zaczął uderzać po bucie trzonkiem pejcza. Katarzyna osądziła, że sprzyjająca chwila nadeszła; trzeba więc było starać się, ażeby jej nie stracić.

— Mój synu — powiedziała — zostałam zawiadomiona z pewnego źródła, że pan de Mouy powrócił do Paryża. Pan de Maurevel, który go zna dobrze, widział go. Do kogóż tutaj przybył, jeżeli nie do króla Nawarry? Zdaje się, że to wystarcza, ażeby go uczynić bardziej podejrzanym niż kiedykolwiek.

— Jak widzę, znowu jesteś przeciwko memu biednemu Henrykowi; chcesz, żebym go zabił, nieprawdaż?

— O! Nie.

— Ażebym go wypędził? Lecz czyż nie możesz pojąć, iż na wygnaniu byłby niebezpieczniejszym aniżeli tutaj, w Luwrze, pod naszymi oczyma, gdzie w najmniejszych postępkach możemy go śledzić?

— Lecz ja wcale nie chcę, żebyś go skazał na wygnanie!

— Czegóż zatem ostatecznie wymagasz? Mów prędko!

— Chcę, ażeby przez czas pobytu Polaków w Paryżu zamknięto go gdzie... na przykład w Bastylii.

— Na honor, tego nigdy nie uczynię! — zawołał Karol. — Dzisiaj polujemy na dzika; Henryk jest jednym z lepszych strzelców. Bez niego polowanie będzie stracone. Na szatana! Zdaje mi się, że tylko o tym, matko, myślisz, jak by mi się sprzeciwiać.

— E! Mój synu, przecież nie mówię, żeby dzisiaj! Posłowie nie przybędą prędzej jak jutro lub pojutrze. Możemy go uwięzić po polowaniu! Dzisiaj wieczorem... dzisiaj w nocy...

— No, to rzecz inna. Dobrze, pomówimy o tym jeszcze później. Po polowaniu, zobaczymy. Do widzenia! Risquetout, do nogi. I ty także buntujesz się przeciwko mnie.

— Karolu! — powiedziała Katarzyna, zatrzymując go za rękę i odważając się przez to wywołać nowy wybuch króla. — Sądzę, że najlepiej natychmiast napisać rozkaz uwięzienia, a wykonać go wieczorem lub nocą.

— Mam tedy szukać pergaminu, pisać rozkaz, chodzić po pieczęć, kiedy na mnie czeka polowanie; nie, czekać nie lubię. Na szatana! Już idę.

— Ależ nie, nie chcę cię zatrzymywać, przewidziałam wszystko; chodź do mnie.

Katarzyna szybko, jakby miała najwyżej lat dwadzieścia, pchnęła drzwi prowadzące do jej gabinetu i wskazała królowi kałamarz, pióro, pergamin, pieczęć i zapaloną woskową świecę. Król wziął pergamin i szybko przebiegł go oczyma;

„Rozkaz itd., itd., wzięcia pod straż i zaprowadzenia naszego brata Henryka, króla Nawarry, do Bastylii”.

— Dobrze! — powiedział król, podpisując rozkaz. — A więc już rzecz skończona. Do widzenia, matko.

Karol, otoczony swymi psami, wybiegł z gabinetu, wesół; iż tak tanim kosztem uwolnił się od Katarzyny. Czekano go z niecierpliwością, wszyscy wiedzieli, jak był akuratywny w odjazdach na polowania, dziwili się więc temu opóźnieniu.

Dlatego też, skoro tylko wyszedł, myśliwi przywitali go wiwatem, dojeżdżacze trąbieniem w rogi, konie rżeniem, a psy ujadaniem. Krzyk ten na blade policzki króla wywołał lekkie rumieńce. Karolowi mocniej zabiło serce — na chwilę odmłodził i poczuł się szczęśliwy.

Król potrzebował dosyć czasu, ażeby przywitać całe świetne zgromadzenie; kiwnął głową księciu d'Alencon, ręką przesłał pocałunek siostrze Małgorzacie i otarł się o Henryka, udając, iż go nie spostrzega. Potem dosiadł konia rasy arabskiej, który zaczął stawać dęba. Lecz po trzech

lub czterech skokach poczuł, z jakim jeźdźcem ma do czynienia, natychmiast się też ustatkował. Rogi znowu się odezwały i król wyjechał z Luwru, otoczony orszakiem składającym się z księcia d'Alencon, króla Nawarry, Małgorzaty, pani de Nevers, pani de Sauve, pana de Tavannes i innych znaczniejszych panów. Naturalnie, że La Mole i Coconnas także znajdowali się w orszaku. Księcia Andegaweńskiego nie było, ponieważ już od trzech miesięcy znajdował się przy oblężeniu La Rochelle.

Podczas kiedy Karol IX wsiadał na konia, Henryk zbliżył się do swojej żony, ażeby ją przywitać; ta odpowiadając na jego grzeczność, szepnęła:

— Kurier przybyły z Rzymu wprowadzony był przez pana de Coconnas do księcia d'Alencon; w kwadrans później kurier pana de Nevers przybył do króla.

— A więc on wie wszystko — rzekł Henryk.

— Musi wiedzieć.— odpowiedziała Małgorzata — spójrz na niego, a zobaczysz, jak wewnętrzne zadowolenie odbija się na jego twarzy.

— Ej, do biesa! Rozumiem to dobrze — mruknął Bearneńczyk— dzisiaj poluje na trzy trony: francuski, polski, nawarski, a prócz tego jeszcze na dzika.

Henryk uklonił się żonie, powrócił na swoje miejsce w orszaku i przywołał jednego ze sług, rodem Bearneńczyka, którego dziadowie już od wieku służyli przodkom króla Nawarry i którego zwykle używali w prowadzeniu swoich miłostek.

— Orthon — powiedział doń — weź ten klucz i zanieś, go kuzynowi pani de Sauve; wiesz, temu, co mieszka u swojej kochanki, na rogu ulicy Quatre-Fils; powiedz mu, że jego kuzynka chce z nim pomówić dzisiaj wieczorem. Może wejść do mego pokoju, a jeżeli mnie nie zastanie, niech zaczeka; gdybym się zaś spóźnił, niech się położy na moim łóżku.

— Czy mam czekać na odpowiedź, Najjaśniejszy Panie?

— Nie, powiedz mi tylko, czyś go zastał. Klucz oddasz mu do jego własnych rąk, rozumiesz?

— Rozumiem, Najjaśniejszy Panie.

— Zaczekaj, teraz jeszcze nie opuszczaj mnie, bądź ostrożny! Zanim wyjedziemy z Paryża, zawołam cię, ażebyś mi co poprawił przy siodle; wtedy pozostaniesz w tyle, a wypełniwszy moje zlecenie, połączysz się z nami w Bondy. Sługa uklonił się i odjechał.

Orszak, przejechawszy ulicę Saint-Honore, następnie Saint-Denis, znalazł się na przedmieściu; na ulicy Saint-Laurent koń króla Nawarry rozkiełznał się. Orthon przybiegł i wszystko wykonał tak, jak poprzednio umówił się z Henrykiem, który podążał za orszakiem króla przez ulicę de Recollets, gdy tymczasem jego wierny sługa sunął ulicą Tempie.

Kiedy Henryk, dopędził króla, ten ostatni był bardzo zajęty rozmową z księciem d'Alencon; rozmawiali o wieku wytropionego zwierza i o jego legowisku, a Karol jakby nie widział, że Henryk pozostał za nim w tyle, a przynajmniej udawał, iż tego nie widzi. Lecz Małgorzata uważała na wszystko i wszystkich i zdawało się jej, iż wyczytuje w oczach brata niepokój, ile razy jego wzrok spotykał się ze spojrzeniem Henryka.

Pani de Nevers była bardzo wesoła, gdyż pan Coconnas był tego dnia w dobrym humorze i zabawiał wszystkie damy swoimi żartami.

Panu de La Mole już kilka razy udało się ucałować białą ze złotymi frędzlami szarfę Małgorzaty, co czynił z taką zręcznością, iż zaledwie trzech luft czterech dworzan zdołało to spostrzec.

O kwadrans na dziewiątą orszak stanął w Bondy. Pierwszym staraniem Karola IX było dowiedzieć się, czy dzik jest jeszcze w lesie. Dojeżdżacz upewnił go, iż widział dzika w legowisku, i ręczył za niego. Zastawiono śniadanie. Król, wypiwszy szklanekę węgierskiego wina, zaprosił damy do stołu; sam zaś z niecierpliwością udał się dla obejrzenia stanowiska i zobaczenia sfory; polecił iżby nie rozsiodlywano jego konia. Podczas gdy król odbywał tę

wycieczkę, przybył książę Gwizjusz. Był uzbrojony od stóp do głowy, raczej na bitwę niż na polowanie; towarzyszyło mu ze dwudziestu lub trzydziestu dworzan, również uzbrojonych. Książę Gwizjusz natychmiast wywiedziało się, gdzie był król, udał się do niego i wkrótce powrócił z nim razem do towarzystwa.

Punktualnie o godzinie dziewiątej król dał sygnał, zadawszy w róg, a wszyscy, dosiadłszy koni, udali się na umówione miejsce.

Podczas jazdy Henryk jeszcze raz znalazł sposobność zbliżenia się do żony.

— No i cóż, nie wiesz czego nowego? — zapytał.

— Nie, chyba tylko to, że brat Karol jakoś dziwnie na ciebie spogląda.

— I ja już to spostrzegłem — odpowiedział Henryk.

— Czy przedsięwziąłeś stosowne środki ostrożności?

— Mam na piersiach stalową kolczugę, za pasem wyborny nóż hiszpański, cienki jak igła, ostry jak brzytwa, którym przebijam dublony.

— Niech cię Bóg ma w swej opiece — szepnęła Małgorzata. Dojeżdżacz pełniący obowiązki przewodnika dał znak, że już są blisko legowiska.

ROZDZIAŁ XXX

MAUREVEL

Gdy wesoła i o nic nie troszcząca się młodzież w świetnym orszaku posuwała się drogą ku Bondy, Katarzyna, zwinąwszy kosztowny pergamin podpisany przez króla Karola IX, rozkazała przywołać do swego gabinetu człowieka, któremu przed kilku dniami poleciła wręczyć przez swego kapitana gwardii list adresowany na ulicę Cerisaie, obok Arsenалу.

Szeroka przepaska z czarnej kitajki, idąc równolegle do okropnej szramy, zakrywała jedno oko wchodzącego, a garbaty nos, na kształt jastrzębiego dzioba wystający spomiędzy wydatnych kości policzkowych, i pół twarzy zarosłej szpakowatą brodą — nadawały temu człowiekowi nie najprzyjemniejszą postać. Był on owinięty szerokim i długim płaszczem, pod którym znajdował się cały arsenał. Oprócz tego przy boku miał szeroką, długą i o podwójnym gifesie szpadę, co nie było w zwyczaju u ludzi przedstawiających się u dworu. Ręka, ukryta pod płaszczem, nie opuszczała rękojeści sztyletu.

— A! To pan — powiedziała królowa siadając — zapewne pamiętasz, że na skutek usług, wyświadczonych podczas nocy świętego Bartłomieja, obiecałam nie zostawiać pana w bezczynności. Otóż teraz właśnie nadarza się bardzo piękna sposobność, a raczej ja się o nią postarałam. Podziękuj też mi, panie Maurevel.

— Uniżenie dziękuję Waszej Królewskiej Mości — odrzekł człowiek z przepasanym okiem, na wpół skromnie, a na wpół drwiąco.

— Śliczna, panie, sposobność. Tak dobra już ci się może nie nadarzy drugi raz w życiu. Korzystaj więc.

— Czekam, Najjaśniejsza Pani; obawiam się tylko po tym wstępie...

— Żeby polecenie nie było za gwałtowne? Kto życzy sobie być wywyższonym, ten nie żałuje swojej ręki. Polecenia tego pozazdrościłby panu Tavannes, ba, nawet sam Gwizjusz.

— A! Pani, jakiegokolwiek byłoby — zawołał Maurevel — zawsze jestem na rozkazy Waszej Królewskiej Mości.

— Czytaj więc — powiedziała Katarzyna. I podała mu pergamin.

Maurevel szybko przebiegł wzrokiem rozkaz i zbladł.

— Co! — zawołał. — Rozkaz uwięzienia króla Nawarry?

— I cóż w tym tak dziwnego?

— Lecz król! Pani. W samej rzeczy, sędzę i boję się, iżbym nie był zbyt mało znacznym szlachcicem...

— Moje zaufanie czyni cię równym każdemu z najlepszej szlachty.

— Dzięki Waszej Królewskiej Mości — powiedział morderca wahając się.

— Spełnisz więc rozkaz?

— Skoro Wasza Królewska Mość rozkazuje, czyż to nie jest moim obowiązkiem? — Rozkazuję ci więc.

— Będę posłusznym.

— A jak się, do tego weźmiesz?

— Jeszcze nie wiem, Najjaśniejsza Pani, lecz spodziewam się, że Wasza Królewska Mość zechcesz mi powiedzieć.

— Boisz się hałasu?

— Przyznaję.

— Weź dwunastu ludzi, na których można by liczyć; nawet więcej, jeśli będzie potrzeba.

— Rozumiem. Lecz, proszę Waszej Królewskiej Mości, gdzie mam porwać króla Nawarry?
— Gdzie ci będzie wygodniej.
— Rad bym to zrobić w takim miejscu, ażeby ono samo dawało mi rękojmię bezpieczeństwa.
— To w którymś z królewskich pałaców. Cóż byś też, na przykład, powiedział o Luwrze?
— W jakiej części Luwru?
— W jego własnym pokoju. Maurevel uklonił się.
— Kiedy, pani?
— Dzisiaj wieczorem albo lepiej w nocy.
— Dobrze, Najjaśniejsza Pani. Teraz Wasza Królewska Mość pozwolisz mi zapytać jeszcze o jedną rzecz?

— O cóż przecie?
— Jak mam go traktować, jak szanować, jak uważać jego stan?
— Szanować! Uważać jego stan! — zawołała Katarzyna. — Lecz zdaje mi się, że król Francji dla nikogo nie powinien znać uszanowania w swoim państwie; alboż tu może się ktokolwiek z nim porównać?

Maurevel drugi raz się uklonił.

— Jednakowoż ja pozostaję przy swoim i jeżeli tylko Wasza Królewska Mość pozwolisz...
— Pozwalam.
— Otóż jeżeli król Nawarry nie uzna autentyczności rozkazu, o czym bardzo wątpię, ale w każdym razie...

— Przeciwnie, panie; to jest jak najpewniejsze.
— A więc go nie uzna?
— Bez żadnej wątpliwości.
— A stąd wypada, że nie będzie posłusznym?
— Tak sędzę.
— I będzie się bronił?
— Niezawodnie.
— A! Do diabła! — zawołał Maurevel. — W takim razie...
— W takim razie? — zapytała Katarzyna, wlepiając w niego swój wzrok.
— W razie gdy się będzie bronił, cóż mam robić?
— Co pan robisz, kiedy masz w ręku rozkaz króla, to jest, kiedy pan w swojej osobie reprezentujesz króla, a sprzeciwiają ci się? — Pani! — powiedział morderca. — Jeżeli mi dadzą podobny rozkaz, a rozkaz ten dotyczy szlachcica, zabijam go.

— Już panu powiedziałam, i to niedawno — odparła Katarzyna — i jeszcze nie powinien być pan zapomnieć, że tylko król francuski jest królem we Francji; wszyscy zaś inni, jakkolwiek są znakomici, w porównaniu z nim są tylko szlachtą.

Maurevel zbladł, zaczął bowiem pojmować.

— A! — zawołał morderca. — Zabić króla Nawarry?
— Lecz któż ci mówi, żeby go zabić? Gdzie jest rozkaz zabicia? Król żąda, ażeby Henryka odprowadzono do Bastylii, rozkaz nic więcej nie obejmuje. Niech się da uwięzić, bardzo dobrze, lecz jeżeli nie zechce się na to zgodzić, będzie się bronił, zabije cię...

Maurevel zbladł jak trup.

— Wtedy będziesz się bronił — mówiła dalej Katarzyna. — Przecież nie można pozwolić, ażeby cię zamordowano, Bóg wie za co. A podczas twojej obrony jakżeż chcesz? Przecie może co nastąpić. Czy teraz już mnie rozumiesz?

— Zupełnie, pani.

— Pan zapewne chcesz, ażebym po wyrazach: „Rozkaz uwięzienia” dodała własną ręką: „żywego lub umarłego”?

— Przyznaję, pani, że te słowa rozproszyłyby moje skrupuły.

— Jeżeli pan sądzisz, że bez tego nie można wykonać rozkazu, to trudno, nie ma się co ociagać.

I Katarzyna, wzruszywszy ramionami, rozwinęła pergamin i własną ręką dopisała: „żywego lub umarłego”.

— Czy teraz uważasz pan już rozkaz za formalny?

— Zupełnie, pani — odpowiedział Maurevel. — Lecz upraszam, ażebyś Wasza Królewska Mość pozwoliła mi wziąć się do rzeczy zupełnie podług mej woli.

— Jak to? Czyżbyś nie chciał wykonać rozkazu w nocy?

— I owszem. Wasza Królewska Mość rozkazałaś mi wziąć dwunastu ludzi.

— Tak jest, dla większej pewności.

— Otóż prosiłbym, ażebyś Wasza Królewska Mość pozwoliła mi wziąć tylko sześciu.

— Dlaczego?

— Dlatego, pani, że gdyby jak to można przypuszczać, miało się stać z księciem jakie nieszczęście, sześciu ludziom można przebaczyć, ponieważ mogli się obawiać, żeby im więzień nie uciekł; dwunastu zaś jest nie do darowania, gdyby który z nich podniósł rękę na króla wprzód, aniżeli by król własną ręką nie zabił choć ze sześciu.

— Na honor! Piękny mi król bez królestwa.

— Pani! — powiedział Maurevel. — Nie królestwo, lecz urodzenie stanowi króla.

— Czyń, jak chcesz — rzekła Katarzyna. — Powiem ci tylko tyle, że mam przeczucie, iż już nie opuścisz Luvru.

— A jakim sposobem zbiorę ludzi?

— Wszak masz pod swym dowództwem jakiegoś sierżanta, który może się tym zająć?

— Mam, pani, wiernego pomocnika, który już nieraz służył mi w rzeczach tego rodzaju.

— A więc poszukaj go i umów się z nim. Znasz zbrojownię króla, nieprawdaż? Otóż tam będziesz jadł kolację, stamtąd będziesz wydawał rozkazy. Zbrojownia ta powinna by cię podnieść na duchu, jeżeliś stracił odwagę. A skoro król powróci z polowania, przejdziesz do mojej modlitewni i tam będziesz czekał do oznaczonej godziny.

— Lecz jakim sposobem wejdziemy do jego pokoju? Henryk bez wątpienia coś podejrzewa, zamknie się więc dobrze.

— Mam drugie klucze do wszystkich drzwi — powiedziała Katarzyna. — Do widzenia, panie de Maurevel; do prędkiego zobaczenia. Każę cię zaprowadzić do zbrojowni króla. Pamiętaj pan, że rozkaz króla powinien być wykonany; żadna przeszkoda nie uniewinni pana, gdybyś go nie wykonał; przegrana bowiem skompromitowałaby króla. To jest bardzo ważne.

Katarzyna, nie dając czasu Maurevelowi odpowiedzieć, zawołała pana de Nancey, swego przybocznego kapitana i rozkazała mu zaprowadzić Maurevela do zbrojowni króla.

— Ej, do biesa! — mówił do siebie Maurevel, postępując za swym przewodnikiem. — Coraz bardziej wznoszę się w hierarchii morderstwa: od prostego szlachcica do kapitana; od kapitana do admirała; od admirała do króla!

ROZDZIAŁ XXXI

POLOWANIE NA DZIKA

Dojeżdżacz, który wypatrzył dzika i który upewnił króla, że zwierzę nie opuściło kniei, nie omylił się. Zaledwie puszczono ogara, ten natychmiast rzucił się w zarośla, z głębi których wybiegł dzik nadzwyczajnej wielkości. Zwierz uderzył wprost na dojeżdżacza i przebiegł drogę o pięćdziesiąt kroków od króla. Za nim pędził ogar, który go wytropił. Spuszczono natychmiast sfory i ze dwadzieścia psów sunęło za dzikiem.

Polowanie było namiętnością Karola IX. Zaledwie zwierzę przebiegło drogę, król rzucił się za nim, trąbiąc w róg; zaraz za królem podążali książę d'Alencon i Henryk, któremu Małgorzata dała znak, aby na krok nie opuszczał Karola. Reszta myśliwych pobiegła również za królem.

Lasy królewskie miały zupełnie odmienną postać w epoce, w której się odbywa opowiadana przez nas historia; nie było tam jeszcze parków poprzerzynanych zdatnymi do jazdy drogami, w tym czasie niczyja ręka nie podejmowała koło nich starania.

Królowie nie pomyśleli nawet, ażeby z nich ciągnąć handlowe zyski i dzielić je na gaje, zarośla i knieje. Drzewa, zasiewane nie przez uczonych leśniczych, lecz ręką Boga rzucającego ziarna na los wiatru, rosły nie w porządku, lecz bez ładu, jak to ma jeszcze teraz miejsce w dziewiczych lasach Ameryki. Słowem, ówczesne lasy były siedliskiem mnóstwa dzików, jeleni, wilków i rozbójników. Ze dwanaście ścieżek przerzynało las de Bondy, naokoło którego ciągnęła się droga zbierająca na swym obwodzie wszystkie te ścieżki.

Po upływie kwadransa zdarzyło się to, co jest zwykłym następstwem w podobnych przypadkach; myśliwi napotkali w biegu prawie nieprzewyciężone przeszkody, głosy psów zginęły w oddaleniu i sam król powrócił do wyżej wspomnianej drogi, klnąc podług zwyczaju najrozmaitszymi sposobami.

— No i cóż, d'Alencon? Cóż, Henryczku? — zawołał. — Wy tutaj, obojętni i spokojni jak mniszki idące za ksienią. O! To nie jest polowanie! Ty, d'Alencon, wyglądasz, jak gdybyś wyszedł z pudełka od perfum; tak pachniesz, że gdybyś przejechał między zwierzem i psami, bez wątpienia te ostatnie straciłyby trop. A ty, Henrysiu? Gdzie twój oszczep i rusznica?

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł Henryk — do czego tu rusznica? Wiem, że Wasza Królewska Mość lubisz zabijać zwierza, kiedy on spotka się z psami. Lecz ja władam oszczepem dosyć niezręcznie, broń ta bowiem wcale nie jest używana w naszych górach; tam polujemy na niedźwiedzia tylko z kordelasem w ręku.

— Na Boga, Henryku! Gdy wrócisz do swoich PiRenéjów, nie zapomnij przysłać mi pełnego wozu niedźwiedzi; musi to być zachwycające polowanie; spotkać się sam na sam ze zwierzęciem, które może nas zadusić. Lecz słuchajcie, zdaje mi się, że słyszę ujadanie psów. Nie, nie przesłyszałem się.

Król wziął róg i zatrąbił.

Mnóstwo głosów z rozmaitych stron odpowiedziało mu. Nagle ukazał się dojeżdżacz, który także zatrąbił.

— Wytropili dzika! — krzyknął król.

I puścił się galopem ze wszystkimi myśliwymi, którzy się wokoło niego zebrali.

Dojeżdżacz miał słuszność. W miarę jak król pomykał naprzód, tym wyraźniej dawało się słyszeć ujadanie psów, które już spuszczone do sześćdziesięciu.

W tej chwili król po raz drugi spostrzegł dzika i rzucił się za nim w gąszcz, trąbiąc w róg ze wszystkich sił.

Książęta jechali za nim niejaki czas. Lecz król miał tak dzikiego konia, który go unosił po drodze mocno spadzistej i przez zarośla bardzo gęste, że naprzód damy, potem książę d'Alencon z Henrykiem zniewoleni byli pozostać. Tavannes zdążył za królem przez chwilę, lecz na koniec i on się zatrzymał. Wszyscy, oprócz Karola i kilku dojeżdżaczy, którzy zachęteni obiecaną nagrodą nie chcieli opuścić króla, zaczęli dążyć ku rozstajnej drodze.

Henryk i d'Alencon jechali obok siebie długą aleją. Książę Gwizjusz wraz ze swoją świtą zatrzymał się o sto kroków od nich. Damy już znajdowały się na rozstajnej drodze.

— Nieprawdaż — powiedział książę d'Alencon do Henryka, wskazawszy z ukosa na księcia Gwizjusza — że tego człowieka, z jego zbrojną świtą, można uważać za istotnego króla? Nas, biednych książąt, nie zaszczyca nawet swoim spojrzeniem

— A dlaczegoż by on miał z nami postępować lepiej od naszego własnego rodzeństwa? — odpowiedział Henryk. — E! Mój bracie! Czymże ja i ty jesteśmy na francuskim dworze? Więźniami, zakładnikami naszego stronnictwa.

Książę Franciszek wzdrygnął się na te słowa i spojrzał na Henryka, jakby żądając od niego dalszych wyjaśnień, lecz Henryk wbrew zwyczajowi powiedział zbyt wiele; zamilkł więc.

— Co chcesz powiedzieć, Henryku? — zapytał Franciszek, rozgniewany widocznie, że szwagier zniewala jego samego do zadawania mu pytań.

— Mówię, mój bracie — odpowiedział Henryk — że ci uzbrojeni ludzie, którzy, jak się zdaje, mają zlecenie wciąż na nas baczyć, wielce są podobni do straży gotowej przeszkodzić ucieczce dwóch osób.

— Ucieczce? Jak to? Dlaczego? — zapytał d'Alencort, doskonale udając zdziwienie.

— A! Jakiego masz ślicznego konia, Franciszku — rzekł Henryk, zmieniając temat rozmowy, lecz zarazem kończąc swą myśl. — Jestem pewny, że ubiegłby siedem mil na godzinę, a dwadzieścia do południa. Pogoda prześliczna; to jakoś, na honor, kusi, człowieka. Patrz, jaka równa droga. I to cię nie nęci, Franciszku? Co do mnie, przyznam, że mam wielką ochotę użyć ostróg.

Franciszek nic nie odpowiedział. Tylko na przemian to czerwieniał, to bladł; potem nadstawiał ucha, jakby przysłuchując się polowaniu.

— Wieść z Polski zrobiła swoje — pomyślał Henryk — widać i mój kochany szwagierek układa sobie jakiś plan. Wielką ma chętkę, żebym uciekł, lecz ja bez niego ani się ruszę.

Zaledwie skończył te uwagi, gdy ukazało się kilku nowo nawróconych, znajdujących się przy dworze od dwóch czy trzech miesięcy. Ci, przybywszy, ukłonili się dwóm książętom z ujmującym na ustach uśmiechem.

Widoczne było, że księciu d'Alencon należało tylko rzec słowo lub zrobić znak, a zaraz trzydziestu lub czterdziestu rycerzy zebrałoby się koło nich i pomogliby im uciec; lecz on odwrócił głowę, a podniósłszy do ust róg, zatrąbił na zebranie.

Nowo przybyli tymczasem, jakby dorozumiewając się, że wahanie księcia d'Alencon pochodzi z bliskiego sąsiedztwa księcia Gwizjusza i jego świty, wcisnęli się pomału pomiędzy nich i dwóch książąt i uszykowali się ze zręcznością, świadczącą o przyzwyczajeniu do manewrów wojskowych.

Rzeczywiście, żeby dostać się do Henryka i księcia d'Alencon, należało przebić się przez tę całą gromadę; przed książętami ciągnęła się długa i szeroka droga.

Nagle, o dziesięć kroków od króla Nawarry, wyjechał z gęstwiny drzew drugi szlachcic, którego dwaj bracia jeszcze nie widzieli. Henryk zaczął się przypatrywać temu nowemu przybyszowi, który tymczasem uniósł kapelusz z głowy. Wówczas w osobie jego poznano wicehrabiego de Turenne, jednego z naczelników partii protestanckiej.

Wszyscy byli zdziwieni jego tutaj bytnością, gdyż myśleli, że się znajduje w Poitou.

Wicehrabia ośmielił się nawet zrobić znak, który –wyraźnie mówił: Czy jedziecie?

Lecz Henryk, rzuciwszy okiem na obojętną twarz i zamglone spojrzenie księcia d'Alencon, dwa lub trzy razy pokręcił głową, udając, że sobie coś poprawia u kołnierza od kaftana.

Poruszenie to wyrażało odpowiedź przeczącą.

Wicehrabia zrozumiał ją, spał konia ostrogami i zniknął w zaroślach.

W tejże chwili usłyszano naszczekiwanie zbliżającej się sfory; w końcu alei pojawił się dzik, a za nim tuż psy, na końcu zaś, podobny do piekielnego strzelca, Karol IX, bez kapelusza, trąbiąc w róg ze wszystkich sił; za królem pomykało trzech czy czterech dojeżdźaczy.

Tavannes znikł.

— Król! — zawołał książę d'Alencon. I rzucił się w ślad za nim.

Henryk, uspokojony obecnością swoich przyjaciół, dał im znak, żeby się nie oddalali; sani zaś zbliżył się do dam. — Cóż tam? — zapytała Małgorzata, zbliżywszy się do niego na kilka kroków.

— Nic, pani — odpowiedział Henryk — polujemy na dzika.

— I to już wszystko?

— Tak; wiatr od wczorajszego poranku wieje z przeciwnej strony, lecz zdaje mi się, że ja to nawet przepowiedziałem.

— Zmiana wiatru jest niekorzystna dla polowania, nieprawdaż, panie? — zapytała Małgorzata.

— W rzeczy samej — odpowiedział Henryk — niszczy czasami wszystkie rozporządzenia, a w takim razie trzeba znowu obmyślać nowy plan.

W tej samej chwili szczekanie psów dało się słyszeć bardzo blisko. Natychmiast każdy strzelec zajął swoje stanowisko, wyteżył wzrok i nadstawił ucha. Prawie zaraz ukazał się dzik i zamiast rzucić się w las, biegł drogą prosto do miejsca, gdzie się znajdowały damy dworzanie i myśliwi, którzy opuścili polowanie. Tuż za nim pędziło ze czterdzieści co najsilniejszych psów; za psami zaś, o dwadzieścia zaledwie kroków, gnał król Karol, z gołą głową, bez płaszcza, w ubraniu podanym od cierni, z zakrwawioną twarzą i rękoma.

Towarzyszyło mu tylko dwóch dojeżdźaczy.

Król przestał dąć w róg dlatego tylko, ażeby głosem zachęcić psy, lecz po chwili znowu zaczął trąbić. Cały świat nikł mu przed oczu. Gdyby mu był teraz upadł koń, byłby zawołał jak Ryszard III: „Królestwo za konia”!

Lecz koń zdawał się być tak zapalonym jak i jeździec; nogi jego zaledwie dotykały ziemi, a nozdrza zionęły ogniem.

Dzik, psy, król — zniknęli jak widziadła.

— Hallali; Hallali! — wrzasnął król, przejeżdżając obok, i znowu podniósł swój róg do ust krwią zbroczonych.

O kilka kroków od niego przemknęli książę d'Alencon i dwóch dojeżdźaczy; konie innych ustały.

Wszyscy rzucili się za nimi, gdyż było widoczne, że dzik gotów się zatrzymać. W istocie, nie upłynęło i dziesięć minut, a dzik opuścił ścieżkę, po której biegł, i rzucił się w las, lecz znalazłszy się wkrótce w miejscu otwartym i drzewami nie zarosłym, oparł się o kamień i zwrócił łeb w stronę psów.

Na krzyk Karola wszyscy się zbiegli.

Nastąpił teraz najważniejszy moment polowania. Zwierzę postanowiło widać bronić się rozpaczliwie. Psy, rozdrażnione przeszło trzygodzinnym uganiem, rzuciły się nań z zajadłością, podżeganą jeszcze krzykami i przekleństwami króla.

Wszyscy myśliwi stanęli w krąg; król cokolwiek na przedzie, a za nim ksiązę d'Alencon uzbrojony rusznicą i Henryk, mający przy sobie tylko prosty nóż myśliwski. Ksiązę d'Alencon porwał rusznicę i zapalił lont. Henryk spróbował, czy nóż z łatwością wyjmuje się z pochwy.

Co do księcia Gwizjusza, ten, gardząc tymi wszystkimi myśliwskimi zabawkami, stał opodal ze swoją swiłą.

Po stronie drugiej utworzyła się druga grupa z dam.

Wszyscy myśliwi w pełnym niespokojności oczekiwaniu zwrócili oczy na zwierza. Na boku stał dojeżdżacz, ledwo mogący utrzymać parę królewskich brytanów odzianych w kolczugi; psy te, wyjąc, wrywały się ustawicznie, tak dalece, że o mało nie pękły łańcuchy, i chciały rzucić się na dzika.

Dzik bronił się zajadle. Napadło nań razem ze czterdzieści psów, wydierając mu z pokrytej krwią skóry jeżącą się sierść, lecz dzik za każdym uderzeniem kłami wyrzucał nacierającego psa na dziesięć stóp w powietrze, a ten, spadając z rozprutym brzuchem, rzucał się nań na nowo. Karol, z rozrzuconym włosiem, pałającym wzrokiem, rozwartymi nozdrzami, pochyliwszy się aż na szyję swego spotniałego rumaka, trąbił jak wściekły. Po upływie niecałych dziesięciu minut dwadzieścia psów już było zabitych.

— Brytany! — wrzasnął Karol. — Brytany!

Na ten głos dojeżdżacz spuścił ze smyczy dwa brytany, które rzuciły się w sam środek utarczki, przewracając, niszcząc po drodze wszystko, co napotykały; potem, zbliżywszy się do dzika, każdy z nich porwał go za jedno ucho.

Dzik zgrzytnął zębami z bólu i wściekłości.

— Brawo, Duredent! Brawo, Risquetout! — krzyknął Karol.— Huzia go! Huzia! Oszczepu! Oszczepu!

— Czy nie chcesz, Najjaśniejszy Panie, mej rusznicy? — zapytał ksiązę d'Alencon. — Nie chcę, nie! — wołał król. — Co mi za przyjemność! Czyż się czuje, jak kula wchodzi w ciało; oszczep to co innego. Oszczepu! Oszczepu!

Natychmiast podano królowi oszczep, hartowany w ogniu, z obsadzoną w żelazo rękojeścią.

— Bracie mój, strzeż się! — zawołała Małgorzata.

— Dalejże! Dalejże! — wołała księżna de Nevers. — Wymierz tylko dobrze, Najjaśniejszy Panie!

— Bądź spokojna, księżno — rzekł Karol.

I wzniosłszy oszczep, rzucił się na dzika. Ten, przytrzymany przez psy, nie mógł uniknąć ciosu. Jednak na widok błyszczącego żelaza usunął się w bok, broń zaś, mająca mu przebić pierś, ześliznęła się po łopatce i skruszyła o kamień, na którym zwierz się był oparł.

— Na szatana! — zawołał król. — Chybiłem! Podać mi oszczep!

I cofnąwszy się nieco, odrzucił o dziesięć kroków broń już nieużyteczną.

Dojeżdżacz pośpieszył podać mu drugi.

Lecz w tejsze chwili dzik, jakby przewidując swój przyszły los i chcąc go uniknąć, zdołał nareszcie po kilkakrotnych usiłowaniach uwolnić od psów pokaleczone uszy i z krwią zaszłymi oczyma, z najeżoną sierścią, ziejąc gorącym oddechem, rzucił się, pochyliwszy łeb, na konia Karola IX.

Karol był doskonałym myśliwym i przewidywał ten napad, ściągnął więc konia, który stanął dęba, lecz ściągany wędzidłem lub też może przestraszony, w tył się przewrócił.

Wszyscy widzowie wydali straszny okrzyk, noga króla zaplątała się w strzemieniu...

— Najjaśniejszy Panie, rzuć cugle! — zawołał Henryk.

Król rzucił cugle, lewą ręką chwycił siodło, a prawą próbował wyciągnąć swój nóż myśliwski; lecz nóż, przyciśnięty ciężarem jego ciała, w żaden sposób nie chciał wyjść z pochwy.

— Dzik! Dzik! — zawołał Karol. — Do mnie, d'Alencon! Do mnie! Koń poczuł wolność i jakby pojmując niebezpieczeństwo grożące jego panu wyteżył wszystkie siły i powstał na przednie nogi; król tymczasem zwrócił się z wezwaniem do księcia d'Alencon.

Henryk spostrzegł, że Franciszek strasznie zbladł i zaczął celować z rusznicy, lecz kula zamiast trafić w dzika, znajdującego się o dwa kroki od króla, strzaskała kolano konia, który padł natychmiast.

W tej chwili dzik rozdarł but Karola.

— O! — szepnęła d'Alencon. — Zdaje się, że księżę Andegaweński jest królem Francji, a ja królem Polski.

Rzeczywiście, dzik zaczął już szarpać udo Karola... wtem król poczuł, że ktoś podnosi go za rękę, potem spostrzegł błysk ostrej broni, która zagłębiła się i zniknęła po samą rękojeść pod łopatką zwierza, gdy tymczasem dłoń w żelaznej rękawicy starała się wydobyć nogę Karola przygniecioną łbem dzika.

Karol, zdoławszy uwolnić nogę, podniósł się z trudem, a widząc, że jest cały oblany krwią, zbladł jak trup.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział Henryk, wciąż jeszcze klęcząc i utrzymując dzika porażonego w samo serce — to nic; Wasza Królewska Mość nie jesteście wcale raniony.

Potem podniósł się i odrzucił nóż na bok.

Zaraz też padł i dzik, wyrzucając więcej krwi z pyska aniżeli z rany.

Karol, widząc wkoło pobladłe twarze, przerażony krzykiem trwogi otaczających go myśliwych, ledwie że sam nie upadł koło zdychającego zwierza.

Lecz wkrótce przyszedł do siebie, a obróciwszy się do króla Nawarry, ścisnął mu rękę i spojrzał nań wzrokiem, w którym po raz pierwszy od lat dwudziestu czterech można było wyczytać nie udaną czułość.

— Dziękuję ci, Henryczku! — rzekł do niego.

— Mój biedny bracie! — zawołał d'Alencon, zbliżając się do Karola.

— A! To ty, d'Alencon — rzekł król. — Cóż, sławny strzelcze, gdzie twoja kula?

— Chyba splaszczyla się o dzika — odpowiedział księżę.

— E! Mój Boże! — zawołał Henryk, z wybornie udanym zdziwieniem. — Zobacz, Franciszku, twoja kula strzaskała nogę konia Jego Królewskiej Mości. To rzecz dziwna!

— Nie do wiary — rzekł król — czy to prawda?

— Być może — odparł zmieszany księżę — ręka mi strasznie drżała!

— Dobremu strzelcowi rzadko się przytrafia podobny wystrzał — rzekł Karol, marszcząc brwi. — Po raz drugi dziękuję ci, Henryczku. Panowie! — mówił dalej król. — Wracamy; dosyć tego.

Małgorzata zbliżyła się, aby powinszować Henrykowi.

— A! na honor, Margot — rzekł Karol — możesz mu szczerze powinszować, bo gdyby nie on, król Francji nazywałby się Henrykiem III.

— Niestety, pani — powiedział Bearneńczyk — księżę Andegaweński, który już i tak jest moim nieprzyjacielem, jeszcze mnie bardziej prześladować będzie. Lecz cóż? Każdy robi, co może, zapytajcie się d'Alencona.

Po czym, schyliwszy się, wyjął z piersi dzika nóż myśliwski i zagłębił go dwa lub trzy razy w ziemię, aby otrzeć zeń krew.

ROZDZIAŁ XXXII

PRZYJAŻŃ BRATERSKA

Ocalając życie Karola IX, Henryk uczynił więcej, niż gdyby ocalił życie zwyczajnego człowieka; przeszkodził bowiem zmianie monarchów w trzech królestwach.

Gdyby Karol IX był zabity, księżę Andegaweński zostałby królem Francji, a księżę d'Alencon — podług wszelkiego prawdopodobieństwa — królem Polski. Co się zaś tyczy Nawarry, ponieważ księżę Andegaweński był kochankiem księżnej Kondeuszowej, zapewne więc nawarska korona nagrodziłaby mężowi grzeszność żony.

W tym wielkim zamieszaniu nic nie pozostałoby dla Henryka. Nic więcej, tylko by sobie zmienił pana i zamiast Karola IX, który go przynajmniej znosił, widziałby wstępującego na francuski tron księcia d'Alencon, który mając z Katarzyną, swoją matką, jedną głowę i jedno serce, poprzysiął mu śmierć i bez wątpienia dotrzymałby przysięgi.

Wszystkie te myśli na raz stanęły mu w głowie, w chwili kiedy dzik rzucił się na Karola IX; widzieliśmy, co było skutkiem tej nagłej jak błyskawica myśli, że z życiem Karola IX jest związane jego własne życie.

Karol IX został ocalony przez poświęcenie, którego źródła nie mógł pojąć.

Lecz Małgorzata pojęła wszystko i podziwiała tę szczególną odwagę Henryka, rozjaśniającego się, niczym błyskawica, tylko podczas burzy.

Na nieszczęście nie wystarczyło uniknąć władzy księcia Andegaweńskiego; należało samemu zostać królem; należało rozprawić się o Nawarrę z księciem d'Alencon i Kondeuszem; należało nade wszystko opuścić ten dwór, gdzie każda ścieżka wiodła między przepaściami; należało przy tym opuścić go pod opieką francuskiego księcia.

Henryk, powracając z Bondy, przemyślał nad swoim położeniem. Kiedy przybył do Luwru, plan jego był już gotów. Nie przebierając się, cały pokryty krwią i kurzem, udał się do księcia d'Alencon; znalazł go bardzo zmieszanego i przechadzającego, się po pokoju wielkimi krokami.

Spostrzegłszy Henryka, księżę poruszył się gniewnie.

— Tak — rzekł Henryk, wzięwszy go za obydwie ręce — pojmuję ja wszystko; mój dobry bracie, gniewasz się na mnie za to, że ja pierwszy spostrzegłem, iż twoja kula strzaskała nogę królewskiego konia zamiast zabić dzika, jak było twoim zamiarem. Lecz cóż robić! Nie mogłem wstrzymać się od wykrzyku pełnego zdumienia. Zresztą król byłby to spostrzegł i sam, nieprawdaż?

— Bez wątpienia, bez wątpienia — mruknął d'Alencon. — Lecz ja nie mogę przypisać tego doniesienia czemu innemu, jak twoim złym zamiarom; skutkiem tego, jak sam widziałeś, mój brat Karol podejrzewa mnie o jakieś zamysły.

— Zaraz o tym szczegółowiej pomówimy. Co się zaś tyczy moich dobrych lub złych zamiarów, naumyślnie tu przychodzę, żeby zdać się na twój własny sąd.

— Dobrze! — rzekł d'Alencon ze zwykłą ostrożnością. — Mów, Henryku, słucham cię.

— Kiedy wszystko ci powiem, Franciszku, zobaczysz, jakie są moje zamiary; zwierzenie, które ci chcę uczynić, wyklucza wszelkie wyrachowanie, wszelką ostrożność. Skoro ci to opowiem, jednym wyrazem możesz mnie zgubić.

— Cóż to takiego? — zapytał Franciszek, zaczynając się lękać.

— A jednak — mówił dalej Henryk — długo nie mogłem się zdecydować, żeby ci to powiedzieć, szczególnie zaś po twojej dzisiejszej niedomyślności.

— Prawdziwie nie pojmuję, co chcesz powiedzieć, Henryku — rzekł pobladły Franciszek.

— Muszę ci oznajmić, mój bracie, że hugonoci zrobili mi pewne propozycje.

— Propozycje? I jakież to propozycje? — zapytał d'Alencon.

— Jeden z nich, pan de Mouy de Saint-Phale, syn mężnego de Mouya zamordowanego przez Maurevela, znasz go...

— Tak.

— Przyszedł więc do mnie z narażeniem własnego życia, po to tylko, ażeby mi donieść, iż jestem w niewoli.

— A! I jakąż dałeś mu odpowiedź?

— Mój bracie, wiesz, że szczerze kocham Karola, który mi ocalił życie, i że królowa Katarzyna stała się dla mnie matką. Wszystkie więc jego ofiary odrzuciłem.

— A jakież to były ofiary?

— Hugonoci chcą przywrócić nawarski tron; ponieważ zaś tron ten dziedzicznie mnie się przynależy, więc mi go ofiarowali.

— Tak; i pan de Mouy zamiast przychylniej odpowiedzi otrzymał zrzeczenie?

— Formalnie... Lecz potem — mówił dalej Henryk.

— Pożalowałaś tego, mój bracie? — przerwał d'Alencon.

— Nie; zauważyłem tylko, jeżeli się nie mylę, że pan de Mouy, niezadowolony ze mnie, udał się do kogo innego.

— Do kogóż? — zapytał żywo Franciszek.

— Nic nie wiem. Być może, że do księcia Kondeusza.

— Tak, to prawdopodobne — rzekł książę.

— Zresztą — odparł Henryk — mam nieomylny środek na to, aby wykryć, kogo sobie wybrał za naczelnika.

Franciszek zsiniał.

— Lecz hugonoci podzielili się między sobą — mówił dalej Henryk — a de Mouy, pomimo odwagi i prawości, jest przedstawicielem tylko połowy stronnictwa. Druga więc połowa, którą jednak pogardzić nie należy, nie straciła nadziei wyniesienia na tron Henryka Nawarskiego, który nie zdecydowawszy się za pierwszym razem, może się namyślić później.

— Tak sądzisz?

— O, co dzień coraz bardziej utwierdzam się w tym mniemaniu. Oddział rycerzy, który się do nas na polowaniu przyłączył, czy wiesz, z jakich on ludzi się składał?

— Z nawróconej szlachty.

— Czyś poznał dowódcę tego oddziału, robiącego mi znaki?

— A jakże; to wicehrabia de Turenne.

— Czyś pojął, czego ode mnie chcieli?

— Zrozumiałem; proponowali ci, abyś uciekł.

— Widać więc — rzekł Henryk do niespokojnego Franciszka — że jest druga, silna nawet partia, która chce czego innego niż pan de Mouy. Dla otrzymania pomyślnego skutku należałoby połączyć oba te stronnictwa: Turenusza i de Mouya. Spisek postępuje; wojska są wyznaczone; czekają tylko na sygnał. W tak ważnym położeniu, które wymaga z mej strony szybkiego rozwiązania, chwięję się między dwoma postanowieniami, nad którymi przyszedłem naradzić się z tobą jak z przyjacielem.

— Powiedz lepiej; jak z bratem.

— Tak, jak z bratem — dorzucił Henryk.

— Mów więc, słucham cię.

— Najprzód muszę ci przedstawić, mój kochany Franciszku, stan mojej duszy. Nie ma we mnie ani chęci, ani żądzy wyniesienia, ani żadnych zdolności; jestem po prostu biednym,

spokojnym i bojaźliwym wiejskim szlachcicem; trudy spiskowania w moich oczach nie dadzą się wynagrodzić nawet prawie pewną perspektywą tronu.

— A, mój bracie — rzeki Franciszek — sam się krzywdzisz. Nie wierzę temu, co mówisz. — A jednak to prawda, mój bracie — odpowiedział Henryk — prawda tak dalece, że gdybym miał prawdziwego przyjaciela, zrzekłbym się na jego korzyść tej władzy, którą mi chcą ofiarować moi stronnicy. Lecz — dodał z westchnieniem — nie mam takiego przyjaciela.

— Być może, że masz. Mylisz się tylko, bez wątpienia.

— Nie, na honor, nie! — powiedział Henryk. — Oprócz ciebie, mój bracie, nie widzę nikogo, co by był do mnie przywiązany.

Sądzę, że najlepiej będzie, gdy o wszystkim uwiadomię króla. Nie wymienię nikogo; nie przytoczę ani kraju ani daty, lecz uprzedzę go o katastrofie.

— Wielki Boże — zawołał d'Alencon, nie mogąc pohamować trwogi. — Co mówisz? Ty, jedyna nadzieja swego stronnictwa od czasu śmierci admirała, ty, nawrócony hugenot, źle nawrócony (tak przynajmniej można sądzić), ty podniesiesz nóż na swoich braci! Henryku! Henryku! Czy wiesz, że czyniąc to, gotujesz wszystkim kalwinistom noc świętego Bartłomieja? Czy wiesz, że Katarzyna oczekuje tylko sposobności, ażeby wygubić tych wszystkich, co pozostali przy życiu?

I księżę, ze drżeniem, z sinoczerwonymi wypiekami na twarzy, ścisnął rękę Henryka, jakby go błagając, ażeby wyrzekł się tego zgubnego zamiaru.

— Jak to — rzekł Henryk z wyborną prostodusznością. — Sądzisz, Franciszku, że to pociągnie za sobą tyle nieszczęść? Zdaje mi się jednak, że mając słowo króla, można być spokojnym co do innych.

— Słowo króla Karola IX. E, czyż go nie miał admirał! Czyż go nie miał Teligny? Czyż nie miałem go sam? O, Henryku, ja ci mówię, że jeśli to zrobisz, zgubisz ich wszystkich; nie tylko ich, ale nawet tych, co byli z nimi w bezpośrednich lub pośrednich stosunkach.

Henryk jakby się namyślał przez chwilę.

— Gdybym był jaką znakomitą osobą przy dworze — powiedział — postąpiłbym inaczej, Franciszku, na miejscu francuskiego księcia krwi, rzeczywistego następcy tronu...

Franciszek ironicznie pokręcił głową.

— Cóż byś uczynił na moim miejscu? — zapytał?

— Na twoim miejscu, mój bracie — odpowiedział Henryk — stanąłbym na czele całego spisku. Imię moje i moja powaga byłyby rękojmią mego sumienia i życia spiskowców; ja zaś odniósłbym korzyść, najprzód dla siebie, a potem może i dla króla. Bez tego przewodnictwa przedsięwzięcie ich może sprowadzić na Francję największe nieszczęścia.

D'Alencon słuchał tych słów z radością, która rozjaśniła jego oblicze.

— Czy sądzisz — rzekł — że godzi mi się tak postąpić, że wybawi nas to od wszystkich nieszczęść przez ciebie przewidzianych?

— Tak sądzę — odpowiedział Henryk. — Hugonoci lubią cię; twoja skromna powierzchowność, twoje wysokie położenie, na koniec przychylność, jaką im zawsze okazywałeś, wszystko to pobudza ich do ofiarowania ci usług.

— Lecz partia jest podzielona. Twoi nie zechcą być moimi?

— Obowiązują się zjednać ich dla ciebie.

— A to w jakiz sposób?

— Najprzód zaufaniem, jakie we mnie pokładają naczelnicy, następnie obawą, że Wasza Księżęca Mość, znając ich z nazwiska...

— Lecz któz mi je wymieni?

— Ja!

— I uczynisz to?

— Słuchaj, Franciszku. Mówiłem ci już, że tylko ciebie tutaj lubię... być może, pochodzi to stąd, iż jesteś, tak jak i ja, prześladowany; żona moja również bardzo jest do ciebie przywiązana.

Franciszek zaczerwienił się z zadowolenia.

— Usłuchaj mnie, mój bracie — mówił dalej Henryk — weź tę sprawę na siebie i panuj nad Nawarrą; i bylebyś mi tylko zostawił u stołu miejsce i jaki piękny las, w którym mógłbym polować, będę szczęśliwy.

— Panowanie nad Nawarrą — rzekł książę — lecz jeżeli...

— Jeżeli księcia Andegaweńskiego obiorą królem polskim, nieprawdaż? Kończę myśl twoją?

Franciszek spojrział na Henryka z pewną obawą.

— Posłuchaj, Franciszku — mówił dalej Henryk — ponieważ niczego nie możesz uniknąć, wnioskuje więc jedynie na podstawie tej hipotezy: jeżeli książę Andegaweński zostanie obrany królem polskim i jeżeli nasz brat Karol, czego Boże uchroni! umrze — od Pau do Paryża jest tylko dwieście mil, gdy tymczasem z Paryża do Krakowa jest czterysta; pośpieszysz więc tutaj, ażeby otrzymać tron dziedziczny, właśnie w tym czasie, kiedy król polski dowie się dopiero o śmierci brata.

Wtedy, jeżeli będziesz ze mnie zadowolony, Franciszku, dasz mi królestwo Nawarry, które odtąd będzie tylko kwiatkiem w twej koronie. Tym sposobem gotów jestem je przyjąć.

A najgorsze, co może ci się przytrafić, to to, że pozostaniesz tam i będziesz założycielem nowej dynastii, żyjąc w jednej rodzinie ze mną i moją żoną; tutaj zaś czymże jesteś? Biednym, prześladowanym księciem, trzecim z rzędu królewskim synem, niewolnikiem dwóch starszych, których jeden kaprys może cię wtrącić do Bastylii.

— Tak, tak — rzekł Franciszek — ja sam to czuję, tak nawet głęboko, że, doprawdy, nie pojmuję, dlaczego wyrzekłeś się planu, któryś mi podał. Czyż już tutaj nic nie bije?

I książę d'Alencon przyłożył rękę do serca brata.

— Bywają ciężary — odpowiedział Henryk — jakie dla niektórych rąk są nie do uniesienia. Podobnego ciężaru nie chcę podnosić, obawa znużenia niszczy we mnie wszelką chęć.

— Więc, Henryku, naprawdę się zrzekasz?

— Powiedziałem to de Mouyowi i tobie powtarzam.

— Lecz w takich okolicznościach, kochany bracie — rzekł d'Alencon — nie poprzestaje się na słowach, trzeba dowodu.

Henryk odetchnął jak zapaśnik, który czuje, że przeciwnik się cofa.

— Dowód będziesz miał dziś wieczór; o dziewiątej godzinie lista dowódców i plan całego przedsięwzięcia zostaną ci wręczone.

Franciszek uściskał Henryka za rękę.

Na tę właśnie chwilę weszła Katarzyna, jak zwykle bez uprzedzenia.

— Wy razem? — powiedziała z uśmiechem. — Jacy z was dobrzy bracia!

— Spodziewam się — rzekł Henryk z najzimniejszą krwią, podczas gdy książę d'Alencon bladł ze strachu.

Potem cofnął się kilka kroków, ażeby dać Katarzynie możliwość pomówienia z synem.

Królowa-matka wyjęła z woreczka bogatą spinkę.

— Spinkę tę dostałam z Florencji — powiedziała — daję ci ją, Franciszku, ażebyś ją nosił u szpady.

Potem dorzuciła półgłosem:

— Jeżeli dzisiejszego wieczoru usłyszysz w pokoju Henryka, twego dobrego brata, jaki szelest, nie ruszaj się z miejsca. Franciszek uściskał rękę matki i rzekł:

— Czy pozwolisz mi, matko, pokazać mu ten śliczny podarunek?

— Lepiej będzie, gdy mu go podarujesz w moim i swoim imieniu; podobną spinę zamówiłam już dla niego.

— Słyszysz, Henryku — rzekł Franciszek — moja matka przyniosła mi tę oto spinę, która jest dla mnie tym droższą, że mi ją pozwoliła podarować tobie.

Henryk wpadł w zachwyt nad pięknością spinki i rozplynał się w podziękowaniach.

Kiedy jego uniesienia nieco się uspokoiły, Katarzyna rzekła:

— Mój synu, jestem trochę słaba i położę się do łóżka; brat twój Karol jest osłabiony upadkiem i już spoczywa. Tego więc wieczora nie będziemy wieszerali w rodzinnym gronie, lecz każdy u siebie. Ach, Henryku, zapomniałam ci podziękować; ocaliłeś króla i swego brata, będziesz za to wynagrodzony.

— Już jestem wynagrodzony, pani — odpowiedział Henryk, skłoniwszy się.

— Przez uczucie spełnionego obowiązku — odparła Katarzyna — tego jeszcze nie dosyć. Wierz mi, że ja i Karol postaramy się hojnie spłacić dług zaciągnięty u ciebie.

— Wszystko, co będzie pochodziło od ciebie, pani, lub też od mego dobrego brata, z wdzięcznością zostanie przyjęte.

Potem skłonił się i wyszedł.

— Ach, mój bracie Franciszku — myślał Henryk wychodząc — jestem teraz pewny, że nie odjadę bez ciebie. Spisek miał serce; teraz znalazł już głowę, a co najważniejsze głowa ta jest odpowiedzialna za moją. Ale trzeba się strzec. Katarzyna obdarowuje mnie, Katarzyna obiecuje nagrodę, w tym coś jest. Muszę dzisiaj wieczór pomówić z Małgorzatą.

ROZDZIAŁ XXXIII

WDZIĘCZNOŚĆ KAROLA IX

Maurevel pozostał część dnia w zbrojowni króla.

Kiedy chwila powrotu z polowania zbliżała się, Katarzyna kazała mu ze zbirami, których z sobą przyprowadził, przejść do swojej modlitwni.

Karol IX, dowiedziawszy się po powrocie od mamki, że jakiś człowiek przez część dnia znajdował się w jego gabinecie, zaczął się początkowo gniewać, iż wpuszczono obcego do jego pokoju. Lecz kiedy mamka opisała mu postać tego człowieka i zarazem dodała, że był to ten sam, którego już razu pewnego wieczorem sprowadzała, król poznał Maurevela, a przypomniawszy sobie rozkaz, do którego zniewoliła go matka, zrozumiał wszystko.

— O, o — mruknął król — w dniu, kiedy ocalił mi życie! Żle obrana chwila.

Postąpił kilka kroków, ażeby się udać do matki, lecz nagle wstrzymał się i powiedział:

— Zacząć z nią o tym mówić to to samo, co wzniecić spór bez końca; niech lepiej każdy działa na swoją rękę.

Po chwili namysłu rzekł znowu:

— Mamko! Zamknij dobrze wszystkie drzwi i uprzedź królową Elżbietę, że czując się po upadku na polowaniu cokolwiek słabym, wkrótce się spać położę.

Mamka wyszła, ażeby wykonać rozkaz.

Król zaś, ponieważ nie nadeszła jeszcze chwila spełnienia jego zamiaru, siadł do pisania wierszy. Czas przy tym zajęciu upływał mu bardzo prędko. Już dziewiąta godzina wybiła, a on myślał, że jeszcze nie ma siódmej. Liczył uderzenia jedno po drugim, a skoro ostatnie dało się słyszeć, powstał.

— Na szatana! — zawołał. — Teraz dogodna pora.

Zarzucawszy płaszcz, wyszedł tajemnymi drzwiczkami, o których nie wiedziała nawet Katarzyna. Udał się wprost do mieszkania Henryka.

Henryk, rozstawszy się z księciem d'Alencon, wstąpił tylko do siebie, ażeby się przebrać, i natychmiast wyszedł.

— Bez wątpienia poszedł na kolację do Margot — rzekł do siebie król — dzisiaj byli ze sobą w stosunkach daleko przyjaźniejszych, tak mi się przynajmniej zdawało.

I skierował się do mieszkania Małgorzaty.

Małgorzata zaprosiła do siebie księżnę de Nevers, Coconnasa i La Mole i spożywała z nimi kolację składającą się z konfitur i ciastek.

Karol zapukał do drzwi przedpokoju; Gillonna otworzyła, lecz tak się przestraszyła widokiem króla, że zaledwie była w stanie uklonić się i zamiast pobiec i uprzedzić swoją panią o odwiedzinach dostojnego gościa, wydała tylko okrzyk i przepuściła Karola. Król przeszedł przedpokój i kierowany wybuchami dającego się słyszeć śmiechu, zbliżył się do jadalnego pokoju.

— Biedny Henryś — powiedział do siebie. — Bawi się, nie przeczuwając nieszczęścia.

— To ja — dodał głośno, podnosząc portierę i ukazując śmiejące się oblicze.

Małgorzata wydała przeraźliwy krzyk. Tą uśmiechniętą twarz sprawiła na niej wrażenie głowy Meduzy. Siedziała na wprost portiery i natychmiast poznała Karola.

Dwaj młodzieńcy byli zwróceny do króla tyłem.

— Jego Królewska Mość! — zawołała przestraszona Małgorzata. I wstała.

Wszyscy prawie potracili głowy.

Tylko Coconnas wcale się nie zmieszał. Zerwał się szybko, lecz z tak zręczną niezręcznością, że wstając wyrzucił stół, a z nim wszystko, co się na nim znajdowało; szkła talerze i świece.

W jednej chwili zupełna ciemność i grobowa cisza zaległy pokój.

— Uciekaj — szepnął Coconnas do La Mole'a — dalej, żywo!

La Mole nie dał sobie dwa razy tego powtarzać i rzucił się do muru, szukając rękoma sypialni; chciał się bowiem ukryć w gabinecie, dobrze mu już znanym.

Lecz w drzwiach sypialni potrafił jakiegoś człowieka, który wszedł tajemnym wejściem.

— Co to wszystko znaczy? — zawołał pośród ciemności Karol głosem, który zaczął już przybierać groźny ton zniecierpliwienia. — Czyż jestem straszidłem, że na mój widok wszystko przewraca się do góry nogami? Zobaczmy: Henrysiu! Henrysiu! Gdzieś ty? Odpowiadaj mi.

— Jesteśmy ocaleni! — szepnęła Małgorzata, porywając czyjąś rękę, którą wzięła za rękę Coconnasa. — Król sądzi, że mój mąż jest jednym z zaproszonych gości.

— Pozostawię go nawet w tym mniemaniu, bądź pani spokojną — rzekł Henryk, odpowiadając królowej tymże samym tonem.

— Wielki Boże! — zawołała Małgorzata, puszczać rękę, którą trzymała.

— Sza — powiedział Henryk.

— Cóż tam, u diabła, tak szepczecie? — zawołał Karol. — Henryku, odpowiadaj, gdzie jesteś?

— Tutaj, Najjaśniejszy Panie — odrzekł głos króla Nawarry.

— Do diabła! — powiedział Coconnas, który z księżną de Nevers skrył się w kącie. — O! Wszystko zaczyna się plątać.

— A więc jesteśmy podwójnie zgubieni — rzekła Henrieta. Coconnas, śmiały do nierozsądku, doszedł do przekonania, że wreszcie trzeba zapalić świece; sądząc zaś, że im prędzej, tym lepiej, puścił rękę księżnej de Nevers i poszukał świecznika; następnie udał się w stronę kominka i zaczął rozdmuchiwać węgiel, który też natychmiast zapalił knot u świecy.

W pokoju stało się widno.

Karol IX rzucił wokół pytające spojrzenie.

Henryk stał obok żony, księżna de Nevers siedziała w kącie sama; Coconnas zaś, ze świecznikiem w ręku, stojąc na środku pokoju, oświetlał całą scenę.

— Wybacz nam, mój bracie — powiedziała Małgorzata — nie spodziewaliśmy się ciebie.

— Wasza Królewska Mość, jak sam widzisz, bardzo nas przestraszyłeś! — dodała Henrieta.

— Co do mnie — rzekł Henryk, który się natychmiast wszystkiego domyślił — tak się przestraszyłem, że wstając wyrzuciłem, stół.

Coconnas rzucił na króla Nawarry spojrzenie, które mówiło: A to mi mąż! W mgnieniu oka wszystko zrozumiał!

— Co za straszny nieład! — powtórzył Karol IX. — Przepadła twoja kolacja, Henrysiu. Chodź ze mną, dokończysz jej gdzie indziej; tego wieczoru ja cię będę częstował.

— Jak to, Najjaśniejszy Panie! — rzekł Henryk. — Czyż Wasza Królewska Mość chciałbyś uczynić mi ten zaszczyt?

— Tak. Moją Królewska Mość robi ci zaszczyt uprowadzenia cię z sobą z Luwru. Pożycz mi go, Margot, do jutrzejszego ranka.

— A! mój bracie — powiedziała Małgorzata — czyż potrzebujesz na to mego zezwolenia? Czyż nie masz sam dostatecznej władzy?

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł Henryk. — Pójdę do siebie wziąć inny płaszcz i natychmiast powrócę.

— Nie ma potrzeby, Henrysiu. Alboż ten, który masz, jest nieodpowiedni?

— Lecz, Najjaśniejszy Panie...

— Mówię ci, u diabła, abyś nie chodził. Czy nie słyszysz? Pójdź!

— Idź, idź — powiedziała Małgorzata, ściskając rękę swego męża; ze szczególnego bowiem wzroku Karola wyczytała, że dzieje się coś nadzwyczajnego.

— Jestem gotów, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Henryk.

Teraz Karol zwrócił spojrzenie na Coconnasa, który nie przestawał zapalać pozostałych świec.

— Co to za szlachcic? — zapytał Henryka, mierząc Piemontczyka wzrokiem. — Czy to czasem nie pan de La Mole?

— Kto jemu mówił o La Mole'u? — pomyślała Małgorzata.

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Henryk. — Pana de La Mole nie ma tu, czego bardzo żałuję, gdyż miałbym honor przedstawić go Waszej Królewskiej Mości razem z jego przyjacielem hrabią de Coconnasem; obaj są nierozłączni i obaj pozostają w służbie księcia d'Alencon.

— A, a, naszego wielkiego strzelca! — powiedział Karol. — Dobrze! Potem, zmarszczywszy brwi, dodał:

— Ten pan de La Mole to podobno hugenot?

— Nawrócony, Najjaśniejszy Panie — rzekł Henryk — a ja odpowiadam za niego jak za siebie.

— Jeśli za kogo odpowiadasz, Henryku, po tym, coś dla mnie dzisiaj uczynił, nie mam prawa o nim powątpiewać. Lecz bądź co bądź chciałbym widzieć tego pana de La Mole. Ale to już innym razem.

I jeszcze raz obrzuciwszy pokój spojrzeniem, Karol uściskał Małgorzatę i wyszedł z królem Nawarry, trzymając go pod rękę.

U bramy Luvru Henryk chciał się zatrzymać, ażeby z kimś pomówić.

— Pójdźmy, pójdźmy! Wychodź prędzej, Henrysiu — rzekł do niego Karol. — Kiedy ci mówię, że powietrze Luvru nie jest zdrowe dla ciebie dzisiejszego wieczoru, to, do wszystkich diabłów! możesz mi wierzyć.

— Lecz cóż de Mouy będzie robił sam jeden w moim pokoju? — szepnął Henryk. — Byle tylko to powietrze, które mnie szkodzi, nie było jeszcze szkodliwsze dla niego.

— A tak! — powiedział król, gdy już obaj przeszli zwodzony most. — Więc nie obchodzi cię wcale, Henrysiu, że dworzanie d'Alencona umizgają się do twej żony?

— Jak to, Najjaśniejszy Panie?

— Tak; ten pan de Coconnas czyż nie robi do Margot słodkich oczu?

— Któż ci to powiedział, Najjaśniejszy Panie?

— Hm! — odparł król. — Powiedziano mi...

— Istny żart; pan de Coconnas robi słodkie oczy, to prawda, lecz nie do niej, ale do księżnej de Nevers.

— A, ba, ba!

— Mogę zapewnić Waszą Królewską Mość, że tak jest, a nie inaczej. Król zaczął śmiać się do rozpuku.

Po chwili powiedział:

— Dobrze! Kiedy księżę Gwizjusz przyjdzie opowiadać mi swoje przygody, wytargam go lekko za wąsy i powiem mu o wyczynach jego siostry. Jednakże — rzekł król namyślając się — nie pamiętam dobrze, o kim to on minie mówił; czy o panu de Coconnas, czy też o panu de La Mole.

— Ani jeden, ani drugi, Najjaśniejszy Panie — powiedział Henryk. — Mogę ręczyć za uczucia mej żony.

— Dobrze, Henrysiu, dobrze! — rzekł król. — Na honor, jesteś dzielny chłopiec i zdaje mi się, że w końcu nie będę mógł obejść się bez ciebie.

To powiedziawszy, król gwizdnął w szczególny sposób i zza węgła ulicy Beauvois wyszło czterech ludzi. Ludzie ci przyłączyli się do króla i wszyscy razem udali się ku środkowi miasta.

Wybiła godzina dziesiąta.

— No i cóż? — zapytała Małgorzata po odejściu króla i Henryka — czy usiądziemy do stołu?

— Nie — odpowiedziała księżna — tak się strasznie przelęknęłam. Nie masz to jak domek na ulicy Cloche–Percée! Tam nikt nie wejdzie bez szturmu, a załoga ma prawo obnażyć szpady. Lecz czego szukasz pod krzesłem i w szafach, panie de Coconnas?

— Szukam mego przyjaciela La Mole’a — rzekł Piemontczyk.

— Poszukaj obok mojego pokoju, panie de Coconnas — powiedziała Małgorzata. — Tam jest gabinet...

— Idę tam — rzekł Coconnas. I wszedł do pokoju.

— I cóż? — zapytał głos w ciemności.

— Ano nic, podano deser.

— A król Nawarry?

— Nic nie widział.

— A król Karol?

— A!... Król to co innego; zabrał ze sobą męża.

— Doprawdy?

— Wcale nie żartuję! Ale! Powiem ci jeszcze coś więcej: dowiedziawszy się, że jestem w służbie księcia d’Alencon, zrobił mi ten zaszczyt, że z boku na mnie spojrzął; skoro zaś dowiedział się, że jestem twoim przyjacielem, spojrzął na mnie z ukosa.

— Sądziś więc, że mu źle o mnie mówiono?

— Przeciwnie, obawiam się, czy czasem nie za dobrze. Lecz nie o to chodzi; zdaje się, że damy mają zamiar udać się na ulicę Roi–de–Sicile, a my musimy być ich przewodnikami.

— Niepodobna! Wiesz sam przecież...

— Jak to: niepodobna?

— No! Mamy dzisiaj służbę u Jego Księżęcej Mości,

— O, do krośset! Na honor, prawda! Zawsze zapominam, że ze szlachty mieliśmy zaszczyt przemienić się w lokajów.

I przyjaciele pobiegli objaśnić królową i księżnę, że służba nakazuje im asystować przynajmniej przy rozbieraniu księcia d’Alencon.

— Dobrze! — powiedziała księżna. — Pojedziemy same.

— A czy wolno zapytać, dokąd się panie udają? — zapytał Coconnas.

— O, jesteś pan za bardzo ciekawy — odpowiedziała księżna. — *Quere et invenies*.

Dwaj młodzieńcy skłonili się i pędem pobiegli do mieszkania księcia d’Alencon.

Księżę zdawał się czekać na nich.

— A! A! — rzekł. — Panowie tak późno.

— Dopiero godzina dziesiąta, mości księżę — odpowiedział Coconnas. Księżę spojrzął na zegarek.

— Prawda. A jednak w Luwrze już wszyscy śpią.

— Tak, mości księżę, lecz my jesteśmy gotowi na rozkazy. Czy Wasza Księżęca Mość każe wprowadzić do swojej sypialni dworzan?

— Nie; przeciwnie, należy ich oddalić.

Obaj spełnili rozkaz księcia i wkrótce powrócili.

— Wasza Księżęca Mość położy się zapewne spać, lub jeszcze zasiądzie do roboty?

— Nie, panowie, jesteście wolni do jutra.

— Chodźmy! — szepnął Coconnas do ucha La Mole'a. — Zdaje się, że dwór dzisiaj nie nocuje w domu.

I obaj, porwawszy płaszcze i szpady, zbiegli ze schodów po cztery stopnie naraz i rzucili się w pogoń za damami.

Dogonili je na rogu ulicy Coq-Saint-Honore.

ROZDZIAŁ XXXIV

BÓG RZĄDZI

Najgłębsza cisza panowała w całym Luwrze.

I nic dziwnego.

Małgorzata i księżna de Nevers udały się na ulicę Tizon. Coconnas i La Mole pośpieszyli zaraz za nimi. Król i Henryk byli na mieście. Książę d'Alencon pozostał w domu, oczekując z trwogą i niepokojem wypadków, o których mu napomknęła królowa-matka.

Katarzyna leżała w łóżku, a pani de Sauve, siedząc u wezgłowia, czytała jej jakieś powiastki włoskie, bardzo rozśmieszające królową. Już od dawna Katarzyna nie była w tak wybornym humorze. Z apetytem zjadła kolację, potem naradziła się z lekarzem, uregulowałaienne rachunki domowe, rozkazała odprawić nabożeństwo na intencję dojścia do skutku jakiegoś ważnego przedsięwzięcia, koniecznego, jak mówiła, dla szczęścia jej dzieci. Katarzyna bowiem, czysto florenckim obyczajem, rozkazywała w niektórych okolicznościach odprawienie mszy i nabożeństwa, których cel jej i Bogu był tylko wiadomy.

Wreszcie odwiedziła Renégo i wybrała z jego bogato zaopatrzonego zbioru nowe pachnidła.

— Dowiedz się — powiedziała Katarzyna — czy jest w domu moja córka, królowa Nawarry; jeśli będzie, proś ją, żeby przyszła do mnie.

Paż, któremu ten rozkaz został wydany, wyszedł i powrócił z Gillonną.

— Pytałam o królową, a nie o jej służącą — rzekła Katarzyna.

— Pani! — powiedziała Gillonna. — Uważałam sobie za obowiązek osobiście oświadczyć Waszej Królewskiej Mości, że królowa Nawarry wyszła z przyjaciółką swą księżną de Nevers.

— Wyszła o tak późnej godzinie! — zawołała Katarzyna, marszcząc brwi. — Dokąd ona poszła?

— Na doświadczenia alchemiczne — odpowiedziała Gillonna — które się odbywają w pałacu Gwizjuszów, w pawilonie zamieszkałym przez księżnę de Nevers.

— A kiedyż powróci? — zapytała królowa-matka.

— Doświadczenia przeciągają się późno w noc — odrzekła Gillonna — bez wątpienia więc Jej Królewska Mość pozostanie do jutra u księżnej.

— A! Szczęśliwa królowa Nawarry — mruknęła Katarzyna. — Ma przyjaciół... sama jest królową... nosi koronę, a nie ma poddanych. O, bardzo jest szczęśliwa!

Słuchacze uśmiechnęli się na te słowa.

— Zresztą kiedy już wyszła — mówiła dalej Katarzyna — gdyż powiadasz, że wyszła?

— Od pół godziny, pani!

— To tym lepiej; odejdz. Gillonna skłoniła się i wyszła.

— Czytaj dalej, Carlotto — powiedziała królowa-matka.

Pani de Sauve zaczęła czytać. Po upływie dziesięciu minut Katarzyna przerwała:

— A! Zaczekaj, dobrze, że sobie przypomniałam: każ odejść straży z galerii.

Był to znak, którego oczekiwał Maurevel.

Rozkaz królowej spełniono; pani de Sauve kończyła zaczęłą opowieść.

Już może z kwadrans czytała bez przerwy, gdy nagle straszny, przeciągły krzyk doszedł aż do sypialni królowej. Na krzyk ten wszystkim obecnym włosy zjeżyły się na głowie.

Zaraz potem rozległ się wystrzał z pistoletu.

— Co to jest? — zapytała Katarzyna. — Dlaczego przestała czytać, Carlotto?

— Czyż Wasza Królewska Mość nic nie słyszała? — odpowiedziała, zbladłszy, pani de Sauve.

— Czego? — zapytała Katarzyna.

— Tego krzyku...

— I strzału z pistoletu — dodał kapitan przybocznej straży.

— Krzyku, pistoletowego wystrzału? — powtórzyła Katarzyna. — Nie, nic a nic nie słyszałam... Zresztą czyż to taka nadzwyczajna rzecz posłyszeć w Luwrze krzyk lub też wystrzał z pistoletu? Czytaj, czytaj, Carlotto.

— Lecz słuchaj, pani — odpowiedziała pani de Sauve, podczas gdy pan de Nancey, porwawszy za rękę szpady, stał w miejscu, nie śmiejąc wyjść bez zezwolenia królowej — już słysząc odgłos zbliżających się kroków, przekleństwa... wyrzekania...

— Czy mam iść, aby dowiedzieć się o przyczynę tego hałasu? — zapytał kapitan.

— Nie ma potrzeby; zostań pan — rzekła Katarzyna, unosząc się nieco i opierając na rękę, jakby dla nadania większej mocy swemu rozkazowi. — Któż mnie będzie bronił, jeżeli się coś stanie? Zresztą to się pewnie pobiło kilku pijanych Szwajcarów.

Spokój królowej stanowił tak rażącą sprzeczność z obawą malującą się na twarzach otaczających ją osób, że pani de Sauve pomimo trwogi nie mogła się wstrzymać od zwrócenia na królową pytającego spojrzenia.

— Lecz, pani! — zawołała. — Zdaje się, jakby tam kogoś zabijano?

— Kogóż by na przykład?

— Króla Nawarry. Hałas dochodzi od strony jego mieszkania.

— Głupia! — powiedziała do siebie królowa, a usta jej, mimo władzy, jaką miała nad sobą, dziwnie zaczęły się poruszać, gdyż Katarzyna szeptała jakąś modlitwę. — Głupia, wszędzie widzi swego króla Nawarry!

— Mój Boże! mój Boże! — lamentowała pani de Sauve, padając na krzesło.

— Nie ma o czym mówić — powiedziała Katarzyna, Zwracając się zaś do pana de Nancey, dodała:

— Spodziewam się, że jutro surowo ukarzesz pan winnych za ten nieporządek. Czytaj dalej, Carlotto.

Po czym opadła na poduszki i pozostała nieporuszona, jakby od zbytecznego osłabienia.

Obecni zauważyli, że wielkie krople potu spływają po jej twarzy.

Pani de Sauve była posłuszna tak stanowczemu rozkazowi, lecz tylko głos jej i oczy spełniały swoją powinność. Myśl zaś daleko uleciała i przedstawiała wyobraźni straszne niebezpieczeństwo zawieszony nad głową ukochanego. Po kilku chwilach wewnętrznej walki głos jej stał się niezrozumiały; książką z rąk wypadła, a młoda kobieta zemdląca.

Nagle rozległ się jeszcze większy niż poprzednio hałas. W korytarzu dały się słyszeć ciężkie i pośpieszne kroki, a po chwili dwa wystrzały, od których szyby w oknach się zatrzęsły.

Katarzyna, zdziwiona tą przedłużającą się bójką, wstała ze zbladłą twarzą, obłąkanym wzrokiem i w chwili kiedy kapitan chciał wybiec, porwała go za rękę, mówiąc:

— Niech nikt nie wychodzi! Ja sama pójde zobaczyć, co się tam dzieje. A oto co się stało:

De Mouy otrzymał rano z rąk Orthona klucz od apartamentu Henryka. W wydrążeniu klucza spostrzegł zwinięty papier, który wydostał za pomocą szpilki. Było to hasło dla wejścia do Luwru dzisiejszej nocy. Nadto Orthon ustnie powtórzył mu słowa Henryka, który go wzywał do Luwru o godzinie dziesiątej. O pół do dziesiątej de Mouy przywdział pancierz, o którego wartości miał już nieraz sposobność się przekonać; na wierzch włożył jedwabny kaftan, przypasał szpadę, zatknął za pas dwa pistolety, a na to wszystko zarzucił słynny płaszcz czerwony La Mole'a.

Widzieliśmy, jak Henryk przed pójściem do siebie chciał odwiedzić Małgorzatę; jak przyszedł do niej tajemnymi schodami, zetknął się z La Mole'em w sypialni Małgorzaty i zajął jego miejsce wobec króla w sali jadalnej.

Stało to się właśnie w chwili, kiedy de Mouy, dzięki udzielonemu mu przez Henryka hasłu, a nade wszystko dzięki słynnemu czerwonemu płaszczowi przebył bramę Luwru. Młodzieniec udał się wprost do króla Narwany, naśladując, jak tylko mógł najlepiej, chód La Mole'a.

W przedpokoju zastał czekającego nań Orthona.

— Jego Królewska Mość wyszedł — rzekł do niego góral — lecz kazał mi wprowadzić pana do siebie i prosić, ażebyś zechciał na niego czekać. Jeśliby przez czas dłuższy nie nadchodził, w takim razie prosi pana także, ażebyś się położył na jego łóżku.

De Mouy wszedł nie pytając o dalsze wyjaśnienia; gdyż to, co mu w tej chwili powiedział Orthon, było tylko powtórzeniem tego, co już od niego słyszał rano. Ażeby na dobre użyć czasu, de Mouy wziął pióro i atrament i zbliżywszy się do prześlicznej mapy Francji wiszącej na ścianie, zaczął obliczać i odznaczać stacje od Paryża do Pau. Lecz zajęcie to ukończył w kwadrans, po czym nie wiedział już, czym się ma zająć. Ze dwa lub trzy razy przeszedł się po pokoju, przetarł oczy, ziewnął, siadł, wstał i znowu usiadł. Na koniec korzystając z pozwolenia Henryka tudzież z praw poufałości, jakie istniały między książętami i ich szlachtą, położył na nocnym stoliku pistolety, postawił lampę i wyciągnął się na szerokim łóżku, o które oparł obnażoną szpadę, a będąc pewnym, że nie będzie niespodzianie zdybany, gdyż w przedpokoju znajduje się służący, mocno zasnął. Chrapał tak, że mógł pod tym względem iść w zawody z samym królem Nawarry.

W tymże czasie sześciu ludzi ze szpadami w rękach i sztyletami za pasem ostrożnie i w milczeniu wsunęło się na korytarz biegnący od mieszkania Katarzyny do pokojów Henryka..

Jeden z sześciu ludzi postępował naprzód. Oprócz gołej szpady i szerokiego jak nóż myśliwski sztyletu miał jeszcze przy sobie wierne pistolety, przytwierdzone do pasa srebrnymi sprzączkami.

Był to Maurevel. Przyszedłszy do drzwi Henryka zatrzymał się.

— Czy jesteś pewny, że warta opuściła korytarz? — zapytał Maurevel drugiego, który zdawał się być dowódcą małego oddziału będącego pod jego rozkazami.

— Nie pozostał ani jeden żołnierz — odpowiedział tenże.

— Dobrze! — rzekł Maurevel. — Teraz trzeba tylko dowiedzieć się jednej rzeczy; czy ten, którego szukamy, jest w domu.

— Lecz — powiedział sierżant wstrzymując rękę, którą Maurevel położył na klamce u drzwi — to jest mieszkanie króla Nawarry.

— A któż mówi, że nie? — odpowiedział Maurevel.

Zbiry spojrzały po sobie z zadziwieniem; sierżant cofnął się o krok.

— Oj! — rzekł zmieszany — aresztować kogoś o tym czasie w Luwrze, i do tego w mieszkaniu króla Nawarry...

— Co mi powiesz — rzekł Maurevel — jeśli ci oznajmię, że ten, którego mamy aresztować, jest królem Nawarry?

— Odpowiem ci, kapitanie, że to nie żarty i że bez rozkazu opatrzzonego własnoręcznym podpisem Karola IX...

— Czytaj! — rzekł Maurevel.

I wydobywszy zza kaftana rozkaz, podał go sierżantowi.

— Dobrze — odpowiedział tenże, przeczytawszy — nie pozostaje mi nic do nadmienienia.

— Jużś gotów?

— Już.

— A wy? — zapytał Maurevel, obracając się do pięciu zbirów. Ci skłonili się z uszanowaniem.

— Słuchajcie mnie, panowie! — rzekł Maurevel — oto plan: dwóch z was pozostanie u tych drzwi, dwóch u drzwi od sypialni, a dwóch wejdzie ze mną.

— A potem? — spytał sierżant.

— Nie zapominajcie, że mamy rozkaz nie pozwolić więźniowi ani na krzyki, ani na opór. Niewykonanie tego rozkazu ukarane zostanie śmiercią.

— Chodźmy; nie ma się nad czym zastanawiać — rzekł sierżant do człowieka mającego iść z nim do sypialni króla.

— Tak — dodał Maurevel.

— Biedny król Nawarry! — rzekł któryś ze zbirów. — Już widać w niebie było zapisane, że nie umknie.

— I tu na ziemi także — powiedział Maurevel, biorąc z rąk sierżanta rozkaz Katarzyny i chowając go w zanadrze.

Maurevel włożył, w zamek klucz, który otrzymał z rąk Katarzyny, i zostawiwszy dwóch ludzi u zewnętrznych drzwi, wszedł z czterema do przedpokoju.

— A! A! — rzekł, usłyszawszy głośnie chrapanie. — Zdaje się, że znajdziemy tutaj to, czego szukamy.

Orthon, myśląc, że wszedł król, pośpieszył naprzeciw niego, lecz nagle znalazł się pośród pięciu uzbrojonych ludzi. Na widok złowrogiej twarzy Maurevela, zwanego zbójcą królewskim, wierny sługa cofnął się i stanąwszy przed drugimi drzwiami, powiedział:

— Kim jesteście i czego potrzebujecie?

— W imieniu króla — odpowiedział Maurevel — gdzie jest król Nawarry?

— Król Nawarry?

— Tak, król Nawarry.

— Króla Nawarry nie ma w domu — rzekł Orthon, broniąc wstępu — wejść więc nie można.

— Kłamstwo. — zawołał Maurevel. — Precz!

Beareńczycy są uparci; Orthon warknął jak pies góralski i śmiało odpowiedział:

— Nie wejdziecie, mówię wam. Króla nie ma w domu. I uczepił się drzwi.

Maurevel dał znak; czterech ludzi rzuciło się na górala i oderwało go od gzymsu drzwi, którego się trzymał. Orthon otworzył usta, chcąc krzyknąć, lecz Maurevel zamknął mu je ręką.

Orthon z wściekłości ugryzł mordercę, a ten z głuchym jękiem cofnął rękę i uderzył go ręką w głowę.

Wierny sługa zachwiał się i padł, krzycząc: — Rozbój! Rozbój!

Głos jego zamilkł; zemdlął.

Mordercy przeszli po jego ciele; dwóch stanęło u drugich drzwi, a trzej weszli do pokoju sypialnego. Światło lampy padało na łóżko. Firanki były zapuszczone.

— Oho! — rzekł sierżant. — Zdaje mi się, że już nie chrapie.

— Dalej! — zawołał Maurevel.

Na ten rozkaz rozległ się za zasłoną chrapliwy krzyk, mający więcej podobieństwa do ryku lwa aniżeli do ludzkiego głosu; firanki gwałtownie się rozsunęły, a przed oczyma zbirów ukazał się siedzący człowiek, w pancerzu, w szyszaku pokrywającym głowę do samych oczu, z dwoma pistoletami w rękę i szpadą na kolanach.

Zaledwie Maurevel poznał rysy de Mouya, poczuł, że włosy mu powstają na głowie. Zbladł strasznie. Usta jego napełniły się pianą i cofnął się, jak gdyby zobaczył widmo.

Nagle zbrojna postać powstała i zrobiła krok naprzód.

— A, złoczyńco — przemówił de Mouy głuchym głosem — przyszedłeś mnie zabić, tak jak zabiłeś mego ojca!

Dwóch zbirów, którzy weszli z Maurevelem do sypialni króla, usłyszało tylko te straszne słowa, lecz w momencie gdy je wypowiadał, de Mouy wycelował w głowę Maurevela. Zbójca rzucił się na kolana w chwili, kiedy de Mouy spuszczał kurek; wystrzał padł i jeden z przybyłych z Maurevelem, stojący za nim, osunął się ugodzony w samo serce.

W tej chwili Maurevel odpowiedział strzałem na wystrzał, lecz kula splaszczyla się o pancerz de Mouya. De Mouy, zmierzyszy odległość, jednym uderzeniem szerokiej szpady rozplatał czaszkę drugiego żołnierza; potem rzucił się do Maurevela i złożył się z nim.

Walka była krótka, lecz straszna. Po czwartym doskoczeniu Maurevel uczył zagłębiające mu się w gardło zimne ostrze stali; krzyknął chrapliwie, zachwiał się do tyłu i padając wywrócił lampę.

Ciemność zaległa komnatę.

Natychmiast de Mouy, korzystając z ciemności, odważny i zręczny jak bohater Homera, rzucił się z pochyloną głową do przedpokoju, przewalił jednego żołnierza, odepchnął drugiego, przemknął jak błyskawica pośród zbirów strzegących zewnętrznych drzwi; dwa razy wystrzelił w powietrze z pistoletu i był ocalony; pozostał mu bowiem jeszcze nabity pistolet i jego straszna szpada. Przez chwilę młodzieniec namyślał się, czy uciec do księcia d'Alencon, od którego mieszkania, jak mu się zdawało, otworzyły się drzwi, czy też spróbować wyjść z Luwru. Zdecydował się na to ostatecznie, znowu więc przyspieszył zwolnionego biegu, skoczył od razu z dziesięciu schodów, dobiegł bramy, wymówił hasło i rzucił się, krzycząc:

— Ruszajcie na górę! Mordują tam w imieniu króla.

A korzystając ze zdziwienia straży, znikł w ulicy du Coq, nie otrzymawszy najmniejszego zadraśnięcia.

Stało się to właśnie w chwili, kiedy Katarzyna wstrzymała kapitana straży tymi słowy:

— Zostańcie tu. Sama pójde zobaczyć, co się tam dzieje.

— Lecz, pani! — odpowiedział kapitan — niebezpieczeństwo, jakie Waszą Królewską Mość może spotkać, każe mi udać się za nią.

— Zostań tu — powtórzyła Katarzyna tonem jeszcze bardziej rozkazującym niż poprzednio.

— Królów broni siła daleko możniejsza od ludzkiej szpady.

Kapitan pozostał.

Wtedy Katarzyna wzięła lampę, obuła gołe nogi w aksamitne pantofle, wyszła z pokoju na korytarz pełen jeszcze dymu i udała się, spokojna i zimna jak cień, do mieszkania króla Nawarry.

Wszędzie było cicho.

Królowa zbliżyła się do drzwi wejściowych, przestąpiła próg i ujrzała w przedpokoju Orthona leżącego bez zmysłów.

— A — pomyślała — otóż najprzód sługa; bez wątpienia dalej znajdziemy i pana.

I zbliżyła się do drugich drzwi.

Tutaj potknęła się o jakieś ciało; zniżyła lampę; był to żołnierz z rozplataną głową... już nie żył... O trzy kroki od niego leżał sierżant wydający ostatnie tchnienie. Na koniec, pod łóżkiem leżał trzeci, bład jak śmierć. Krew strumieniami płynęła mu z podwójnej rany w gardle; na próżno starał się podnieść. Był to Maurevel.

Zimny dreszcz przebiegł członki Katarzyny; spostrzegła, że łóżko jest próżne; obejrzała się po całym pokoju i na próżno szukała między trzema leżącymi trupami tego, którego miała nadzieję zobaczyć.

Maurevel poznał Katarzynę; oczy jego strasznie się rozszerzyły i wyciągnął ku niej ręce z wyrazem rozpacz.

— Gdzie on jest? — zapytała królowa półgłosem. — Cóż się z nim stało? Nieszczęsny! Pozwoliłeś mu umknąć?

Maurevel chciał coś powiedzieć, lecz zamiast słów dał się słyszeć świst wychodzący z rany. Czerwona piana wystąpiła mu na usta i pochylił głowę na znak niemocy i bólu.

— Lecz mówże — zawołała Katarzyna — mówże! Chociaż słowo! Maurevel wskazał na ranę, wydał znowu jakieś niezrozumiałe dźwięki, jakieś konwulsyjne chrypienie i zemdlął.

Wtedy Katarzyna spojrzała dokoła; była otoczona trupami i umierającymi; krew strumieniami płynęła w pokoju, a grobowa cisza dodawała jeszcze większej grozy tej scenie. Jeszcze raz zwróciła się do Maurevela, lecz ten ani się poruszył. Z kieszeni wystawał mu papier; był to rozkaz uwięzienia Henryka.

Katarzyna schwyciła go i ukryła w zanadru.

W tej chwili usłyszała za sobą lekki szelest.

Obróciła się i ujrzała stojącego we drzwiach księcia d'Alencon, który na hałas, rozlegający się po całym Luwrze, wszedł tutaj i stanął osłupiały widokiem roztaczającym się przed jego oczyma.

— Ty tutaj? — zapytała zdumiona królowa.

— Tak, pani. Lecz co się tu dzieje? — zawołał książę.

— Wróć do siebie, Franciszku; wkrótce dowiesz się o wszystkim. Lecz d'Alencon wiedział więcej, niż się Katarzyna spodziewała. Skoro tylko w korytarzu dały się słyszeć kroki, zaczął się przysłuchiwać. Widząc uzbrojonych ludzi, wchodzących do mieszkania króla Nawarry, domyślił się, co to znaczy, i ucieszył się, że silniejsza ręka niż jego wybawi go od tak niebezpiecznego przyjaciela.

Wkrótce potem wystrzały i gwałtowne kroki uciekającego jeszcze bardziej ściągnęły jego uwagę; wtedy zobaczył, jak w smudze światła rzuconego przez szparę u drzwi na schody znikł czerwony płaszcz, dobrze mu znany.

— De Mouy! — zawołał. — De Mouy u mego szwagra Henryka! Lecz nie, to niepodobna! Czyżby to był pan de La Mole?

Wtedy opanował go strach.

Przypomniał sobie, że tego młodzieńca polecała mu sama Małgorzata, a chcąc przekonać się, czy to on w istocie przebiegł, udał się do pokoju naszych dwóch przyjaciół; pokój był pusty. Lecz w kącie wisiał sławny czerwony płaszcz.

Trwoga go opanowała; nie był to La Mole, lecz de Mouy. Zbladł, drżąc ze strachu, żeby nie schwymano hugenota, który mógł wydać tajemnicę spisku. Książę pobiegł do wrót Luwru. Dowiedział się tutaj, iż czerwony płaszcz uciekł, krzycząc, że w Luwrze mordują w imieniu króla.

— Omylił się — pomyślał d'Alencon. — Mordują, ale w imieniu królowej-matki.

I powróciwszy na pole bitwy, zastał Katarzynę niby hienę błędzącą pomiędzy umarłymi.

Na rozkaz matki książę powrócił do siebie, udając spokój i posłuszeństwo pomimo burzliwych myśli tłoczących mu się w głowie.

Katarzyna, zrozpaczona tym nowym niepowodzeniem, przywołała kap na i kazała popodnosić ciała.

Zaleciła, iżby Maurevela, jako rannego, odniesiono do domu, i nie kazała budzić króla.

— O! — mówiła powracając do swego mieszkania, z pochyloną na pierś głową — i tym razem się wymknął. Boska ręka czuwa nad tym człowiekiem! On będzie panował! Będzie!

Potem, otworzywszy drzwi do pokoju, podniosła rękę do czoła i przybrała twarz w dworski uśmiech.

— Cóż się tam stało? — zapytali wszyscy obecni. Pani de Sauve, zbyt jeszcze przestraszona, milczała.

— Nic — odpowiedziała Katarzyna. — Trochę hałasu i nic więcej.

— O! — zawołała nagle pani de Sauve, wskazując palcem ślady po przejściu Katarzyny — każdy krok Waszej Królewskiej Mości zostawia za sobą krwawe plamy na dywanie!

ROZDZIAŁ XXXV

NOC KRÓLÓW

Karol IX szedł z Henrykiem, oparłszy się na jego ramieniu. Towarzyszyło im sześciu dworzan, z których dwóch, idąc przodem, oświetlało drogę pochodniami; czterech zaś innych postępowało za nimi w tyle.

— Kiedy opuszczam progi Luwru — mówił biedny król — zdaje mi się, że wchodzę do pięknego lasu; zaraz swobodniej oddycham, żyję, jestem wolny...

Henryk uśmiechnął się.

— Wasza i Królewska Mość powinien byś mieszkać w naszych górach bearneńskich — powiedział.

— Tak; widzę, że masz wielką chęć tam powrócić, lecz jeśli będziesz bardzo uparty — dodał z uśmiechem Karol — strzeż się, radzę ci; moja matka tak cię kocha, iż za nic w świecie rozłączyć się z tobą nie zechce.

— Co Wasza Królewska Mość będzie robić dziś wieczór? — zapytał Henryk, zmieniając ten niebezpieczny temat.

— Chcę cię zaznajomić, Henrysiu, z pewną osobą. Powiesz mi też swe zdanie.

— Jestem na rozkazy Waszej Królewskiej Mości.

— Na prawo, na prawo! Idziemy ulicą des Barres.

Dwaj królowie wraz z eskortą przeszli ulicę de la Savonnerie, gdy nagle w stronie pałacu Kondeuszów spostrzegli owiniętych w szerokie płaszcze dwóch ludzi, którzy bez najmniejszego szelestu wyszli skrytymi drzwiczkami.

— O! O! — powiedział król do Henryka, który swoim zwyczajem patrzył, lecz milczał. — To coś godnego uwagi.

— Z czego to wnosisz, Najjaśniejszy Panie? — zapytał król Nawarry.

— Powiedziałem to nie do ciebie, Henrysiu; ty ufasz swej żonie — dodał Karol z uśmiechem — lecz twój kuzyn Kondeusz nie ufa swojej; albo jeśli jej ufa, to się myli, niech mnie diabli porwą!

— Lecz dlaczego myślisz, Najjaśniejszy Panie, że ci panowie byli u pani Kondeuszowej?

— Mam przecucie. Nieruchomość tych dwóch ludzi, którzy zatrzymali się u drzwi, skoro nas zobaczyli, a przy tym szczególny krój płaszcza niższego z nich... Na Boga! Byłoby to dość zabawne.

— Co?

— Nic; przyszła mi pewna myśl do głowy; podejźmy bliżej.

I poszedł prosto do dwóch nieznanomych, którzy widząc, że się do nich zbliżają, chcieli się oddalić.

— Hola! Panowie — rzekł król — zatrzymajcie się!

— Czy to do nas panowie mówią? — zapytał głos, na który wzdrygnęli się Karol i jego towarzysze.

— No i cóż, Henrysiu — powiedział król — poznajesz teraz ten głos?

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Henryk — gdyby brat twój, książę Andegaweński, nie był pod La Rochelle, gotów byłbym przysiąc, że to jego głos.

— Otóż właśnie, że nie jest on pod La Rochelle.

— Lecz któż to mu towarzyszy?

— Nie poznajesz go?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— A jednak jest on takiego wzrostu, że trudno się omylić. Zaczekaj, zaraz zobaczysz. Hola, panowie; czyż nie słyszycie?

— Czyż to warta, że nas chce zatrzymać? — zapytał ten, co był wyższego wzrostu.

— Bierzcie nas za wartę, jeśli wola — rzekł król — lecz zatrzymajcie się, kiedy wam rozkazuję.

Potem, nachylając się do ucha Henryka, dodał:

— Zaraz zobaczysz wybuch wulkanu.

— Jest was ośmiu — powiedział wyższy, pokazując spod płaszcza rękę i okrywając twarz — lecz chociażby was było stu, precz!

— A! A! księżę Gwizjusz! — rzekł Henryk.

— A! To ty? Dałeś się na koniec poznać!

— Król! — zawołał księżę.

Co się tyczy towarzysza księcia Gwizjusza, ten przy tych słowach okręcił się płaszczem i ani się ruszył, odkrywając jednak głowę z szacunku dla króla.

— Najjaśniejszy Panie! — przemówił księżę Gwizjusz. — Byłem w odwiedzinach u mojej szwagierki, księżnej Kondeuszowej.

— Tak... i wzięłeś ze sobą jednego ze swoich dworzan.

— Najjaśniejszy Panie! — odrzekł księżę — Wasza Królewska Mość nie znasz go.

— A więc się poznamy — powiedział król.

I podszedł prędko do nieznanego, każąc, jednemu z dworzan poświęcić.

— Przebacz, mój bracie! — przemówił księżę Andegaweński, odrzucając płaszcz i kłaniając się ze źle ukrytą złością.

— A! A! Henryku, to ty? Lecz nie, to niepodobna, mylę się. Brat Andegaweński przede wszystkim mnie by pierwszego odwiedził. Wie on dobrze, że dla księżąt krwi królewskiej jedna tylko prowadzi droga: przez bramę Luwru.

— Wybacz, Najjaśniejszy Panie! — powiedział księżę Andegaweński.

— Tak — odrzekł król pogardliwym tonem. — Cóżeś robił, mój bracie, w pałacu Kondeuszów?

— Przecież Wasza Królewska Mość sam dopiero co powiedziałaś — rzekł król Nawarry.

I schyliwszy się do ucha króla, dokończył zdania gwałtownym wybuchem śmiechu.

— Co to? — zapytał dumnie księżę Gwizjusz; gdyż jak wszyscy przy dworze, tak i on przywykł był traktować króla Nawarry po grubiańsku. — Dlaczegoż bym nie miał odwiedzić swojej szwagierki? Czyż księżę d'Alencon nie odwiedza swojej?

Henryk oblał się rumieńcem.

— Którą szwagierkę? — zapytał Karol — on ma tylko jedną: królową Elżbietę.

— Wybacz, Najjaśniejszy Panie; powinienem był powiedzieć: królową Małgorzatę, swoją siostrę, którą nie dalej jak pół godziny temu spotkaliśmy w lektyce w towarzystwie jakichś dwóch elegantów.

— Doskonale — zawołał Karol — cóż na to odpowiesz, Henryku?

— Że królowa Nawarry ma zupełne prawo wychodzić, dokąd jej się podoba. Wątpię tylko, czy wyszła z Luwru.

— A ja jestem tego pewny — odpowiedział księżę Gwizjusz.

— I ja także — dodał księżę Andegaweński — lektyka zatrzymała się na ulicy Cloche-Percée!

— Tak, zapewne twoja szwagierka, lecz nie ta — rzekł Henryk, wskazując na pałac Kondeuszów — ale ta — i pokazał palcem w kierunku pałacu Gwizjuszów — jest z nią; pozostawiliśmy je razem, a one, jak wiesz, są nierozłączne.

— Nie rozumiem, co Wasza Królewska Mość chcesz powiedzieć — odparł książę Gwizjusz.

— A jednak to zupełnie jasne — rzekł król. — Obok lektyki zaś widzieliśmy dwóch elegantów.

— Więc cóż! — powiedział książę. — Jeśli królowa i moje szwagierki grzeszą, to aby temu zapobiec na przyszłość, udamy się pod sprawiedliwość króla.

— E! Boże — powiedział Henryk. — Dajmy pokój paniom Kondeuszowej i de Nevers. Król nie troszczy się o swoją siostrę... a ja pokładam zupełne zaufanie w mojej żonie.

— Nie, nie — zaprzeczył Karol — muszę koniecznie dowiedzieć się prawdy; lecz uczynmy to sami. Mówisz więc, mój bracie, że lektyka zatrzymała się na ulicy Cloche–Percée?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Czy poznasz miejsce?

— Poznam, Najjaśniejszy Panie.

— Pójdziemy więc tam i jeśli będzie trzeba podpalić dom, aby się dowiedzieć, kto jest wewnątrz, podpalimy go.

Z takim to niezbyt uspokajającym dla naszych dam zamiarem cztery najważniejsze osoby we Francji udały się na ulicę Saint–Antoine.

Czterej książęta przybyli na ulicę Cloche–Percée.

Karol, chcąc zakończyć tę sprawę pomiędzy rodziną, odesłał świętę, rozkazawszy jej o szóstej z rana czekać na niego z dwoma końmi w bliskości Bastylii.

Na ulicy Cloche–Percée stały tylko trzy domy; poszukiwanie zaś było tym łatwiejsze, że do dwóch domów zaraz ich wpuszczono; z tych dwóch domów jeden dotykał ulicy Saint–Antoine, a drugi ulicy Roi–de–Sicile.

Co się tyczy trzeciego, przyjęto ich tu inaczej; dom strzeżony był przez odźwiernego Niemca, bardzo nieprzystępnego.

Zdawało się, że było przeznaczeniem Paryża przedstawić tej nocy najpamiętniejsze przykłady domowej wierności.

Pomimo próśb księcia Gwizjusza, rzuconych w najczystszy narzeczu saksońskim, pomimo kieski złota zaofiarowanej przez Henryka Andegaweńskiego, pomimo zapewnień Karola, który utrzymywał, że jest dowódcą warty, waleczny Niemiec nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

Widząc opór, wystawił przez żelazne kratki koniec rusznicy; ten rodzaj groźby wzbudził w obecnych śmiech; Henryk Nawarski stanął opodal, jakby to wcale go nie interesowało.

Rusznica, nie mogąc manewrować między kratkami, mogła grozić niebezpieczeństwem tylko ślepemu, który by stanął na wprost niej.

Widząc, że odźwiernego nie można ani zastraszyć, ani przekupić, ani ująć, książę Gwizjusz udał, że ucieka ze swymi towarzyszami, lecz ucieczka niedługo trwała.

Na rogu ulicy Saint–Antoine znalazł to, czego szukał; był to jeden z tych kamieni, jakie przed trzema tysiącami lat dźwigali Ajaks Telamończyk i Diomedes; wziął go na swe barki i powrócił, dając znak swym towarzyszom, żeby za nim postępowali.

Właśnie w tej chwili odźwierny, widząc, że złoczyńcy już się oddalili, zamknął drzwi, lecz nie zdążył zasunąć rygli.

Książę Gwizjusz skorzystał z tego i rzucił kamień we drzwi. Zawiasy odleciały wraz z częścią muru, w którym były osadzone. Drzwi otworzyły się, przewróciwszy Niemca; krzyk jego zbudził garnizon, który i bez tego wielce by się zadziwił. W tym samym czasie La Mole tłumaczył z

Małgorzatą idyllę Teokryta, a Coonnas, udając, że jest Grekiem, pił z Henrietą syrakuzzańskie wino.

Zarówno rozmowa bachiczna, jak i dyskurs naukowy nagle zostały przerwane.

La Mole i Coonnas pogasili natychmiast świece, otworzyli okna, wy— skoczyli na balkon, a ujrzawszy w ciemności czterech ludzi, zaczęli w nich rzucać wszystkim, co im podpadło pod rękę.

Karol, najzaciętszy z oblegających, otrzymał w plecy uderzenie srebrnym dzbanuszkim; na księcia Andegaweńskiego zleciał półmisek z pomarańczowym kompotem, a na księcia Gwizjusza pieczona zwierzyna.

Henryk nie poniósł żadnego szwanku. Po cichu wypytywał odźwiernego, którego Gwizjusz przywiązał do drzwi i który na wszystko odpowiadał swoim wiecznym:

— *Ich verstehe nicht.*

Kobiety dodawały ducha obłożonym i podawały im różne przedmioty sypiące się jak grad na nieprzyjaciół.

— Na szatana! — zawołał Karol IX, rozgniewany, że zrzucony w tej chwili taboret nacisnął mu kapelusz na sam nos. — Otworzyć mi natychmiast albo każę wszystkich wywieszać!

— Brat! — powiedziała po cichu Małgorzata do La Mole'a.

— Król! — rzekł La Mole po cichu do Henriety.

— Król! Król! — szepnęła Henrieta do ucha Piemontczykowi, który już ciągnął do okna jakąś skrzynię, ażeby rzucić ją na księcia Gwizjusza. — Król, mówię wam.

Coonnas wypuścił z rąk skrzynię i z zadziwieniem spojrział dokoła.

— Król — powtórzył.

— Tak, król.

— A więc uciekajmy.

— E! La Mole i Małgorzata już zniknęli; chodź...

— Dokąd?

— Chodź, mówię ci...

I Henrieta, wzięwszy Coonnasa za rękę, wprowadziła go z sobą przez tajemne drzwiczki wiodące do sąsiedniego domu.

Wszyscy czworo, zamknawszy za sobą drzwi, uciekli przejściem prowadzącym na ulicę Tizon.

— O! O! — rzekł Karol. — Załoga już się poddaje.

Jednak po kilku chwilach oczekiwania żaden szelest nie doszedł do uszu oblegających.

— To jakaś zasadzka — powiedział książę Gwizjusz.

— A raczej poznano głos mego brata i ratowano się ucieczką — dorzucił książę Andegaweński.

— Lecz oni muszą przejść obok nas — rzekł Karol.

— Tak — odparł książę Andegaweński — jeśli dom nie ma dwóch wyjść.

— Bracie — powiedział król — weź kamień i wybij drugie drzwi.

Książę sądził, że nie ma konieczności używania takich środków, i zauważywszy, że drugie drzwi są daleko słabsze od pierwszych, wywalił je jednym uderzeniem nogi.

— Pochodni! Pochodni! — zawołał król. Służalcy zbliżyli się.

Pochodnie były zgaszone, lecz mieli przy sobie co potrzeba do zapalania,

Rozniecono ogień. Karol IX wziął jedną pochodnię, a drugą podał księciu Andegaweńskiemu. Książę Gwizjusz postępował naprzód ze szpadą w ręku.

Henryk zamykał pochód.

Weszli na pierwsze piętro. W jadalni wały się jeszcze szczątki kolacji będącej główną obroną obłożonych. Kandelabry były wywrócone, meble w nieładzie, a wszystkie naczynia porozbijane na kawałki.

Przeszli do salonu. Tutaj, jak i w pierwszym pokoju, nie znaleziono nic, co by mogło ich wprowadzić na pomysł, kto tę ucztę wyprawiał. Kilka greckich i łacińskich książek, kilka instrumentów muzycznych, oto wszystko, co znaleziono. W sypialni nie znaleźli żadnego widocznego dowodu. W kuli alabastrowej zawieszanej u sufitu paliła się lampa, lecz widać było, że do tego pokoju nikt nie wchodził.

— Musi tu być drugie wyjście — rzekł król.

— Niezawodnie — powiedział książę Andegaweński.

— Lecz gdzie? — zapytał książę Gwizjusz. Zaczęto szukać, lecz nigdzie nie znaleziono.

— Gdzie jest odźwierny? — spytał król.

— Przywiązałem go do kratki — odpowiedział książę Gwizjusz.

— Wypytaj się go, bracie.

— Nie będzie chciał odpowiadać.

— Ba! Przygrzeję mu trochę nogi — rzekł król, śmiejąc się — to i odpowie.

Henryk spiesznie wyjrzał oknem i powiedział:

— Już go tani nie ma.

— Któż go odwiązał? — spytał żywo książę Gwizjusz.

— Na szatana! — zawołał król. — A więc nic się nie dowiemy.

— Widzisz, Najjaśniejszy Panie — rzekł Henryk — że nie ma żadnego dowodu, iżby moja żona i szwagierka księcia Gwizjusza były w tym domu.

— To prawda — odpowiedział Karol, — Pismo święte mówi: są trzy rzeczy, które za sobą nie pozostawiają śladu; ptak w powietrzu, ryba w wodzie i kobieta... nie, myślę się... i mężczyzna u...

— A więc — przerwał Henryk — najlepiej będzie...

— Tak — mówił dalej Karol — najlepiej będzie, jeżeli opatrzę swe stłuczenie; ty Andegaweńczyku, zetrzyj, pomarańczowy syrop, a ty, Gwizjuszu, wywab tłustość z pieczeni.

Po czym wyszli, nie zamykając nawet drzwi za sobą. Doszedłszy do ulicy Świętego Antoniego, król zapytał księcia Andegaweńskiego i Gwizjusza:

— Dokąd idziecie, panowie?

— Najjaśniejszy Panie, idziemy do Nantouilleta, który nas czeka z kolacją. Czy Wasza Królewska Mość pójdzie z żonami?

— Nie; my idziemy w inną stronę. Czy chcecie jednego z moich dworzan?

— Dziękuję, Najjaśniejszy Panie — odrzekł pośpiesznie książę Andegaweński.

— Dobrze; boi się, ażebym go nie kazał szpiegować — szepnął Karol Henrykowi do ucha.

Potem, wzięwszy go pod rękę, mówił dalej:

— Chodź, Henryku, wyprawię ci dziś kolację.

— Więc nie powrócimy do Luwru? — zapytał Henryk.

— Nie; już ci powiedziałem, uparciuchu, że dziś pójdiesz ze mną. I uprowadził go na ulicę Geoffroy-Lasnier.

ROZDZIAŁ XXXVI

ANAGRAM

Ulicę Geoffroy–Lasnier przecinała ulica Garnier–sur–l’Eau, na końcu której, po prawej i po lewej stronie, ciągnęła się ulica des Barres.

Tutaj, o kilka zaledwie kroków od ulicy de la Mortellerie, wznosił się mały domek, samotnie pośród ogrodu otoczonego wysokim murem.

Karol wydobyl z kieszeni klucz i otworzył drzwi, które natychmiast ustąpiły, gdyż były tylko zasunięte na rygiel. Potem, wpuściwszy Henryka i służących niosących pochodnie, zamknął drzwi za sobą.

Jedno tylko nieduże okno było oświetlone. Karol, uśmiechając się, pokazał je palcem Henrykowi.

— Nie rozumiem, Najjaśniejszy Panie — rzekł Henryk.

— Zaraz zrozumiesz, Henrysiu.

Król Nawarry z zadziwieniem spojrział na Karola, którego głos i oblicze przyjęły wyraz słodczy, tak odmienny od zwykłego charakteru, jego fizjonomii, że Henryk zaledwie mógł go poznać.

— Henrysiu! — powiedział król. — Mówiłem ci, że wychodząc, z Luwru, wychodzę z piekła; wchodząc tutaj, wchodzę do raju.

— Najjaśniejszy Panie! — odrzekł Henryk. — Jestem szczęśliwy, że Wasza Królewska Mość znalazłeś mnie godnym, aby towarzyszyć ci do nieba.

— Droga do niego wąska — powiedział król, wstępując po ciasnych schodach — lecz to tylko dlatego, żeby porównanie było zupełne.

— Co to za anioł strzeże wejścia do twego Edenu, Najjaśniejszy Panie? — Zaraz zobaczysz — odpowiedział Karol IX.

I dawszy Henrykowi znak, żeby szedł za nim bez szmeru, otworzył jedne drzwi, potem drugie i zatrzymał się na progu.

— Patrz! — powiedział.

Henryk zbliżył się i utkwiał oczy w jednym z najpiękniejszych widoków, jakie kiedykolwiek widział.

Kobieta osiemnasto– lub dziewiętnastoletnia spała, pochyliwszy głowę na łóżko śpiącego dziecięcia. Obejmowała dziecię obiema rękami, ustami zaś dotykała jego maleńkich nóżek. Długie blond włosy w złotych pierścieniach spadały jej na szyję.

Rzekłbyś, że to obraz Albana przedstawiający Matkę Boską i Dzieciątko Jezus.

— Och! Najjaśniejszy Panie — rzekł król Nawarry. — Cóż to za zachwycające stworzenie?

— To anioł mego raju, Henrysiu; jedyna istota, która mnie kocha. Henryk uśmiechnął się.

— Tak, mnie — rzekł Karol — gdyż kochała mnie, nie wiedząc jeszcze, że byłem królem...

— A od czasu, jak o tym wie?

— Od czasu, kiedy o tym wie — odpowiedział Karol z westchnieniem przekonywującym, że czasami ta krwawa korona była dla niego ciężkim brzemieniem — od czasu, kiedy o tym wie, kocha mnie jak dawniej; osądź z tego!

Król zbliżył się, jak można najciszej, i na rumianych policzkach młodej kobiety złożył pocałunek tak lekko jak pszczoła, kiedy się dotyka lilii.

Jednak młoda kobieta przebudziła się.

— Karol! — szepnęła, otwierając oczy.

— Widzisz — rzekł król — nazywa mnie po prostu Karolem; królowa mówi mi: Najjaśniejszy Panie.

— Och, tyś nie sam, mój królu — zawołała młoda kobieta.

— Nie, moja dobra Mario. Przyprowadziłem ci innego króla, szczęśliwszego ode mnie, bo bez korony; nieszczęśliwszego ode mnie, bo nie ma Marii Touchet. Bóg zawsze każdego czymś nagrodzi.

— To król Nawarry? — spytała Maria.

— On sam, moje dziecię. Zbliź się, Henrysiu.

Król Nawarry zbliżył się.

Karol wziął go za prawą rękę i rzekł:

— Spójrz na tę rękę, Mario; jest to ręka dobrego brata i uczciwego przyjaciela. Gdyby nie ta ręka...

— Cóż by się stało?

— Gdyby nie ta ręka, Mario, syn nasz nie miałby już dzisiaj ojca. Maria krzyknęła, padła na kolana i porwawszy rękę Henryka obsypała ją pocałunkami.

— Dobrze, Mario, dobrze! — powiedział Karol.

— Czymżesz odwdzięczyłeś się mu, Najjaśniejszy Panie?

— Tym samym.

Henryk z zadziwieniem spojrział na Karola.

— Dowiesz się kiedyś, co chcę przez to powiedzieć, Henrysiu. Teraz patrz. Zbliżył się do łóżeczka, w którym spało dziecię, i rzekł:

— Gdyby ten chłopiec spał, w Luwrze, a nie tu, w tym małym domku na ulicy des Barres, wielce by to zmieniło stan rzeczy nie tylko teraz, lecz może i w przyszłości.

— Najjaśniejszy Panie! — powiedziała Maria. — Podług mnie niech lepiej śpi tutaj, gdyż jest bezpieczniejszy i spokojniejszy.

— Nie przerywaj mu spoczynku — rzekł król — to tak dobrze spać, kiedy nas nie trapią senne marzenia. — Czy pozwolisz, Najjaśniejszy Panie? — zapytał Maria, wyciągając, rękę ku drzwiom. — Masz słuszność, Mario — odpowiedział Karol IX — chodźmy wieszczyć.

— Mój kochany Karolu — rzekła Maria — poproś twego brata króla, żeby mi wybaczył.

— Cóż takiego?

— Odesłałam naszych służących, Najjaśniejszy Panie — mówiła dalej Maria, zwracając się do króla Nawarry. — Karol chce, żeby mu nikt nie usługiwał oprócz mnie.

— Nie dziwię mu się — powiedział Henryk.

I obaj weszli do jadalnej sali; zapobiegliwa i staranna matka okryła małego Karola ciepłą kołdrą; dziecię dzięki mocy snu, którego mu zazdrościł ojciec, dotychczas jeszcze się nie przebudziło.

Maria weszła za nimi.

— Są tylko dwa nakrycia! — rzekł król.

— Pozwólcie mi usługiwać wam — powiedziała Maria.

— Widzisz, Henrysiu — rzekł król — przyniosłeś mi nieszczęście.

— Jak to, Najjaśniejszy Panie?

— Czyż nie słyszysz?

— Przebacz, Karolu, przebacz!

— Przebaczam ci. Lecz siadaj tu, obok mnie, między nami.

— Jestem posłuszna — odpowiedziała Maria.

I przyniosłszy nakrycie, siadła między dwoma królami i zaczęła im usługiwać.

— Nieprawdaż, Henrysiu — rzekł Karol — że to miło mieć na świecie miejsce, gdzie można jeść i pić bez potrzeby dawania pierwej do próbowania wina i potraw.

— Ja lepiej niż kto inny pojmuję to szczęście, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Henryk.

— Powiedzie jej, iż jeśli chce, żeby nasze szczęście było nieprzerwane, niech się nie miesza do polityki; ona nie powinna pokazywać się u dworu; nade wszystko zaś nie powinna się zaznajamiać z moją matką.

— W istocie — odrzekł Henryk, wykrętnie uchylając się od niebezpiecznej szczerości — królowa Katarzyna kocha Waszą Królewską Mość tak namiętnie, że zdolna jest być zazdrosną o każdą inną miłość.

— Mario! — powiedział król — przedstawiam ci jednego z ludzi najprzenikliwszych i najdowcipniejszych przy dworze. A to niemało znaczy! On przewyższył wszystkich; być może, że ja jeden go zrozumiałem; nie mówię, żebym odgadł, co kryje jego serce, lecz odgadłem tajniki jego umysłu.

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł Henryk. — Przesadzasz jedno, a wątpisz o drugim. — Ja nie przesadzam, Henrysiu — powiedział król. — Mario, szczególnie zręcznie składa on anagramy. Poproś go tylko, aby ci ułożył anagram z twego nazwiska, a zapewniam cię, że zaraz spełni twą prośbę.

— Och! Cóż można znaleźć w imieniu takiej jak ja biednej kobiety? Jakaż przychylna myśl może wyjść z nazwiska Marii Touchet?

— To, Najjaśniejszy Panie, jest bardzo łatwe i układając anagram żadnej sobie z tego nie przypisuję zasługi.

— Ach! Ach! Już i gotowe — powiedział Karol. — Czy widzisz? Henryk wy dostał z kieszeni pugilares, wydarł z niego jedną stronicę i pod wyrazami:

Marie Touchet

napisał:

Je charme tout

Potem podał papier Marii.

— Prawdziwie! — zawołała. — To nie do uwierzenia!

— Cóż on znalazł? — spytał Karol.

— Najjaśniejszy Panie, nie śmiem powtórzyć.

— W imieniu Marii Touchet — rzekł Henryk — zamyka się litera w literę, podług zwyczaju z I robiąc J, zdanie: *Je charme tout*.

— Ach, istotnie — zawołał Karol — litera w literę. Niechże to będzie twoją dewizą, Mario. Żadna nie była lepiej zasłużoną.

Dziękuję ci, Henrysiu. Mario! każę ci tę dewizę ułożyć z brylantów.

Wieczera zakończyła się.

Druga godzina wybiła na wieży Notre-Dame.

— Teraz — rzekł Karol — w nagrodę za uprzejmość podaj mu, Mario, krzesło; niech pośni w nim do jutra; tylko trochę dalej od nas, gdyż strasznie chrapie. Jeśli się obudzisz wcześniej ode mnie, obudź mnie, gdyż o szóstej godzinie musimy być w Bastylii. Dobranoc, Henrysiu. Urządź się jak chcesz, tęcz — dodał, zbliżając się do króla Nawarry i kładąc mu rękę na ramieniu — zaklinam cię na twoją głowę, czy słyszysz, Henryku, na twoją głowę, nie wychodź stąd beze mnie.

Henryk domyślał się tyle z tego, czego nie zrozumiał, że nie chciałby zapewne opierać się podobnemu zaleceniu.

Karol IX wszedł do swego pokoju, a Henryk, jako nie rozpieszczony góral, położył się w krześle i wkrótce usprawiedliwił ostrożność, z jaką Karol prosił go, żeby spał trochę dalej.

Następnego dnia skoro świt Karol obudził Henryka. Ponieważ ten ostatni nie rozbierał się, toaleta więc jego nie trwała długo. Karol był szczęśliwy i uśmiechnięty jak rzadko. Godziny, które przepędzał w tym małym domku na ulicy des Barres, były jego najmiłszymi godzinami życia.

Obaj przeszli przez sypialnię. Maria spała w łóżku. Dziecię spoczywało w kolebce. I matka, i dziecko uśmiechali się we śnie. Karol spojrzął na nich z niewypowiedzianą czułością, a potem, obróciwszy się do króla Nawarry, rzekł:

— Henrysiu! Jeśli dowiesz się, jaką przysługę wyświadczyłem ci tej nocy, i jeśli wydarzy mi się kiedy jakie nieszczęście, wspomnij o tym dziecieniu, które spoczywa w kolebce.

Potem, nie dając Henrykowi czasu na odpowiedź, pocałował Marię i syna w czoło, mówiąc:

— Do widzenia, moje aniołki.

I wyszedł. Henryk szedł za nim, pogrążony w dumaniach.

Dwóch dworzan z końmi czekało na nich w Bastylli. Karol dał znak Henrykowi, żeby siadł na konia, sam siadł na drugiego, wyjechał ogrodem de l'Arbalette i skierował się na zewnętrzne bulwary.

— Gdzie jedziemy? — spytał Henryk.

— Pojedziemy zobaczyć — odpowiedział Karol — czy księżę Andegaweński powrócił jedynie dla pani Kondeuszowej i czy w jego sercu jest tyle żądzy wyniesienia się co i miłości.

Henryk nic nie zrozumiał z tego objaśnienia i milcząc pojechał za Karolem.

Zbliżywszy się do bagien, mogli oni widzieć zza palisad wszystko, co się nazywało wówczas przedmieściami Saint-Laurent. W szarawej rannej mgle Karol pokazał Henrykowi ludzi owiniętych w szerokie płaszcze i w futrzanych czapkach. Wszyscy jechali konno, poprzedzając ciężko naładowany furgon. W miarę jak się zbliżali, rysy ich stawały się wyraźniejsze i można było między nimi odróżnić jadącego konno człowieka, w płaszczu ciemnego koloru i w czapce francuskiego kroju.

— Ach! Ach! — rzekł Karol śmiejąc się — tak też właśnie myślałem.

— Jeżeli się nie mylę, Najjaśniejszy Panie — powiedział Henryk — to ów rycerz w ciemnym płaszczu jest księciem Andegaweńskim.

— Tak, to on sam — rzekł Karol IX. — Odstąp nieco na bok, Henrysiu, żeby nas nie spostrzegł. — Lecz cóż to za ludzie w szarych płaszczach i futrzanych czapkach? — zapytał Henryk. — A co jest w tym furgonie?

— To polscy posłowie — odpowiedział Karol — a w tym furgonie znajduje się korona. Teraz zaś — mówił dalej, puszczając galopem konia po drodze do bramy Tempie wiodącej — pojedziemy, Henrysiu; widziałem już wszystko, com chciał widzieć.

ROZDZIAŁ XXXVII

POWRÓT DO LUWRU

Kiedy Katarzyna osądziła, że w pokoju króla Nawarry wszystko już zakończone, że zabitych wyniesiono, Maurevela przeniesiono do domu, a dywany oczyszczono, odprawiła swe dworki, gdyż dochodziła północ, i spróbowała usnąć. Lecz wstrząs, jakiego doznała, był zbyt gwałtowny, a rozczarowanie zbyt okrutne. Nad znienawidzonym Henrykiem, ciągle wymykającym się z jej rąk, czuwała widocznie jakaś niewidzialna siła. Katarzyna uparcie nazywała ją przypadkiem, chociaż jakiś głos mówił jej w głębi serca, że prawdziwą nazwą tej siły jest „przeznaczenie”. Myśl, że hałas sprawiony tym nowym usiłowaniem, rozszerzając się w Luwrze i poza Luwrem, utwierdzi w Henryku i w hugenotach nadzieje na przyszłość, przywołała ją do rozpacz; gdyby przypadek, z którym ona tak niefortunnie walczyła, wydał jej w tej chwili nieprzyjaciela, zniweczyłaby swym małym florenckim sztyletem to przeznaczenie losu, tak korzystnego dla króla Nawarry.

Nocne godziny, tak długie dla czuwającego, były jedna za drugą — a Katarzyna nie mogła zamknąć oczu. W jej niespokojnym umyśle rozwijał się cały świat nowych planów. Na koniec, skoro tylko zajaśniał dzień, wstała, ubrała się sama i udała się do pokoju Karola IX.

Warta, przyzwyczajona widzieć królową—matkę przychodzącą do króla o każdej porze dnia i nocy, przepuściła ją. Katarzyna minęła przedpokój i zbliżyła się do zbrojowni. Lecz tu znalazła mamkę Karola, która już nie spała.

— Mój syn? — zagadnęła królowa.

— Zabronił wchodzić do swego pokoju przed godziną ósmą, a teraz nie ma jeszcze ósmej. — Ten zakaz nie dotyczy mnie, mamko.

— Wydany jest dla wszystkich, pani.

Katarzyna uśmiechnęła się,

— Tak, wiem — mówiła dalej mamka — że nikt nie śmie tu sprzeciwiać się Waszej Królewskiej Mości; dlatego więc błagam cię, pani, wysłuchaj prośby biednej kobiety i nie idź dalej.

— Muszę pomówić z moim synem.

— Otworzę drzwi tylko na wyraźny rozkaz Waszej Królewskiej Mości.

— Otwieraj, mamko — rzekła Katarzyna — ja tak chcę.

Mamka na ten rozkazujący głos, wzbudzający w Luwrze więcej uszanowania i postrachu niż głos samego Karola, podała klucz Katarzynie; lecz ta wcale go nie potrzebowała; wyjęła z kieszeni klucz otwierający drzwi do syna. Pod gwałtownym naciśnięciem drzwi ustąpiły.

Pokój był pusty, łóżko Karola nienaruszone, a jego dwa charty, wylegujące się na niedźwiedziej skórze, podniosły się i zaczęły lizać ręce królowej. — Ach! — powiedziała królowa, marszcząc brwi. — Wyszedł. Poczekam.

I z ponurą zadumą na czole usiadła przy oknie wychodzącym na podwórzec Luwru i z którego widoczna była główna brama. Już ze dwie godziny przesiedziała nieruchoma i blada jak marmurowy posąg, gdy nagle spostrzegła wjeżdżający do Luwru oddział rycerzy, na czele, którego poznała Karola i Henryka. Wtedy zrozumiała wszystko: Karol, zamiast przyczynić się do uwięzienia swego szwagra, sam go wprowadził i ocalił.

— Zaślepieńcze, zaślepieńcze, zaślepieńcze! — powtarzała po cichu. I znowu czekała.

Po chwili w sąsiednim pokoju, to jest w zbrojowni, dał się słyszeć odgłos kroków.

— Lecz teraz, Najjaśniejszy Panie — mówił Henryk — kiedyśmy już wrócili do Luwru, powiedzże, dlaczego mi kazałeś stąd wyjść i jaką wyświadczyłeś mi przysługę?

— Nie, nie, Henrysiu — odpowiedział Karol śmiejąc się. — Być może, kiedyś się dowiesz; lecz teraz jest to tajemnica, Wiedz tylko, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa będę musiał zaraz pokłócić się z moją matką.

Domawiając tych słów Karol podniósł portierę i stanął twarz w twarz z Katarzyną. Zza jego ramienia wyglądało blade i niespokojne oblicze Bearneńczyka.

— Ach! Ty tutaj, matko — rzekł Karol, marszcząc brwi.

— Tak, mój synu — odpowiedziała Katarzyna. — Muszę z tobą pomówić.

— Ze mną?

— Z tobą samym.

— Cóż robić! — powiedział Karol, obracając się do szwagra. — Nie uniknę już tego; tak, im prędzej, tym lepiej.

— Zostawiam cię, Najjaśniejszy Panie — rzekł Henryk.

— Tak, tak, zostaw nas — odpowiedział Karol — a ponieważ jesteś katolikiem, Henrysiu, idź wysłuchać mszy na moją intencję; ja zostaję na kazanie.

Henryk ukłonił się i wyszedł.

Karol IX uprzedził pytanie, które mu chciała zadać Katarzyna.

— Pani, czekasz na mnie, żeby mnie lając, nieprawdaż? — powiedział, starając się wszystko obrócić w żart. — Bezbożnie pomieszałem twój plan. Na śmierć szatana! Za żadną cenę nie mogłem się zgodzić, żeby uprowadzono do Bastylii człowieka, który ocalił mi życie. Nie chciałem się kłócić z tobą; jestem dobrym synem. A przy tym — dodał zupełnie cicho — dobry Bóg karze dzieci, które się kłócą z matką; najlepszym przykładem jest mój brat Franciszek II. Przebacz mi i przyznaj, że żart był zabawny.

— Najjaśniejszy Panie, mylisz się — rzekła Katarzyna — tu idzie nie o żart.

— O żart! Zgodzisz się na to albo niech mnie diabli porwą!

— Najjaśniejszy Panie, przez omyłkę zniszczyłeś plan, który by nas doprowadził do ważnych odkryć.

— Ba! Plan... Czy smuci cię, moja matko, że ów plan nie doszedł do skutku? Zaraz wymyślisz dwadzieścia innych, w których spełnieniu obiecuję ci pomoc.

— Za późno teraz na pomoc; on jest uprzedzony i będzie się strzec.

— Przystąpmy do rzeczy — rzekł król. — Co masz przeciwko Henrykowi?

— Henryk spiskuje.

— Tak, rozumiem; to twoje własne oskarżenie. Lecz któż nie układa spisków w tym przyjemnym królewskim mieszkaniu, które nazywają Luwrem?

— Lecz on najwięcej ze wszystkich, i tym niebezpieczniej, że nikt go nie ma w podejrzeniu.

— Ależ to istny Lorencino! — rzekł Karol.

— Słuchaj — powiedziała Katarzyna, zachmurzając się na to imię, które jej przypominało jedną z najkrwawszych katastrof florenckiej historii — słuchaj, tylko jedno może mnie przekonać, że się mylę,

— Cóż takiego, moja matko?

— Zapytaj Henryka, kto był tej nocy w jego pokoju.

— W jego pokoju, tej nocy?

— Tak. I jeśli on ci powie...

— No?

— Jestem gotowa przyznać, że się myliłam.

— Lecz jeśli to była kobieta, nie możemy wymagać..

— Kobieta?

— Tak.

— Kobieta, która zabiła dwóch twoich żołnierzy i może śmiertelnie zraniła Maurevela!

— Och! och! — rzekł król — to nie byłby żart. Rozlano więc krew?

— Trzech ludzi poległo.

— A ten, co ich tak pięknie uczył?

— Uciekł zdrów i nietknięty.

— Na Goga i Magoga! — zawołał Karol. — To był jakiś waleczny człowiek! Masz słusność, moja matko; mam chęć go poznać.

— Powiem ci przede wszystkim, że go nie poznasz, przynajmniej przez Henryka.

— Lecz przez ciebie, moja matko. Człowiek ten nie mógł uciec nie pozostawiając żadnego śladu; może chociaż spamiętano jego ubiór.

— Dostrzeżono tylko bardzo wykwintny czerwony płaszcz.

— Ach! Ach! Czerwony płaszcz — powiedział Karol. — Znam u dworu tylko jeden czerwony płaszcz, dosyć jaskrawy, żeby bił w oczy.

— Właśnie — powiedziała Katarzyna.

— No i cóż? — zapytał Karol.

— Zaczekaj na mnie tutaj, mój synu — powiedziała Katarzyna — pójdę tylko zobaczyć, czy moje rozkazy zostały spełnione.

Katarzyna wyszła.

Karol pozostał sam; w roztargnieniu przechadzał się wzdłuż i wszerz po pokoju, gwizdząc łowiecką piosenkę, jedną rękę założywszy na piersi, a opuściwszy drugą, którą jego charty lizały za każdym razem, kiedy się zatrzymywał.

Co do Henryka, ten z niepokojem wyszedłszy od Karola, poszedł nie korytarzem, lecz małymi ukrytymi schodami, o których już nieraz była mowa, a które prowadziły na drugie piętro. Jeszcze nie przeszedł i czterech stopni, kiedy na pierwszym skřęćie spostrzegł cień. Zatrzymał się i podniósł rękę do sztyletu. Lecz w tej chwili poznał, że była to kobieta; ta zaś porwawszy go za rękę, miłym, znajomym mu głosem powiedziała:

— Chwała Bogu! Otóż i ty, Najjaśniejszy Panie, zdrów i nienaruszony. Okropnie się bałam o ciebie. Lecz bez wątpienia Bóg wysłuchał mojej modlitwy.

— Cóż się stało? — zapytał Henryk.

— Dowiesz się, jak powrócisz do siebie. Nie troszcz się o Orthona; jest u mnie.

I młoda kobieta raptownie zesła, omijając Henryka, jak gdyby przypadkiem z nim się na schodach spotkała.

— A to rzecz osobliwa! — pomyślał Henryk. — Cóż się tu wydarzyło? Cóż się stało z Orthonem?

Niestety, pani de Sauve nie mogła słyszeć tego pytania, była już bowiem daleko.

Nagle na schodach u góry pokazał się drugi cień. Był to mężczyzna.

— Cicho! — rzekł tenże człowiek.

— Ach, ach! To ty, Franciszku?

— Nie nazywaj mnie po imieniu.

— Cóż się tu stało?

— Idź do siebie, a dowiesz się; potem wyjdź na korytarz, obejrzyj się dobrze na wszystkie strony, czy cię nikt nie szpieguje, i wejdź do mnie.

I zniknął, jak znikają w teatrze cienie zapadające się pod scenę.

— Zagadka gmatwa się coraz bardziej — powiedział do siebie Bearneńczyk — lecz ponieważ jej rozwiązanie jest już bliskie, chodźmy, a przekonamy się.

Mimo to wracał do siebie nie bez wzruszenia; miał on ów błąd młodości — wrażliwość. Wszystko odbijało się jasno w tej duszy, gładkiej jak zwierciadło, wszystko, co teraz słyszał, przepowiadało mu jakieś nieszczęście.

Zbliżył się do drzwi swego mieszkania i zaczął słuchać. Było zupełnie cicho. Lecz Karolina powiedziała mu, żeby poszedł do siebie; było więc widoczne, że nie miał się czego obawiać. Wszedł tedy.

Obrzucił bystrym spojrzeniem przedpokój: był pusty, lecz nic jeszcze nie wskazywało, co się tu wydarzyło.

— W rzeczy samej — rzekł — Orthona nie ma. I przeszedł do drugiego pokoju.

Tu dopiero wyjaśniło mu się wszystko.

Mimo że nie żałowano wody, wielkie, czerwone plamy znaczyły podłogę; złamany stół, zasłony u łóżka porozdzierane szpadami, kulą rozbite weneckie zwierciadło, krwawy ślad ręki wyciśnięty na ścianie — wszystko to dowodziło, że spokojny ten pokój był świadkiem morderczej walki.

Henryk niespokojnym spojrzeniem obrzucił owo pobojuwisko, powiódł ręką po mokrym od potu czole i rzekł:

— Ach, rozumiem teraz, jaką przysługę wyświadczył mi król. Chciano mnie zamordować. A... Ach! De Mouy!, Co się stało z de Mouyem? Nędznicy! Czyżby go zabili?!

I nagłony żądzą poznania nowin, których mu chciał udzielić książę d'Alencon, Henryk po raz ostatni rzucił ponure spojrzenie na otaczające go przedmioty, wyszedł z pokoju na korytarz, przekonał się, że w nim nikogo nie było, i starannie zamknąwszy za sobą drzwi, pośpieszył do księcia d'Alencon.

Książę oczekiwał nań w pierwszym pokoju. Żywo porwał za rękę Henryka i poprowadził go z sobą, położywszy palec na ustach, do małego gabinetu, zupełnie odosobnionego, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać.

— Ach! Mój bracie — rzekł Franciszek — cóż za okropna noc!

— Co się stało? — zapytał Henryk.

— Chciano cię aresztować.

— Mnie?

— Tak, ciebie.

— Za co?

— Nie wiem. Gdzie byłeś?

— Poszliśmy z królem wczoraj wieczór na miasto.

— Więc o tym wiedział — rzekł d'Alencon. — Lecz któż nocował u ciebie, skoro cię nie było w domu?

— A czy kto był u mnie? — zapytał Henryk, udając, że nie wie o niczym.

— Tak, był. Usłyszałem hałas, pośpieszyłem do ciebie na odsiecz; lecz już było za późno.

— I czy go aresztowali? — zapytał Henryk z niepokojem.

— Nie; Ocalał się, niebezpiecznie raniwszy Maurevela i zabiwszy dwóch żołnierzy.

— Ach! Mężny de Mouy! — zawołał Henryk.

— Więc to był de Mouy? — zapytał spieszenie d'Alencon.

Henryk spostrzegł, że popełnił błąd.

— Tak przynajmniej się domyślam, gdyż naznaczyłem mu schadzkę, ażeby ułożyć, się względem twojej ucieczki i oświadczyć mu, że się zrzekam na twoją korzyść wszystkich praw do nawarskiego tronu.

— Jeśli dowiedzą się, zginęliśmy — rzekł d'Alencon blednąc.

— Tak, Maurevel powie!

— Maurevel otrzymał pchnięcie szpadą w gardło; pytałem się doktora, który mu przewiązywał rany, dowiedziałem się, ale wcześniej niż za osiem dni nie będzie mógł powiedzieć ani słowa,

— Osiem dni! Aż nadto czasu, żeby de Mouy udał się w bezpieczne miejsce.

— Zresztą — rzekł d'Alencon — może to nie był de Mouy. — Tak sądzisz? — powiedział Henryk.

— Tak; ten człowiek znikł bardzo prędko i widziano tylko jego czerwony płaszcz.

— W rzeczy samej — rzekł Henryk — czerwony płaszcz przystoi raczej jakiemu kochankowi niż żołnierzowi. Nigdy bym nie podejrzewał de Mouya, żeby miał nosić czerwony płaszcz bawidamka.

— Nie. Już prędzej... — powiedział d'Alencon. I uciał.

— Prędzej La Mole'a — dokończył Henryk.

— Zapewne; ja sam, widząc uciekającego tego człowieka, przez chwilę nie wiedziałem, za kogo mam go wziąć.

— Nie wiedziałeś? Rzeczywiście, to mógł być La Mole.

— Czy on nic nie wie? — zapytał d'Alencon.

— Zupełnie nic; przynajmniej nic ważnego..

— Mój bracie — rzekł książę — teraz zaczynam się utwierdzać w mniemaniu, że on to był w istocie

— Do diabła! — powiedział książę. — Jeżeli to prawda, bardzo to zasmuci królową; ona się nim bardzo zajmuje.

— Zajmuje, mówisz? — zapytał d'Alencon.

— Bez wątpienia. Czyż sobie nie przypominasz, Franciszku, że twoja siostra przedstawiła ci go? — Tak — rzekł książę przytłumionym głosem — chciałem mu się przysłużyć, toteż bojąc się, że czerwony płaszcz go skompromituje, poszedłem do niego i zabrałem płaszcz do siebie.

— Och! Och! — powiedział Henryk. — Postąpiłeś bardzo roztropnie; a teraz nie tylko, żebym się założył, lecz przysięgłbym, że to był on.

— Nawet i przed sądem? — zapytał Franciszek.

— Na honor, tak — odpowiedział Henryk. — Zapewne przychodził do mnie z jakim poselstwem od Małgorzaty.

— Gdybym był pewny, że potwierdzisz moje świadectwo — rzekł d'Alencon — gotów bym go oskarżyć.

— W takim razie, mój bracie — odpowiedział Henryk — nie będę ci się sprzeciwiał.

— Lecz królowa? — zapytał d'Alencon.

— Ach tak, królowa!

— Trzeba się dowiedzieć, co ona robi.

— Biorę to na siebie.

— Nie powinna się nam sprzeciwiać, bo młodzieniec zyskał tym sposobem opinię wielce odważnego, a w dodatku zyskał ją na kredyt. Będzie mógł tedy wypłacić razem i procenta, i kapitał.

Henryk nic nie odpowiedział, skinął ręką z uśmiechem na ustach, ostrożnie wyjrzał na korytarz i przekonawszy się, że nikt nie podsłuchuje, prędko wysunął się z pokoju i zniknął na skrytych schodkach wiodących do mieszkania Małgorzaty.

Królowa Nawarry nie była spokojniejsza od swego męża. Nocna wyprawa króla, księcia d'Anjou, księcia Gwizjusza i Henryka, którego poznała, mocno ją niepokoiła. Wprawdzie nie było żadnych dowodów mogących jej zaszkodzić; odźwierny, odwiązany od kratki przez La Mole'a i Coconnasa, utrzymywał, że nic nie powiedział. Lecz takie osoby nie mogły zjawić się

tam przypadkiem, wiedziały, gdzie i po co idą. Małgorzata spędziła więc resztę nocy u księżnej de Nevers i dopiero nad ranem powróciła do domu. Natychmiast się położyła; lecz nie mogła zasnąć i drżała na najmniejszy szelest.

W takim to usposobieniu usłyszała nagle stukanie do skrytych, drzwi; kazała dowiedzieć się Gillonnie, co to za gość, i wpuścić go.

Henryk zatrzymał się w drzwiach; nic w nim nie oznajmiało obrażonego męża; zwykły uśmiech igrał na jego ustach i żaden muskuł twarzy nie zdradzał strasznych wzruszeń, których doznał w ciągu kilku zaledwie godzin.

Spojrzeniem zdawał się pytać Małgorzatę, czy pozwoli mu zostać z nią sam na sam. Małgorzata zrozumiała to spojrzenie i dała znak Gillonnie, żeby się oddaliła.

— Pani — rzekł wtedy Henryk — znam twoje przywiązanie do przyjaciół i boję się, żem przyszedł udzielić ci nieprzyjemnej wiadomości.

— Jakiej, panie? — spytała Małgorzata.

— Jeden z naszych najlepszych sług jest w tej chwili bardzo skompromitowany.

— Kto?

— Ów kochany hrabia de La Mole.

— Pan hrabia de La Mole? Jak to?

— Tak; z powodu wypadków dzisiejszej nocy.

Małgorzata, mimo władzy nad sobą, zarumieniła się. Na koniec, zebrawszy wszystkie siły, zapytała:

— Jakiego wypadku?

— Jak to — rzekł Henryk — czyż pani nie słyszałaś tej nocy hałasu w Luwrze? — Nie, panie.

— Tak; wiesz ci, pani — powiedział Henryk z doskonałą szczerością — to dowodzi, że pani twardo śpisz.

— Lecz cóż się stało?

— Oto nasza dobra matka dała rozkaz panu de Maurevelowi i sześciu żołnierzom, żeby mnie aresztowali.

— Ciebie, panie?

— Tak, mnie.

— I za co?

— Ach! Któż może zbadać głęboki rozum twojej matki? Któż może odgadnąć powód? Poważam go, lecz nie znam.

— I nie byłeś w domu?

— Zgadłaś, pani; nie było mnie w domu przypadkiem. Wczoraj wieczorem król prosił mnie, żeby mu towarzyszyć; lecz jeśli ja nie byłem w domu, był tam kto inny.

— Któż?

— Zdaje się, że hrabia de La Mole.

— Hrabia de La Mole — powtórzyła zadziwiona Małgorzata.

— Na Boga! Tęgi zuch z tego Prowansalczyka — mówił dalej Henryk. — Czy wiesz? Zranił Maurevela i zabił dwóch żołnierzów.

— Ranił Maurevela i zabił dwóch żołnierzów? To niepodobna!

— Jak to? Pani wątpisz o jego odwadze?

— Nie; lecz pan de La Mole nie mógł być w twoim mieszkaniu.

— Dlaczego?

— Dlatego... dlatego... — cedziła z wolna pomieszana Małgorzata — dlatego, że był gdzie indziej.

— Ach! Jeśli może tego dowieść — powiedział Henryk — to co innego; powie, gdzie był, i rzecz skończona.

— Gdzie był? — prędko powtórzyła Małgorzata.

— Bez wątpienia. Dzisiaj może go aresztują i będą dopytywać. Lecz ponieważ, na nieszczęście, są dowody...

— Dowody? jakie?

— Człowiek ten, desperacko się broniący, miał na sobie czerwony płaszcz.

— Lecz nie tylko pan de La Mole ma czerwony płaszcz... znam jeszcze kogo innego...

— Bez wątpienia, i ja także... Lecz oto co się stało: jeśli w moim pokoju był nie pan de La Mole, to był kto inny, także w czerwonym płaszczu! Ten drugi człowiek, wiesz kto?...

— O nieba!

— Otóż bieda; widziałas go pani tak jak i ja, a twoje wzruszenie dowodzi tego. Porozmawiajmy więc chwilę jak ludzie, którzy mówią o najlepszej rzeczy na świecie; o tronie, najdroższym skarbie życia... Jeśli złapią de Mouya, zginęliśmy.

— Rozumiem.

— Gdy tymczasem La Mole nikomu nie zaszkodzi, jeśli tylko będzie w stanie wymyślić jaką historię; niech powie, na przykład, że był na zabawie z dwoma damami.

— Jeśli tylko tego się obawiasz — powiedziała Małgorzata — bądź spokojny: on nic nie powie.

— Jak to! Będzie milczał, chociażby mu życiem przyszło zapłacić za milczenie?

— Będzie milczał.

— Jesteś tego pewna?

— Zaręczam ci.

— W takim razie wszystko układa się jeszcze lepiej — rzekł Henryk wstając.

— Już odchodzisz? — spytała żywo Małgorzata.

— Tak, mój Boże! Tylko o tym miałem z tobą pomówić.

— I już idziesz?

— Idę postarać się wykręcić wszystkich z tej nieprzyjemnej sprawy, do której nas wmieszał ów diabeł, a nie człowiek w czerwonym płaszczu.

— Och! Mój Boże! Mój Boże! Biedny młodzieniec! — zawołała z boleścią Małgorzata, załamując ręce. — Prawdziwie; z tego kochanego La Mole'a bardzo grzeczny sługa — rzekł Henryk wychodząc z pokoju.

ROZDZIAŁ XXXVIII

JEDWABNY SZNUREK KRÓLOWEJ—MATKI

Karol powrócił do domu w wesołym humorze; lecz porozmawiawszy z matką z dziesięć minut, rzekłbyś, że zmienił swoją wesołość na jej gniew i bladość oblicza.

— Pan de La Mole! — mówił Karol. — Pan de La Mole! Trzeba zawołać Henryka i d'Alencona. Henryka dlatego, że młodzieniec ten jest hugenotem; d'Alencona zaś dlatego, że jest u niego w służbie.

— Przywołaj ich, jeśli chcesz, mój synu — odpowiedziała Katarzyna — lecz niczego się od nich nie dowiesz. Henryk i Franciszek zawarli, zdaje się, między sobą związek, ściślejszy, niż się spodziewasz. Zapytać ich to to samo, co obudzić w nich podejrzenie; sądzę, że lepiej będzie dowiadywać się powoli, w ciągu kilku dni. Jeżeli pozwolisz winnym odetchnąć, mój synu, jeżeli oni pomyślą, że umknęli twej czujności, staną się wtedy śmielszymi; nam zaś będzie łatwiej ich ująć; wtenczas wszystkiego się dowiemy.

Karol chodził w niepewności, przyciskając rękę do serca ranionego podejrzeniem.

— Nie, nie — rzekł nareszcie — nie chcę czekać. Ty nie wiesz, moja matko, co znaczy dla mnie czekać, dla mnie, dręczonego bezustannie widziadłami; zresztą gachy te stają się coraz bardziej zuchwałymi; tej nocy nawet dwóch z nich czyż się nie ośmieliło zbuntować przeciwko nam? Jeśli pan de La Mole jest niewinny, tym lepiej; lecz muszę się dowiedzieć, gdzie pan de La Mole był dzisiejszej nocy, kiedy w Luwrze bito moich żołnierzy, a na ulicy Cloche—Percée mnie samego. Niech mi przywołają księcia d'Alencon, a potem Henryka; wypytam się każdego z osobna. Ty, moja matko, możesz pozostać.

Katarzyna usiadła. Jej silny i niewzruszony umysł z każdego wypadku mógł wyciągać dla siebie korzyść. Każde uderzenie wydaje odgłos i iskrę; Iskra oświeca. Odgłos wskazuje drogę.

Księżę d'Alencon wszedł; rozmowa z Henrykiem przygotowała go do tych odwiedzin, był więc dość spokojny.

Odpowiedzi jego były bardzo dokładne. Uprzedzony przez matkę, żeby pozostał u siebie, zupełnie był nieświadom wypadków nocnych, lecz ponieważ jego mieszkanie wychodziło na ten sam korytarz co i mieszkanie Henryka, z początku zdawało mu się, że słyszy hałas, jakby wyłamywano drzwi; potem krzyki i wystrzały. Wtedy dopiero odważył się uchylić drzwi i zobaczył uciekającego człowieka w czerwonym płaszczu.

Katarzyna i Karol zamienili spojrzenie.

— W czerwonym płaszczu — powtórzył d'Alencon;

— I ten czerwony płaszcz nie budzi w tobie żadnych podejrzeń? D'Alencon przywoływał wszystkie swe siły, żeby skłamać jak najnaturalniej, i rzekł:

— Muszę się przyznać Waszej Królewskiej Mości, że z pierwszego wejrzenia zdawało mi się, że poznał czerwony płaszcz jednego z moich dworzan.

— Jak on się nazywa?

— Pan de La Mole.

— Dlaczego pan de La Mole nie był przy tobie, jak tego wymagał obowiązek?

— Odprawiłem go.

— Dobrze; możesz iść — rzekł Karol.

Księżę d'Alencon skierował się ku drzwiom, którymi wszedł.

— Nie tędy — rzekł Karol — oto tędy.

I wskazał mu drzwi, które prowadziły do pokoju mamki.

Karol nie chciał, żeby Franciszek spotkał się z Henrykiem. Nie wiedział, że się przed chwilą widzieli i że wystarczyło im to do wzajemnego porozumienia.

Na dany przez Karola znak Henryk wszedł. Nie czekał, aż go Karol zapyta.

— Najjaśniejszy Panie! — powiedział — Wasza Królewska Mość w samą porę przysłałeś po mnie, gdyż sam chciałem iść do ciebie i prosić o sprawiedliwość.

Karol zmarszczył brwi.

— Tak, sprawiedliwość! — powiedział Henryk. — Przede wszystkim dziękuję Waszej Królewskiej Mości, żeś mnie wziął ze sobą wczoraj wieczorem, gdyż tym sposobem uratowałeś mi życie; lecz cóżem uczynił, że chciano mnie zabić?

— Nie chciano cię zabić, lecz uwięzić — żywo odpowiedziała Katarzyna; — Przypuśćmy, że tak — rzekł Henryk. —

Cóż zawiniłem, że mnie chciano uwięzić? Gdybym był winny, byłbym winny nie tylko wczoraj wieczór, lecz i dzisiaj rano. Powiedz mi, Najjaśniejszy Panie, co za występki popelnilem?

Król spojrział na matkę, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Mój synu — powiedziała Katarzyna — przyjmujesz u siebie podejrzanych ludzi.

— I ci podejrzani ludzie kompromitują mnie, nieprawdaż, pani? — rzekł Henryk.

— Tak, Henryku.

— Wymień mi ich, pani! Co to za jedni?!

— W rzeczy samej — powiedział król — Henryk ma prawo żądać wyjaśnień.

— I żądam ich! — odparł Henryk, czując wyższość swego położenia. — Żądam ich od mego brata Karola, od mej dobrej matki Katarzyny. Od czasu mego małżeństwa z Małgorzatą czyż nie prowadziłem się jak dobry mąż? Spytajcie żony; jak dobry katolik? Spytajcie mego spowiednika; jak dobry krewny? Spytajcie wszystkich, co się znajdowali na wczorajszym polowaniu,

— Tak, to prawda, Henrysiu — rzekł król — lecz cóż robić. Twierdzą, że knujesz spisek.

— Przeciw komu?

— Przeciw mnie.

— Gdybym miał knuć spisek przeciw Waszej Królewskiej Mości, dosyć by mi było wszystko pozostawić biegowi wypadków, kiedy koń twój, Najjaśniejszy Panie, mając strzaskaną nogę, nie mógł powstać i gdy rozjuszony dzik rzucił się wprost na Waszą Królewską Mość.

— Na szatana! On ma słuszość, moja matko.

— Lecz któż był u ciebie dzisiejszej nocy?

— Pani — powiedział Henryk — w czasie, kiedy niewielu ośmiela się odpowiadać za siebie, nigdy nie będę odpowiadał za innych. Wszedłem z domu o godzinie siódmej wieczorem; o dziesiątej mój brat Karol uprowadził mnie z sobą; przez całą noc na krok go nie odstępiałem. Nie mogłem być naraz z Jego Królewską Mością i wiedzieć, co się dzieje u mnie.

— Lecz jest prawdą, że jeden z twoich ludzi zabił dwóch żołnierzy Jego Królewskiej Mości i ranił pana de Maurevel — odrzekła Katarzyna.

— Jeden z moich ludzi! — zawołał Henryk. — Któż to taki, wymień go, pani.

— Wszyscy obwiniają pana de La Mole.

— Pan de La Mole nie jest u mnie w służbie, lecz u księcia d'Alencon, któremu poleciła go pani córka.

— Lecz wreszcie — zapytał król — czy to pan de La Mole był u ciebie w pokoju, Henrysiu?

— Skądże mogę o tym wiedzieć, Najjaśniejszy Panie? Nie mówię ani tak, ani nie. Pan de La Mole jest bardzo uczynnym dworzaniem, zupełnie oddanym królowej Nawarry, i często przychodzi tu od Małgorzaty, której jest wdzięczny za przedstawienie go księciu d'Alencon, czy od samego księcia. Nie mogę więc powiedzieć, żeby to nie był pan de La Mole.

— To był on — powiedziała Katarzyna — poznano jego czerwony płaszcz.

— Tak.

— A człowiek, który tak dobrze uczył moich żołnierzy i Maurevela... — Miał na sobie czerwony płaszcz? — zapytał Henryk.

— Właśnie — odpowiedział Karol.

— Nie mogę temu zaprzeczyć — odparł Bearneńczyk. — Lecz zdaje mi się, że w tym wypadku nie należało przywoływać i wypytywać mnie, co nie byłem w domu, lecz pana de La Mole, który jak powiadasz, znajdował się w moim pokoju. Jednak — dodał Henryk — muszę zrobić Waszej Królewskiej Mości jedną uwagę...

— Cóż takiego?

— Gdybym ja, zobaczywszy rozkaz przez mego króla podpisany, zaczął się bronić zamiast być posłusznym, byłbym winny i zasłużyłbym na najsroższą karę; lecz to nie byłem ja, tylko nieznajomy, którego ten rozkaz w niczym się nie tyczył; chciano go niesłusznie uwięzić; bronił się więc, nawet zanadto dobrze; lecz miał do tego prawo.

— Jednak... — szepnęła Katarzyna.

— Pani — rzekł Henryk — czy w rozkazie było powiedziane, żeby mnie uwięziono?

— Tak — odpowiedziała Katarzyna — i Jego Królewska Mość sam podpisał ów rozkaz.

— Lecz prócz tego, czy rozkaz mieścił w sobie, iżby w razie mej nieobecności uwięzić tego, kogo znajdą na mym miejscu?

— Nie — odpowiedziała Katarzyna.

— A więc — odparł Henryk — jeśli nie dowiodą, że knują spisek i że człowiek, który był w moim pokoju, ma współdziałal w spisku, człowiek ten jest niewinny.

Następnie, zwracając się do Karola IX, mówił dalej:

— Najjaśniejszy Panie, nie ucieknę z Luwru. Jestem nawet gotów na jedno słowo Waszej Królewskiej Mości udać się do tego więzienia, jakie mi zechcesz wskazać. Lecz dopóki nie dowiodą mi, że jest przeciwnie, mam prawo nazywać się wiernym sługą, poddanym i bratem Waszej Królewskiej Mości. I Henryk z godnością, jakiej nigdy dotąd w nim nie zauważono, skłonił się Karolowi i wyszedł.

— Brawo, Henrysiu! — rzekł Karol, gdy król Nawarry wyszedł.

— Brawo! Czy dlatego, że nas zwyciężył? — zapytała Katarzyna.

— Dlaczegoż nie? Kiedy się bijemy na rapiery i on mnie uderzy, czyż także nie mówi się brawo?! Moja matko, niesłusznie nim pogardzasz.

— Mój synu — powiedziała Katarzyna, ściskając za rękę Karola IX — ja nim nie pogardzam, lecz go się boję.

— A więc niesłusznie się boisz, moja matko; Henryś jest mym przyjacielem i prawdę powiedział, że jeśliby przeciw mnie knuł jaki spisek, należało mu tylko wszystko pozostawić przypadkowi.

— Tak — dorzuciła Katarzyna — żeby księżę d'Alencon, jego osobisty nieprzyjaciel, został królem Francji.

— Mało mnie obchodzi, dla jakiego celu Henryk ocalił mi życie; dosyć na tym, że mi je ocalił. Do wszystkich diabłów! Nie chcę, żeby go znieważano. Co się tyczy pana de La Mole, to pomówię z moim bratem d'Alencon, u którego jest w służbie.

To znaczyło, że Karol IX żegnał matkę.

Katarzyna wyszła, starając się utwierdzić w nim jeszcze błędne mniemanie. La Mole był tak mało znaczący, że nie mogła zadośćuczynić jego planom. Katarzyna zastała u siebie Małgorzatę oczekującą na matkę.

— Ach! Ach! To ty, moja córko — powiedziała Katarzyna — posyłałam po ciebie wczoraj wieczór.

— Wiem o tym; lecz nie było mnie w domu.

— A dziś rano?

— Dziś rano przychodzę powiedzieć, że Wasza Królewska Mość chcesz popełnić największą niesprawiedliwość.

— Jaka?

— Pani chcesz uwięzić pana hrabiego de La Mole?

— Mylisz się, moja córko; nikogo nie każę uwięzić; to, król rozkazuje, a nie ja.

— Nie trzymajmy się ściśle wyrazów w tak ważnych okolicznościach. Chcą uwięzić La Mole'a, nieprawdaż?

— Być może.

— I jest obwiniony o to, że był tej nocy w pokoju króla Nawarry i że zabił dwóch żołnierzy i ranił Maurevela?

— W istocie, o to jest obwiniony.

— Lecz niesłusznie — odrzekła Małgorzata — pan de La Mole jest niewinny.

— Niewinny! — zawołała Katarzyna, podskoczywszy z radości i przewidując, że Małgorzata coś jej wyjawia.

— Tak, jest niewinny — powtórzyła Małgorzata. — Nie może być winny, gdyż nie był u króla.

— A gdzie był? — U mnie, pani.

— U ciebie!

— Tak, u mnie.

Katarzyna na to wyznanie księżniczki francuskiej winna była przeszyć ją swym groźnym wzrokiem, lecz tylko skrzyżowała ręce na piersiach.

Następnie, po chwili milczenia, powiedziała: — A jeżeli La Mole zostanie uwięziony i zaczął go badać..

— Powie, gdzie był i z kim był — odpowiedziała Małgorzata, chociaż była przekonana, że stanie się przeciwnie.

— W takim razie masz słuszość, moja córko; nie trzeba aresztować La Mole'a.

Małgorzata drgnęła; zdawało jej się, że ton, jakim jej matka wygłosiła te, słowa, miał jakieś tajemne i okropne znaczenie. Lecz nic już nie pozostało do mówienia, gdyż prośba jej została przyjęta.

— Lecz jeśli nie La Mole był u króla — powiedziała Katarzyna — to był ktoś inny.

Małgorzata milczała.

— Czy tego innego znasz, moją córko? — zapytała Katarzyna.

— Nie, matko — odpowiedziała Małgorzata drżącym głosem.

— Bądź szczerą nie w połowie.

— Powtarzam ci, pani, że go nie znam — odpowiedziała po raz drugi Małgorzata, mimowolnie blednąc.

— Dobrze, dobrze — rzekła Katarzyna obojętnie. — Dowiemy się. Idź moja córko, uspokój się; twoja matka czuwa nad twym honorem.

Małgorzata wyszła.

— Ach! — mruknęła Katarzyna — oni się trzymają za ręce; Henryk i Małgorzata porozumieli się. Mąż jest ślepy pod warunkiem, żeby żona była niemą. Ach! Bardzo jesteście zręczni, moje dzieci, i uważacie się za silnych, lecz wasza siła jest w waszym związku, a ja was skruszę każde z osobna. Zresztą przyjdzie czas, kiedy Maurevel przemówi lub będzie w stanie napisać kilka liter;

wtedy dowiemy się wszystkiego. Tak, lecz tymczasem winny będzie już bezpieczny. Najlepiej rozłączyć ich natychmiast,

W wyniku tych rozważań Katarzyna znowu udała się do mieszkania swego syna, który na tę chwilę był zajęty rozmową z d'Alenconem.

— Ach! Ach! — rzekł Karol IX, marszcząc brwi — to ty, moja matko?

— Dlaczegoś nie dodał: „jeszcze”? Wyraz ten miałeś już w myśli.

— Co ja mam w myśli, to wyłącznie do mnie należy — odrzekł król swym surowym i grubiańskim tonem, którego czasami do samej Katarzyny używał. — Co pani chcesz ode mnie? Mów prędzej.

— Miałaś słuszność, mój synu — powiedziała Katarzyna do króla — ty zaś, d'Alencon, myliłeś się.

— W czym? — spytali obaj.

— To nie La Mole był w pokoju króla Nawarry.

— Ach! Ach! — szepnął Franciszek, blednąc.

— Któż więc? — zapytał król.

— Jeszcze nie wiadomo, lecz dowiemy się, jak tylko Maurevel będzie mógł mówić. Lecz odłóżmy na stronę tę sprawę, która się wkrótce wyjaśni, i powróćmy do La Mole'a.

— A co chcesz od niego, moja matko? Przecież La Mole nie był u króla Nawarry?

— Tak — odpowiedziała Katarzyna — nie był u króla, lecz był u... królowej.

— U królowej! — zawołał Karol, parsknąwszy śmiechem.

— U królowej! — mruknął d'Alencon i zbladł jak trup.

— Nie, nie — rzekł Karol — Gwizjusz mówił mi, iż spotkał lektykę Małgorzaty.

— A tak — powiedziała Katarzyna — ma ona dom w mieście.

— Na ulicy Cloche-Percée! — zawołał król.

— Tak; zdaje mi się, że tam — odpowiedziała Katarzyna.

— O, tego już za wiele — rzekł d'Alencon, zagłębiając paznokcie w piersiach.

— Więc to on — powiedział król — bronił się przeciwko nam dziś w nocy i trafił mnie w głowę srebrnym dzbanuszką. A nędznik!

— Och tak, nędznik! — powtórzył Franciszek.

— Macie słuszność, moje dzieci — rzekła Katarzyna, jakby nie pojmując, jakie uczucia wzburzały księcia i króla.

— Macie słuszność, gdyż nierozważna gadatliwość z jego strony może łatwo zgubić dobre imię francuskiej księżniczki. Dostatek będzie, jak się upije.

— Albo jak się zacznie chlubić — dorzucił Franciszek.

— Bez wątpienia, bez wątpienia — rzekł Karol — lecz nie możemy przedstawić tej sprawy sądowi, przynajmniej dopóki Henryk nie wniesie skargi.

— Mój synu — powiedziała Katarzyna, położywszy rękę na ramieniu Karola i opierając się na nim sposobem dość znaczącym, żeby zwrócić całą uwagę króla na to, co miała mówić — posłuchaj dobrze, co ci powiem: występek jest spełniony i może wywołać zgorszenie. Lecz za podobną obrazę królewskiego majestatu nie karze sąd i kat; gdybyście byli prostą szlachtą, nic bym wam nie mówiła, gdyż nie jesteście tchórzami; lecz nie jesteście książętami i dostojeństwo nasze nie pozwala wam skrzyżować szpady z takim szlachetką. Pomyślcie, jak się zemścić po książęcemu.

— Na śmierć wszystkich diabłów! — zawołał Karol — masz słuszność, moja matko; muszę nad tym pomyśleć.

— Pomogę ci w tym, mój bracie! — rzekł Franciszek.

— A ja — powiedziała Katarzyna, zdejmując opasujący jej stan jedwabny czarny sznurek, na każdym końcu którego znajdowała się żołądź, a tak długi, że każdy koniec spadał królowej do kolan — odchodzę, pozostawiając to jako mego przedstawiciela.

I rzuciła sznurek pod ich nogi.

— Rozumiem — rzekł Karol.

— Sznurek ten... — powiedział książę, podnosząc go.

— To kara i milczenie — dodała zwycięska Katarzyna.— Tylko byłoby dobrze wmieszać w to wszystko także i Henryka.

I z tymi słowy wyszła.

— Na Boga! — rzekł d'Alencon. — Nic łatwiejszego, jeśli Henryk dowie się, że go żona zdradza... A więc — spytały obracając się do króla — zgadzasz się ze zdaniem matki?

— Najzupełniej — powiedział Karol, nie wiedząc, że tysiąc sztyletów zagłębia się w serce d'Alencona. Następnie przywoławszy oficera trzymającego straż, rozkazał poprosić Henryka; lecz po chwili namysłu rzekł:

— Nie, nie; pójdę sam do niego. Ty, d'Alencon, uprzedź księcia Andegaweńskiego i Gwizjusza.

I wybiegłszy ze swego apartamentu, wstąpił na maleńkie kręcone schodki prowadzące na drugie piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie Henryka.

ROZDZIAŁ XXXIX

PLAN ZEMSTY

Henryk skorzystał z chwili wolnego czasu, aby pobiec do pani de Sauve. Znalazł tam Orthona, już zupełnie przywróconego do zmysłów; lecz Orthon nic więcej nie umiał powiedzieć, jak tylko, że jacyś ludzie wpadli do niego, a ich dowódca uderzył go gardą szpady tak silnie, iż zemdłał. O Orthona nikt się nie troszczył; Katarzyna zaś, widząc go zemdlonego, sądziła, że już nie żyje. Po wyjściu królowej-matki Orthon przyszedł do zmysłów; lecz zanim przybył kapitan straży, któremu poruczono oczyszczenie pola bitwy, Orthon zawlókł się do pani de Sauve.

Henryk poprosił Karolinę, ażeby zatrzymała u siebie tego młodego człowieka dopóty, dopóki de Mouy nie da mu znać o miejscu swego pobytu. Wtedy Henryk zamierzał posłać odpowiedź panu de Mouy przez Orthona; zamiast więc mieć jednego człowieka, któremu by mógł zawierzyć, śmiało mógł liczyć na dwóch.

Tak tedy, chodząc u siebie wszerz i wzdłuż po pokoju, układał w swej głowie plany i rozważał je, kiedy nagle drzwi otworzyły się i wszedł król.

— Ach! Wasza Królewska Mość! — zawołał Henryk, pośpieszając na przyjęcie króla.

— Tak jest, ja sam... W samej rzeczy, mój Henryku, jesteś kochany chłopiec; czuję, że coraz bardziej miłować cię będę.

— Najjaśniejszy Panie! — powiedział Henryk. — Wasza Królewska Mość pochlebiasz mi.

— Masz tylko jedną wadę, Henryku.

— Jaką? Ach! Czy czasem nie tę, którą Wasza Królewska Mość już nieraz mi zarzucałeś; iż wolę polowanie z psami aniżeli z sokołami?

— Nie, nie, Henryku; mówię o czym innym.

— Niech Wasza Królewska Mość wytłumaczy mi się — rzekł Henryk poznawszy po uśmiechu króla, iż jest wesół — a będę się starał poprawić.

— Oto posiadasz tę wadę, iż mając dobry wzrok, nie widzisz tak dobrze, jakbyś powinien widzieć.

— Ach! Ach! — zawołał Henryk — Najjaśniejszy Panie, miałbym być krótkowidzem?

— Eh, jeszcze gorzej, jesteś ślepym.

— Lecz — przerwał Bearnńczyk — czy czasem nieszczęście nie dotyka mnie wtedy tylko, kiedy zamknę oczy? — Otóż właśnie — rzekł Karol. — Toteż chcę ci otworzyć oczy.

— Bóg rzekł: „Stań się światło” i światło się stało. Wasza Królewska Mość jest reprezentantem Boga na ziemi; możesz więc to samo uczynić na ziemi, co Bóg W niebie. Słucham cię, Najjaśniejszy Panie.

— Kiedy książe Gwizjusz wczoraj wieczorem mówił ci, że spotkał twoją żonę z jakimś kochankiem, nie chciałeś temu wierzyć.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział Henryk — czyż mogłem sądzić, iżby siostra Waszej Królewskiej Mości mogła popełnić taką nedorzecznosc?

— A kiedy ci powiedział, że twoja żona udała się na ulicę Cloche-Percée, tym bardziej nie chciałeś temu wierzyć?

— Lecz jakże mogłem przypuszczać, Najjaśniejszy Panie, ażeby księżniczka francuska mogła narażać publicznie swą sławę?

— Przecież przy obleżeniu domu na ulicy Cloche-Percée, gdzie ja dostałem w ramię srebrną nalewką, książe Andegaweński marmoladą pomarańczową w głowę, a Gwizjusz szynką z dzika w plecy, widziałeś dwie kobiety i dwóch mężczyzn.

— Ja nikogo nie widziałem, Najjaśniejszy Panie. Wasza Królewska Mość bez wątpienia przypominasz sobie, że badałem stróża.

— Tak, Lecz na szatana! Ja widziałem, ja!

— A, jeśliś ty, Najjaśniejszy Panie, widział, to co innego.

— Ależ tak, mówię ci; widziałem dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Teraz zaś już nie wątpię, lecz wiem na pewno, że jedną z tych kobiet była Margot, a jednym z mężczyzn La Mole.

— Lecz jakże! — zawołał Henryk. — Jeżeli pan de La Mole znajdował się na ulicy Cloche-Percée, nie mógł być tutaj!

— Toteż tutaj nie był! — powiedział Karol. — Teraz nie o to chodzi, kto tutaj był, bo o tym dowiedzą się, skoro tylko ten bałwan MaureVel wyzdrowieje i będzie mógł mówić; lecz idzie o to, że Margot cię zdradza.

— Eh! — powiedział Henryk — Najjaśniejszy Panie, nie wierz plotkom. — Mówiłem ci już, iż jesteś nie tylko krótkowidzem, lecz ślepym. Na szatana! Człeku nierozsądny! Czyż uwierzysz, mi raz wreszcie? Powtarzam jeszcze raz: Margot cię zdradza, a my dzisiaj wieczorem zadusimy przedmiot jej nierozsądnej namiętności.

Henryk odskoczył od króla i patrzył nań osłupiałym wzrokiem.

— Przyznaj się, Henryku, że w głębi serca nie jesteś temu przeciwny. Margot bez wątpienia będzie krzyżeć, lecz na honor, mniejsza o to. Nie chcę, ażebyś był nieszczęśliwy. Niechaj mój brat, książę Andegaweński, oszukuje księcia Kondeusza, patrzę na to przez palce, bo też książę Kondeusz nie jest moim przyjacielem; lecz ty, ty jesteś mi bratem, więcej niż bratem, jesteś moim przyjacielem.

— Lecz Najjaśniejszy Panie...

— Nie chcę, Henryku, ażeby cię obrażano, ażeby cię dręczono; już i tak dosyć dawno służysz za igraszkę tym młokosom przybywającym z prowincji, którzy bałamuca nam żony. Henryku, oszukano cię; toż samo może spotkać każdego, lecz ja dam ci sposobność odplacenia za to; przysięgam ci. A jutro rano wszyscy powiedzą: „Król Karol IX musi bardzo kochać swego brata, Henryka, ponieważ dzisiejszej nocy zaduszono pana de La Mole.”

— Najjaśniejszy Panie — zapytał Henryk — czy w samej rzeczy powzięłeś ten zamiar? — Nie tylko powzięłem, lecz go obmyśliłem i postanowiłem wykonać. Z galantem załatwimy się sami. Wyprawa składać będzie się ze mnie, księcia Andegaweńskiego, księcia d’Alencon i księcia Gwizjusza. Uważaj: król, dwaj książęta krwi i książę udzielny, nie licząc ciebie.

— Jak to nie licząc mnie?

— No, przecież i ty będziesz z nami.

— Ja? — No tak, ty; skoro my zaczniemy go dusić, ty poczęstujesz tego zucha sztyletem, prawdziwie królewskim pchnięciem.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział Henryk — twoja życzliwość zawstydzona mnie; lecz jakim sposobem Wasza Królewska Mość wiesz...

— Eh! Na rogi wszystkich diabłów! Wiem, wiem dobrze. Bywa on u niej, to w Luwrze, to na ulicy Cloche-Percée. Tam zapewne razem piszą wiersze. Chciałbym też czytać wiersze tego młokosa; zapewne pisze sielanki; rozmawiają o Bionie i Moschusie lub szczebioczą jak Dafnis i Korydon. Henryku, nie zapomnij wziąć ostrego sztyletu.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział Henryk — zważywszy....

— Co?

— Wasza Królewska Mość zapewne pojmujesz, iż ja nie mogę być uczestnikiem w podobnej wyprawie. Zdaje mi się, że moja obecność byłaby niedorzeczna. Zresztą wypadek ten tak blisko mnie dotyczy, iż uczestnictwo w nim policzą mi na karb srogości. Wasza Królewska Mość mścisz się na młokosie, który śmiał spotwarzyć moją żonę; mścisz się na nim jako brat za sławę

swej siostry; jest to rzecz bardzo sprawiedliwa. Lecz jeżeli ja sam uczestniczyć będę w wymiarze kary, wtedy z aktu sprawiedliwości uczynimy akt zemsty. Nie będzie to kara, lecz morderstwo; moja żona nie będzie wtedy spotwarzona... lecz winna.

— Henrysiu, dobrze mówisz; właśnie przed chwilą powiedziałem matce, iż masz diabli rozum.

I Karol łaskawie spojrzał na Henryka, kłaniającego mu się w podzięcie za te uprzejme słowa.

— Zresztą — dodał Karol — sądzę, że byłbyś zadowolonym, gdybyś się pozbył tego gacha?

— Wszystko, co Wasza Królewska Mość przedsięwzięmiesz, uznam za dobre — odpowiedział król Nawarry.

— A więc dobrze, pozostaw mnie tę sprawę i bądź spokojny: już ją załatwię ku twemu zadowoleniu.

— Jestem o tym przekonany, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Henryk.

— Teraz powiedz mi, o której godzinie przychodzi on zwykle do twej żony.

— Około dziewiątej wieczorem.

— A wychodzi?

— Zanim ja przyjdę. Nigdy go nie, zastaję.

— Ale mniej więcej około?...

— Około jedenastej.

— Dobrze; dzisiaj idź do niej o północy; wszystko będzie już skończone. I Karol po przyjacielsku uściskał rękę Henryka, powtórzył mu wyrazy swego ku niemu przywiązania i pogwizdując ulubioną piosenkę, wyszedł.

— Na szatana! — powiedział Bearneńczyk, odprowadzając króla wzrokiem.— Albo się bardzo mylę, albo wszystkie te szatańskie sztuczki biorą początek od królowej-matki. Już nie wie, co ma czynić, ażeby poróżnić tak zgodne stadło małżeńskie jak moje.

I Henryk roześmiał się śmiechem, jakim zwykle wybuchał, kiedy go nikt nie mógł widzieć ani słyszeć.

O godzinie siódmej wieczór tegoż samego dnia, w którym zaszły wyżej opowiedziane wypadki, młody człowiek przyjemnej powierzchowności, stojąc przed lustrem w Luwrze, pomadując się i perfumując, śpiewał jakąś wesołą piosenkę. Obok niego stał, a raczej przeciągał się na łóżku drugi młody człowiek.

Pierwszym mężczyzną był nasz przyjaciel La Mole, który ani się spodziewał, iż cały dzień nim się tylko w Luwrze zajmowano, jego zaś towarzyszem był Coconnas.

W samej rzeczy cała burza przeciągnęła ponad głową La Mole'a, a ten ani błyskawic nie widział, ani nie słyszał huku grzmotów. Powróciwszy o trzeciej rano do domu, przespał do godziny trzeciej po południu; we śnie marzył i stawiał zamki na tym kruchym gruncie; który zowią przyszłością; następnie wstał, wykapał się, poszedł na obiad do La Hurière'a i powróciwszy do Luwru, kończył swą toaletę, znowu wybierając się do Małgorzaty.

— Więc mówisz, żeś już jadł obiad? — zapytał Coconnas ziewając.

— Na honor, tak jest; i to z wielkim apetytem.

— Dlaczegoś mnie nie wziął ze sobą, ty samolubie?

— Na honor, spałeś tak mocno, iż nie chciałem cię budzić. Zresztą wszystko ci jedno: zjesz kolację zamiast obiadu. Nie zapomnij tylko kazać sobie dać tego wina d'Anjou, które w tych dniach przyszło do La Hurière'a.

— Czy dobre?

— Każ tylko sobie dać, a zobaczysz.

— Gdzie ty teraz idziesz?

— Ja? — zapytał La Mole, zdziwiony, że jego przyjaciel zadaje mu to pytanie. — Ja jak zwykle idę do królowej.

— Wiesz co, La Mole — powiedział Coconnas — pójdę na obiad do naszego domku na ulicy Cloche-Percée; dojem resztki wczorajszego i wypiję pozostałe alicante; wino to wcale nie jest złe.

— Annibalu, mój przyjacielu! Byłoby nieroztropnością powracać tam po wypadkach zaszłych dzisiejszej nocy. Zresztą czyż nie daliśmy słowa, że nigdy nie pójdziemy tam sami? Daj no mi płaszcz.

— Masz słusność — powiedział Coconnas — zapomniałem o tym. Lecz gdzież jest, u diabła, twój płaszcz? Ach! Otóż i on.

— Ale nie; dajesz mi czarny, a ja cię prosiłem o czerwony. Królowej bardziej się podobałem w czerwonym.

— Do krośset! — zawołał Coconnas, oglądając się na wszystkie strony. — Szukaj go sobie sam; ja go nie widzę.

— Jak to? Nie widzisz go? A gdzież by był?

— Możeś go sprzedał?

— Przecież jeszcze mam sześć talarów.

— Więc weź mój.

— Dobrą mi dajesz radę, ani słowa... żółty płaszcz na zielony kaftan; wyglądałbym jak papuga.

— Bardzoś wybredny. Rób, co chcesz.

La Mole przerzucił wszystko i zaczął przeklinać złodziei zaczynających się już wślizgiwać do Luwru, kiedy nagle paż księcia d'Alencon wszedł z czerwonym płaszczem, tyle upragnionym.

— Ach! Otóż i płaszcz — zawołał La Mole.

— Tak jest, płaszcz — odpowiedział paż. — Jego Książęca Mość brał go do siebie, ponieważ założywszy się o jego kolor, chciał mu się dobrze przypatrzeć.

— Och! — powiedział La Mole. — Ja, chcąc wyjść, szukałem go; lecz jeżeli jest jeszcze potrzebny Jego Książęcej Mości...

— Nie, panie hrabio, nie; już mu niepotrzebny. Paż wyszedł; La Mole zarzucił na siebie płaszcz.

— No i cóż postanowiłeś? — zapytał La Mole.

— Jeszcze nic.

— Czy cię zastanę w domu dzisiaj wieczorem?

— Nie wiem, jak ci powiedzieć.

— Jak to! Więc nie wiesz, co będziesz robić przez dwie godziny?

— Wiem, lecz nie wiem, co mi każą robić.

— Kto, czy księżna de Nevers?

— Nie, księżę d'Alencon.

— W samej rzeczy — powiedział La Mole — zdaje mi się, iż księżę zaczyna cię prześladować swoją przyjaźnią.

— Tak jest — odpowiedział Coconnas.

— A więc twoja przyszłość jest zabezpieczona — powiedział La Mole uśmiechając się.

— Żartujesz sobie! — zawołał Coconnas — on, książątko!

— No i cóż z tego — powiedział La Mole — lecz tak się stara o swoje wywyższenie, iż może Pan Bóg zlituje się nad nim i sprawi jaki cud. Więc nie wiesz, gdzie przepędzisz dzisiejszy wieczór?

— Nie wiem.

— No to idź do diabła! Albo... Do widzenia!

— Ten La Mole to dziwny człowiek — mruknął Coconnas — zawsze mu gadaj, gdzie będziesz! Alboż ja mogę wiedzieć, gdzie będę? Zresztą zdaje mi się, że mam ochotę pospać.

I Coconnas znowu się położył.

La Mole pędził do królowej. Lecz przybywszy do znanego nam korytarza, spotkał tam księcia d'Alencon.

— Ach, to ty, panie de La Mole? — zapytał książę.

— Tak jest; ja sam, Mości Książę — odpowiedział La Mole, kłaniając się.

— Czy wychodzisz pan z Luwru?

— Nie, Mości Książę. Idę złożyć swoje uszanowanie Jej Królewskiej Mości królowej Nawarry.

— A o której godzinie, panie de La Mole, wyjdiesz od niej?

— Czy Wasza Książęca Mość chce mi dać jakie rozkazy?

— Nie; lecz chciałbym dzisiaj wieczorem pomówić z panem.

— O której godzinie?

— Pomiędzy dziewiątą a dziesiątą.

— Będę miał zaszczyt być u Waszej Książęcej Mości o tej godzinie.

— Dobrze; czekam więc pana.

La Mole uklonił się i poszedł dalej swoją drogą.

— Ten książę — powiedział sam do siebie — jest czasami błąd jak trup; to rzecz szczególna!

La Mole zastukał do królowej. Gillonna zdawała się go oczekiwać, gdyż natychmiast wprowadziła gościa do królowej. Małgorzata była zajęta nudną robotą; przed nią leżał pokreślony papier i jeden tom Izokratesa. Królowa dała znak hrabiemu de La Mole, iż chce skończyć ustęp; następnie dopisawszy kilka słów, rzuciła pióro i poprosiła młodego człowieka, ażeby usiadł obok niej.

La Mole jeszcze nigdy nie był tak piękny i tak wesoły.

— Greka! — zawołał, rzuciwszy okiem na książkę — mowa Izokratesa! A pani to na co! O! O! A to po łacinie! *Ad Sarmatiae legatos reginae Margaritae concio...* Więc pani mówisz do tych barbarzyńców po łacinie?

— Tak jest; gdyż oni nie umieją po francusku.

— Lecz jakże? Pani piszesz odpowiedź, nie wiedząc jeszcze, co ci powiedzą.

— Inna powiedziała ci, że pisze odpowiedź improwizowaną; lecz ja przed tobą nie mam potrzeby udawania, mój drogi Hiacyncie; przysłano mi mowę, na którą teraz układam odpowiedź.

— A więc posłowie niedługo przybędą?

— Już przyjechali dzisiaj rano.

— Jednakże nikt o tym nie wie.

— Ponieważ przybyli incognito. Ceremonialny wjazd podobno naznaczony na pojutrze. Zresztą, zobaczysz — powiedziała Małgorzata tonem, w którym przebijało nieco pedantyzmu — zobaczysz, że moją mowę ułożyłam po cyceronku; lecz dajmy temu pokój. Pomówmy lepiej o tym, co ci się przytrafiło.

— Mnie?

— Tak jest.

— A cóż mi się miało przytrafić?

— Ach! Chociaż udajesz dobrze, zawsze jednak widać, że jesteś cokolwiek błąd.

— Tak, to prawda; zasnęłam nieco.

— No, no, nie masz co udawać; wiem już o wszystkim.

- Zmiłuj się więc i powiedz mi wszystko, moja perło; gdyż ja nic nie wiem.
- Odpowiedz i szczerze. O co cię zapytała królowa–matka?
- Królowa–matka, mnie? Alboż chciała ze mną mówić?
- Jak to? Więc jej nie widziałeś?
- Nie.
- A króla Karola?
- Nie.
- A króla Nawarry?
- Też nie.
- Lecz księcia d’Alencon widziałeś?
- Tak jest; przed chwilą widziałem go na korytarzu.
- I cóż ci powiedział?
- Że o godzinie dziesiątej ma mi wydać jakieś rozkazy.
- I nic więcej? –Nic więcej.
- To rzecz dziwna!
- Lecz, na koniec, cóż w tym znajdujesz dziwnego, powiedz mi?
- Że o niczym nie wiesz.
- Czyżby miało coś zająć?
- Nieszczęsny, cały dzisiejszy dzień byłeś zawieszony nad przepaścią!
- Ja?
- Tak jest, ty.
- Jakim sposobem?
- Uważaj. Dzisiejszej nocy chciano aresztować króla Nawarry; lecz w jego pokoju zastano pana de Mouya, który zabiwszy trzech żołnierzy, uciekł. Spostrzeżono tylko czerwony płaszcz.
- I cóż dalej?
- Otóż czerwony płaszcz, który już raz mnie zwiódł, zwiódł i innych; mają cię w podejrzeniu, a nawet obwiniają cię, żeś to ty popełnił owo potrójne morderstwo. Dziś rano miano cię aresztować, sądzić, a kto wie?... Może i osądzić? Ponieważ dla uratowania się nie mógłbyś powiedzieć, gdzie wówczas byłeś, nieprawdaż?
- Powiedzieć, gdzie byłem? — zawołał La Mole — wydać cię, moja szlachetna i piękna królowo! Ach! Miałaś słusność; iż tak o mnie sądziłaś; ponieważ radośnie zginąłbym, ażeby tylko uwolnić od łez twoje piękne oczy.
- Ach! Mój biedny szlachcicu — powiedziała Małgorzata — a moje piękne oczy obfite wylewałyby łzy.
- Lecz jakim sposobem ucichła ta wielka burza?
- Zgadnij!
- Nie, nie wiem.
- Tylko jeden był środek dowiedzenia się, iż to nie ty byłeś w pokoju króla Nawarry.
- Jakież to?
- Powiedzieć, gdzie wówczas byłeś.
- A ty...
- Powiedziałam!
- Komu?
- Mej matce.
- A królowa Katarzyna...
- Wie, że cię Kocham.

— Ach! pani, tyłeś dla mnie zrobiła, iż możesz ode mnie wymagać wszystkiego. Małgorzato! Ten twój postępek jest piękny i wielki. Małgorzato! Moje życie należy do ciebie.

— Spodziewam się, gdyż wyrwałam twe życie z rąk tych, którzy chcieli je mnie wydrzeć; teraz jesteś ocalony.

— I to przez ciebie! — zawołał młody człowiek w uniesieniu.

W tejże chwili zadrżeli, przestraszeni silnym łoskotem. La Mole zatrzwożony odsunął się w tył; Małgorzata, krzyknawszy, utkwiała swój pomieszany wzrok w stłuczonej szybie okna.

Przez wybitą szybę wpadł do pokoju kamień średniej wielkości i przez jakiś czas toczył się jeszcze po posadzce. La Mole także spostrzegł rozbitą szybę i wkrótce domyślił się powodu, dla którego nastąpił łoskot.

— Co za zuchwałość! — zawołał młody człowiek, zbliżając się do okna.

— Zaczekaj — powiedziała Małgorzata — zdaje mi się, że do kamienia coś przywiązano.

— W rzeczy samej — rzekł La Mole — jakiś papier.

Małgorzata szybko zbliżyła się do kamienia i zdjęła z niego wąski paseczek papieru opasujący go przez środek. Karteczka była przyczepiona do sznurka wychodzącego za stłuczoną szybę.

Małgorzata rozwinęła karteczkę, przeczytała ją.

— Nieszczęsny! — zawołała.

I podała karteczkę hrabiemu de La Mole, blademu i nieruchomemu jak posąg Trwogi. Ten, przeczuwając coś złego, przeczytał następujące wyrazy:

Czekają na pana de La Mole'a, z długimi szpadami, w korytarzu prowadzącym do księcia d'Alencon. Zapewne pan de. La Mole uzna za lepsze uciec oknem i połączyć się z panem de Mouyem w Nantes...

— Eh! — powiedział La Mole, przeczytawszy. — Przecież ich szpady nie są dłuższe od mojej?

— Tak; lecz jest ich dziesięć na twoją jedną.

— Lecz cóż za przyjaciel rzucił to ostrzeżenie? — zapytał La Mole.

Małgorzata wzięła karteczkę z rąk młodego człowieka i uważnie jej się przypatrywała.

— Pismo króla Nawarry! — zawołała. — Kiedy on ostrzega, musi być rzeczywiście niebezpieczeństwo. Uciekaj, La Mole, uciekaj! Błagam cię!

— Lecz jakim sposobem uciec? — zapytał La Mole.

— Przez okno! Wszak kartka wyraźnie mówi, że przez okno.

— Rozkaż tylko, królowo, a wyskoczę przez to okno, chociaż wiem, że pogruchotałbym się na kawałki, spadłszy z tej wysokości!

— Zaczekaj, zaczekaj! — zawołała Małgorzata — zdaje mi się, że do sznurka jest przyczepiony jakiś ciężar.

— Zobaczymy! — powiedział La Mole.

I oboje, przyciągając do siebie ciężar przyczepiony do sznurka, wkrótce z niewysłowioną radością znaleźli drabinkę zrobioną z włosów i jedwabiu.

— Jesteś ocalony! — zawołała Małgorzata.

— To cud nieba!

— Nie, to pomoc króla Nawarry.

— Tak, lecz jeśli są to sidła; jeżeli ta drabinka urwie się pod moimi nogami! Pani, wyznałaś mi dzisiaj swoją miłość ku mnie...

Małgorzata, której radość nadała rumieńców, teraz pokryła się śmiertelną bladością.

— Masz słuszność — powiedziała królowa — to być może. I rzuciła się ku drzwiom.

— Co chcesz czynić? — zawołał La Mole.
— Przekonać się osobiście, czy w samej rzeczy czatują na ciebie w korytarzu.
— Nie, nigdy na to nie pozwolę! Gniew czatujących na mnie może się zwrócić na ciebie.
— A cóż mogą zrobić córce Francji, żonie i księżnej krwi? Podwójnie jestem osobą świętą, nietykalną.

Królowa wymówiła te słowa z taką godnością, iż La Mole pojął, że nie ma się co o nią obawiać; postanowił więc pozwolić jej działać, jak to sama uzna za słuszne.

Małgorzata zostawiła La Mole'a pod dozorem Gillonny, zaleciwszy mu, ażeby zależnie od okoliczności uciekał lub czekał na jej przybycie. Królowa udała się korytarzem prowadzącym do biblioteki, na który wychodziło wiele drzwi od pokojów przyjęć. Korytarz ten jednym końcem przytykał do apartamentów króla, królowej-matki i z niego to prowadziły ukryte schody do księcia d'Alencon i Henryka. Chociaż była dopiero dziewiąta, wszystkie światła były już pogaszone i korytarz, tylko w części prowadzącej na schody cokolwiek oświetlony, zupełnie był pogrążony w ciemnościach. Królowa Nawarry szła naprzód śmiało, a skoro przeszła już blisko jedną trzecią korytarza, usłyszała głucho szept, które do jej uszu dolatywały tajemniczo i strasznie. Lecz nagle, jakby na skutek rozkazu, szept ustał i w korytarzu znowu zapanowała dawniejsza ciemność i spokój. Słabe światło jeszcze bardziej przybladło.

Małgorzata nie przestawała iść prosto naprzeciw niebezpieczeństwu, jeśli takowe w samej rzeczy istniało. Zdawała się być spokojna, jednakże skurczone ręce zdradzały jej konwulsyjne—drżenie. W miarę jak postępowała naprzód, spokój stawał się coraz większy, a cień, podobny do ręki, zasłaniał słabe i migotliwe światło. Nagle, skoro doszła do zakrętu, jakiś człowiek wystąpił naprzód i odkrywając tajemną latarkę, zawołał:

— Otóż i on!

Małgorzata znalazła się twarz w twarz ze swoim bratem Karolem. Za nim stał książę d'Alencon z jedwabnym sznurkiem w ręku. Jeszcze dalej dawały się widzieć cienie dwóch ludzi pogrążonych w ciemności; tylko na ich długich szpadach błyszczało światło.

Małgorzata jednym spojrzeniem obrzuciła całą tę grupę. Całym wysiłkiem woli opanowała się i z uśmiechem odpowiedziała Karolowi:

— Najjaśniejszy Panie, zapewne chciałeś powiedzieć: otóż i ona! Karol cofnął się o krok. Inni pozostali nieruchomi jak figury z kamienia.

— To ty, Margot — powiedział król — a gdzie idziesz o tak późnej godzinie?

— o tak późnej godzinie? — powtórzyła Małgorzata — alboż już tak późno?

— Pytam cię, gdzie idziesz.

— Idę szukać *Mów* Cyserona, które jak mi się zdaje, zostawiłam u królowej-matki.

— Wyszłaś bez światła?

— Sądziłam, że korytarz jeszcze jest oświetlony.

— Czy idziesz ze swego pokoju?

— Tak jest.

— A cóż robisz dzisiajszego wieczoru?

— Przygotowuję odpowiedzi na mowy posłów polskich. Wszak jutro na radzie kazano przedstawić Waszej Królewskiej Mości wszystkie odpowiedzi.

— Zapewne masz jakiego pomocnika u siebie? Małgorzata zebrała ostatek sił.

— Tak jest, bracie — odpowiedziała — pana de La Mole; to bardzo uczony młodzieniec.

— Tak uczony — powiedział książę d'Alencon — że prosiłem go, ażeby skoro z tobą skończy, moja siostrzo, raczył przyjść do mnie i pomóc mi; wiesz bowiem, że nie jestem tak mocny w łacinie jak ty.

— I czekałeś na niego? — zapytała Małgorzata najnaturalniejszym tonem.

— Tak jest — odpowiedział d'Alencon z gniewem.

— W takim razie — rzekła Małgorzata — zaraz ci go przyślę, mój bracie; ja już skończyłam pisać.

— A książką? — wtrącił Karol.

— Po książkę poślę Gillonné.

Karol i Franciszek zamienili pomiędzy sobą spojrzenia.

— Idź — powiedział Karol — a my, panowie, stójmy dalej na warcie.

— Na warcie? — powtórzyła Małgorzata — a na kogóż panowie czekacie?

— Czekamy na czerwonego młodzieńca — powiedział Karol. — Czyż nie wiesz, że jakiś czerwony człowiek pokazuje się w starym Luwrze? Mój brat d'Alencon utrzymuje, że go widział; otóż szukamy go.

— Życzę pomyślności w polowaniu — powiedziała Małgorzata.

I poszła dalej, rzuciwszy poza siebie wzrokiem. Na ścianie rysowały się cztery cienie ludzi o czymś radzących.

W chwilę później królowa znalazła się pod swoimi drzwiami.

— Gillonno, otwórz, otwórz! — zawołała.

Małgorzata rzuciła się do swego pokoju i zastała La Mole'a spokojnie oczekującego ze szpadą w ręku.

— Uciekaj nie tracąc chwili! — zawołała. — Czekają na ciebie w korytarzu, ażeby cię zabić.

— Czy rozkazujeś mi uciekać? — zapytał La Mole.

— Tak jest. Musimy się rozłączyć, dlatego tylko, ażeby kiedyś się połączyć.

Pod nieobecność Małgorzaty La Mole umocował drabinkę u kraty okna wskoczył na parapet i zanim postawił nogę na pierwszym stopniu, czule ucałował rękę królowej.

— Małgorzato! Jeżeli ta drabinka jest siđłem i jeżeli umrę dla ciebie, pamiętaj o swojej obietnicy.

— La Mole, to nie jest obietnica, ale przysięga. Nie obawiaj się niczego. Do widzenia!

La Mole, ośmielony, nie zszedł, ale raczej zesunął się po sznurowej drabinie.

W tej chwili zastukano do drzwi.

Małgorzata odprowadziła wzrokiem swego kochanka podczas tej niebezpiecznej przeprawy i dopiero zobaczywszy, że La Mole szczęśliwie stanął na ziemi, obejrzała się.

— Pani! — zawołała Gillonna. — Pani!

— Cóż takiego? — zapytała Małgorzata.

— Król stuka do drzwi.

— Otwórz mu.

Gillonna usłuchała. Czterech książąt stanęło w progu drzwi. Król wszedł. Małgorzata z uśmiechem na ustach zbliżyła się do króla. Król obejrzał się dokoła.

— Kogo szukasz, mój bracie? — zapytała Małgorzata.

— Ależ... — wyjąkał Karol — szukam... pana de La Mole'a. — Pana de La Mole'a?

— Tak; gdzież on jest?

Królowa Nawarry wzięła brata za rękę i podprowadziła do okna.

W tej chwili dwóch ludzi pędziło konno w wielkim galopie; jeden z nich na znak pożegnania wywijał w powietrzu białą, atlasową szarfą. Byli to La Mole i Orthon.

Małgorzata wskazała Karolowi paluszkami tych dwóch ludzi.

— Cóż to ma znaczyć? — zawołał Karol.

— To ma znaczyć — odpowiedziała jego siostra — że księżę d'Alencon może schować jedwabny sznurek do kieszeni, a panowie Andegaweński i Gwizjusz mogą włożyć swe szpady do pochwy; na próżno bowiem strawiliby dzisiejszą noc, czekając w korytarzu na pana de La Mole.

ROZDZIAŁ XL

ATRYDZI

Książę Andegaweński po powrocie do Paryża jeszcze się nie widział sam na sam z matką Katarzyną.

Widzenie się zaś z matką nie było dla niego ani czczym zadośćuczynieniem etykiecie, ani upokarzającym ceremoniałem, lecz słodkim wypełnieniem synowskiego długu. Bo jeżeli książę, jako syn, nie kochał swej matki, to przynajmniej był przekonany, że jest czule kochany przez nią.

Katarzyna, w rzeczy samej, przedkładała go nad wszystkich synów: już to dlatego, że był odważny, już to, że był piękny, najbardziej dlatego, że po przeczytaniu kilku gorszących kronik Henryk Andegaweński przywrócił epokę tajemniczych miłości.

Tylko Katarzyna wiedziała o jego powrocie do Paryża. Karol IX także o tym wiedział, ponieważ przypadkiem spotkał go przed pałacem Kondeusza, w chwili gdy książę stamtąd wychodził. Karol spodziewał się jego przybycia na drugi dzień. Książę Andegaweński chciał ukryć przed królem cele, dla których przyjechał o dzień wcześniej. Cele zaś owe były następujące: widzenie się z piękną Marią de Cleves, księżną Kondeuszową, i układy z polskimi posłami. O tych to układach książę Henryk chciał pomówić z Katarzyną. Skoro tedy, dawno oczekiwany, wszedł do swej matki, Katarzyna, zwykle tak zimna, Katarzyna, która od czasu wyjazdu swego ukochanego syna ścisłała tylko w swoich objęciach admirała de Coligny — nazajutrz zabitego — pobiegła na przyjęcie Henryka z otwartymi rękoma i przyciskała go do piersi z czułością, której źródła trudno było szukać w jej wyschłym sercu.

Następnie odstała od niego, spojrzała nań i znowu zaczęła go ścisnąć.

— Ach! Pani! — zawołał książę. — Kiedy niebo pozwoliło mi uściskać moją matkę bez świadków, pociesz najnieszczęśliwszego człowieka w świecie!

— Mój Boże! Kochane dziecko! — powiedziała Katarzyna. — Co ci się stało?

— Wiesz, matko, dobrze. Kocham, jestem kochany; lecz ta miłość, która by dla innego była szczęściem, czyni mnie nieszczęśliwym.

— Wyłumacz się, mój synu.

— Ach! Matko... ci posłowie, ten odjazd...

— Posłowie przyjechali; dzień twego odjazdu już naznaczony.

— Ach! Matko, zapewne mój brat ten dzień przyspieszy, on mnie nienawidzi. Jestem dla niego cieniem, chce się mnie pozbyć.

Katarzyna uśmiechnęła się.

— Dając ci tron, biedna ukoronowana głowo!

— Nie, matko, ja tego nie przeżyję! — zawołał Henryk z rozpaczą. — Nie pojedę. Ja, książę Francji, wychowany przez ukochaną matkę, kochany przez najpiękniejszą kobietę w świecie, miałbym jechać na koniec świata, w te śniegi, ażeby tam, z dala od swojej drogiej ojczyzny, miał umrzeć powolną śmiercią! Nie, moja matko, ja nie chcę pojechać... Raczej umrę!

— Henryku — zapytała Katarzyna, biorąc obydwie ręce syna — powiedz mi, czy to jest jedyną przyczyną, iż nie chcesz jechać?

Henryk spuścił oczy; obawiał się, ażeby matka nie wyczytała z nich, co się dzieje w głębi jego duszy.

— Czy nie ma innej przyczyny — mówiła dalej Katarzyna — mniej romantycznej lecz płynącej z rozsądku... bardziej politycznej?

— Matko, nie moja to wina, jeżeli taka myśl wkradła się do mego serca i wpiła się w nie więcej, niż powinna; lecz czyż nie ty sama mówiłaś mi o horoskopie ułożonym przy urodzeniu Karola? Horoskop ten skazuje Karola na śmierć w młodym wieku.

— Tak, to prawda, mój synu — powiedziała Katarzyna — lecz horoskop może kłamać. Ja sama w tej chwili gotowa jestem twierdzić, że wszystkie te horoskopy to głupstwo.

— Lecz wszakże horoskop mówi, o tej wczesnej śmierci?

— Mówi o Ćwierci wieku; lecz nie wspomina, czy to 25 lat życia, czy panowania.

— A więc, matko, spraw, żebym został. Mój brat ma lat dwadzieścia cztery; za rok zagadka będzie rozwiązana.

Katarzyna głęboko się zamyśliła.

— Tak, zapewne — powiedziała — byłoby to dobre, gdyby się dało wykonać.

— Ach, matko, osądź sama — zaczął Henryk — co by było za nieszczęście, gdybym miał zamienić koronę francuską na polską! Być ciągle dręczony myślą, iż mógłbym panować w Luwrze, na tym dworze uczonym i wspaniałym, przy mojej drogiej matce, której rady zmniejszyłyby o połowę moją pracę i trudy; przy matce, która przyzwyczajona dźwigać brzemię panowania z moim ojcem, bez wątpienia i mnie nie odmówiłaby tej łaski. Ach, matko, byłbym wielkim królem!

— Dobrze, dobrze, moje dziecię — powiedziała Katarzyna, dla której ta myśl była najśłodsza. — Synu! Nie rozpaczaj. Czyś nie myślał o środkach, za pomocą których tę sprawę można by załatwić?

— Tak jest, myślałem; dlatego to właśnie przyjechałem dwa dni wcześniej; mój brat myśli, że pośpieszyłem się do pani Kondeuszowej. Widziałem się już z głównym posłem Łaskim; na tym pierwszym widzeniu starałem się uczynić wszystko, co tylko mogło im służyć za powód do znieawidzenia mnie; zdaje mi się, że ten cel osiągnąłem.

— Ach! Kochany synu — powiedziała Katarzyna — to źle. Powinieneś kłaść sprawy Francji wyżej aniżeli swoją osobistą odrazę.

— Moja matko, czyż interes Francji wymaga, ażeby po śmierci Karola miał wstąpić na tron książę d'Alencon lub król Nawarry?

— Co? Król Nawarry? Nigdy! Nigdy! — wyszeptwała Katarzyna z zachmurzonym czołem. Chmura ta zawsze występowała na jej czoło, ile razy była mowa o królu Nawarry.

— Na honor! — powiedział Henryk. — Sądzę, że i brat d'Alencon nie bardzo cię kocha.

— I cóż ci powiedział Łaski? — zapytała Katarzyna.

— Łaski zamyślił się, skoro zacząłem od mego wymagać, ażeby prosił o przyśpieszenie posłuchania. Ach, gdyby on mógł napisać do Polski, ażeby ten wybór cofnięto.

— Niedorzeczność, mój synu, niedorzeczność! Wola całego narodu jest uświęcona i święta.

— Lecz wreszcie, moja matko, czyżby nie można Polakom dać na moje miejsce mego brata?

— Nie; to niemożliwe, przynajmniej trudne do zrobienia — odparła Katarzyna.

— Matko, spróbuj, pomów z królem; złóż wszystko na mą miłość ku pani Kondeuszowej. Powiedz mu, że jestem nierozsądny, że straciłem rozum. Dobrze się stało, że mnie spotkał przed pałacem księcia Gwizjusza, który, jako przyjaciel, oddaje mi wiele usług.

— Tak, dla uformowania Ligi. Może ty nie widzisz, lecz ja widzę dobrze.

— Widzę doskonale, widzę, a tymczasem korzystam z niego. Czyż można więcej wymagać od człowieka, który nam służąc, służy sobie?

— O co pytał król, spotkawszy się z tobą?

— Zdaje mi się, że nie uwierzył, że miłość, przywiodła mnie do Paryża.

— I nie był ciekaw, gdzie przepędziłeś resztę nocy?

— I owszem, moja matko; lecz przedtem poszedłem na kolację do Nantouilleta, u którego okropnie dokazywałem, żeby wszyscy o tym mówili, a król nie sądził, iż byłem gdzie indziej.

— Więc król nie wie, że widziałeś się z Łaskim?

— Wcale nie wie.

— Tym lepiej. Postaram się, mój synu, pomówić z nim o tobie; lecz wiesz że na jego uparty charakter nikt nie może mieć silnego wpływu.

— Ach, matko moja, jakżebym chciał pozostać; kochałbym cię jeszcze bardziej, jeżeli to możliwe!

— Jeżeli zostaniesz, znowu cię wyślą na wojnę.

— Mniejsza o to, aby tylko nie opuszczać Francji..

— Zabiją cię.

— Matko, od ran się nie umiera... lecz z tęsknoty, ze smutku. A Karol nie pozwoli mi pozostać; on tak mnie nienawidzi...

— On ci zazdrości, mój ty zwycięzco. Dlaczegoż jesteś tak odważny i szczęśliwy? Dlaczego, mając zaledwie lat dwadzieścia, wygrywasz bitwy jak Aleksander lub Cezar? Lecz oczekując, nie zwierzaj się nikomu; udawaj, że chcesz zastosować się do woli króla i bywaj często u dworu. Jutro będzie prywatna narada, na której odczytają mowy mające być wypowiedziane na wielkim posłuchaniu; udawaj tylko króla polskiego, a o reszcie mnie pozwól mieć staranie. Ale, ale, a twoja wczorajsza wieczorna wycieczka?

— Nie udała się; uprzedzono go i wyskoczył oknem.

— Musisz się wreszcie dowiedzieć — powiedziała Katarzyna — co za zły duch zawsze mi przeszkadza w wykonaniu moich zamiarów. Lecz miejmy cierpliwość, dopiero mam na niego podejrzenie, lecz... biada mu!

— I cóż, moja matko? — zapytał książę Andegaweński.

— Pozostaw mi tę sprawę.

I Katarzyna, czule ucałowawszy Henryka, wyprowadziła go ze swego gabinetu. Wkrótce książęta odwiedzili królową-matkę.

Karol był w bardzo wesołym humorze; śmiałość jego siostry Małgorzaty bardziej go zadowalała aniżeli gniewała; zresztą nic nie miał przeciwko panu de La Mole i dlatego tylko bawiło go czekanie w korytarzu, iż zakrawało to na polowanie.

D'Alencon, przeciwnie, był bardzo zmartwiony. Niechęć, jaką odczuwał ku panu de La Mole od chwili, kiedy dowiedział się, iż siostra go kocha, zamieniła się w nienawiść.

Małgorzata była zamyślona i baczna na Wszystko. Miała też o czym myśleć i na co uważać, Posłowie polscy przysłali swe mowy, które mieli wygłosić na posłuchaniu. Małgorzata, której już nikt nie wspomniał o scenie minionego wieczoru, jak gdyby takowa wcale się nie zdarzyła, przeczytała swą odpowiedź. Karol pozwolił jej odpowiedzieć podług woli. Zmienił kilka wyrazów w mowie księcia d'Alencon, a mowę księcia Andegaweńskiego zupełnie źle przyjął; chciał ją przekreślić i poprawić:

Narada rozdrażniła umysły i co chwilą należało się spodziewać wybuchu. Henryk Andegaweński, który miał prawie całą mowę przerobić, wyszedł, ażeby się tym natychmiast zająć.

Małgorzata, nie mając wiadomości od króla Nawarry od czasu, jak tenże wrzucił do niej karteczkę przez okno, powróciła do domu w nadziei, że może go u siebie zastanie. D'Alencon spostrzegł jakieś pomieszanie na twarzy księcia Andegaweńskiego, spostrzegł, że wymienia on znaczące spojrzenia z królową-matką, i również udał się do domu, ażeby tam na osobności przeniknąć nowo knującą się intrygę. Karol zaś chciał się udać do swej kuźni, ażeby dokończyć

własną ręką dziury do polowania; lecz Katarzyna zatrzymała go. Odwrócił się tedy i badawczo spojrział na Katarzynę.

— No i cóż tam znowu? — zapytał.

— Najjaśniejszy Panie, tylko jedno słowo. Trzeba by naznaczyć dzień na wielkie publiczne posłuchanie.

— Ach, prawda — powiedział król siadając — pomówmy o tym, moja matko. Jak pani sądzisz, który dzień naznaczyć?

— Sądzę — odpowiedziała Katarzyna — że w tym głębokim milczeniu Waszej Królewskiej Mości, w tym udanym zapomnieniu mieści się jakieś wyrachowanie.

— O nie! — zawołał Karol. — Ale dlaczego tak sądzisz, moja matko?

— Dlatego — powiedziała Katarzyna cicho — że zdaje mi się, iż posłom nie wypada dać powodu do myślenia, że z taką skwapliwością chwytamy za ich koronę.

— Przeciwnie, moja matko! — zawołał Karol. — Oni pędzili z Krakowa... Cześć za cześć, grzeczność za grzeczność.

— Wasza Królewska Mość możesz mieć słuszność z jednego względu, lecz z drugiego ja się nie myślę. A więc Wasza Królewska Mość żądasz, ażeby posłuchanie przyspieszyć?

— Na honor, tak jest, matko! Alboż ty się nie zgadzasz?

— Wiesz, że wszystko, co czynię, zawsze ma na celu tylko utrzymanie sławy twego imienia; powiem ci więc, że jeśli będziesz się śpieszyć, bardzo łatwo mogą ci zarzucić, iż chcesz uniknąć kosztów koniecznych na utrzymanie twego brata, a brat twój bez wątpienia zasługuje na nie z powodu swoich zasług i męstwa.

— Kochana matko — powiedział Karol — przy wyjeździe mego brata z Francji dam mu tyle, że nikt nawet nie będzie śmiał pomyśleć o tym, o co się, pani, lękasz.

— Zdaję się na twoją łaskę, ponieważ na każde moje zapytanie masz gotową odpowiedź. Lecz zdaje, mi się, że ażeby schlebić dumie tego walecznego narodu, który stan państwa ocenia zapewne po powierzchownych oznakach siły, wypadałoby zabrać wiele wojska, a w Ile-de-France wcale go nie ma.

— Daruj, moja matko; myślałem już o tym i postarałem się o wojsko. Przywołałem dwa bataliony z Normandii, jeden z Gujenny; moja kompania strzelców przybyła wczoraj z Bretanii, lekka jazda z Turenii już jest w drodze do Paryża. Tym więc sposobem, gdy wszyscy sądzą, iż nie mam więcej do rozporządzenia niż cztery pułki, mam tymczasem dwadzieścia tysięcy ludzi..

— Ach! Ach! — powiedziała Katarzyna zadziwiona.— A więc ci brak tylko jednej rzeczy, mój synu. — Jakiej?

— Pieniędzy. Sądzę, że teraz wcale ich nie masz.

— Przeciwnie, pani, przeciwnie! — zawołał Karol. — Mam milion czterysta tysięcy talarów w Bastylii; moja własna kasa w piwnicach Luwru ma osiemset tysięcy talarów; oprócz tego, na wszelki wypadek, Nantouillet przygotował dla mnie trzysta tysięcy talarów.

Katarzyna zadrżała; dotychczas bowiem знаła Karola zapalonym i upartym, ale nigdy przezornym.

— Wasza Królewska Mość, jak widzę, myślałeś o wszystkim. A jeżeli krawcy, hafciarki i jubilerzy nie opóźnią się, będziesz mógł, Najjaśniejszy Panie, naznaczyć wielkie posłuchanie za sześć tygodni.

— Za sześć tygodni! — zawołał Karol. — Moja matko! Krawcy, hafciarki i jubilerzy pracują od dnia, w którym mi doniesiono o wybraniu na tron mego brata. Gdyby była gwałtowna potrzeba, wszystko mogłoby być na jutro; lecz za trzy lub cztery dni wszystko niezawodnie będzie gotowe.

— Synu, śpieszysz się bardziej, aniżeli sądziłam.

— Jak już mówiłem, cześć za cześć!

— Czyżby ci miała schlebiać ta cześć uczyniona domowi panującemu we Francji?

— OM bardzo.

— I widzieć księcia francuskiego na tronie polskim jest twoim jedynym życzeniem? — Tak jest.

— A więc obchodzi cię fakt, a nie osoba; i ktokolwiek by panował z twojej rodziny w Polsce...

— O nie, nie, moja matko, na szatana! Zatrzymaj się! Polacy zrobili dobry wybór. Jest to naród wojowniczy, lud cały jest wojskiem. Polacy więc obierają sobie dowódcę na króla, to bardzo logicznie! Henryk dla nich stworzony. Bohater spod Jarnac i Montcontour przyda im się. I kogoż mieli wybrać? Może księcia d'Alencon, tchórza? O! Ten by w dobrym świetle pokazał im dom Walezjusów! Zemknąłby na świst pierwszej kuli, gdy tymczasem księżę Andegaweński, zwycięzca, ten to zupełnie co innego! Zawsze z pałaszem w ręku, zawsze na czele, czy pieszo, czy konno! Bij, zabij, rąb, morduj! Ach! Henryk do tego stworzony; pod nim Polacy będą się bili od rana do wieczora, od Nowego Roku do świętego Sylwestra. Prawda, że kiepsko pije; ale za to dobry żołnierz! Kochany Henryk będzie w swojej sferze! Dalej! Dalej! W pole! Do boju! Uderzyć w bębny i kotły! Niech żyje król! Niech żyje zwycięzca! Czyż to niemąla cześć i sława dla Walezjusów? Wprawdzie może zginąć; lecz — na szatana, będzie to śmierć zaszczytna! Katarzyna zadrżała.

— Powiedz raczej — zawołała Katarzyna — że chcesz, oddać od siebie Henryka Andegaweńskiego, powiedz, że nienawidzisz swego brata.

— A więc zgadłaś! — zawołał Karol, wybuchając gwałtownym śmiechem. — Zgadłaś, że go nienawidzę. A gdyby nawet i tak było! Ja, ja miałbym kochać swego brata? Za co? Cha, cha, cha! — I czemuż się nie śmiejesz, moja matko?

I w miarę jak król mówił, blade jego policzki zakwitały gorącym rumieńcem.

— Alboż on mnie kocha? — dorzucił. — A ty, matko, kochasz mnie? Czy mnie kto kocha oprócz mych psów, Marii Touchet i mamki? Nie, nie; ja nie kocham mego brata; kocham tylko samego siebie, czy słyszysz, matko? Ja nie zabraniam memu bratu, żeby także kochał samego siebie.

— Najjaśniejszy Panie — powiedziała Katarzyna popędliwie — ponieważ wywnętrzasz się przede mną, wypada więc, ażebym i ja otworzyła ci swe serce. Postępujesz jak król słaby, otoczony złymi doradcami; wypędzasz prawie swego brata będącego podporą tronu, a tylko on, na przypadek twej śmierci, jest godny być twoim następcą; odsyłając go, powierzasz swą koronę losowi; ponieważ, jak sam mówiłeś, d'Alencon jest młody, niezdarny, słaby, więcej niż słaby, tchórz! A Bearneńczyk stoi na czatach, czy rozumiesz to?

— Ech! na śmierć wszystkich diabłów! Co mnie do tego, co się stanie po mojej śmierci! Mówisz, że Bearneńczyk stoi na czatach tuż za moim bratem? Tym lepiej! Mówiłem, że nikogo nie kocham... omyliłem się; kocham Henryka; tak, kocham go bardzo. Henryk patrzy prosto w oczy, Henryk ma gorącą rękę; a u wszystkich, co mnie otaczają, widzę oczy fałszywe i dotykam rąk zimnych jak lód. Henryk nie zdradzi mnie, przysiaglibym na to. Zresztą winienem go wynagrodzić; powiadają, że ktoś z rodziny mojej otruł mu matkę. Teraz jeszcze jestem zdrow; lecz gdybym zasnął, jego bym rozkazał przywołać, nie wypuszczę go od siebie i tylko z jego ręki będę przyjmował posiłki; jeśli zaś umrę, jego zrobię królem Francji i Nawarry. Tak, na szatana! A ręczę, że on nad moim grobem, zamiast się śmiać, jak to uczynią moi bracia, będzie płakał, a przynajmniej będzie udawał, że płacze.

Gdyby piorun uderzył pod nogi Katarzynie, nie zatrwożyłby jej bardziej niż te słowa. Królowa-matka jakby osłupiała, a po chwili milczenia, zuchwale spojrzawszy na Karola, zawołała:

— Henryk Nawarry królem Francji! Na szkodę moich synów! Ach!

Święta Madonno! Zobaczymy. A więc to dlatego chcesz oddalić ód siebie mego syna?

— Twego syna! A któż ja jestem? Czy synem wilczycy jak Romulus?! — ryknął Karol z błyszczącym wzrokiem, trzęsąc się z gniewu. — Twojego syna! Tak, masz słuszność; król Francji nie jest twoim synem; król Francji nie ma braci; król Francji nie ma matki, król Francji ma tylko poddanych. Królowi Francji powinny być zupełnie obce wszelkie uczucia; on ma wolność. Król francuski może się obejść bez miłości; ale —wymaga posłuszeństwa...

— Najjaśniejszy Panie, źle tłumaczysz moje słowa; nazwałam Henryka moim synem, bo on ma mnie opuścić. W tej chwili jego bardziej kocham aniżeli innych, bo też jego mogę prędzej stracić; czyż jest zbrodnią, że matka nie chce się rozstać ze swoim synem?

— A ja ci mówię, że opuści cię, że opuści Francję, że pojedzie do Polski najdalej za dwa dni; a jeżeli dodasz choć słówko, pojedzie jutro; a jeżeli nie przestaniesz marszczyć czoła i tak groźnie patrzeć na mnie, zaduszę go dzisiaj wieczór, tak jak chciałaś, ażeby wczoraj zadusił kochanka siostry Margot. Tylko że mój braciszek nie wymknie mi się jak La Mole.

Na tę groźbę Katarzyna spuściła głowę; lecz wkrótce ją podniosła i rzekła:

— Ach, moje biedne dziecię; twój własny brat chce cię zabić. Lecz nie obawiaj się, twoja matka cię obroni.

— Ach! Zaczynasz się ze mnie naigrawać! — zawołał Karol. — Na krew Chrystusa! On zginie nie wieczorem, lecz teraz, natychmiast. Hej! Broni! Sztyletu! Noża! Hej!...

I Karol, na próżno szukając broni w pokoju, spostrzegł mały sztylecik za pasem Katarzyny, wyrwał go jej i wybiegł z pokoju chcąc zamordować Henryka Andegaweńskiego, gdziekolwiek by go znalazł. Lecz w przedpokoju siły nagle go opuściły; wyciągnął ręce, upuścił sztylet, krzyknął przeraźliwie i potoczył się na podłogę.

Krew rzuciła mu się obficie ustami, uszami i nosem.

— Boże! — wyjąkał król. — Zamordują mnie. Do mnie! Do mnie!

Katarzyna widziała, jak Karol upadł, i nieporuszona przypatrywała mu się przez chwilę; potem pomiarkowawszy się, nie z powodu macierzyńskiej czułości, lecz dla niebezpieczeństwa, w jakim się król znajdował, otworzyła drzwi i zawołała:

— Król zasłabł! Ratunku! Ratunku!

Na ten krzyk mnóstwo służących — wojskowych i dworzan otoczyło słabego króla. Wkrótce potem przybiegła jakaś kobieta, a roztrąciwszy tłum, uniosła na swej ręce Karola, bladego jak trup.

— Mamko, chcą mnie zabić, chcą mnie zabić! — przemówił król obłany potem i zbuczony krwią.

— Ciebie, Karolu, zabić!? — krzyknęła kobieta, obrzuciwszy wszystkich tak dzikim spojrzeniem, że przed nim cofnęła się Katarzyna — a kto cię chce zabić?

Król, silnie westchnawszy, zemdlał.

— Ach! Ach! — zawołał Ambroży Pare, przybiegając zadyszany — król jest bardzo chory.

— Teraz spodziewam się, że rad nierad musi posłuchanie odłożyć — pomyślała Katarzyna, i pozostawiając króla, udała się do swego drugiego syna, który, siedząc w modlitewni, z niecierpliwością czekał końca tak ważnej dla niego rozmowy króla z matką.

ROZDZIAŁ XLI

HOROSKOP

Katarzyna, powróciwszy z modlitewni, gdzie opowiedziała swemu ukochanemu synowi o wszystkim, co zaszło, zastała w swoim pokoju mistrza René.

Królowa–matka nie widziała się z astrologiem od czasu jak mu oddała, ostatnią wizytę w jego mieszkaniu na moście Saint–Michel. René przyszedł osobiście odpowiedzieć na liścik Katarzyny, pisany poprzedniego dnia.

— No i cóż? — zapytała Katarzyna. — Widziałeś go?

— Widziałem

— Jakże się ma?

— Cokolwiek lepiej.

— A może mówić?

— Nie; szpada przebiła mu krtań.

— Mówiłam ci, żebyś w takim razie zmusił go do napisania;

— Próbowałem; on sam, natężywszy wszystkie siły, zaledwie napisał dwie litery, i to nieczytelnie; więcej nie mógł, gdyż natychmiast zemdłał; żyła otworzyła się, a upływ krwi – pozbawił go sił.

— Czy widziałeś te litery?

— Oto one.

René wyjął z kieszeni kawałek papieru i podał królowej. Katarzyna pochwyciła go.

— M i O — powiedziała królowa, — Czyżby to miał być ten La Mole, a Małgorzata dlatego tylko odegrała komedię, ażeby odwrócić od siebie podejrzenia?

— Pani! — rzekł René. — Jeżeli Wasza Królewska Mość pozwolisz wyrzec zdanie w sprawie, o której sama nie wiesz, co myśleć, powiem, że pan de La Mole jest za bardzo zakochany, iżby się mógł szczerze zajmować polityką.

— Tak sądzisz?

— Tak jest; oprócz tego, będąc zakochany w królowej Nawarry, nie może wiernie służyć królowi; prawdziwa bowiem miłość nie jest bez zazdrości.

— Więc sądzisz, że on jest naprawdę zakochany?

— Jestem tego pewny.

— Czy nie wymagał czasem od ciebie pomocy?

— I owszem.

— A czy prosił cię o jaki napój... o jaki przetwór?

— Nie; czyniliśmy doświadczenia z woskową figurą.

— Ukłutą w serce?

— Tak jest.

— A ta figurka jeszcze nie zniszczona?

— Figurka jest u pani.

— U mnie?... Byłoby to dziwne, gdyby wszystkie te kabalistyczne przygotowania miały rzeczywiście skutek, jaki im przypisują...

— Wasza Królewska Mość możesz o tym sądzić lepiej ode mnie.

— I królowa Nawarry kocha pana de La Mole?

— Kocha go do szaleństwa. Wczoraj wieczorem uratowała mu życie z narażeniem swego życia i honoru. Wasza Królewska Mość widziałaś i jeszcze wątpisz.

— O czym?

— O nauce.

— Tak; bo nauka już mnie zdradziła — powiedziała Katarzyna, bacznie spoglądając na florentczyka.

René wytrzymał to spojrzenie i zapytał:

— W jakiej okoliczności?

— Och! Wiesz bardzo dobrze, o czym mówię; zresztą zdaje mi się, że tym razem zdradziła mnie nie nauka, lecz uczoney.

— Zupełnie nie wiem, co masz na myśli, pani — odpowiedział florentczyk. — René, czy twoje pachnidła straciły zapach?

— Nie, pani, skoro są przeze mnie samego przygotowane; lecz kiedy przejdą przez ręce innych...

Katarzyna uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Ta opiata zdziałała cuda, René — powiedziała — pani de Sauve ma usta świeższe i czerwieńsze niż kiedykolwiek.

— Pani, nie memu lekarstwu zawdzięcza to pani baronowa de Sauve; kapryśna bowiem, jak każda piękna kobieta, nic mi nie mówiła o opiacie; ja zaś z mojej strony, po tym, co mi Wasza Królewska Mość mówiłaś, uznałem za dobre nie posyłać jej już więcej owej maści. Wszystkie słoiczki są jeszcze u mnie, oprócz jednego, który nie wiadomo gdzie przepadł; nie wiem, kto by mi mógł go zabrać...

— Dostyc już o tym, René — przerwała nagle Katarzyna — może jeszcze później powrócimy do tej sprawy. Tymczasem pomówmy o czym innym.

— Słucham panią.

— Co trzeba wiedzieć, ażeby można w przybliżeniu oznaczyć, jak długo człowiek będzie żył?

— Trzeba znać dzień urodzenia, wiek, znak, pod jakim przyszedł na świat...

— Cóż więcej?

— Mieć jego krew i włosy.

— A jeżeli ci przyniosę jego krew i włosy, jeżeli ci powiem dzień jego urodzenia, wiek i znak, pod jakim przyszedł na świat, czy powiesz przybliżoną datę jego śmierci?

— Powiem; różnica będzie tylko o kilka dni.

— Dobrze! Mam już jego włosy; dostanę i krwi.

— Owa osoba rodziła się w dzień czy w nocy?

— O godzinie piątej minut dwadzieścia trzy wieczorem.

— Przyjdź pani do mnie jutro o piątej wieczorem; doświadczenie powinno być odbyte dokładnie o tej godzinie, kiedy ów człowiek przyszedł na świat.

— Dobrze! — zgodziła się Katarzyna. — Przyjdziemy.

René uklonił się i wyszedł, nie zwracając uwagi na słowo: „przyjdziemy”, które dawało znać, że Katarzyna, wbrew swemu zwyczajowi, przyjdzie do niego nie sama.

Nazajutrz rano Katarzyna udała się do swego syna. O pomocy posyłała już do niego z zapytaniem o zdrowie; odpowiedziano jej, że Ambroży Pare ciągle siedzi przy nim i zamierza mu puścić krew, jeżeli nerwowe wstrząsy nie ustaną.

Król, błąd z powodu utraty krwi, we śnie drżał ciągle, śpiąc wsparty na ramieniu mamki, która całe trzy godziny nie zmieniała swego położenia z obawy, ażeby nie przerwać snu ukochanemu dziecięciu. Co kilka chwil na usta chorego występowała piana, którą mamka wycierała białą, haftowaną, batystową chustką. Na wezglowiu leżała chustka zawalana wielkimi plamami krwi.

Katarzynie na chwilę przyszło do głowy zabrać tę chustkę; lecz pomyślała, że krew pomieszana ze śliną w doświadczeniu nie wyda dokładnego wyniku; zapytała więc, czy doktor nie puszczał jej synowi krwi, jak to miał zamiar uczynić. Mamka odpowiedziała, że puszczał, i to tak obficie, iż Karol dwa razy omdlewał. Katarzyna, której nie była obcą medycyna, chciała zobaczyć krew; Pare nie kazał jej wylewać, ponieważ chciał nad nią uczynić swoje spostrzeżenia. Krew w miedniczce stała w pobliżu gabinetu. Katarzyna podeszła ją obejrzeć, a oglądając, naląła czerwonego płynu do flakonu, który jedynie w tym celu miała przy sobie; następnie wyszła, kryjąc w kieszeni dłonie z zakrwawionymi końcami palców.

W chwili kiedy Katarzyna stanęła na progu gabinetu, Karol otworzył oczy; spojrzenie matki wstrząsnęło nim. Przypominając sobie minione wypadki jakby przez sen, powiedział:

— Ach! To pani? Tak, tak. Powiedz więc, pani, swemu ukochanemu synowi, swemu Henrykowi Andegaweńskiemu, że posłuchanie będzie jutro.

— Jak ci się podoba, kochany Karolu — powiedziała Katarzyna. — Teraz uspokój się zaśnie.

Karol, jak gdyby był posłuszny jej radzie, istotnie zamknął oczy; Katarzyna zaś, po napomnieniu, jakie się zwykle daje chorym lub dziecku, poszła do swego pokoju. Lecz zaledwie zamknęła za sobą drzwi, Karol nagle zerwał się z łóżka i głosem jeszcze drżącym od gniewu zawołał:

— Kanclerzu, pieczęć państwa, dwór... zawołać mi ich!

Mamka z czułością przycisnęła głowę Karola do piersi i zaczęła go utulać jak, małe dziecko.

— Nie, nie, mamko, już nie zasną — powiedział król. — Zawołaj dworzan, dzisiaj chcę się zająć sprawami państwa.

Kiedy król mówił takim głosem, trzeba było słuchać. Nawet mamka, która cieszyła się wielu przywilejami swego królewskiego dziecka, nie śmiała mu się sprzeciwić. Dworzanie przybyli i posłuchanie naznaczono nie nazajutrz, gdyż to było niepodobieństwem, lecz za pięć dni.

Tymczasem królowa-matka i księżę Andegaweński w godzinę umówioną, to jest o piątej, udali się do mistrza René, który będąc uprzedzony o tych odwiedzinach, wszystko przygotował do czarodziejskiego doświadczenia.

W pokoju na prawo, to jest w pokoju przeznaczonym do przynoszenia ofiar, nad fajerką rozpalala się płyta stalowa; po dziwnych figurach, kreślących się na tej płycie, zgadywano los człowieka, któremu wróżono. Noc była jasna i René z łatwością mógł czynić wszystkie spostrzeżenia nad biegiem i położeniem konstelacji,

Henryk Andegaweński przyszedł pierwszy, w peruce, w masce i okryty wielkim, czarnym płaszczem. Później przyszła jego matka i gdyby nie wiedziała, że to jej syn czeka, nie poznałaby go. Katarzyna zdjęła maskę; Henryk, przeciwnie, nie zdjął swojej.

— Czyś czynił, René, obserwacje dzisiejszej nocy? — zapytała Katarzyna.

— Czyniłem, pani — odpowiedział mistrz — i gwiazdy dały mi poznać przyszłość. Ten, o którego mnie, pani, zapytujesz, jest obdarzony, jak wszyscy przychodzący na świat pod znakiem Raka, sercem ognistym i dumą bez granic. Jest możliwy, przeżył już blisko ćwierć wieku; dotychczas niebo obdarzało go chwałą i bogactwami. Czy to prawda, pani?

— Może być — odpowiedziała Katarzyna.

— Czy masz, pani, włosy i krew?

— Oto one.

I Katarzyna podała astrologowi pęk płowych włosów i małą flaszkę krwi.

René wziął flaszkę, wstrząsnął nią, ażeby się dobrze zmieszała fibryna z limfą, i puścił jedną kroplę na rozpaloną płytkę; kropla skurczyła się, wzduła i natychmiast rozbiegła się w fantastycznych deseniach.

— Och, pani — zawołał René — patrz, jak się kurczy w strasznych bólach. Czy słyszysz, jak jęczy i woła o pomoc? Czy widzisz, jak wszystko naokoło niego zamienia się w krew? Czy widzisz, jak naokoło jego śmiertelnego łoża gotuje się straszna bitwa? Uważaj, oto dzidy, oto szpady.

— Czy to długo potrwa? — zapytała Katarzyna, drżąc mimo woli i chwytając za rękę księcia Andegaweńskiego, który w swojej ciekawości nachylił się nad stalową płytą.

René zbliżył się do ołtarza i powtórzył modlitwę kabalistyczną z taką gorliwością i wewnętrznym przekonaniem, że żyły wystąpiły mu na skroniach, a ciało jego przebiegły te prorocze konwulsje i nerwowe drżenia, jakie przenikały starożytne wróżki siedzące na trójnogu.

Na koniec astrolog, powstawszy, oświadczył, że już wszystko przygotowane, i wziął w jedną rękę flaszeczkę, w której jeszcze było trzy czwarte krwi, a w drugą pukiel włosów. Następnie rozkazał Katarzynie otworzyć gdziekolwiek księgę przeznaczeń; sam zaś wylał krew na rozpaloną płytę stalową i rzucił pukiel włosów na fajerkę, wymawiając w trakcie tej czynności wyrazy tajemnicze, których znaczenia sam nie znał.

W tej chwili księżę Andegaweński i Katarzyna ujrzeli na płycie stalowej jakąś białą figurę, jakby trupa owiniętego całunem. Druga figura, zdająca się być kobietą, stała nachylona nad pierwszą. W tej chwili włosy zajęły się, raz tylko zabłysnął płomień silny i jasny w kształcie czerwonego języka i znikł w górze.

— Jeden rok! — zawołał René. — Rok jeszcze upłynie, a on umrze; i jedna tylko kobieta będzie płakać nad jego grobem. Lecz nie, nie; na krańcu płyty pokazuje się jeszcze jakaś kobieta trzymająca w objęciach dziecko.

Katarzyna spojrzała na Henryka, zapytując go wzrokiem, co by to były za dwie kobiety.

René jeszcze nie skończył mówić, a stalowa płyta zbieleła; wszystko z niej zniknęło.

Katarzyna otworzyła książkę na los szczęścia i przeczytała, głosem pomimo wielkich usiłowań znacznie zmienionym, następujące słowa:

„Tak zginął wskutek nieostrożności ten, którego się wszyscy bali”. Przez kilka chwil panowało głębokie milczenie.

— A jakąż jest przepowiednia dla tego, o którym mówiliśmy ostatnim razem? — zapytała Katarzyna. — Co mówią znaki bieżącego miesiąca?

— Zupełnie pomyślne, jak zwykle, pani. Przyszłość uśmiecha się temu człowiekowi. Jednakże...

— Jednakże co?

— Jedna z gwiazd składających jego plejadę podczas moich obserwacji była pokryta czarną chmurą. — Ach! — zawołała Katarzyna. — Czarną chmurą... Można więc jeszcze mieć nadzieję?

— O czym, pani, mówisz? — zapytał księżę Andegaweński. Katarzyna odprowadziła syna na bok i stłumionym głosem powiedziała mu coś do ucha.

Tymczasem René uklęknął i przy świetle płomienia wysączywszy na swą dłoń ostatnią kroplę krwi z flaszeczki, powiedział:

— Dziwna sprzeczność! Dowodzi ona, jak niedostateczne są świadectwa zwyczajnej nauki lub zwyczajnych ludzi! Dla każdego, oprócz mnie, dla każdego lekarza uczonego, dla samego Ambrożego Pare jest jasne, że ta krew czysta i szlachetna jest rękojmią długiego życia dla ciała tego, z którego wyciekła; a jednakże cała ta siła musi wkrótce zniknąć, to życie jeszcze przed upływem roku musi zgasnąć.

Katarzyna i Henryk patrzyli na siebie i słuchali. Oczy księcia tryskały ogniem spod maski.

— Tak jest — mówił dalej René — uczeni tylko terazniejszość znają; do nas należy przyszłość i przeszłość.

— A więc — przerwała mu Katarzyna — nie przestajesz sądzić, że umrze jeszcze przed rokiem?

— Jestem o tym przekonany, jak nie wątpię o tym, że wszyscy troje żyjemy i wszyscy troje umrzemy.

— Lecz powiedziałeś, że ta czysta krew obiecuje długie życie?

— Tak; gdyby wszystko szło zwykłym porządkiem. Lecz może być, że jakiś wypadek...

— Czy słyszysz? — powiedziała Katarzyna do Henryka. — Jakiś wypadek... — Tym bardziej więc powinienem pozostać.

— O tym nie myśl więcej; to niepodobieństwo.

Henryk, obróciwszy się do mistrza René, powiedział zmienionym głosem:

— Dziękuję ci, dziękuję; przyjmij ten worek.

— Chodźmy, hrabio — powiedziała Katarzyna do syna, dając mu ten tytuł, aby zmylić domysły parweniusza.

Wyszli.

— Widzisz, matko — powiedział Henryk — jakiś wypadek!... a jeżeli zajdzie jaki wypadek, a ja będę stąd o czterysta mil...

— Czterysta mil, mój synu, można przebyć w osiem dni.

— Tak; lecz czy Polacy pozwolą mi powrócić! Ach! matko, gdybym mógł zaczekać...

— Któż może wiedzieć! — powiedziała Katarzyna. — Wypadek, o którym wspomniał René, może być ten sam właśnie, skutek którego wczoraj wieczór Karol zasłabł. Idź swoją drogą, moje dziecię; ja muszę się udać do małych drzwiczek klasztoru Augustynów; tam bowiem czeka na mnie moja świta. Idź, Henryku; idź i pamiętaj nie drażnić brata, jeżeli go zobaczysz.

ROZDZIAŁ XLII

ZWIERZENIA

Pierwszą nowiną, jaką książę Andegaweński usłyszał powróciwszy do Luwru, było naznaczenie za dni pięć wielkiego przyjęcia posłów. Krawcy i jubilerzy czekali na księcia ze wspianiałymi sukniami i kosztownościami, które król rozkazał dla niego przygotować.

Podczas kiedy Henryk Andegaweński ze złością wyciskającą łzy z oczu przymierzał suknie, Henryk Nawarski napawał się pięknnością łańcucha ze szmaragdami, szpadą ze złotą rękojeścią i kosztownym pierścieniem, które Karol tego rana przysłał mu w podarunku.

Książę d'Alencon odebrał jakiś list i zamknął się w swoich pokojach, ażeby mógł go spokojnie przeczytać.

Coconnas po wszystkich kątach Luwru szukał swego przyjaciela. Naturalnie wcale się nie zadziwił, dowiedziawszy się, że La Mole nie nocował w domu; lecz nad ranem dręczył go jakiś niepokój. Poszedł szukać przyjaciela; najprzód udał się do oberży

„Pod Piękną Gwiazdą”, spod „Pięknej Gwiazdy” pobiegł na ulicę Cloche–Percée, z ulicy Cloche–Percée na ulicę Tizon, z ulicy Tizon na most Świętego Michała; nareszcie z mostu Świętego Michała powrócił do Luwru.

Coconnas zapytywał wszystkich przechodniów w sposób tak oryginalny — żeby nie powiedzieć: tak gwałtownie, co bardzo łatwo pojąć, znając jego ekscentryczny charakter — że z trzema dworskimi panami przyszło do wyjaśnień, które zwyczajem ówczesnej epoki zakończyły się szpadami. Coconnas w tych zajściach postąpił sumiennie, to jest zabił pierwszego i ranił dwóch drugich, mówiąc:

— Biedny La Mole! Oh tak dobrze umiał po łacinie.

Te słowa do tego stopnia sprzykrzyły się jego przeciwnikom, że ostatni z nich, baron de Boissey, padając, zawołał:

— Ach! Coconnas, na miłość boską, nie bądźże tak nudny; powiedz przynajmniej, że umiał po grecku!

Na koniec rozniosła się wieść o zdarzeniu w korytarzu. Coconnas pogrążył się w smutku; myślał, że królowa i księżęta zmówili się, ażeby zamordować jego przyjaciela, że rzucili go w jaką kryjówkę lub zagrzebali w jakiejś jamie. Wkrótce dowiedział się, że i d'Alencon był uczestnikiem nocnej wyprawy; a zapominając, że d'Alencon jest księciem krwi, udał się do niego żądać wyjaśnień jak od prostego szlachcica. W pierwszej chwili d'Alencon miał wielką ochotę wyrzucić za drzwi zuchwalca, który śmiał od niego żądać rachunku z jego osobistych postępów; lecz Coconnas mówił krótko, jego oczy rzucały błyskawice tak gniewnie, a ponadto historia o trzech pojedynkach odbytych w ciągu dwudziestu godzin postawiła go tak wysoko, że książę namyślił się, a stłumiwszy swój gniew, odpowiedział mu z uśmiechem:

— Kochany panie Coconnas! Prawda, że król rozgniewany za to, iż uderzono go srebrnym dzbanuszkim, książę Andegaweński, iż został obłany kompotem z pomarańcz, a książę Gwizjusz za to, że dostał w głowę ćwiartką dzika, umówili się zabić pana de La Mole. Lecz jakiś przyjaciel pańskiego przyjaciela odwrócił ten cios od niego. Wyprawa się nie udała; daję panu na to moje książęce słowo.

— Ach! — zawołał Coconnas, westchnąwszy głęboko. — Do kroćset! Mój panie, to pięknie! Chciałbym się dowiedzieć, kto był tym przyjacielem; muszę mu podziękować.

D'Alencon nic nie odpowiedział, lecz uśmiechnął się bardzo uprzejmie. Coconnas wystawił sobie, że owym przyjacielem był nie kto inny, tylko sam książę.

— Mości książę! — powiedział Coconnas. — Byłeś łaskaw opowiedzieć mi tę historię; racz jeszcze opowiedzieć mi jej koniec.

Mówisz, że chcieli go zabić, lecz nie zabili? Gdzież tedy jest? Jestem odważny. Mów pan więc; jestem przygotowany na złe wiadomości. Zapewne go wsadzono do jakiej jamy? Tym lepiej; na przyszłość będzie ostrożniejszy. Nigdy nie chciał słuchać mych zbawiennych rad. Zresztą, do kroćset! przecież go tam wieki trzymać nie będą.

D'Alencon pokręcił głową.

— Jeszcze gorzej, mój mężny Coconnas — powiedział książę — ponieważ po tej awanturze twój przyjaciel zniknął i nie wiadomo, gdzie się podziewa.

— Kroćset diabłów! — zawołał Coconnas, znowu blednąc. — Choćby był w piekle, muszę go znaleźć.

— Posłuchaj — powiedział książę, który również chciał się dowiedzieć o miejscu pobytu La Mole'a — dam ci przyjacielską radę.

— Klów, książę, mów! — zawołał Coconnas.

— Idź do królowej Małgorzaty: ona musi wiedzieć, co się stało z przyjacielem oplakiwanym przez ciebie.

— Przyznam się Waszej Królewskiej Mości, że już o tym myślałem; lecz nie wiem, dlaczego nie śmiem tam pójść; obawiam się, ażebym Jej Królewskiej Mości nie zastał w łzach. Lecz skoro Wasza Książęca Mość upewnia mnie, że La Mole żyje i że Jej Królewska Mość wie, gdzie się on znajduje, udam się do królowej Nawarry.

— Idź, mój przyjacielu, idź — powiedział książę Franciszek — jeżeli się dowiesz coś nowego, donieś mi także o tym; jestem bowiem o niego równie niespokojny jak i ty. Tylko, mój Coconnas, nie zapomnij...

— O czym?

— Nie mów, że przychodzisz ode mnie; bo gdybyś był na tyle nieroztropny, nie dowiedziałbyś się niczego.

— Skoro Wasza Książęca Mość rozkazuje mi nic nie mówić, będę więc milczał jak ryba lub jak królowa-matka. — Dobry książę! wspaniałomyślny książę! — mówił sam do siebie Coconnas, idąc do królowej Małgorzaty.

Małgorzata czekała na Piemontczyka, gdyż już doszły do jej uszu wieści o jego rozpacz; przebaczyła mu nawet jego cokolwiek niegrzeczne obchodzenie się z księżną de Nevers, z którą już od trzech dni nie zamienił słowa. Pana de Coconnas wpuszczono więc natychmiast do królowej.

Coconnas wszedł cokolwiek zmieszany. Wypada tu dodać, że obawę tę rodziła w nim wyższość umysłu Małgorzaty, nie zaś jej dostojeństwo; lecz królowa zbliżyła się ku niemu z uśmiechem, który natychmiast powrócił mu zupełną odwagę.

— Pani — powiedział — błagam cię, powróć mi mego przyjaciela, a przynajmniej powiedz mi, co się z nim stało. Nie mogę żyć bez niego. Wystaw sobie Eurialesa bez Nizusa, Damona bez Pitiasza lub Orestesa bez Piladesa; zlituj się nade mną i uczyn to w imię jednego z tych bohaterów, których wymieniłem, a z których, przysięgam ci, pani, żaden nie miał czulszego ode mnie serca.

Małgorzata uśmiechnęła się, a otrzymawszy od Coconnasa słowo honoru, że zachowa tajemnicę, opowiedziała mu, jakim sposobem La Mole uciekł przez okno. Lecz co się tyczy miejsca jego schronienia, chociaż Piemontczyk naglił ją, ażeby mu je odkryła, Małgorzata zachowała zupełne milczenie.

Coconnas tylko w połowie był zadowolony; puścił się więc nawet w jakieś dyplomatyczne wykrety bardzo wysokiego polotu. Lecz z mowy jego Małgorzata poznała, że księżę d'Alencon, podobnie jak i Coconnas, chce się dowiedzieć o miejscu pobytu La Mole'a.

— Jeżeli pan chcesz się dowiedzieć czegoś pewnego o swoim przyjacielu, udaj się pan do króla Nawarry; tylko on bowiem ma prawo wszystko panu wyjawić. Ja zaś mogę powiedzieć tylko tyle, że młodzieniec, którego pan szukasz, żyje. Daję panu na to moje słowo.

— Pani, mam na to silniejszy dowód: twoje piękne oczy nie płakały. Po tych słowach, sądząc, że już nic nie wypada dodać do ostatniego zdania mającego podwójną wartość, gdyż wyraziło jego myśl i wysokie rozumienie, jakie miał o swoim przyjacielu — Coconnas wyszedł, myśląc, jakim by sposobem przeprosić się z księżną de Nevers; wszelako nie ze względu na nią samą, lecz aby się dowiedzieć od niej tego, czego nie powiedziała mu Małgorzata.

Wielka rozpacz jest anormalnym stanem ducha, a jarzmo rozpaczcy umysł zrzuca z siebie przy pierwszej sposobności. Myśl rozstania się z Małgorzatą ścisnęła z początku serce La Mole'a, i raczej dla zachowania dobrej sławy ukochanej aniżeli dla zachowania własnego życia zgodził się uciec. Toteż nazajutrz wieczorem La Mole powrócił do Paryża, ażeby ujrzeć Małgorzatę chociażby na balkonie.

Małgorzata w samej rzeczy, jak gdyby jakiś tajemny głos zawiadomił ją o przybyciu kochanka, cały wieczór spędziła siedząc w oknie. Jest rzeczą, oczywistą, że oboje zobaczyli się z radością, której przeszkody dodawały jeszcze więcej uroków. Nawet niebezpieczeństwo miało więcej powabu dla melancholijnej i romantycznej duszy La Mole'a. Ponieważ prawdziwie zakochany jest szczęśliwy tylko wtedy, gdy swój przedmiot miłości widzi lub posiada, w pozostałych zaś chwilach cierpi — dlatego też La Mole z zapałem zajął się wszystkim, co by mu pomogło odzyskać Małgorzatę, ażeby zaś to osiągnąć, trzeba było przyspieszyć ucieczkę Henryka Nawarskiego.

Królowa Nawarry ze swej strony zupełnie oddała się szczęściu płynącemu ze szczerej miłości. Czasami gniewała się na siebie za tę słabość; jej dusza pogardała zwyczajną, cichą miłością. Niewrażliwa na drobnostki które dla najczulszych serc stanowią rozkosz i szczęście godne zazdrości — uważała jednak dzień za szczęśliwy, a przynajmniej szczęśliwie zakończony, jeżeli wyszedłszy o dziewiątej wieczorem na balkon, spostrzegła w zmroku, ha bulwarze, mężczyznę z ręką przyciśniętą do serca lub do ust.

Czasami z maleńkiej rączki spadała do nóg jego jakaś drobnostka zawinięta w bilecik; drobnostka droga dla niego nie przez jej wartość, lecz dlatego, że należała do królowej. La Mole jak jastrząb rzucał się na swą zdobycz, przyciskał ją do serca, a Małgorzata nie opuszczała balkonu, dopóki nie usłyszała ginącego tętentu jego konia, pędzącego galopem, skoro przybywał, a oddalającego się leniwym krokiem,

Oto dlaczego Małgorzata była niespokojna o los kochanka, któremu jednak, obawiając się szpiegów, nie pozwoliła widzieć się ze sobą inaczej. Schadzki te wieczorne trwały codziennie od dnia ucieczki La Mole'a. Tymczasem dzień naznaczony dla przyjęcia posłów polskich zbliżał się.

Wieczorem w wigilię dnia, w którym miało być posłuchanie, Małgorzata wyszła na balkon. Była dziewiąta. Wszyscy byli zajęci przygotowaniami na dzień następny. Zaledwie Małgorzata stanęła na ganku, La Mole, nie czekając na jej bilecik, rzucił jakiś zwitek, który upadł na ganek. Królowa domyśliła się, że w kartce musi być coś ważnego; weszła więc do pokoju, ażeby ją przeczytać.

Na pierwszej stronie było napisane:

Pani, muszę pomówić z królem Nawarry. Sprawa nie cierpi najmniejszej zwłoki. Czekam.

Na drugiej stronie, którą można było oderwać od pierwszej, te były wyrazy:

*Pani ma i królowo, uczyni, ażebym mógł uściskać twą rączkę, którą teraz ściskam w myśli.
Czekam.*

Małgorzata nie skończyła jeszcze czytać tych ostatnich wierszy, kiedy usłyszała głos Henryka Nawarskiego, który ze zwykłą sobie grzecnością stukał do drzwi i zapytywał Gillonny, czy można wejść.

Królowa szybko rozdarła bilecik na dwoje, jedną połowę schowała za gorset, drugą do kieszeni, zamknęła okno, a zbliżając się do drzwi, zawołała:

— Wejdz, Najjaśniejszy Panie!

Jakkolwiek królowa zρέcznie i po cichu zamknęła okno, jednakże łoskot stąd powstały doszedł do uszu jej męża. Zmysły Henryka, ciągle napięte pośród towarzystwa, któremu wcale nie dowierzał, wydoskonalily się, osiagajac czujność, którą mógłby się poszczycić dziki człowiek. Lecz król Nawarry nie należał do liczby okrutników nie pozwalających swym żonom oddychać świeżym powietrzem i napawać się widokiem gwiazd.

Henryk był greczny i uśmiechnięty jak zwykle.

— Pani! — powiedział. — Podczas gdy wszyscy przymierzają swoje wspaniałe suknie, ja przychodzę pomówić z tobą o interesach, które jak się spodziewam, pani uważasz za wspólne.

— Bez wątpienia, panie — odpowiedziała Małgorzata — czyż nasze interesy nie są zawsze jednakie?

— Tak jest; dlatego też chciałem się zapytać, co też, pani, sądzisz o tym, że d'Alencon już trzeci dzień mnie unika do tego stopnia, że nawet przedwczoraj udał się do Saint-Germain. Czy czasem nie zamyśla uciec sam, skoro go nie bardzo strzegą? Pani zdanie w tej mierze będzie miało bardzo wielki wpływ na moje domysły.

— Wasza Królewska Mość ma słusność obawiając się milczenia mego brata. Myślałam o tym cały dzień i zdaje mi się, że d'Alencon zmienił się dlatego, że się zmieniły okoliczności.

— To jest, ponieważ król Karol leży słaby, a księżę Andegaweński jedzie do Polski, przeto d'Alencon wcale nie jest od tego, żeby pozostać w Paryżu i strzec korony francuskiej?

— Zdaje się, że tak.

— Niech i tak będzie. Nie potrzebuję wiedzieć nic więcej — powiedział Henryk — tylko jeżeli on pozostanie, musimy zmienić nasz plan. Uciekając sam, muszę się zabezpieczyć potrójnie; gdybym bowiem uciekł z bratem pani, to jego imię i obecność byłyby dla mnie obroną. Dziwi mnie tylko, że nie ma żadnych wiadomości od pana de Mouya. Wszak nie jest jego zwyczajem siedzieć z założonymi rękoma. Czy nie masz pani o nim żadnej wiadomości?

— Ja, Najjaśniejszy Panie? — zapytała Małgorzata zdziwiona. — Jakim sposobem?

— Ech! Na Boga, moje serce, nie ma nic naturalniejszego: pani, zrobiłaś mi wielką przysługę, ocalając życie La Mole'owi... Ten młodzieniec musiał się udać do Mantes... skąd przecież można było powrócić...

— Ach, dopiero teraz pojmuję zagadkę, którą na próżno starałam się rozwiązać. Wychodząc, pozostawiłam okno otwarte, a powróciwszy do pokoju, znalazłam na dywanie jakąś karteczkę.

— A widzisz, pani! — powiedział Henryk.

— Jakąś karteczkę, której wcale nie zrozumiałam i na którą nie zwróciłam uwagi. Być może, że to jest list od pana de Mouya.

— To bardzo możliwe — powiedział Henryk. — Czy nie mógłbym zobaczyć tej karteczki?

— Oto ona, Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała Małgorzata, podając królowi kartkę wyjętą z kieszonki.

Król spojrział na karteczkę.

— Czy to czasem nie pismo pana de La Mole'a? — zapytał.

— Nie wiem — odpowiedziała Małgorzata — zdaje się, że ktoś podrobił jego charakter.

— Wszystko jedno, czytajmy — powiedział król. I czytał:

Pani, muszę pomówić z królem Nawarry. Sprawę nie cierpi najmniejszej zwłoki. Czekam.

— Ach! Ach! — zawołał król. — Widzisz pani: on pisze, że czeka!

— Zdaje się, że czeka; lecz czegoż Wasza Królewska Mość żądasz? — zapytała Małgorzata.

— Ech! Do stu piorunów! Chcę, żeby tutaj przyszedł!

— Żeby tutaj przyszedł! — zawołała Małgorzata, z zadziwieniem spojrzawszy na Henryka. —

Jak mogłeś coś podobnego wyrzec, Najjaśniejszy Panie! Człowiek, którego król chciał zabić... którego wszyscy znają. Żeby tutaj przyszedł, powiadasz! Lecz czyż to jest podobieństwem? Czyliż drzwi są zrobione w Luwrze dla tych...

— Którzy są zmuszeni uciekać oknem, chcesz pani powiedzieć?

— Tak jest; Wasza Królewska Mość dopełniłeś mej myśli.

— Bardzo dobrze. Lecz jeżeli ci są już dobrze obeznani z drogą przez okno, niech więc przyjdą do mnie przez okno, skoro drzwiami w żaden sposób przyjść nie mogą. To bardzo proste.

— Tak pan sądzisz? — powiedziała Małgorzata, rumieniąc się z ukontentowania na myśl o schadzce z kochankiem.

— Tak.

— Lecz jakim sposobem mógłby się tutaj dostać? — zapytała królowa.

— Czyżbyś, pani, nie schowała sznurowej drabinki, którą ci przysłałem? Byłoby to zupełnie niezgodne z twą zwykłą ostrożnością, pani.

— Mam drabinę, Najjaśniejszy Panie! — zawołała Małgorzata.

— Wybornie — powiedział Henryk.

— Cóż Wasza Królewska Mość rozkażesz teraz zrobić?

— Nic naturalniejszego — powiedział Henryk — przywiąż ją, pani, do balkonu i spuść. Jeżeli de Mouy czeka, jak się spodziewam, wlezie po niej niezawodnie.

Nie tracąc zimnej krwi, Henryk wziął świecę i poszedł pomóc żonie w szukaniu drabinki. Niedługo trwały poszukiwania. Drabinka była zamknięta w szafie, w sławnym gabinecie.

— Otóż i ona! — zawołał Henryk. — Teraz, pani, śmiem cię prosić, ażebyś ją raczyła przywiązać do kraty balkonu.

— Dlaczego ja mam przywiązać, a nie ty, Najjaśniejszy Panie? — zapytała królowa.

— Ponieważ dobrzy spiskowcy są bardzo ostrożni. Widok mężczyzny może przstraszyć naszego przyjaciela, pojmujesz to, pani...

Małgorzata uśmiechnęła się i przywiązała drabinę.

— Pokaż się, pani, lepiej wyjdź, pani, na ganek — mówił Henryk, chowając się w pokoju — teraz pokaż, pani, drabinę.

Na piekło! Jestem pewny, że de Mouy wejdzie.

W samej rzeczy, w dziesięć minut później człowiek drżący z radości stanął na klombie, a widząc że królowa nie idzie naprzeciw niego, zatrzymał się kilka chwil na miejscu. Lecz zamiast Małgorzaty zbliżył się doń Henryk.

— A, to nie de Mouy, lecz pan de La Mole — powiedział król. — Dobry wieczór, panie de La Mole; wejdź pan, proszę.

La Mole stanął jak wryty. Gdyby nie stał już na balkonie, lecz na drabince, bez wątpienia zleciałby na głowę.

— Chciałeś pan pomówić z królem Nawarry o sprawach nie cierpiących zwłoki — powiedziała Małgorzata. — Zawiadomiłam o tym króla i otóż masz go pan przed sobą.

Henryk poszedł zamknąć okno.

— Kocham cię — szepnęła Małgorzata, ściskając rękę młodego człowieka.

— I cóż mi pan powiesz? — rzekł Henryk, podając krzesło panu de La Mole.

— Zostawiłem pana de Mouya przed rogatkami, Chciałby on wiedzieć, czy Maurevel już przemówił i czy wiadomo, iż to on, a nie kto inny był w pokoju Waszej Królewskiej Mości.

— Kto był u mnie, jeszcze nie wiedzą, lecz wkrótce się to odkryje; musimy się pośpieszyć.

— I on toż samo myśli, Najjaśniejszy Panie, a jeżeli księżę d'Alencon jest gotów uciekać jutro wieczorem, to de Mouy będzie na panów czekać ze stu pięćdziesięciu ludźmi u bramy Saint-Marcel; pięciuset ludzi czeka na Waszą Królewską Mość w Fontainebleau, skąd pośpieszysz, Najjaśniejszy Panie, przez Blois, Angouleme i Bordeaux.

— Pani — powiedział Henryk, zwracając się do żony — będę gotów na jutro wieczór; czy i ty, pani, będziesz gotowa?

La Mole z niepokojem utkwiał oczy w ukochanej.

— Masz pan moje słowo — odparła królowa — iż gdziekolwiek, się udasz, pójdę za tobą; lecz wiesz, że d'Alencon musi jechać z nami. Na niego nie bardzo się można spuszczać; usłuży nam lub nas, zdradzi. Jeżeli się będzie wahać, pozostaniemy w Paryżu.

— Czy wie on cokolwiek o tym planie, panie de La Mole? — zapytał Henryk.

— W tych dniach powinien był odebrać list od pana de Mouya.

— A nie mówił mi nic o tym — powiedział Henryk.

— Nie dowierzaj mu, panie — wtrąciła Małgorzata — nie dowierzaj mu.

— Bądź spokojna, jestem ostrożny. Jakim by sposobem można dać odpowiedź panu de Mouy?

— O to się Wasza Królewska Mość nie troszcz. Jutro przed przyjęciem posłów, widzialny lub niewidzialny, po prawej lub lewej stronie Waszej Królewskiej Mości, będzie się on znajdować w sali; dodaj więc, Najjaśniejszy Panie, do swej mowy jakie słówko, z którego mógłby on wnieść, czy Wasza Królewska Mość jest gotów, czy nie do ucieczki i czy ma na ciebie czekać. Jeżeli księżę d'Alencon odmówi, będzie tylko potrzebować dwóch tygodni do załatwienia wszystkiego w twoim imieniu, Najjaśniejszy Panie.

— W samej rzeczy — powiedział Henryk — ten de Mouy to nieoceniony człowiek! Czy Wasza Królewska Mość możesz wstawić taki wyraz do mojej mowy?

— Nic łatwiejszego — odpowiedziała Małgorzata.

— Jutro udam się do księcia d'Alencon — powiedział Henryk — niech tylko de Mouy będzie na swoim stanowisku.

— Będzie, Najjaśniejszy Panie.

— A więc, panie de La Mole — powiedział Henryk — odnieś mu pan moją odpowiedź. Zapewne niedaleko stąd masz pan konia i giermka.

— Orthon czeka na mnie na bulwarze.

— Śpiesz się więc, panie hrabio. Tylko nie przez okno. To dobre tylko w ostateczności. Zresztą mogą pana spostrzec, a przecież nie wszyscy wiedzą, że pan dla mnie odprawiałeś tę niebezpieczną przeprawę; mogłoby to zaszkodzić dobrej sławie królowej.

— Lecz którądyż mam wyjść, Najjaśniejszy Panie?

— Nie możesz pan sam wyjść z Luwru, lecz ze mną to co innego. Obydwaj mamy płaszcze. Znam hasło. Owiniemy się w płaszcze i z łatwością wyjdziemy. Zresztą mam kilka poleceń dla Orthona. Zaczekaj pan tutaj; zobacz, czy czasem kogo nie ma na korytarzu.

Henryk poszedł przejrzeć drogę.

La Mole pozostał sam na sam z królową.

— Ach! Kiedyż panią znów ujrzę? — powiedział La Mole.

— Jutro wieczorem, jeżeli uciekniemy; któregokolwiek zaś wieczoru w domku na ulicy Cloche–Percée, jeżeli pozostaniemy.

— Panie de La Mole — rzekł Henryk wchodząc — możemy wyjść, nie ma nikogo.

La Mole grzecznie uklonił się królowej.

— Daj mu, pani, rękę do pocałowania — rzekł Henryk — pan de La Mole nie jest zwykłym przyjacielem.

Małgorzata usłuchała.

— Ale, ale — dodał Henryk — nie zapomnij, pani, dobrze schować drabinki; jest to doskonałe narzędzie dla spiskowców; drabinka może się nam przydać właśnie w chwili, w której zdaje się być zupełnie nieużyteczna. Pójdźmy, panie de La Mole, pójdźmy.

ROZDZIAŁ XLIII

POSŁOWIE POLSCY

Nazajutrz wszyscy mieszkańcy Paryża zgromadzili się na przedmieściu Saint–Antoine, przez które posłowie polscy mieli odbyć wjazd do Paryża. Linie Szwajcarów utrzymywały tłumy, a oddziały jazdy oczyszczały drogę magnatom i damom dworu, jadącym na spotkanie orszaku.

Wkrótce na wysokości opactwa Saint–Antoine pokazało się czoło kolumny jeźdźców w czerwonych i żółtych sukniach, w czapkach i burkach futrzanych i uzbrojonych w szerokie, z turecka zakrzywione szable.

Na skrzydłach linii szli oficerowie.

Za tym pierwszym oddziałem postępował drugi, ubrany ze wschodnią wspaniałością. Poprzedzał on czterech posłów, wspaniale reprezentujących jedno z najbardziej słynnych z waleczności państw XVI wieku.

Jednym z tych posłów był biskup krakowski. Ubrany był na pół po duchownemu, na pół po, rycersku. Kostium jego błyszczał od złota i drogich kamieni. Jego biały koń z wielką, rozrzuconą grzywą, zdawało się, parskał ogniem; nikt by nie przypuścił, że szlachetne to zwierzę przez trzydzieści dni robiło dziennie po piętnaście, mil po drogach prawie nie do przebycia. Obok biskupa jechał wojewoda Łaski, magnat potężny, blisko tronu, bogaty i dumny jak król.

Za dwoma głównymi posłami i towarzyszącymi im dwoma znakomitymi magnatami jechało bardzo wiele polskiej szlachty. Jedwabne okrycia ich koni, naszyte złotem i usiane drogimi kamieniami, wzbudzały powszechne zadziwienie w widzach. W samej rzeczy, cudzoziemcy ci, których Francuzi pogardliwie zwali barbarzyńcami, zaćmiewali ich pod każdym względem.

Katarzyna do ostatniej chwili miała nadzieję, że posłuchanie będzie odłożone i że upór króla zniweczy jego choroba. Lecz kiedy dzień przyjęcia nadszedł, kiedy zobaczyła, że król, blady jak śmierć, zarzucił na siebie wspaniały królewski płaszcz, królowa–matka pojęła, iż — chociaż powierzchownie — wypada poddać się jego silnej woli, i zaczęła wierzyć, że Henrykowi Andegaweńskiemu nic nie pozostaje, jak tylko zgodzić się, na swoje wygnanie.

Karol, oprócz kilku słów wymienionych do Katarzyny wtedy, gdy ją spostrzegł u siebie w gabinecie, ani słowa nie wspomniał o niej od czasu fatalnej sceny, która go rzuciła na łóżko. Wszyscy w Luwrze wiedzieli o rozmowie, jaka pomiędzy nimi miała miejsce; lecz nikt nie znał treści tej rozmowy; wszyscy drżeli tylko przed tym zimnym milczeniem, jak ptaki drżą przed głuchą ciszą zapowiadającą straszną burzę.

Zresztą wszystko (i wszyscy) w Luwrze przygotowywało się do posłuchania nie jak na uroczystość, lecz niby na straszny obrządek. Każdy, nic nie mówiąc, był posłuszny. Wszyscy wiedzieli, że Katarzyna bliska jest drżenia, i wszyscy drżeli.

Wielka sala posłuchań była przygotowana; a ponieważ podobne posiedzenia odbywały się publicznie, przeto warty otrzymały rozkaz, aby wpuszczać do sali tyle ludzi, ile się tylko zmieści.

W tej chwili Paryż przedstawiał widok, jaki zwykle wielkie miasta w podobnych okolicznościach przedstawiają. Tłumy pospólstwa z ciekawością snuły się po ulicach. Lecz baczny widz spostrzegłby pomiędzy pocziwymi mieszkańcami, stojącymi z rozwartymi ustami, kilkunastu ludzi owiniętych szerokimi płaszczami, rozmawiających z cicha pomiędzy sobą i machających rękoma. Ludzie ci zdawali się być bardzo zajęci orszakiem posłów, postępowali za nimi w niejkiej odległości i jakby odbierali rozkazy od szacownego starca, którego żywe, czarne oczy, pomimo siwawej brody, błyszczały ogniem młodości. W samej rzeczy, starzec ten, czy sam, czy też przy pomocy swoich towarzyszy, jeden z pierwszych wjechał do Luwru; a dzięki

grzeczności dowódcy Szwajcarów, poczciwego hugenota i kiepskiego katolika, mimo że się wyrzekł protestantyzmu — stanął naprzeciwko Henryka Nawarskiego i Małgorzaty.

Henryk, uprzedzony, że de Mouy, przebrany, będzie się znajdować na sali, oglądał się na wszystkie strony. Na koniec jego spojrzenie zawisło na twarzy starca i już dłużej nie szukało; gest, jaki zrobił de Mouy, przekonał go w zupełności, iż się nie myli. De Mouy był tak doskonale przebrany, że samemu Henrykowi nie mogło się pomieścić w głowie, ażeby ten starzec był nieustraszonym dowódcą hugenotów, który bronił się tak dzielnie przed kilku dniami.

Henryk szepnął słówko do ucha Małgorzaty, a królowa natychmiast utkwiała wzrok w panu de Mouy. Następnie jej piękne oczy zaczęły błądzić po sali: szukała swego kochanka; lecz na próżno, La Mole'a nie było.

Posłuchanie zaczęło się. Pierwsza mowa była skierowana do króla. W mowie tej Łaski prosił króla w imieniu swego narodu, ażeby pozwolił przyjąć księciu francuskiemu koronę polską.

Karol dał swoje pozwolenie w mowie krótkiej i jasnej, w której przedstawił swego brata Henryka Andegaweńskiego, wspominając o jego męstwie. Król mówił po francusku; tłumacz przekładał jego mowę po skończeniu każdego zdania. Podczas gdy mówił tłumacz, Karol podnosił do ust chustkę, na której za każdym razem przybywała krwawa plama.

Skoro Karol skończył swą mowę, Łaski zwrócił się do księcia Andegaweńskiego i przemówił doń po łacinie, ofiarowując mu w imieniu zgromadzenia narodowego Polaków koronę polską.

Książę odpowiedział również po łacinie, głosem niezupełnie pewnym, iż przyjmuje cześć, jaką Polakom podobało mu się uczynić. Podczas tej mowy Karol stał nieruchomy, z zaciśniętymi ustami i wlepionymi w brata oczyma, ciągle mu grożąc wzrokiem. Skoro mowa księcia dobiegała końca, Łaski wziął koronę Jagiellonów leżącą na amarantowej aksamitnej poduszce i podczas kiedy dwaj magnaci polscy przywdziewali księciu królewski płaszcz, wojewoda podał koronę Karolowi. Karol dał znak bratu. Książę Andegaweński zgiał przed nim kolano, a Karol własnymi rękoma włożył mu na głowę koronę. Potem bracia królowie pocałowali się. Historia nie zna obłudniejszego pocałunku.

Wtedy herold zawołał:

— Aleksander Edward Henryk francuski, książę Andegaweński, ukoronowany królem polskim. Niech żyje król Polski!

Wszyscy zgromadzeni jednogłośnie zawołali:

— Niech żyje król Polski!

Łaski zwrócił się wtedy do Małgorzaty.

Mowa pięknej królowej była zachowana na sam koniec. Ponieważ tylko z grzeczności pozwolono jej mieć mowę, ażeby mogła się popisać swoją uczonością, wszyscy więc bacznie nadstawiali ucha na odpowiedź, która miała być wyrzeczona po łacinie. Wiemy, że Małgorzata sama ją pisała.

Mowa Łaskiego była mową w pełni pochwalną. Pomimo iż był Sarmatą, jednakże został olśniony pięknnością królowej Nawarry; językiem Owidiusza, lecz stylem Ronsarda powiedział jej, że wyjechawszy z Krakowa wśród nocnych cieni, on i jego towarzysze nie wiedzieliby, jakim sposobem mają znaleźć drogę, gdyby im, podobnie jak w starożytności mędrcom na wschodzie, nie świeciły dwie gwiazdy. Gwiazdy te, w miarę ich przybliżania się do Paryża, stawały się coraz jaśniejsze, i teraz dopiero widzi, że tymi gwiazdami nie było nic innego, jak tylko prześliczne oczy królowej Nawarry. Na koniec, przechodząc od Ewangelii do Koranu, od Syrii do skalistej Arabii, od Nazaretu do Mekki, zakończył swą mowę słowami, że jest gotów uczynić toż samo, co czynią wyznawcy proroka, który dostąpiwszy szczęścia oglądania jego grobu, wylupiają sobie oczy, sądząc, że już oczy nie mają się czemu dziwić na tym świecie.

Umiejący po łacinie okryli mowę Łaskiego grzotem oklasków; nic nie rozumiejący również klaskali, bo nie chcieli się zdradzać ze swoim nieuctwem.

Małgorzata z gracją skłoniła się grzeczemu Sarmacie; następnie, odpowiadając na jego mowę, wlepiwszy wzrok w de Mouya, swą łacińską odpowiedź tymi poczęła wyrazy:

— Wasza niespodziewana obecność w tej sali sprawiłaby wielką radość mnie i memu mężowi, gdyby nie pociągała za sobą nieszczęścia, wskutek którego tracimy nie tylko brata, lecz i przyjaciela.

Słowa te miały podwójne znaczenie; były powiedziane do pana de Mouya, lecz mogły się odnosić i do księcia Andegaweńskiego. Książę uklonił się na znak wdzięczności.

Karol nie pamiętał, żeby to zdanie było w mowie, przed kilku dniami przedstawionej mu na radzie. Lecz nie przypisywał do tych słów Małgorzaty wielkiej wagi, gdyż mowa jej nie była polityczna. Oprócz tego król nieosobliwie umiał po łacinie.

Małgorzata tak dalej mówiła:

— Boleśnie nam rozstawać się z tobą, gdyż zawsze chcielibyśmy ci towarzyszyć. Lecz ten sam los, który cię zmusza do opuszczenia naszego Paryża, nas tutaj zatrzymuje. Jedź więc, bracie nasz; jedź, nasz przyjacielu; jedź bez nas. Będą ci towarzyszyć nasze nadzieje i życzenia przyszłego szczęścia.

Łatwo się domyślić, że de Mouy, natężywszy uwagę, słuchał słów, które odnosiły się tylko do niego. Henryk już dwa razy przecząco pokręcił głową, dając znak młodemu hugenotowi, że książę d'Alencon nie zgadza się; lecz ten ruch mógł być przypadkowy i de Mouy nie byłby z niego zadowolony, gdyby słowa Małgorzaty nie potwierdziły gestu króla. Tymczasem, kiedy hugenot uważnie słuchał mowy królowej Nawarry, jego czarne, błyszczące oczy zwróciły na się uwagę Katarzyny; królowa-matką zadrżała, jak gdyby uderzona elektrycznym strumieniem — nie spuszczać jednak oczu z tego punktu sali.

— Otóż jakaś dziwna figura — szepnęła do siebie, nie zmieniając wyrazu twarzy, stosownego do uroczystości. — Któż to tak pilnie patrzy na Małgorzatę? A i Henryk, i Małgorzata nie spuszczają z niego oczu.

Królowa Nawarry skończyła przemówienie, którego koniec wyłącznie skierowany był do posła. Tymczasem Katarzyna łamała sobie głowę, starając się domyślić, kim by był ten starzec, i szukając wzrokiem kogokolwiek, co by jej mógł powiedzieć jego nazwisko. Nagle mistrz ceremonii zbliżył się do niej i wręczył królowej bilecik, zawinięty w woreczek z pachnącego atlasu. Katarzyna wyjęła karteczkę i przeczytała, co następuje:

Maurevel wskutek pokrzepiającego lekarstwa przyrządzonego przeze mnie nabrał tyle sił, iż był w stanie napisać nazwisko człowieka, którego znalazł w pokoju króla Nawarry. Był to pan de Mouy.

— De Mouy! — pomyślała królowa — Tak, domyślałam się tego. Lecz ten starzec... Ach! *Cospettol*. Ten starzec to...

Katarzyna znieruchomiała na chwilę.

Następnie, nachyliwszy się do ucha kapitana straży obok niej stojącego, powiedziała:

— Patrz pan, lecz niby tylko od niechcenia, w stronę, gdzie stoi wojewoda Łaski. Tuż za nim czy widzisz pan siwego starca w czarnym, aksamitnym kostiumie?

— Widzę, pani — odpowiedział kapitan.

— Dobrze. Nie spuszcza go z oka.

— Czy ten, któremu król Nawarry daje jakiś znak?

— Ten, ten sam. Postaw u bramy Luwru dziesięciu ludzi, a skoro będzie wychodzić, zaprosz go w imieniu króla na obiad. Jeśli pójdzie z tobą, zaprowadź go do jakiego pokoju i zostaw pod strażą. Jeżeli się będzie opierał, schwytaj go żywym lub” umarłym. Śpiesz się, śpiesz.

Szczęściem Henryk mało się zajmował mową małżonki, miał oczy zwrócone na Katarzynę i nie stracił ani jednego jej poruszenia. Widząc, że Katarzyna tak bacznie utkwiała spojrzenie w de Mouyu, zaczął się niepokoić. A skoro królowa–matka dała jakiś rozkaz kapitanowi, zrozumiał wszystko.

W tej to właśnie chwili Henryk dał de Mouyowi znak, który spostrzegł pan de Nancey. Znak Henryka mówił: „Jesteś odkryty, uciekaj natychmiast”.

De Mouy zrozumiał doskonale ów znak, który tak udatnie kończył słowa Małgorzaty. Zaraz też młody hugenot zniknął w tłumie,

Henryk nie uspokoił się, dopóki nie zobaczył pana de Nancey’a powracającego do Katarzyny i dopóki nie spostrzegł konwulsyjnego drżenia na twarzy królowej–matki; drżenie to dało mu znać, że kapitan spóźnił się.

Posłuchanie było skończone. Małgorzata jeszcze kilka chwil rozmawiała z wojewodą Łaskim. Król powstał, uklonił się i wyszedł, wsparty na ramieniu Ambrożego Pare, który nie odstępował go ani na krok, odkąd zasłabł.

Katarzyna, blada z gniewu, i Henryk, milczący z obawy, wyszli za królem.

Co się tyczy księcia d’Alencon, ten jakby nie brał udziału w uroczystości. Karol, ciągle uważając na księcia Andegaweńskiego, ani razu nie spojrzał na młodszego brata.

Nowy król Polski miał się za zgubionego. Z daleka od matki, porwany przez cudzoziemców przybyłych z północy, Henryk Andegaweński podobny był do Anteusza, syna Ziemi, który wzniesiony na barkach Herkulesa, utracił wszystkie swe siły. Książę sądził, że przejechawszy granicę, na zawsze traci prawo do francuskiego tronu.

Król Polski zamiast udać się za Karolem pośpieszył do matki.

Katarzyna była również smutna jak i on. Myślała o szyderczym wyrazie twarzy króla Nawarry, którego podczas posłuchania nie przestała obserwować; myślała o tym nienawistnym Bearnńczyku, któremu los zdawał się torować drogę, jakby zmiatając mu z niej królów, książąt, morderców, nieprzyjaciół i wszelkiego rodzaju przeszkody. Królowa–matka zobaczywszy swego bladego syna, któremu płaszcz królewski zdawał się ciężyć, pobiegła na jego spotkanie.

— Ach! Moja matko! — zawołał król Polski. — Jestem więc skazany umrzeć na wygnaniu.

— Mój synu — odparła Katarzyna — czyż zapomniałeś o przepowiedni mistrza René? Uspokój się, niedługo będziesz siedzieć w Polsce.

— Matko, zaklinam cię na wszystko! — zawołał książę. — Przy pierwszej sposobności zawiadam mnie, skoro tron francuski będzie wolny...

— Bądź spokojny. Do dnia, którego wyglądamy oboje, ciągle w mej stajni będzie osiodłany koń, a w mym przedpokoju czekać będzie kurier, gotów na pierwsze wezwanie popędzić do Polski.

ROZDZIAŁ XLIV ORESTES I PILADES

Po wyjeździe Henryka Andegaweńskiego zdawało się, że pokój i szczęście zamieszkały u ogniska rodziny Atrydów.

Karol pozbył się swej melancholii i z każdym dniem stawał się zdrowszy. Polował z Henrykiem lub rozmawiał z nim o polowaniu, kiedy nie można było polować. Tylko to nie podobało mu się w Henryku, iż ten ostatni nie lubił polować z drapieżnymi ptakami; toteż Karol powtarzał mu, iż byłby księciem bez zarzutu, gdyby umiał tresować sokoły i jastrzębie, tak jak umiał układać charty i ogary.

Katarzyna znowu zrobiła się dobrą matką, słodką dla Karola i księcia d'Alencon, ujmującą dla Henryka i Małgorzaty, grzeczną dla pani de Nevers i pani de Sauve. Nawet dwa razy odwiedziła pana de Maurevel w jego mieszkaniu na ulicy de la Cerisaie, niby to pod pozorem, iż Maurevel z jej powodu był raniony.

Małgorzata miewała ciągle schadzki na modłę hiszpańską.

Co wieczór otwierała okno i zamieniała z La Mole'em różne znaki i karteczki; młodzieniec przypominał jej ciągle, iż przyobiegała mu nagrodzić długie chwile rozstania chwilami szczęścia w domku na ulicy, Cloche-Percée.

Tylko jeden człowiek był zapomniany i odosobniony w zupełnie spokojnym Luwrze; tym człowiekiem był nasz przyjaciel, hrabia Annibal de Coconnas.

Bez wątpienia wiadomo, iż La Mole żyje, miała swoje znaczenie; znaczyło coś także być kochankiem pani de Nevers. Lecz wszystkie schadzki sam na sam z prześliczną księżną de Nevers nie były w oczach Piemontczyka jednej godziny przepędzonej z La Mole'em za stołem u kolegi La Hurière'a, przy butelce wytrawnego wina, lub włóczenia się z nim po różnych zakątkach Paryża, gdzie szlachetny hrabia mógł otrzymać ranę w pierś, kieszeń lub suknię.

Pani de Nevers, musimy to wyznać ku hańbie całej ludzkości, zazdrosnym okiem patrzyła na swego rywala, pana de La Mole. Nie dlatego, żeby nienawidziła Prowansalczyka, przeciwnie; pociągana nieprzewyciężonym instynktem, który zmusza każdą kobietę do kokietowania kochanka drugiej — osobiwie jeżeli ta druga jest przyjaciółką — pani de Nevers wcale nie skąpiła La Mole'owi swych ognistych spojrzeń i Coconnas nieraz mógłby pozazdrościć przyjacielskich uściśnień rączki i tym podobnych gestów, szczerze udzielanych hrabiemu de La Mole w dni szczególniejszych kaprysów księżnej, zwłaszcza kiedy gwiazda Coconnasa blakła na firmamencie pani de Nevers. Lecz Coconnas, który był gotów zamordować każdego, kto był na tyle szczęśliwy, iż otrzymał jedno spojrzenie jego kochanki, wcale nie był zazdrosny względem La Mole'a, a nawet czasami podczas tych zaczepk księżnej szeptał mu do ucha takie rzeczy, iż La Mole mimo woli musiał się rumienić.

Skutkiem tego było, iż Henrieta, po ucieczce La Mole'a pozbawiona szczęścia znajdowania się w towarzystwie Piemontczyka, przyszła pewnego razu do Małgorzaty, prosząc ją, ażeby powróciła jej koniecznego pośrednika, bez którego Coconnas tracił rozum i serce.

Małgorzata, powodowana współczuciem, a także ciągłymi prośbami La Mole'a i pragnieniem własnego serca, naznaczyła Henriecie schadzkę w domku o dwóch wejściach, gdzie by bezpiecznie mogły razem rozważać, co im czynić wypada.

Coconnas prawie ze złością odebrał bilet Henriety zapraszający go o godzinie wpół do dziesiątej do domku na ulicy Tizon. Jednakowoż poszedł na naznaczone miejsce i zastał Henrietę w gniewie, wyrzucającą mu, iż każe jej na siebie czekać.

— Panie — powiedziała Henrieta — bardzo jest niegrzecznie zmuszać do czekania na siebie, nie mówię już księżnę, lecz kobietę.

— Zmuszać do czekania? Jestem gotów iść o zakład, że przyszedliśmy za wcześnie. — Tak jest, ja przyszedłam za wcześnie.

— I ja też samo; sądzę, że nie jest więcej jak dziesiąta.

— A mój bilet naznaczał schadzkę na wpół do dziesiątej.

— Wyszedłem z Luwru punkt o dziewiątej; nie będzie od rzeczy oświadczyć pani, że ponieważ dzisiaj jestem na służbie u księcia d'Alencon, będę zmuszonym opuścić panią za godzinę.

— Z czego pan bardzo jesteś kontent.

— Słowo honoru, wcale nie! Pan d'Alencon jest w niehumorze, ciągle więc nudzi, i przyznam się pani, iż jeżeli mam słyszeć jakie wyrzuty, to wolę usłyszeć je z pięknych usteczek pani aniżeli z jego krzywej gęby.

— Dobrze zatem — powiedziała księżna — to cokolwiek pana usprawiedliwia... Mówisz więc pan, żeś wyszedł z Luwru o dziewiątej?

— Tak, na Boga! I miałem zamiar prosto udać się tutaj; lecz na skrócie ulicy de Grenéllé spotkałem człowieka bardzo podobnego do La Mole'a.

— Ach! Znowu ten La Mole.

— Znowu, za pozwoleniem lub bez pozwolenia pani.

— O, jaki niegrzeczny...

— Widzę — powiedział Coconnas :— iż pani znowu rozpoczyna swoje dąsy.

— Wcale nie. Kończ pan swoje opowiadanie.

— Wcale nie myślałem opowiadać, tylko że pani pytasz mnie, dlaczego się spóźniłem...

— Naturalnie. Czyż wypada, ażebym ja na pana czekała?

— Lecz pani nie masz kogo szukać.

— Jesteś nieznośny; zresztą mów dalej. A więc na skrócie ulicy de Grenéllé spotkałeś człowieka podobnego do La Mole'a... Lecz cóż to na kaftanie?... Krew!

— Tak jest.. Te łotry nie mogą upaść, żeby nie pokrwawić.

— Pan się biłeś?

— Tak jest.

— Czy za swego La Mole'a.

— A za kogóż miałem się bić? Czy za kobietę?

— Dziękuję.

— Pobiegłem za łajdakiem, który miał naśladować ruchy mego przyjaciela. Doganiam go na ulicy Coquilliere, zabiegam mu drogę, patrzę mu w twarz i znajduję jakiegoś łotra. Patrzę, a to nie La Mole.

— I pan doskonale się z nim obszedłeś.

— Tak jest, lecz jemu wyszło to na złe: „Panie — powiedziałem doń — jesteś błazen, ośmielasz się naśladować pana de La Mole, a jesteś po prostu łotrem”. Naturalnie on chwycił za szpadę i ja także. Za trzecim złożeniem padł i jak pani widzi, zbryzgał mnie krwią.

— Lecz pan zapewne udzieliłeś mu pomocy?

— Chciałem, lecz właśnie przejeżdżał ktoś konno. Tym razem byłem pewien, że to La Mole. Na nieszczęście pędził galopem. Rzuciłem się za nim w pogoń; gapie, którzy patrzyli na nasz pojedynek, pobiegli za mną. Mogli mnie wziąć za złodzieja, ponieważ pędziłem co tchu, a za mną cała gromada łotrów... Cóż miałem robić? Zatrzymałem się, ażeby ich rozpedzić, i tym sposobem straciłem na czasie. Jeździec tymczasem zniknął. Znowu pobiegłem go szukać,

pytałem każdego, kto tylko mi wpadł pod rękę, lecz wszystko na próżno; nikt go nie widział. Na koniec, zmordowany, przyszedłem tutaj.

— Zmordowany — powiedziała księżna — jak to grzecznie.

— Posłuchaj, me serce — rzekł Coconnas, rozwalając się w fotelu — zawsze mnie prześladujesz za tego biednego La Mole'a, lecz jesteś niesprawiedliwa; przyjaźń bowiem... jak by to powiedzieć... Szkoda, że nie jestem tak uczony jak mój biedny przyjaciel; znalazłbym porównanie, które by ci oddało moją myśl w zupełności... Przyjaźń jest to, że tak rzeknę, gwiazda; gdy tymczasem, miłość... miłość... ach, doskonale!... Miłość to świeca... Pani powiesz mi na to, że są rozmaite gatunki...

— Miłości?

— Nie, świec; i że jeden gatunek jest lepszy od drugiego; tak, na przykład zgadzam się, że świece różane są najlepsze. Lecz chociaż świeca jest piękna, jednakowoż wypala się, gdy tymczasem gwiazda pali się wiecznie. Pani powiesz, że kiedy jedna świeca się spali, zapalają drugą...

— Panie de Coconnas, żartujesz sobie ze mnie.

— Czy tak?

— Panie de Coconnas, jesteś impertynentem.

— Czy tak?

— Panie de Coconnas, jesteś śmieszny.

— Zmusisz mnie, pani, do żałowania La Mole'a trzykroć razy więcej.

— Pan mnie już nie kochasz.

— Przeciwnie, księżno, ubóstwiam cię. Lecz mogę cię kochać, mogę cię miłować, mogę cię ubóstwiać, a mimo to w wolnych chwilach myśleć o moim przyjacielu.

— Nazywasz więc pan wolnymi te chwile, które ze mną przepędzasz?

— Jakże pani chcesz? Ten biedny La Mole nie może mi wyjść z głowy.

— Pan jego przekładasz nade mnie, to niegodnie. Annibalu, nienawidzę cię. Bądź szczerym i wyznaj mi, że przekładasz go nade mnie. Annibalu, ostrzegam cię, że jeżeli...

— Henrieto, najpiękniejsza z księżnych, dla swego własnego spokoju wysłuchaj mnie i nie zadawaj mi pytań tak trudnych do odpowiedzenia. Z kobiet ciebie najbardziej Kocham; z mężczyzn — La Mole'a.

— Dobra odpowiedź! — zawołał jakiś obcy głos.

Firanka adamaszkowa, dzieląca pokój na dwie połowy, uniosła się i La Mole stanął na progu pokoju, ujęty w ramę drzwi, jak prześliczny portret Tycjana.

— La Mole! — zawołał Coconnas, nie zważając na Małgorzatę i zapominając jej podziękować za niespodziankę. — La Mole, Kochany La Mole!

I Piemontczyk rzucił się ku niemu, wyróciwszy krzesło, na którym siedział, i stół, który znalazł na swej drodze, ażeby uściskać swego przyjaciela.

La Mole również go uściskał; lecz nie zapomniał o księżnej, a zwracając się do niej, rzekł:

— Przebacz mi, pani, jeżeli czasem moje nazwisko naruszało pani ukontentowanie w rozmowie z moim przyjacielem. Bez wątpienia nie ja temu winienem — dodał, z czułością patrząc na Małgorzatę — iż nie mogłem się z nim widzieć pierwej.

— Widzisz, Henrieto — powiedziała Małgorzata — dotrzymałam słowa: otóż i pan de La Mole.

— Więc zawdzięczam swoje szczęście tylko prośbom księżnej? — zapytał La Mole.

— Tylko jej prośbom — odpowiedziała Małgorzata. Następnie, zwracając się do La Mole'a, dodała:

— Możesz nie wierzyć temu, com powiedziała.

Tymczasem Coconnas już z dziesięć razy przycisnął przyjaciela do piersi, ciągle się koło niego kręcił, zbliżał do jego twarzy świecznik, ażeby mu się przypatrzeć, nareszcie, ukląkłszy przed Małgorzatą, ucałował kraj jej szaty,

— Chwała Bogu! — powiedziała Henrieta. — Teraz przynajmniej nie będziesz miał mnie za niezdolną.

— Do kroćset! — zawołał Coconnas. — Znajduję panią tak piękną jak zawsze. I powiem ci, pani, szczerze, iż bardzo żałuję, że tu nie ma ze trzydziestu Sarmatów, bo zmusiłbym ich wszystkich, aby cię uznali królową piękności!

— Ciszej, ciszej, Coconnas — rzekł La Mole — a królowa Małgorzata...

— Ach! — zawołał Coconnas, na pół poważnym, na pół żartobliwym tonem. — Henrieta jest najpiękniejszą z kobiet, a królowa Małgorzata najpiękniejszą z królowych.

Lecz cokolwiek Coconnas mówił i czynił, zawsze nikim nie był zajęty, tylko swoim przyjacielem.

— Odejdźmy stąd — powiedziała księżna do Małgorzaty — zostawmy przyjaciół samych; zapewne mają sobie co do powiedzenia. Wprawdzie dla nas nie będzie to wcale przyjemne, lecz cóż robić, kiedy nie ma innego środka, aby powrócić Coconnasowi zdrowie. Zrób to więc dla mnie; gdyż mam tę słabość, iż kocham tę pustą głowę, jak mówi La Mole.

Małgorzata powiedziała kilka słów do ucha Prowansalczykowi, który chociaż miał wielką chęć pomówić ze swym przyjacielem, jednakże chciałby już uwolnić się od jego uścisków. Coconnas ze swej strony usiłował wywołać na usta Henriety uśmiech, co mu się bardzo łatwo udało.

Kobiety wyszły do drugiego pokoju, gdzie był zastawiony podwieczorek.

Przyjaciele zostali sami.

Coconnas najprzód zaczął się wypytywać przyjaciela o szczegóły nocnej awantury, w której omal nie stracił życia. Piemontczyk, którego nie bardzo łatwo było można poruszyć opowiadaniem podobnych wypadków, nie raz jednakże zadrzał w trakcie opowiadania La Mole'a.

— Dlaczegoż — zapytał Coconnas — zamiast uciekać, diabli wiedzą gdzie, nie udałeś się pod opiekę księcia d'Alencon? On byłby cię obronił lub gdzie ukrył. I ja byłbym przy tobie.

— Księżę d'Alencon? — powtórzył La Mole z cicha.

— No tak. Z tego, co mi powiedział, mogę wnosić, że to on sam uratował ci życie.

— Jesteś o tym przekonany?

— Najzupełniej.

— Wiedz tedy, że winienem życie królowi Nawarry.

— Jak to? — zapytał Coconnas. — Jesteś tego pewnym?

— Najzupełniej.

— Tęgi król. Lecz cóż za rolę miał w tym wszystkim księżę d'Alencon?

— Trzymał sznurek, którym miał mnie zadusić.

— O, do kroćset! — ryknął Coconnas. — Jesteś tego pewny, La Mole? Jak to, ten błąd, bezkrwisty chudeusz, ten paniczek chciał zadusić mego przyjaciela! Ach! Do kroćset! Zaraz jutro rano mu powiem, co myślę o takim postępku.

— Czyś oszalał?

— Ach tak, prawda, wszcząłby znów zakusy na ciebie... Lecz nie, nie, ja mu tego nie przebaczę.

— Przyjacielu, uspokój się — powiedział La Mole — lepiej nie zapominaj, że jesteś dzisiaj na służbie, a już po dwunastej.

— Ważna okoliczność, że mam dzisiaj służbę! Niech sobie czeka! Ja mam służyć u człowieka, co trzymał stryczek? Żartujesz chyba? Nie! Nie! Widać w tym rękę Opatrzności. Powinienem był, zobaczywszy się po raz pierwszy z tobą, już się więcej nie rozłączać. Pozostaję więc.

— Ale pomyśl, co czynisz, nieszczęsny! Przecież nie upiłeś się.

— To wielkie szczęście, bo inaczej podpaliłbym Luwr.

— Annibalu, słuchaj, bądź roztropny. Służba jest rzeczą świętą.

— A więc chodź ze mną! — Nie mogę.

— Czy myślisz, że ośmieliliby się targnąć po raz drugi na twoje życie?

— Nie sądzę. Nie jestem zbyt wielką figurą; przeciwko mnie więc nie może istnieć ciągły spisek. Tylko raz przyszło im coś do głowy, żeby mnie zabić.

— Cóż więc myślisz robić?

— Nic; będę się bawić, podróżować...

— A więc ja będę się bawić i podróżować razem z tobą. Jeżeli na ciebie napadną, będzie nas dwóch i pokażemy, jak to się bić należy. Niech mi tylko wlezie W oczy ten książę, ten młokos, a zaraz go przypnę szpadą do ściany jak motyla.

— Podaj przynajmniej prośbę o uwolnienie.

— Naturalnie, że podam.

— Uprzedź go, iż go opuszczasz.

— Naturalnie. Natychmiast do niego napiszę.

— Napiszesz? Do księcia krwi? A to rzecz zabawna!

— Tak jest, mój przyjacielu; napiszę do księcia krwi.

— Zresztą — pomyślał La Mole — jeżeli tylko przystanie do nas, nie będzie potrzebował ani księcia, ani nikogo.

Coconnas wziął pióro i za jednym zamachem napisał następujący list.

Mości Książę!

Wasza Książęca Mość, będąc obeznanym ze starożytnymi pisarzami, znasz bez wątpienia czułą historię Orestesa i Piladesa, dwóch bohaterów sławnych ze swej przyjaźni i wspólnych nieszczęść. Mój przyjaciel La Mole wcale nie jest szczęśliwszy od Orestesa, ja zaś nie jestem mniej czuły od Piladesa. Mój przyjaciel w tej chwili jest zajęty bardzo ważnymi sprawami, a w wykonaniu których potrzebuje mej pomocy. Dla tego to powodu nie mogę go opuścić. Zamierzysz więc los mój złączyć z losem mego przyjaciela, proszę Waszą Książęcą Mość o zwolnienie mnie ze swej służby; a ponieważ bardzo ważne powody zmuszają mnie do jej opuszczenia, spodziewam się, że Wasza Książęca Mość nie będziesz się na mnie gniewać. Śmiem się pisać Waszej Królewskiej Mości,

Mości Książę,

najuniżeńszym i najposłuszniejszym sługą

Annibal hrabia de Coconnas nieodłączny przyjaciel La Mole'a

Skończywszy list, Coconnas przeczytał go La Mole'owi, który tylko wzruszył ramionami.

— A co, dobry? — zapytał Coconnas, nie postrzegając gestu przyjaciela.

— D'Alencon będzie się z nas śmiać.

— Jak to z nas?

— Z nas obydwóch.

— Lepiej, niż żeby miał każdego z nas osobno zadusić.

— Jedno drugiemu wcale nie przeszkadza — zauważył La Mole.

— Niech będzie, co chce, lecz ja jutro rano wysyłam list. Gdzież teraz idziemy? — Do La Hurière'ą. Do tego pokoju, w którym chciałeś mnie zabić, kiedy jeszcze nie byliśmy Orestesem i Piladesem.

— Dobrze; odeślę list przez gospodarza. W tej chwili otworzyły się drzwi w murze.

— I cóż robią Orestes i Pilades? — zapytały obie panie.

— Do kroćset! — odpowiedział Coconnas. — Umierają z głodu i miłości. Na drugi dzień o dziewiątej rano La Hurière odniósł list Annibala de Coconnas do Luwru.

ROZDZIAŁ XLV

ORTHON

Henryk mimo odmowy księcia d'Alencon, który pomieszał jego plany, stał się, jeśli to było możliwe, jeszcze większym niż poprzednio przyjacielem księcia.

Katarzyna wносиła z tej zażyłości, że nie tylko się z sobą porozumieli, lecz knują razem jakiś spisek. Dopytywała się o to Małgorzaty; lecz ta była godną jej córką, toteż królowa Nawarry, której głównym talentem była umiejętność unikania niebezpiecznych objaśnień, tak się strzegła zapytań swojej matki, że odpowiedziawszy na wszystkie, pozostawiła Katarzynę jeszcze bardziej w swych zamiarach niepewną.

Jedynym przewodnikiem Katarzyny pośród tych intryg był instynkt, „uniesiony z Toskanii, i uczucie nienawiści, którego nabyła na francuskim dworze. Przede wszystkim zrozumiała ona, że Bearneńczyk jest silny po części przez swój związek z księciem d'Alencon; postanowiła więc związek ów rozerwać. Z tym postanowieniem zaczęła wikłać swego syna z cierpliwością i zręcznością rybaka, który zarzuciwszy sieci z dala od ryby, nieznacznie okrąża nimi zdobycz ze wszystkich stron. Książę Franciszek zauważył, że matka pieści go daleko więcej niż przedtem.

Henryk udał, że nic nie widzi, i daleko pilniej zaczął na niego zwracać uwagę.

Każdy wyglądał wypadku.

Tymczasem, gdy wszyscy czekali tego wypadku — jak najpewniejszego w oczach jednych, prawdopodobnego dla drugich — pewnego poranku, kiedy zaledwie weszło różowe słońce, rozlewające letnie ciepło i miłą woń oznajmijającą piękny dzień, jakiś blady człowiek, oparty na kiju i powłóczący nogami, wyszedł z małego domku położonego za Arsenalem i skierował się na ulicę Petit-Musc.

Ominawszy bagnistą łąkę, otaczającą fosy Bastylli, zostawił po lewej stronie blisko bramy Saint-Antoine wielki bulwar i wszedł do ogrodu de l'Arbalete, którego odźwierny przyjął go niskimi ukłonami.

Nikogo nie było w ogrodzie, który należał do towarzystwa łuczników. W przeciwnym bowiem razie ów człowiek wzbudziłby współczucie w przechadzających się; gdyż po jego długich włosach, po wojskowym chodzie, niepewnym jeszcze wskutek cierpienia, łatwo było poznać niedawno rannego oficera, który wyszedł na przechadzkę dla wzmocnienia sił.

Jednak rzecz dziwna! Skoro rozsunęły się fałdy płaszcza, w który pomimo silnego gorąca człowiek ten, na pozór bezbronny, był odziany, można było spostrzec za jego pasem dwa długie pistolety, wiszące na srebrnych klamrach, szeroki sztylet i szpadę tak kolosalnej wielkości, że zdawało się, iż nie jest w stanie nią władać. Pochwa tej szpady objęła się bezustannie o jego schudzone i drżące nogi. Oprócz tego przechodzień ten na domiar ostrożności, nie ufając samotności miejsca, oglądał się za każdym krokiem, zaglądając w każdy krzak, w każdy zakręt alei, w każdy dół.

Zbliżył się nareszcie do małej altanki wychodzącej na bulwary, od których dzielił ją tylko gęsty płot i niewielki rów. Tu siadł na darniowej ławce przed małym stolikiem; wkrótce potem stróż, który z tytułem odźwiernego łączył umiejętność kucharza, przyniósł mu śniadanie.

Chory siedział już od dziesięciu minut i po kilkakroć podnosił do ust fajansową filiżankę, coś powoli z niej popijając, gdy nagle twarz jego, pomimo pokrywającej ją bladości, przybrała straszliwy wyraz. Spostrzegł bowiem, że od Croix-Faubin, ścieżką, która teraz zamieniła się w ulicę de Naples, zbliża się jakiś człowiek szerokim owinięty płaszczem. Nieznajomy też zatrzymał się obok bastionu i zdał się na coś oczekiwać.

Upłynęło pięć minut.

Chory, w którym czytelnik poznał już zapewne Maurevela, zaledwie zdołał przyjść do siebie po wzruszeniu spowodowanym obecnością tego człowieka, gdy młodzieniec w kostiumie podobnym do tych, jakie nosili paziowie, ukazał się na drodze, gdzie teraz jest ulica Fosses–Saint–Nicolas, i zbliżył się do oczekującego przy bastionie.

Ukryty w cieniu liścianej altanki Maurevel bez trudności mógł wszystko widzieć, a nawet słyszeć rozmowę; czytelnik pojmie dopiero, jak ważny był dla niego ten wypadek, kiedy powiemy mu, że nieznanymi byli de Mouy i Orthon.

Obaj obejrżeli się naokoło z największą uwagą.

Maurevel wstrzymał oddech.

— Możesz pan mówić — zaczął Orthon, który jako młodszy był bardziej łatwowierny — nikt nas nie widzi ani nie słyszy.

— Dobrze! — powiedział de Mouy. — Idź do pani de Sauve i jeżeli ją zastaniesz w domu, oddaj jej ten bilecik do własnych rąk; jeśli jej nie będzie, włożysz go za zwierciadło, gdzie król zazwyczaj kładzie swoje bileciki. Potem zaczekasz w Luwrze. Jeżeli dostaniesz odpowiedź, przyniesiesz w wiadome ci miejsce; jeżeli zaś nie, powrócisz do mnie wieczorem ze sztyletem w to miejsce, które ci już wskazałem i skąd właśnie wychodzę.

— Dobrze — rzekł Orthon — wiem.

— Teraz cię opuszczam; mam dzisiaj dużo zajęć. Nie śpiesz się, bo nie ma potrzeby; do Luwru nie masz po co przychodzić wcześniej od niego, a on, zdaje się, bierze dzisiaj rano lekcje polowania z sokołami. Śmielej! Wyzdrowiałeś i przyszedłeś podziękować pani de Sauve za dobroć i starania podejmowane przez nią około ciebie. Niech cię Bóg prowadzi!

Maurevel słuchał z oczyma utkwionymi w rozmawiających, z najeżonym włosiem. Pot wystąpił mu na czoło. Pierwszym jego odruchem było porwać pistolet i wycelować do de Mouya. Lecz de Mouy w tej chwili poruszył się, płaszcz jego odwinął się i Maurevel zobaczył pod nim świetny pancerz. Rozważył więc, że kula albo się rozpląszczy o pancerz, albo rani nie śmiertelnie. Zresztą pomyślał, że de Mouy, będąc silnym i dobrze uzbrojonym, wielką by miał przewagę nad nim, ranionym; z westchnieniem więc schował z powrotem pistolet, już skierowany na hugenota.

— Jakie nieszczęście — mruknął — że nie mogę zabić go tutaj, bez innych świadków poza tym smarkaczem, którego bym uspokoił drugim wystrzałem.

Lecz w tej chwili Maurevelowi przyszło na myśl, że bilet do pani de Sauve, dany Orthonowi, jest może ważniejszy od samego życia dowódcy hugenotów.

— Ach! — rzekł. — Znowu wymykasz mi się. Dobrze. Idź sobie zdrów i nienaruszony; lecz jutro na mnie przyjdzie kolej. Jeśli cię prędzej nie zgubię, odszukam cię choćby w piekle, z któregoś wyszedł na moją zagładę.

W tej chwili de Mouy zakrył twarz płaszczem i żywo oddalił się w kierunku bagien Tempie.

Orthon poszedł brzegiem rzeki.

Wtedy Maurevel, podniósłszy się z lekkością i siłą, jakiej nie należało się spodziewać po chorym, podążył na ulicę Cerisaie, wbiegł do domu, kazał osiodłać konia i nie zważając na swą słabość, pogalopował przez bulwary na ulicę Saint–Antoine i osadził konia dopiero przed Luwrem.

W pięć minut potem Katarzyna wiedziała już o wszystkim, co się stało. A Maurevel otrzymał tysiąc talarów złotem, które miał obiecane za uwięzienie króla Nawarry.

— Och! — wyrzekła wtedy Katarzyna. — Albo się mylę, albo ów de Mouy będzie czarną plamą, którą René odkrył w horoskopie tego przekłętego Bearnńczyka!

W kwadrans po Maurevelu wszedł do Luwru Orthon i udał się do mieszkania pani de Sauve, porozmawiawszy po drodze z kilkoma znajomymi.

Zastał samą Dariolę. Pani de Sauve już od pięciu minut znajdowała się u królowej, gdyż Katarzyna wezwała ją do przepisywania jakichś ważnych listów.

— Zaczekam — powiedział Orthon.

Orthon był tu jak domowy; udał się prosto do sypialni baronowej i przekonawszy się, że był sam, włożył bilecik za zwierciadło.

Nie zdołał jeszcze wydostać ręki zza niego, kiedy Katarzyna weszła.

Orthon zbladł, gdyż zdawało mu się, że szybkie i przenikliwe spojrzenie królowej–matki skierowało się prosto na zwierciadło.

— Co tu robisz, mały? — zapytała Katarzyna.— Czy szukasz pani de Sauve?

— Tak, pani; już dawno jej nie widziałem i przyszedłem jej podziękować za pamięć o mnie.

— Bardzo więc kochasz tę miłą Carlottę?

— Z całej duszy.

— Powiadają, żeś jej wiernym sługą.

— Wasza Królewska Mość przekonasz się, że to bardzo naturalne, skoro się dowiesz, że pani de Sauve podejmowała koło mnie starania, na jakie ja, prosty sługa, wcale nie zasługiwałem.

— W jakimże to przypadku? — zapytała Katarzyna, udając, że nie wie, co się stało z Orthonem.

— Kiedy byłem raniony.

— Ach! Biedne dziecko! — rzekła Katarzyna. — Byłeś raniony?

— Tak, pani.

— Kiedyż to?

— Tego wieczoru, kiedy chciano uwięzić króla Nawarry. Na widok żołnierzy przestraszyłem się i krzyknąłem; jeden z nich uderzył mnie w głowę i wtedy padłem bez zmysłów.

— Biedny chłopiec! I już jesteś zupełnie zdrów?

— Zupełnie, pani.

— I szukasz króla Nawarry, ażeby wejść znowu w jego służbę?

— Nie, pani. Król Nawarry dowiedziawszy się, że śmiałem sprzeciwić się rozkazom Waszej Królewskiej Mości, wygnał mnie bez litości.

— Doprawdy? — powiedziała Katarzyna głosem zdradzającym zainteresowanie. — Dobrze, zajmę się tą sprawą. Lecz jeślibyś chciał widzieć panią de Sauve, musiałbyś długo czekać; jest teraz zajęta w moim gabinecie.

I Katarzyna, myśląc, że Orthon nie miał może czasu schować bileciku za lustro, weszła do gabinetu pani de Sauve, chcąc tym sposobem pozostawić młodzieńcowi wszelką swobodę.

Orthon, przestraszony tym niespodziewanym wejściem królowej–matki, zaczął rozważać, czy nie ukrywa się tu jakiś zły zamiar przeciwko jego pani, gdy nagle usłyszał trzy ciche uderzenia w sufit, był to znak, jaki on miał dać w fазie niebezpieczeństwa swemu panu, gdyby ten był u pani de Sauve.

Wzdrygnął się więc, usłyszawszy te trzy uderzenia; tajemne jakieś objawienie oświeciło go i wniósł, że to ostrzeżenie do niego się odnosi; pobiegł więc do zwierciadła i wyjął bilet, już tam poprzednio włożony.

Katarzyna przez otwór w zasłonie śledziła wszystkie poruszenia chłopca; widziała go rzucającym się ku zwierciadłu, lecz nie wiedziała, czy wyjął bilet z powrotem, czy też go schował.

— Na cóż on jeszcze czeka? — mruknęła niecierpliwie. I ze śmiejącym obliczem weszła natychmiast do pokoju.

— Jeszcze tu jesteś? — powiedziała. — Na cóż czekasz? Czyż nie powiedziałam, że sama myślę o tobie? Czyż mi nie wierzysz?

— Och! Pani, niech Bóg cię broni! — odpowiedział Orthon.

I zbliżywszy się do królowej, zgiął kolano, pocałował kraj jej sukni i spiesznie wyszedł.

Wychodząc, zobaczył w przedpokoju kapitana gwardii oczekującego na Katarzynę. Widok ten wcale nie uśmierzył jego podejrzeń, lecz owszem, jeszcze je podwoił.

Ze swej strony Katarzyna, zaledwie tylko portiera opadła za Orthonem, rzuciła się ku zwierciadłu. Lecz drżącą z niecierpliwości ręką daremnie szukała biletu; nie było go.

A jednak dobrze widziała, jak Orthon zbliżał się do lustra. A więc wyjął bilet. Fatalność dawała jednaką siłę jej przeciwnikom. Dziecko stawało się człowiekiem od chwili, w której zaczęło z nią walczyć.

Katarzyna przewracała, zaglądała, nic i nic...

— Och! Nieszczęsny! — zawołała. — Nie chciałam mu jednak zrobić krzywdy, a otóż on wziął bilet i sam idzie naprzeciw swemu przeznaczeniu... Panie de Nancey!

Drżący głos królowej-matki przebiegł salon i doleciał do przedpokoju, w którym znajdował się przyboczny kapitan.

Pan de Nancey wszedł.

— Jestem, pani — powiedział. — Co Wasza Królewska Mość rozkażesz?

— Byłeś, pan, w przedpokoju?

— Byłem, pani.

— Czyż pan widział, jak wychodził stąd młodzieniec?

— W tej chwili go widziałem.

— Nie może być jeszcze daleko?

— Zaledwie na połowie schodów.

— Zawołaj go pan.

— A jak on się nazywa?

— Orthon. Jeżeli nie będzie chciał powrócić, gwałtem go pan przyprowadź. Tylko go nie strasz, jeżeli nie będzie stawiał żadnego oporu. Muszę z nim natychmiast pomówić.

Kapitan pobiegł spełnić rozkaz królowej.

Jak przewidywał, Orthon był zaledwie na połowie schodów; schodził bowiem powoli, mając nadzieję spotkać na schodach lub zobaczyć w jakim korytarzu króla Nawarry czy też panią de Sauve.

Zadrzał, usłyszawszy, że go wołają.

Z początku chciał uciekać; lecz zaraz osądził, że to by wszystko zgubiło.

Zatrzymał się więc.

— Kto mnie woła?

— Ja, Nancey — odpowiedział kapitan, biegnąc po schodach.

— Lecz mnie się bardzo śpieszy — rzekł Orthon.

— Wysłała mnie Jej Królewska Mość królowa-matka — odpowiedział Nancey, zbliżając się do niego.

Chłopiec otarł pot spływający mu po czole i zawrócił.

Kapitan poszedł za nim.

Pierwszym planem Katarzyny było uwięzić Orthona, kazać go zrewidować i zabrać mu schowany list. Dlatego powzięła zamiar obwinie go o kradzież i już wzięła z toalety brylantową klamrę, której skradzenie chciała przypisać Orthonowi. Lecz doszła do wniosku, że środek ten jest niebezpieczny, gdyż może obudzić podejrzenie w dziecku, które by o wszystkim uwiadomiło swego pana — a to zepsułoby całą sprawę. Bez wątpienia mogła go kazać zaprowadzić do

więzienia; lecz pogłoska o tym, mimo najściślejszej tajemnicy, rozeszła się w Luwrze i Henryk stałby się ostrożniejszy. Jednak Katarzyna musiała koniecznie dostać bilet; gdyż bilet od de Mouya do króla Nawarry musiał rzucać świadectwo na cały spisek. Położyła więc brylantową klamrę na miejscu, z którego ją wzięła.

— Nie, nie — rzekła do siebie — to zła, podła myśl! Lecz za bilet... który może nie mieć żadnej wartości... — mówiła dalej, marszcząc brwi i głosem tak cichym, że zaledwie sama mogła dosłyszeć swoje słowa. — Na honor! To wcale nie moja wina! Dlaczego ten mały wąż nie położył pisma tam, gdzie był powinien? Muszę mieć ten bilet.

W tej chwili wszedł Orthon.

Twarz Katarzyny miała bez wątpienia okropny wyraz, gdyż młodzieniec zbladł i zatrzymał się na progu. Był jeszcze za młody, aby umieć zupełnie panować nad sobą.

— Pani raczyłaś mnie przywołać — rzekł Orthon. — Co Wasza Królewska Mość rozkażesz?

Twarz Katarzyny rozjaśniła się, jak gdyby promień słońca nagle ją oświecił.

— Kazałam cię zawołać dlatego, moje dziecko, żeś mi się podobał.

Obiecałam zająć się twym losem i chcę natychmiast dotrzymać mej obietnicy. Nas, królów, obwiniają o łatwość zapominania. Serce nasze nie zapomina, tylko umysł, zajęty tysiącnymi sprawami. Przypomniałam sobie, że królowie dzierżą w swoich rękach szczęście ludzi, i dlatego cię zawróciłam. Chodź ze mną, moje dziecko.

Pan de Nancey z zadziwieniem patrzył na Katarzynę, sądząc, że w istocie napadł ją atak czułości.

— Czy umiesz, mały, jeździć konno? — zapytała Katarzyna.

— Umiem, pani.

— A więc pójdziesz do mego gabinetu. Dam ci polecenie do Saint-Germain.

— Jestem na rozkazy Waszej Królewskiej Mości.

— Nancey, każ mu osiodłać konia.

Nancey wyszedł.

— Chodź, moje dziecko — powiedziała Katarzyna. I poszła pierwsza. Orthon udał się za nią.

Katarzyna zeszła o piętro niżej; potem wyszła na korytarz, gdzie były mieszkania króla i księcia d'Alencon, zeszła jeszcze na jedno piętro, otworzyła drzwi prowadzące do biegnącej wkoło galerii, do której klucz miał tylko król i ona, wpuściła naprzód Orthona, następnie weszła sama i drzwi za sobą zamknęła. Galeria ta otaczała niby murem pewną część komnat króla i królowej-matki. Galeria owa, na podobieństwo korytarza w zamku Świętego Anioła w Rzymie albo w pałacu Pitti we Florencji, była ukrytym schronieniem na wypadek niebezpieczeństwa.

Katarzyna i Orthon byli zamknięci w tym ciemnym korytarzu. Zrobili ze dwadzieścia kroków. Katarzyna idąc przodem, a Orthon za nią.

Nagle Katarzyna odwróciła się; Orthon dostrzegł na jej twarzy tenże sam złowrogi wyraz, który widział przed dziesięciu minutami. Jej oczy, okrągłe jak u tygrysa, zdawały się w ciemności tryskać ogniem.

— Zatrzymaj się! — powiedziała.

Dreszcz przebiegł po ciele Orthona; śmiertelne zimno wiało od sklepień. Podłoga zdawała się być ponurą jak grobowe wieko. Spojrzenie Katarzyny przenikało pierś młodzieńca.

Cofnął się o krok i drżący oparł się o ścianę.

— Gdzie jest bilet, który ci kazano wręczyć królowi Nawarry? — Bilet... — wybąkał Orthon.

— Tak; bilet, który w jego nieobecności miałaś włożyć za lustro?

— Ja, pani? — powiedział Orthon. — Nie pojmuję, co pani chcesz przez to powiedzieć.

— Bilet, który ci dał de Mouy przed godziną za ogrodem de l'Arnalete.

— Nie mam żadnego biletu — odrzekł Orthon. — Wasza Królewska Mość mylisz się zapewne.

— Kłamiesz! — zawołała Katarzyna. — Daj bilet, a dotrzymam uczynionej ci obietnicy.

— Jakiej?

— Zrobię cię bogatym.

— Nie mam żadnego biletu, pani — odparło dziecko. Katarzyna zaczęła zgrzytać zębami, co zakończyła uśmiechem.

— Oddaj mi go, a dam ci tysiąc talarów.

— Nie mam biletu — odpowiedział Orthon.

— Dwa tysiące talarów.

— Niepodobna. Ponieważ go nie mam, nie mogę go dać.

— Dziesięć tysięcy talarów, Orthonie!

Orthon widząc, że gniew na kształt morskiego przyływu z serca wystąpił na czoło królowej, pomyślał, że nie ma innego środka ocalenia swego pana, jak tylko zjeść bilet. Poniósł więc rękę do kieszeni. Katarzyna odgadła jego zamiar i wstrzymała mu dłoń.

— Dobrze, moje dziecko! — rzekła uśmiechając się — wierny z ciebie sługa. Kiedy królowie chcą sobie wybrać sługę, nie ma nic złego, że się przekonują o ich poświęceniu. Teraz wiem, jak z tobą postąpić. Oto mój worek, jako pierwsza nagroda. Odnieś ten bilet swemu panu i oznajmij mu, że od dzisiejszego dnia jesteś w moich usługach. Idź, możesz wyjść beze mnie drzwiami, którymi weszliśmy; otwierają się z wewnątrz,

I Katarzyna, złożwszy worek w ręce zdumionego młodzieńca, postąpiła kilka kroków, naprzód i położyła rękę na murze.

Jednak młodzieniec ani ruszył się z miejsca. Nie mógł uwierzyć, że niebezpieczeństwo już minęło.

— Nie drzyjże tak — powiedziała Katarzyna — czyż ci nie mówiłam, że jesteś wolny i że możesz odejść? Jeżeli powrócisz, twój los będzie zapewniony.

— Dziękuję Waszej Królewskiej Mości — odpowiedział Orthon. — Więc mi, pani, przebaczasz?

— Nie tylko ci przebaczam, lecz cię wynagradzam; jesteś dobrym roznosicielem słodkich bilecików, grzecznym posłannikiem miłości; zapominasz tylko, że cię pan twój czeka.

— Ach! To prawda — rzekł młodzieniec, rzucając się do drzwi.

Lecz zaledwie zrobił trzy kroki, podłoga pod nim się zapadła. Upadł, wyciągnął obie ręce, wydał straszny krzyk i znikł pograżony w kryjówce Luwru, od której Katarzyna przycisnęła sprężynę.

— Teraz z łaski uporu tego głupca muszę zejść sto pięćdziesiąt stopni na dół.

Katarzyna weszła do swego pokoju, zapaliła latarnię, powróciła znowu na korytarz, przycisnęła sprężynę i otworzyła drzwi na kręcone schody, które zdawały się zagłębiać we wnętrzościach ziemi.

Dreńczona nienasyconą żądzą ciekawości, będącej tylko narzędziem jej zemsty, zbliżyła się do żelaznych drzwi prowadzących do więzienia.

Tu, zakrwawiony, pokaleczony upadkiem z wysokości stu stóp, leżał biedny Orthon. Jeszcze oddychał.

Za murami słyhać było toczące się fale Sekwany przeprowadzonej do podnóża schodów podziemnego kanału.

Katarzyna weszła do wilgotnej jaskini, która zapewne była świadkiem niejednego podobnego upadku, zrewidowała ciało, porwała list, przekonała się, że był to ten sam, którego szukała,

odepchnęła trupa nogą i nacisnęła sprężynę; dno uchyliło się i trup, uniesiony własnym ciężarem, zniknął w kierunku rzeki.

Potem Katarzyna zamknęła drzwi, poszła na górę, zamknęła się w swym gabinecie i przeczytała bilet, który zawierał następujące słowa:

Dziś wieczór o godzinie dziesiątej na ulicy de l'Arbre-Sec, w oberży „Pod Piękną Gwiazdą”.
Jeżeli pan przyjdiesz, nic nie odpowiadaj; jeżeli nie przyjdiesz, odpowiedz oddawcy biletu:
NIE.

De Mouy Saint-Phale

W czasie czytania tego biletu na ustach Katarzyny igrał uśmiech. Już marzyła o przyszłym zwycięstwie, nie pomnąc, za jaką cenę je kupiła.

Lecz cóż znaczył Orthon? Wierny sługa, oddany duszą i sercem, dziecię młode i piękne — nic więcej. To, bez wątpienia, nie mogło ani na chwilę zachwiać szalami, na których się ważą losy całych narodów.

Przeczytawszy list, Katarzyna natychmiast udała się do mieszkania pani de Sauve i włożyła go za zwierciadło. Schodząc, spotkała kapitana przy drzwiach na korytarz.

— Koń już osiodłany, jak Wasza Królewska Mość rozkazałaś — rzekł pan de Nancey.

— Mój kochany baronie — odpowiedziała Katarzyna — koń już niepotrzebny; rozmawiałam z tym chłopcem i wydał mi się za głupi do spełnienia polecenia, które mu chciałam powierzyć. Dałam mu nieco pieniędzy i wypuściłam bocznym wyjściem.

— Lecz to polecenie?... — zapytał pan de Nancey,

— Polecenie?... — powtórzyła Katarzyna.

— Tak, polecenie, które Wasza Królewska Mość miałaś mu dać do Saint-Germain. Czy Wasza Królewska Mość mnie rozkażesz się nim zająć, czy też któremu z moich ludzi?

— Nie, nie — powiedziała Katarzyna — pan ze swymi ludźmi będziesz miał dzisiejszego wieczora inne zajęcie.

I weszła do swego gabinetu, przekonana, iż dzisiejszego wieczoru rozstrzygnie los znieawidzonego króla Nawarry.

ROZDZIAŁ XLVI

OBERŻA „POD PIĘKNĄ GWIAZDĄ”

W dwie godziny po opowiedzianym przez nas wypadku, z którego żaden ślad nie pozostał, nawet na twarzy Katarzyny, pani de Sauve, ukończywszy swą pracę u królowej, powróciła do siebie; za nią wszedł Henryk i dowiedziawszy się od Darioli, że przychodził Orthon, udał się prosto do zwierciadła i wyjął bilet.

Bilet, jak już wyżej powiedzieliśmy, zawierał w sobie te wyrazy:

*Dziś wieczór o godzinie dziesiątej na ulicy de l'Arbre-Sec, w oberży „Pod Piękną Gwiazdą”.
Jeżeli pan przyjdiesz, nic nie odpowiadaj; jeżeli nie przyjdiesz, odpowiedz oddawcy biletu:
NIE.*

De Mouy Saint-Phale

Adresu nie było żadnego.

— Henryk niezawodnie pójdzie — mówiła do siebie Katarzyna — gdyby bowiem nie chciał iść, to nie ma komu teraz powiedzieć: nie.

Co do tego Katarzyna się nie myliła. Henryk dopytywał się o Orthona. Dariola powiedziała, że wyszedł z królową-matką; lecz ponieważ bilet był na swym miejscu, a Orthona nie można było posądzać o zdradę, Henryk pozostał zupełnie spokojny.

Obiadował więc, jak zazwyczaj, przy stole króla, który wielce szydził z jego niezręczności w czasie polowania z sokołami odbytego tego poranku.

Henryk wymawiał się, że był góralem, a nie mieszkańcem dolin; lecz obiecał Karolowi wyuczyć się tego rodzaju polowania.

Katarzyna była zachwycająca i wstając od stołu, prosiła Małgorzatę, żeby pozostała u niej przez cały wieczór.

O ósmej godzinie Henryk wziął z sobą dwóch dworzan i wyszedł z nimi przez bramę Saint-Honore. Zrobił duże okrażenie, wszedł przez bramę de Bois, przeprowił się przez Sekwanę na promie de Nesle, doszedł do ulicy Saint-Jacques i tu odprawił swych towarzyszy, jak gdyby udawał się na miłosną schadzke. Na końcu ulicy des Mathuris czekał nań człowiek na koniu, odziany płaszczem.

Król zbliżył się do niego.

— Mantes — rzekł człowiek.

— Po — odpowiedział król.

Nieznajomy zsiadł natychmiast z konia. Henryk zarzucił zabłocony płaszcz, wsiadł na dymiącego konia, pojechał ulicą de la Harpe, przebiegł most Saint-Michel, wjechał na ulicę Barthelemy, znowu przebył rzekę po moście Meuniers, wpadł na bulwary, skierował się na ulicę de l'Arbre-Sec, stanął przed oberżą La Hurière'a i zaczął stukać do bramy.

La Mole siedział w znanej nam sali i pisał długi miłosny list — wiecie do kogo.

Coconnas znajdował się w kuchni z La Hurière'em. Asystował on pieczeniu sześciu kuropatw i rozprawiał z gospodarzem o tym, kiedy je będzie najlepiej zdjąć z różna.

W tej właśnie chwili zastukał Henryk. Grzegorz poszedł otworzyć i zaprowadził konia do stajni; tymczasem podróżny wszedł, szurgając nogami i dzwoniąc ostrogami, jak gdyby starał się rozgrzać zdrtwiałe nogi.

— Panie La Hurière! — zawołał La Mole, nie przestając pisać. — Jakiś szlachcic pyta się o pana.

La Hurière przybiegł, zmierzył Henryka wzrokiem od stóp do głów i jak gdyby jego płaszcz z grubego sukna nie wzbudzał w nim wielkiego poszanowania, zapytał króla:

— Kto pan jesteś?

— Jestem gaskoński szlachcic — odpowiedział Henryk — przyjechałem do Paryża, aby przedstawić się u dworu.

— Co pan chcesz?

— Pokoju i kolacji.

— Hm — rzekł La Hurière — a masz pan lokaja? Było to, jak wiadomo, zwykłe pytanie.

— Nie — odpowiedział Henryk —lecz najmę sobie jakiegoś, skoro tylko poprawią się moje interesy.

— Nie wynajmę pokoju gościnnego bez pokoju dla lokai — rzekł La Hurière.

— Nawet jeśli ci zapłacę dukata za pokój i kolację, a rachunek jutro?

— Och! Och! Jesteś pan wspianiały — powiedział La Hurière, niedowierzająco spoglądając na Henryka.

— Nie; lecz spodziewając się przepędzić noc w tej oberży, którą mi zalecał jeden z moich rodaków, zaprosiłem na kolację mego przyjaciela. Czy masz dobre wino d'Arbois?

— Takie, że Bearneńczyk nawet nie pije lepszego.

— Dobrze; za to zapłacę oddzielnie.

— Ach! Otóż i mój gość.

Drzwi w istocie się otworzyły i wszedł człowiek o kilka lat starszy od pierwszego, uzbrojony ogromnym rapierem wlokącym się po ziemi.

— Ach, ach! — rzekł. — Jesteś akuratny, mój młody przyjacielu.

— Czy to pański gość? — zapytał La Hurière.

— Tak — rzekł pierwszy przybysz, zbliżając się do młodzieńca uzbrojonego rapierem i ściskając mu rękę — każ nam podać kolację.

— Tu czy też w pańskim pokoju?

— Gdzie chcesz.

— La Hurière! — powiedział La Mole, wołając go do siebie. — Uwolnij nas od tych hugonockich stworzeń. Przy nich ani ja, ani Coconnas; nie będziemy mogli pomówić o naszych interesach.

— Przygotować kolację w pokoju numer dwa, na trzecim piętrze! — zawołał La Hurière. — Idźcie, panowie.

Dwaj podróżni poszli za Grzegorzem, który idąc naprzód, oświecał im drogę.

La Mole śledził ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli; potem, obróciwszy się, zobaczył Coconnasa wyscibiającego głowę z kuchni. Wielkie jego oczy były wytrzeszczone, a gęba otwarta; mocne zdziwienie malowało, się na jego twarzy. La Mole zbliżył się do niego.

— Do krośet! — rzekł Coconnas. — Czyś widział?

— Co?

— Tych dwóch.

— No i cóż?

— Przysięgłbym, że to...

— Kto?

— Król Nawarry i ten, co chodził w czerwonym płaszczu.

— Przysięgaj, jeżeli chcesz; lecz nieco ciszej.

— Poznałeś więc ich także?

— Rozumie się.
— Po co oni tu przyszli?
— Nie domyślasz się?
— Jakieś miłosne sprawki...
— Bez wątpienia.
— Tak sądzisz?
— Jestem tego pewny.
— La Mole! Wolę uderzenia szpady niż te miłostki. Gotów byłem przysięć, teraz bym się załozył.

— O co?
— Że tu kryje się jakiś spisek.
— Ech! Jesteś szalony!
— Mówię ci...
— A ja ci mówię, że jeśli to jakiś spisek, to tylko ich dotyczy.
— Ach! To prawda. Przy tym — rzekł Coconnas — już nie jestem w służbie u księcia d'Alencon; niech się układają, jak im się zdaje.

Ponieważ zaś kuropatwy upiekły się akurat tak, jak je szczególnie lubił Coconnas, Piemontczyk przywołał La Hurière'a, żeby je zdjąć z rożna. Tymczasem Henryk i de Mouy zasiedli w swoim pokoju.

— A więc widziałeś Orthona, Najjaśniejszy Panie? — zapytał de Mouy, gdy Grzegorz nakrył stół.

— Nie; lecz znalazłem bilet za zwierciadłem. Sądzę, że dziecię zlekło się, gdyż Katarzyna weszła, podczas gdy on się tam znajdował; dlatego też nie mógł się mnie doczekać. Przez chwilę byłem niespokojny; Dariola bowiem powiedziała mi, iż królowa—matka długo z nim rozmawiała.

— Nie ma niebezpieczeństwa; Orthon jest zręczny. I chociaż królowa zna swoje rzemiosło, jestem pewny, że ją w pole wyprowadzi.

— A ty, de Mouy, czyś go widział później? — spytał Henryk.

— Nie; lecz zobaczę się z nim dziś wieczór. Q północy powinien tu powrócić. Po drodze wszystko mi opowie.

— A człowiek, który stał na końcu ulicy des Mathurins? — Co za człowiek?

— Człowiek, który mi dał konia i płaszcz. Czy jesteś pewny jego wierności?

— Jest to jeden z najwierniejszych. Zresztą on nie zna Waszej Królewskiej Mości i nie wie, z kim miał do czynienia.

— Możemy więc zupełnie spokojnie porozmawiać o naszych interesach.

— Bez żadnej wątpliwości. Zresztą La Mole jest na czatach.

— Doskonale!

— A więc, Najjaśniejszy Panie, cóż mówi książę d'Alencon?

— D'Alencon już nie chce uciekać. Oświadczył to wprost. Wybór księcia Andegaweńskiego na króla Polski i słabość Karola zmieniły jego wszystkie zamiary.

— A więc to z jego powodu nasz plan się nie udał?

— Tak.

— Tedy zdradza nas.

— Jeszcze nie; lecz zdradzi przy pierwszej sposobności.

— Podły! Wiarołomny! Dlaczego nie odpowiedział na moje listy?

— Ażeby mieć w swych rękach dowody, lecz ich od siebie nie dawać. Tymczasem wszystko stracone; nieprawdaż, de Mouy?

— Przeciwnie, Najjaśniejszy Panie, wygraliśmy. Wasza Królewska Mość wiesz dobrze, że wszyscy, wyjąwszy partię księcia Kondeusza, byli za tobą i dlatego tylko weszli z księciem w stosunki, żeby być bezpiecznymi pod jego obroną. Od czasu przyjęcia polskich posłów wszystko znowu w jedność; połączyłem i wszyscy tobie tylko są oddani. Aby uciec z księciem d'Alencon, dosyć jest stu ludzi; zebrałem ich półtora tysiąca. Za osiem dni będą na drodze do Po. Nie będzie to ucieczka, lecz odwrót. Czy wystarczy ci.

Najjaśniejszy Panie, półtora tysiąca ludzi i czy będziesz się sądził bezpiecznym pośród armii?

Henryk uśmiechnął się i uderzywszy go po ramieniu powiedział:

— Wiesz, de Mouy, i wiesz to tylko ty jeden, że król Nawarry nie taki tchórz, jak może myślał.

— O! mój Boże, wiem to, Najjaśniejszy Panie, i mam nadzieję, że wkrótce dowie się cała Francja. Lecz kiedy się knuje spisek, należy postarać się, żeby się ten spisek udał. Pierwszym warunkiem pomyślnego rezultatu jest rozwiązanie; żeby zaś rozwiązanie było spieszne i zupełne, trzeba być przekonanym, że się uda. A więc, Najjaśniejszy Panie — ciągnął de Mouy — kiedyż będzie polowanie?

— Polowanie, czy to z psami, czy z sokołami, bywa co osiem lub dziesięć dni.

— Kiedyż polowano ostatni raz?

— Dzisiaj właśnie.

— A więc od dziś za osiem lub dziesięć dni będą polować?

— Bez żadnej wątpliwości.

— Posłuchaj, Najjaśniejszy Panie; wszystko zdaje się pozostawać w zupełnym spokoju. Książę Andegaweński wyjechał i już więcej o nim nie myślą. Król ma się coraz lepiej. Już prawie zaprzestaną nas prześladować. Przymilaj się królowej-matce; przymilaj się księciu d'Alencon; ustawicznie mu powtarzaj, że nie możesz jechać bez niego; staraj się, żeby ci wierzył, co jest najtrudniejsze.

— Bądź spokojny, on uwierzy.

— Czy sądzisz, że pokłada w tobie tak wielkie zaufanie?

— Nie, niech mnie Bóg strzeże! Lecz on wierzy wszystkiemu, co mu powie królowa.

— A królowa służy nam uczciwie?

— Och! Mam tego dowody. Zresztą żadna jest wyniesienia i myśl o nawarskiej koronie rozpala jej głowę.

— A więc na trzy dni przed polowaniem daj mi znać, gdzie się ono odbędzie. Jeżeli w Bondy, w Saint-Germain albo w Rambouillet, dodaj, że jesteś gotów; a skoro zobaczysz przed sobą pana de La Mole, pojedź za nim. Jak już będziesz w lesie, to królowa-matka, jeśli będzie cię chciała dostać, będzie musiała pogonić za tobą; spodziewam się zaś, że jej normandzkie konie nie zobaczą nawet podków naszych koni arabskich i hiszpańskich kucyków.

— Dobrze — rzekł de Mouy. — Czy masz pieniądze, Najjaśniejszy Panie?

Henryk zrobił grymas, jakim zawsze odpowiadał na podobne pytanie.

— Niewiele — odpowiedział — lecz sądzę, że Margot mieć je musi.

— Wszystko jedno. Przynies tylko z sobą jak najwięcej, Najjaśniejszy Panie.

— A cóż ty będziesz tymczasem robił?

— Zajmowałem się sprawami Waszej Królewskiej Mości dosyć czynnie. Czy Wasza Królewska Mość pozwoli mi teraz zająć się trochę moimi własnymi?

— Pozwalam ci, de Mouy; lecz cóż to za sprawy?

— Posłuchaj, Najjaśniejszy Panie: Orthon powiedział mi (jest to bardzo roztropny chłopiec, polecam go Waszej Królewskiej Mości), że spotkał wczoraj obok Arsenału tego rozbójnika Maurevela, który wyzdrowiał dzięki staraniom Reného i wygrzewa się na słońcu jak wąż.

— Ach! Rozumiem — rzekł Henryk.

— Ach! Rozumiesz... to dobrze... Kiedyś będziesz królem, Najjaśniejszy Panie, i jeżeli będziesz miał zemścić się na kim, zemścisz się po królewsku. Ja jestem żołnierzem, winienem więc zemścić się po żołniersku. Kiedy więc wszystkie nasze interesy będą uporządkowane, na co potrzeba pięciu lub sześciu dni, w czasie których rozbójnik ten wydobrzeje, pójdę także przejść się koło arsenału i przygwożdżę go do trawy czterema dobrymi pchnięciami. Po czym z lekkim sercem opuszczę Paryż.

— Załatwiał swe interesy, mój przyjacielu — powiedział Bearneńczyk. — Ale, ale, czy jesteś zadowolony z La Mole'a?

— Ach! Zachwycający młodzieniec, przywiązany do ciebie, Najjaśniejszy Panie, duszą i ciałem, i na którego możesz liczyć jak na mnie... odważny...

— A nade wszystko przezorny; wezmę go z sobą, do Nawarry; tam pomyślimy, jak go wynagrodzić.

Gdy Henryk kończył te wyrazy z cierpkim uśmiechem, drzwi nagle się otworzyły i ten, o którym właśnie była mowa, wpadł blady i zadyszany.

— Prędzej, Najjaśniejszy Panie, prędzej! — krzyknął La Mole. — Dom jest otoczony.

— Otoczony! — zawołał Henryk, wstając. — A przez kogo?

— Przez królewską gwardię.

— Och! Och! — rzekł de Mouy, wyciągając pistolety zza pasa. — Zdaje się, że będzie bitwa.

— Bardzo wiele pomoże panu pistolet przeciwko pięćdziesięciu ludziom!

— Ma słuszność — rzekł król — gdyby był jaki środek ucieczki...

— Znam jeden, którego już sam raz używałem, i jeżeli Wasza Królewska Mość zechcesz iść za mną...

— A de Mouy?

— I on, jeśli chce, może także iść z nami; tylko trzeba pośpieszyć. Na schodach dały się słyszeć kroki.

— Już za późno — powiedział Henryk.

— Ach! Gdyby ich można czymś zająć przez pięć minut — zawołał i La Mole — a ręczyłbym za bezpieczeństwo króla.

— Ocal pan króla — rzekł de Mouy — a ja ich zatrzymam. Uciekaj, Najjaśniejszy Panie!

— A ty?

— Nie troszcz się o mnie, Najjaśniejszy Panie, tylko uciekaj!

I de Mouy ukrył talerz, serwetę i szklankę króla, aby wrogowie sądzili, że sam tylko jadł kolację.

— Chodź, Najjaśniejszy Panie, chodź — zawołał La Mole, biorąc króla za rękę i ciągnąc go na schody.

— De Mouy! Mój waleczny de Mouy! — zawołał Henryk, wyciągając do niego rękę.

De Mouy pocałował podaną rękę, wyprowadził króla z pokoju i zamknął za nim drzwi na rygiel.

— Rozumiem — rzekł Henryk — on odda się w ręce nieprzyjaciół, gdy tymczasem my ocalimy się ucieczką; lecz któż, u diabła mógł nas zdradzić?

— Chodź, Najjaśniejszy Panie, już się zbliżają.

W rzeczy samej blask pochodni zaczął się już ślizgać po murze, a na dole dał się słyszeć brzęk broni.

— Prędzej, prędzej, Najjaśniejszy Panie — rzekł La Mole.

I prowadząc króla w ciemności, przeszedł dwa piętra, pchnął drzwi pokoju, zamknął je za sobą na rygiel i otworzywszy okno, zapytał:

— Czy Wasza Królewska Mość nie boisz się podróżować po dachach?

— Ja? — odpowiedział Henryk. — Strzelec ozardzki miałby się obawiać dachów!

— Niech więc Wasza Królewska Mość uda się za mną; znam już tę drogę i będę służył za przewodnika.

— Idź, idź — rzekł Henryk.

La Mole wyskoczył z okna i przeszedł po rynnie do miejsca równego, utworzonego przez dwa dachy. Tutaj znaleźli okienko bez szyb, wychodzące z nie zamieszkanego strychu.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział La Mole — otóż jesteśmy u portu.

— Ach! Tym lepiej — odrzekł Henryk.

I otarł blade czoło, na które wystąpiły krople potu.

— Teraz — rzekł La Mole — rzeczy pójdą same z siebie. Ze strychu schody prowadzą na korytarz, a korytarz na ulicę. Odbywałem już tę drogę, lecz jeszcze straszniejszej nocy.

— Naprzód — powiedział Henryk.

La Mole przelazł pierwszy przez okno, otworzył źle zamknięte drzwi i podając królowi sznurek służący za poręcz u schodów, rzekł:

— Chodź, Najjaśniejszy Panie.

Uszedłszy połowę schodów, Henryk zatrzymał się, znalazł się bowiem przy oknie wychodzącym na podwórze oberży „Pod Piękną Gwiazdą”, Widać stąd było, jak po przeciwnych schodach przebiegali żołnierze, jedni niosąc w ręku szpady, a drudzy pochodnie.

Nagle pośród jednej grupy król Nawarry spostrzegł de Mouya, który oddał swą szpadę i schodził, spokojnie.

— Biedny chłopiec! — rzekł Henryk. — Wierne serce!

— Na honor, Najjaśniejszy Panie! — powiedział La Mole. — Niech Wasza Królewska Mość uważa, jaki on spokojny, nawet się uśmiecha. Niezawodnie dobra myśl zabłysła mu w głowie, bo Wasza Królewska Mość wiesz, że de Mouy rzadko się śmieje. — A ten młody człowiek, co był z panem?

— Pan de Coconnas? — spytał La Mole.

— Tak, pan de Coconnas. Co się z nim stało?

— O! Najjaśniejszy Panie, jestem o niego zupełnie spokojny. Spostrzegłszy żołnierzy, zapytał mnie: „Czy ryzykujesz co?”

— Głowę — odpowiedziałem.

— Czy ocalisz się?

— Mam nadzieję.

— I ja także.

— I przysięgam ci, Najjaśniejszy Panie, że się uratuje. Gdyby jego wzięto, toby znaczyło, że życzy sobie tego.

— A więc — rzekł Henryk — wszystko idzie dobrze; teraz starajmy się dostać do Luwru.

— Ach! Mój Boże — powiedział La Mole — nic łatwiejszego, Najjaśniejszy Panie. Owińmy się w płaszcze i wyjdźmy. Ulica pełna narodu zbiegającego się na hałas; wezmą nas za jakich gapiów.

W istocie Henryk i La Mole nie znaleźli innych przeszkód przy wyjściu oprócz tłumów pospólstwa zalegającego ulicę.

Dostali się na ulicę d’Averon, lecz przybywszy na ulicę des Poulies, ujrzeli z dala de Mouya i eskortującą go straż, dowodzoną przez kapitana de Nancey’a; przechodzili oni plac Saint-Germain-l’Auxerrois.

— Ach! Ach! — powiedział Henryk. — Zdaje się, że go prowadzą do Luwru. Do diabła! Zamkną bramy... Będą się pytać o nazwiska wszystkich wchodzących i jeśli mnie zobaczą idącego tuż za nim, mogą łatwo wnieść, że byłem z nim razem.

— A więc wejdź, Najjaśniejszy Panie, do Luwru nie przez bramę. — Jakżeż, u diabła, chcesz, żebyś wszedł?

— A przez okno królowej Nawarry?

— Masz słuszność, panie de La Mole. Że też ja o tym nie pomyślałem! Lecz jak dać znak królowej?

— Och! — rzekł La Mole, z uszanowaniem się kłaniając. — Wasza Królewska Mość tak celnie rzucasz kamieniami!

ROZDZIAŁ XLVII DE MOUY DE SAINT-PHALE

Na ten raz Katarzyna przedsięwzięła wszystkie możliwe środki ostrożności i nie wątpiła nawet o pomyślnym skutku.

Dlatego też około dziesiątej godziny pozwoliła odejść Małgorzacie, będąc przekonaną, w czym się zresztą i nie myliła, że królowa Nawarry nic nie wie o okrutnym przeciwko jej mężowi spisku.

Następnie udała się do króla, prosząc go, żeby się jeszcze nie kładł spać.

Wyraz triumfu, który mimo iż starała się go ukryć, malował się na twarzy Katarzyny, wzbudził ciekawość Karola. Zaczął więc dopytywać się matki, na co ona odpowiedziała mu tymi słowy:

— Jedną tylko rzecz mogę powiedzieć Waszej Królewskiej Mości; dzisiejszego wieczora będziesz uwolniony od dwóch najzaciętszych nieprzyjaciół.

Karol poruszył brwiami, jak by chciał powiedzieć; „Dobrze, zobaczymy”.

I gwizdnąwszy na wielkiego charta, który jak wąż przyczołgał się do niego na brzuchu i położył rozumną głowę na kolanach swego pana, czekał.

Po upływie kilku minut, podczas których Katarzyna przysłuchiwała się nastawiwszy ucha, rozległ się na podwórku Luwru wystrzał pistoletowy. — Co to za hałas? — zapytał Karol, marszcząc brwi; chart zerwał się i postawił uszy.

— To nic — odpowiedziała Katarzyna. — To tylko sygnał.

— A co znaczy ów sygnał?

— Znaczy, że od tej chwili twój jedyny, twój prawdziwy nieprzyjaciel już ci nie może szkodzić.

— Czyżby miano zabić człowieka? — zapytał Karol, rozkazującym okiem spoglądając na Katarzynę, jak gdyby chciał jej powiedzieć, że śmierć i przebaczenie są nieodłączną własnością władzy królewskiej.

— Nie, Najjaśniejszy Panie; tylko dwóch uwięziono.

— Och! — mruknął Karol. — Wiecznie te tajemnicze spiski, knowania, o których król nic nie wie. Na szatana! Już nie jestem dzieckiem, moja matko; mogę sam czuwać nad sobą i nie potrzebuję żadnej pomocy.

— Mój synu — powiedziała Katarzyna — ostatni to już raz mieszam się w twoje czynności. Lecz to było przedsięwzięcie już od dawna zaczęte, w którym mi nigdy słuszości przyznać nie chciałeś; ja zaś koniecznie chciałam na swoim postawić i dowieść Waszej Królewskiej Mości, że mam rację.

W tej chwili mnóstwo ludzi zatrzymało się w przedsionku i rozległ się szczeł opuszczonych na podłogę kolb od muszkietów.

Prawie natychmiast pan de Nancey poprosił o pozwolenie wejścia do króla. — Niech wejdzie — spieszenie powiedziała Katarzyna. Pan de Nancey wszedł, skłonił się i rzekł do Katarzyny:

— Pani! Rozkazy Waszej Królewskiej Mości są spełnione: wzięto go.

— Jak to? — zawołała pomieszana Katarzyna. — Więc pan wzięłeś tylko jednego?

— Był sam, pani.

— I bronił się?

— Nie, jadł spokojnie kolację w pokoju i oddał swą szpadę na pierwsze wezwanie.

— Kto taki? — zapytał król.

— Zaraz zobaczysz — powiedziała Katarzyna. — Panie de Nancey, każ wejść więźniowi.

Za pięć minut Wprowadzono de Mouya.

— De Mouy! — zawołał król. — A co pan powiesz?

— Ech! Najjaśniejszy Panie — odrzekł de Mouy z doskonałym spokojem — jeżeli Wasza Królewska Mość pozwoli, gotów jestem zadać ci to samo pytanie.

— Zamiast zadawania podobnych pytań królowi — rzekła Katarzyna — zechciej, panie de Mouy, powiedzieć memu synowi, co to za człowiek znajdował się w pokoju króla Nawarry pewnej nocy i sprzeciwiając się rozkazowi Jego Królewskiej Mości, jak jaki buntownik, zabił dwóch żołnierzy i ranił pana de Maurevel?

— W rzeczy samej — rzekł Karol, zmarszczywszy brwi — czy nie znasz nazwiska tego człowieka, panie de Mouy?

— Znam, Najjaśniejszy Panie. Czy Wasza Królewska Mość pragniesz go poznać?

— Przyznaję, że zrobiłoby mi to wielką przyjemność.

— Nazywa się de Mouy de Saint-Phale.

— Więc to pan byłeś?

— Ja sam.

Katarzyna, zdziwiona tą śmiałością, cofnęła się o krok.

— Jaksz pan śmiał przeciwieć się rozkazowi króla?

— Naprzód nie wiedziałem, Najjaśniejszy Panie, że Wasza Królewska Mość wydałaś jakiś rozkaz; oprócz tego, widziałem tylko jednego Człowieka, Maurevela, mordercę mego ojca i admirala. Przypomniałem sobie wtedy, że pół roku temu tu, w tym samym pokoju, w wieczór 24 sierpnia, Wasza Królewska Mość obiecałaś ukarać zabójcę; od tego czasu upłynęło dużo ważnych wypadków i sądziłem, że król nie z własnej woli nie dotrzymał słowa. Zobaczywszy Maurevela, uznałem, że go samo niebo zsyła. Resztę wiesz, Najjaśniejszy Panie; rzuciłem się nań jak na mordercę, a na jego ludzi jak na bandytów.

Karol nic nie odpowiedział; jego przyjaźń z Henrykiem zniewalała go teraz do patrzenia na wiele rzeczy z zupełnie innego stanowiska niż poprzednio.

Królowa-matka zachowała w pamięci pewne wyrażenia Karola, co się tyczy nocy świętego Bartłomieja; przebijały się w nich jakby wyrzuty sumienia.

— Lecz co za interes przywiódł pana o tej godzinie do króla Nawarry? — zapytała królowa-matka.

— To długa historia — odpowiedział de Mouy — lecz jeśli Jego Królewska Mość będzie cierpliwym i zechce usłuchać...

— Chcę słuchać — rzekł Karol — zacznij więc.

— Będę posłuszny, Najjaśniejszy Panie — powiedział de Mouy, kłaniając się.

Katarzyna usiadła, utkwivszy w młodym wojaku niespokojne spojrzenie.

— Słuchamy — rzekł Karol. — Akteon, tu!

Pies położył się na poprzednio zajmowanym miejscu.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział de Mouy — przychodziłem do Jego Królewskiej Mości króla Nawarry jako deputowany naszych braci hugenotów, wiernych poddanych Waszej Królewskiej Mości.

Katarzyna dała znak Karolowi IX.

— Bądź spokojna, moja matko — rzekł tenże. — Nie stracę ani jednego słowa. Mów dalej, panie de Mouy.

— Aby uprzedzić króla Nawarry, że jego wyrzeczeniem się wiary pozbawiono ufności hugenotów, lecz że jednak, na pamięć jego ojca, Antoniego de Bourbon, a nade wszystko na

pamięć jego matki, odważnej Joanny d'Albret, której imię bardzo jest u nas poważane, hugonoci proszą go, aby zrzekł się swoich praw do nawarskiej korony.

— Co on mówi? — zawołała Katarzyna, nie mogąc pomimo władzy, jaką miała nad sobą, obojętnie wysłuchać tej niespodziewanej wiadomości.

— Ach! Ach! — rzekł Karol. — Zdaje mi się jednak, że ta nawarska korona, którą bez mego pozwolenia z głowy na głowę przenoszą, i mnie się po części przynależy.

— Hugonoci więcej niż kto inny uznają tę prawdę — odpowiedział de Mouy. — Nawet spodziewali się uprosić Waszą Królewską Mość, że pozwolisz włożyć ją na tak drogą dla ciebie głowę.

— Na drogą dla mnie głowę! — rzekł Karol. — Na szatana! O jakiej to głowie chcesz pan mówić? Nie rozumiem cię.

— O głowie księcia d'Alencon.

Katarzyna zbladła jak śmierć i przeszła de Mouya płomienistym spojrzeniem.

— I mój brat d'Alencon wiedział o tym?

— Wiedział, Najjaśniejszy Panie.

— I zgadzał się przyjąć tę koronę?

— Jedynie tylko za pośrednictwem Waszej Królewskiej Mości, do którego nas odesłał.

— Och! Och! — rzekł Karol. — W rzeczy samej, korona ta bardzo dogodna będzie naszemu bratu d'Alencon. A ja nawet o tym nie pomyślałem! Dziękuję ci, de Mouy, dziękuję! Z podobnymi planami dobrze cię przyjmą w Luwrze.

— Wasza Króлева Mość już byś się dawno o wszystkim dowiedział, gdyby nie ów nieszczęsny wypadek w Luwrze.

Obawiałem się nawet, czy nie popadnę czasem w niełaskę Waszej Królewskiej Mości!

— Tak; lecz cóż mówił król Nawarry na ten plan? — zapytała Katarzyna.

— Król zgadzał się na nasze życzenie i jego zrzeczenie było już gotowe.

— W takim razie — zawołała Katarzyna — musisz pan mieć to zrzeczenie?

— Mam je w istocie — odpowiedział de Mouy — jest ono podpisane i oznaczone datą. Zdaje mi się, że je nawet mam przy sobie.

— Czy data napisana jest przed wypadkiem w Luwrze? — spytała Katarzyna.

— Zdaje się, że w przeddzień tego wypadku.

I de Mouy dostał z kieszeni zrzeczenie się tronu na rzecz księcia d'Alencon, napisane i podpisane ręką Henryka i noszące wyżej wspomnianą datę.

— Na honor! Wszystko jest, jak być powinno — powiedział Karol.

— Cóż żądał Henryk w zamian korony?

— Nic, pani. Przyjaźń króla Karola — mówił nam — hojnie powetuje mi stratę korony.

Katarzyna ze złości przygryzła usta.

— Zaiste, wszystko jest dokładnie tak, jak mówisz, de Mouy — dodał król.

— A więc, jeżeli wszystko zostało już ukończone między panem i królem Nawarry, jakież ma cel schadzka, którą pan miałeś z nim dzisiejszego wieczoru?

— Ja, pani, z królem Nawarry? — rzekł de Mouy. — Ten, co mnie aresztował, może przysiąc, że byłem sam. Niech go Wasza Króлева Mość zawoła.

— Panie de Nancey! — zawołał Karol. Kapitan wszedł.

— Panie de Nancey — powiedziała żywo Katarzyna — czy pan de Mouy był sam jeden w oberży „Pod Piękną Gwiazdą”?

— W pokoju sam, lecz w oberży nie.

— Ach! — rzekła Katarzyna. — Któż był jego towarzyszem?

— Nie wiem, czy to był towarzysz pana de Mouya, wiem tylko, że umknął tylnymi drzwiami, powaliwszy na ziemię dwóch moich żołnierzy.

— Bez wątpienia poznałeś go pan?

— Nie ja, lecz moi żołnierze.

— Któż to był? — spytał Karol IX.

— Hrabia Annibal de Coconnas.

— Annibal de Coconnas! — powtórzył król w zamyśleniu. — Ten, co tak strasznie rznął hugenotów podczas nocy świętego Bartłomieja?

— Pan de Goconnas ze świty księcia d'Alencon — powiedział Nancey.

— Dobrze, dobrze — rzekł Karol IX. — Oddał się, panie de Nancey, lecz na drugi raz nie zapominaj o jednej rzeczy...

— O jakiej, Najjaśniejszy Panie?

— Że mnie służysz i mnie tylko słuchać powinieneś. Nancey wyszedł, z uszanowaniem się skłoniwszy. De Mouy posłał ironiczny uśmiech Katarzynie.

Przez chwilę trwało milczenie. Królowa skręcała jedwabne sznurki swego pasa. Karol głąskał psa.

— Lecz jakież pan miałeś cel? — mówił dalej Karol. — Czy pan występowałeś zbrojnie?

— Przeciwno komu, Najjaśniejszy Panie?

— Przeciwno Henrykowi, przeciwno Franciszkowi albo przeciwno mnie? — Najjaśniejszy Panie, mieliśmy zrzeczenie twego szwagra, przyzwolenie twego brata; toteż, jak już miałem honor powiedzieć, byliśmy gotowi prosić potwierdzenia Waszej Królewskiej Mości, gdy oto nagle zaszło to nieszczęsne zdarzenie z Maurevelem.

— A więc, moja matko — rzekł. Karol — nie widzę tu nic złego. Ty, panie de Mouy, miałeś zupełne prawo żądać króla. Tak; Nawarra może być i powinna być oddzielnym królestwem. Jest ona jakby umyślnie stworzona dla mego brata d'Alencon, który tak zawsze tęskni za koroną, że nie może spuścić oczu z mojej, jeśli ją włożę na głowę. Jedyną przeszkodą było prawo Henryka! Lecz ponieważ Henryk zrzeka się dobrowolnie...

— Dobrowolnie, Najjaśniejszy Panie.

— Zdaje się, że to jest wola Boga! Panie de Mouy, możesz powrócić do swych braci, których wprawdzie ukarałem... cokolwiek za surowo, lecz ja z tego zdam sprawę Bogu; i powiedz im, że ponieważ żądają na króla Nawarry mego brata księcia d'Alencon, król Francji zgadza się. Od tej chwili Nawarra jest królestwem, a król nazywa się Franciszek. Żądam tylko ośmiu dni, aby mój brat opuścił Paryż w pełni blasku i przepychu przynależnego królewskiej godności. Idź, panie de Mouy, idź! Panie de Nancey, przepuść pana de Mouy; jest wolny.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział de Mouy, zbliżając się na krok — czy pozwolisz?

— Tak — rzekł król.

I wyciągnął rękę do młodego hugenota.

De Mouy zgiął kolano i z uszanowaniem pocałował dłoń króla.

— Ale, ale — rzekł król, wstrzymując go właśnie w chwili, kiedy chciał wstać — zdaje mi się, żeś prosił o wymierzenie ci sprawiedliwości na tym rozbójniku Maurevelu?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Nie wiem, gdzie on się teraz znajduje, gdyż się ukrywa. Lecz jeżeli go spotkasz, sam mu wymierz sprawiedliwość; daję ci do tego zupełne prawo, nawet z— całego serca.

— Ach! Dziękuję ci, Najjaśniejszy Panie! — zawołał de Mouy. — Nie wiem także, gdzie on jest, lecz mam nadzieję, że go znajdę.

I de Mouy, nisko się skłoniwszy Karolowi i królowej Katarzynie, wyszedł bez żadnej przeszkody pośród żołnierzy, którzy go przyprowadzili. Przeszedł korytarze, wkrótce znalazł się

przy bramie i wydostawszy się na plac Saint–Germain–l’Auxerrois, zaczął biec ze wszystkich sił ku obozowi „Pod Piękną Gwiazdą”. Tam znalazł swego konia, dzięki któremu w trzy godziny po opuszczeniu Paryża odetchnął wolniej za murami Mantes.

Katarzyna, hamując gniew, udała się do swego mieszkania, z którego przeszła do pokoi Małgorzaty.

Tutaj znalazła Henryka kładącego się do łóżka.

— Ach! — mruzczała królowa. — Szatanie, pomóż biednej królowej, kiedy Bóg już ją opuszcza!

ROZDZIAŁ XLVIII

DWIE GŁOWY NA JEDNĄ KORONĘ

— Poprosić do mnie pana d'Alencon — zawołał Karol po wyjściu matki.

Nancey, odebrawszy rozkaz służenia tylko jednemu królowi, pobiegł do księcia, któremu dosłownie powtórzył rozkaz Karola IX.

D'Alencon zdrzął; drzął zawsze przed Karolem; tym większy miał do tego powód teraz, kiedy przyjął uczestnictwo w spisku.

Z tym wszystkim nie wahał się i natychmiast pośpieszył do brata. Karol stał na środku pokoju i pogwizdywał jakąś myśliwską piosenkę. Książę, wchodząc, spostrzegł, że szklane oczy króla pałają nienawiścią.

— Wasza Królewska Mość rozkazałaś mnie zawołać. Oto jestem na twe usługi, Najjaśniejszy Panie!

— Chciałem ci powiedzieć, kochany bracie, iż w nagrodę za tve ku mnie przywiązanie mam zamiar spełnić twoje jedyne życzenie.

— Moje jedyne życzenie?

— Tak jest, twoje życzenie. Przypomnij sobie, o czym też to myślisz coraz częściej od niejakiego czasu; nie śmiesz mnie tylko o to prosić, lecz ja zezwalam.

— Najjaśniejszy Panie! przysięgam ci, iż jedynym moim życzeniem jest, abyś ty, królu, był ciągle zdrow.

— W takim razie, mój bracie, możesz się cieszyć. Choroba, która mnie męczyła podczas bytności Polaków, już przeszła. Dzięki Henrykowi zostałem uratowany od klów rozżartego dzika, i teraz jestem jak najzdrowszy. A wcale nie przestając być moim dobrym bratem, możesz mieć jeszcze inne życzenie.

— Inne nie mam, Najjaśniejszy Panie.

— Nie, nie, Franciszku — przerwał Karol zniecierpliwiony — pragniesz korony nawarskiej i już przedsięwziąłeś w tym celu stosowne kroki, porozumiewasz się z Henrykiem i de Mouyem. Pierwszy zrzeka się korony, a drugi obiecuje ci ją. Doskonale! Henryk się zrzeka, de Mouy wyznał mi twoje życzenie, a ta korona, której żądasz...

— Cóż takiego? — zapytał d'Alencon drżącym głosem.

— Na szatana! Ona należy do ciebie!

D'Alencon zbladł strasznie; wkrótce jednak krew, która ścisnęła mu serce, odpłynęła z powrotem i na twarz jego wystąpiły żywe rumieńce. W tej chwili łaska króla przyprowadziła go do rozpacz.

— Lecz, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział książę zmieszany i na próżno usiłując się uspokoić — ja wcale nie chciałem, nie żądałem czegoś podobnego.

— Być może — powiedział król — gdyż bardzo jesteś skromny, mój bracie. Tyś niczego nie wymagał, lecz inni prosili za ciebie. — Najjaśniejszy Panie, przysięgam ci, że nigdy...

— Nie przysięgaj.

— A więc Najjaśniejszy Panie, wypędzasz mnie?

— Jak to, Franciszku, nazywasz to wypędzaniem? Na szatana! Bardzo ci trudno dogodzić... Czegóż więc jeszcze chcesz?

D'Alencon zagryzł usta z rozpacz.

— Na honor! — mówił dalej Karol, udając naiwnego. — Nigdy bym nie pomyślał, żeś się stał do tego stopnia popularny, nade wszystko między hugenotami; lecz oni chcą ciebie, a ja muszę

przyznać, że się mylił. Zresztą nie mogłem mieć korzystniejszego życzenia: postawić na czele stronnictwa, które już od lat trzydziestu ciągle jest z nami w wojnie, człowieka wiernego, kochającego mnie i niezdolnego do zdrady brata. To uspokoi całe stronnictwo niby czarodziejską siłą, nie wspominając już o tym, że cała rodzina będzie się składać z królów. Tylko biedny Henryk pozostanie moim przyjacielem. Lecz on nie jest dumny i zadowolony tym tytułem, o który się nikt nie stara.

— Mylisz się, Najjaśniejszy Panie! O tytuł ten ja się staram... i któż ma więcej do niego praw niż ja?... Henryk jest tylko twoim szwagrem; jam brat twój z krwi i serca. Błagam cię więc, pozostaw mnie przy sobie.

— Nie, nie, kochany Franciszku, byłoby to twoim nieszczęściem.

— Jak to?

— Dla wielu przyczyn.

— Lecz pomyśl, Najjaśniejszy Panie; czy znajdziesz w kim tak wiernego przyjaciela jak ja? Od samego dzieciństwa nie opuszczałem cię ani na chwilę.

— Wiem o tym, wiem; bywały nawet chwile, w których życzyłem sobie, ażebyś był ode mnie z daleka.

— Co chcesz powiedzieć, królu?

— Nic, nic... Ach! Franciszku, jak ci zazdroszczę! Jakie tam polowania! Czy wiesz, że w tych diabelskich górach będziesz mógł iść na niedźwiedzia jak tu u nas na dzika? Będziesz mi dostarczać najpiękniejszych futer. Tam na niedźwiedzia poluje się tylko z nożem; myśliwy szuka tropu zwierza, znalazłszy go, zaczyna się niedźwiedziowi sprzeciwiać i drażnić, zwierzę rzuca się na strzelca i w odległości czterech kroków powstaje na tylne łapy. Wtedy trzeba mu wepchnąć w serce nóż, jak to zrobił Henryk na ostatnim polowaniu. Jest to polowanie niebezpieczne; lecz ty, Franciszku, jesteś odważny i tego rodzaju niebezpieczeństwo będzie ci sprawiać rozkosz.

— Najjaśniejszy Panie podwajasz mój smutek! Już bowiem bym nigdy z tobą nie polował.

— Na rogi szatana! Tym lepiej. Jakoś we dwóch, gdy jesteśmy razem, wcale się nam nie sztykuje na polowaniu.

— Co przez to chcesz rozumieć, Najjaśniejszy Panie?

— Chcę rozumieć, że polując razem ze sobą, bywasz w takim zapale, osobiwie jak ci się to przytrafiło podczas ostatniego polowania, że ty, uosobiona złość, ty, strzelec zabijający srokę w odległości stu kroków z rusznicy, o dwadzieścia kroków spuściłaś do dzika i strzaskałaś nogę memu najlepszemu koniowi. Na piekło! Czy wiesz, Franciszku, że to rodzi podejrzenie...

— Przebacz mi, byłem w zapale — przerwał książe, niemal siny ze złości.

— Tak jest, w zapale, wiem o tym; z powodu to tego zapалу, o którym wiem, co mam sądzić, Franciszku, mówię ci, lepiej by było, żebyśmy polowali z daleka jeden od drugiego. Pomyśl o tym dobrze, lecz na osobności, bo moja obecność, jak mi się zdaje, miesza cię. A przyznasz, iż mam słuszne powody do obawy, ażebyś na jakim polowaniu nie wpadł w zapal i zamiast do konia nie strzelił do jeźdźcy, zamiast zabić dzika, nie zabił króla. Na szatana! Kula, bijąca cokolwiek za wysoko lub za nisko, znacznie zmienić może położenie władców, a właśnie przykład tego mieliśmy już w swojej rodzinie. Kiedy Montgomery przypadkiem zabił naszego ojca Henryka II, być może także będąc w zapale, kula jego wprowadziła na tron naszego brata Franciszka II, a naszego ojca Henryka wtrąciła do grobu w Saint-Denis. Bóg potrzebuje niewiele do spełnienia wielkich czynów!

Książę czuł, jak zimny pot występuje mu na czoło podczas tych zjadliwych wyrzutów. Król nie mógł powiedzieć jaśniej, wszystko zrozumiał. Karol, owijając swój gniew w żarty, był straszniejszy, niż gdyby lawie gniewu pozwolił się wylać z serca. Jego zemsta była równie skryta

jak i nienawiść, którą pałał ku bratu. Pierwszy to raz d'Alencon pożałował, iż nie udała mu się zbrodnia. D'Alencon bił się z myślami, usiłując zachować zimną krew, lecz ostatnie słowa Karola zmusiła go do spuszczenia oczu.

Karol utkwiał w bracie swoje przejmujące spojrzenie i jakby wysysał tym wzrokiem wszystkie wrażenia rodzące się w sercu młodego człowieka. Tak milczał przez chwilę, spoglądając na Franciszka, niemego i zgnębitego; następnie, głosem zdradzającym niezmiennie postanowienie, rzekł:

— Objawiliśmy ci naszą wolę, mój bracie; jest ona niezłomna: odjedziesz! D'Alencon zrobił ruch i chciał mówić. Karol udał, iż tego nie spostrzega, i mówił dalej:

— Chcemy, ażeby Nawarra chełpiła się tym, iż jej królem jest brat króla francuskiego. Władzę, honory, będziesz miał wszystko, co tylko przystoi twojemu stanowi i podobnie jak Henryk— dodał Karol z uśmiechem — będziesz mnie błogosławić z daleka.

Błogosławieństwa nie znają przestrzeni.

— Najjaśniejszy Panie...

— Przyjm koronę, nie odmawiaj mi dłużej. Skoro zostaniesz królem, wyszukają ci małżonkę godną księcia francuskiego. Kto wie, być może, iż ta małżonka da ci drugi tron.

— Lecz, Najjaśniejszy Panie, zapominasz o Henryku.

— O Henryku! Przecież mówię ci, iż on nie chce tej nawarskiej korony. Henryk zrzeka się jej na rzecz twoją. Henryk to wesóły chłopiec, nie taki bladej wymoczek jak ty. Henryk chce się bawić na wolności, a nie schnąć pod koronami, jak to my czynimy.

D'Alencon westchnął.

— A więc Wasza Królewska Mość rozkazuje mi zająć się...

— Nic, nie. Nie troszcz się o nic; ja sam zajmę się wszystkim. Spuść się na mnie, jako na dobrego brata. Teraz już postanowione, możesz więc odejść. Możesz powiedzieć lub nic nie wspominać swoim przyjaciółom o naszej rozmowie, wszystko jedno; ja bowiem przedsięwezmę kroki, ażeby nasze postanowienie stało się głośnym. Idź, Franciszku.

Nie było co odpowiedzieć. Książę uklonił się i wyszedł z gniewem w sercu. D'Alencon pałał chęcią zobaczenia się z Henrykiem, ażeby mu wszystko opowiedzieć. Lecz znalazł tylko Katarzynę. Henryk unikał objaśnień, a królowa—matka szukała ich. Książę, spostrzegłszy matkę, starał się ukryć swój gniew i chciał się uśmiechać. Nie był on tak szczęśliwy jak Henryk Andegaweński; nie szukał więc w Katarzynie matki, lecz sprzymierzeńca. Zaczął od obłudy; ponieważ, chcąc zawrzeć korzystny związek, trzeba, ażeby obydwie strony cokolwiek się oszukiwały.

D'Alencon zbliżył się do Katarzyny z twarzą nieco zakłopotaną i zapytał:

— Czy znasz, pani, ważne nowiny?

— Znam. Chcą cię zrobić królem.

— Jest to wielka łaska dla mnie ze strony mego brata.

— I ja tak sędzę.

— Ja zaś jestem gotów myśleć, iż w części i pani muszę za to podziękować; bo jeżeliś pani poradziła memu bratu, ażeby mi ofiarował tron, tron ten winienem zawdzięczać sobie. Zresztą przyznam się, że mi żal obedrzeć Henryka Nawarskiego.

— Zdaje mi się, że bardzo kochasz Henryka?

— Tak jest; od niejakiego czasu istnieją między nami bardzo bliskie stosunki.

— Myślisz więc, że on kocha cię tak jak ty jego?

— Spodziewam się, pani.

— Zaiste, przyjaźń tego rodzaju między książętami jest bardzo budująca; gdyż przyjaźń dworska przeważnie nie jest stałą.

— Weź, pani, pod uwagę, że jesteśmy nie tylko przyjaciółmi, lecz prawie braćmi.

Katarzyna uśmiechnęła się złowieszczo.

— Dobrze — powiedziała — a czy królowie bywają braćmi?

— Och! Wszak my jeszcze nie byliśmy królami, kiedy już byliśmy przyjaciółmi; wtedy nawet nie myśleliśmy być królami; oto dlaczego się kochamy.

— Tak, lecz teraz okoliczności bardzo się zmieniły.

— Jak to?

— Naturalnie; skądże bowiem wiesz, że obydwoj będziecie królami? Ze drżenia, które przebiegło po ciele Franciszka, z rumieńców, które mu wystąpiły na policzki, Katarzyna poznała, że trafiła do celu.

— Henryk królem? A jakiegoż królestwa? — zapytał księżę.

— Jednego z najpiękniejszych w chrześcijańskim świecie.

— Co mówisz, matko?! — zawołał d'Alencon błędąc.

— Mówię to, o czym dobra matka powinna powiedzieć swemu synowi; mówię to, o czym już, Franciszku, nieraz myślałem.

— Przysięgam ci, matko, że o niczym nie myślałem.

— Gotowam temu wierzyć; gdyż twój przyjaciel, twój brat Henryk, jak go nazywasz, jest zręczny i chytry, pod pozorem dobroduszości umie lepiej niż ty ukryć tajemnice swego serca. Na przykład, czy też ci kiedy mówił, że de Mouy jest jego powiernikiem?

Przy tych słowach Katarzyna utkwiała swój badawczy wzrok w twarzy księcia.

Lecz Franciszek miał jedną wielką zaletę, a raczej jedną wielką przywarę; umiał się maskować. Wytrzymał więc z doskonałym spokojem spojrzenie Katarzyny.

— De Mouy! — zawołał zdziwiony, udając, że to nazwisko w podobnych okolicznościach pierwszy raz słyszy.

— Tak jest, de Mouy de Saint-Phale, ten sam hugenot, który omal nie zabił pana de Maurevela i który tajemnie w Paryżu i w całej Francji zbiera armię przeciwko twojej rodzinie.

Katarzyna nie wiedziała, że księżę był o tym powiadomiony tak dobrze ja i ona, a może jeszcze lepiej od niej. Wstała więc i chciała wyjść jak można najwspanialej.

Franciszek zatrzymał ją.

— Matko, jeszcze jedno słówko. Powiedz mi, jakim sposobem Henryk, mało znany i nie mający żadnych środków, może wypowiedzieć naszemu domowi otwartą wojnę?

— Jesteś dziecko! — powiedziała Katarzyna, uśmiechając się. — Wiedz, że Henryk ma więcej aniżeli trzydzieści tysięcy ludzi, że Henrykowi wystarczy powiedzieć tylko jedno słówko, ażeby te trzydzieści tysięcy ludzi wyrosły jakby z ziemi; pamiętaj, że te trzydzieści tysięcy ludzi to hugonoci, a hugonoci są najlepszymi żołnierzami w świecie. Oprócz tego Henryk ma opiekuna, którego nie znasz; a raczej postarał się o przyjaźń, o osiągnięciu której ani pomyślałem...

— Cóż to za opiekun?

— Król, który go kocha, który mu pomaga; król, nienawidząc księcia Andegaweńskiego i ciebie, szuka, kogo by zrobić swoim następcą. Chyba oślepieś, jeżeli nie widzisz, iż nie szuka tego następcy w swojej rodzinie.

— Myślisz więc, matko... że król?...

— Jak to! Więc nie dostrzegłeś, jak kocha Henryka, swego Henrysia?

— Tak, wiedziałem o tym.

— Jak to, więc nie dostrzegłeś, że na przywiązanie króla Henryk odpowiada przywiązaniem? I ten sam Henryk, zapominając, że król chciał go zastrzelić podczas nocy świętego Bartłomieja,

łasi się doń jak pies, liże rękę, która go chciała zamordować? — Tak, tak, prawda — pomrukiwał Franciszek — już dawno zauważyłem, że Henryk strasznie się poniża przed Karolem.

— Umie mu dogodzić we wszystkim.

— Do tego stopnia, że chce się nauczyć polowania z sokołami, ponieważ król śmieje się z niego, iż nie zna tego rodzaju polowania. Wczoraj... tak, tak... wczoraj pytał mnie, czy nie mam jakiego dobrego dzieła traktującego o tym przedmiocie.

— Zaczekaj! — zawołała Katarzyna z błyszczącymi oczyma, jak gdyby jakaś myśl opromieniła jej głowę. — I cóżes mu odpowiedział?

— Że poszukam w mojej bibliotece.

— Doskonale. Trzeba mu się postarać o tę książkę.

— Szukałem już, lecz nic nie znalazłem w tym przedmiocie.

— Ale ja znajdę, ja... a ty mu wręczysz książkę od siebie...'

— I cóż stąd?

— Czy mi ufasz, Franciszku?

— Zupełnie, matko!

— Czy chcesz ślepo postępować według moich rozkazów względem Henryka, którego nienawidzisz?

D'Alencon uśmiechnął się.

— I którego ja nienawidzę — dodała Katarzyna.

— Chcę.

— Pojutrze będzie polowanie; przyjdiesz więc do mnie po książkę, którą sam oddasz Henrykowi... i...

— I cóż dalej...

— Resztę pozostaw Bogu, opatrności lub przypadkowi.

Franciszek wiedział dobrze, że matka wcale nie ma zwyczaju w stosunkach z przyjaciółmi lub wrogami spuszczać się na Boga, opatrność lub przypadek, lecz nie powiedział na to ani słowa. Tylko ukłoniwszy się na znak, że gotów jest jej słuchać, wyszedł.

— Co ona chciała powiedzieć? — myślał książę, wchodząc na schody. — Istotnie, nic z tego nie rozumiem. Zdaje się tylko, że ona działa przeciw naszemu wspólnemu nieprzyjacielowi. Nie przeszkadzajmy jej więc.

Tymczasem Małgorzata odebrała za pośrednictwem La Mole'a list od de Mouya pod adresem króla Nawarry. Ponieważ między małżonkami nie było tajemnic w sprawach politycznych, przeto Małgorzata oderwała pieczęć i list przeczytała. Zapewne treść jego musiała być bardzo zajmująca, gdyż skoro tylko skończyła czytać — korzystając przy tym z ciemności zaczynających zalegać Luwr — natychmiast tajemnymi schodami pobiegła na korytarz, gdzie bacznie obejrzawszy się na wszystkie strony, wsunęła się do przedpokoju króla Nawarry.

Od czasu zniknięcia Orthona przedpokój był pusty. Strata Orthona bardzo niepokoiła Henryka, zwierzył się z tym pani de Sauve i jej garderobianej, lecz żadna z nich nic nie wiedziała. Pani de Sauve opowiedziała mu tylko kilka szczegółów, z których Henryk śmiało mógł wnioskować, że biedne dziecko stało się ofiarą jakiejś intrygi Katarzyny i że właśnie wskutek tej intrygi omal go nie aresztowano z de Mouyem w oberży La Hurière'a.

Kto inny, będąc na miejscu Henryka, milczałby, nie śmiejąc powiedzieć ani słowa, lecz Henryk rozmyślał nad wszystkim, zrozumiał więc, że milczenie może go wydać. Nie traci się sługi, a tym bardziej powiernika, nie wpytując się o niego i nie poszukując! Henryk pytał i szukał nawet w obecności króla i samej królowej-matki, dowiadywał się o Orthona u wszystkich, zacząwszy od warty przechadzającej się przy bramie Luwru, aż do kapitana gwardii pełniącego służbę w przedpokoju króla. Lecz wszystkie jego badania i poszukiwania były daremne. Henryk,

zdawało się, tak był przywiązany do swego powiernika, iż wyrzekł, że nikogo nie przyjmie na jego miejsce, dopóki się nie dowie, że stracił Orthona bezpowrotnie.

Jakkolwiek Małgorzata po cichu weszła do przedpokoju, jednakże Henryk usłyszał kroki i obejrzał się.

— Ach! To pani — zawołał.

— Tak jest — odpowiedziała Małgorzata. — Czytaj pan prędko.

Podła mu list otwarty. Oto co zawierał:

Najjaśniejszy Panie! Nadeszła chwila, w której nasz projekt ucieczki wypadłoby wykonać. Za pięć lub sześć dni będzie wielkie polowanie z sokołami wzdłuż brzegów Sekwany, od Saint-Germain aż do Maisons, to jest na przestrzeni całego lasu.

Jedź, królu, na to polowanie, chociaż to tylko polowanie na ptaszki. Pod kaftan weź dobrą kolczugę, do boku przypasz długą szpadę, siądź na najlepszego konia ze swojej stajni.

Około południa, podczas gdy król będzie się uganiać za swoim sokolem, uciekaj sam, jeżeli będziesz sam, lub z żoną, jeżeli ta będzie ci towarzyszyć.

Pięćdziesięciu naszych ukryje się w pawilonie Franciszka I, od którego mamy klucz; nikt nie będzie wiedział o nich, ponieważ dostaną się tam w nocy, a żaluzje u okien będą spuszczone.

Przejeżdżaj aleją des Violettes, w której ja sam będę na warcie. Na prawo w tej alei, w małej wyciętej przestrzeni lasu, będą stać panowie La Mole i Coconnas z dwoma odwodowymi końmi, na wypadek gdyby się twoje, Najjaśniejszy Panie, zmęczyły.

Najjaśniejszy Panie, bądź gotów, czekamy cię.

I Małgorzata wyrzekła słowa, które Cezar przed szesnastoma wiekami wymówił na brzegach Rubikonu.

— Zgadzam się, pani — powiedział Henryk. — Bądź pewna, że cię nie zawiodę.

— Najjaśniejszy Panie, bądź bohaterem, to wcale nietrudne. Idź tylko swoją drogą, a przygotujesz mi piękny tron — powiedziała córka Henryka II.

Lekki uśmiech poruszył usta Beameńczyka. Pocałował żonę w rękę i wyszedł pierwszy, by obejrzeć korytarz; pośpiewywał przy tym starą pioseneczkę.

Ostrożność ta nie była zbyt uczynna, albowiem w tej samej chwili, kiedy Henryk otwierał drzwi do swojej sypialni, d'Alencon otwierał drzwi do swego przedpokoju.

Henryk skinął ręką na Małgorzatę i powiedział głośno:

— Ach! To ty, bracie, proszę cię, proszę.

Małgorzata zrozumiała skinienie męża; udała się więc do garderoby Henryka, której drzwi były zasłonięte dywanem. D'Alencon wszedł bojaźliwie, oglądając się na wszystkie strony.

— Czy jesteśmy sami? — zapytał z cicha.

— Zupełnie sami. No, ale cóż się stało? Zdaje mi się, że jesteś zmartwiony!

— Henryku, jesteśmy odkryci.

— Jak to odkryci?

— Tak jest, aresztowano de Mouya.

— Wiem o tym.

— De Mouy powiedział wszystko królowi.

— I cóż powiedział?

— Że staram się o nawarską koronę i w tym celu uknułem spisek.

— Ach! Ach! — zawołał Henryk — a więc jesteś skompromitowany, mój bracie! Lecz dlaczego jeszcze pozostajesz na wolności?

— Sam nie wiem, król w żartach ofiarował mi nawarską koronę. Bez wątpienia spodziewał się, że mu wyznam wszystko, lecz ja z niczym mu się nie wygadałem.

— I dobrześ zrobił, mój bracie — powiedział Bearneńczyk — bądź ostrożny, od tego zależą nasze głowy.

— Okoliczności są wcale nieosobliwe — odpowiedział Franciszek — i otóż właśnie w tym celu przyszedłem do ciebie po radę. Powiedz mi więc, co mam czynić: uciekać czy pozostać?

— Wszak widziałeś króla i rozmawiałeś z nim?

— Tak jest.

— A więc powinieneś być odgadnąć jego myśli! Postępuj, jak sądzisz, że będzie najlepiej.

— Mnie się zdaje, że byłoby lepiej zostać.

Jakkolwiek Henryk umiał panować nad swoimi uczuciami, nie mógł jednakże powstrzymać odruchu radości. A chociaż natychmiast stłumił ten odruch, dostrzegł go jednak Franciszek.

— A więc pozostań, bracie — rzekł Henryk.

— Lecz ty?...

— Jeżeli ty pozostaniesz — odpowiedział Henryk — to ja nie mam po co uciekać. Chciałem z tobą uciekać dla przyjaźni, dlatego, ażeby się nie rozstać z bratem, którego kocham...

— A więc — przerwał d'Alencon — wszystkie nasze plany upadły, a ty bez woli poddajesz się złemu losowi.

— Ja — rzekł Henryk — wcale się nie gniewam na los kładący mi tu pozostać, dzięki memu niezgryźliwemu charakterowi wszędzie mi dobrze.

— Dajmy na to, że to prawda — odparł d'Alencon — i nie mówmy już o tym lepiej. Tylko gdybyś przypadkiem postanowił coś nowego, nie zaniedbaj mnie o tym uwiadomić.

— Na szatana! Nie omieszkam tego uczynić. Przecież umówiliśmy się, że nie mamy dla siebie żadnych tajemnic.

D'Alencon przerwał rozmowę i zamyślony zabierał się do powrotu. Podczas rozmowy zdawało mu się, że dywan we drzwiach kilka razy się poruszył.

Zaledwie d'Alencon przestąpił próg, Małgorzata uchyliła dywan i weszła z garderoby do pokoju.

— I cóż, pani, myślisz o tych odwiedzinach? — zapytał Henryk.

— Sądzę, że musiało zajść coś nowego i ważnego.

— A podług pani zdania, co by to mogło być takiego?

— Nie wiem, lecz wiedzieć będę.

— A zanim się, pani, dowiesz?...

— Zanim się dowiem, nie zapomnij pan być u mnie dzisiaj wieczorem.

— Będę niezawodnie, pani — odpowiedział Henryk, całując żonę w rękę.

I Małgorzata powróciła do siebie z tą samą ostrożnością, z jaką wyszła.

ROZDZIAŁ XLIX

KSIĄŻKA O MYŚLISTWIE

Upłynęło pięć dni od wypadków wyżej przez nas opowiedzianych. Wybiła czwarta godzina, a już w Luwrze wszystko było na nogach jak zwykle w dni polowania. D'Alencon, według umowy, udał się do Katarzyny.

Katarzyny już nie było w sypialnym pokoju, lecz na wypadek, gdyby ksiązę przyszedł, kazała mu poczekać na siebie. W kilka chwil Katarzyna wyszła z gabinetu, do którego nie wolno było wchodzić, a w którym robiła różne chemiczne doświadczenia. Czy przez cokolwiek uchylone drzwi, czy też z sukien królowej rozszedł się jakiś nieprzyjemny odór. Przez uchylone drzwi d'Alencon dostrzegł w gabinecie gęsty obłok dymu. Ksiązę z ciekawością zagłębiał wzrok w gabinecie.

— Spaliłam jakieś stare pergaminy — powiedziała Katarzyna de Medici — i stąd to pochodzi ów nieprzyjemny odór, dla zabicia którego musiałam wrzucić na fajerkę jałowiec.

D'Alencon ukłonił się.

— I cóż tam nowego? — zapytała królowa, chowając starannie ręce, poplamione jakimś żółtoróżowym płynem.

— Nic, moja matko.

— Widziałeś się z Henrykiem?

— Widziałem.

— Zapewne nie chce jechać.

— Nie chce w żaden sposób.

— Obłudny!

— Co, pani, mówiłaś?

— Mówiłam, że pojedzie.

— Tak, pani, sądzisz?

— Jestem tego pewna.

— A więc on myśli nam uciec?

— Tak jest.

— A pani zezwolisz na jego ucieczkę?

— Nie tylko pozwolę, lecz powiadam, że jego ucieczka jest konieczna.

— Nie rozumiem cię, moja matko.

— Słuchaj mnie więc uważnie, Franciszku. Jeden bardzo biegły lekarz, ten sam, który mi dał tę książkę, powiedział, że Henryk, sądząc z pozorów, wpadnie zapewne w chorobę, która go przetrawi, która człowieka gubi i której, nauka zmóc nie może. Pojmujesz więc, że jeżeli Henryk ma paść ofiarą choroby, niechaj lepiej umiera z daleka od nas.

— Śmierć jego bardzo by nas zasmuciła.

— Osobliwie twego brata Karola; jeżeli zaś Henryk umrze zdradziwszy Karola, to król będzie to uważał za karę niebios.

— Masz słuszność, matko. Henryk więc powinien by pojechać, lecz czy jesteś pewna, że pojedzie?

— Już wszystko przygotował do ucieczki. Miejsce do zgromadzenia się jest naznaczone w lesie Saint-Germain. Pięćdziesięciu hugenotów będzie mu towarzyszyło do Fontainebleau, gdzie na niego czeka jeszcze pięćuset.

— A moja siostra Margot czy także pojedzie? — zapytał Franciszek, widocznie blednąc.

— Także. Lecz Henryk umrze, a ona powróci wolną wdową.

— Henryk umrze, pani! Lecz czy to pewne?

— Tak przynajmniej mówił doktor, który mi dał książkę.

— Gdzież jest ta książka?

Katarzyna poszła do gabinetu i w chwilę potem powróciła z książką w ręku.

— Oto ona — rzekła królowa,

D'Alencon z trwogą spojrział na książkę, którą mu podawała Katarzyna.

— Cóż to za książka? — zapytał książę, cały drżący.

— Jużem ci, synu, mówiła. Jest to dzieło pod tytułem: *Sztuka wychowywania i wyuczenia białozorów i sokołów do polowania*, napisane przez sławnego Castruccio Castracaniego, władcę Lukki.

— I cóż mam zrobić z tą książką?

— Zanieś ją swemu kochanemu bratu Henrykowi; wszak mówiłeś, iż cię prosił o książkę w tym rodzaju. Ponieważ dzisiaj jest polowanie z sokołami, Henryk bez wątpienia przeczyta choć kilka kartek, ażeby dowieść królowi, iż idzie za jego radami.

Najważniejszą rzeczą jest, ażebyś wręczył książkę jemu samemu.

— Ach! Nie śmiem! — zawołał drżący Franciszek.

— Dlaczego? Ta książka jest jak i inne książki; tylko że długo stała nieporuszona, więc jej kartki się pozlepiały. Nie czytaj jej, Franciszku, bo chcąc przewracać karty, musiałbyś ślinić palce; to zaś zajęłoby ci bardzo wiele czasu i jest dość nużące.

— Do tego stopnia, że tracić nad tym czas i zadawać sobie tę pracę może tylko zapalony myśliwy?

— Tak, tak; zrozumiałeś mnie, mój synu.

— Otóż i Henryk jest na podwórku. Daj mi książkę, pani. Skorzystam z jego nieobecności i zaniosę mu ją; jak powróci, znajdzie już ją u siebie.

— Zdaje mi się, że lepiej by było oddać mu ją osobiście; byłoby to pewniej.

— Jużem ci, matko, powiedział, że nie śmiem.

— No to przynajmniej połóż ją tak? żeby można ją było z łatwością spostrzec.

— Dobrze, dobrze; przy tym ją roztworzę... Czy to nie szkodzi, że będzie otwarta?

— Nic nie szkodzi.

— Daj mi ją więc, matko.

Franciszek drżącą ręką wziął książkę, którą mu śmiało podała Katarzyna.

— Weź ją, weź — powiedziała królowa — nie ma niebezpieczeństwa, skoro ją trzymałam; zresztą jesteś w rękawiczkach.

To jednak widocznie jeszcze nie uspokoiło Franciszka, ponieważ zawinał książkę w połę płaszcza.

— Śpiesz się, synu, śpiesz; Henryk lada chwila może powrócić.

— Masz słuszność, matko; już idę. Książę wyszedł zupełnie oszołomiony.

Już nieraz wprowadzaliśmy czytelnika do pokoju króla Nawarry, opowiadając wypadki straszne lub wesołe, a to podług tego, czy groził lub uśmiechał się geniusz opiekujący się przyszłym królem Francji. Lecz nigdy w tych murach, zbryzganych krwią, oblanych winem, nigdy zapewne w tym kątku Luwru nie pokazała się twarz tak blada jak oblicze księcia d'Alencon, kiedy otwierał drzwi do sypialni Henryka, mając przy sobie książkę o myślistwie.

A jednakże w pokoju nie było nikogo, kto by mógł śledzić czynności księcia. Pusty pokój oświecały pierwsze promienie wschodzącego słońca. Na ścianie wisiała ogromna szpada, którą de Mouy radził wziąć Henrykowi na wszelki przypadek. Kilka oczek kolczugi wałało się po ziemi; na stole leżał dobrze naładowany worek i mały sztylet; po pokoju unosił się jeszcze pył ze

świeżo spalonych papierów. Wszystko to wyraźnie mówiło księciu, że Henryk ubrał się w kolczugę, zaopatrzył się w pieniądze i spalił bardzo ważne papiery.

— Matka nie myliła się — pomyślał książę — obłudnik oszukał mnie.

Ta myśl dodała mu odwagi. Obejrząwszy wszystkie zakątki pokoju, zajrząwszy za portierę drzwi, upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, szybko dostał książkę spod płaszcza i położył ją na stole obok worka i sztyletu; następnie, cokolwiek odstąpiwszy, ręką obciążoną w rękawiczkę, ze strachem dowodzącym jego podejrzeń, otworzył książkę na los szczęścia. Szybko cofnął się, ściągnął rękawiczkę i rzucił ją w ogień, zczekał, dopóki ogień w zupełności jej nie strawił, okręcił się płaszczem i szybko powrócił do swego mieszkania.

Wchodząc do siebie, książę usłyszał za sobą w korytarzu kroki i będąc przekonany, że to Henryk powrócił, zręcznie zamknął za sobą drzwi. D'Alencon rzucił się do okna, z którego tylko część luwskiego podwórca była widoczna. Henryka nie było na podwórku i książę tym bardziej utwierdził się w mniemaniu, iż Henryk powrócił do siebie.

Książę usiadł i wziął książkę. Była to historia Francji od Faramonda do Henryka, którą król, na kilka dni przed swoim wstąpieniem na tron, uznał za dobrą. Lecz umysł Franciszka zajęty był zupełnie czym innym. Oczekiwanie dręczyło go. Bicie pulsu w skroniach przenikało na wskroś jego mózg; zdawało mu się, że wszystko widzi przez ściany, i wzrok swój, pomimo trzech ścian, wlepił w kierunku, gdzie znajdowały się pokoje Henryka. Ażeby usunąć z myśli straszny przedmiot, starał się czymś zająć. Lecz na próżno brał do rąk to broń, to kosztowności; na próżno kilkakroć zrywał się i chodził po pokoju: wszystkie szczegóły obrazka, na którym niechcący otworzył straszną książkę, wciąż stały mu przed oczami. Na obrazku był rycerz pełniący obowiązki myśliwego—giermka; rycerz ten rzucał w górę wypchanego ptaka i tym sposobem wabił sokoła do powrotu na rękę. Rycerz ten galopem pędził na trzęsawiska. Wspomnienia triumfowały nad wolą księcia. Widział nie tylko książkę; widział, jak zbliża się ku niej Henryk, jak patrzy na obrazek, jak chce przewrócić kartę, jak karta nie daje się oderwać, jak nareszcie Henryk ślini palec i przewraca fatalne karty. Wszystko to było urojeniem, a jednak d'Alencon musiał się schwycić stołu, aby nie upaść; zakrył więc oczy, nie pamiętając, że skoro je zamknie, urojenia wyobraźni staną się jeszcze wyrazistsze.

Nagle Franciszek spostrzegł na podwórku Henryka. Bearneńczyk zatrzymał się przed masztalerzami ładującymi na muły zapasy na polowanie oraz srebro i inne naczynia. Henryk, wydawszy rozkazy, przeszedł przez podwórzec i wszedł do zamku.

D'Alencon stał na miejscu jak przykuty. A więc to nie Henryk szedł korytarzem, wszystkie tedy męczarnie księcia były niepotrzebne. Zbrodnię skończoną trzeba było znowu zacząć na nowo. D'Alencon otworzył drzwi od swego pokoju i poszedł do następnych, nasłuchując, co się dzieje na korytarzu. Teraz nie można się było mylić: książę poznał chód Henryka, nawet brzęk jego ostróg.

Drzwi do pokoju Henryka otworzono i zamknięto.

D'Alencon padł na krzesło.

— Doskonale — wybełkotał. — Otóż, co się tam teraz dzieje.

Przeszedł przez przedpokój, pokój przyjęć i wszedł do pokoju sypialnego; spojrzął na szpadę, na worek, na sztylet i nareszcie spostrzegł na stole książkę. — Co to za książka — pomyślał. — Kto ją tutaj przyniósł? — Teraz bez wątpienia zbliżył się do niej, zoczył obrazek, chciał czytać, spróbował przewrócić kartę...

Zimny pot wystąpił na twarz księcia.

— Czy czasem nie zawoła o pomoc? — pomyślał. — Czy trucizna nie działa gwałtownie? Ale nie, nie; przecież matka powiedziała mi, że umrze śmiercią powolną, że zniknie.

Ta myśl uspokoiła go cokolwiek.

Przeszło nareszcie dziesięć minut, cały wiek udręczeń duszy. D'Alencon nie mógł już wytrzymać dłużej; wstał i poszedł do przedpokoju, w którym się zgromadzili dworzanie.

— Dzień dobry panom — powiedział. — Idę do króla.

Ażeby stłumić swoje wzruszenie, a może, iżby mieć dowód, że w tym czasie nie był u Henryka, książę w samej rzeczy udał się do króla. Po co? Sam nie wiedział... Co mu miał powiedzieć? Nic!... Książę nie szukał Karola, lecz uciekał przed Henrykiem.

Warta przepuściła Franciszka swobodnie, ponieważ w dni polowania wszystkim było wolno wchodzić wszędzie. Franciszek przeszedł przez przedpokój, salon, pokój sypialny i nikogo nie spotkał; teraz przypomniał sobie, że król zapewne siedzi w swojej zbrojowni; otworzył więc drzwi do zbrojowni.

Karol siedział przed stołem, w ogromnym rzeźbionym krześle, obrócony tyłem do drzwi, którymi wszedł d'Alencon. Zdawało się, że król jest bardzo zajęty. Książę po cichu zbliżył się ku niemu; Karol czytał.

— Na Boga! — zawołał król. — Otóż to cudowna książka! Słyszałem o niej już dawno, ale nie wiedziałem, że znajduje się we Francji.

D'Alencon zaczął pilnie słuchać i postąpił jeszcze krok naprzód.

— A to przekłete strony! — powiedział Karol, pośliniwszy palec i z trudnością przewracając kartę. — Myślałby kto, że są umyślnie sklezione, ażeby ukryć przed moimi oczyma tak zajmujące rzeczy.

D'Alencon skoczył jeszcze dalej naprzód.

Książka, którą czytał Karol, była tą samą, którą zaniósł Henrykowi)

Głuchy jęk wyrwał się z piersi księcia.

— Ach! To ty, d'Alencon? — powiedział Karol. — Proszę cię! Patrz, mam książkę o polowaniu z sokołami; tak doskonałego dzieła jeszcze nigdy nie czytałem.

Pierwszą myślą księcia było wyrwać książkę z rąk Karola; lecz myśl druga, myśl piekielna przykuła go do miejsca i straszny uśmiech ożywił jego bladą twarz. Książę przeciągnął ręką po oczach, jak czyni człowiek olśniony nagłym światłem.

Przyszedłszy cokolwiek do siebie, lecz nie poruszając się z miejsca, powiedział:

— Jakim sposobem, Najjaśniejszy Panie, wpadła ci w ręce ta książka?

— Bardzo prosto. Tylko co poszedłem do Henryka, zobaczyć, czy jest gotów; lecz już go nie zastałem; bez wątpienia poszedł do psiarni lub stajni. Znalazłem u niego na stole ten skarb nieoceniony i wzięłem go, ażeby chociaż dorywczo przeczytać kilka kartek.

I król znowu poślinił palec, chcąc przewrócić stronicę. Księżciu powstały włosy, trząśnięty cały.

— Najjaśniejszy Panie — wybełkotał — przyszedłem ci powiedzieć...

— Pozwól mi, Franciszku, doczytać do rozdziału — rzekł król. — Potem możesz mówić, co ci się tylko podoba. Już przeczytałem, a raczej pochłonałem pięćdziesiąt stron,

— Już dwadzieścia pięć razy użył trucizny — pomyślał Franciszek. — A więc zginął.

W tej chwili książę przypomniał sobie o istnieniu Boga na wysokościach. Drżącą ręką otarł z czoła zimny pot i milcząc czekał, dopóki brat nie doczyta do rozdziału.

ROZDZIAŁ L

POLOWANIE Z SOKOŁAMI

Karol ciągle czytał. Pobudzony ciekawością, pochłaniał karty, a każda z nich, jak już wyżej powiedzieliśmy, była mocno przylepiona do drugiej.

D'Alencon dzikim wzrokiem śledził te jego poruszenia, których skutki tylko on jeden znał.

— Co to będzie? — pomyślał książę. — I już mam wyjechać teraz dla objęcia jakiegoś tam urojonego tronu, kiedy tymczasem Henryk na pierwszą wiadomość o słabości Karola powróci do jakiej twierdzy położonej w pobliżu Paryża i będzie czyhać na koronę rzuconą nam na pastwę przez losy. Henryk jednym susem wpadłby do Paryża i król Polski jeszcze by się nie dowiedział o śmierci brata, a już by nowa dynastia zasiadła na tronie. Nie, to niepodobieństwo!

Oto jakie myśli przesunęły się przez głowę księcia, kiedy w pierwszej chwili strachu chciał wyrzucić książkę Karolowi. Zdawało się, że los sprzyjał Henrykowi, gnębiąc dom Walezjuszków; przeciwko temu to losowi książę chciał jeszcze raz się targnąć. W jednej chwili zmienił wszakże plan postępowania względem Henryka. Zatrutą książkę czytał nie Henryk, lecz Karol; Henryk miał więc pojechać, lecz pojechać osądzonym na śmierć; los zachował go jeszcze raz, a zatem Henryk powinien był pozostać. Jako więzień w zamku Vincennes lub w Bastylli, Henryk nie był tak straszny, jak król Nawarry dowodzący trzydziestoma tysiącami hugenotów.

Książę pozwolił Karolowi skończyć rozdział, a skoro ten się obejrzał, rzekł doń:

— Czekam, ponieważ Waszą Królewską Mość tak rozkazałeś; lecz czekałem z niecierpliwością, gdyż mam ci udzielić,

Najjaśniejszy Panie, wielu bardzo ważnych wiadomości.

— Ach! Do stu diabłów! — zawołał Karol, na którego blade policzki zaczęły występować czerwone plamy, czy wskutek wielkiego zajęcia, z jakim czytał, czy też dlatego, że trucizna już zaczęła działać. — Ach! Do stu diabłów, możeś znowu przyszedł mi o tym gadać. Pojedziesz, jak pojechał król Polski. Pozbyłem się króla polskiego, pozbędę się i ciebie. Nie ma już o czym mówić.

— Wcale nie chciałem mówić o swoim odjeździe. Wasza Królewską Mość dotknąłś najczulszej strony mego serca. Najjaśniejszy Panie, nie dowierzasz mej wierności i memu poświęceniu jako poddanego i brata, a ja chcę ci dowieść, że nie jestem zdrajcą.

— No i cóż? — zapytał Karol, oparłszy się na książkę, skrzyżowawszy nogi i patrząc na Franciszka jak człowieka, który wbrew swemu zwyczajowi zbroi się w sprawiedliwość. — Zapewne znowu jakieś plotki? Jakieś nowe oskarżenia?

— Nie, Najjaśniejszy Panie; spisek, którego tylko moja dziwna delikatność nie pozwoliła wyjawić Waszej Królewskiej Mości.

— Spisek? Zobaczymy, co za spisek.

— W tym czasie kiedy Wasza Królewská Mość będziesz polować nad rzeką i w dolinie Vesinet, król Nawarry pojedzie do lasu Saint-Germain, gdzie czekają na niego stronnicy, a stamtąd ucieknie.

— No tak! Wiedziałem o tym. Znowu nędzne oszczerstwo na tego biednego Henryka. Skończcie już raz z waszymi potwarzami!

— Wasza Królewská Mość niezadługo będziesz się mógł przekonać, czy to oszczerstwo!

— Jakim sposobem?

— Dzisiaj wieczorem już go nie będzie. Karol wstał.

— Słuchaj! — zawołał. — Jeszcze raz jestem gotów udawać, że wierzę waszym oskarżeniom; lecz oświadczam tobie i twojej matce, że to już raz ostatni.

Potem, wzmocniwszy głos, król dodał:

— Zawołać mi króla Nawarry!

Służbowy oficer chciał spełnić rozkaz, lecz Franciszek wstrzymał go skinieniem.

— To zły środek — powiedział książę — tym sposobem nic się nie dowiesz, mój bracie. Henryk zaprze się, da znak swoim współpracownikom, a ci znikną. Tymczasem ja i moja matka będziemy posądzeni o potwarz.

— Czegóż więc żadasz?

— W imieniu naszego braterstwa, Najjaśniejszy Panie, zaklinam cię, wysłuchaj mnie! Zrób tak, ażeby prawdziwie winny, ten, który cię już przeszło dwa lata oszukuje w myśli i nareszcie oszuka w czynie, mógł być schwytany i ukarany.

Karol nic nie odpowiedział; zbliżył się do okna i otworzył je. Krew biła mu do głowy.

Na koniec szybko się obrócił i zapytał:

— Powiedz mi więc, co ty byś zrobił?

— Kazałbym otoczyć cały las Saint-Germain potrójną linią lekkiej jazdy. W oznaczonej godzinie, na przykład o jedenastej, jazda posuwałaby się naprzód, pędząc wszystko przed sobą ku pawilonowi Franciszka I, gdzie ja, niby przypadkowo, rozkażę sporządzić obiad. Skoro spuszczę swego sokoła, a spostrzegę, że Henryk ucieka, pobiegnę na naznaczone miejsce, gdzie będzie go można pochwycić wraz z jego spiskowcami.

— Myśl wcale niezła — zauważył król. — Zawołać mi tu kapitana gwardii.

D'Alencon gwizdnął na swojej srebrnej piszczałce zawieszanej na złotym łańcuszku. Nancey wszedł. Karol zbliżył się do niego i cichym głosem wydał mu rozkazy.

Tymczasem jego ulubiony pies Akteon szarpał coś z wielkim ukontentowaniem.

Karol obejrzał się i krzyknął. Akteon szarpał szacowne dzieło o polowaniu z sokołami, którego to dzieła tylko trzy egzemplarze było w całym świecie. Surowa kara nastąpiła zaraz po tym wielkim występku. Karol chwycił za pejcz i uderzył nim psa ze wszystkich sił. Pies zaskowyczał i schował się pod stół.

Karol podniósł książkę i z radością spostrzegł, że brakuje tylko jednej kartki, i to nie tekstu, ale obrazka.

Król z ostrożnością schował książkę do szafy. D'Alencon niespokojnie śledził wszystkie jego poruszenia. Teraz, kiedy już zbrodnia spełniła się, życzył sobie, aby jakimkolwiek sposobem można było książkę wydobyć z rąk Karola.

Wybiła godzina szósta, pora, o której król zwykle wyjeżdżał na polowanie. Na podwórku czekało na niego wielu mężczyzn i kilka kobiet, pysznie ubranych. Jedni myśliwi trzymali na rękawiczkach zakapturzone sokoły; inni mieli zawieszane na szarfach rogi myśliwskie na wypadek, gdyby król, zmordowany się polowaniem z sokołami, zechciał poszczuć łanię lub dziką kozę.

Karol, zamknąwszy drzwi od swojej zbrojowni, zszedł na dół. D'Alencon, zważający na wszystkie jego poruszenia, widział, jak król schował klucz do kieszeni. Schodząc ze schodów, król zatrzymał się i pociągnął ręką po czole.

— Nie wiem, co to ma znaczyć — powiedział Karol — ale czuję w sobie jakieś bóleści.

Nogi pod księciem drżały tak samo jak i pod królem.

— W samej rzeczy — mruknął książę — zdaje mi się, że te chmurki zapowiadają wielką burzę.

— Burza w marcu? Czyś oszalał! Cierpię na zawrót głowy; jestem zmordowany i nic więcej.

Potem król dodał po cichu:

— Oni mnie zabiją swoją nienawiścią, swymi oskarżeniami i swymi spiskami.

Skoro król wyszedł na podwórze, świeże powietrze i krzyki witających go myśliwych zbawienny wpływ na niego wywarły.

Wolniej odetchnął.

Naprzód wyszukał wzrokiem Henryka. Henryk stał obok Małgorzaty. Zdawało się, że małżonkowie nie mogli się rozłączyć, tak czule się kochali.

Zobaczywszy Karola, Henryk spiął konia ostrogami i przybliżył się do niego.

— Ach! Ach! — zawołał Karol. — Wzięłeś dzisiaj dziarskiego konia, a przecież nie jedziemy na zające.

I nie czekając na odpowiedź, dodał:

— Jedźmy, panowie, jedźmy. Na dziewiątą musimy być na miejscu. Katarzyna patrzyła na tę scenę z okna Luwru. Jej blada twarz wyglądała spod odsłoniętej firanki.

Na znak Karola pyszny orszak rozciągnął się, wyjechał przez bramę Luwru i jak lawina rozlał się na drodze, wiodącej ku Saint-Germain pośród okrzyków ludu witającego swego króla jadącego na białym jak śnieg koniu.

— Co król mówił do ciebie? — zapytała Małgorzata Henryka.

— Chwalił rącość mego konia.

— I nic więcej?

— Nic.

— A zatem musi coś wiedzieć.

— Być może.

— Miejmy się na baczności.

Henryk uśmiechnął się lekko, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nie obawiaj się, moja przyjaciółko”.

Zaledwie orszak wyjechał z podwórca, Katarzyna natychmiast zasunęła firankę. Dostrzegła ona, że Henryk jest blady, chwieje się na koniu. Dostrzegła też, że rozmawiał z Małgorzatą.

Henryk był blady, gdyż brak mu było męstwa mordercy. Zawsze kiedy szło o jego życie, krew zbiegała mu do serca, nie uderzając na mózg, jak to miewa miejsce u pasjonatów.

Chwiały się na koniu, bo niezwykle przyjęcie go przez Karola uczyniło na nim głębokie wrażenie.

Na koniec dlatego rozmawiał z Małgorzatą, iż zawarł z nią, jak już wyżej powiedzieliśmy, związek zaczepno-odporny.

Lecz Katarzyna wszystko to inaczej sobie tłumaczyła.

— Oho! Teraz — mówiła do siebie ze złośliwym uśmiechem — nareszcie się złapał. Katarzyna przeczekała przez czas, jakiego potrzebował orszak, aby wyjechać z Paryża, a następnie, żeby się przekonać osobiście, wyszła ze swego pokoju, przeszła przez korytarz, weszła tajemnymi schodkami na wyższe piętro i dorobionym kluczem otworzyła drzwi od pokoiów Henryka.

Lecz na próżno szukała tutaj książki. Oczy jej na próżno przebiegały ze stołu na stolki, ze stołków na półki, z półek na szafy lecz nigdzie nie znalazły tego, czego szukały.

— Zapewne schował ją do jakiejś szafy, a jeżeli jeszcze jej nie czytał, to wkrótce przeczyta.

Katarzyna wyszła z przekonaniem, że wszystko się udało.

Po półtorej godziny szybkiej jazdy Karol przybył do Saint-Germain. Do starego zamku, wspaniale wznoszącego się na górze pośród rozrzuconych domów, król nie wstępował, lecz przejechał obok, przez drewniany most wychodzący wprost na dąb, który do dzisiejszego dnia nazywa się „dębem księcia de Sully”.

Wesoła młodzież wjechała za królem na cudowną łąkę na lesistych pochyłościach Saint-Germain. Łąka, zdawało się, została zamieniona na pyszny dywan upstrzony różnokolorowymi kostiumami i ujęty w srebrną wstęgę rzeki.

Przed królem trzymającym na rękawicy swego ulubionego sokoła, jechało kilku myśliwych w zielonych kurtkach i ogromnych butach, prowadząc kilka psów na smyczy.

Słońce, dotychczas kryjące się poza chmurami, nagle pokazało się zza ciemnej opony. W tej chwili zerwała się spod krzaku dzikiej róży czapla, wydając żalosne krzyki.

— Haw! Haw! — krzyknął Karol, zdejmując kaptur z oczu swego sokoła i puszczając go w pogoń za spłoszoną czaplą.

— Haw! Haw! — krzyknęli wszyscy myśliwi, zachęcając sokoła.

Sokół, przez chwilę oślepiiony światłem, opisał krzywą linię, nie wznosząc się w górę; lecz postrzegłszy czaplę, rzucił się za nią w pogoń. Jednakże czapla, podniósłszy się w górę w odległości jakich stu kroków od myśliwych, zanim król zdążył ściągnąć kaptur sokołowi i zanim ten ostatni przyzwyczaił się do światła, znacznie wygrała na przestrzeni. Zanim nieprzyjaciel ją spostrzegł, już była od niego w odległości pięćdziesięciu stóp i szybko wznosiła się na swych silnych skrzydłach.

— Haw! Haw! Bec-de-Fer — krzyknął Karpi — dowiedz przecie, że pochodzisz ze znakomitej rasy.

Szlachetny ptak, jak gdyby rozumiał te słowa, lotem strzały wzbil się po krzywej linii ku czapli usiłującej zniknąć w chmurach.

— Tchórz czapla! — zawołał Karol, jak gdyby czapla mogła go usłyszeć. I galopem ruszył dalej, aby nie stracić z oczu ptaków. — Tchórz czapla, tchórz! Ucieka. Lecz Bec-de-Fer dobrej rasy; zaczekaj! Haw! Bec-de-Fer, haw!

W samej rzeczy, bitwa stała się zajmująca. Ptaki zbliżyły się do siebie, a raczej sokół dogonił czaplę. Zwycięstwo należało do tego, kto się wzbije wyżej.

Strach większej dodał siły aniżeli męstwo. Sokół, rozpedzony w locie, przeleciał tuż pod czaplą, na którą zamierzał uderzyć z góry. Czapla skorzystała ze swego położenia i silnie uderzyła go dziobem. Sokół, pchnięty jakby sztyletem, ze trzy razy skozłował i wszyscy już myśleli, że spadnie. Lecz ranny, wydał rozpaczliwy, przejmujący krzyk i znowu rzucił się na czaplę. Ta skorzystała ze swego chwilowego zwycięstwa; zmieniła kierunek lotu, dążąc w stronę lasu; spodziewała się zniknąć gdzieś w gęstwinie. Lecz sokół pochodził z dobrej rasy. Rzucił się za czaplą po cięciwie łuku przez nią opisanego; czapla, krzyknawszy kilka razy, znowu wzbila się wyżej. Przynajmniej przez dziesięć minut ptaków nie było widać w obłokach. Potem czapla wydała się mała jak skowronek, a sokół zdawał się być czarnym punktem coraz i coraz mniejszym.

Karol i wszyscy myśliwi nie spuszczali ptaków z oczu. Każdy z nich stał na miejscu, z oczyma wlepionymi w uciekającego i goniącego.

— Doskonale! Doskonale! Bec-de-Fer! — zawołał Karol. — Patrzcie, panowie, patrzcie, Bec-de-Fer góruje! Haw! Haw!

— Na honor, nie widzę ani sokoła, ani czapli — powiedział Henryk.

— I ja także nic nie widzę — dorzuciła Małgorzata.

— Lecz jeżeli nic nie widzisz, Henryku, przynajmniej możesz słyszeć czaplę. O! Słyszysz? Słyszysz? Błaga o łaskę.

W samej rzeczy, z góry dał się słyszeć żalosny jęk, który jednakże tylko wprawne ucho mogło dosłyszeć.

— Patrz! Patrz! — zawołał Karol — a zobaczysz, że ptaki spuszczają się prędzej, aniżeli się podniosły.

W istocie, ptaki były coraz bardziej widoczne. Były to jeszcze dwa punkty, lecz po ich różnej wielkości można było poznać, że sokół jest wyżej.

— Patrz! Patrz! — wykrzyknął Karol. — Sokół jest wyżej.

Czapla już nawet nie myślała się bronić. Szybko się tylko spuszczała, odpowiadając smutnymi krzykami na ciosy zadawane jej przez sokoła. Nagle zwinęła skrzydła i zaczęła spadać jak kula. Lecz i sokół zrobił to samo, a kiedy czapla chciała znowu rozpostrzeć skrzydła i polecieć dalej, ostatecznie uderzenie sokoła zupełnie ją ogłuszyło. Zaczęła więc coraz szybciej spadać, a w chwili, kiedy dotknęła ziemi, sokół przygniótł ją, ogłaszając zwycięstwo krzykiem głuszącym narzekania ginącej ofiary.

— Do sokoła! Do sokoła! — zawołał Karol, pędząc galopem ku miejscu, gdzie się spuściły ptaki. Lecz nagle zatrzymał konia, krzyknął, wypuścił z rąk lejce, chwycił się jedną ręką za grzywę konia, a drugą za brzuch, jak gdyby go chciał rozedrzyć.

Na ten krzyk wszyscy zgromadzili się koło niego.

— To nic, to nic — powiedział Karol, czerwony jak upiór. — Zdawało mi się, że ktoś przeciągnął mi po żołądku rozpalone żelazo. Jedźmy dalej, jedźmy, to nic.

I puścił swego konia galopem.

D'Alencori zbladł.

— Znowu coś nowego? — zapytał Henryk Małgorzatę.

— Nie wiem, co to ma znaczyć — odpowiedziała królowa Nawarry. — Czy widziałeś, jak brat się zaczerwienił?

— Widziałem. On, co zawsze bywa blady.

Dworzanie zdziwieni spojrzeli po sobie i pojechali za królem.

Wkrótce zbliżyli się do miejsca, gdzie spadły ptaki. Sokół już wybierał mózg czapli. Karol zeskoczył z konia, ażeby z bliska zobaczyć skutki bitwy. Lecz stanąwszy na ziemi, zachwiał się, musiał się schwytać za siodło; ziemia kręciła mu się pod nogami. Zrobiło mu się mdło.

— Mój bracie! Mój bracie! — zawołała Małgorzata. — Co ci jest?

— Czuję ten sam ból, jaki czuła Porcia, pochłonawszy rozpalone węgle. Palę się; zdaje mi się, że oddycham ogniem.

Westchnął ciężko i zdawało się, iż się zadziwił, nie widząc wychodzącego z ust ognia.

Tymczasem sokołowi znowu założono kaptur na oczy i wszyscy zgromadzili się naokoło króla.

— Na rany Chrystusa! — ryknął Karol. — To nic, to nic; ot po prostu słońce przepaliło mi cokolwiek głowę i razi mi oczy. Panowie! Na polowanie! Oto w sam czas pokazało się stado dzikich kaczek. Spuścić sokoły. Na szatana! Zabawmy się!

W tej chwili spuszczone pięć czy sześć sokołów, które rzuciły się za dziczyzną. Cały orszak udał się w stronę rzeki.

— No i cóż, pani, na to powiesz? — zapytał Henryk Małgorzaty.

— Teraz jest dobra sposobność — odpowiedziała Małgorzata — i jeżeli król się nie obejrzy, bardzo łatwo będziemy mogli zniknąć w lesie.

Henryk zawołał do siebie myśliwego, który trzymał na rękawicy sokoła, a tymczasem, kiedy wspaniały orszak ciągnął ponad brzegiem rzeki, Henryk odłączył się od niego, udając że się przypatruje zabitej czapli.

W tej chwili, jakby naumyślnie, podniósł się bażant.

Henryk spuścił swego sokoła; teraz miał sposobność zupełnie odłączyć się od towarzystwa, niby to polując na bażanta.

ROZDZIAŁ LI

PAWILON FRANCISZKA II

Polowanie z sokołami było prześliczną królewską zabawą w czasach, kiedy nie tylko stanowiło przyjemność, lecz było, sztuką.

Jednakże musimy opuścić tę królewską zabawę, ażeby zajrzeć do wnętrza lasu, w miejsce, gdzie wkrótce przybędą wszystkie osoby należące do orszaku.

Na prawo od drogi des Violettes, tej długiej arkady, której sklepienie stanowiły liście, w której zając nieraz wychylał uszy z trawy i lękliwa nasłuchiwała łania — było wycięte miejsce, tyle oddalone, iż z drogi widać go nie było, na tyle jednak bliskie, by z niego można było widzieć drogę; otóż w miejscu tym, w trawie, na rozciągniętych podróżnych płaszczach leżeli dwaj ludzie; obok każdego widniała długa szpada i wielki muszkiet, którego lufa zakończona była lejkiem.

Jeden z nich, oparty na ręce, nasłuchiwał jak zając lub łania, o których tylko cośmy wspominali.

— Zdaje mi się — powiedział nasłuchujący — iż polowanie przybliżyło się do nas; słyszałem nawet krzyki strzelców zachęcających sokoły.

— A teraz — rzekł drugi, zdający się badać wypadki z zimniejszą krwią, aniżeli jego towarzysz — teraz nic nie słyszę; musieli się oddalić... A mówiłem ci, że to miejsce wcale się nie zda do szpiegowania; prawda, że nas nie widzą, lecz i my nic nie widzimy.

— Na szatana! Kochany Annibalu — powiedział pierwszy. — Przecież wypadało ukryć i nasze dwa konie, i te dwa konie, które bierzemy na wszelki wypadek, i te dwa muły tak obciążone, iż nie pojmuję, jak będą mogły za nami zdążyć. Gdzież je ukryć, jeżeli nie pod tymi odwiecznymi dębami? Oskarżasz pana de Mouya, a ja we wszystkich jego rozporządzeniach dotyczących naszej sprawy spostrzegam doskonałą przebiegłość doświadczonego spiskowca.

— Świetnie! — zawołał drugi szlachcic. — Nareszcie wygadałeś się. Tylko tego czekałem. A więc należymy do jakiegoś spisku?

— Nie, nie należymy do spisku, lecz po prostu pomagamy królowi i królowej. — A więc król i królowa należą do spisku; czyż to dla nas nie wszystko jedno?

— Coconnas, mówiłem ci wyraźnie — odparł La Mole — iż nie przymuszam cię, ażebyś był moim towarzyszem w sprawie, do której zniewala mnie uczucie, którego nie podzielasz i podzielić nie możesz.

— Na szatana! Któż mówi, iż mnie przymuszasz? Nie znam człowieka, który by Coconnasa mógł zmusić do uczynienia tego, czego uczynić nie chce, lecz czy sądzisz, iż cię opuszczę, kiedy widzę, że się rzucasz na ofiarę diabłu?

— Annibalu! Annibalu! — zawołał La Mole. — Patrz, czy to czasem nie jej biały konik. Rzecz dziwna, skoro się tylko przybliży, tak mi serce silnie bije.

— W samej rzeczy to dziwne — odparł Coconnas ziewając — mnie wcale serce nie bije.

— Nie, to nie ona — powiedział La Mole. — Cóż by miało jej przeszkodzić? Obiecała przyjechać w południe.

— Jeszcze nie ma dwunastej, oto i wszystko. Zdaje mi się, że jeszcze moglibyśmy się zdrzemnąć.

Coconnas natychmiast chciał poprzeć swoje słowa czynem, rozciągnąwszy się na płaszczu, lecz zaledwie przytknął ucho do ziemi, natychmiast wzniósł rękę, dając znak przyjacielowi, ażeby się zachowywał cicho.

— Co takiego? — zapytał La Mole.

— Milcz, słyszę tętent i tym razem nie mylę się.

— To rzecz szczególna, ja nie słyszę.

— Jak to, nic nie słyszysz?

— Nic.

— A więc — powiedział Coconnas, podnosząc się i kładąc rękę na ramieniu La Mole'a — patrz na tę łanię.

— Gdzie?

— Ot tam.

I Coconnas wskazał ręką w kierunku, gdzie stała łania.

— No i cóż?

— Uważaj, a zaraz zobaczysz.

Łania stała nieruchoma, nachyliwszy głowę, jak gdyby zamierzała szczypać trawę, lecz nagle wyprostowała się, zaczęła strzyc uszami i bez żadnej widocznej przyczyny rzuciła się w głąb lasu, gdzie zniknęła jak błyskawica.

— Widzę, że masz słuszość — rzekł La Mole. — Zaiste, łania ucieka.

— A więc łania słyszy to, czego ty nie słyszysz — odpowiedział Coconnas.

W samej rzeczy, jakby przytłumiony szmer dał się słyszeć w trawie; dla uszu nie wyćwiczonych był to szum wiatru, lecz ucho jeźdźca poznało tętent koni.

La Mole zerwał się na równe nogi.

— Otóż i oni! — zawołał.

Coconnas wstał także, lecz nie z taką skwapliwością; zdawało się, że gwałtowność Piemontczyka przeszła do serca La Mole'a, a zimna krew tego ostatniego — do serca Coconnasa. Pochodziło to stąd, iż jeden z nich w tych okolicznościach działał z popędu serca, a drugi wbrew sobie samemu.

Wkrótce przyjaciele usłyszeli tętent koni. Ich konie naostrzyły uszy, usłyszawszy rzenie; w tej chwili aleją przebiegło białe widmo, kobieta, która obejrawszy się ku nim, zrobiła jakiś dziwny znak.

— Królowa Nawarry! — zawołałi razem obaj przyjaciele.

— Co by to mogło znaczyć? — zapytał Coconnas.

— Dała znak ręką, ot taki... — odpowiedział La Mole — który znaczy: „Zaraz”...

— Nie, ona zrobiła tak — rzekł Coconnas — co znaczy „uciekajcie”...

— Ona chciała powiedzieć: „Czekajcie na mnie”.

— Nie; chciała powiedzieć: „Ratujcie się”

— A więc — rzekł La Mole — niech każdy czyni, jak mu się podoba. Ty uciekaj, a ja pozostanę.

Coconnas wzruszył ramionami i znowu położył się na ziemi.

W tej samej chwili po tej samej alei, przez którą przejechała królowa, przebiegł w galopie oddział jeźdźców, w których przyjaciele poznali protestantów. Ich konie dawały susy jak szarańcza, o której mówi Job: „zjawiła się i zniknęła”.

— Na szatana! Musiało zajść coś ważnego — powiedział Coconnas, wstając. — Jedźmy do pawilonu Franciszka I.

— Przeciwnie, nie jedźmy tam. Jeżeliśmy wykryci, to król najprzód zwróci uwagę na pawilon Franciszka I, ponieważ tam mieliśmy się zebrać.

— Może być, że tym razem masz słuszość — mruknął Coconnas. Jeszcze nie skończył mówić tych słów, kiedy aleją jak wichur popędził jeździec; leciał on przez rowy, krzaki, wywrócone drzewa i nagle znalazł się przed La Mole'em i Coconnasem.

Jeździec ten w obydwóch rękach miał po pistolecie, koniem zaś kierował tylko kolanami.

— De Mouy! — zawołał Coconnas. — De Mouy ucieka! A więc wszystko stracone.

— Prędzej! Prędzej! — zawołał hugenot. — Umyślnie skrzyłem ze swej drogi, ażeby was o tym uwiadomić. Prędzej na koń!

De Mouy wymówił te słowa w całym pędzie swego konia i był już daleko, kiedy je domawiał i kiedy La Mole i Coconnas zrozumieli ich znaczenie.

— A królowa? — zawołał La Mole.

Lecz jego głos zniknął w przestrzeni; de Mouy nie mógł już słyszeć pytania, a tym bardziej odpowiedzieć na nie. Coconnas niedługo się namyślał, co mu wypada uczynić, lecz La Mole stał nieporuszony, śledząc oczyma de Mouya już zaczynającego znikać poza, gałęziami drzew. Coconnas dopadł konia, siadł sam na jednego i podał lejce La Mole'owi.

— Siadaj! — zawołał Coconnas. — Powtarzam ci słowa de Mouya; prędzej na koń! A de Mouy zawsze mówi dobrze. Więc w drogę, mój przyjacielu!

— Za chwilę — odpowiedział La Mole — przecież przybyliśmy tu w jakimś zamiarze?

— Tak, ale nie w tym, żeby wisieć — odpowiedział Coconnas. — Radzę ci nie tracić ani chwili. Wiem, że zapewne zechcesz rozumować, parafrazować słowo uciekać. Na przykład zacytujesz Horacjusza, rzucającego swoją tarczę, i Epaminondasa, uniesionego z pola bitwy na własnej tarczy. Ja na to wszystko odpowiem ci tylko tyle: kiedy ucieka de Mouy de Saint-Phale, wszyscy mogą uciekać.

— De Mouy de Saint-Phale — odpowiedział La Mole — nie obiecał uprowadzić królowej; de Mouy de Saint-Phale nie kocha królowej.

— Na szatana! De Mouy postępuje bardzo roztropnie, skoro miłość nie zniewala go do popełniania głupstw, jakie ty popełniasz. Niech krocie diabłów biorą miłość, którą dwaj młodzi ludzie mieliby przypłacić swoją głową. Na rogi wołu, jak czasami mówi Karol, należymy do spisku, a komu się spisek nie uda, ten powinien uciekać. A więc na koń! Na koń! I w drogę.

— Ratuj się, mój kochany; ja nie tylko ci nie przeszkadzam, lecz nawet cię proszę. Twoje życie jest droższe aniżeli moje, a więc je ratuj.

— Powinieneś mi powiedzieć: „Coconnas, umierajmy”, a nie: „Coconnas, ratuj się”.

— Eh! Mój przyjacielu, sznurki kręcą się dla złodziei, a nie, dla szlachty — odpowiedział La Mole.

— Zaczynam myśleć — rzekł Coconnas — że środki, jakie przedsięwziąłem, mogą się na coś przydać.

— Jakie środki?

— Że się zaprzyjaźniłem z katem.

— Jesteś w zawadiackim humorze, mój przyjacielu.

— Lecz przecie musimy coś przedsięwziąć — rzucił Coconnas, zaczynając się niecierpliwić.

— Znajdziemy królową.

— Gdzie jej szukać?

— Nie wiem... lecz znajdziemy i zrobimy we dwóch to, czego nie mogło zrobić pięćdziesięciu ludzi.

— Wbijasz mnie, jak uważam, w ambicję.

— Siadajmy więc i jedźmy!

— Przecie nareszcie.

La Mole obrócił się i chciał schwycić się za łęk siodła, lecz w tej samej chwili, kiedy podnosił nogę do strzemienia, jakiś głos zawołał rozkazująco:

— Stać! Poddajcie się!

W tej chwili spoza dębu pokazał się jakiś człowiek, potem drugi, trzeci, następnie dało się widzieć i trzydziestu; była to lekka jazda, która jadąc stępą, przetrząsała las we wszystkich kierunkach.

— A co, nie mówiłem? — szepnął Coconnas. La Mole wydał głuchy jęk.

Lekka jazda znajdowała się w odległości trzydziestu kroków od przyjaciół.

— Czego panowie od nas żądają? — zawołał głośno Piemontczyk zwracając się ku dowódcy oddziału.

Dowódca rozkazał wziąć na cel dwóch spiskowców. Coconnas cicho szepnął do La Mole'a:

— Na koń! Na koń! Jeszcze czas, możemy im uciec. Następnie, zwracając się do oddziału, zawołał:

— Na szatana! Nie strzelajcie, panowie, możecie zabić dwóch przyjaciół. Potem znowu szepnął do La Mole'a:

— Pomiędzy drzewami trudno strzelać; chybią nas, uciekajmy!

— Niepodobieństwo — odpowiedział La Mole. — Nie moglibyśmy uprowadzić z sobą konia Małgorzaty i obładowanych mułów. Mogliby powziąć jakie podejrzenie, a ja odpowiedziami na ich pytania będę w stanie takowe odwrócić. Uciekaj, mój przyjacielu, uciekaj!

— Panowie! — zawołał Coconnas, wyjmując szpadę i wznosząc ją do góry. — Poddajemy się.

Jeźdźcy spuścili wymierzone pistolety.

— Lecz powiedzcie nam, panowie, dlaczego się mamy poddać?

— O to zapytacie się, panowie, króla Nawarry.

— Cóż zawiniliśmy?

— To powie panom księżę d'Alencon.

Coconnas i La Mole wymienili się spojrzeniami. Nazwisko ich nieprzyjaciela, wymówione w taką chwilę, wcale nie było pocieszające.

Nie opierali się dłużej. Coconnasa proszono, aby zsiadł z konia, co uczynił natychmiast. Następnie umieszczono ich pośrodku oddziału lekkiej jazdy i udano się ku pawilonowi Franciszka I.

— Podobno życzyłeś sobie widzieć pawilon Franciszka I? — powiedział Coconnas do La Mole'a, spostrzegając pomiędzy gałęziami prześliczny front gotyckiego pawilonu. — Zdaje mi się, że go obejrzyysz.

La Mole nic nie odpowiedział, ścisnął tylko ręce przyjaciela.

Obok prześlicznego pawilonu, wybudowanego przez Ludwika XII i nazwanego pawilonem Franciszka I z racji, iż ten król tu zawsze naznaczał schadzkę dla myśliwych, wznosił się nad ziemią rodzaj chatki dla strzelców, opatrzonej w muszkiety, halabardy i szpady.

Do tej chałupy przyprowadzono więźniów.

Opowiedziawszy smutny wypadek dwóch przyjaciół, opowiedzmy teraz, co zaszło w lesie.

Protestanci według umowy zeszli się w pawilonie Franciszka I, od którego klucz miał u siebie de Nancy. Opanowawszy cały las, a przynajmniej sądząc, że go opanowali, porozstawiali swoich ludzi na czatach w różnych punktach; lekka jazda zaś, zmieniwszy na rozkaz domyślnego kapitana de Nancy białe szarfy na czerwone, schwytała wszystkie te warty bez wystrzału.

Lekka jazda, nie przestając postępować naprzód, zbliżała się ku pawilonowi Franciszka I; lecz de Mouy, czekający na króla w końcu alei des Violettes, spostrzegł, że czerwone szarfy nie idą, lecz się skradają, i od tej chwili zaczął je mieć w podejrzeniu. Poskoczył więc na bok, ażeby go nie postrzeżono, i przekonał się, że koło, które formowali, ciągle się zmniejsza; koło to zaś otaczało pawilon.

W tej samej chwili w końcu głównej alei dały się widzieć białe pióra i błysnęły muszkiety królewskiego orszaku. Na koniec de Mouy spostrzegł króla, a z przeciwnej strony króla Nawarry.

Wtedy machnął czapką w powietrzu; był to umówiony znak na wypadek, gdyby wszystko było stracone. Henryk, spostrzegłszy ów znak, natychmiast zwrócił konia w przeciwną stronę i zniknął. De Mouy, spiąwszy konia ostrogami, uciekł, przestrzegając po drodze La Mole'a i Coconnasa.

Król widział, jak Henryk z Małgorzatą zniknęli, i zbliżał się z księciem d'Alencon ku pawilonowi Franciszka I, spodziewając się, że znajdzie ich w chatce, gdzie rozkazał de Nanceyowi zamknąć wszystkich, nie tylko tych, których znajdzie w pawilonie, lecz i tych, których znajdzie w lesie.

D'Alencon, pewien swego, galopował tuż obok króla będącego w bardzo złym humorze z powodu fizycznych cierpień. Dwa czy trzy razy omal nie zemdłał, a raz nawet rzuciła mu się ustami krew.

— Prędzej! Prędzej! — zawołał król, zbliżając się ku pawilonowi. — Muszę powrócić do Luwru; wyciągajcież już tych hugenotów! Dzisiaj mamy świętego Błażeja, brata świętego Bartłomieja.

Na te słowa króla z chatki zaczęto po jednym wyprowadzać hugenotów. Lecz ani króla Nawarry, ani królowej Nawarry, ani de Mouya widać nie było.

— No i cóż! — zawołał król. — Gdzież jest Henryk? Gdzież jest Margot? Wszak obiecałeś mi, d'Alencon, że tutaj będą, i na szatana! żeby mi ich znalezione!

— Króla i królowej Nawarry nawet nie widzieliśmy, Najjaśniejszy Panie — powiedział kapitan de Nancey.

— Otóż i on! — zawołała księżna de Nevers.

W samej rzeczy, na końcu alei prowadzącej ku rzece pokazali się Henryk i Margot, zupełnie spokojni, jak gdyby nic nie zaszło; na rękawicach trzymali swoje sokoły i jechali obok siebie jak nierozłączni kochankowie.

Wtedy to d'Alencon, rozgniewany, rozkazał przetrząsnąć okolicę lasu i wtedy to znalezione La Mole'a i Coconnasa na łączce.

Dwaj przyjaciele, także jak bracia jadąc obok siebie, wjechali w kółko uformowane przez wojsko. Tylko, że nie będąc królami, nie mieli na obliczach takiego spokoju jak Henryk i Małgorzata. La Mole był bardzo błądy, a Coconnas niezwykle czerwony.

ROZDZIAŁ LII

ŚLEDZTWO

Widok, który uderzył przybywających przyjaciół, był z liczby tych, których nigdy się nie zapomina i które raz i tylko przez chwilę widzieć można.

Powiedzieliśmy już, że hugonoci, zamknięci w chatce dla strzelców, przechodzili jeden za drugim obok Karola.

On i d'Alencon chciwie śledzili każde ich poruszenie, oczekując ukazania się króla Nawarry. Zawiedli się jednak w swoich oczekiwaniach. Lecz na tym nie koniec; trzeba było się dowiedzieć, co się z nim stało.

Jak tylko młodzi małżonkowie ukazali się na końcu alei, d'Alencon zbladł, Karolowi zaś lżej zrobiło się na sercu; gdyż w duszy życzył sobie, żeby wszystko, do czego zmuszał go brat, spadło na jego głowę.

— Znowu się wymknie! — mruknął Franciszek, blednąc.

W tej chwili król poczuł w brzuchu tak gwałtowne boleści, iż puścił z rąk cugle, porwał się dłońmi za bok i zaczął krzyczeć jak wściekły. Henryk zbliżył się spieszenie; lecz nim przejechał dwieście kroków oddzielających go od króla, ból Karola przeminął.

— A pan skąd? — zapytał Karol surowym głosem, który zadziwił Małgorzatę.

— Skąd?... Z polowania, mój bracie — odpowiedziała ona.

— Polowanie odbywało się nad brzegiem rzeki, a nie w lesie.

— Mój sokół wzniosł się za bażantem właśnie w tym czasie kiedyśmy pozostali w tyle, aby się przypatrzeć czapli.

— A gdzie bażant?

— Oto jest. Nieprawdaż, że piękny ptak?

I Henryk z najniewinniejszym wyrazem twarzy podał królowi złocistopurpurowego ptaka.

— Ach! Ach! — powiedział Karol. — Kiedyście już złapali bażanta, dlaczegoż nie połączyliście się z nami?

— Dlatego, że ptak skierował swój lot ku parkowi; i kiedy powróciliśmy na brzeg rzeki, byliście już o pół mili przed nami jechaliście do lasu. Wtedy podążyliśmy za wami, żeby dalej prowadzić polowanie.

— A ci panowie? — spytał Karol. — Czy oni także byli zaproszeni na polowanie?

— Którzy panowie? — odrzekł Henryk, rzuciwszy naokoło pytające spojrzenie.

— Eh, u diabła! Twoi hugonoci — powiedział Karol. — W każdym razie, jeśli ich kto zaprosił, to nie ja.

— Nie ja, Najjaśniejszy Panie — odrzekł Henryk — lecz księżę d'Alencon.

— D'Alencon? Jak to?

— Ja? — spytał księżę.

— Eh! Tak, mój bracie — odpowiedział Henryk. — Czyżeś wczoraj nie ogłosił, że będziesz królem Nawarry? A więc hugonoci, chcący cię mieć królem, przybyli podziękować ci za przyjęcie korony, a królowi za to, że ci ją pozwolił przyjąć. Nieprawdaż, panowie?

— Tak! Tak! — zagrzmiało dwadzieścia głosów. — Niech żyje księżę d'Alencon! Niech żyje król Karol!

— Nie jestem królem hugenotów — rzucił Franciszek, pobladły z gniewu.

Następnie, ukradkiem spojrzawszy na Karola, dodał:

— Spodziewam się nawet, że nigdy nim nie będę.

— Wszystko jedno! — rzekł Karol. — Wiedz, Henryku, że znajduję to wszystko bardzo dziwnym.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział król Nawarry z mocą — można by myśleć, Boże, przebacz mi, że mnie badają.

— A jeśli ci powiem, że cię badam, co na to odpowiesz?

— Że jestem królem, tak jak i ty, Najjaśniejszy Panie — dumnie odrzekł Henryk — gdyż nie korona, lecz urodzenie nadaje królewską godność. Gotów jestem odpowiadać memu bratu i przyjacielowi, lecz sędziemu — nigdy.

— Chciałbym jednak nareszcie wiedzieć, co mam o tym wszystkim sądzić? — mruknął Karol.

— Niech przyprowadzą pana de Mouya, a dowiesz się — rzekł d'Alencon.

— Czy pan de Mouy jest między więźniami? — zapytał król. Henryk zaczął się niepokoić, i zamienił spojrzenie z Małgorzatą. Lecz niedługo to trwało. Nikt nie odpowiadał.

— Pana de Mouya nie ma między więźniami — rzekł de Nancey. — Niektórzy z naszych ludzi, zdaje się, że go widzieli, lecz nikt nie jest tego pewny.

D'Alencon mruknął, jakieś przekleństwo.

La Mole i Coconnas słyszeli całą tę rozmowę; ale Małgorzata, sądząc, że może liczyć na ich roztropność, powiedziała:

— Najjaśniejszy Panie, oto dwóch dworzan księcia d'Alencon. Spytaj się ich, oni odpowiedzą.

— Kazałem ich aresztować właśnie dlatego, żeby dowieść, iż wcale nie są moimi dworzanami — powiedział książę.

Karol spojrział na dwóch przyjaciół i zdrzął, zobaczywszy La Mole'a.

— Och! Och! — zawołał. — Znowu ten Prowansalczyk! Coconnas powabnie się skłonił.

— Cóż pan robił, gdy cię aresztowano? — spytał król.

— Dzieliliśmy czyny na polu wojny i miłości.

— Konno! Uzbrojeni od stóp do głów! Gotowi do ucieczki!

— Nie, Najjaśniejszy Panie — rzekł Coconnas. — Wasza Królewska Mość źle jesteście powiadomiony. Odpoczywaliśmy pod cieniem buka.

— Ach! Odpoczywaliście pod cieniem buka.

— I moglibyśmy uciekać, gdybyśmy sądzili, że ściągnęliśmy na się gniew Waszej Królewskiej Mości. Panowie! — ciągnął Coconnas, zwracając się do rycerzy. — Na słowo żołnierskie, powiedzcie: czy moglibyśmy uciec, gdybyśmy chcieli?

— To prawda — odrzekł dowódca oddziału — że ci panowie nie zrobili jednego kroku do ucieczki.

— Gdyż konie ich znajdowały się daleko — dorzucił książę d'Alencon.

— Upraszam najpokorniej o przebaczenie Waszej Królewskiej Mości — powiedział Coconnas — lecz ja siedziałem na koniu; zaś mój przyjaciel hrabia Lerac de La Mole, trzymał swego konia za cugle.

— Czy to prawda, panowie? — spytał król.

— Prawda, Najjaśniejszy Panie — odrzekł kapitan — pan de Coconnas, zobaczywszy nas, zsiadł nawet z konia.

Coconnas uśmiechnął się z grymasem, który znaczył: „A widzisz, Najjaśniejszy Panie!”

— Lecz te konie odwodowe, te muły, te paki, którymi są objuczone? — spytał Franciszek.

— Nie należymy do stajni — odpowiedział Coconnas — spytaj się, mości książę, masztalerza, który ich pilnował.

— Nie ma go — odparł wściekły z gniewu książę.

— Pewnie zląkł się i uciekł — powiedział Coconnas. — Nie można wymagać od takiego gburza, żeby był obdarzony męstwem szlachcica.

— Zawsze ta sama zasada — rzekł d'Alencon, zgrzytając zębami. — Na szczęście uprzedziłem cię, Najjaśniejszy Panie, że ci panowie od kilku dni nie są w moich usługach.

— Jak to? — zawołał Coconnas. — Czyżbym miał być tyle nieszczęśliwym, żeby nie należeć więcej do dworu Waszej Księżęcej Mości?

— Pan wiesz o tym lepiej od wszystkich, gdyż sam uwiadomiłeś mnie o tym w dosyć grubiańskim liście, który, zdaje się, mam nawet przy sobie.

— O! Sądziłem, że Wasza Księżęca Mość wybaczysz mi ów list, pisany w pierwszej chwili uniesienia. Dowiedziałem się, że Wasza Księżęca Mość chciałeś w korytarzu Luwru udusić mego przyjaciela La Mole'a...

— Co takiego? — przerwał Karol.

— Sądziłem, że Wasza Księżęca Mość byłeś sam — ciągnął Coconnas. — Lecz dowiedziawszy się, że troje innych...

— Milcz! — rzekł Karol. — Dosyć już wiemy. Henryku — powiedział do króla Nawarry — daj mi słowo, że nie uciekniesz.

— Daję ci je, Najjaśniejszy Panie.

— Powrócisz do Paryża z panem de Nancey i zamkniesz aresztowanych w swym pokoju. Wy zaś, panowie — rzekł król, obracając się do dwóch szlachciców — oddajcie swe szpady.

La Mole spojrział na Małgorzatę. Małgorzata uśmiechnęła się.

La Mole natychmiast oddał swą szpadę stojącemu obok kapitanowi. Coconnas uczynił to samo.

— A de Mouya znaleziono? — spytał król.

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział pan de Nancey — albo nie było go w lesie, albo też ratował się ucieczką.

— Niech tam — powiedział król. — Zimno mi; blask mnie razi.

— To z gniewu zapewne, Najjaśniejszy Panie — zauważył Franciszek.

— Być może. W oczach mi się mroczy. Gdzie są więźniowie? Nic już nie widzę... Czy to noc?... Och! Boże mój, litości! Pałę się!... Ratunku!... Ratunku!...

I nieszczęśliwy król puścił cugle, wyciągnął ręce i upadł w tył, przytrzymywany przez dworzan, zatrwożonych tym drugim atakiem. Franciszek, stojąc opodal, ocierał pot z czoła, gdyż tylko on znał przyczynę choroby dręczącej brata.

Król Nawarry, pod strażą Nanceya, spoglądał na tę scenę ze wzrastającym zadziwieniem.

— Eh! Eh! — szepnął z tym cudownym natchnieniem, które na chwilę zmieniło go w oświeconą światłem boskim istotę. — Czyżby ucieczka nie udała się na moje szczęście?

Spojrział na Małgorzatę, której wielkie oczy, jeszcze bardziej od zadziwienia rozszerzone, przenosiły się z niego na króla, to znowu z króla na niego.

Król był bez zmysłów. Położono go na nosze, przykryto płaszczem, który jeden z rycerzy zdjął ze swych ramion, i orszak wolno ruszył ku Paryżowi, z którego rano wyjechali śmiali spiskowcy i wesoły król i do którego powracał teraz król umierający, otoczony buntowniczymi więźniami.

Małgorzata, nie postradawszy swobody ani ciała, ani umysłu, dała jeszcze jeden znak mężowi, a potem tak blisko przejechała obok La Mole'a, iż ten mógł usłyszeć te dwa greckie wyrazy:

— *Me deide.*

Co znaczy: „Nie bój się niczego”.

— Co ci powiedziała? — zapytał Coconnas.

— Żebym się niczego nie obawiał — odparł La Mole.

— Tym gorzej — mruknął Piemontczyk — tym gorzej. To znaczy, że z nami nie jest dobrze. Ile razy pokrzepiano mnie tym słowem, zaraz w tejsze chwili otrzymywałem albo kulkę, albo

uderzenie szpadą, albo doniczkę z kwiatami na głowę. „Nie bój się niczego” czy po hebrajsku, czy po grecku, czy po łacinie, czy po francusku, zawsze to dla mnie znaczyło: „Strzeż się!”

— W drogę, panowie! — zawołał dowódca lekkiej jazdy.

— Gdzie nas prowadzą, jeśli wolno spytać? — powiedział Coconnas.

— Sądzę, że do Vincennes — odrzekł kapitan.

— Wolałbym gdzie indziej — powiedział Coconnas. — Lecz nie ma co mówić! Nie zawsze idziesz, gdzie chcesz.

W drodze król przyszedł do siebie i siły w części mu wróciły. W Nanterre chciał nawet wsiąść na konia, czego mu jednak nie dozwolono.

— Poślijcie po Ambrożego Pare — rzekł Karol, przybywszy do Luwru. Zszedł z noszy; wstąpił na schody, opierając się na ramieniu Tavannesa, i udał się do swego apartamentu, nie pozwoliwszy nikomu wchodzić do siebie. Wszyscy zauważyli, że podczas drogi był głęboko zamyślony, do nikogo nic nie mówił i nie zajmował się ani spiskiem, ani spiskowcami. Widoczne było, iż zajmowała go wyłącznie choroba. Była to choroba nagła, dziwna, gwałtowna; niektóre jej symptomy miały podobieństwo do tych, jakie dostrzeżono u jego brata Franciszka II na chwilę przed śmiercią. Nikogo więc nie dziwiło, że zabronił wchodzić do siebie wszystkim z wyjątkiem Ambrożego Pare. Wiadomo było, że mizantropia była główną cechą charakteru tego monarchy.

Karol wszedł do sypialni, siadł w wielkim poręczowym krześle, oparł głowę na poduszkach i pomyślawszy, że Ambrożego Pare nie ma może w domu i że przyjdzie nieprędko, chciał z korzyścią użyć tego czasu. Uderzył więc w dłoń. Wszedł służbowy oficer.

— Oznajmij królowi Nawarry, że chcę z nim pomówić — rzekł Karol. Oficer skłonił się i wyszedł.

Karol przechylił głowę do tyłu; straszna ociężałość ogarnęła jego mózg do tego stopnia, iż zaledwie był w stanie wiązać swe myśli; rodzaj krwawego obłoku unosił się przed jego oczami; usta tak miał spieczone, że mimo iż wypił całą karafkę wody, nie mógł jednak ugasić pragnienia.

Drzwi się otworzyły i wszedł Henryk. De Nancey szedł za nim, lecz zatrzymał się w przedpokoju.

Król Nawarry czekał, dopóki drzwi się za nim nie zamkną. Wtedy zbliżył się i rzekł:

— Najjaśniejszy Panie, wołałeś mnie? Oto jestem. Król zadrżał na ten głos i machinalnie wyciągnął rękę.

— Zapominasz, Najjaśniejszy Panie — powiedział Henryk, nie przyjmując podanej dłoni — że już nie jestem twoim bratem, lecz więźniem.

— Ach! Ach! Prawda — rzekł Karol. — Dziękuję ci, żeś mi przypomniał. Przypominam sobie nawet, żeś mi obiecał odpowiedzieć szczerze, skoro będziemy sami.

— Jestem gotów dotrzymać obietnicy. Pytaj, Najjaśniejszy Panie. Król nalał zimnej wody na rękę i przyłożył ją do czoła.

— Czy jest co prawdy w oskarżeniu księcia d'Alencon? Odpowiedz, Henryku.

— Połowa tylko: gdyż to d'Alencon miał uciekać, a ja jemu towarzyszyć.

— W czym miałeś mu towarzyszyć? — zapytał Karol. — Jesteś więc niezadowolony ze mnie, Henryku?

— Przeciwnie, Najjaśniejszy Panie. Bóg, który tak łatwo czyta w sercach naszych, widzi w moim, jak tkliwe przywiązanie żywię dla mego brata i króla.

— Zdaje mi się jednak — odrzekł Karol — że się nie ucieka od ludzi, których kochamy i którzy nas kochają!

— Ja też uciekałem nie od tych, co mnie kochają, lecz od tych, co — mnie nienawidzą. Czy Wasza Królewska Mość pozwolił mówić szczerze?

— Mów!

— Nienawidzą mnie tutaj d'Alencon i królowa–matka.

— O d'Alenconie nie mówię — odpowiedział Karol — lecz królowa –matka obsypuje cię grzecznościami.

— Właśnie też dlatego nie ufam jej, Najjaśniejszy Panie... I chwała Bogu, że jej nie ufam.

— Jej?

— Jej lub tym, co ją otaczają. Wiesz, Najjaśniejszy Panie, że nieszczęście królów głównie na tym polega, że nie są za źle, lecz zanadto dobrze ugaszczani.

— Wytłumacz się; daleś słowo, iż mi powiesz wszystko,

— I Wasza Królewska Mość widzisz, że go dotrzymuję.

— Mów dalej.

— Wasza Królewska Mość mówiłeś, że mnie kochasz?

— To jest, że cię kochałem do czasu twej zdrady, Henrysiu.

— Wystaw sobie, Najjaśniejszy Panie, że mnie kochasz dotychczas.

— Dobrze!

— Jeżeli mnie kochasz, życzyś sobie zapewne, żebym żył, nieprawdaż?

— Byłbym w rozpaczy, gdyby ci się przytrafiło jakie nieszczęście.

— A więc dwa razy już Wasza Królewska Mość o mało nie popadła w rozpacz.

— Jak to?

— Tak; gdyż dwa razy sama Opatrzność zjawiła się w osobie Waszej Królewskiej Mości.

— A pierwszym razem jakąż postać na siebie przyjęła?

— Postać człowieka, który by wielce był zdziwiony podobnym porównaniem, słowem, postać Reného. Tak, ty, Najjaśniejszy Panie, ocaliłeś mnie od żelaza...

Karol zmarszczył brwi, przypomniał bowiem sobie noc, kiedy uprowadził Henryka na ulicę des Barres.

— A René? — zapytał po chwili.

— René ocalił mnie od trucizny.

— Szczęśliwyś, Henryku — rzekł król, starając się uśmiechnąć; lecz nagle gwałtowny ból zamienił uśmiech w nerwowy skurcz. — To nie jego rzemiosło!

— Dwa więc cuda ocaliły mnie, Najjaśniejszy Panie. Cud litości w duszy florentczyka i cud twojej miłości. Przyznam, że się obawiam, czy się już nie sprzykrzyło niebu czynić cuda; chciałem bowiem uciekać, trzymając się tej prawdy: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże”.

— Dlaczego żeś mi o tym wcześniej nie powiedział?

— Gdybym ci to był powiedział wczoraj, byłbym donosicielem.

— A dziś?

— Dziś co innego; jestem oskarżony i bronię się.

— Czy jesteś pewny tego pierwszego zamachu na twe życie?

— Tak jak i drugiego.

— I chciano cię otruć?

— Tak.

— Czym?

— Opiatą.

— Jak to trują opiatą?

— Spytaj się Reného, Najjaśniejszy Panie; trują także i rękawiczkami. Karol zmarszczył brwi, lecz powoli oblicze jego znowu się wypogodziło.

— Tak, tak — rzekł, jakby mówił do siebie — tak jest w naturze, że wszystko, co żyje, unika śmierci. Dlaczegoż by rozsądek nie czynił tego, co czyni instynkt?

— I cóż? — spytał Henryk. — Czy Wasza Królewska Mość jesteś i zadowolony z mojej szczerości i sądzisz, żem już wszystko powiedział

— Tak, Henrysiu, tak; dzielny z ciebie chłopiec. Myślisz więc, że ci, co mieli na cię chrapkę, już się uspokoili i nie będą czynić nowych zamachów?

— Każdego wieczoru dziwię się, że jeszcze żyję.

— Dlatego chcą cię zabić, Henrysiu, że wiedzą, iż cię kocham. Lecz bądź spokojny; zostaną ukarani za złe chęci. Ty tymczasem jesteś wolny.

— I wolno mi opuścić Paryż? — zapytał Henryk.

— Nie! Wiesz dobrze, iż nie mogę obejść się bez ciebie. Ech! Do wszystkich diabłów! Muszę mieć kogoś, co by mnie kochał.

— Jeżeli Wasza Królewska Mość zostawisz mnie przy sobie, raczysz mi uczynić jedną łaskę...

— Jaka?

— Zostaw mnie przy sobie nie jak przyjaciela, lecz jak więźnia.

— Jak to! Więźnia?

— Czyż Wasza Królewska Mość nie widzisz, że twoja przyjaźń mnie gubi?

— I raczej wolisz, iżbym cię nienawidził?

— Pozornie tylko. Nienawiść ta dopóty będzie moim szczęściem, dopóki mnie będą uważać za pozostającego w niełasce; tym sposobem nie będą się spieszyć z odebraniem mi życia.

— Henrysiu — rzekł Karol — nie wiem, czego żądasz, nie znam twego celu; lecz jeśli życzenia twe się nie spełnią, jeśli nie dosiężesz celu, jakiś sobie zamierzył, bardzo mnie) to dziwić będzie.

— Mogęż więc liczyć na surowość króla?

— Możesz.

— Jestem tedy spokojniejszy. Cóż teraz Wasza Królewska Mość rozkażesz?

— Idź do domu, Henrysiu. Jestem cierpiący; zjrzę tylko do psów i położę się spać.

— Lepiej by było, żebyś Wasza Królewska Mość przywołał doktora; dzisiejsza choroba twoja, Najjaśniejszy Panie, jest może niebezpieczniejsza, niż sam sądzisz...

— Posłałem już po Ambrozego Pare.

— Odchodzę więc spokojniejszy.

— Przysięgam na mą duszę! — powiedział król. — Z całej mojej rodziny, zdaje mi się, tylko ty prawdziwie mnie kochasz.

— Czy to twoje zdanie, Najjaśniejszy Panie?

— Słowo szlachcica!

— A więc, Najjaśniejszy Panie, oddaj mnie w ręce de Nanceya jako człowieka, któremu gniew twój nie pozwoli przeżyć i miesiąca. Tym sposobem dasz mi sposobność kochania cię przez długi czas.

— Panie de Nancey! — zawołał Karol. Kapitan straży przybocznej wszedł.

Król rzekł do niego:

— Oddaję ci w ręce największego winowajcę w królestwie; odpowiesz mi za niego swoją głową.

Henryk, wyrazem najwyższej rozpacz na twarzy, wyszedł za de Nanceyem.

ROZDZIAŁ LIII

AKTEON

Karol, zostawszy sam, zdziwił się, że dotychczas nie przybiegł doń ani jeden z jego dwóch wiernych przyjaciół; byli to mamką Magdalena i chart Akteon.

— Mamka poszła zapewne do którego ze znajomych hugenotów śpiewać psalmy — rzekł do siebie — a Akteon dąsa się jeszcze na mnie za uderzenie pejcem, którym go poczęstowałem dziś rano.

Karol wziął świecę i udał się do mamki. W istocie nie było jej w domu.

Jedne z drzwi w mieszkaniu Magdaleny prowadziły, jak sobie zapewne czytelnik przypomina, do zbrojowni.

Król zbliżył się do tych drzwi.

Lecz w przejściu napadły go boleści, których już poprzednio doświadczył i które zdawały się chwytać go chwilowo. Cierpiał, jak gdyby rozpalone żelazo przykładano mu do wnętrzości; trawiło go pragnienie nie do ugaszenia. Spozrzegł stojącą na stole filiżankę mleka, wypił ją jednym łykiem i poczuł, że boleści nieco się uśmierzyły. Wtedy wziął znowu świecę i wszedł do gabinetu. Ku jego wielkiemu zdziwieniu Akteon nie rzucił się mu na spotkanie. Czyżby go miano zamknąć? Lecz w takim razie pies zwęszyłby, że jego pan powrócił z polowania, i byłby zawył.

Karol krzyknął, gwizdnął — nikogo nie było widać.

Postąpił cztery kroki naprzód. Ponieważ blask świecy dochodził do kąta gabinetu, król dostrzegł więc leżącą w tym kącie jakąś bezwładną, na posadzce rozciągniętą masę.

— Hola! Akteon! Hola! — zawołał Karol. I gwizdnął jeszcze raz.

Pies nie ruszył się z miejsca.

Karol podbiegł i dotknął go: biedne zwierzę było martwe i zimne...

Z pyska, skurzonego od boleści, upadło kilka kropli żółci zmieszanej z zapienioną i zakrwawioną śliną. Pies znalazł w gabinecie czapkę swego pana i zdechł, oparłszy głowę na przedmiocie przypominającym mu przyjaciela.

Widok ten kazał zapomnieć Karolowi o własnych boleściach i powrócił mu całą energię. Gniew wrzał w jego żyłach. Chciał krzyczeć. Lecz wielkość królów nakłada pęta; nie mogą oni poddać się pierwszemu wzburzeniu, które każdy człowiek obraca na korzyść swej namiętności albo też obrony.

Karol uznał, że ukrywa się tu może jaka zdrada, i umilkł. Ukląkł przed psem i doświadczonego okiem zaczął badać trupa. Oczy zwierzęcia zdawały się szklane, język był czerwony i pokryty pryszczami; była to jakaś dziwna choroba.

Król, drżąc, włożył rękawiczki zdjęte przed chwilą i zatknięte za pas, podniósł zsiniałą wargę psa i zaczął oglądać zęby; pomiędzy nimi i na samych zębach dostrzegł wtedy jakieś białe strzępy. Zdjął, je i poznał, że to był papier. Wokół papieru opuchlizna była większa, dąsała nabrzmiąle i skóra, zaczerwieniona jakby od witriolu.

Karol uważnie spojrział dokoła. Na dywanie leżały dwa czy trzy kawałeczki papieru podobnego do tego, który już poznał w pysku psa; na jednym, nieco większym kawałku, dawały się widzieć ślady ryciny.

Włosy powstały Karolowi na głowie, poznał bowiem cząstkę obrazka przedstawiającego rycerza na polowaniu, który to obrazek Akteon wydarł z myśliwskiej książki.

— Ach! — powiedział, blednąc. — Książka była zatruta. Potem, nagle przypominając sobie okoliczności, zawołał:

— Do tysiąca szatanów! Dotykałem palcem każdej stronicy i za każdym razem ślinałem w ustach palec... Te mdłości, te bóleści, te wymioty!... Zginałem!

Przez chwilę stał nieruchomo, przytłoczony ciężarem strasznej myśli. Potem podniósł się z głuchym jękiem i rzuciwszy się ku drzwiom gabinetu, zaczął wołać:

— René, René! Niech kto pobiegnie na most Saint-Michel i przyprowadzi mi florentczyka. Trzeba, żeby tu był za dziesięć minut. Niech który z was wsiądzie na konia i sprowadzi Ambrożego Pare: każecie mu zaczekać.

Gwardzista wybiegł pędem, aby spełnić wydany rozkaz.

— Choćbym wszystkich miał kłaść na tortury — szeptał Karol — muszę się dowiedzieć, kto dał książkę Henrykowi.

I z czołem mokrym od potu, ze skurczonymi rękoma, z zadyszana piersią, utkwiał oczy w trupie swego psa.

Po dziesięciu minutach florentczyk, bojaźliwie i z jakimś niepokojem, zapukał do drzwi króla. Bywają sumienia, dla których niebo nigdy nie jest jasne.

— Wejdz — powiedział Karol.

Perfumiarz wszedł.

Karol zbliżył się do niego z rozkazującą postawą i zaciśniętymi ustami.

— Wasza Królewska Mość kazałeś mnie przywołać? — rzekł drżący René.

— Tak. Jesteś biegłym chemikiem, nieprawdaż?

— Najjaśniejszy Panie...

— I umiesz to wszystko, co umieją najuczeńsi lekarze.

— Przesadzasz, Najjaśniejszy Panie.

— Nie! Matka mi o tym mówiła. Zresztą ufam ci i wolę naradzić się z tobą niż z kim innym. Oto — ciągnął, odsłaniając trupa psa — proszę cię, zechciej zobaczyć, co to zwierzę ma między zębami, i powiedz mi, z czego umarło.

Podczas gdy René, ze świecą w ręku, skłonił się do samej ziemi, tak dla ukrycia wzruszenia, jak i przez szacunek dla króla, Karol, stojąc z wlepionymi w tego człowieka oczyma, oczekiwał z łatwą do pojęcia niecierpliwością wyrazu, który miał być dla niego wyrokiem śmierci lub światłem zbawienia.

René wyjął z kieszeni rodzaj nożyka, otworzył go i końcem jego zdjął z pyska charta kawałeczki papieru przylegające do jego dziąseł. Długo i z uwagą patrzył na żółć i krew sącząca się z każdej rany.

— Smutne symptomy, Najjaśniejszy Panie — powiedział drżącym głosem. Karol poczuł zimny dreszcz, przebiegający po żyłach i dochodzący do samego serca.

— Tak — rzekł — pies został otruty, nieprawdaż?

— Zdaje się.

— A jakim rodzajem trucizny?

— Jak sądzę, trucizną mineralną.

— Czy możesz na pewno przekonać się, iż został otruty?

— Bez wątplenia. Trzeba go tylko rozkroić i obejrzeć żołądek.

— Zrób to. Chcę się dowiedzieć prawdy.

— Trzeba przywołać kogo do pomocy.

— Ja sam ci pomogę — odpowiedział Karol. — Ty, Najjaśniejszy Panie!

— Tak, ja. Jeśli został otruty, jakież znajdziemy objawy?

— Czerwone plamy i rozgałęzienia w żołądku.

— Do dzieła! — rzekł Karol.

René jednym uderzeniem noża otworzył piersi charta i silnie je rozsunął, gdy tymczasem Karol, klęcząc na jednym kolanie, przyświecał mu kurczoną i drżącą ręką.

— Patrz, Najjaśniejszy Panie — powiedział René — oto ślady widoczne. Czerwone plamy, o których Waszej Królewskiej Mości wspominałem; oto żyły zakrwawione, podobne do korzeni jakiejś rośliny. Jest to właśnie to, co nazwałem rozgałęzieniami. Znajduję tu wszystko, czego szukałem.

— A więc pies został otruty?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Trucizną mineralną.

— Podług wszelkiego prawdopodobieństwa.

— A co doświadczyłby człowiek, który by niechcący zażył tej samej trucizny?

— Wielki ból głowy, wewnętrzne palenie, jak gdyby połknął żarzące węgle, rżnięcie we wnętrzościach, wymioty.

— A miałby pragnienie? — spytał Karol.

— Pragnienie nie do ugaszenia.

— Tak, tak, dobrze! — mruknął król.

— Najjaśniejszy Panie! Na próżno staram się odgadnąć cel tych wszystkich zapytań... — zaczął René.

— A to na co? Wcale go nie potrzebujesz wiedzieć... Odpowiadaj tylko na moje pytania.

— Cóż więc Wasza Królewska Mość masz do zapytania?

— Jakiego leku winien użyć człowiek, który by zażył tego samego co mój pies jadu?

René namyślał się przez chwilę; potem powiedział:

— Wiele jest mineralnych trucizn; pierwej jednak, nim odpowiem, chciałbym wiedzieć, jaka to jest istotnie trucizna. Czy wiadomy Waszej Królewskiej Mości sposób, jakim pies został otruty?

— Wiadomy — odpowiedział Karol — zjadł on stronicę z książki.

— Stronicę z książki?

— Tak.

— Czy Wasza Królewska Mość posiadasz tę książkę?

— Oto ona — powiedział Karol, zdejmując książkę z półki, na którą ją postawił, i podając Renému.

René zrobił gest zadziwienia, który nie uszedł baczności króla.

— Pies zjadł stronicę z tej książki? — wybąkał perfumiarz.

— Oto tę właśnie.

I Karol pokazał mu oderwaną stronę.

— Czy Wasza Królewska Mość pozwolisz wydrzeć jeszcze jedną?

— Wydrzyj.

René wydarł jedną ćwiartkę i zbliżył ją do świecy: papier się zapalił i po gabinecie rozszedł się mocny odór czosnku.

— Został otruty arsenikiem — powiedział.

— Jesteś tego pewny?

— Tak pewny, jak gdybym go sam przyprawiał.

— A lekarstwo na to?... René potrząsnął głową.

— Jak to — rzekł Karol chrapliwym głosem — więc nie znasz lekarstwa?

— Najlepszym i najskuteczniejszym są białka od jajek rozbite w mleku; lecz...

— Lecz... co?

— Lecz trzeba je wziąć natychmiast; gdyż inaczej...

— Co inaczej?...

— Najjaśniejszy Panie, to straszna trucizna — odpowiedział René.

— Jednakże nie zabija natychmiast — rzekł Karol.

— Nie; lecz zabija na pewno, mniejsza o czas, kiedy człowiek ma umrzeć; czasami nawet bywa to wyrachowane.

Karol oparł się o marmurowy stół.

— Teraz — rzekł, kładąc rękę na ramieniu Reného — powiedz, czy znasz tę książkę?

— Ja, Najjaśniejszy Panie? — powiedział zbladły René.

— Tak, ty; zobaczywszy ją, już się zdradził.

— Najjaśniejszy Panie, przysięgam ci...

— Posłuchaj, René — rzekł Karol. — Otrułeś królową Nawarry rękawiczkami; otrułeś księcia de Porcian wyziewem lampy; usiłowałeś otruć księcia Kondeusza pachnącym jabłkiem... René! Każę ci drzeć pasy rozpalonymi do czerwoności obcęgami, jeśli nie powiesz, do kogo ta książka należy.

Florentczyk widział, że nie można żartować z gniewem Karola IX, i zdecydował się odpowiedzieć.

— A jeśli powiem prawdę, Najjaśniejszy Panie, kto mi zaręczy, że nie będę ukarany straszniej jeszcze niż za milczenie?

— Ja.

— I Wasza Królewska Mość dasz mi swoje królewskie słowo? — Słowo uczciwego człowieka! Nikt cię nie dotknie.

— A więc kiedy tak, książka, ta do mnie należy.

— Do ciebie! — zawołał Karol, cofnąwszy się na krok i spoglądając na truciciela błędnym wzrokiem.

— Tak, do mnie.— Jakimże sposobem wyszła z twoich rąk?

— Jej Królewska Mość królowa–matka wzięła ją ode mnie.

— Królowa–matka! — zawołał Karol.

— Tak.

— Lecz w jakim celu?

— Sądzę, że w celu odesłania jej królowi Nawarry, który prosił księcia d'Alencon o wystaranie mu się jakiej w podobnym rodzaju książki, a to dla nauczania się polowania z sokołami.

— Och! Tak — zawołał Karol. — Pojmuję teraz wszystko. Książka ta w istocie była u Henryka. Więc to przeznaczenie i ja mu się poddaję.

W tej chwili napadł Karola suchy, gwałtowny kaszel, po którym nastąpiły nowe bóleści we wnętrznościach. Wydał dwa czy trzy stłumione krzyki i padł na krzesło.

— Co ci jest, Najjaśniejszy Panie? — zapytał René przerażony.

— Nic — odrzekł Karol — mam tylko pragnienie; daj mi pić. René nalał wody w szklanekę i drżącą ręką podał ją Karolowi. Król wypił wodę jednym łykiem.

— Teraz — rzekł Karol, biorąc pióro i maczając je w atramencie — napisz na tej książce...

— Cóż mam napisać?

— To, co ci podyktuję: *Podręcznik ten, o polowaniu z sokołami, dany był przeze mnie królowej–matce, Katarzynie de Medici.*

René wziął pióro i napisał.

— Teraz podpisz się. Florentczyk podpisał się.

— Wasza Królewska Mość obiecałeś mi bezpieczeństwo — przypomniał perfumiarz.

— I z mej strony dotrzymam słowa.

— Lecz ze strony królowej–matki? — spytał René.

— O! Co cię spotka z tej strony — odrzekł Karol — to mnie wcale nie obchodzi. Jeśli cię napadną, broń się.

— Najjaśniejszy Panie! Czy mogę opuścić Francję, jeśli będę widział, iż życiu memu grozi niebezpieczeństwo?

— Odpowiem ci na to za dwa tygodnie. Tymczasem... Karol, zmarszczywszy brwi, podniósł palec do zsiniałych ust.

— O! Bądź spokojny, Najjaśniejszy Panie.

Florentczyk, szczęśliwy, że się tak tanim kosztem uwolnił, skłonił się i wyszedł.

Po chwili pokazała się mamka na progu swego pokoju.

— Co ci jest, Karolciu? — spytała.

— Przemoczyłem nogi na rosie i jestem niezdrów.

— W rzeczy samej, jesteś bardzo blady, mój Karolciu.

— Gdyż jestem słaby. Podaj mi rękę, mamko, i zaprowadź mnie do łóżka. Mamka prędko się zbliżyła.

Karol przy jej pomocy doszedł do sypialni.

— Teraz — powiedział — położę się do łóżka sam jeden.

— A jeśli przyjdzie Ambroży Parć?

— Powiedz mu, że mam się lepiej i że go już nie potrzebuję.

— Lecz tymczasem co weźmiesz?

— O! Lekarstwo bardzo proste — rzekł Karol. — Białka od jaj rozbite w mleku. Ale, mamko, ten biedny Akteon zdechł. Trzeba będzie jutro rano kazać go pochować w którym kącie luvrskiego ogrodu. Był on jednym z moich najlepszych przyjaciół... Każę mu postawić nagrobek, Jeśli jeszcze zdążę...

ROZDZIAŁ LIV

LAS W VINCENNES

Zgodnie z poleceniem Karola IX odprowadzono Henryka do lasu w Vincennes. Tak w owej epoce nazywano sławny zamek, z którego dziś pozostały tylko zwaliska — rozległe ruiny, świadczące o jego minionej wielkości.

Przyniesiono Henryka w lektyce. Z każdej strony jechało czterech żołnierzy, a pan de Nancey postępował naprzód z rozkazem, który miał otworzyć bramy opiekuńczego więzienia.

Zatrzymano się u drzwi galerii prowadzącej do wieży. Pan de Nancey zsiadł z konia, otworzył drzwiczki zamknięte kłódką i z uszanowaniem poprosił króla, żeby wysiadł z lektyki.

Henryk był posłuszny i nie stawiał najmniejszego oporu. Każde mieszkanie uważał za bezpieczniejsze od Luwru, a dziesięć drzwi zamykających się teraz za nim odgradzało go zarazem od Katarzyny de Medici.

Królewski więzień przebył zwodzony most między dwoma żołnierzami, potem troje drzwi u spodu wieży i tyleż drzwi wiodących na schody. Nancey wprowadził go na pierwsze piętro. Tutaj kapitan, widząc, że Henryk chce jeszcze iść dalej, rzekł:

— Zatrzymaj się, Najjaśniejszy Panie.

— A! A! A! — powiedział Henryk, zatrzymując się. — Zdaje się, że mi robią ten zaszczyt, iż mnie zamkną na pierwszym piętrze.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł Nancey — postępuj z tobą jak z głową ukoronowaną.

— Niech to diabli wezmą! — powiedział do siebie Henryk — dwa lub trzy piętra wyżej nie poniżyłoby mnie. Tutaj mi będzie za dobrze, zaczną mieć podejrzenie...

— Czy Wasza Królewska Mość zechcesz iść za mną? — rzekł Nancey.

— Czyż nie wiesz, że kiedy mój brat Karol rozkazuje, nie ma co pytać się mnie, czy chcę, czy też nie chcę. Czy on rozkazuje, żebym szedł za tobą?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— A więc idę.

Udano się przez jakiś korytarz. Korytarz ten prowadził do dość obszernej, posępnej sali z ciemnymi ścianami. Henryk rozejrzał się niespokojnie.

— Gdzie jesteśmy? — spytał.

— Przechodzimy przez izbę tortur, Najjaśniejszy Panie.

— Aha! — mruknął król.

I baczniej jeszcze przyglądać się począł.

W izbie tej wszystkiego było po trochu: konwie i kadzie do tortur z gorącą wodą, kliny i młotki do tortur przy ściskaniu nóg; oprócz tego kamienne ławki, przeznaczone dla nieszczęśliwych ofiar, które czekały tortury, ciągnęły się prawie wokoło całej sali; nad tymi ławkami, do samych ławek i do nóg tychże przytwierdzone były żelazne kółka, w ścianę wmurowane.

Henryk szedł dalej, nie mówiąc ani słowa, lecz nie tracąc najmniejszego szczegółu z tych wszystkich okropnych przygotowań kreślących na tych murach historię cierpień.

Tocząc wzrokiem po wszystkich stronach, Henryk nie patrzył pod nogi; potknął się więc.

— Ech! — rzekł. — Cóż to jest?

I wskazał na rodzaj rowka wydrążonego w wilgotnej kamiennej posadzce.

— To rynna, Najjaśniejszy Panie.

— Więc tu deszcz pada?

— Tak, deszcz; lecz deszcz krwawy, Najjaśniejszy Panie.

— Ach! Ach! — powiedział Henryk. — Doskonale. Czy prędko przybędziemy do mego pokoju?

— Jużemy przybyli — odpowiedział jakiś cień, rysujący się w ciemności i który, w miarę jak się doń zbliżali stawał się widoczniejszy i wyraźniejszy.

Henrykowi zdawało się, że głos ten jest mu znajomy; zrobił kilka kroków naprzód i poznał mówiącego.

— Ach! To ty Beaulieu — powiedział — cóż tu, u diabła, robisz?

— Najjaśniejszy Panie, objąłem właśnie urząd gubernatora twierdzy Vincennes.

— A więc; mój kochany przyjacielu, pięknie swój zawód rozpoczynasz; mieć na pierwszy raz więzieniem króla to wcale nieźle.

— Za pozwoleniem, Najjaśniejszy Panie — odparł Beaulieu — jeszcze przed tobą przyjąłem dwóch szlachciców.

— Kogóż to? Ach! Wybacz: stawiam ci może nierozważne pytanie. A więc wystaw sobie, że nic nie mówiłem.

— Nie zalecono mi tajemnicy. Są to panowie de La Mole i de Coconnas.

— Ach! Prawda; przy mnie ich aresztowano. Biedacy! Jakże znoszą swe nieszczęście?

— Każdy z nich znosi je odmiennie; jeden jest wesoły, drugi smutny; jeden śpiewa, drugi wzdycha.

— Któryż z nich wzdycha?

— Pan de La Mole, Najjaśniejszy Panie.

— Na honor — powiedział Henryk — lepiej rozumiem tego, co wzdycha, niż tego, co śpiewa. Wnoszę stąd, że więzienie nie jest zbyt wesołe. Na którymże znajdują się oni pięttrze?

— Na najwyższym: na czwartym.

Henryk westchnął. Chciałby tam być.

— Bądź tak dobry, panie de Beaulieu — rzekł król — i wskaż mi mój pokój; chciałbym się już w nim znajdować, gdyż dzień dzisiejszy bardzo mnie zmordował.

— Oto on, Najjaśniejszy Panie — powiedział Beaulieu, pokazując Henrykowi otwarty pokój.

— Numer dwa — rzekł Henryk — dlaczegoż nie numer jeden?

— Tamten już przeznaczony dla innej osoby.

— Aha! Ma to znaczyć, że spodziewacie się więźnia zacniejszego niż ja rodu.

— Nie mówiłem, Najjaśniejszy Panie, że to więzień.

— Któż więc?

— Nie pytaj, Najjaśniejszy Panie, gdyż będę zmuszony przełamać należne ci posłuszeństwo i milczeć.

— A! To co innego — powiedział Henryk.

I bardziej jeszcze niż pierwaj się zamyślił. Ten numer jeden widocznie go zaintrygował. Zresztą gubernator nie zmienił swaj grzeczności. Chcąc ująć sobie Henryka, wprowadził go do pokoju, prosił o przebaczenie za brak wygody, postawił u drzwi dwóch żołnierzy i wyszedł.

— Teraz — rzekł gubernator do stróża — chodźmy do tamtych. Stróż poszedł naprzód. Udali się tą drogą, którą przyszli, to jest przez izbę tortur, korytarz i schody. Pan de Beaulieu, postępując za swym przewodnikiem, przeszedł trzy piętra.

Na czwartym, to jest najwyższym pięttrze, stróż otworzył jedne za drugimi troje drzwi, z których każde były zaopatrzone dwoma zamkami i trzema ogromnymi zasuwami.

Zaledwie dotknął trzecich drzwi, dał się zaraz słyszeć radosny głos, który wołał:

— Eh! Do kroćset diabłów! Otwórzcie, choćby dla wpuszczenia świeżego powietrza. Tak tu gorąco, że można się udusić.

I Coconnas, którego czytelnik poznał z jego ulubionego przekleństwa, jednym skokiem stanął u drzwi.

— Chwilkę, mój panie — rzekł stróż — przychodzę tutaj nie po to, żeby panów uwolnić, lecz żeby wprowadzić pana gubernatora.

— A czegoż tu chce pan gubernator?

— Przyszedł panów odwiedzić.

— Robi nam on wiele zaszczytu — odpowiedział Coconnas — witaj, panie gubernatorze.

Pan de Beaulieu rzeczywiście wszedł i natychmiast stłumił uśmiech serdeczny Coconnasa lodowatą grzecznością, właściwą gubernatorom fortec, dozorcóm więzień i katom.

— Czy masz pan pieniądze? — spytał więźnia.

— Ja? — odpowiedział Coconnas. — Nie mam ani jednego talara.

— A kosztowności?

— Mam pierścień.

— Czy pozwolisz pan zrewidować się?

— Do kroćset! — zawołał Coconnas, czerwieniejąc od gniewu. — Szczęście twoje, że jesteśmy w więzieniu.

— Wszystko trzeba znosić w królewskiej służbie.

— Lecz uczciwi ludzie obdzierający przechodzących na Pont-Neuf są także w królewskiej służbie? Do kroćset! Bardzo byłem niesprawiedliwy, mój panie; gdyż dotychczas uważałem ich za złodziei.

— Żegnam cię, panie — powiedział Beaulieu. — Stróżu, zamknij go. Gubernator wyszedł, unosząc z sobą pierścień Coconnasa, bardzo piękny szmaragd, który mu podarowała księżna Nevers, aby zawsze pamiętał kolor jej oczu.

— Teraz do drugiego — rzekł Wychodząc.

Przeszli próżny pokój i znowu rozległ się skrzyp otwieranych drzwi, sześciu zamków i dziewięciu ryglów.

Ostatnie drzwi otworzyły się i pierwszym szmerem, jaki doszedł do uszu odwiedzających, było westchnienie.

Pokój ten był jeszcze posepniejszy od tego, z którego dopiero co wyszedł Beaulieu. Cztery wąskie i długie, do strzelnic podobne okna oświecały słabo to smutne schronienie. Żelazna krata tak była zmyślnie w oknach umocowana, że więzień nie mógł nawet widzieć nieba.

La Mole siedział w kącie i nie zważając na przybyłych, nie ruszył się z miejsca, jak gdyby nic nie słyszał.

Gubernator zatrzymał się na progu i przez chwilę spoglądał na więźnia, który, nieruchomy, pochylił głowę na rękę.

— Dobry wieczór, panie de La Mole — powiedział Beaulieu. Młodzieniec z wolna podniósł głowę.

— Dobry wieczór panu — odpowiedział.

— Przyszedłem pana zrewidować — rzekł gubernator.

— Nie ma potrzeby — odpowiedział La Mole — sam oddam wszystko, co mam przy sobie.

— Cóż pan masz?

— Mam około trzystu talarów i te oto klejnoty i pierścienie.

— Oddaj je pan — rzekł gubernator.

— Oto one.

La Mole wypróżnił kieszenie, zdjął pierścienie z palców i oderwał klamrę od kapelusza.

— Nie masz pan nic więcej?

— O ile wiem, nic więcej nie mam.

— A co pan masz na szyi, na jedwabnym sznurku? — zapytał gubernator. — Nie jest to żaden klejnot, lecz pamiątka.

— Oddaj pan.

— Jak to? Więc pan wymagasz...

— Rozkazano mi pozostawić panu tylko suknie; pamiątka zaś nie jest suknią.

La Mole uczynił poruszenie gniewu, który na tle jego pełnego godności spokoju zdawał się być jeszcze bardziej zastraszający dla ludzi przyzwyczajonych do widoku gwałtownych scen.

Lecz natychmiast przyszedł do siebie.

— Dobrze więc; oddam, co pan żądasz.

Przy tych słowach odwrócił się, jakby chcąc zbliżyć się do światła, i zdjął mniemaną pamiątkę; był to medalion z portretem; wyrwał portret z medalionu i podniósł do ust. Lecz pocałowawszy go kilka razy, udał, że go upuszcza na ziemię, i nastąpił na niego piętą buta tak silnie, że porwał go na tysiące kawałków.

— Panie!... — zawołał gubernator.

Po czym schylił się i spojrzął, czy nie można ocalić od zniszczenia tajemniczego przedmiotu, który La Mole chciał przed nim ukryć; lecz miniatura została do szczętu zniszczona.

— Król chciał mieć ten klejnot — rzekł La Mole — lecz nie miał żadnego prawa do portretu w nim się mieszczącego. Oto medalion; możesz go pan wziąć.

— Panie — powiedział Beaulieu — poskarżę się przed królem.

I nie pożegnawszy więźnia ani słowem, wyszedł w takim gniewie, że nie czekał nawet, aby stróż zamknął przy nim drzwi.

Stróż zrobił kilka kroków, żeby wyjść i widząc, że pan de Beaulieu już jest na schodach, rzekł do La Mole'a:

— Na honor! Dobrze zrobiłem, że wpadłem na pomysł i wziąłem zaraz od pana sto talarów, za które ułatwię panu widzenie się z towarzyszem. Gdybyś pan nie był ich dał, gubernator wzięłby je z pozostałymi trzystoma, a wtedy sumienie nie pozwoliłoby mi służyć panu; lecz pan zapłaciłeś mi wprzód i ja obiecałem, że zobaczysz się ze swoim towarzyszem... uczciwy człowiek umie dotrzymać słowa... Tylko jeśli można, tak ze względu na siebie, jak i na mnie, nie rozmawiajcie panowie o polityce.

La Mole wyszedł ze swego pokoju i znalazł się naprzeciw Coconnasa, który chodził po środkowej sali.

Przyjaciele rzucili się sobie w objęcia.

Stróż udał, że ociera łzę, i wyszedł; stanął na czatach, pilnując, żeby nie zdybano więźniów, albo raczej jego samego.

— Ach! Otóż i ty — zawołał Coconnas — no i cóż! Czy był u ciebie ten straszny gubernator?

— Sądzę, że i u ciebie.

— I zabrał ci wszystko?

— Tak jak i tobie.

— O! Ja miałem niewiele: pierścionek od Henriety i nic więcej.

— A pieniędzy?

— Wszystko, co miałem, oddałem temu dzielnemu stróżowi, iżby mi ułatwił widzenie z tobą.

— Ach! Ach! — rzekł La Mole. — Zdaje się, że on dostaje z dwóch rąk.

— Więc ty także go opłaciłeś?

— Dałem mu sto talarów.

— Tym lepiej.

— Tym lepiej, że nasz stróż jest biedakiem.

— Bez wątpienia; pieniędzmi będzie można z niego zrobić wszystko, co się nam podoba; a na pieniądzech, spodziewam się, nie zbraknie nam.

— Rozumiesz teraz, jak szły interesy?

— Zupełnie... Wydano nas,

— Któż taki?

— D'Alencon. Słusznie chciałem mu ukrećić łeb.

— I sądzisz, że nasza sprawa jest poważna?

— Tak mi się zdaje.

— Więc należy oczekiwać i... tortur.

— Nie ukrywam przed tobą, że już o tym myślałem.

— Co powiesz, jeśli rzeczy zajdą tak daleko?

— A ty?

— Ja będę milczał — odpowiedział La Mole z gorączkowym rumieńcem.

— Będziesz milczał? — zawołał Coconnas.

— Tak; jeśli będę miał siłę.

— A ja — rzekł Coconnas — jeśli by postąpiono ze mną tak podle, dam ci słowo, że wyznam wiele rzeczy.

— Cóż takiego? — zapytał żywo La Mole.

— O! Bądź spokojny: wyznam takie rzeczy, że d'Alencon przez kilka nocy nie będzie mógł zasnąć.

La Mole chciał odpowiedzieć, gdy w tej chwili dozorca, usłyszawszy zapewne jakiś szmer, przybiegł, wepchnął każdego z nich do celi i zamknął drzwi za sobą.

ROZDZIAŁ LV

WOSKOWA FIGURA

Już od ośmiu dni Karol nie opuszczał łóżka. Cierpiał na nieszczęsną febrę, przerywaną czasami gwałtownymi napadami mającymi podobieństwo do wielkiej choroby.

W czasie tych ataków wydawał niekiedy jęki, którym żołnierze, czuwający w przedpokoju, ze strachem się przysłuchiwali, a którym wtórowało echo starego Luwru, obudzone od niejakiego czasu tyloma złowrogimi odgłosami. Potem, kiedy atak minął, Karol osłabiony, z przygasłym wzrokiem, padał na ręce mamki.

Matka i syn ukrywali przed sobą swoje uczucia i unikali jedno drugiego. Opowiedzieć, jak posępne myśli przytłaczały serce Katarzyny de Medici i księcia d'Alencon, byłoby to chcieć odmalować szkaradne robactwo ruszające się w głębi gniazda żmij.

Henryk był zamknięty w swym pokoju; na jego prośbę Karol, zabronił odwiedzać go wszystkim, nawet Małgorzacie. W oczach wszystkich było to zupełną niełaską. Katarzyna i d'Alencon odetchnęli swobodniej, uważając go już za zgubionego; tymczasem Henryk jadł i pił spokojniej niż przedtem, myśląc, że już, o nim zapomniano.

Nikt przy dworze nie domyślał się przyczyny choroby króla. Ambroży Paré i jego towarzysze Mazille przypisali to zapaleniu żołądka, biorąc skutek za przyczynę. Przepisali mu łagodzącą dietę, która pomagała szczególnemu lekarstwu Renégo; mleko z białkami król brał z rąk mamki trzy razy na dzień, co stanowiło jedyne jego pożywienie.

La Mole i Coconnas siedzieli w Vincennes pod ścisłym dozorem. Małgorzata i pani de Nevers z dziesięć razy starały się dostać do nich albo przynajmniej przesłać im bilet; lecz im się to nie udało.

Pewnego poranku Karol poczuł, że się ma lepiej, i kazał wpuścić cały dwór, który zazwyczaj, chociaż król nie wstawał, co rano przybywał, chcąc i być obecnym przy wstaniu. Drzwi się otworzyły i z bladej policzków króla, z żółtości czoła, z gorączkowego płomienia tryskającego z jego zapadłych i ciemną obwódka okolonych oczu można było poznać, jak silnie wstrząsnęła organizmem młodego monarchy ta niepokojąca choroba.

Sypialnia królewska wkrótce się zapełniła ciekawymi dworzanami.

Katarzynę, d'Alencon i Małgorzatę zawiadomiono, że król przyjmuje. Wszyscy troje weszli prawie jedno po drugim. Katarzyna spokojna, d'Alencon roześmiany, Małgorzata smutna.

Katarzyna usiadła u wezłowania swego syna, nie zważając na to, jakim wzrokiem ten spoglądał na nią. D'Alencon stanął u nóg króla. Małgorzata oparła się o stół i widząc blade, schudzone oblicze i zapadłe oczy brata, nie mogła powstrzymać westchnienia i uroniła łzę.

Karol, przed którego wzrokiem nic nie uszło, dostrzegł tę łzę, usłyszał westchnienie i zrobił głową Małgorzacie ledwo dostrzegalny znak.

Na ów znak rozjaśniło się oblicze biednej królowej Nawarry, której Henryk nie zdążył lub też nie chciał nic powiedzieć. Bała się o męża, drżała o kochanka.

O siebie się nie obawiała; znała dobrze La Mole'a i wiedziała, że można liczyć na jego roztropność.

— Jakże się masz, mój kochany synu? — zapytała Katarzyna.

— Lepiej, moja matko.

— A cóż mówią twoi lekarze?

— Moi lekarze? Ach! To wielcy doktorzy, moja matko — odpowiedział Karol, głośno się zaśmiaawszy — przyznam, że z wielkim zadowoleniem przysłuchuję się rozprawom o mojej chorobie. Mamko, daj mi pić.

Mamka przyniosła Karolowi filiżankę zwykłego napoju.

— Cóż ci oni przepisują, mój synu?

— Kto może poznać ich lekarstwa? — odpowiedział król, chciwie wypróżniając filiżankę.

— Dobrze by było, gdybyś, bracie, wstał i odetchnął świeżym powietrzem — rzekł Franciszek. — Polowanie miałoby świetny skutek.

— Tak — odpowiedział Karol z uśmiechem, znaczenia którego ksiączę nie mógł pojąć — ostatnie jednak polowanie nie bardzo mi się powiodło.

Karol wyrzekł te słowa tak dziwnym tonem, że rozmowa, do której dwór się mieszał, przerwała się. Karol zrobił lekki znak głową. Dworzanie zrozumieli, że przyjęcie już skończone, i wyszli jeden za drugim.

D'Alencon chciał zbliżyć się do brata, lecz wstrzymał go jakiś wewnętrzny głos. Skłonił się więc i wyszedł.

Małgorzata rzuciła się do wychudzonej ręki, którą podał jej brat, uściśnęła ją, pocałowała i wyszła z kolei.

— Dobra Margot! — szepnął Karol. Katarzyna pozostała sama u wezglowia łóżka.

Karol, zobaczywszy, że jest z matką sam na sam, odsunął się nieco dalej z takim uczuciem strachu, z jakim usuwamy się przed wężem. Po objaśnieniach Renégo, a może być i wskutek własnych rozmyślań, pozbawiony był szczęścia wątpliwości. Wiedział doskonale, komu i czemu winien przypisać swoją śmierć. Skoro więc tylko Katarzyna zbliżyła się do łóżka i wyciągnęła ku synowi rękę, zimną jak jej spojrzenie, Karol drgnął... i zaczął się lękać.

— Pani zostajesz? — rzekł.

— Tak, mój synu — odpowiedziała Katarzyna — o ważnych rzeczach mam z tobą pomówić.

— Mów, pani — rzekł Karol, jeszcze bardziej się odsuwając.

— Najjaśniejszy Panie — powiedziała królowa — dopiero co mówiłeś, że lekarze twoi są wielkimi uczonymi...

— I powtarzam to, pani.

— A jednak cóż uczynili od czasu, jak jesteś chory?

— Nic, to prawda... lecz żebyś pani słyszała, co mówili... prawdziwie, można by chcieć zachorować jedynie dlatego, żeby słuchać tak mądrych rozpraw.

— Chcesz więc, mój synu, żebym ci powiedziała jedną rzecz?

— A jakże! Mów, moja matko.

— Mam podejrzenie, że ci wielcy doktorzy wcale się nie poznali na twej chorobie!

— Doprawdy, pani!

— Być może, że widzą skutek, lecz nie znają przyczyny.

— To być może — rzekł Karol, nie pojmując, do czego zmierza Katarzyna.

— Tak że zamiast leczyć chorobę, leczą tylko same symptomy.

— Na mą duszę! — zawołał zdziwiony Karol. — Sądzę, że masz słusność, moja matko.

— Twoja długa choroba szkodzi sprawom państwa i dręczy moje serce; przy tym możesz zapaść i na umyśle. To pobudziło mnie do zebrania, najmądrzejszych doktorów...

— To jest znających się na medycynie?

— Nie; w sztuce jeszcze głębszej, w sztuce, która nie tylko pozwala nam czytać w ciele, lecz i w sercach.

— Ach! Piękna to sztuka — powiedział Karol. — Mają słusność, że nie uczą jej królów... Czyż poszukiwania twoje, pani, osiągnęły skutek?

— Tak.

— Jakież?

— Taki, jakiego się spodziewałam. Przyniosłam ci oto lekarstwo, które uleczy i ciało, i duszę. Karol zdrzął. Sądził, że matka znajduje jego śmierć zbyt powolną i po— J stanowiła świadomie dokończyć tego, co zaczęła, wcale o tym nie wiedząc.

— I gdzie jest to lekarstwo? — zapytał Karol, nieco się unosząc i spoglądając na matkę. — Jest ono w samej chorobie — odpowiedziała Katarzyna.

— A gdzie choroba?

— Posłuchaj mnie, synu — rzekła Katarzyna. — Czyś słyszał czasami, że są tajni nieprzyjaciele, których zemsta z daleka nawet zabija swoją ofiarę?

— Żelazem lub trucizną? — spytał Karol, ani na chwilę nie spuszczać oczu z obojętnej fizjonomii swej matki. — Nie; innymi środkami, daleko pewniejszymi i straszniejszymi.

— Wytłumacz się, pani.

— Czy wierzysz w siłę zaklęć i magii? — spytała wychowanka Florencji.

Karol stłumił śmiech pogardy i niedowiarstwa.

— O! I bardzo — odpowiedział.

— One to są przyczyną twoich cierpień — żywo powiedziała Katarzyna. — Nieprzyjaciel, co nie śmiał uderzyć na cię jawnie, po kryjomu czyhał na twe życie. Zamysł jego był tym straszniejszy, że nie miał współników i że nici tajemnych tego spisku nie można ująć.

— O! O! — zawołał Karol, oburzony podobną chytrą.

— Pomyśl dobrze, mój synu — mówiła dalej Katarzyna — przypomnij sobie pewne zamiary ucieczki, którą miała zabezpieczyć bezkarność mordercy.

— Mordercy! Mordercy! — zawołał Karol. — Chciano więc mnie zabić, moja matko? — Tak, mój synu; być może powątpiewasz, lecz ja wiem na pewno.

— Nigdy nie powątpiewam o tym, co mi mówisz, moja matko — gorzko odpowiedział król. — Jakimże sposobem chciano mnie zabić? Ciekaw jestem wiedzieć.

— Przez magię.

— Wytłumacz się, pani.

— Jeśliby przestępca, którego ci chcę wskazać i którego serce” twoje już ci wskazało, potrafi się wymknąć, będąc pewnym skutku, nikt nie przeniknąłby może cierpień Waszej Królewskiej Mości, lecz na szczęście brat twój czuwał nad tobą,

Najjaśniejszy Panie.

— Który brat? — zapytał Karol.

— Twój brat d’Alencon.

— Ach! Tak, to prawda; zapominam zawsze, że mam brata — mruknął, uśmiechając się z goryczą. — Mówisz więc, pani...

— Że na szczęście odkrył on materialną stronę spisku. Lecz podczas gdy on, niedoświadczone dziecko, szukał tylko śladów zwyczajnego spisku, dowodów głupstw młodzieńca, ja szukałam dowodów w czynie daleko ważniejszym; znam bowiem dobrze duszę przestępcy.

— Ach! Można by myśleć, moja matko, że mówisz o królu Nawarry — rzekł Karol, chcąc zobaczyć, jak daleko zajdzie ta florencka chytrą.

Katarzyna obłudnie spuściła oczy.

— Zdaje mi się jednak, że go kazał aresztować i odprowadzić do Vincennes — mówił dalej król. — Miałżeby on być jeszcze bardziej winny, niż sądziłem?

— Czy czujesz trawiając cię gorączkę? — zapytała Katarzyna.

— Tak, pani — odpowiedział Karol, marszcząc brwi.

— Czy czujesz ogień palący twe serce i wnętrzności?

- Tak, pani — odpowiedział Karol, coraz bardziej się nachmurzając.
- I dokuczliwy ból głowy, jakby strzałą przechodzący przez oczy do mózgu?
- Tak, tak, pani; wszystko to czuję. O! Jak dobrze umiesz opisać moją słabość, matko!
- Eh! To bardzo proste — powiedziała Katarzyna — patrz...

I wyjęła spod płaszczyka jakiś przedmiot, który podała królowi.

Była to figurka z żółtawego wosku, na dziesięć cali zaledwie wysoka. Figurka ta ubrana była w złotą, gwiazdzistą suknię, także z wosku, i w królewski płaszcz z tejże samej materii.

— Cóż to za statuetka? — spytał Karol. — Zobacz, co ona ma na głowie — powiedziała Katarzyna.

- Koronę — odrzekł Karol.
- A w sercu?
- Szpilkę, lecz cóż...
- A więc, Najjaśniejszy Panie, nie poznajesz siebie?
- Siebie?
- Tak, siebie, z twoją koroną i twoim płaszczem?

— A któż zrobił tę figurkę? — zapytał Karol, którego ta komedia zaczęła już nudzić. — Zapewne król Nawarry?

- Nie, nie on, Najjaśniejszy Panie.
- Nie on!... A więc nie rozumiem cię, moja matko.

— Mówię „nie on” dlatego — odpowiedziała Katarzyna — że Wasza Królewska Mość mógłbyś przyjąć odpowiedź dosłownie. Powiedziałabym „tak”, gdybyś Wasza Królewska Mość spytał inaczej.

Karol nie odpowiedział. Starał się przeniknąć wszystkie myśli tej tajemniczej duszy, właśnie zamykającej się przed nim, w chwili kiedy już sądził, że się wszystkiego dowie.

— Statuetkę tę — mówiła dalej Katarzyna — znalazł generalny prokurator Laguesle w mieszkaniu człowieka, który w dzień polowania z sokołami trzymał w pogotowiu konia dla króla Nawarry.

— U pana de La Mole’a? — spytał Karol.

— U niego; spójrz, jak ta igła stalowa przeszła serce, i zobacz, co to za literę napisano na przyczepionej kartce. — Widzę M — rzekł Karol.

— To jest *Mort*, śmierć; to czarnoksiężska formuła; zabójca pisze swoje życzenie na ranie, którą robi. Jeśliby chciał cię dotknąć szaleństwem — *l folie*, jak to uczynił bretoński książę z Karolem VI, nie napisałby M, lecz F.

— A więc według ciebie, matko, La Mole szuka mej śmierci.

— Tak jak sztylet szuka serca, lecz sztylet kieruje się ręką...

— A więc to cała przyczyna złego, która mnie dotknęła? Jakże temu zapobiec? — zapytał Karol. — Ty wiesz to, moja dobra matko, boś się tym zajmowała całe życie, lecz ja zupełnie jestem ciemny w nauce zaklinań i magii.

— Śmierć wywoływacza niszczy urok. W dniu, kiedy zniknie urok, zniknie i choroba.

— Doprawdy! — zawołał Karol z zadziwieniem.

— Jak to, nie wiesz tego?

— Nie jestem czarnoksiężnikiem — odpowiedział król.

— Teraz Wasza Królewska Mość przekona się, nieprawdaż?

— Zapewne.

— I to przekonanie rozpędzi niepokój.

— Zupełnie.

— I mówisz to nie przez grzeczność?

— Nie, moja matko; z głębi serca. Oblicze Katarzyny rozjaśniło się.

— Chwała Bogu! — zawołała, jakby wierzyła w Boga.

— Tak, chwała Bogu — ironicznie powtórzył Karol. — Wiem teraz, tak jak i pani, komu mam przypisać mój stan i kogo ukarać.

— I ty ukarzesz...

— La Mole'a; czyż nie mówiłaś, pani, że on jest winnym?

— Mówiłam, że on był narzędziem.

— Toteż La Mole'a przede wszystkim — powiedział Karol — to najważniejsze. Te wszystkie napady, którym podlegam, mogą wzbudzić wokół nas niebezpieczne podejrzenia. Trzeba jak najprędzej wyjaśnić tę sprawę i dowiedzieć się prawdy.

— A więc La Mole'...

— Tak; jego uważam za winnego. Zacznijmy od niego; jeśli miał współnika, to go wyjaw.

— Tak — mruknęła Katarzyna — jeśli nie będzie chciał mówić dobro wolnie, to go zmuszę do mówienia; mamy na to niezawodne środki.

Następnie, postrzegłszy się, dodała głośno:

— Pozwalasz więc, Najjaśniejszy Panie, iżby zaczęto śledztwo?

— Im prędzej, tym lepiej — odpowiedział Karol.

Katarzyna uściśnęła rękę syna, nie czując jej nerwowego dreszczu, i wyszła, nie słysząc sardonicznego śmiechu króla i głuchego, okropnego przekleństwa, które po śmiechu nastąpiło.

Król zadawał sobie pytanie, czy nie jest niebezpiecznie pozostawiać wolność tej kobiecie, która w kilka godzin narobi tyle złego, że potem nie będzie można temu zaradzić?

Jeszcze patrzył za oddalającą się matką, kiedy usłyszał za sobą lekki szelest i obróciwszy się, spostrzegł Małgorzatę, podnoszącą zasłonę od korytarza prowadzącego do matki.

Bladość twarzy, błędne oczy i stłumiony oddech zdradzały w niej gwałtowne wzruszenie.

— O! Bracie! Bracie! — zawołała Małgorzata, rzucając się ku jego łożu. — Wiesz, jak ona kłamie!

— Jaka ona? — zapytał Karol.

— Posłuchaj, Karolu: bez wątpienia to okropne oskarżać własną matkę, lecz domyśliłam się, że została przy tobie, żeby znowu im zaszkodzić... Przysięgam ci jednak na życie, na duszę, ona kłamie!

— Szkodzić im!... Kogóż ona prześladuje?

Oboje instynktownie zniżyli głos; rzekłbyś, że się obawiali słuchać jedno drugiego.

— Naprzód Henryka, twego Henrysia, który cię kocha, który do ciebie jest przywiązany więcej od wszystkich.

— Tak sądzisz, Margot? — spytał Karol.

— O! Jestem tego pewna, Najjaśniejszy Panie.

— I ja także — dodał Karol.

— A więc jeśli jesteś tego pewny, mój bracie — powiedziała zdumiona Małgorzata — dlaczegoż kazałeś go aresztować i odprowadzić do Vincennes?

— Dlatego, że sam mnie o to prosił.

— On cię prosił?...

— Tak; Henryk ma szczególne pomysły. Może się myli, lecz może i ma słuszość; uważa, że jest bezpieczniejszy w mej nielasce niż w miłości; bezpieczniejszy w Vincennes niż w Luwrze, z dala ode mnie niż blisko.

— Ach'! Rozumiem — powiedziała Małgorzata. — A więc jest bezpieczny?

— Tak sądzę; Beaulieu bowiem odpowiada za niego głową.

— Dziękuję ci, bracie, za Henryka. Lecz...

— Lecz co? — spytał Karol.

— Jest jeszcze inna osoba, którą może nie powinnam się zajmować.. lecz... zajmuję się mimo woli.

— Któż to taki?

— Najjaśniejszy Panie, przebacz mi... zaledwie ośmieliłabym się wyznać to memu bratu, a nie śmiem wyznać królowi.

— La Mole, nieprawdaż? — zapytał Karol.

— Niestety! — zawołała Małgorzata. — Już raz chciałeś go zabić, Najjaśniejszy Panie, lecz cudem uniknął tej królewskiej zemsty.

— A to wtedy, gdy był obwiniony o jeden występki; teraz, gdy już, popełnił drugi...

— Teraz jest niewinny, Najjaśniejszy Panie.

— Lecz czyż nie słyszałaś, biedna Margot, co mówiła nasza dobra matka? — powiedział Karol.

— Jużem ci mówiła, Karolu— odpowiedziała Małgorzata, zniżając głos — mówiłam ci, że ona kłamie.

— Może nie wiesz, że u La Mole'a znaleziono woskową figurkę?

— Wiem, bracie.

— Że figurka ta ma serce przesyte igłą i że na igle znajduje się karteczka z literą M?

— Wiem i to.

— Że ma ona na sobie królewski płaszcz i królewską koronę na głowie?

— Wiem wszystko.

— Cóż na to powiesz?

— Powiem, że ta figurka w królewskim płaszczu i w królewskiej koronie na głowie wyobraza nie mężczyznę, lecz kobietę.

— A igła, która tkwi w sercu?

— Jest to urok, aby zdobyć miłość tej kobiety, a nie czary mające zabić mężczyznę.

— A ta litera M?

— Ona nie znaczy: *mort*, jak powiedziała królowa—matka.

— Cóż więc znaczy? — spytał Karol.

— Oznacza... oznacza imię kobiety, którą kochał La Mole. — Jakże się ta kobieta nazywa?

— Nazywa się Małgorzata — powiedziała królowa Nawarry, padając na kolana przed łóżkiem króla i ściskając w swych dłoniach jego rękę, na którą opuszczała twarz zroszoną łzami.

— Zamilcz, siostrze — rzekł Karol, wiodąc dokoła błyszczącym pod zmarszczoną brwią wzrokiem — gdyż jak podsłuchałaś innych, tak i ciebie mogą podsłuchać.

— O! Cóż mnie to obchodzi! — odpowiedziała Małgorzata, podnosząc głowę. — Żałuję, że cały świat nie może mnie słyszeć! Objawiłabym całemu światu, jak podle jest nadużywać miłości szlachcica, aby splamić jego honor podejrzeniem o morderstwo. — Margot, jeśli ci powiem, że wiem tak dobrze jak i ty, co jest prawdą, a co nie?. — Mój bracie!

— Jeśli ci powiem, że La Mole jest niewinny...

— Wiesz o tym...

— Jeśli ci powiem, że znam prawdziwego przestępcę?

— Prawdziwego przestępcę! — zawołała Małgorzata. — A więc tu popełniono zbrodnię?

— Tak. Umyślnie czy nie, popełniono zbrodnię.

— Na tobie?

— Na mnie!

— Niepodobna!

— Niepodobna?... Spójrz na mnie, Margot.

Młoda kobieta spojrzała na brata i zadrżała na widok jego bladości.

— Margot! Nie pozostaje mi więcej niż trzy miesiące życia — powiedział Karol.

— Tobie, bracie?... Tobie, mój Karolu!...

— Margot! Otruto mnie. Królowa krzyknęła.

— Milcz — rzekł Karol — trzeba, żeby myślano, iż umieram od magii.

— I znasz winnego?

— Znam.

— Mówiłeś, że to nie La Mole.

— Nie, to nie on.

— Zapewne i nie Henryk.

— Nie.

— Wielki Boże! Miałżeby to być?...

— Kto?

— Mój brat... d'Alencon — szepnęła Małgorzata.

— Być może.

— Albo... albo...

Tu Małgorzata zniżyła głos, jakby się lękała własnych słów.

— Albo... nasza matka? Karol milczał.

Małgorzata spojrzała na niego, wyczytała w jego spojrzeniu wszystko, co chciała, i padła na krzesło.

— O! Mój Boże! Mój Boże! — mówiła cichym głosem. — To niepodobieństwo!

— Niepodobieństwo? — rzekł Karol z cierpkim uśmiechem. — Szkoda, że tu nie ma Renégo.

On by ci opowiedział moją historię.

— René?

— Tak, On by ci opowiedział na przykład, jak pewna kobieta, której on niczego odmówić nie może, zażądała od niego myśliwskiej książki znajdującej się w jego bibliotece; jak wszystkie karty tej książki zatrute zostały ostrym jadem; że trucizna przeznaczona, nie wiem dla kogo... jakimś zrzędzeniem przypadku, lub też wskutek kary niebios, padła na inną osobę. Lecz jeśli chcesz, w nieobecności Renégo możesz obejrzeć tę książkę; jest ona tam, w moim gabinecie; zobaczysz na niej własnoręczne pismo florentczyka, iż tę i książkę, która w swoich kartach mieści śmierć dla dwudziestu jeszcze osób, dał swojej rodaczce.

— Milcz, Karolu, milcz — powiedziała Małgorzata.

— Widzisz teraz, dlaczego wszystkich trzeba pozostawić w mniemaniu, że umieram od magii.

— Lecz to niesłuszne, to straszne! Łaski! Łaski! Wiesz, że on niewinny.

— Tak, wiem; lecz trzeba, żeby myślano, iż on jest winny... Znieś śmierć twego kochanka; to niewiele dla ocalenia sławy naszego domu. Umieram, ażeby i tajemnica ze mną zmarła.

Małgorzata pochyliła głowę, widząc, że tą drogą nie może ocalić La Mole'a, i wyszła zalana łzami, pokładając nadzieję tylko we własnych środkach.

Katarzyna tymczasem, jak to przepowiedział Karol, nie traciła ani chwili. Napisała zaraz do generalnego prokuratora Laguesle'a list, który historia zachowała co do słowa i który rzuca na całą sprawę krwawy odblask. Oto jego treść:

Panie prokuratorze!

Dziś wieczór upewniłam się, że przestępstwo popełnił La Mole. W Paryżu w jego mieszkaniu znaleziono wiele podejrzanych rzeczy, książek, papierów. Proszę zawezwać pierwszego prezydenta i jak można najprędzej wy badać go względem woskowej figury ranionej w serce.

Katarzyna

ROZDZIAŁ LVI

NIEWIDZIALNE TARCZE

Nazajutrz po napisaniu tego listu gubernator wszedł do Coconnasa z okazałą świtą; składała się ona z dwóch halabardzistów i czterech pisarzy.

Coconnas musiał zejść do sali, gdzie czekał prokurator Laguesle i dwóch sędziów, żeby go z rozkazu Katarzyny wy badać.

Przez osiem dni przepędzonych w więzieniu Coconnas dobrze się namyślił. Codziennie na kilka chwil spotykał się z La Mole'em; dozorca robił im tę niespodziankę, zapewne jednak nie z filantropii. La Mole i Coconnas porozumieli się względem swego postępowania; postanowili wszystkiemu zaprzeczać, i Coconnas był przekonany, że przy niewielkiej zręczności sprawa jego przyjmie dobry obrót. On i La Mole nie byli obwinieni ciężiej od innych. Henryk i Małgorzata nie robili żadnych prób ucieczki; nie mogli więc być skompromitowani w sprawie, w której główni przestępcy byli wolni.

Coconnas nie wiedział, że Henryk siedział w tym samym co i on zamku, że jest pod opieką czegoś, co nazywał „niewidzialnymi tarczami”.

Dotychczas pytania odnosiły się do zamiarów króla Nawarry, do projektów ucieczki i do udziału, jaki dwaj przyjaciele wzięli w tej ucieczce. Coconnas ciągle odpowiadał sposobem więcej niż pewnym, więcej niż zręcznym; i teraz gotował się odpowiedzieć tymże samym sposobem i zawczasu przygotował sobie te wszystkie małe, zręczne odpowiedzi — gdy nagle spostrzegł, że przedmiot indagacji zmienił się.

Szło tu o kilka, wizyt, oddanych Renému; o kilka woskowych figur, zrobionych na żądanie La Mole'a.

Coconnas osądził, że oskarżenie straciło na sile i przyjęło inny obrót; gdyż już nie chodziło tu o zdradę króla, lecz o statuetkę wyobrażającą królową — statuetkę nie wyższą niż sześć do dziesięciu cali.

Wesoło więc odpowiedział, że ani on, ani jego przyjaciel już od dawna nie bawią się lalkami, i z ukontentowaniem spostrzegł, że odpowiedzi jego po kilkakroć zniewalały sędziów do uśmiechu.

Nigdzie jeszcze w wierszach nie powiedziano: „Śmieję się, więc jestem rozbrojony”; lecz po tysiąc razy powtarzano to w prozie. I Coconnas także z uśmiechów sędziów wnosił, że już ich w połowie rozbroił.

Po ukończeniu indagacji powrócił do swego pokoju śpiewając i z takim hałasem, że La Mole, dla którego właśnie Coconnas to wszystko robił, wyciągnął z tego jak najpomyślniejsze wnioski.

Z kolei przyprowadzono na salę La Mole'a.

La Mole, tak jak i Coconnas, z zadziwieniem dostrzegł, że oskarżenie inny przyjęło kierunek. Pytano go o odwiedziny u Renégo. Odpowiedział, że był u florentczyka raz jeden tylko. Zapytano go, czy nie kazał mu wtedy robić woskowej figurki. La Mole odpowiedział, że René pokazał mu figurkę zupełnie gotową. Zapytano go, czy figurka wyobrażała mężczyznę? Odpowiedział, że wyobrażała kobietę. Na koniec zapytano, czy urok miał na celu śmierć tego człowieka. Odpowiedział, że celem uroku było zniewolenie tej kobiety do kochania.

Pytania te były powtórzone i zadane rozmaitymi sposobami. Lecz La; Mole, mimo że pytano na różne sposoby, odpowiadał zawsze jedno i to samo.

Sędziowie spojrzeli po sobie z pewnym wahaniem, nie wiedząc, co mówić lub robić w tak prostej sprawie, lecz w tej chwili przyniesiono do generalnego prokuratora bilet, który rozstrzygnął trudność.

Bilet zawierał te tylko wyrazy:

Jeśli oskarżony zaprzecza, trzeba uciec się do tortur.

La Mole powrócił do swego pokoju prawie tak spokojny, lecz nie tak wesół jak Coconnas.

— Sądzę, że wszystko idzie dobrze — pomyślał sobie.

W godzinę potem usłyszał kroki i zobaczył, że jakaś ręka wsuwa pode drzwi bilecik. Wziął go, będąc pewnym, że bilet pochodzi od dozorczy.

Na widok tego biletu w sercu jego zabłysła nadzieja, lecz tak bolesna jak zawód; miał on nadzieję, że bilet jest od Małgorzaty, od której od czasu jak go uwięziono, nie miał żadnej wiadomości. Drżącą ręką porwał papier i omal nie umarł z radości na widok znajomego charakteru pisma.

Oto treść bileciku:

Odwagi! Ja czuwam.

— Ach! Jeśli ona czuwa — zawołał La Mole pocałunkami pokrywając papier, którego dotykała tak drogą ręką — jeśli ona czuwa, jestem ocalony!

Aby La Mole zrozumiał bilet i razem z Coconnasem wierzył w to, co Piemontczyk nazywał niewidzialnymi tarczami, musimy zaprowadzić czytelnika do małego domku, do tego pokoju, gdzie tyle słodkich wspomnień, przemienionych w bojaźliwe oczekiwanie, dręczyło serce kobiety niedbale leżącej na aksamitnych poduszkach.

— Być królową, być silną, młodą, bogatą, piękną, i cierpieć tak, jak ja cierpię — mówiła kobieta. — O! To niepodobieństwo!

W gwałtownym wzruszeniu wstawała, chodziła, nagle się zatrzymywała, przykładła rozpalone czoło do zimnego marmuru, potem znowu wstawała, blada, z twarzą zalaną łzami, z krzykiem załamywała ręce i zmęczona padała na krzesło.

Nagle zasłona, oddzielająca mieszkanie na ulicy Cloche-Percée od mieszkania na ulicy Tizon, podniosła się; dał się słyszeć szelest jedwabnej sukni i weszła księżna de Neverś.

— Ach! To ty! — zawołała Małgorzata. — Z jakąż niecierpliwością cię wyglądałam! Jakie wiadomości?

— Złe, złe, moja biedna przyjaciółko. Katarzyna sama prowadzi śledztwo i w tej chwili jest jeszcze w Vincennes.

— A René?

— Jest pod strażą.

— I nie zdążyłaś rozmówić się z nim?

— Nie.

— A nasi drodzy więźniowie?

— Mam od nich wiadomości.

— Przez dozorcę?

— Tak jak zawsze.

— No i cóż?

— Widują się z sobą codziennie. Przedwczoraj rewidowano ich. La Mole, nie chcąc oddać twego portretu, wołał go raczej zniszczyć.

— Kochany La Mole!

— Annibal śmiał się w twarz inkwizytorom.

— Dzielny Annibal! Cóż dalej?

— Dziś rano wypytywano ich o ucieczkę króla, o projekty buntu w królestwie Nawarry, lecz nic nie powiedzieli.

— O! Wiedziałam, że będą milczeć; lecz milczenie zgubi ich, tak jakby ich zgubiło i wyznanie.

— Tak; lecz my ich ocalimy.

— Myślałaś więc o naszym przedsięwzięciu?

— Od wczoraj tym tylko jestem zajęta.

— No i cóż?

— Już skończyłam z Beaulieu. Ach! Kochana królowo; cóż to za wymagający i chciwy człowiek! Będzie to kosztowało życie jednego człowieka i trzysta tysięcy talarów.

— Mówisz, że on chciwy... a jednakże żąda tylko życia jednego człowieka i trzystu tysięcy talarów... Ależ to darmo!

— Darmo... trzysta tysięcy talarów!... Lecz wszystkie nasze klejnoty nie złożą podobnej sumy!

— O! Na tym nie dosyć. Król Nawarry zapłaci, d'Alencon zapłaci, mój brat Karol zapłaci; albo jeśli nie...

— Mówisz doprawdy jak szalona. Już mam trzysta tysięcy talarów.

— Ty?

— Tak, ja.

— Skądżeś ich dostała?

— Ba!

— Więc to tajemnica?

— Dla wszystkich, wyjąwszy dla ciebie.

— O mój Boże! — powiedziała Małgorzata, uśmiechając się wśród łez. — Czy je ukradłaś?

— Zaraz osądzisz.

— Zobaczymy.

— Czy pamiętasz tego straszego Nantouilleta?

— Bogacza-lichwiarza?

— Nazwijmy go tak.

— No i cóż?

— Pewnego dnia przechodziła obok niego pewna jasnowłosa kobieta z zielonymi oczyma. We włosy jej były wpięte trzy rubiny; jeden na czole, dwa na skroniach. Nie wiedząc, że kobieta owa była księżną, bogacz ten, ten lichwiarz wykrzyknął: „Za trzy pocałunki dałbym na miejsce tych trzech rubinów trzy brylanty, każdy po sto tysięcy talarów!”

— I cóż, Henrieto?

— Co, moja kochana! Brylanty są już wzięte i sprzedane.

— O! Henrieto! Henrieto! — przemówiła Małgorzata.

— Kocham Annibala — zawołała księżna naiwnym i zarazem wzniosłym tonem, znamionującym i kobietę, i wiek, w którym żyła.

— To prawda — powiedziała Małgorzata, śmiejąc się i czerwieniejąc — kochasz go bardzo, nawet za bardzo.

I uścisnęła jej rękę.

— A więc — mówiła dalej Henrieta — dzięki trzem brylantom już jest i trzysta tysięcy talarów, i człowiek.

— Człowiek?... Co za człowiek?

— Człowiek, który ma zginąć. Zapomniałaś, że trzeba zabić człowieka.

— I znalazłaś takiego człowieka?

— Znalazłam.

— Za tę samą cenę? — spytała z uśmiechem Małgorzata.

— Za tę samą cenę znalazłabym dziesięciu — odpowiedziała Henrieta. — Nie, nie; za pięćdziesiąt talarów po prostu.

— Za pięćdziesiąt talarów znalazłaś człowieka, który się zgodził, żeby go zabito?

— Co chcesz? Trzeba przecież żyć.

— Nie rozumiem cię, kochana przyjaciółko. Mów jaśniej; w naszym położeniu nie można tracić czasu na zagadki.

— Więc słuchaj; dozorca strzegący La Mole'a i Coconnasa to stary żołnierz, który wie, co to jest rana; chce pomóc nam w ocaleniu naszych przyjaciół, lecz nie chce stracić swego miejsca. Zręczne uderzenie sztyletem zakończy sprawę; my damy mu nagrodę, a skarb wynagrodzenie. Tym sposobem człowiek ten dostanie pieniądze z dwóch rąk.

— Lecz — powiedziała Małgorzata — uderzenie sztyletem...

— Bądź spokojna; zrobi to Annibal.

— Prawda — rzekła śmiejąc się Małgorzata — on trzy razy ranił La Mole'a, to spada, to sztyletem, a La Mole nie umarł! Można więc mieć nadzieję.

— Złośliwa! Zastugujesz, żebym ci i słowa więcej nie powiedziała,

— O nie, nie; błagam cię, powiedz mi. Jak ich ocalimy?

— Oto tak: kaplica jest jedynym miejscem w zamku, gdzie mogą wchodzić kobiety, nie będące więźniami. Schowamy się za ołtarz; pod obrusem ołtarza La Mole i Coconnas znajdują sztylety. Drzwi od zakrystii będą otwarte wcześniej. Coconnas zrani dozorcę, który padnie i udawać będzie umarłego; my wejdziemy, każda z nas zarzuci na ramiona swego przyjaciela płaszcz; potem uciekniemy z nimi przez małą furtkę w zakrystii i znając hasło, wyjdziemy bez trudności.

— A wyszedłszy?

— U bramy będą czekały dwa konie; oni siądą i pomkną do Lotaryngii, skąd czasem będą przyjeżdżać incognito.

— Powracasz mi życie — powiedziała Małgorzata. — A więc ich ocalimy?

— Jestem gotowa zaręczyć.

— Czy wkrótce?

— Za trzy lub cztery dni; Beaulieu nas uprzedzi.

— A jeśli cię poznają w okolicach Vincennes? To może pomieszać szyki naszego planu. — Jakże chcesz, żeby mnie poznano? Wychodzę w ubraniu zakonnicy, w welonie na głowie, pod którym nawet końca nosa mi nie widać.

— Trzeba być jak najostrożniejszą.

— Wiem to, do kroćset! Tak mawiał biedny Annibal.

— A król Nawarry? Dowiadywałaś się o niego?

— Rozumie się.

— A więc?

— Zdaje się, że nigdy nie był tak wesołym; śmieje się, śpiewa, je z apetytem i prosi tylko o to, żeby go dobrze strzeżono. — Ma słuszość. A moja matka?

— Mówiłam ci już, że o ile może, pośpiesza z ukończeniem sprawy.

— Lecz nie ma nas w podejrzeniu?

— Jakże chcesz, żeby się czego domyślała? Wszyscy, którym wiadoma tajemnica, starają się ukryć w milczeniu... A!

Wiedziałam, że kazała paryskim sędziom być w pogotowiu.

— Śpieszmy się, Henrieto; bo gdy biednych jeńców przeprowadzą do innego więzienia, trzeba będzie zacząć znowu od początku.

— Bądź spokojna; ja również jak i ty chcę ich widzieć wolnymi.

— Wiem i po tysiąc fazy dziękuję ci za twoje starania.

— Żegnam cię, Małgorzato!

— Jesteś pewna tego Beaulieu?

— Tak sędzę.

— A stróża?

— Ten obiecał.

— A konie?

— Każę wziąć najlepsze ze stajni księcia de Nevers.

— Uwielbiam cię, Henrieto!

Małgorzata rzuciła się przyjaciółce na szyję, po czym obie kobiety rozstały się, obiecując sobie spotkać się jutro i schodzić się, zawsze w tym samym miejscu i o tejże samej godzinie.

Te to dwie zachwycające i pełne poświęcenia istoty słusznie nazywał Coconnas niewidzialnymi tarczami.

ROZDZIAŁ LVII

SĘDZIOWIE

— No cóż, mój przyjacielu? — rzekł Coconnas do La Mole'a, gdy dwaj przyjaciele spotkali się po skończeniu indagacji, w czasie której po raz pierwszy dopiero pytano ich o woskową figurkę. — Zdaje mi się, że wszystko idzie jak najlepiej i że wkrótce sędziowie nas opuszczą; a to zupełnie co innego, niż kiedy opuszczają lekarze. Bo gdy lekarz opuszcza chorego, to znaczy, że go już nie może ocalić, lecz jeśli sędzia opuszcza obwinionego, to znaczy, że traci nadzieję skazania go na ucięcie głowy.

— Tak — odpowiedział La Mole — zdaje mi się nawet, że z tej grzeczności, z tej miękkości dozorców, elastyczności drzwi poznaję nasze szlachetne przyjaciółki, lecz nie poznaję pana de Beaulieu, jak mi go przynajmniej opisywano.

— A ja go dobrze poznaję — rzekł Coconnas — tylko to drogo kosztować będzie. Lecz cóż! Jedna jest księżną, druga królową; obydwie są bogate i nigdy nie przedstawi się tak dobra sposobność użycia pieniędzy. Teraz powtórzmy naszą lekcję; prowadzą nas do kaplicy, zostawiają pod strażą naszego stróża, tam, w miejscu wskazanym, każdy z nas znajduje sztylet; ja robię w brzuchu naszego przewodnika dziurę...

— O! Nie w brzuchu! Ukradłbyś mu jego pięćdziesiąt talarów. W ramię. — w ramię? Byłoby to to samo, co go zgubić; zaraz by poznano, że to rzecz ukartowana. Nie, nie, w prawy bok, tak żeby sztylet zręcznie ześliznął się po żebrach; jest to uderzenie prawdopodobne i nieszkodliwe.

— Niech i tak będzie. A potem?

— Potem ty zabarykadujesz ławkami główny wchód, gdy tymczasem nasze dwie księżne wyjdą zza ołtarza i Henrieta otworzy boczną furtkę.

— A potem — powiedział La Mole drżącym głosem — a potem popędzimy w las. Pocałunek każdemu i jesteście weselsi i silniejsi. Czy widzisz, Annibalu, jak się unosimy na bystrych koniach, z trwożliwym uczuciem w sercu? O! Dobra to rzecz strach! Strach w czystym polu, kiedy mamy u boku szpadę; kiedy się krzyczy „hura!”, na koniu, którego się bodzie ostrogami i który za każdym „hura!” podskoczy i popędzi dalej.

— Tak — powiedział Coconnas — lecz strach między czterema ścianami; co mówisz na to, La Mole? Znam to z doświadczenia. Gdy blada twarz Beaulieu ukazała się pierwszy raz w moim pokoju, za nim w cieniu błyszczały halabardy i dał się słyszeć złowrogi odgłos żelaza uderzonego o żelazo... Przysięgam ci, że zaraz pomyślałem o księciu d'Alencon i czekałem tylko, jak się pokaże jego fałszywa fizjonomia między szkaradnymi gębami halabardników. Zawiodłem się w oczekiwaniu i to było moją jedyną pociechą. Jednak śnił mi się on w nocy.

— A więc — powiedział La Mole, idąc za swą własną myślą — one wszystko przewidziały, nawet miejsce, w którym się mamy ukryć. Pojedziemy do Lotaryngii, kochany przyjacielu. Po prawdzie wolałbym do Nawarry; gdyż tam byłbym u niej... lecz Nawarra jest bardzo daleko; lepiej będzie do Nancy; w dodatku stamtąd będziemy mieli tylko pięćdziesiąt mil do Paryża. Czy wiesz, Annibalu, czego żałuję, opuszczając to miejsce?

— Na honor! Nie wiem... Co do mnie, nie żałuję niczego.

— Żal mi, że nie mogę wziąć z sobą tego godnego dozorcę zamiast...

— Lecz on by i sam nie zechciał — rzekł Coconnas — wiele by na tym stracił. Pomyśl tylko: pięćdziesiąt talarów od nas, wynagrodzenie od rządu, a może i wyższy urząd; jak on będzie żyć szczęśliwie, gdy go zabiją... Lecz co tobie? — Nic! Jedna myśl przesunęła mi się przez głowę.

— Zdaje mi się, iż nie bardzo wesoła, gdyż strasznie zbladłeś? — Myślę, po co by nas prowadzono do kaplicy?

— Po co? Po to, aby odbyć spowiedź i komunię wielkanocną. Zdaje mi się, że właśnie czas ku temu.

— Lecz — powiedział La Mole — do kaplicy prowadzą tylko skazanych na śmierć albo męczonych torturami.

— O! — zawołał Coconnas, lekko z kolei blednąc. — To zasługuje na uwagę. Wypytam się walecznego męża, któremu mam rozplatać brzuch. He! Stróżu, przyjacielu!

— Czy pan mnie woła? — zapytał dozorca, stojący na czatach na pierwszych stopniach schodów.

— Tak; zbliż się tu. — Co pan rozkażesz?

— Zgodziliśmy się, że uciekniemy z kaplicy, nieprawdaż?

— Tss! — rzekł stróż, ze strachem oglądając się wokoło siebie.

— Bądź spokojny, nikt nas nie słyszy.

— Tak, panie, z kaplicy.

— Więc nas odprowadzą do kaplicy?

— Bez wątpienia; to już jest w zwyczaju.

— W zwyczaju?

— Tak; po odczytaniu każdego wyroku na śmierć jest w zwyczaju pozwalać oskarżonemu przepędzać noc w kaplicy.

Coconnas i La Mole zadrżeli i spojrzeli po sobie.

— Sądysz więc, że będziemy skazani na śmierć?

— Bez wątpienia... lecz pan także wie o tym.

— Jak to! My także? — powiedział La Mole.

— Rozumie się... że gdybyś pan tego nie wiedział, nie byłoby wszystko przygotowane do uciezki.

— Czy wiesz, że on rozprawia dosyć rozsądnie — powiedział Coconnas do La Mole'a.

— Tak... wiem także, teraz przynajmniej, że nasza sprawa to nie żarty.

— A ja? — rzekł stróż. — Sądzicie, panowie, że nic nie ryzykuję?... Jeśli w chwili wzruszenia pan się omylisz i trafisz nie w ten bok...

— Eh! Do kroćset! Chciałbym być na twoim miejscu — mówił z wolna Coconnas — i mieć do czynienia tylko z taką ręką jak moja i z tym żelazem, którym ręka ta będzie kierowała.

— Skazani na śmierć! — przemówił La Mole: — Lecz to niepodobieństwo!

— Niepodobieństwo? — naiwnie zapytał stróż. — A to dlaczego?

— Tss! — rzekł Coconnas. — Zdaje się, że otwierają drzwi na dole.

— W rzeczy samej — żywo podchwycił dozorca — na miejsca, panowie! Na miejsca!

— A jak sądzisz, kiedy zbierze się sąd? — spytał La Mole.

— Najpóźniej jutro. Lecz bądźcie, panowie, spokojni; osoby, które powinny o tym wiedzieć, zostaną uwiadomione.

— A więc uściśnijmy się i pożegnajmy z tymi murami.

Przyjaciele rzucili się sobie w objęcia i każdy wszedł do swego pokoju — La Mole wdychając, Coconnas podśpiewując.

Do siódmej godziny wieczór nie zaszło nic szczególnego. Noc ponura i dżdżysta zstąpiła na wieże zamku de Vincennes — noc dla uciezki najlepsza. Przyniesiono Coconnasowi kolację, którą spożył ze zwykłym apetytem, marząc o przyjemności moknięcia na deszczu chłostającym chmury; już się gotował do spoczynku, przy głuchym i monotonnym wyciu wichru, gdy nagle zdało mu się, że wiatr ten, któremu niekiedy przysłuchiwał się z uczuciem melancholii nie znanej

mu poprzednio, świszczał pode drzwiami dziwniej niż zwykle i że w kominie pieca wścieklej niż zawsze huczało. Zjawisko to powtarzało się za każdym razem, skoro tylko na wyższym piętrze otwierano którą izbę, a szczególnie izbę z przeciwnej strony. Z tego łoskotu Annibal zawsze poznawał, że dozorca wkrótce przybędzie; łoskot ten bowiem oznaczał, iż strażnik wychodził od La Mole'a.

Jednak tym razem Coconnas na próżno wyciągał szyję i słuch natężał.

Czas upływał — nikt nie nadchodził.

— To dziwne — rzekł Coconnas. — U La Mole'a drzwi otwarte, a u mnie nie. Czyżby La Mole wołał kogo? Miałby być chorym? Co to ma znaczyć?

Dla więźnia wszystko jest strachem i podejrzaniem, wszystko radością i nadzieją.

Upłynęło pół godziny; upłynęła godzina; upłynęło półtorej. Coconnas ze złości zaczął zasypiać, gdy nagle, na szelest otwierającego się zamka, podskoczył.

— O! O! — powiedział. — Czy to już godzina odjazdu i czy, chociaż nie osądzonych, zaprowadzą nas do kaplicy? Do krośset! Co by to była za przyjemność uciekać takiej nocy, kiedy czarno jak w kominie! Aby tylko konie nie były ślepe!...

Gotował się już wesoło wypytać stróża, lecz ten położył palec na ustach, przewracając wielkimi, bardzo wymownymi oczyma.

W istocie, za dozorcą rozległ się jakiś szmer i dały się widzieć jakieś cienie.

Nagle pośród ciemności więzień rozróżnił dwa kaski, na które odbłask palącej się świecy rzucił złotawy promień.

— O! O! — zapytał półgłosem. — Cóż to za posępny konwój? Gdzież więc idziemy?

Dozorca odpowiedział tylko westchnieniem, podobnym do jęku.

— Do krośset! — mruknął Coconnas. — Co za psie życie! Z ostateczności w ostateczność, nigdy stałego lądu; to brodzisz na sto stóp w wodzie, to znowu ulatujesz nad obłokami. Gdzie idziemy?

— Idź pan za strażą — powiedział jakiś sepleniący głos, z którego Coconnas poznał, że żołnierzom towarzyszy jeszcze jakiś urzędnik

— A gdzie La Mole? — zapytał Piemontczyk. — Co się z nim stało? — Idź pan za strażą — powtórzył tenże sam głos tymże samym tonem. Trzeba było usłuchać. Coconnas wyszedł ze swego pokoju i zobaczył czarno ubranego człowieka, którego głos był dla niego tak nieprzyjemny. Był to mały, garbaty człowieczek, który dlatego tylko został urzędnikiem sądowym, ażeby długą suknią zakryć krzywe nogi.

Powoli zszedł po spiralnych schodach.

Na pierwszym piętrze straż zatrzymała się.

— Ach! Czyż nie będzie temu końca? — mruknął Coconnas.

Drzwi się otworzyły. Coconnas wzrok miał orli i węch psa; poczuł sędziów i w cieniu dostrzegł rysującą się sylwetkę człowieka z gołymi rękoma. Pot wystąpił mu na czoło, Mimo to przybrał jednak jak najpogodniejszy wyraz twarzy, pochylił głowę na lewą stronę, jak kazały przepisy ówczesnej mody, i wzięwszy się pod boki, wszedł do sali. Podniesiono zasłonę i Coconnas rzeczywiście postrzegł sędziów i pisarzy. O kilka kroków od nich siedział na ławce La Mole. Przyprawdzono Coconnasa przed trybunał. Zatrzymawszy się na wprost sędziów, Coconnas skinieniem głowy pozdrowił La Mole'a, uśmiechnął się i czekał.

— Jak się pan nazywasz? — zapytał prezydent

— Marc-Annibal de Coconnas — odpowiedział szlachcic z zachwycającym wdziękiem — hrabia de Montpantier, Chenaus i innych włości... lecz sędzę, że nasze godności są wiadome.

— Gdzie się pan rodził?

— W Saint-Colomban, w bliskości Suze.

— Ile pan masz lat?
— Dwadzieścia siedem i trzy miesiące.
— Dobrze — rzekł prezydent.
— Zdaje się, że to mu sprawia przyjemność — mruknął Coconnas.
— A teraz — powiedział prezydent po chwili milczenia, w czasie którego pisarz zapisywał odpowiedzi oskarżonego — w jakim celu opuściłeś pan dom księcia d'Alencon?
— Żeby się połączyć z La Mole'em, z moim przyjacielem, który tu oto się znajduje i który opuścił d'Alencona na kilka dni przede mną.
— Coś pan robił na polowaniu, na którym cię aresztowano?
— Co? — odpowiedział Coconnas. — Polowałem.
— Król był także na tym polowaniu i uczył na nim po raz pierwszy słabość, na którą cierpi dotychczas.
— Co się tego tyczy, nie byłem przy królu i nic powiedzieć nie mogę. Nie wiedziałem nawet, że jest chory.
Sędziowie spojrzeli na siebie z uśmiechem niedowierzania.
— A! Pan nie wiedziałeś — powiedział prezydent.
— Tak, panie; i bardzo mnie to zasmuciło. Chociaż król Francji nie jest moim królem, bardzo go jednak kocham.
— Doprawdy?
— Słowo honoru! Nie tak jak jego brata księcia d'Alencon. Ten, przyznam się...
— Nie idzie tu o księcia d'Alencon, lecz o Jego Królewską Mość.
— Jużem powiedział panu, że jestem jego najuniżeńszym sługą — odparł Coconnas.
— Jeżeli w istocie jesteś pan jego sługą, jak to utrzymujesz, czy nie będziesz pan tak łaskaw powiedzieć nam, co wiesz o pewnej magicznej statuetce?
— Ach! Ślicznie! Zdaje się, że znowu powracamy do historii o statuetce?
— Tak, panie; czy się to panu nie podoba?
— Owszem, przeciwnie; to mi daleko przyjemniejsze. Słucham.
— Dlaczego owa statuetka była u pana de La Mole?
— U La Mole'a? Chcesz pan powiedzieć: u Renégo.
— Więc się pan przyznajesz, że ona istnieje.
— Jeśli mi ją pokażą...
— Oto ona. Czy to ta sama, którą pan znasz?
— Ta sama.
— Pisarzu! — rzekł prezydent. — Zapisz, że obwiniony przyznaje się, że widział statuetkę u pana de La Mole.
— Nie, nie — powiedział Coconnas — nie mieszaj pan; widziałem ją u Renégo.
— U Renégo? Dobrze! A kiedy?
— Raz tylko byłem u niego z La Mole'em.
— Więc się pan przyznajesz, że byłeś u Renégo z La Mole'em.
— Alboż ja kiedy robiłem z tego tajemnicę?
— Pisarzu! Zapisz, iż oskarżony przyznaje się, że był u Renégo w celu czynienia zaklęć.
— Hola! Ostrożniej, panie prezydencie. Zechciej pan umiarkować swój zapał; nie mówiłem o tym ani słowa.
— Pan zaprzeczasz, żeś był u Renégo w celu czynienia zaklęć?
— Zaprzeczam. Zaklęcie było uczynione przypadkiem, lecz nie z namysłu. — Lecz przecież miało miejsce?
— Nie mogę zaprzeczyć, że się robiło coś, co miało podobieństwo do zaklęć.

— Pisarzu! Notuj, iż oskarżony przyznaje, że U Reného uczyniony był urok przeciw życiu króla.

— Jak to! Przeciw życiu króla! To podłe kłamstwo! Nigdy nie czyniono uroków przeciw życiu króla.

— Widzicie, panowie — odezwał się La Mole.

— Milczeć! — zawołał prezydent.

Potem, obracając się do pisarza, powiedział:

— Przeciw życiu króla. Napisałeś?

— Ale nie, nie — rzekł Coconnas. — Zresztą statuetka ta nie wyobraża mężczyznę, lecz kobietę.

— A co, nie mówiłem, panowie? — przemówił La Mole.

— Panie de La Mole! — rzekł prezydent. — Odpowiadaj pan, kiedy się J pytamy, lecz nie przeszkadzaj przy indagacji innych.

— Więc pan mówisz, że to jest kobieta?

— Tak.

— Dlaczegoż ma ona koronę i królewski płaszcz?

— Do kroćset! — powiedział Coconnas. — To bardzo proste; ponieważ to była..

La Mole wstał i położył palec na ustach.

— Prawda — rzekł Coconnas — a na co mam ja to mówić, jakby to się tyczyło tych panów?

— Pan ciągle utrzymujesz, że statuetka ta wyobraża kobietę?

— Tak, utrzymuję.

— I pan nie chcesz powiedzieć, co to za kobieta?

— Jest to moja rodaczka — rzekł La Mole — którą kochałem i przez którą chciałem być kochanym.

— To nie pana pytają — zawołał prezydent. — Milcz więc pan albo panu zakneblują usta.

— Zakneblują usta! — krzyknął Coconnas. — Jakaś to pan powiedział, panie sędzio? Zakneblują usta! Memu przyjacielowi, szlachcicowi? A to pięknie!

— Wprowadzić Reného — rzekł generalny prokurator. Laguesle.

— Tak, wprowadźcie Reného, wprowadźcie! — powiedział Coconnas. — Zobaczmy, kto z nas ma słusność; czy was trzech, czy nas dwóch.

Wszedł René, błądy, postarzały jakby; nasi dwaj przyjaciele ledwie go mogli poznać. Ciężar występku, który miał spełnić, dręczył go bardziej niż wszystkie dotąd popełnione.

— Panie René! — powiedział sędzia. — Czy poznajesz przytomnych tu dwóch oskarżonych?

— Poznają, panie — odrzekł René głosem zdradzającym wzruszenie.

— Gdzieś pan ich widział?

— W rozmaitych miejscach, a także u siebie.

— Ile razy byli oni u pana?

— Raz tylko.

W miarę jak mówił René, twarz Coconnasa wypogadzała się. La Mole, przeciwnie, stawał się posepniejszy, jakby przewidując coś złego.

— W jakim celu byli oni u pana? René wahał się przez chwilę.

— Aby mi kazać zrobić woskową figurę.

— Wybacz, panie René — rzekł Coconnas — ale się mylisz.

— Milcz pan! — powiedział prezydent. Potem, obracając się do Reného, zapytał:

— Czy ta figurka wyobrażała mężczyznę czy kobietę?

— Mężczyznę — odpowiedział René. Coconnas drgnął jak od elektrycznej iskry.

— Mężczyznę! — zawołał.

— Mężczyznę! — powtórzył René, lecz głosem tak słabym, że prezydent zaledwie go mógł dosłyszeć.

— A dlaczego statuetka ta ma na ramionach płaszcz, a na głowie koronę?

— Ponieważ wyobraża ona króla — rzekł René.

— Podły kłamcą! — krzyknął zrozpaczony Coconnas.

— Milcz! Coconnas, milcz! — przerwał La Mole. — Niech mówi; każdy jest mocen gubić swą duszę.

— Lecz nie cudze ciała, do kroćset!

— A co znaczy stalowa igła, wetknięta w serce, i litera M, napisana na karteczce?

— Igła oznacza szpadę lub sztylet; litera oznacza wyraz: *Mort*. Coconnas chciał się rzucić na Reného, aby go zdusić; czterech żołnierzy wstrzymało go.

— Dobrze! — rzekł prokurator Laguesle. — Sąd wie już dosyć. Odprowadźcie więźniów do drugiego pokoju.

— Lecz podobnych oskarżeń nie można słuchać bez protestu! — zawołał Coconnas.

— Protestuj pan; nikt ci nie przeszkadza. Żołnierze, słyszeliście.

Straż wyprowadziła więźniów; La Mole'a jednymi, Coconnasa drugimi drzwiami.

Potem prokurator dał znak człowiekowi, którego Coconnas postrzegł w cieniu, i rzekł doń:

— Nie oddalaj się, będziesz potrzebny tej nocy.

— Od którego zacząć? — spytał człowiek, z uszanowaniem zdejmując czapkę.

— Od tego — odrzekł prezydent, wskazując na La Mole'a, którego można jeszcze było widzieć postępującego jak cień pomiędzy dwoma żołnierzami.

Następnie, zbliżywszy się do Reného, który stał, oczekując ze drżeniem, jak jego z kolei odprowadzą do Chatelet, gdzie był zamknięty, powiedział I doń:

— Dobrze; bądź pan spokojny. Król i królowa dowiedzą się, że panu są winni wykrycie prawdy.

René, któremu obietnica ta powinna była przywrócić siły, jeszcze bardziej osłabł i odpowiedział tylko głębokim westchnieniem.

ROZDZIAŁ LVIII

TORTURY

Coconnasa odprowadzono do więzienia; dopiero tutaj, gdy drzwi za nim zamknięto i skoro zobaczył się sam jeden, nie podtrzymywany walką z sędziami i gniewem przeciwko Renému, obudziły się w nim smutne myśli.

— Zdaje mi się — rzekł do siebie — że sprawa przyjmuje zły obrót i czas by już było iść do kaplicy. Nie lubię wyroków śmierci, gdyż nie ma wątpliwości, chcą nas skazać na śmierć. Nade wszystko nie; lubię wyroków śmierci czytanych pośród czterech ścian zamku, wobec tak odstręczających twarzy, jakie mnie dziś otaczały. Nam nie na żarty chcą ściąć głowę, hm, hm!... Czas by już było iść do kaplicy.

Po tych słowach, wyrzeczonych półgłosem, nastąpiło milczenie; nagle milczenie to przerwane zostało głuchym, stłumionym, ponurym krzykiem — krzykiem nic w sobie nie mającym ludzkiego. Krzyk ten, zdawało się, przeniknął gruby mur i odbił się o żelazne kratki.

Coconnas drgnął mimo woli; a jednak był to człowiek tak odważny, że jego męstwo było podobne do instynktu dzikich zwierząt. Usłyszawszy krzyk, pozostał nieruchomy; nie wierzył, żeby podobny krzyk pochodził od ludzkiej istoty; wziąłby go więc za ryk wiatru między drzewami huczącego albo za jeden z tych tysiącznych odgłosów wylatujących z dwóch nieznanych światów, między którymi nasz świat się obraca. Wtedy doszedł do uszu jego drugi jęk, jeszcze boleśniejszy, bardziej przejmujący niż pierwszy; tym razem Coconnas rozróżnił nie tylko głos ludzki, lecz mu się zdawało, iż poznaje głos La Mole'a.

Na dźwięk tego krzyku Piemontczyk zapomniał, że jest zamknięty za dwoma drzwiami, trzema kratami i murem na dwanaście cali grubym. Całym ciałem rzucił się na mur, jakby go chcąc obalić i pobiec na pomoc nieszczęsnej ofierze.

— Kogo to duszą? — zawołał.

Lecz na drodze napotkał mur, o którego istnieniu zapomniał, i ogłuszony uderzeniem, upadł na kamienną ławkę.

— O! Oni go zabili — mrucał — to podłe; tutaj nie można go nawet obronić... ani broni, nic!

I wyciągnął ręce przed siebie.

— Ach! To żelazne ogniwo — zawołał — wyrwę je... i biada temu, co się do mnie zbliży.

Wstał, porwał ogniwo i wstrząsnął nim tak gwałtownie, że przy drugim usiłowaniu niezawodnie by je wyrwał.

Lecz w tejże chwili drzwi z trzaskiem się otworzyły i światło dwóch pochodni rozwidniło pokój.

— Chodź pan — rzekł tenże sam sepleniący głos, który zwrócił już raz jego uwagę i który, chociaż dał się słyszeć o trzy piętra wyżej, nie zdawał się jednak nabierać brakującego mu wdzięku. — Sąd pana czeka.

— Dobrze — powiedział Coconnas, wypuszczając z rąk ogniwo — idę wysłuchać dekretu, nieprawdaż?

— Tak, panie.

— Chwała Bogu. Idźmy.

I udał się za urzędnikiem, który postępował naprzód miarowym krokiem, z czarną laską w ręku. Pomimo zadowolenia, jakiemu dał wyraz w pierwszej chwili, Coconnas po drodze rzucał na prawo i lewo, przed siebie i za siebie niespokojnym wzrokiem.

— O, o! — szeptał. — Nie widzę swego pocziwego dozorca; przyznam się, że jego nieobecność martwi mnie.

Weszli do sali; sędziów już nie było. Coconnas postrzegł tylko jednego stojącego człowieka. Przypatrzywszy mu się dobrze, poznał w nim prokuratora generalnego, który nie raz mieszał się do indagacji, a zawsze z nienawiścią i złośliwością. W istocie, był to ten sam, któremu Katarzyna, to listownie, to ustnie, polecała szczególniejszająć się tą sprawą.

Zasłona w sali była podniesiona i można było widzieć jej głębię ginącą w ciemnościach i której części oświetlone tak straszny przedstawiały widok, że Coconnas uczuł, iż nogi pod nim drżały.

— O! Mój Boże! — zawołał.

I nie bez przyczyny wydał okrzyk trwogi. Widok ten, w rzeczy samej, był bardzo pośępny. Sala, zakryta podczas śledztwa zasłoną teraz podniesioną, podobna była do przedsiönka piekła.

Na pierwszym planie stało drewniane łoże ze sznurkami, blokami i innymi morderczymi przyrządami. Dalej błyszczała fajerka, rzucająca na otaczające przedmioty czerwone światło, na którego tle odcinały się czarne sylwetki ludzi stojących między nim i Coconnasem. Pod jedną z kolumn utrzymujących sklepienie stał, nieruchomy jak posąg, człowiek z powrozem w ręku. Rzekłbyś, że jest wykuty z tego kamienia, co i kolumna, o którą się opierał. Na ścianach, nad ławkami z piaskowca, wisiały między żelaznymi ogniwiemi łańcuchy i błyszczały ostrza broni.

— O! — szepnął Coconnas. — Sala tortur już gotowa i czeka tylko na ofiarę! Co to znaczy?

— Na kolana! Marc–Annibal Coconnas — wyrzekł głos, na który Piemontczyk musiał podnieść głowę. — Na kolana! Wysłuchaj swego wyroku.

Był to jeden z tych rozkazów, przeciw którym natura Annibala instynktownie się opierała. Lecz ponieważ nie myślał być posłusznym, dwóch ludzi tak niespodzianie, a tak ciężko oparło swe ręce na jego ramionach, że upadł na oba kolana na posadzkę.

Głos ciągnął dalej:

— Wyrok sądu, zasiadającego w zamku Vincennes, przeciwko Marc–Annibalowi de Coconnas, któremu zarzucono i dowiedziono zbrodnię obrazy majestatu, usiłowania otrucia i czarów przeciwko osobie króla, zbrodnię spisku przeciw dobru państwa, jak również i to, że zgubnymi radami wplątał do buntu księcia krwi.

Przy każdym z tych oskarżeń Coconnas potrzasał głową, bijąc takt, jak to czynią niesforni uczniowie. Sędzia czytał dalej.

— Wskutek wyżej rzeczonych oskarżeń Marc–Annibal de Coconnas będzie odprowadzony z więzienia na plac Saint–Jean–en–Greve i tam ścięty; dobra jego będą skonfiskowane, lasy zrąbane na sześć stóp od ziemi, zamki w gruzy obrócone; na polu zaś będzie postawiony słup z miedzianą blachą, na której będzie wypisana jego zbrodnia i kara.

— Co się tyczy głowy — rzekł Coconnas — wierzę, że ją zetną, gdyż znajduje się we Francji i jest niepewną. Lecz co do moich lasów i zamków, to kpię sobie ze wszystkich pił i motyk waszego chrześcijańskiego państwa.

— Milcz! — zawołał sędzia i ciągnął dalej: — Nadto tenże Coconnas...

— Jak to! — przerwał Coconnas. — Więc jeszcze i po ścięciu coś mi zrobią? O! To już zbyt surowe!

— Nie, panie — rzekł sędzia — przed... I dalej czytał:

— Nadto tenże Coconnas przed egzekucją wyroku będzie wzięty na tortury nadzwyczajne, to jest: dziesięciu klinów...

Coconnas rzucił na sędziego iskrzące spojrzenie.

— I na cóż to? — zawołał, nie znajdując innych słów na wyrażenie napływu myśli, które powstały w jego głowie.

W istocie, tortura ta zupełnie niszczyła wszystkie jego nadzieje. Odprowadzą go do kaplicy dopiero potem, a od tortury często umierano; umierano tym pewniej, im ofiara była mężniejsza i silniejsza, gdyż w tych czasach przyznanie uznawano za tchórzostwo, a dopóki się męczennik nie przyznawał, tortura nie tylko nie przestawała działać, lecz nawet zdwajała siłę.

Sędzia nie odpowiedział Coconnasowi; koniec wyroku odpowiedział za niego. Tymi go bowiem zakończył słowy:

— Aby go zmusić do wyznania nazwisk współników i szczegółu spisku.

— Do kroćset! — zawołał Coconnas. — Oto co się nazywa nikczemnością! Nie, gorzej... podłością!

Sędzia przyzwyczajony do gniewu ofiar — gniewu, który cierpienia uśmierza, zamieniając je we łzy — gestem tylko odpowiedział.

Coconnas, porwany za nogi i ręce, został powalony, położony i przywiązany do łoża tortur wprzód, nim mógł przypatrzeć się tym, co mu ten gwałt zadawali.

— Nędznicy! — wrzasnął Coconnas, tak silnie w napadzie wściekłości wstrząsnawszy łożem, że wykonawcy wyroku cofnęli się. — Nędznicy! Męczcie mnie, gruchocście kości, rozerwijcie na kawałki, nic się jednak nie dowiecie, przysięgam. Sądźcie, że kawałek drewna lub żelaza zniewoli do mówienia szlachcica mego imienia! O, nie! Nie! Dalej, dalej.

— Pisarzu, przygotuj się do pisania — powiedział sędzia.

— Tak, przygotuj się! — wrzasnął Coconnas. — A jeśli zapiszesz wszystko, co wam powiem, podli kaci, będziesz miał co pisać. Pisz, pisz!

— Czy chcesz pan uczynić zeznania? — spytał sędzia tymże samym spokojnym głosem.

— Nie, ani słowa. Idźcie do diabła.

— Namyśl się pan podczas przygotowań. Hej, mistrzu! Włóż panu buciki.

Na te słowa człowiek stojący dotąd nieruchomo z powrozem w ręku odstąpił od kolumny i wolnym krokiem zbliżył się do Coconnasa, który odwrócił się, aby go przyjąć grymasem.

Był to mistrz Caboche, kat okręgu paryskiego.

Bolesne zdziwienie odmalowało się w rysach Coconnasa, który zamiast krzyżeć i hałasować pozostał nieruchomy, nie mogąc spuścić oczu z twarzy zapomnianego przyjaciela, zwijającego się przed nim w podobnej chwili.

Caboche spokojny, jakby nigdy w życiu nie widział Coconnasa, włożył mu dwie deski między nogi, a dwie inne umieścił na zewnątrz; następnie związał je powrozem, który trzymał w ręku. Przyrząd ten nazywał się dyby. Przy zwyczajnej torturze między dwie deski zabijano sześć klinów, które rozstępując się, gniotły nogi. Przy torturze nadzwyczajnej zabijano dziesięć klinów, a wtedy deski nie tylko gniotły ciało, lecz druzgotały kości.

Po skończeniu przedwstępnych czynności mistrz Caboche wstawił koniec klina między obie deski; następnie, wzięwszy do rąk młot i ukłękawszy na jedno kolano, spojrzął na sędziego.

— Czy chcesz pan mówić? — zapytał tenże.

— Nie — odpowiedział odważnie Coconnas, chociaż czuł, że pot występuje mu na czoło i włosy na głowie powstają.

— A więc zaczynaj — rzekł sędzia. — Pierwszy klin!

Caboche podniósł rękę, uzbrojoną ciężkim młotem, i strasznie w klin uderzył.

Rozległ się głuchy odgłos. Łoże zatrzęsło się.

Coconnas nie wydał najmniejszego krzyku przy tym pierwszym uderzeniu, od którego zwykle najmężniejsi jęki wydawali. Na twarzy jego malowało się nawet niewypowiedziane zdumienie. Oślupiałymi oczyma spojrzął na Caboche, który wzniosłszy rękę i na wpół odwróciwszy się twarzą do sędziego, gotował się do podwojenia siły uderzeń.

— Z jakim zamiarem ukryłeś się pan w lesie? — zapytał sędzia.

— Ażeby odpocząć w cieniu — odpowiedział Coconnas.

— Dalej — rzekł sędzia.

Caboche powtórzył uderzenie, które się rozległo podobnie jak i pierwsze. Lecz Coconnas i przy tym uderzeniu nie skrzywił się nawet i nie przestawał patrzeć na kata z podobnym wyrazem twarzy.

Sędzia zmarszczył brwi.

— A to twardy chrześcijanin — mruknął. — Mistrzu! Czy klin wszedł do ostatka?

Caboche schylił się, jakby dla przekonania się o tym, i szepnął do Coconnasa:

— Lecz krzyczże, nieszczęsny człowiecze. Potem podnosząc się, powiedział:

— Wszedł zupełnie.

— Drugi klin — obojętnie wyrzekł sędzia.

Cztery wyrazy Caboche'a wszystko wyjaśniły Coconnasowi. Zaczny kat okazywał swemu przyjacielowi największą usługę, jaką tylko kat mógł okazać szlachcicowi. Nie tylko wybawiał go od bóleści, lecz i od wstydu wyznań; zamiast bowiem zabijać mu między nogi kliny z drzewa dębowego, zabijał kliny z elastycznej skóry, których tylko wierzch był wyłożony drzewem. Nadto dało to Coconnasowi możność wstąpienia na szafot ze świeżymi siłami. — O! Szlachetny Caboche — mówił do siebie Coconnas — bądź spokojny, bij, ja będę krzyczże, gdyż mi tak rozkazujesz; a jeśli nie będziesz zadowolony, to powiem ci, iż trudno ci dogodzić.

Caboche tymczasem wstawił między deski klin, daleko grubszy niż pierwszy.

— Dalej — powiedział sędzia.

Na ten wyraz Caboche tak silnie uderzył, jak gdyby chciał tym jednym uderzeniem zwalić zamek w Vincennes.

— Aj! Aj! Oj! Oj! — wrzasnął Coconnas rozmaitymi głosy. — Do tysiąca piorunów! Strzeżcie się, bo mi pogruchociecie kości!

— Aha! — powiedział uśmiechając się sędzia. — Drugi już skutkuje. Mocno mnie też to dziwiło.

Coconnas odetchnął jak kowalski miech.

— Cóż więc pan robiłeś w lesie? — powtórzył sędzia.

— Eh! Do krośset! Mówiłem już panu, że odpoczywałem w cieniu.

— Dalej — rzekł sędzia do kata.

— Przyznawaj się pan — szepnął Caboche do ucha Piemontczykowi.

— Do czego?

— Do czego pan chcesz, bylebyś się przyznawał.

I uderzył po raz drugi z taką siłą jak i za pierwszym razem. Coconnas mało się nie udusił od krzyku.

— O! Co pan chcesz wiedzieć? — zawołał. — Z czyjzego rozkazu byłem w lesie?

— Tak, panie.

— Z rozkazu księcia d'Alencon.

— Pisz — rzekł sędzia.

— Jeśli ja popełniłem zbrodnię, zastawiając sieci na króla Nawarry — mówił dalej Coconnas — byłem tylko narzędziem i byłem posłuszny swemu naczelnikowi.

Pisarz zaczął pisać.

— A! Wydałeś mnie, blada mordo — mruczał niecierpliwy Coconnas. — Poczekajże!

I opowiedział odwiedziny Franciszka, oddane królowi Nawarry, schadzki jego z de Mouyem, historię czerwonego płaszczka; opowiadanie to było przeplatane krzykami i jękami, gdyż uderzenia młota powtarzały się co chwila.

Na koniec dał tyle objaśnień, dokładnych, prawdopodobnych, niezaprzeczalnych, strasznych, a wszystkie przeciwko księciu d'Alencon; tak zręcznie udał, że jedynie gwałtowny ból wycisnął te wyznania; krzywił się, czerwienił, jęczał tak naturalnie i tak rozmaitymi sposobami, że sam sędzia gniewał się, iż musi zapisywać takie kompromitujące szczegóły o francuskim księciu.

— A to mi człowiek, któremu jednego nie trzeba po dwa razy powtarzać — mówił do siebie Caboche. — To dopiero zadał pracy pisarzowi. Jezu Chryste! Cóż by to było, żeby zamiast skórzanych drewniane mu zabijano kliny!

Uwolniono Coconnasa od dziesiątego klinu; lecz i dziewięciu było dosyć, aby nogi jego pogruchotać na miazgę. Sędzia dał poznać Coconnasowi, że udziela mu się łaski ze względu na poczynione zeznania, i wyszedł.

Coconnas został sam z Caboche'em.

— No i cóż? — zapytał tenże. — Jak się miewasz, mój panie szlachcicu?

— A! Mój przyjacielu, mój kochany Caboche — powiedział Coconnas. — Bądź pewien, że za to, coś mi dopiero uczynił, będę ci wdzięczny całe życie.

— Ma pan słuszość, gdyby bowiem dowiedziano się, com dla pana uczynił, musiałbym zająć pańskie miejsce na tym łożu, a mnie by nie oszczędzono, tak jak ja pana oszczędzałem.

— Lecz skądże ci przyszła do głowy taka szczęśliwa myśl?...

— Skąd? — odpowiedział Caboche, obwijając nogi Coconnasa zakrwawionym płótnem. — Wiedziałem, że pana uwięziono, że pana oddano pod sąd i że królowa Katarzyna chciała pańskiej śmierci; zgadłem, że wezmą pana na tortury, i oto skutek tego przedsięwzięciem stosowne środki ostrożności.

— Nie zważając na niebezpieczeństwo, na jakieś się narażał?

— Panie — rzekł Caboche — jesteś jedynym szlachcicem, co mi podał rękę; a ja mam pamięć i serce, choć jestem katem, a może też właśnie dlatego, że jestem katem. Zobaczysz pan jutro, ja zręcznie spełnię moją czynność.

— Jutro? — zapytał Coconnas.

— Bez wątpienia, jutro.

— Jaką czynność?

Caboche ze zdziwieniem spojrział na Coconnasa.

— Jak to jaką czynność? Czyż pan już zapomniałeś o wyroku?.

— Ach! Tak, prawda; zapomniałem — odrzekł Coconnas. Coconnas nie zapomniał go, lecz wcale o nim nie myślał. Myślał o kaplicy, o ukrytym pod świętym przykryciem sztylcie, o księżnej de Nevers i o królowej, o drzwiach w zakrystii i o dwóch koniach czekających na brzegu lasu; myślał o wolności, o jeździe na wolnym powietrzu, o bezpieczeństwie za granicami Francji.

— Teraz — rzekł Caboche — rzeba pana zręcznie przenieść z łoża do lektyki. Nie zapominaj, że dla całego świata, nawet dla moich pomocników, masz pan zgruchotane nogi i że za każdym poruszeniem musisz krzyczeć.

— Aj! — krzyknął Coconnas, widząc zbliżających się dwóch pomocników niosących lektykę.

— Nabierzże pan trochę odwagi — rzekł Caboche — jeśli pan teraz krzyczysz, cóż będzie później.

— Mój kochany Caboche — powiedział Coconnas — błagam cię, nie dozwól dotykać się mnie twoim szanownym służalcem; być może, ich ręka nie jest tak lekką jak twoja.

— Postawcie lektykę obok łoża — rzekł Caboche.

Dwaj pomocnicy spełnili dany rozkaz. Mistrz Caboche wziął Coconnasa na ręce jak dziecko i położył go na nosze; lecz pomimo tych wszystkich ostrożności Coconnas wydał dwa straszne okrzyki. W tejże chwili ukazał się stróż z latarnią i powiedział:

— Do kaplicy!

Cocornas uściskał rękę Caboche'a po czym pomocnicy kata ponieśli go do kaplicy.

ROZDZIAŁ LIX

KAPLICA

Ponury orszak w najgłębszym milczeniu przeszedł dwa zwodzone mosty wieży i wielki podwórzec zamkowy wiodący do kaplicy, na oknach której blade światło barwiło sine postacie apostołów, w czerwone odzianych szaty.

Coconnas chciwie wciągał w płuca nocne powietrze, mimo że było ono przesiąknięte wilgocią od padającego, deszczu. Noc była bardzo ciemna i więzień cieszył się, że te wszystkie okoliczności sprzyjają jego i towarzysza ucieczce. Trzeba mu było uzbroić się całą siłą woli i rozsądku, by nie zeskoczyć z noszy, skoro wniesiony do kaplicy, spostrzegł w odległości trzech kroków od ołtarza leżącą postać w biały płaszcz odzianą. Był to La Mole.

Dwaj żołnierze towarzyszący lektyce zatrzymali się za drzwiami.

— Ponieważ uczyniono tę wielką łaskę, iż pozwolono nam przepędzić razem trochę czasu — rzeki Coconnas omdłym głosem — zanieście mnie do mego przyjaciela.

Posługacze nie otrzymali przeciwnego rozkazu; spełnili więc prośbę Coconnas.

La Mole, posępny i blade, leżał z głową opartą o marmur ściany; czarne jego włosy, mokre od obfitego potu, nadającego jego twarzy matową bladość słoniowej kości — najeżywszy się na głowie, wydawały się skamieniałe.

Na znak stróża dwaj służalcy oddalili się, by wyszukać księdza, którego żądał Coconnas. Był to znak umówiony. Coconnas z trwogą śledził ich oczyma, lecz nie on jeden zwrócił na nich swoje spojrzenie. Zaledwie posługacze zniknęli, gdy zza ołtarza wybiegły dwie kobiety i ze drżeniem ramion zbliżyły się do naszych dwóch przyjaciół.

Małgorzata rzuciła się ku La Mole'owi i porwała go w swoje objęcia.

La Mole wydał straszny krzyk, zupełnie podobny do tego, jaki Coconnas słyszał w więzieniu i który słysząc, mało nie oszalał.

— Mój Boże! Co ci jest, La Moje? — spytała Małgorzata, cofając się ze strachu.

La Mole jęknął głęboko i podniósł ręce do oczu, jakby po to, aby nie widzieć ukochanej.

Milczenie to, ten gest bardziej jeszcze niż krzyk La Mole'a zatrwożył Małgorzatę.

— O! — zawołała. — Co tobie? Cały jesteś we krwi!

Coconnas, który już się rzucił do ołtarza i trzymał w jednej ręce sztylet, a drugą obejmował Henrię, odwrócił się.

— Podnieś się — powiedziała Małgorzata — błagam cię! Widzisz, że już chwila nadeszła.

Smutny uśmiech przebiegł blade usta La Mole'a, który, zdawało się, nie miał się już nigdy uśmiechać.

— Najdroższa królowo! — rzekł blade młodzieniec. — Nie brałaś pod uwagę Katarzyny, to jest zbrodni. Wzięto mnie na tortury, kości moje są pokruszone, a całe ciało jest tylko jedną raną; poruszenie zaś, które w tej chwili robię, ażeby pocałować twe czoło, sprawia mi boleści gorsze niż śmierć.

I w rzeczy samej La Mole z trudnością i blednąc, dotknął swymi usty czoła królowej.

— Na tortury! — zawołał Coconnas. — Lecz ja także byłem wzięty na tortury. A więc kat nie zrobił dla ciebie tego, co zrobił dla mnie?

I Coconnas wszystko opowiedział.

— Ach! Rozumiem — rzekł La Mole — ty podałeś mu rękę, kiedy go odwiedzaliśmy; ja zapomniałem, że wszyscy ludzie są braćmi, ja nim pogardziłem. Bóg ukarał mnie za moją dumę; wdzięczność składam Bogu!

I La Mole złożył ręce.

Coconnas i obie kobiety zamieniły z sobą spojrzenie niewypowiedzianej trwogi.

— Prędeż, prędeż — powiedział dozorca, podsłuchujący dotychczas u drzwi — nie trać pan czasu, kochany, panie de Coconnas; uderz mnie sztyletem, tylko jak przynależy na uczciwego szlachcica. Oni wkrótce przyjdą.

Małgorzata uklękła obok La Mole'a, podobna do figur z marmuru pochyłonych nad grobem obok wyobrażenia tego, którego ten grób w sobie mieści.

— No, śmielej, mój przyjacielu — powiedział Coconnas. — Jestem silny, uniosę cię, posadzę na twego konia, nawet cię będę trzymał przed sobą, jeśli nie możesz utrzymać się na siodle, lecz śpieszmy się. Czy słyszysz, co on mówi, że idzie tu o życie lub śmierć?

La Mole zrobił nadludzkie usiłowanie.

— Prawda — rzekł — idzie tu o twe życie. I próbował podnieść się.

Annibal wziął go pod rękę i postawił na nogi. La Mole głucho tylko jęczał, lecz w chwili gdy Coconnas puścił go i poszedł do stróża i gdy La Mole pozostał tylko w rękach kobiet, nogi jego się zgięły i pomimo starań płaczącej Małgorzaty padł, a rozdzierający krzyk, którego nikt nie mógł wstrzymać, odbił się w kaplicy posępnym echem, długi czas rozlegającym się po sklepieniach.

— Widzisz — rzekł La Mole z wyrazem rozpaczony — widzisz, moja królowo! Zostawcie mnie więc, pożegnajmy się po raz ostatni. Nic nie wyznałem, Małgorzato; twoja tajemnica pozostała osłonięta moją miłością i umrze ze mną. Żegnam cię, królowo, żegnam...

Małgorzata, sama prawie bez życia, objęła rękoma tę zachwycającą głowę i wycisnęła na niej prawie religijny pocałunek.

— A ty, Annibalu — powiedział La Mole — ty, coś uniknął mąk, jeszcze jesteś młody i możesz żyć; uciekaj, mój przyjacielu, pociesz mnie swoją wolnością.

— Czas uchodzi — krzyknął dozorca — śpieszcie się!

Henrieta z lekka spróbowała przynaglić Annibala do ucieczki, gdy tymczasem Małgorzata klęczała przy La Moje'u, z rozrzuconym włosiem, z oczyma zalanymi łzami, na podobieństwo Magdaleny.

— Uciekaj, Annibalu, uciekaj! — powiedział La Mole. — Nie darz naszych nieprzyjaciół radosnym widokiem śmierci dwóch niewinnych.

Coconnas łagodnie odepchnął Henrietę, ciągnącą go ku drzwiom, i rzekł:

— Przede wszystkim oddaj pani pięćdziesiąt talarów, któreśmy obiecali temu człowiekowi.

— Oto one — powiedziała Henrieta.

Potem, zwracając się do La Mole'a i smutnie potrząsając głową, dodał:

— Co się tyczy ciebie, dobry La Mole, znieważasz mnie, myśląc chociaż przez chwilę, że cię mogę opuścić. Czyż nie poprzysiągłem żyć i umierać z tobą? Lecz ty tak cierpisz, mój przyjacielu, że ci przebaczam.

I odważnie położył się obok swego druha, pochyliwszy ku niemu głowę. Potem czule, czule jak gdyby matkę dziecinnie, przyciągnął do siebie głowę przyjaciela, która ześliznąwszy się po murze, opadła na jego piersi. Małgorzata była posępna, podniosła sztylet, który upuścił Coconnas.

— O! Moja królowo! — zawołał La Mole, pojmując jej myśl i wyciągając ku niej ręce. — O! Moja królowo, nie zapominaj, iż umieram, ażeby zgasić najmniejszą iskrę podejrzenia wokół naszej miłości.

— Lecz cóż ja mogę zrobić dla ciebie? — zawołała w rozpacz królowa. — Czyż nie mogę umrzeć razem z tobą?

— Ty — odpowiedział La Mole — możesz sprawić, żeby śmierć była mi słodką. Spotkam się z nią z uśmiechniętą twarzą.

Małgorzata zbliżyła się do niego, składając ręce, jakby z prośbą, żeby mówił.

— Czy pamiętasz ten wieczór, Małgorzato, kiedy w zamian życia tobie wtedy ofiarowanego i które ci ofiaruję dzisiaj, uczyniłaś świętą obietnicę?...

Małgorzata zadrżała.

— Ach! Pamiętasz — rzekł La Mole — gdyż drgnęłaś.

— Tak, tak, przypominam sobie — odpowiedziała Małgorzata — i na mą duszę, mój Hiacyncie, spełnię tę obietnicę!

I wyciągnęła rękę do ołtarza, jakby po raz drugi biorąc Boga na świadka swojej przysięgi.

Oblicze La Mole'a rozjaśniło się, jak gdyby rozdarło się sklepienie kaplicy i niebiański nań zstąpił promień.

— Już idą, idą! — powiedział dozorca.

Małgorzata krzyknęła i rzuciła się ku La Mole'owi, lecz obawa zwiększenia jego cierpień zatrzymała ją przed nim drżącą.

Henrieta dotknęła ustami cozoła Coconnasa i rzekła do niego:

— Rozumiem cię, mój Annibalu, i szczycę się tobą. Wiem, że poświęcenie wiedzie cię na śmierć, lecz kocham cię za to.

Oświadczam w obliczu Boga, że zawsze cię kochać będę nade wszystko i co Małgorzata przysięgła uczynić dla La Mole'a, to ja przysięgnę uczynić dla ciebie.

I wyciągnęła rękę do królowej.

— Dziękuję ci, pani, za te słowa — powiedział Coconnas.

— Nim jednak rozłączymy się, moja królowo — rzekł La Mole — zrób mi ostatnią łaskę: daj mi jakąś pamiątkę, abym ją mógł pocałować wstępując na rusztowanie.

— Ach! Prawda! — zawołała Małgorzata! — Poczekaj!

I zdjęła z szyi relikwię oprawioną w złoto i zawieszoną na złotym łańcuszku.

— Oto święta relikwia, którą noszę od dzieciństwa — powiedziała królowa. — Matka moja zawiesiła mi ją na szyi, kiedy byłam dzieckiem i gdy mnie jeszcze kochała. Podarunek ten pochodzi od naszego wuja papieża Klemensa; nigdy jej nie zdejmowałam. Weź ją.

La Mole wziął ją i gorąco ucałował.

— Otwierają drzwi — rzekł dozorca. — Uciekajcie, panie, uciekajcie! Obie kobiety rzuciły się za ołtarz i zniknęły.

W tej chwili wszedł ksiądz.

ROZDZIAŁ LX

PLAC SAINT-JEAN-EN-GREVE

Była siódma rano; tłumy ludu kipiły na placach, ulicach i bulwarach.

O szóstej rano tenże sam wózek, w którym kiedyś odwieziono dwóch przyjaciół z Luwru po pojedynku, teraz wyjechał z zamku w Vincennes i powoli posuwał się ulicą Saint-Antoine.

Stłoczeni widzowie zdawali się być statunami z nieruchomym wzrokiem i skamieniałymi ustami.

Tego to dnia królowa-matka raczyła paryżan krwawym widowiskiem...

W wózku, który wyjechał z zamku w Vincennes, leżało na słomie dwóch młodych ludzi, z gołymi głowami, ubranych całkiem czarno. Coconnas trzymał na swych kolanach La Mole'a, którego głowa wystawała nad burtę wózka, a oczy ciągle błędziły w przestrzeni.

Tłum, chcąc zajrzeć do samego wnętrza wózka, pchał się, podnosił na palce, włożył na słupki, wdrapywał na ściany i zdawało się, zupełnie był zadowolony, rozpatrzywszy wszystkie części ciała gotowe przejść od cierpienia do bezwładności. Mówiono, że La Mole umierał, nie przyznawszy się do żadnej z zarzuconych mu zbrodni, i że Coconnas, nie wytrzymawszy tortur, wyznał wszystko.

Ze wszystkich stron krzyczano:

— Patrzcie! Oto ten rudy przyznał się do wszystkiego. Tchórz! On to winien, że i jego towarzysz został na śmierć skazany! Ten drugi to zuch! Zapał się wszystkiego.

Młodzi ludzie słyszeli dobrze pochwały i nagany pospólstwa; La Mole ścisnął rękę przyjaciela, na twarzy zaś Coconnasa malowała się głęboka pogarda. Patrzył z wysokości pogrzebowego wózka na te tłumy, jak gdyby na nie patrzył z triumfalnego wozu. Nieszczęście dokonało swego dzieła: uszlachetniło twarz Piemontczyka, tak jak śmierć gotowa była uświęcić jego duszę.

— Czy prędko przyjedziemy na miejsce? — zapytał La Mole. — Jakoś mi słabo, zapewne zemdleję.

— Czekaj, mój przyjacielu. Zaraz przejedziemy obok ulic Tizon i Cloche-Percée. Patrzaj! Patrzaj!

— Och! Unieś mnie cokolwiek, pozwól jeszcze raz spojrzeć na ten dom naszego szczęścia!

Coconnas wyciągnął rękę i dotknął ramienia kata, który siedział na przodzie i kierował koniem.

— Bądź tak dobry — powiedział doń — i zatrzymaj się cokolwiek przed ulicą Tizon.

Caboche kiwnął głową na znak zgody i zatrzymał się przed ulicą Tizon. La Mole przy pomocy Piemontczyka podniósł się z wielkim trudem i spojrzął ze łzami w oczach na cichy jak grób domek. Westchnienie wyrwało mu się z piersi i wyszeptał stłumionym głosem:

— Żegnam was! Żegnam, młodości, miłości i życie! I głowa opadła mu na piersi.

— Bądź mężny — rzekł Coconnas — być może, że to wszystko znajdziemy znowu tam w górze.

— Czy tak myślisz?

— Tak jest. Przynajmniej upewnił mnie w tym kapłan, a nade wszystko sam mam tę słodką nadzieję. Ach! Nie zemdlej czasem; ta podła tłuszcza będzie się z nas wyśmiewać.

Caboche usłyszał ostatnie słowa Piemontczyka, zaciął konie i podał Coconnasowi, tak iż tego nikt nie spostrzegł, gąbkę umoczoną w tak silnym spirytusie, że La Mole, natarłszy nią sobie skronie, natychmiast przyszedł do siebie.

— Ach! — wyjąkał La Mole. — Ożyłem.

Mówiąc to, pocałował relikwię wiszącą na jego szyi na złotym łańcuszku.

Gdy przybyli na róg bulwaru i skręcili obok prześlicznego budynku wystawionego przez Henryka II, ukazało się w oddaleniu rusztowanie z odkrytą, zakrwawioną platformą: platforma ta górowała nad wszystkimi głowami.

— Mój przyjacielu — powiedział La Mole — chciałbym umrzeć pierwszy.

Coconnas znowu uderzył kata po ramieniu.

— Czego żądasz, panie hrabio? — zapytał kat.

— Czy chcesz mi wyświadczyć przysługę, którą już zresztą kiedyś mi, przyobiecałeś?

— I owszem.

— Otóż widzisz, mój przyjaciel cierpiał więcej aniżeli ja i dlatego ma mniej siły.

— Cóż stąd?

— Otóż on mówi, że by mu było przykro patrzeć na moją śmierć. Oprócz tego, jeżeli umrę pierwszy, któż by go wprowadził na rusztowanie?

— Dobrze, dobrze — odpowiedział Caboche, ocierając łzy pięścią — bądź pan spokojny; uczynię wszystko, co tylko będzie można.

— I jednym cięciem, nieprawdaż? — szepnął Piemontczyk.

— Jednym.

— To dobrze... jeżeli będzie potrzeba dwóch cięć, to lepiej zachowaj je dla mnie.

Wózek zatrzymał się; przybyli pod rusztowanie. Coconnas włożył czapkę na głowę.

Łoskot podobny do fal morskich uderzających o brzegi skaliste doszedł do uszu La Mole'a. Chciał wstać, lecz siły go zawiodły. Coconnas i Caboche musieli go wziąć pod ręce. Plac był jakby wybrukowany głowami; stopnie ratusza służyły ludowi za amfiteatr. Ze wszystkich stron wychylały się piramidy głów, których spojrzenia zdawały się błyszczeć. Kiedy piękny młodzieniec, nie mogący ustać na swych zdruzgotanych nogach, zrobił straszny wysiłek, aby wejść na rusztowanie, tłum zahuczał. KobiECE jęki połączyły się z krzykami mężczyzn.

— To był jeden z pierwszych elegantów przy dworze — mówili mężczyźni — nie tutaj powinien on umierać, lecz w Preaux-Clercs.

— Jaki on piękny! Jaki blady! — mówiły kobiety. — To ten, który nic nie powiedział sędziemu.

— Przyjacielu — powiedział La Mole — nie mogę się utrzymać, podnieś mnie!

— Zaczekaj — odpowiedział Coconnas.

Piemontczyk dał katowi znak, na który tenże się oddalił; potem, nieco schyliwszy się, wziął La Mole'a w swoje objęcia, jakby jakie dziecko, ze swym ciężarem śmiało i szybko wszedł po schodach na rusztowanie i spuścił La Mole'a na platformę przy dzikich okrzykach i oklaskach ludu.

Coconnas zdjął czapkę i uklonił się. Potem rzucił czapkę na rusztowanie.

— Spójrz dokoła — powiedział La Mole — czy ich gdzie nie spostrzegasz?

Coconnas z wolna spojrzał po całym placu; w pewnej chwili znieruchomiał nagle i nie spuszczać z oczu jakiegoś punktu, wyciągnął rękę ku przyjacielowi.

— Patrz — powiedział doń — w oknie tej wieżyczki.

I wskazał drugą ręką La Mole'owi mały budynek, istniejący jeszcze do dnia dzisiejszego na rogu ulic la Vannerie i Mouton.

Dwie kobiety, ubrane czarno, stały w oknie, cokolwiek cofnięte wewnątrz pokoju, podtrzymując się nawzajem.

— Ach! — zawołał La Mole. — Obawiałem się tylko tego, ażeby nie umrzeć, nie ujrawszy już jej ani razu. Teraz widziałem ją, mogę więc umrzeć.

I utkwwszy błyszczący wzrok w małe okienko, zaczął okrywać relikwię gorącymi pocałunkami. Coconnas uklonił się dwóm damom, tak jakby się z nimi spotkał w salonie. W odpowiedzi na te pozdrowienia ujrzeni powiewające chusteczki zwilżone łzami kochanek.

Caboche zbliżył się do Coconnasa i spojrzał nań znacząco.

— Tak, tak — odpowiedział Piemontczyk. Następnie, zwracając się do La Mole'a, dodał:

— Uściśnij mnie, przyjacielu, i umrzyj. Dla ciebie śmierć nie jest tak straszna; jesteś odważnym.

— Ach! — wyszeptał La Mole. — Niewielka rzecz dla mnie umrzeć z odwagą; przecież wiesz, jak cierpię!

Kapłan zbliżył się i podał La Mole'owi krucyfiks. La Mole z uśmiechem wskazał palcem na swoją relikwię.

— Wszystko jedno — powiedział kapłan — proś o pomoc Tego, co cierpiął równie jak i ty.

La Mole ucałował krucyfiks.

— Śpiesz się! Śpiesz, przyjacielu — zawołał Coconnas — patrząc na ciebie, sam słabnę.

— Czy możesz pan trzymać głowę prosto? — zapytał Caboche, zamierzając się mieczem na klęczącego La Mole'a.

— Spodziewam się, że będę mógł.

— A więc wszystko pójdzie dobrze.

— Lecz ty nie zapomnisz o tym, o co cię prosiłem? Ta relikwia otworzy ci wszystkie drzwi.

— Bądź pan spokojny. Lecz czy nie mógłbyś pan trochę prościej trzymać głowy?

La Mole wyprostował szyję, a zwróciwszy wzrok na wieżyczkę, wyszeptał:

— Bądź zdrowa, Małgorzato! Bądź szczęśliwa...

Nie dokończył; miecz błysnął, przeciął powietrze jak błyskawica i piękna głowa La Mole'a potoczyła się do nóg Coconnasa.

Tułów z wolna upadł na pokład.

Tysiące głów wykrzyknęło jednocześnie. Piemontczykowi zdawało się, że odróżnił jeden głos kobiety, bardziej przenikliwy od innych.

— Dziękuję ci, mój przyjacielu — powiedział Coconnas, już po raz trzeci ściskając rękę kata.

— Mój synu — rzekł kapłan do Coconnasa — czy nie masz czasem z czego zwierzyć się Bogu?

— Na honor! Nie, mój ojciec — odpowiedział Piemontczyk — wszystko, co tylko miałem do powiedzenia, powiedziałem ci już wczoraj.

Następnie zwrócił się jeszcze raz do mistrza Caboche i rzekł doń:

— Kacie, mój ostatni przyjacielu, wyświadcź mi jeszcze jedną łaskę! I Coconnas, zanim ukląkł, spojrzał na tłumy tak łagodnie i z takim spokojem, że szmer uwielbienia jeszcze raz pogłaskał jego ucho i śmiech dumy na usta wywołał. Następnie, przycisnąwszy głowę przyjaciela do swych piersi, pocałował ją w sine usta, rzucił ostatnie spojrzenie na wieżyczkę, ukląkł, a trzymając w rękach tę ukochaną głowę, zawołał:

— Kacie! Pełń swoją powinność.

Zaledwie zdążył wymówić te słowa, a już głowa spadła.

Caboche zadrżał.

— Już też czas było skończyć — wyjąkał. — Nieszczęśliwy!

I kat z trudnością wyjął ze skostniałych palców La Mole'a relikwię zawieszoną na złotym łańcuszku, a potem zarzucił wielki płaszcz na trupy dwóch przyjaciół, które na tym samym wózku miały być odwiezione do jego domu.

Widowisko się skończyło.

Tłumy rozeszły się.

ROZDZIAŁ LXI

DOM KATA

Noc zapadła nad miastem jeszcze nie uspokojonym po egzekucji, której szczegóły przechodziły z ust do ust, zasmucając w każdym domu wesołą godzinę posiłku rodzinnego grona.

Miasto było milczące, ponure i smutne; Luwr zaś, przeciwnie, był wesoły, huczący i oświetlony. W zamku była uczta. Uczta dana na rozkaz Karola IX, który w tym samym dniu na rano naznaczył egzekucję, a na wieczór bal.

Królowa Nawarry jeszcze w wigilię dnia tego otrzymała rozkaz przybycia na bal. Małgorzata, mając nadzieję, że La Mole i Coconnas uratują się w nocy ucieczką, do której było wszystko przygotowane, odpowiedziała bratu, że zadośćuczyni jego życzeniu.

Lecz straciwszy ostatnią nadzieję po scenie w kaplicy i będąc obecną przy egzekucji, postanowiła nie słuchać prośb ani gróźb i nie pokazywać się na wesołym balu w Luwrze tego samego dnia, w którym na placu Saint-Jean-en-Greve miała miejsce tak tragiczna scena.

Tegoż też dnia Karol dał nowy dowód swej niezłomnej woli, która może w nikim nie dochodziła do tego stopnia; przeleżawszy dwa tygodnie, słaby, prawie konający, blady jak trup, o godzinie piątej wstał z łóżka i ubrał się w najkosztowniejsze suknie. Wprawdzie podczas ubierania król dwa razy zemdlął. O godzinie ósmej pytał, co robi siostra. Nikt nie odpowiedział; królowa Nawarry, powróciwszy do siebie o jedenastej rano, zamknęła się w pokoju i kazała nikogo nie wpuszczać.

Lecz dla Karola zamkniętych drzwi nie było. Król, wsparty się na rękę kapitana de Nancey, zawlókł się do pokoju Małgorzaty i niespodziewanie, tajemnymi drzwiczkami, wszedł do siostry. Przygotował się do ujrzenia smutnej sceny, lecz rzeczywistość przewyższała jego oczekiwanie.

Małgorzata na pół martwa, leżała w wielkim fotelu z ukrytą w poduszkach głową; nie płakała, nie modliła się, lecz rzeżała, jak gdyby była konająca. W drugim kącie pokoju księżna de Nevers, ta kobieta nieustraszona, leżała bez zmysłów na dywanie.

Powróciwszy z placu Saint-Jean-en-Greve, równie jak i Małgorzata utraciła siły. Biedna Gillonna biegała od jednej do drugiej, nie śmiejąc powiedzieć słowa pocieszenia. Podczas przesilen, jakie zwykle następują po wielkich wzruszeniach, człowiek ochrania swoje żale niby skarby i uważa za nieprzyjaciela, każdego, kto go chce pocieszyć.

Karol otworzył drzwi, pozostawiwszy kapitana w korytarzu; wszedł blady i drżący. Nikt go nie spostrzegł. Wkrótce jednak Gillonna, klęcząc nad Henrietą, podniosła się i z przestachem spojrziała na króla. Król dał jej znak ręką i Gillonna, ukłoniwszy się, wyszła.

Wtedy Karol zbliżył się do siostry, milcząc patrzył na nią chwil kilka, a przybrawszy ton głosu jak najśłodszy, powiedział:

— Margot! Moja siostro! Małgorzata zadrżała i zerwała się.

— Ach! To Wasza Królewska Mość.

— Odwagi, moja siostro! Małgorzata wzniosła oczy ku niebu.

— Wiem wszystko — powiedział Karol — lecz wysłuchaj mnie. Królowa Nawarry dała znak, że słucha.

— Obiecałaś mi, że przyjdiesz na bal — rzekł król.

— Ja! — wykrzyknęła Małgorzata.

— Tak jest; i wszyscy na ciebie czekają; jeżeli nie przyjdiesz, dziwić się będą.

— Daruj mi, bracie; przecież wiesz, że jestem słaba.

— Zadaj sobie ten trud, siostro.

Małgorzata zdawała się przez chwilę przywoływać swą odwagę; lecz potem nagle opuściła znowu głowę na poduszki.

— Nie... nie... nie pójdę — powiedziała.

Karol wziął ją za rękę i usiadł obok niej na krześle.

— Margot, straciłaś przyjaciela — odezwał się — wiem o tym; lecz czyliż ja nie straciłem wszystkich przyjaciół? I jeszcze, co większa, czyliż nie straciłem matki? Ty zawsze możesz płakać, jak i teraz płaczesz; ja w największych zmartwieniach, zawsze i zawsze śmiać się musiałem; ty cierpisz, lecz spójrz na mnie; ja umieram... Bądź więc odważna, Margot! Proszę cię o to w imieniu naszej chwały! Dobra sława naszego domu to nasz krzyż; nieśmy go więc tak, jak Zbawiciel do Kalwarii; a jeżelibyśmy przypadkiem, tak jak on, potknęli się na drodze, wstaniemy i pójdziemy dalej.

— Och! Mój Boże! Mój Boże! — zawołała Małgorzata.

— Tak — mówił dalej Karol, odgadując myśl swej siostry — tak; ta ofiara, siostrze, jest ciężka, lecz każdy musi poświęcić albo swój honor, albo życie. Czyż myślisz, że ja, w dwudziestym piątym roku życia, zasiadając na najpiękniejszym tronie w świecie, umieram z ochotą? Spójrz na mnie... moje oczy, cera, blade usta... wszystko mówi, że już konam; lecz ten uśmiech... czyż nie zmusza innych do myślenia, że jeszcze żyć mam nadzieję? A jednak za tydzień, za dwa tygodnie, a najdalej za miesiąc będziesz oplakiwać swego brata, tak jak dzisiaj oplakujesz swego przyjaciela.

— Bracie! Nie mów tego! — zawołała Małgorzata, obejmując go rękoma.

— Kochana Margot, ubieraj się już — powiedział król — spędź tę bladeść z twarzy i przyjdź na bal. Rozkazałem ci przynieść nowe brylanty i nowe stroje, godne twej piękności.

— Brylanty! Suknie! Co mi teraz po nich?

— Życie jeszcze długie — odrzekł Karol, uśmiechając się — przynajmniej twoje...

— Och! Nie, nie!

— Siostrze, pamiętaj: bardzo często nie można lepiej uczcić pamięci nieboszczyka, jak tając w swym sercu rozpacz.

— Dobrze — powiedziała drżącym głosem Małgorzata — przyjdę. Łza, ukrywana, błysnęła na powiece Karola. Pocałował siostrę w czoło, zatrzymał się chwilę przed Henrietą, która nic nie widziała i nie słyszała, i rzekł:

— Biedna! Potem wyszedł.

Wkrótce po wyjściu króla kilku paziów weszło z pudełkami i koszykami. Małgorzata dała znak, żeby wszystko położyli na podłodze. Paziowie wykonali rozkaz i wyszli. Pozostała tylko Gillonna.

— Przygotuj dla mnie stroje — rzekła Małgorzata. Gillonna ze zdziwieniem spojrzała na swą panią.

— Tak — powtórzyła królowa głosem, w którym przebijała gorycz. — Tak, ubiorę się, pójdę na bal... czekają mnie.

— A księżna? — zapytała Gillonna.

— Ach! Ona szczęśliwa; ona może pozostać tutaj, może płakać, może cierpieć. Lecz ona nie jest córką króla, siostrą króla, żoną króla. Ona nie jest królową... Gillonno, pomóż mi się ubrać.

Gillonna posłusznie ją wypełniać rozkaz. Drogie kamienie były prześliczne; suknie wspaniałe. Nigdy Małgorzata nie była tak piękna. Przejrzała się w lustro.

— Brat ma słuszność — pomyślała — człowiek jest stworzeniem godnym litości.

W tej chwili weszła Gillonna.

— Jakiś człowiek pyta o panią — powiedziała.

— O mnie?

— Tak jest.

— Kto taki?

— Nie wiem, lecz jego wejrzenie jest straszne; zobaczywszy go, zadrżałam.

— Zapytaj, jak się nazywa — rzekła Małgorzata blednąc. Gillonna wyszła i wkrótce powróciła.

— Nieznajomy nie chce powiedzieć swego nazwiska, lecz ten oto przedmiot kazał oddać Waszej Królewskiej Mości.

I Gillonna podała relikwię, którą w przeddzień Małgorzata dała La Mole'owi.

— Wprowadź go! Wprowadź! — zawołała królowa. I zbladła jeszcze bardziej.

Ciężkie kroki dały się słyszeć i wkrótce nieznajomy stanął we drzwiach.

— To ty?... — zapytała Małgorzata.

— Jestem tym, którego Wasza Królewska Mość spotkała kiedyś w Montfaucon; ja to odwoziłem w swoim wózku dwóch ranionych panów.

— Ach! Tak, tak, poznaję cię; jesteś Caboche.

— Kat okręgu paryskiego, Wasza Królewska Mość.

Ze wszystkiego, co już przeszło od kwadransa, Henrieta dopiero te słowa usłyszała. Odjęła ręce od swej bladej twarzy, podniosła się cokolwiek i patrzyła na kata zielonymi, dziko błyszczącymi oczyma.

— Po cóż przyszedłeś? — zapytała Małgorzata drżąc.

— Przypomnieć ci, pani, obietnicę, daną przez ciebie młodszemu, temu samemu, który ci kazał zwrócić tę relikwię. Czy pani sobie przypominasz?

— Tak, tak! — zawołała królowa — nikt nie jest w stanie lepiej uczcić pamięci wspaniałomyślnego człowieka, lecz gdzież ona jest?

— Jest u mnie razem z ciałem.

— U ciebie? I dlaczegoż jej nie przyniosłeś?

— Mogliby mnie zatrzymać u bramy Luwru; mogliby mnie zapytać, co niosę pod płaszczem; a cóż by powiedzieli widząc głowę?

— Dobrze! Niech pozostanie u ciebie; jutro przyjdę po nią.

— Jutro! Lecz jutro, pani, może być już za późno.

— Dlaczego?

— Ponieważ królowa–matka rozkazała odłożyć dla siebie głowy dwóch pierwszych skazanych; głowy te mają jej posłużyć do jakichś kabalistycznych doświadczeń.

— O świętokradztwo! Ich głowy! Henrieto! — zawołała królowa, przybiegając do księżnej, która się nagle zerwała. — Henrieto!

Słyszałaś, co on mówił?

— Słyszałam. I cóż zrobimy?

— Idźmy z nim.

I Małgorzata zarzuciła na nagie plecy aksamitny płaszcz.

— Chodźmy, chodźmy! — zawołała. — Jeszcze raz ich zobaczymy. Po czym rozkazała pozamykać wszystkie drzwi, przynieść lektykę pod tajemne drzwiczki i wzięwszy Henrietę pod rękę, zeszła na dół, dawszy znak katowi, ażeby się udał za nimi.

Na dole przy drzwiach czekała już lektyka; przy bramie Luwru stał pomocnik kata z latarnią w ręku. Lektykarze Małgorzaty byli to ludzie wierni, głusi i niemi; można się było na nich spuścić zupełnie. Caboche, jego pomocnik z latarnią i lektykarze po dziesięciu minutach drogi zatrzymali się. Kat otworzył drzwi; jego pomocnik wszedł naprzód.

Małgorzata wysiadła i pomogła wysiąść Henriecie. Nerwy królowej, pośród dręczącego ją smutku, okazały się silniejsze.

Wieża z pręgierzem wzniosła się przed nimi jak ponury, pokrzywiony olbrzym. Z dwóch otworów wieży biło silne światło. Sługa powrócił do drzwi ze światłem.

— Wasza Królewska Mość możesz wejść — powiedział Caboche — w wieży wszyscy śpią.

W tej chwili ogień na wierzchołku wieży zgasł. Kobiety przycisnęły się nawzajem do siebie, ze strachem przestąpiły maleńkie drzwiczki i stąpnęły na wilgotną kamienną posadzkę. W głębi krzywego korytarza ujrzały światelko; udały się więc w jego kierunku, postępując za straszonym gospodarzem. Skoro weszły, drzwi zamknęły się za nimi.

Caboche z pochodnią, w rękę wprowadził je do niskiej, zakopconej izby. Na środku jej stał stół z trzema nakryciami, zapewne dla kata, jego żony i pierwszego pomocnika. W bardziej widocznym miejscu ściany wisiał wielki pergamin, opatrzony królewską pieczęcią. Był to patent na kata. W kącie stał ogromny miecz z długą rękojeścią. Był to miecz sprawiedliwości. Gdziekolwiek wisiały obrazy świętych męczenników, męczonych na różne sposoby.

Tutaj Caboche uklonił się.

— Daruj mi, Wasza Królewska Mość, iż ośmieliłem się ją przyprowadzić z Luwru tutaj do mnie. Lecz taka była jego ostatnia wola, a ja musiałem...

— Dobrześ zrobił — przerwała Małgorzata — i oto nagroda za twoją gorliwość.

Caboche ze smutkiem spojrział na kiesę złota, którą Małgorzata rzuciła na stół.

— Złoto i wечно złoto! — wyszeptał kat. — Ach! Niestety! Dlaczegoż ceną złota nie mogłem wykupić krwi, którą dzisiaj przelać musiałem!...

— Słuchaj! — rzekła królowa, oglądając się dokoła. — Mamyż jeszcze iść dalej? Nie widzę...

— Wasza Królewska Mość, one są tutaj! Lecz to smutny widok... mogę panią od niego uwolnić; przyniosę ją zawiniętą.

Małgorzata zamieniła spojrzenie z Henrietą.

— Nie, nie! — zawołała, przeczytawszy w oku Henriety też samą myśl. — Nie, wskaż nam drogę, a udamy się za tobą.

Caboche wziął do ręki pochodnię i otworzył małe dębowe drzwiczki prowadzące do piwnicy. W tej chwili przeciąg powietrza, miotając światłem pochodni, przyniósł nieprzyjemny odór krwi i zgnilizny. Henrieta, blada jak alabastrowy posąg, wsparła się na rękę przyjaciółki, która szła odważniej; lecz na pierwszym stopniu zachwiała się.

— Nie, nie mogę! — wyszeptowała.

— Kto kocha szczerze, Henrieto — rzekła królowa — ten kocha i trupa swego kochanka.

Straszna i wzruszająca była scena, w której dwie piękne, w kwiecie wieku i wspaniale ubrane kobiety schyliły się, idąc pod wilgotnym, sklepieniem, a słabsza z nich wspierała się na rękę silniejszej, silniejsza zaś na ramieniu kata.

Nareszcie stanęły na ostatnim stopniu. W głębi piwniczki leżały dwa trupy owinięte wielkim, czarnym płaszczem. Caboche uniósł kraj płaszcza, wznosił pochodnię i powiedział:

— Patrz, Wasza Królewska Mość!

Zdawało się, że dwaj młodzi ludzie w czarnym odzieniu spali obok siebie w strasznej symetrii śmierci. Głowy, przyłożone do korpusów, zdawały się być tylko odłączonymi od tułowia czerwonymi pręgami. Śmierć nie rozerwała ich rąk; czy przypadkiem, czy też dzięki staraniom, prawa ręka La Mole'a spoczywała w lewej dłoni Coconnasa. Zdawało się, że pod powiekami La Mole'a spojrzenie promieniało miłością. Na twarzy zaś Coconnasa zdawała się malować pogarda.

Małgorzata uklękła i rękami połyskującymi od drogich kamieni uniosła głowę, którą tak gorąco kochała.

Księżna, przyciśnięta do muru, nie mogła spuścić oczu z bladej twarzy, na której tak często szukała radości i miłości.

— La Mole! Kochany La Mole! — mówiła Małgorzata.

— Annibalu! Annibalu! — zawołała księżna. — Piękny, dumny i mężny kochanku, już mi nie odpowiadasz!

I łzy gradem posypały się z jej oczu. Ta kobieta, tak płocha w szczęściu, sięgająca w sceptycyzmie do ostatnich krańców, a w namiętności do okrucieństwa — kobieta ta nigdy nie myślała o śmierci...

Małgorzata dała jej przykład. Włożyła głowę La Mole'a w worek wyszyty perłami, uperfumowany najlepszymi pachnidłami, głowa powinna była zachować swoje kształty, gdyż worek był nabalsamowany. Henrieta także owinęła głowę Coconnasa w róg swego płaszcza. Kobiety jeszcze raz spojrzały na trupy, które miały pozostać u kata, i wyszły.

— Niech Wasza Królewska Mość się nie obawia — powiedział kat, pojąwszy spojrzenie królowej. — Przysięgam, że ich rozkazę pochować, jak się należy.

— A za to każesz odprawić msze za ich dusze — powiedziała Henrieta, zrywając z szyi rubinowe kolie i dając je katowi.

Przyjaciółki powróciły do Luwru. Królowa wysiadła z lektyki, weszła do swoich pokoi, złożyła swój smutny ciężar w gabinecie, który od tej chwili zamienił się w kaplicę, rozkazała Henricie pilnować pokoi i — bledsza, a jednak piękniejsza niż zwykle — weszła o godzinie dziesiątej na balową salę, w której przed dwoma i pół laty zaczęła się nasza powieść.

Oczy wszystkich zwróciły się na nią. Małgorzata z uśmiechem spoglądała na tłumy. Karol, spostrzegłszy ją, przecisnął się przez świetnych gości i powiedział głośno:

— Dziękuję ci, siostrze! Potem dodał cicho:

— Uważaj, na rękę masz krwawą plamę.

— Nic nie szkodzi, Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała Małgorzata — byleby tylko na ustach był uśmiech.

ROZDZIAŁ LXII

KRWAWY POT

W kilka dni po strasznej scenie na placu Greve, to jest dnia trzydziestego maja 1574 roku, dwór przeniósł się do Vincennes. Nagle raniuteńko w pokoju króla dał się słyszeć wielki hałas; podczas balu wydanego w sam dzień śmierci La Mole'a i Coconnasa król zasłabł mocniej i doktorzy radzili mu wyjechać za miasto, ażeby odetchnął świeżym powietrzem.

Było to o godzinie ósmej rano. Kilku dworzan było w przedpokoju, kiedy nagle z pokoju króla usłyszano krzyk i na progu ukazała się mamka, zapłakana, załamująca ręce i wołająca:

— Ratujcie króla! Ratujcie!

— Jak to, więc. Jego Królewska Mość ma się gorzej? — zapytał kapitan de Nancey, którego król, jak widzieliśmy, uwolnił od wypełniania rozkazów królowej matki.

— Ach! Co krwi, co krwi! — zawołała mamka. — Doktorów! Zawołajcie doktorów.

Mazille i Ambroży Pare ciągle się zmieniali przy chorym królu. Parć, będący na służbie, widząc, że król spokojnie zasnął, skorzystał z tego, ażeby cokolwiek wytchnąć. Podczas nieobecności doktora obfity pot wystąpił na ciele króla; Karol cierpiał na osłabienie porów i skutkiem tego osłabienia sączyła mu się krew zza skóry. Pot krwawy króla zatrwożył mamkę, która nigdy nie mogła przywyknąć do tego straszego widoku i jako niezachwiana protestantka, bezustannie zapewniała Karola, że to krew protestantów zamordowanych podczas nocy świętego Bartłomieja wyzywa na wierzch jego własną krew.

Dworzanie rozbiegli się na wszystkie strony; doktor nie mógł być daleko, mieli więc nadzieję, że prędko go znajdą. Przedpokój opustoszał, gdyż każdy chciał okazać swoją gorliwość w szukaniu doktora.

Nagle drzwi się otworzyły i weszła Katarzyna. Szybko przebiegła przedpokój i wpadła do pokoju syna.

Karol leżał rozciągnięty na łóżku, z błyszczącym wzrokiem, nie mogąc uchwycić tchu; jego naga ręka zwisała poza łóżko, na każdym końcu palca wisiała kropelka krwi.

Widok ten był straszny.

Jednakowoż Karol, usłyszawszy, że się ktoś zbliża, podniósł się. Zdawało się, że po chodzie poznał matkę.

— Daruj mi, matko — powiedział Karol — lecz chciałbym umrzeć spokojnie.

— Umrzeć! Mój synu! — zawołała Katarzyna. — Nie, nie... nie trać nadziei, to tylko krótkotrwały atak... to przejdzie.

— Mówię ci, pani, że już czuję, iż moja dusza oddzieliła się od ciała; mówię ci, śmierć już się zbliża; tak, na wszystkich diabłów!... Czuję, co czuję, i wiem co mówię.

— Najjaśniejszy Panie — odparła królowa — twoja wyobraźnia raczej cię zabija, a nie choroba; od czasu jak tych dwóch łotrów, La Mole'a i Coconnasa, ścięto, twoje cielesne bóleści powinny się były ukoić. Już tylko moralne udręczenia wyniszczają twe ciało; gdybym mogła pomówić z tobą, drogi synu, nie więcej niż dziesięć minut, dowiodłabym ci.

— Mamko! — zawołał król. — Pilnuj drzwi i nie wpuszczaj nikogo: królowa Katarzyna de Medici chce pomówić ze swoim synem Karolem IX.

Mamka usłuchała.

— W samej rzeczy. — powiedział Karol — rozmowa taka, jeżeli nie dzisiaj, to jutro by nastąpiła; a zatem lepiej pomówmy dzisiaj niż jutro. Jutro zapewne będzie już za późno. Trzeba tylko, ażeby przy naszej rozmowie był obecny ktoś trzeci.

— Dlaczego?

— Ponieważ, powtarzam pani, śmierć jest już bliska — rzekł Karol z uroczystą powagą — ponieważ za kilka minut przestąpi ona próg tego pokoju, blada i niema jak pani, nie zapytawszy się wprzód, czy jej wejść pozwolą. W nocy uporządkowałem moje sprawy osobiste; teraz nadszedł czas do uporządkowania spraw państwa.

— Kogóż więc Chcesz widzieć, mój synu? — zapytała Katarzyna.

— Mego brata, pani. Niechaj go zawołają.

— Z wielkim ukontentowaniem widzę — powiedziała Katarzyna — że nienawiść ustępuje z twych myśli i zapewne wkrótce ustąpi i z twego serca. Mamko! Mamko!

Mamka otworzyła drzwi.

— Skoro przyjdzie pan de Nancey, rozkaż mu w imieniu mego syna, ażeby zawołał księcia d'Alencon. Karol zrobił znak, na który mamka nagle zatrzymała się, już gotowa wypełnić rozkaz królowej-matki.

— Mówiłem: mego brata, pani — rzekł Karol.

Oczy Katarzyny wyszły na wierzch jak oczy rozżartej tygrysy. Lecz Karol rozkazująco wznosił rękę do góry.

— Chcę mówić z bratem Henrykiem! — zawołał król. — Tylko Henryk jest moim bratem, i to nie ten, co zasiada na polskim tronie, lecz ten, który siedzi w więzieniu. Ten to Henryk dowie się o mojej ostatniej woli.

— Ja zaś — wykrzyknęła Katarzyna ze śmiałością, jakiej przykładu jeszcze, nigdy nie dała, do tego stopnia nienawiść ku Bearnencykowi zdarła z niej zwykłą maskę — ja zaś, jeżeli jesteś tak bliskim grobu, jak twierdzisz, czy sądzisz, że odstąpię komukolwiek mych praw pozwalających mi znajdować się przy twoim zgonie, mych praw królowej i matki?

— Pani — powiedział Karci — jeszcze jestem królem, a więc jeszcze rozkazuję; mówię ci, że chcę mówić z moim bratem Henrykiem, a pani nie chcesz zawołać do mnie służbowego kapitana... Do tysiąca diabłów! Upprzedzam panią, że jeszcze mam dosyć sił, ażeby iść po niego samemu.

I chciał zerwać się z łóżka.

— Najjaśniejszy Panie! — zawołała Katarzyna, zatrzymując go. — Wszystkich nas znieważasz; zapominasz uraz wyrządzonych twojej familii, wyrzekasz się naszej krwi; tylko francuski książę krwi powinien zgiąć kolana u śmiertelnego łoża króla. Mnie zaś wskazuje miejsce przy tobie natura i etykieta: pozostaję więc na swoim stanowisku.

— A na zasadzie jakiego prawa pani pozostajesz tutaj? — zapytał Karol.

— Na zasadzie prawa matki.

— Pani jesteś tak samo moją matką, jak książę d'Alencon moim bratem.

— Panie, jesteś w malignie. Od jakiegoż to czasu dawczyni życia nie jest matką tego, któremu dała życie?

— Od czasu, pani, kiedy matka odebrała dziecku to, co mu dała — odpowiedział król, ocierając usta z czerwonej piany.

— Karolu, co chcesz przez to powiedzieć — zawołała Katarzyna. — Ja ciebie nie rozumiem — wyszeptła, z zadziwieniem patrząc na syna.

— Zaraz pani wszystko zrozumiesz.

Karol wyjął spod poduszki maleńki srebrny klucz.

— Weź, pani, ten klucz i otwórz mi moją podróżną szkatułkę; znajdujące się tam papiery odpowiedzą pani za mnie.

Karol wyciągnął rękę w kierunku, gdzie na marmurowej konsoli stała przepysznie rzeźbiona żelazna szkatułka.

Katarzyna posłusznie zbliżyła się do szkatułki, otworzyła ją, zajrzała do wewnątrz i nagle odskoczyła, jak gdyby w szkatułce spostrzegła śpiącą żmiję.

— Czego się, pani, przeleklełaś? — zapytał Karol, nie spuszczać oczu z matki.

— Ach, nic — odpowiedziała Katarzyna.

— W takim razie włóż pani rękę i wydostań ze szkatułki książkę... tam powinna być książka; nieprawdaż, że jest? — dodał król z uśmiechem, który na jego ustach był bardziej złowrogi aniżeli groźba na języku innego.

— Jest — wyszeptała Katarzyna.

— Traktuje o myślistwie? — ciągnął Karol.

— Tak.

— Weź ją, pani, i przynieś tutaj.

Katarzyna zbladła, zadrżała i biorąc książkę do ręki, ledwo zdołała wyrzec:

— Straszliwy losie!

— Dobrze — powiedział Karol. — Teraz słuchaj, pani; byłem szalony... lubiłem polowanie nade wszystko... ta książka myśliwska... czytałem ją cokolwiek za pilnie... Czy pani teraz rozumiesz...?

Katarzyna głucho jęknęła.

— Była to moja słabość — mówił dalej Karol — teraz spal ją, pani! Słaba strona króla nie powinna być nikomu znana.

Katarzyna zbliżyła się do kominka, rzuciła książkę w ogień i stojąc nieporuszenie, patrzyła jak zielony płomień pochłaniał zatrute karty. Silny i ostry zapach czosnku rozszedł się po pokoju. Wkrótce książka zgorzała zupełnie.

— Teraz, pani, zawołaj mego brata — powiedział Karol z powagą. Katarzyna — zgnębiona różnorodnymi uczuciami, których ani pojąć, ani pomimo wszelkich usiłowań opanować nie mogła — chciała przemówić. Matka czuła wyrzuty sumienia; królowa — bojaźń, trucicielka — nienawiść. To ostatnie uczucie przemogło nad innymi.

— Niech będzie przeklęty! — zawołała królowa, wychodząc z pokoju. — On triumfuje, on bliski celu. Niech będzie przeklęty!

— Czy słyszysz, pani! Brata! Brata! — wołał za nią Karol. — Brata Henryka, z którym chcę natychmiast pomówić w przedmiocie regencji!

W tej chwili wszedł Pare i zatrzymał się we drzwiach wachając powietrze.

— Kto tutaj palił arsenik? — zapytał doktor.

— Ja! — odpowiedział król.

ROZDZIAŁ LXIII

TARAS NA WIEŻY ZAMKU W VINCENNES

Henryk Nawarski chodził zamyślony po tarasie wieży; wiedział, że dwór znajduje się w zamku, i przez grube mury widział umierającego Karola.

Pogoda była prześliczna: słońce roztoczyło swe purpurowe promienie i przepysznie oświetliło wierzchołki drzew pokryte pierwszymi liśćmi. Zdawało się, że nawet ponure ściany zamku nasyciły się przyjemnym ciepłem; bratki, zaniesione wschodnim wiatrem i osadzone w szczelinach ścian, wyścibiały swe główki, zdobne w żółty i fioletowy aksamit.

Lecz wzrok Henryka nie zatrzymał się ani na zielonych dolinach, ani na ozłoconych słońcem wierzchołkach lasu; wzrok jego, pełen dumy, przenosił się ku stolicy Francji, której z czasem los nazaczył być stolicą całego świata.

— Paryż — mówił do siebie Henryk — otóż Paryż! Radość, tryumf, potęga i szczęście, Paryż, w którym jest Luwr, i Luwr, w którym jest tron! I od tego Paryża być oddzielnym nędznymi fortyfikacjami rozciągającymi się u moich stóp, które zresztą Zagradzają drogę także mojej nieprzyjaciółce.

Sprowadzając wzrok z Paryża ku Vincennes, Henryk spostrzegł na lewo, pomiędzy kwitnącymi drzewami migdałów, człowieka, na którego pancerzu światło słońca łamało się uporczywie; król śledził to światło, migocące w przestrzeni przy każdym ruchu jeźdźca.

Nieznajomy siedział na dziarskim koniu i wiódł za lejce drugiego, który zdał się być nie mniej bystry. Król śledził wzrokiem jeźdźca, który dobywszy szpady, przyczepił do niej białą chorągiewkę i zaczął nią powiewać, jakby dając jakieś sygnały. W tejsze chwili z przeciwnego wzgórka odpowiedziano podobnym sygnałem, a wkrótce naokoło całego zamku zaczęły powiewać białe chorągiewki.

Nieznajomym jeźdźcem był de Mouy, a chorągiewkami powiewali hugonoci. Wiedząc, że król umiera, a obawiając się zamachu na życie Henryka, zebrali się, ażeby go bronić lub z nim atakować.

Henryk znowu spojrział na jeźdźca, którego najprzód zobaczył, przechylił się przez balustradę, zakrył oczy od słońca i poznał młodego hugenota.

— De Mouy! — zawołał król, jak gdyby hugenot mógł go usłyszeć. Uradowany, że go otaczają przyjaciele, sam zaczął powiewać swoją szarfą w powietrzu. Znowu wszystkie białe chorągiewki poruszyły się, okazując swą radość.

— Ach! Oni na mnie czekają — rzekł Henryk — a ja nie mogę się do nich przyłączyć. Szkoda, trzeba było dawniej spróbować. Teraz już za późno.

Gestem dał im znać, że już za późno, lecz de Mouy odpowiedział mu drugim, znaczącym: zaczekam.

W tej chwili Henryk usłyszał, że ktoś idzie po kamiennych schodach. Szybko oddalił się od balustrady. Hugonoci domyślili się przyczyny tego nagłego cofnięcia się; szpady powróciły do pochew i białe chorągiewki zniknęły.

Henryk zobaczył na schodach kobietę, zadyszana od szybkiego biegu, i nie bez strachu poznał w niej Katarzynę de Medici.

Za nią na schodach zatrzymało się dwóch żołnierzy.

— Oho — pomyślał Henryk — musiało zajść coś bardzo ważnego, kiedy aż tutaj do mnie przyszła.

Katarzyna usiadła na kamiennej ławce tuż przed blankami muru i zaczęła silnie oddychać. Henryk zbliżył się do niej z uśmiechem na ustach i zapytał:

— Czy czasem nie mnie, pani, szukasz?

— Tak jest; chciałam ci dać ostatni dowód mego ku tobie przywiązania. Okoliczności są ważne: król umiera i chce z tobą pomówić?

— Ze mną? — zapytał Henryk, drżący z radości.

— Tak jest, z tobą. Jestem przekonana, iż mu powiedziano, że pan nie tylko żałujesz korony nawarskiej, lecz nawet domagasz się korony francuskiej.

— Och! Nie — odpowiedział Henryk.

— To nieprawda, wiem o tym, lecz on temu wierzy; i nie ma żadnej wątpliwości, że ta ostatnia rozmowa nie będzie niczym więcej, jak siecią, w którą chce cię złowić.

— Mnie?

— Tak jest. Karol, umierając, chce wiedzieć, czy może na ciebie liczyć, czy się ciebie obawiać; i nie zapominaj, że od odpowiedzi na jego prośbę będzie zależeć twoje życie.

— Lecz o cóż mnie będzie prosił?

— Nie wiem! Zapewne o, coś nie do wykonania...

— Jednakże czy pani się nie domyślasz?

— Nie, lecz myślę, że na przykład... Katarzyna zatrzymała się.

— Cóż?

— Myślę, że król, znając śmiało zamiary pana, chce z twoich własnych ust usłyszeć ich potwierdzenie. Wystaw sobie, że najprzód będzie cię badać, jak dawniej badano przestępców, ażeby otrzymać wyznanie bez tortur; wystaw sobie — mówiła dalej Katarzyna, bacznie patrząc w oczy Henrykowi — że król ofiaruje ci koronę albo regencję.

Serce Henryka przepełniło się radością. Poznał jednak zasadzkę, i to uczucie wcale nim nie zawładnęło.

— Mnie? — odpowiedział — nie, nie; zasadzka ta byłaby zbyt niezręczna; mnie powierzyć regencję, kiedy jesteś pani i brat jego, księżę d'Alencon?

Katarzyna przygryzła wargi, ażeby ukryć swe ukontentowanie.

— A więc pan odmówisz przyjęcia regencji?

— Król zapewne umarł — pomyślał Henryk — a ona zastawia na mnie sieć.

Odpowiedział:

— Najprzód muszę słyszeć, co mi powie król, ponieważ, jak pani sama się zgadzasz, wszystko, cośmy mówili, było tylko przypuszczeniem.

— Bez wątpienia, lecz pan zawsze możesz być odpowiedzialnym za swoje zamiary.

— Eh! Mój Boże! — odpowiedział Henryk dobrodusznie. — Nie mam żadnych zamiarów, bo i jakież bym mógł mieć?

— To nie odpowiedź — odparła Katarzyna; uważając zaś, że czas uchodzi, a zapalając się gniewem, dodała: — Czy pan masz, czy nie masz żadnych zamiarów, odpowiedz jednak stanowczo.

— Nie mogę dać odpowiedzi stanowczej na przypuszczenia; ostatecznie coś postanowić tak jest trudno, że istotnie muszę czekać na wypadki.

— Słuchaj pan! Czasu do stracenia nie ma ani chwili, a my go tracimy na próżnych sporach i udawaniach. Odegrajmy tę rolę, jak przystoi na króla i królową. Jeżeli pan przyjmiesz regencję, zginiesz niechybnie.

— Król jeszcze żyje — pomyślał Henryk i rzekł:

— Życie ludzi i królów spoczywa w ręku Boga, który mnie natchnie. Możesz pani powiedzieć królowi, że jestem gotów mu służyć.

— Pomyśl jeszcze pan.

— Pani! Już dwa lata jestem na wygnaniu, miesiąc w więzieniu — odpowiedział Henryk uroczyście — miałem więc czas namyślić się i już się namyśliłem. Racz więc oznajmić mnie królowi; tych oto dwóch zuchów — dodał Henryk, wskazując na żołnierzy — będzie mnie pilnować, żebym nie uciekł. Zresztą uciekać wcale nie myślę.

W tej odpowiedzi było tyle stanowczości, iż Katarzyna przekonała się, że wszelkie jej prośby i groźby do niczego nie doprowadzą. Wyszła więc prędko.

Zaledwie zniknęła, Henryk natychmiast zbliżył się do balustrady, dając znak hugenotom, ażeby się zbliżyli i byli w pogotowiu. De Mouy, który zsiadł z konia, zaraz wsiadł nań znowu i z luźnym koniem podjechał do wieży na odległość dwóch wystrzałów.

Henryk podziękował mu skinieniem i zszedł na dół.

Podwójna linia Szwajcarów i lekkiej jazdy broniła wejścia na podwórzec i ażeby wejść do zamku, trzeba było przejść pod podwójnym rzędem halabard. Tutaj czekała Katarzyna Królowa—matka dała znak, ażeby straż się oddaliła, i rzekła do Henryka:

— Ten podwórzec ma dwie bramy; za tą, którą widać za apartamentem króla, czeka cię dobry koń i wolność, jeżeli nie przyjmiesz regencji; jeżeli jednak usłuchasz głosu swej dumy, to u tej drugiej czeka cię... Co pan chcesz mówić? — Chcę powiedzieć, że jeżeli król zrobi mnie regentem, to ja, a nie pani będę wydawał rozkazy wojsku. Chcę powiedzieć, że jeżeli wyjdę nocą z zamku, wszystkie te piki, halabardy i muszkiety schylą się przede mną.

— Szalony! — zawołała Katarzyna. — Radzę ci nie grać z Katarzyną de Medici w tę straszna grę o śmierć lub życie.

— Dlaczego nie — odpowiedział Henryk z zimną krwią. — Dlaczegoż bym z panią nie miał grać o życie? Przecież dotychczas wygrywałem.

— A więc idź pan do króla, skoro niczemu nie chcesz wierzyć! — powiedziała Katarzyna, wskazując na schody i bawiąc się dwoma zatrutymi sztyletami, które zawsze nosiła na swej czarnej szarfie.

— Racz pani iść naprzód — powiedział Henryk — ponieważ jeszcze nie jestem regentem, pierwszeństwo więc się pani należy.

Katarzyna, zupełnie zgnębiona, bez słowa, poszła pierwsza.

ROZDZIAŁ LXIV

REGENCJA

Król zaczął się niecierpliwić. Rozkazał zawołać pana de Nancey i polecił mu, aby on sam przyprowadził Henryka, lecz w tejże chwili król Nawarry stanął na progu.

Zobaczywszy swego szwagra we drzwiach, Karol krzyknął z radości. Henryk zaś przeląkł się; zdawało mu się, że stoi przed trupem. Dwaj doktorzy i kapłan, przygotowujący króla do chrześcijańskiej śmierci, wyszli.

Karol IX nie był lubiany; mimo to w ościennych pokojach wielu rzewnie płakało. Przy śmierci królów zawsze się znajdują ludzie, którzy coś tracą i obawiają się nie pozyskać od następcy i tego, co posiadali.

Ta żałoba, te szlochania i jęki, ponure słowa Katarzyny, posępne i uroczyste chwile ostatnich tchnień króla, sam widok jego cierpienia, dotychczas nie znanego nauce — wywarły na młodego Henryka wrażenie tak straszne, iż mimo wszelkich usiłowań nie mógł, jak widzieliśmy, ukryć przestachu, który wystąpił na jego obliczu na widok umierającego króla, skapanego we własnej krwi.

Karol smutnie się uśmiechnął; umierający bowiem nie traci ani jednego drgnienia malującego się na twarzach otaczających.

— Zbliź się, Henryku — powiedział król, wyciągając ku niemu rękę — zbliź się; cierpiałem, nie widząc cię. Wielem cię dręczył przez całe życie, mój przyjacielu, i wierz mi, że teraz często tego żałuję. Nieraz pomagałem tym, którzy cię dręczyli, lecz wiesz, że wypadki nie zależą od króla; i oprócz mojej matki Katarzyny, oprócz mego brata księcia Andegaweńskiego, oprócz mego brata d'Alencona ograniczało mnie przez całe życie coś, co skończy się dopiero z życiem; był to interes państwa.

— Najjaśniejszy Panie— rzekł Henryk — o wszystkim zapomniałem prócz miłości, którą pałam ku tobie jako bratu, i uszanowania, jakie mam dla swego króla,

— Tak, tak, masz słuszość — odparł Karol — i dziękuję ci, Henryku, za te słowa; gdyż ty w samej rzeczy bardzo wiele cierpiałeś w przeciągu całego swego życia, nie mówiąc już o utracie swej matki. Lecz zapewne widziałeś, że bardzo często działałem nie podług swej woli. Czasami opierałem się, lecz czasami, zmęczony, ustępowałem. Ale przestańmy mówić o przeszłości; gdyż mnie teraz zajmuje teraźniejszość, a przestrasza przyszłość.

Wymówiwszy, te słowa, król wychudłymi rękoma zakrył swą zsiniałą twarz. Następnie po chwili milczenia potrząsnął głową, jak gdyby chciał odpędzić ponure myśli, brocząc tym poruszeniem pościel krwawym deszczem.

— Trzeba zbawić państwo — dodał po cichu, nachyliwszy się ku Henrykowi. — Trzeba je wyrwać z rąk fanatyków i kobiet.

Karol, jak powiedzieliśmy, wyrzekł te słowa cicho; mimo to jednak Henrykowi zdawało się, że za kotarą dało się słyszeć zgrzytnięcie zębów. Być może przez jakiś otwór, zrobiony w murze, o którym nawet sam Karol nie wiedział, Katarzyna słyszała przedśmiertną rozmowę.

— I kobiet? — powtórzył Henryk, jak gdyby czekając na objaśnienia.

— Tak jest, Henryku — odparł Karol — moja matka chciałaby zostać regentką przez czas, dopóki mój brat, książę Andegaweński, nie powróci z Polski. Lecz słuchaj, co ci powiem: on nie powróci!

— Jak to, nie powróci? — zapytał Henryk, któremu serce z radości silniej bić zaczęło.

— Nie, nie powróci — powtórzył Karol — Polacy go nie puszcza.

— Lecz — powiedział Henryk — Najjaśniejszy Panie! Czy myślisz, że królowa—matka nie uwiadomi go zawczasu?

— Już go zawiadomiła. Lecz Nancey schwytał jej gońca w Château—Thierry i przywiózł list mnie; w tym liście pisała ona, że ja muszę umrzeć. Lecz i ja napisałem list do Krakowa; list mój dojdzie niezawodnie, a w liście tym upominam Polaków, żeby dobrze pilnowali mego brata. A więc Henryku, zdaje mi się, że tron będzie wolny.

Drugie zgrzytnięcie, głośniejsze niż pierwsze, dało się słyszeć w przyległym pokoju.

— Niezawodnie — pomyślał Henryk — ona tam jest, podsłuchuje i czeka! Karol nic nie usłyszał.

— Umieram — mówił dalej król — bez następcy płci męskiej. Nagle zatrzymał się. Zdawało się, że jakaś słodka myśl oświeciła twarz króla.

Po chwili zapytał Henryka:

— Czy pamiętasz, Henryku, to biedne maleńkie dziecko, które ci pokazałem pewnego wieczoru?... śpiące w jedwabnej kolebce pod pieczęcią anioła... Ach! Henryku! Oni zabiją to dziecko.

— O nie, Najjaśniejszy Panie! — zawołał Henryk ze łzami w oczach. — Przysięgam ci na Boga, że dni i noce swoje poświęcę, ażeby tylko ocalić to dziecko! Rozkaż mi, królu!...

— Dziękuję ci, Henryku, dziękuję,— przerwał mu król z łaskawością, której dotychczas nie okazywał. — Wierzę twojemu słowu. Lecz nie zrób go czasem królem... szczęściem nie jest ono urodzone dla korony; zrób je tylko szczęśliwym. Nie naznaczam mu stanu; oby tylko posiadał umysł i serce matki. Zapewne byłoby dla niego najlepiej, ażeby się poświęcił stanowi duchownemu; wtedy nie będą się go obawiać... Och! zdaje mi się, że umarłbym jeżeli nie szczęśliwy, to przynajmniej spokojny, gdybym mógł przed śmiercią nacieszyć się pieścotami mego małego dziecięcia i ujrzeć śliczną twarz jego matki.

— Najjaśniejszy Panie! Alboż nie możesz ich do siebie przywołać?

— Nieszczęśliwy! Ona by już stąd wraz z dzieckiem nie wyszła. Oto los królów na tym świecie, mój Henryku. Nie mogą oni ani żyć, ani umierać podług swojej woli. Lecz po twojej obietnicy uspokoiłem się już cokolwiek. Henryk pogrążył się w dumaniach.

— Tak, Najjaśniejszy Panie! To prawda, że ci obiecałem, lecz czy będę w stanie obietnicę wypełnić?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ja sam nie jestem pewien swego życia. Może będę wypędzony. Wszak ja zwykły człowiek, a on tylko dziecko.

— Mylisz się — odpowiedział Karol — po mojej śmierci będziesz silny i możny; właśnie ten papier da ci siłę i moc.

Przy tych słowach umierający król wyciągnął spod poduszki zwój pergaminowy.

— Weź to! — rzekł.

Henryk przebiegł oczyma pergamin opatrzone pieczęcią państwa.

— Ja, Najjaśniejszy Panie, mam być regentem! — zawołał blednąc z radości.

— Tak jest; będziesz regentem, dopóki książę Andegaweński nie powróci z Polski; a ponieważ zdaje się, że król Polski nie powróci, więc ten papier czyni cię nie regentem, lecz daje ci tron.

— Mnie tron? — wybełkotał Henryk.

— Tak jest; tylko ty jeden jesteś godzien zasiadać na tronie Francji, tylko ty jeden możesz rządzić tymi rozpustnymi dworzanami, tymi kobietami, które sycą się łzami i krwią. Mój brat książę d'Alencon jest zdrajcą, zdradzałby więc wszystkich. Brat Henryk może za trzy lub cztery miesiące ucieknie z Polski, przybędzie do Paryża i zechce, ażebyś mu zwrócił tron; odpowiesz

mu na to okazaniem bulli papieskiej. O bullę tę już się staram w Rzymie przez księcia de Nevers; otrzymasz ją wkrótce.

— Och! Mój królu!

— Obawiaj się tylko, Henryku, wojny domowej. Lecz przeszedłszy na wiarę rzymskokatolicką, możesz jej uniknąć; stronnictwo hugenotów będzie silne tylko wtedy, kiedy ty będziesz stał na jego czele, a książe Kondeusz nie będzie miał tyle sił, ażeby z tobą walczyć. Henryku! Francja jest krajem równin, a zatem jest krajem katolickim. Król francuski musi więc być królem katolików, a nie hugenotów; a to dlatego że król Francji powinien być królem większości. Powiadają, że czuję wyrzuty sumienia za krew rozlaną podczas nocy świętego Bartłomieja; to nieprawda. Powiadają, że to krew hugenotów występuje z moich porów. Ja wiem, co ze mnie tę krew wyciąga: to arsenik, a nie krew hugenotów.

— Ach! Najjaśniejszy Panie, co mówisz!

— Nic, Henryku! Jeżeli moja śmierć ma być kiedyś pomszczona, to, tylko jeden Bóg może ją pomścić. Będziemy więc o niej teraz mówić o tyle, o ile okaże się potrzebna do obliczenia jej następstw. Pozostawiam ci dobry parlament i dobrą armię. Opieraj się na parlamencie i armii w walce ze swymi dwoma nieprzyjaciółmi: moją matką Katarzyną de Medici i księciem d'Alencon.

W tej chwili w przedpokoju dał się słyszeć szcęk broni i wydawanie wojskowych rozkazów.

— Zginąłem — pomyślał Henryk.

— Jak to? Boisz się? Wahasz się?... — zawołał Karol, z niecierpliwością.

— Nie, Najjaśniejszy Panie — szybko odparł Henryk — nie boję się i nie waham się: przyjmuję regencję.

Karol ścisnął mu rękę na znak swego zadowolenia. W tej chwili zbliżyła się do króla mamka z lekarstwem przygotowanym w sąsiednim pokoju. Mamka ani się domyślała, że nie dalej jak trzy kroki od niej rozstrzygał się los Francji. Król powiedział do niej:

— Dobra mamko! Zawołaj do mnie królową-matkę i każ zawołać pana d'Alencon.

ROZDZIAŁ LXV

KRÓL UMARŁ, NIECH ŻYJE KRÓL!

Katarzyna i książe d'Alencon, zsinieni ze Strachu i drżący z wściekłości, weszli po chwili. Jak to Henryk zgadł, Katarzyna wiedziała o wszystkim i w kilku słowach powiadomiła Franciszka. Zrobili kilka kroków i zatrzymali się czekając.

Henryk stał przy wezgielciu łóżka Karola.

Król, nie wiedząc o tym, co zaszło, objawił im swą wolę.

— Gdybym miał syna — powiedział do matki — pani byłabyś regentką, a gdyby pani zabrakło, byłby regentem król Polski, w braku zaś jego — mój brat Franciszek; lecz ja nie mam syna i tron po mnie należy do mego brata księcia Andegaweńskiego, który jest nieobecny. Ponieważ kiedyś przyszedłby on upomnieć się o ten tron, nie chcę, żeby znalazł na nim człowieka, który swoimi prawie równymi prawami mógłby zaprzeczać mu jego praw i który wskutek tego wystawiłby państwo na wojnę domową. Oto dlaczego nie robię cię, pani, regentką; musiałabyś bowiem wybierać pomiędzy dwoma synami, co byłoby ciężkie dla serca matki. Oto dlaczego nie wybieram mego brata Franciszka; mógłby on bowiem powiedzieć starszemu bratu: „Miałeś tron, na cóżeś go opuścił?” Nie; wybieram więc regenta, który mógłby zachować koronę i strzec ją pod ręką, a nie na głowie. Regentem tym... skłoń mu się, pani, skłoń mu się, mój bracie!, Regentem tym jest król Nawarry.

I gestem, w którym przebijała jego niewzruszona wola, król pozdrowił ręką Henryka.

Katarzyna i d'Alencon wykonali jakiś ruch pośredni między nerwowym zadrzeniem i ukłonem.

— Weź, panie regencie — rzekł Karol do króla Nawarry — ten oto pergamin, który do powrotu króla polskiego daje ci dowództwo nad wojskiem, klucze od skarbu, prawo i władzę królewską.

Katarzyna pożerała Henryka wzrokiem. Franciszek tak drżał, że zaledwie mógł się utrzymać na nogach, lecz słabość jednego i moc drugiej, zamiast uspokoić Henryka, mówiły mu o bliskim niebezpieczeństwie.

Henryk siłą woli zapanował nad sobą i przewyciężając wszystkie obawy, wziął zwój z rąk króla, po czym wyprostowawszy się, utkwiał w Katarzynie i Franciszku spojrzenie, które mówiło: „Strzeżcie się, jestem waszym panem!”

Katarzyna zrozumiała to spojrzenie.

— Nie, nie, nigdy! — powiedziała. — Nigdy mój ród nie ugnie głowy przed cudzym rodem; nigdy Bourbon panować nie będzie we Francji, póki w niej żyje jeszcze choć jeden Walezjusz.

— Moja matko! — zawołał Karol IX, podnosząc się na zakrwawionej pościeli, straszniejszy niż zwykle. — Strzeż się, bo jeszcze jestem królem, chociaż wiem, że nie na długo, lecz niewiele potrzeba czasu na wydanie rozkazu; niewiele, aby ukarać morderców i trucielei.

— A więc daj ten rozkaz, jeśli śmiesz. Ja pójdę wydać moje rozkazy. Chodź, Franciszku, chodź.

I szybko wyszła, uprowadzając z sobą księcia d'Alencon.

— Nancey! — krzyknął Karol. — Nancey, do mnie, do mnie! Rozkazuję, chcę tego, Nancey! Aresztować moją matkę, aresztować mego brata; aresztować!...

Krew rzuciła się i przerwała mowę Karola właśnie w chwili, kiedy kapitan straży otworzył drzwi, i król, dusząc się śmiertelnie, zachrypiął na łóżku.

— Pilnuj pan drzwi — rzekł Henryk — i nie wpuszczaj, nikogo.

Nancey pokłonił się i wyszedł.

Henryk zwrócił wzrok na to nieruchome ciało, które można by wziąć za trupa, gdyby lekki oddech nie poruszał chwilami pianą pokrywającą jego usta. Długo tak spoglądał; potem wyrzekł sam do siebie:

— Oto decydująca chwila... czy panować, czy też żyć?

W tejsze chwili zasłona alkowy podniosła się, pokazała się zza niej blada twarz i pośród grobowego milczenia zalegającego królewski pokój rozległ się głos:

— Żyj!

— René! — zawołał Henryk.

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— A więc twoja przepowiednia jest fałszywa: nie będę królem? — wykrzyknął Henryk.

— Będiesz nim, Najjaśniejszy Panie, lecz czas jeszcze nie nadszedł.

— Skąd to wiesz? Mów! Chcę wiedzieć, czy mam ci wierzyć.

— Słuchaj, Najjaśniejszy Panie.

— Słucham.

— Schyl się, Najjaśniejszy Panie.

Henryk nachylił się nad ciałem Karola. René pochylił się ze swej strony. Dzielili ich tylko szerokość łóżka. Między nimi leżało milczące nieruchome ciało konającego króla.

— Posłuchaj pan — rzekł René. — Ukryty tu jestem przez królową–matkę, ażeby pana zgubić; wolę jednak służyć panu, gdyż wierzę w pański horoskop, i dlatego także, że służąc panu, doznaję podwójnej korzyści: tak dla ciała, jak i dla duszy.

— Czy to również królowa–matka rozkazała ci mnie powiedzieć?— zapytał Henryk, pełen wątpliwości i niepokoju.

— Nie — rzekł René — lecz wysłuchaj pan tajemnicy.

I schylił się jeszcze bardziej, Henryk poszedł za jego przykładem; tym sposobem głowy ich prawie się dotykały.

W rozmowie tych dwóch ludzi pochylonych nad ciałem umierającego króla było coś tak zatrważającego, że włosy zabobonnego florentczyka powstały na głowie, a obfity pot wystąpił na twarz Henryka.

— Słuchaj pan — mówił dalej René — dowiesz się pan tajemnicy mnie jednemu wiadomej; odkryję ją panu, jeśli mi przysięgniesz nad ciałem tego konającego, iż mi przebaczasz śmierć swojej matki.

— Jużem ci to raz obiecał — rzekł Henryk, którego twarz się zasepiła.

— Obiecałeś, lecz nie przysięgłeś — powiedział René, cofając się.

— Przysięgam ci to — rzekł Henryk, wyciągając prawą rękę nad głowni króla.

— A więc, Najjaśniejszy Panie — szybko powiedział florentczyk — król Polski wkrótce przybędzie.

— Nie — odpowiedział Henryk — kurier był zatrzymany przez króla Karola.

— Król Karol zatrzymał tylko jednego ha drodze z Château–Thierry; lecz królowa–matka, w swojej przeczności, wysłała trzech trzema innymi drogami.

— O! Biada mi! — rzekł Henryk.

— Dziś rano przybył goniec z Krakowa. Król wyjechał tuż za nim i nikt nie myślał zatrzymywać go, gdyż w Krakowie nie wiedziano jeszcze o chorobie króla. Henryk Andegaweński przybędzie za kilka godzin.

— O! Gdybym miał chociaż osiem dni! — powiedział Henryk.

— Tak, lecz pan nie masz i ośmiu godzin. Czyś słyszał dźwięk przygotowywanej broni?

— Słyszałem.

— Broń tę gotowano przeciw tobie. Oni przyjdą zabić cię nawet tutaj, w pokoju króla.

— Król jeszcze nie umarł.

René uważnie spojrzał na Karola.

— Za dziesięć minut już żyć nie będzie. Pozostaje ci więc dziesięć minut życia, a może i mniej.

— Cóż więc robić?

— Uciekać, nie tracąc ani minuty, ani sekundy.

— Lecz którą? Jeśli oni czekają w przedpokoju, zabiją mnie, gdy wyjdę.

— Posłuchaj; dla pana na wszystko się odważam; tylko nigdy tego nie zapomnij!

— Bądź spokojny.

— Idź pan ze mną do tajemnego wyjścia, zaprowadzę pana do podziemnej galerii. Potem, aby ci dać więcej czasu, pójdę powiedzieć królowej–matce, że zaraz zejdziesz; będą myśleć, żeś sam odkrył to tajemne przejście i żeś skorzystał z niego, aby uciec; chodźmy, chodźmy.

Henryk nachylił się nad Karolem i pocałował go w czoło.

— Żegnam cię, mój bracie — powiedział — nigdy nie zapomnę, że ostatnim twoim życzeniem było widzieć mnie swoim następcą. Nie zapomnę, że twoją ostatnią wolą było zrobić mnie królem. Umieraj w pokoju! W imieniu naszych braci przebaczam ci rozlaną krew.

— Prędeży! Prędeży! — zawołał René. — Król przychodzi do siebie. Uciekaj, nim otworzy oczy, uciekaj!

— Mamko! — mruknął Karol. — Mamko!

Henryk porwał z wezłowania Karola szpadę, nieużyteczną odtąd umierającemu królowi, schował w zanadrze pergamin mianujący go regentem, pocałował po raz ostatni w czoło Karola, obszedł łóżko i rzucił się szybko przez drzwi, które się zaraz za nim zamknęły.

— Mamko! — krzyknął król mocniejszym głosem. — Mamko! Dobra kobieta przybiegła.

— Co ci jest, mój Karolku? — zapytała.

— Mamko! — rzekł król, z otwartą powieką i okiem rozszerzonym od strasznej pewności zbliżającej się śmierci. — Musiało się tu coś stać, podczas gdy spałem: widzę wielkie światło; widzę Boga, naszego Stwórcę; widzę Pana Jezusa; widzę błogosławioną Matkę Boską. Oni go proszą, błagają za mną. Wszechmocny i litościwy Pan przebacza mi... On woła mnie... Boże mój! Boże! Przyjmij mnie do swej łaski... Boże mój! Zapomnij, że byłem królem, gdyż stoję przed Tobą bez berła i korony... Boże mój! Zapomnij występki króla i pamiętaj tylko cierpienia człowieka... Boże mój!... Oto stoję przed Tobą...

I Karol, który wymawiając te wyrazy, podnosił się coraz bardziej, jak gdyby idąc na spotkanie przywołującego go głosu — wydał po ostatnich wyrazach westchnienie i zdrętwiały padł bez ducha na ręce mamki.

Tymczasem, gdy żołnierze pod dowództwem Katarzyny zajmowali wszystkim znajome wyjście, w którym miał się ukazać Henryk — Henryk, w towarzystwie Reného, przeszedł tajemny korytarz, dobiegł do furtki, wskoczył na czekającego nań konia i ruszył do miejsca, gdzie miał znaleźć de Mouya.

Nagle na hałas sprawiony galopem jego konia, biegnącego po bruku, kilka placówek odwróciło się, krzycząc:

— On ucieka! Ucieka!

— Kto taki? — spytała królowa–matka, zbliżając się do okna.

— Król Henryk, król Nawarry! — krzyczały warty.

— Ognia! — zawołała Katarzyna — strzelać do niego! Żołnierze wzięli go na cel, lecz Henryk był już bardzo daleko.

— On ucieka — zawołała królowa–matka — a więc jest zwyciężony. — On ucieka — szepnął książę d’Alencon — a więc ja jestem królem. Lecz w tejże samej chwili, gdy jeszcze Franciszek i matka jego stali przy oknie, zwodzony most zatrzeszczał pod kopytami koni; rozległ się odgłos oręży i z wielkim hałasem wpadł galopem na podwórzec młody człowiek z kapeluszem w rękę, krzyząc: „Francja!” Za nim wjechało czterech rycerzy, okrytych, tak jak i on, potem, pianą i kurzem.

— Mój synu! — zawołała Katarzyna, wyciągając ręce.

— Moja matko! — odpowiedział młody człowiek, zeskakując z konia.

— Mój brat książę Andegaweński! — ze strachem zawołał Franciszek, odskoczywszy w tył.

— Czy nie za późno? — zapytał Henryk swej matki.

— Przeciwnie; sam Bóg nie mógłby cię sprowadzić w lepszą porę; patrz i słuchaj. W rzeczy samej, Nancey, kapitan gwardii, wychodził w tej chwili na balkon królewskiego pokoju.

Wszystkie oczy na niego się zwróciły.

Złamał on laseczkę na dwa kawałki i rozpostarłszy ręce, trzymając w każdym ręku po kawałku, zawołał po trzykroć: — Król Karol IX umarł! Król Karol IX umarł! Król Karol IX umarł! I rzucił oba kawałki laseczki. — Niech żyje król Henryk III! — zawołała wtedy Katarzyna, żegnając się z pobożną wdzięcznością. — Niech żyje król Henryk III!

Wszyscy powtórzyli ten krzyk, wyjąwszy księcia Franciszka.

— Ach! Więc ona żartowała sobie ze mnie — rzekł do siebie, szarpiąc pierś paznokciami.

— Zwyciężyłam — zawołała Katarzyna — a ten nienawistny Henryk panować nie będzie!

EPILOG

Rok upłynął od śmierci króla Karola IX i wstąpienia na tron jego następcy.

Henryk III, szczęśliwie panujący z łaski Boga i swej matki Katarzyny, udał się na uroczystą procesję, odbywaną na cześć Najświętszej Marii Panny z Clery.

Król wyszedł piechotą ze swoją żoną i całym dworem.

Henryk III bezpiecznie mógł się oddawać tym małym rozrywkom; żadna troska nie ciążyła nad nim w tym czasie. Król Nawarry uciekł do Nawarry, gdzie od tak dawna znajdować się pragnął, i bardzo się zajmował, mówiono, jakąś piękną dziewczyną z rodu Montmorency, którą nazywał La Fosseuse. Małgorzata była przy nim, smutna i posepna, znajdując wśród pięknych gór jeśli nie rozrywkę, to przynajmniej złagodzenie dwóch głównych utrapień życia: nieobecności i śmierci.

Paryż był bardzo spokojny, a królowa—matka będąca zupełną regentką od czasu, kiedy jej kochany syn Henryk został królem, mieszkała to w Luwrze, to w pałacu Soissons, położonym w miejscu, gdzie teraz stoi skład zboża i z którego pozostała tylko wspaniała kolumna, którą jeszcze widzieć można naprzeciw ulicy.

Pewnego wieczoru, kiedy królowa bardzo była zajęta nauką gwiazd z Reném, o którego zdradzie wcale nie wiedziała i który wszedł znowu w jej łaski za fałszywie podane świadectwo w sprawie Coonnasa i La Mole'a — dano jej znać, że jakiś człowiek, mający jej udzielić wiadomości wielkiej wagi, oczekuje na nią w modlitewni.

Prędko zeszła i znalazła Maurevela.

— On jest tutaj — zawołał były kapitan minierów, wbrew dworskiej etykietce nie dając Katarzynie pierwszeństwa do zadania mu pytania.

— Kto „on”? — zapytała Katarzyna.

— Któż by inny, jeśli nie król Nawarry.

— Tutaj! — powiedziała Katarzyna. — Tutaj... on... Henryk!... A po cóż on, nierozsądny, tu przybył?

— Gdyby wierzyć pozorom, przybył zobaczyć się z panią de Sauve. Jeśli wierzyć prawdopodobieństwu, przybył knuć spisek przeciwko królowi.

— A skąd wiesz, że on jest tutaj?

— Wczoraj widziałem, jak wchodził do pewnego domu; po chwili przyjechała tamże i pani de Sauve.

— Czy jesteś pewny, że to on?

— Czekalem, póki nie wyjdzie, to jest część nocy. O trzeciej godzinie dwoje kochanków wyszło. Król odprowadził panią de Sauve do bramy Luwru; tam dzięki odźwiernemu, który bez wątpienia jest ich stronnikiem, weszła ona bardzo spokojnie, a król, nuąc jakąś piosenkę; poszedł z powrotem wolnym krokiem, jak gdyby się znajdował pośród swoich gór.

— Gdzież powrócił?

— Na ulicę de l'Arbre-Sec, do oberży „Pod Piękną Gwiazdą”; do tego samego oberżysty, u którego mieszkali dwaj czarnoksiężnicy ścięci z rozkazu Waszej Królewskiej Mości w przeszłym roku.

— Dlaczegoż natychmiast mi o tym nie doniosłeś?

— Dlatego, że nie byłem tego dość pewny.

— Gdy tymczasem teraz?...

— Teraz jestem pewien zupełnie.

— Widziałeś go?

— Zupełnie. Schowałem się naprzeciwko u kupca win i czuwałem. Najprzód wszedł do tego samego domu, co i dnia poprzedniego; potem, ponieważ pani de Sauve długo nie było widać, nieostrożnie pokazał się w oknie pierwszego piętra; tym razem nie było żadnej wątpliwości, tym bardziej że w chwilę później pani de Sauve znowu przyjechała.

— I sądzisz, że pozostaną, jak i przeszłej nocy, do godziny trzeciej z rana?

— To być może.

— Gdzież jest ten dom?

— Blisko Croix-des-Petits-Champs, koło Saint-Honore.

— Dobrze — powiedziała Katarzyna. — Czy pani de Sauve nie zna, twego charakteru pisma?

— Nie.

— Usiądź tu i pisz.

Maurevel spełnił rozkaz i biorąc pióro, rzekł:

— Jestem gotów, pani. Katarzyna dyktowała:

Podczas gdy baron de Same pełni swą służbę w Luwrze, baronowa z jakimś elegancikiem, jednym z jego przyjaciół, znajduje się w domu stojącym w pobliżu Croix-des-Petits-Champs, koło Saint-Honore. Baron de Sauve pozna dom po czerwonym krzyżu na murze.

— Cóż dalej?... — zapytał Maurevel.

— Zrób kopię tego listu — powiedziała Katarzyna. Maurevel machinalnie usłuchał.

— Teraz — rzekła królowa — każ jakiemu zręcznemu człowiekowi wręczyć jeden z tych listów baronowi de Sauve, a drugi porzucić w korytarzach Luwru.

— Nie rozumiem — rzekł Maurevel.

Katarzyna wzruszyła ramionami.

— Czy nie rozumiesz, że mąż odbierający podobny list rozgniewa się?...

— Lecz zdaje mi się, pani, że wprzód nie gniewał się na króla Nawarry.

— Ten, kto przepuszcza niektóre rzeczy królowi, być może nie przepuści ich prostemu gachowi. Zresztą jeśli się on nie rozgniewa, ty będziesz się musiał za niego rozgniewać.

— Ja?

— Bez wątpienia. Weźmiesz czterech, a nawet i sześciu ludzi, jeśli będzie potrzeba; zamaskujesz się, wybijesz drzwi, jak gdybyś był wysłany od barona, zdybiesz kochanków na ich sam na sam i uderzysz w imieniu męża; a nazajutrz bilet, porzucony w korytarzu Luwru, znaleziony przez jaką miłosierną duszę i szybko puszczonej w obiegi zaświadczy, że była to zemsta męża. Tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności zrządził, że gaszkiem był król Nawarry, lecz któż to mógł zgadnąć, kiedy wszyscy myśleli, iż on jest w Po.

Maurevel z podziwieniem spojrział na Katarzynę, ukłonił się i wyszedł.

W tym samym czasie, kiedy Maurevel wychodził z pałacu Soissons, pani de Sauve wchodziła do małego domku przy Croix-des-Petits-Champs.

Henryk oczekiwał na nią u na wpół otwartych drzwi. Skoro ją tylko spostrzegł na schodach, zaraz zapytał:

— Czy nikt nie szedł za tobą?

— Nikt, o ile mi się zdaje — odpowiedziała Karolina.

— A mnie — rzekł Henryk — zdaje się, że nie tylko śledzono nas w nocy, lecz nawet dzisiaj wieczór.

— O! Mój Boże! przestraszasz mnie, Najjaśniejszy Panie! — zawołała Karolina. — Jeśli pamięć dawnej przyjaźni będzie przyczyną twojego nieszczęścia, nigdy się nie pocieszę.

— Bądź spokojna, moja przyjaciółko — rzekł Bearneńczyk — strzegą nas trzy szpady.

— Trzy? To mało, Najjaśniejszy Panie.

— To dosyć, gdy te szpady należą do de Mouya, Saucourta i Barthelemy'ego.

— A więc de Mouy jest z tobą w Paryżu?

— Bez wątpienia.

— Ośmielił się powrócić do stolicy! On więc ma, tak jak i ty, jaką biedną, zakochaną w nim kobietę?

— Nie. Lecz ma nieprzyjaciela, któremu poprzysiął śmierć. Nienawiść, moja kochana, może nas zniewalać do popełnienia takich samych głupstw jak i miłość.

— Dziękuję, Najjaśniejszy Panie.

— O! — rzekł Henryk. — Nie mówię ja tego o terażniejszości, lecz o przeszłych i przyszłych głupstwach. Ale nie spierajmy się o to, gdyż nie mamy czasu do stracenia.

— Wyjeżdżasz więc dzisiaj.

— Tej nocy.

— A więc sprawy, które cię powołały do Paryża, są już ukończone.

— Przybyłem tu tylko dla ciebie.

— Gaskończyku!

— Na szatana! Moja przyjaciółko, mówię prawdę, lecz porzućmy te wspomnienia; pozostaje mi jeszcze dwie lub trzy godziny szczęścia, a potem wieczna rozłąka.

— Ach! Najjaśniejszy Panie — powiedziała pani de Sauve — jedna tylko ma miłość jest wieczną. Henryk dopiero co powiedział, że nie ma czasu na spory, a więc się nie spierał; uwierzył, albo chociaż był sceptykiem, udawał, że wierzy.

De Mouy i jego dwaj towarzysze, jak powiedział król Nawarry, ukrywali się w pobliżu domu. Zgodzono się, że Henryk wyjdzie z małego domku o północy zamiast o godzinie trzeciej; że tak jak i poprzedniego dnia, odprowadzi panią de Sauve do Luwru i że stamtąd wszyscy udadzą się Cerisaie, gdzie mieszkał Maurevel. De Mouy wczoraj dopiero dowiedział się na pewno, gdzie mieszka jego nieprzyjaciel.

Czekali już blisko godzinę, gdy spostrzegli, że do bramy małego domku zbliżył się w towarzystwie pięciu ludzi jakiś człowiek, który zaczął próbować do drzwi rozmaitych kluczy. De Mouy, ukryty w głębi drzwi sąsiednich, jednym susem dopadł tego człowieka i porwał go za rękę.

— Zaczekaj — powiedział — tu nie można wchodzić.

Nieznajomy odskoczył w tył; przy tym poruszeniu spadł mu kapelusz.

— De Mouy de Saint-Phale! — zawołał tenże.

— Maurevel! — wrzasnął hugenot, obnażając szpadę. — Szukałem cię, a ty sam mi się zjawiasz; dzięki!

Lecz pomimo gniewu nie zapomniał jednak o Henryku; obróciwszy się ku oknu, gwizdnął na sposób bearneńskich pasterzy.

— To wystarczy — rzekł do Saucourta. — Teraz do mnie, morderco! Do mnie!

I rzucił się na Maurevela. Maurevel zdążył wyciągnąć zza pasa pistolet,

— Ach! Na ten raz — powiedział zbójca króla, biorąc na cel młodego człowieka — spodziewam się, że będziesz zabity.

I wystrzelił. Lecz de Mouy odskoczył w prawo i kula przeszła nie trafiawszy go.

— Teraz moja kolej — zawołał de Mouy.

I poczęstował Maurevela tak silnym pchnięciem, że chociaż szpada natrafiła na skórzany pas, zwalczyła jednak tę przeszkodę i zagłębiła się w ciele. Morderca wydał dziki krzyk, świadczący o tak głębokiej boleści, że zbiry towarzyszące mu, mając go za zabitego, rzucili się przestraszeni w ulicę Saint-Honore.

Maurevel nie był odważny. Widząc się opuszczonym przez swych ludzi, mając przed sobą takiego przeciwnika jak de Mouy, uznał za najlepsze pójść za ich przykładem i zaczął uciekać tą samą drogą co i oni, krzyżąc: „Na pomoc”.

De Mouy, Saucourt i Barthelemy rzucili się za nim. Gdy wbiegli na ulicę Grenéle, żeby przeciąć uciekającym drogę, nagle otworzyło się okno i jakiś człowiek wyskoczył z pierwszego piętra na ziemię, świeżo deszczem zroszoną.

Był to Henryk.

Gwizdnięcie de Mouya uwiadomiło go o niebezpieczeństwie, a wystrzał z pistoletu, świadczący o wielkości niebezpieczeństwa, zniwolił go do rzucenia się z okna na pomoc swoim przyjaciółom. Zapalony i odważny, pobiegł ich śladami ze szpadą w ręku.

Krzyk, który się rozległ w stronie rogatki des Sergents, naprowadził go na ślad. Był to Maurevel, który czując, że go de Mouy dogania, po raz drugi zwoływał na pomoc rozbiegłych ze strachu swych ludzi.

Pozostało mu więc albo obrócić się, albo być przeszytym z tyłu. Maurevel odwrócił się i spotkał żelazo swego nieprzyjaciela, który prawie natychmiast zadał mu uderzenie tak zręczne, że na wskroś go przeszył. W mgnieniu oka de Mouy powtórzył uderzenie. Szpada znowu zagłębiła się w ciele i krew dwoma strugami bryzgnęła z podwójnej rany.

— A! Złapał się! — krzyknął nadbiegający Henryk. — Nuże, dalej, de Mouy!

De Mouy nie potrzebował zachęceń. Znowu rzucił się na Maurevela, lecz ten nie czekał na niego: Zakrywszy lewą ręką ranę, znowu przedsięwziął rozpaczliwą ucieczkę.

— Zabij go prędko! Zabij! — krzyknął król. — Oto jego żołnierze zatrzymali się; a rozpacz tchórzów nic nie znaczy dla odważnych.

Ledwie dyszący, pokryty krwawym potem, Maurevel upadł nagle ze znużenia, lecz powstał natychmiast na jedno kolano i spotkał de Mouya końcem swej szpady.

— Przyjaciele! Przyjaciele! — krzyczał Maurevel. — Ich tylko dwóch! Strzelajcie do nich!

W rzeczy samej Saucourt i Barthelemy pobiegli ścigać dwóch zbirów, którzy uciekli przez ulicę des Poulies; w tej więc chwili król i de Mouy byli sami przeciwko czterem ludziom.

— Strzelajcie! — nie przestawał krzyżeć Maurevel, podczas gdy jeden z jego żołnierzy kończył już potrzebne do tego przygotowania.

— Tak, lecz pierwej umieraj, zdrajco, umieraj, nędzniku, umieraj i bądź przeklęty jak morderca.

I de Mouy porwawszy jedną ręką ostrą szpadę Maurevela, drugą zanurzył swoją do samej rękojeści w piersiach nieprzyjaciela, a to z taką siłą, że go przygwoździł do ziemi.

— Strzeż się! Strzeż się! — zawołał Henryk.

De Mouy odskoczył w tył, pozostawiając swą szpadę w ciele Maurevela, gdyż jeden z żołnierzy wycelował w niego i niezawodnie by go zabił.

Lecz w tejże chwili Henryk przeszył na wskroś żołnierza, który upadł obok Maurevela, wydając żalony jęk.

Inni żołnierze uciekli.

— Choć, de Mouy, chodź! — krzyknął Henryk. — Nie traćmy ani chwili; jeśli nas poznają, będzie po nas.

— Zaczekaj, Najjaśniejszy Panie. A moja szpada? — rzekł de Mouy. — Czyż Wasza Królewska Mość sądzisz, że ją zostawię w ciele tego nędznika?

I zbliżył się do Maurevela, leżącego nieruchomie, lecz zaledwie oparł rękę na gardzie szpady, Maurevel powstał, uzbrojony pistoletem, który żołnierz upuścił w upadku, i wystrzelił w pierś de Mouya. Młodzieniec upadł, nie wydawszy nawet najmniejszego krzyku; już nie żył.

Henryk rzucił się na Maurevela; lecz ten upadł z kolei i szpada Henryka przebiła tylko trupa.

Czas było uciekać; hałas ściągnął mnóstwo ludzi; mogła nadejść straż nocna. Henryk szukał w gromadzie ciekawych jakiej znajomej twarzy i nagle krzyknął z radości. Poznał La Hurière'a.

Ponieważ opisana przez nas scena odbyła się u stóp krzyża du Trahoir, to jest naprzeciw ulicy de l'Arbre-Sec, więc nasz stary znajomy, którego humor, z natury posepny, jeszcze bardziej zasępił się od śmierci La Mole'a i Coconnasa, jego dwóch ulubionych gości — usłyszawszy hałas, porzucił swoje rondelki, w których przygotowywał kolację dla króla Nawarry, i przybiegł tutaj.

— Mój kochany La Hurière, oddaję pod twoje starania de Mouya, chociaż obawiam się, czy już nie za późno. Zanieś go do siebie i jeśli jeszcze żyje, nie żałuj niczego: oto mój worek; ten zaś drugi niech zostanie na miejscu i zgnije jak pies.

— A Wasza Królewska Mość? — spytał La Hurière.

— Ja muszę się jeszcze pożegnać. Biegnę i za dziesięć minut będę u ciebie; niech konie moje będą gotowe.

I Henryk rzeczywiście pobiegł w kierunku małego domku przy Croix-des-Petits-Champs; lecz dobiegłszy do ulicy Grenéle, zatrzymał się w przestkach.

Liczna gromada zebrała się przed bramą domu.

— Co się stało w tym domu? — zapytał Henryk.

— O! — odpowiedział ten, do którego król się zwrócił — wielkie nieszczęście, panie. Dopiero co przebił tu sztyletem piękną, młodą kobietę jej mąż, któremu doniesiono listownie, że jego żona była tu z kochankiem.

— A mąż? — zapytał Henryk.

— Uciekł.

— Zaś żona?...

— Jest tutaj.

— Nieżywa?

— Jeszcze nie, lecz dzięki Bogu, nie ujdzie śmierci.

— O! — zawołał Henryk. — Więc jestem przeklęty! I rzucił się do domu.

Pokój był pełen ludzi; wszyscy gromadzili się koło łóżka, na którym leżała biedna Karolina, przeszyta dwoma pchnięciami sztyletu. Jej mąż, który przez dwa lata taił zazdrość przeciwko Henrykowi, skorzystał z tej sposobności i zemścił się.

— Karolino! Karolino! — krzyczał Henryk, przeciskając się przez tłum i padając na kolana przed łóżkiem.

Karolina otworzyła swoje piękne oczy, przysłonięte już mrokiem śmierci, i wydała okrzyk, od którego krew trysnęła z dwóch ran; po chwili podniosła się i powiedziała:

— O! Wiedziałam, że nie mogę umrzeć nie zobaczywszy „go.

I w rzeczy samej, jak gdyby tylko czekała owej chwili, aby oddać Henrykowi tę duszę, która go tak kochała, złożyła pocałunek na jego czole, wyrzekła jeszcze po raz ostatni: „kocham cię” i padła nieżywa.

Henryk nie mógł zostać długo, nie narażając się na zgubę. Wyjął sztylet, odciął pukiel pięknych blond włosów kochanki, które tak często rozplatał, aby podziwiać ich długość, i wyszedł, szlochając, pośród jęku obecnych, którzy się nie domyślali, jak wielkie oplakiwali nieszczęścia.

— Przyjaciele, miłość — zawołał zrozpaczony Henryk — wszystko mnie opuszcza, porzuca, wszystkiego jestem na raz pozbawiony.

— Tak, Najjaśniejszy Panie — rzekł do niego po cichu człowiek, który oddzielił się od gromady ciekawych zebranych przed małym domkiem i postępował za Henrykiem — lecz jeszcze pozostaje ci tron.

— René! — zawołał Henryk.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, René, który czuwa nad tobą; Maurevel, oddając ducha, nazwał cię po imieniu; wiedzą teraz, że jesteś w Paryżu, i szukają się; uciekaj, uciekaj!

— I mówisz, że będę królem, René? Ja, wygnaniec?

— Spójrz, Najjaśniejszy Panie — powiedział florentczyk, wskazując królowi gwiazdę, która, błyszcząc, wydobywała się spoza czarnej chmury — nie ja to mówię, lecz ona.

Henryk westchnął głęboko i zniknął w pomroce nocy.